3 1761 04767677 0

Purchased for the

LIBRARY *of the*

UNIVERSITY OF TORONTO

from the

KATHLEEN MADILL BEQUEST

3 vol. in 1
scare.
397/601
100. —
269; 236; 234 p.
ill., pl.

RAMOTY STAREGO DETIUKA O WOŁYNIU.

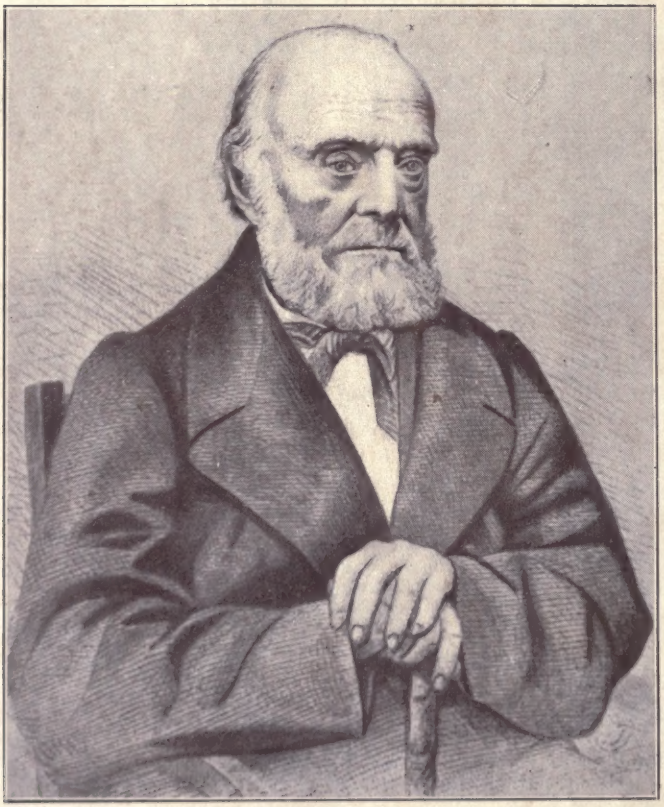

Antoni Andrzejowski.

RAMOTY STAREGO DETIUKA O WOŁYNIU

WYDAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
FR. RAWITA GAWROŃSKI

TOM I.

WILNO.
Bibljoteka Pamiętników. 1914.
Nakładem Tow. Udz. „Kurjer Litewski".

DK
508
.42
A64
t.1-3

LIBRARY
AUG 16 1966
UNIVERSITY OF TORONTO

1107841

Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

KILKA SŁÓW O AUTORZE I O JEGO PAMIĘTNIKACH.

Pamiętnikarz głucho tylko wspomina, że rodzina jego pochodziła z Litwy, może ze Słonimia. Ubogie to musiało być szlacheckie gniazdo, skoro za chlebem, starym zwyczajem, wędrowali na Wołyń i Ukrainę. Historyczne wiadomości o tej rodzinie są także bardzo chude. Jeśli autor naszych pamiętników należał do herbu Prus, to może Hieronim Andrzejowski, cześnik słonimski (1658) był jego niezbyt dalekim protoplastą. Na wyższych urzędach publicznych ani później ani wcześniej nie znajdujemy Andrzejowskich, a na kartach pracy publicznej swoje nazwisko zapisał tylko Antoni. Na nim męska linja wygasła, zdaje się. Wspomina wprawdzie o młodszym bracie, z którym odbył podróż botaniczną w dawnych Dzikich polach, ale innych wiadomości o nim zdobyć nie zdołałem.

I.

Dlaczego autor pamiętników nazwał się Detiukiem? Nie umiem rozwiązać tej zagadki. Nie wiem czy to było imionisko, czy przydomek, ale o ile z opowiadań autora wnosić wolno, i w potocznych stosunkach używano tego nazwiska. Do matki Antoniego Andrzejowskiego mówiono niekiedy: „moja kochana Detiukowo". Ta, czy inna nazwa autora na wartość pamiętników niema wpływu.

Autor urodził się na Wołyniu w r. 1785 [1]). „Wołyń— powiada — był moją kolebką, tam wyrosłem i na tej miłej ziemi pół wieku przeżyłem w trudach i pracy, do jakich Opatrzność zdolnością i usposobieniem obdarzyć mię raczyła".

Ojciec autora, Łukasz, służył w kawalerji narodowej pod chorągwią Szczepana Turny. Ożenił się z córką porucznika Ostrogskiego regimentu, Kazimierza Sobińskiego, mieszkającego w Dubnie we własnym dworku. Byli to ludzie miernego staniku, ale prawi, uczciwi i szanowani powszechnie. Z kilku córek pana porucznika, jedną wziął za żonę ojciec Antoniego Andrzejowskiego. Ożeniwszy się, wystąpił z wojska. Był to okres, w którym Prot Potocki rozwinął ogromną działalność przemysłową i handlową. P. Łukasz, skwitowawszy z wojska, przyjął urząd kasjera w banku Prota Potockiego w Warkowiczach. Trzy lata pozostał na tym urzędzie. Gdy interesy wojewody zachwiały się i musiał sprzedać Warkowicze podkomorzemu Mołodeckiemu, zrezygnował z kasjerstwa i zamieszkał w Warkowiczach, wstąpiwszy znowu do wojska pod chorągiew Turny, już jako namiestnik, ze względu na poprzednią służbę. Ponieważ zwyczajem owoczesnym było absentowanie się z pułku, korzystał z tego i p. Łukasz i za półtora tysiąca złotych rocznej tenuty dzierżawił od kasztelana Popiela wioskę Kryłów, położoną między Dubnem a Warkowiczami. Po trzyletniej dzierżawie opuścił ją w marcu 1792 r., wyniosłszy z niej 30.000 złotych gotówki.

Posiadanie tego, na owe czasy znacznego, kapitaliku pozwoliło p. namiestnikowi mieszkać w Warkowiczach, jak to mówią, „na bruku". Rodzina namiestnika składała się z trojga dzieci p. Łukasza, dwuch sióstr, matki i Sobińskiej, matki żony. Młody Antoni Andrzejowski w siódmym roku życia nosił szlify i szablę przy boku, ja-

---

[1]) Z listu prywatnego ze Stawiszcz do autora wstępu.

ko towarzysz kawalerji narodowej, gdyż ojciec dał za niego poczet sowity.

Wybuchła wojna 1792 roku. Pan Łukasz udział w niej przyjął, jakkolwiek syn, z ostrożności zapewne, nie pisze o tem wcale. Skutkiem przechodów wojsk obcych i swoich, skutkiem niepokojów, kraj cały ogarniających, wiele rodzin wyjeżdżało do Galicji. Opuściła też domek swój w Warkowiczach i pani Andrzejowska, chroniąc się z dziećmi do Galicji, gdzie zamieszkała w miasteczku Stojanowie u parocha unickiego — nałogowego pijaka, który, upiwszy się, piekło z domu robił, a wytrzeźwiony, płakał, przepraszał i na intencję swoich komorników akafist śpiewał.

Po ukończeniu wojny, rodzina wyczerpana z funduszów doszczętnie, wróciła do Warkowicz. Antoni Andrzejowski miał wówczas lat osiem. W miesiąc po powrocie z Galicji, p. Łukasz objął zarząd majątku kasztelanowej Bierzyńskiej i zamieszkał w Ludwipolu, zaś Antoniego zabrał do Korca, na początkową naukę, brat pani Andrzejowskiej, który, jako rysownik, znalazł miejsce w fabryce porcelany w Korcu.

Po dramatycznych przejściach w rodzinie kasztelanowej Bierzyńskiej, która powtórnie wyszła zamąż za wojewodzica Ponińskiego, p. Łukasz objął urząd marszałka dworu u wojewody sieradzkiego Michała Walewskiego w Tuczynie, na zalecenie Prota Potockiego, z którym p. Łukasza łączyły dawne służbowe stosunki. Gdy Kościuszko odwiedził w Równem księżnę Józefową Lubomirską, z którą go dawniejsze a przyjazne łączyły wspomnienia, Antoni mało co starszy nad osiem lat, miał sposobność poznać Kościuszkę, i chwilę tę ze wzruszającą prostotą w pamiętnikach swoich opisał.

Gdy już ukończył czwartą klasę w szkole Międzyrzeckiej, a z promocją do piątej przyjechał na wakacje do Tuczyna, był to rok przełomowy w jego życiu. Niewiadomo z jakich powodów do Międzyrzecza już nie wrócił, a w kilka miesięcy potem utracił ojca, który na

polowaniu, wywróciwszy się z sanek, potłukł się i ten wypadek życiem przepłacił. Matka pozostała nadal, jako ochmistrzyni w Tuczynie, a młodym chłopcem zaopiekowali się hr. Chodkiewiczowie, którzy, wyjeżdżając do Wilna, zabrali ze sobą Antoniego.

Tu przyszła jego droga życia, wybór jej i przygotowanie długo nie mogły się ustalić. Hr. Chodkiewiczowa chciała, ażeby młodzieniec „przykładał się do jakiego talentu", zaś hrabia życzył sobie, ażeby dalsze nauki kończył. Przeważyła opinja hrabiny. Oddano go pod opiekę niejako i naukę malarstwa do Oleszkiewicza. Nie sporo mu jednak szło z malarstwem. Zetknięcie się z rodziną Śniadeckich, gdzie znalazł zachętę do dalszego kształcenia się naukowego, zdecydowało i umocniło w nim zamiłowanie do innej nauki, niż malarstwo. Musiał jednak ulegać kierownictwu swoich opiekunów. Malarstwo nie zadowoliło go wcale. Oleszkiewicz, uprawiający rodzaj kompozycyjny, lekceważył pejzaż, który odpowiadał temperamentowi i poetycznemu nastrojowi młodego ucznia. Śród takiego wahania się, gdzie iść, jaką drogę wybrać — zostać w Wilnie dla dalszego kształcenia się, czy też trzymać się klamki protektorów, przeważył wzgląd drugi. Nie bez przykrości dla młodzieńca, który nabierał zamiłowania do studjów bardzo odmiennych od malarstwa, poszedł za radą Hr. Chodkiewiczów i wraz z nimi na Wołyń wrócił.

Między Pekałowem a Tuczynem czas mu schodził. Opisuje te chwile szczegółowo sam autor w swoich ramotach.

Około r. 1806 — „w tym to właśnie czasie" — pisze — z biegiem rozmaitych okoliczności (których nie wymienia), dostałem się do Krzemieńca, bez żadnej myśli, bez żadnego istotnego celu". Ten wszakże przyjazd zdecydował o przyszłości młodzieńca. Jedyną nauką, którą jako-tako posiadał, było malarstwo. Z pędzlami przeto i farbami wybrał się do Krzemieńca. Malowanie pięknych okolic miasteczka zetknęło go przypadkowo

z młodzieżą szkolną. Młodość łatwo nawiązuje przyjazne stosunki. Zapoznanie się z uczniami pociągnęło za sobą znajomość z nauczycielami. Tu i owdzie otrzymał lekcje rysunków i zanosiło się na to, że rysunkowi będzie musiał poświęcić całe życie. I tu wszakże, jak często w życiu się zdarza, przypadek pokierował inaczej.

Zbliżenie się przyjazne do uczniów i profesorów skończyło się na tem, że do gimnazjum w Krzemieńcu wstąpił. Twarde wiódł dalej życie, zarabiając lekcjami, przerywając naukę szkolną dla chleba i wracając do niej. Botanika, z którą już się był w Wilnie zetknął, stała się jego ulubioną nauką. W Krzemieńcu pod tym względem miał światłą pomoc prof. botaniki Wilibalda Bessera. Już w r. 1816 delegowany został na ekskursję botaniczną na Podole, Pobereże i Ukrainę kosztem hr. Platera i Wacława Rzewuskiego, a końmi księcia Maksymiljana Jabłonowskiego, komisarza komisji funduszowej edukacyjnej.

Podróż do Warszawy w r. 1819 zetknęła go osobiście z księciem kuratorem Adamem Czartoryskim, który go mianował aktualnym nauczycielem botaniki w niższych szkołach gimnazjum krzemienieckiego. Zdaje się, że od tej chwili został także asystentem Bessera.

Od chwili zamknięcia liceum w Krzemieńcu, Antoni Andrzejowski, w roli asystenta prof. botaniki i zoologji przeniesiony został do Kijowa, gdzie do roku 1839 pozostał, a stamtąd do Nieżyna, do słynnego liceum ks. Bezborodków [1]).

Od czasu opuszczenia murów krzemienieckich, wiadomości o losach autora „Ramot starego Detiuka“ są bardzo skąpe, a często brak ich zupełny. Pamięć starych ludzi, do których się odwoływałem, nie wiele dostarczyć mogła, a imiennicy autora, których o pokrewieństwo z autorem pamiętników podejrzewać mogłem, nie raczyli

---

[1]) Słów kilka poświęcił mu Marjan Dubiecki (Młodzież polska w uniw. Kijow. przed rokiem 1863. Kijów. 1909. Data urodzenia, jako rok 1786 mylna).

nawet odpisać: nie jestem krewny. Tak obojętnie zaciera się pamięć o ludziach i czynach. Stare zamki i dwory rozsypują się w gruzy, pajęczyna zapomnienia osnuwa te kąty, które były świadkami chwały praojców, a nad tem wszystkiem rozrasta się rak narodowy — obojętność.

W Nieżynie dosłużył się emerytury i prawdopodobnie w tym samym czasie przeniósł się do Niemirowa. Starzy ludzie pamiętają, że już około r. 1852 tu mieszkał.

Przybywszy do Niemirowa, Andrzejowski nabył stary i lichy domek na ul. Lipowej i tu zamieszkał. Rodzina jego składała się wówczas z żony, syna Antoniego i córki Hanny [1]).

Według opowiadań ludzi współczesnych, jakieś fatum nieszczęścia prześladowało rodzinę Andrzejowskiego. Domowe pożycie nie należało do szczęśliwych. „Żona — pisze świadek naoczny tego pożycia, — dotknięta ciężkim nałogiem pijaństwa, nie umiała utrzymać w domu ładu i porządku, tak, że mimo wcale przyzwoitych dochodów, jakie miał Andrzejowski, rodzina jego pogrążoną była prawie w nędzy“ [2]). Żona, Julja z Radziszewskich, zmarła w Niemirowie 21 listopada 1860 r. [3]).

Po zamieszkaniu w Niemirowie i osadzeniu rodziny już we własnym dworku, Andrzejowski przyjął posadę botanika-ogrodnika w Ilińcach, w majętności Konstantego Platera, i oprócz emerytury pobierał wysoką na owe czasy sumę 800 rs. rocznie. Z Iliniec dojeżdżał tylko do Niemirowa. Nawiasem godzi się wspomnieć, że w Ilińcach, wcześniej wprawdzie, przemieszkiwali dwaj poeci, nierównej miary, ale wielkiego rozgłosu: Tymko Padurra, poeta mierny bardzo, ale dużego mniemania o so-

---

[1]) Z relacji pisemnej pani M. Z., zamieszkałej w Niemirowie.

[2]) Z listu ks. proboszcza Stawińskiego do autora wstępu.

[3]) Relacja pisemna M. Z., w posiadaniu autora.

bie, i Seweryn Goszczyński, głęboki znawca ducha ludu ukraińskiego.

„Z dzieci — pisze osoba znająca rodzime stosunki Andrzejowskiego — nie miał autor Ramot pociechy. Syn, po ukończeniu gimnazjum w Niemirowie, wkrótce na suchoty życie zakończył. W niedługim czasie potem nastąpiła śmierć żony. Została tylko córka Hanna z głęboką czułością ukochana przez ojca, Haneczka". Po śmierci żony i syna, Andrzejowski wrócił do Niemirowa i z córką zamieszkał. W owym to czasie niewątpliwie, przygnębiony nieszczęściem domowem, osamotniony na starość, począł pisać swoje „Ramoty starego Detiuka", uciekając pamięcią w czasy swojej młodości. Niepokój ducha, zgryzoty i nieszczęścia rodzinne wycisnęły piętno swoje na pamiętnikach. Starzec pisał je dorywczo, śród bezładu i trosk, nie trzymając się najczęściej wcale porządku chronologicznego — zapisywał to, co mu pamięć przynosiła i w miarę jak je przynosiła, nie troszcząc się o uporządkowanie tego materjału.

Wkrótce po śmierci żony i syna, nowy cios uderzył w skołataną duszę starca. Z obowiązkiem u Platera, już zapewne w czasie choroby syna i żony, rozstał się i z powodu osamotnienia córki w Niemirowie zamieszkał. Haneczka — według opowiadań współczesnych ludzi — zakochała się nieszczęśliwie w Tytusie Mieleniewskim, geometrze z fachu, który nie cieszył się najlepszą opinją w towarzystwie niemirowskiem. Wbrew radom i woli ojca oddała mu swą rękę 7 stycznia 1862 r. „Po wyjściu zamąż córki, nie chcąc patrzeć na cierpienia swojej jedynaczki, oddał nowożeńcom domek ze wszystkiem, co się tam znajdowało, a sam wyjechał do Stawiszcz, majętności hr. Branickich, gdzie spełniał takie same obowiązki, jak u hr. Platera.

Po niedługim czasie doszła go smutna wiadomość o śmierci córki, z którą mąż nietylko w najwyższym stopniu brutalnie się obchodził, ale czynnie znieważał, czem

się przyczynił do jej śmierci [1]). Ksiądz Stawiński, którego łaskawości zawdzięczam najlepsze, bo faktyczne wiadomości, opowiada, że, szukając w nocy krowy zaginionej, wpadła do rowu błotnistego i, nie mając siły wydostać się, przenocowała w rowie. Skutkiem tego zaziębiła się, dostała galopujących suchot i 26 lipca 1862 r. umarła. „Wtedy stary Andrzejowski powrócił na czas krótki do Niemirowa, sprzedał domek i znowu do Stawiszcz wyjechał.

Stali mieszkańcy Niemirowa pamiętają dotychczas sympatyczną postać staruszka o siwej, niezbyt długiej, brodzie, gdy w towarzystwie swojej ukochanej Haneczki, z nieodstępną zieloną skrzynką odbywał w okolicy długie botaniczne wycieczki. Polskie towarzystwo w Niemirowie, liczne jeszcze dotychczas, złożone z ludzi światłych i rzeczy ojczyste miłujących, wysoko ceniło zasługi i charakter Andrzejowskiego, otaczając czcią i szacunkiem jednego z nielicznych już krzemieńczanów.

W Stawiszczach dokończył swego długiego życia. Dzięki szczodrobliwości hr. Aleksandra Branickiego, zajmował tam takie samo stanowisko, jak u hr. Konstantego Platera. Tu przygotował do druku pracę swoją z zakresu botaniki p. t. „Flora Ukrainy". Na cmentarzu Stawiskim położył zwłoki swoje na wieczny spoczynek. Pamięć jego uczcili hr. Braniccy pomnikiem, na którym położono napis:

Antonius Andrzejowski, profesor emerit. natus anno domini 1785, obiit anno 1868 die 12 Decembris [2]).

II.

„Ramoty Starego Detiuka" w wydawnictwie wileńskiem [3]) obejmują tylko okres młodości autora, prawdo-

---

[1]) Z relacji księdza proboszcza Stawińskiego.

[2]) Szczegóły, udzielone mi listownie, zawdzięczam p. Pęczkowskiemu ze Stawiszcz.

[3]) Dalsza serja ukazała się w Krakowie w r. 1866, t. 2.

podobnie do chwili jego ożenienia się — okres lat dziecinnych, młodzieńczych, ogarniających czasy szkolne i początki prac dojrzałej młodości.

Nie bez powodu nazwał autor pamiętniki swoje „ramotami", gdyż, oprócz wspomnień przeżytych, oprócz faktów i zdarzeń widzianych, w których autor jest zawsze prawie osobą czynną — aktorem, znajdujemy tam ustępy obszerne, wplecione do pamiętnika z opowiadań innych. Posiadają one charakter literacki poniekąd, są mieszaniną fantazji i rzeczywistości, a jakkolwiek pozbawione charakteru materjału historycznego, są jednak ciekawe, jako rysy współczesnego społeczeństwa.

Okres młodości, ujęty w wydawanych obecnie „Ramotach Detiuka", sięga od końca XVIII w. m. w. do roku 1830. Wogóle, o ile pod względem treści, opowiadania Detiuka są dużej wartości, o tyle chronologja szwankuje w nich bardzo. Autor posługuje się zwrotami literackiemi, że tak powiem. Gdy pisze: „za powrotem z wakacji", lub „wróciwszy z Krzemieńca", pomija zupełnie chronologję wypadków, gdyż większe dla pamięci autora ma znaczenie sam wypadek i jego osobisty stosunek do niego, niż czas, w którym miał miejsce. Wystarczy to dla czytelnika, którego zajmuje przedewszystkiem obraz współczesnego społeczeństwa, ale przy pomocy takich ogólnikowych zwrotów, rzadko da się sprawdzić fakt lub zdarzenie, które miało miejsce. Trzeba jednak przyznać, że w ważniejszych wypadkach autor bywa ścisłym.

Wydzielony z literackich dodatków i odpowiednio do skróceń ugrupowany, materjał z „Ramot Detiuka" stanowi doniosłą wartość dla życia i obyczajów Wołynia pierwszej ćwierci XIX wieku. Nie dość tego, Należy jeszcze podnieść, że sfera, którą autor przedstawia, wyłącznie prawie jest do pewnego stopnia arystokratyczną — nie magnacką wszakże, chociaż i ta sfera nie jest autorowi obcą.

Znajdzie tu czytelnik obfity i ciekawy materjał do

historji i koligacji niektórych rodzin wołyńskich: do ich życia, pracy, a niekiedy i zasług. W Korcu, majętności Józefa ks. Czartoryskiego, istniała, jak wiadomo, fabryka fajansów i porcelany, autor dość szczegółowo opisuje jej powstanie, rozwój i losy. Dość obfity materjał znajduje się do rodziny Bierzyńskich z Ludwipola. Autor w obszernym ustępie, z romantycznym zacięciem traktowanym, opisał losy kasztelanowej Bierzyńskiej, dając może bezwiednie obraz tego rozprzężenia obyczajów, jakiemi koniec XVIII w. odznaczał się u nas. Również szczegółowo przedstawił autor dzieje rozpadania się rodziny Michała Walewskiego, wojewody sieradzkiego, a w opisie wesela panny Teresy, ukochanej córki wojewody, dał obraz tak dokładny zwyczajów weselnych, panujących na wielkopańskich dworach, że, jako zabytek tradycyjny, miły będzie każdej polskiej rodzinie.

Bliższe zetknięcie się autora z rodzinami Chodkiewiczów, Śniadeckich, Jabłonowskich, Malczewskich i wielu innych, przyczyniło się niemało do wartości jego pamiętników.

Młodzieńcze lata Detiuka przypadły na początek wieku XIX, na okres w naszych dziejach ciekawy, pełen nadziei i rozczarowań. Rdzenne prowincje Królestwa i Wielkopolska zaciągnęły pod zwycięskie sztandary Napoleona. Nie tu miejsce na opowiadanie o przebiegu tych złudzeń. Godzi się wszakże podnieść, że nie cała Litwa podzielała te złudzenia. Tu wpływy Aleksandra I były silniejsze, entuzjazm dla nadziei, jakie budził i dla jego osobistego charakteru były szczere i wielkie. Ogarniał on niektóre sfery arystokratyczne. Środowisko, śród którego żył autor pamiętników, panujące w niem myśli, uczucia, poglądy, nadzieje udzielały się bezkrytycznie młodzieńcowi. Powtarzał to, co słyszał, w pięćdziesiąt lat prawie później, z gorącością uczuć młodzieńczych. Można tu znaleźć garść wrażeń i nastrojów pewnej części społeczeństwa naszego, a poniekąd charakter stosunków polsko-rosyjskich na Wołyniu i Litwie.

Nie było wówczas zupełnie prawie ze strony biurokracji, ani tembardziej wojskowości, tego szowinistycznego rozwydrzenia, które interesom politycznym Rosji tylko szkodę przynosiło. Zdawała się nawet zapowiadać jakaś możliwość wspólnego pożycia zwycięzców i zwyciężonych. Ten odcień złudzeń znalazł w Detiuku swego opowiadacza.

Pobyt autora w Wilnie nie był obfity w doniosłe wspomnienia, ale zetknął się tam z malarzem Oleszkiewiczem, z którym później połączyły go ściślejsze węzły powinowactwa.

Nieraz słyszeć się daje zarzut o próżniaczem życiu wielkopańskich i wielkoszlacheckich dworów Wołynia, Podola i Ukrainy, o braku tam kultury umysłowej, o egoizmie tej najzamożniejszej warstwy polskiego społeczeństwa. W zarzutach tych tkwi więcej złośliwości i nieznajomości, niż prawdy, a w „Ramotach starego Detiuka" znaleźć można bodaj najwięcej dowodów, jak skorzy jesteśmy do uogólnień w potępianiu. Autor maluje wielkopańskie dwory w całej ich wytworności i przepychu, na jaki stać było ludziom bardzo zamożnym, ale widać także, że ci ludzie od spraw narodowych nie stali zdaleka, że hojnie swoją kieszenią i wpływem wspierali naukę, sztukę, szkolnictwo wówczas, kiedy oprócz ich hojnej ręki nie było jeszcze nikogo, ktoby umiał pożytek ich cenić i ku pożytkowi publicznemu iść z pomocą. W dworach wielkopańskich Wołynia, gdzie musiano bawić się pod jakiemś zaklęciem prawie, które zamykało oczy na przyszłość, istniały całe galerje obrazów pierwszych mistrzów naszego malarstwa, a nie jedna kopja z arcydzieł, ich ręką robiona, tuła się jeszcze między antykwarjuszami. Gdzie, po klęskach i rozbiciu, podziały się oryginały? — trudnoby dziś orzec.

Ofiarność na cele szkolnictwa była nadzwyczajną. Umiał ją rozbudzić Tadeusz Czacki i wpoić przekonanie, że wykształcenie młodzieży — to przyszłość narodu. Setki tysięcy płynęły na odezwę znakomitego oby-

watela z chwilą, gdy okazała się możliwość utworzenia własnego szkolnictwa. Szczególną opieką potrafił otoczyć Czacki swoje ukochane dzieło — najpierw gimnazjum, a potem liceum w Krzemieńcu. Z tego ogniska buchnął nagle olbrzymi płomień oświaty, podsycany hojnemi darami i zapisami. Szafy „Ksiąg funduszowych", zgromadzone w archiwum uniwersytetu w Kijowie, a nietknięte pono przez naszych historyków, są najlepszym świadectwem nigdy nieugasającej ofiarności narodu naszego za wielkie cele i prace.

Krzemieńcowi poświęcił Detiuk dużą część swoich wspomnień. Patrzył na rozkwit i upadek szkoły. Przypatrując się zblizka działalności Czackiego, powziął dla tego męża pełnego zasługi i poświęcenia się cześć, jaką go otaczali wszyscy, którzy rezultaty tej działalności ocenić potrafili. Najlepsze siły pedagogiczne zdołał tam skupić, najlepsze metody kształcenia rozumu i ciała potrafił zastosować. Zrobił rzecz niezwykłą prawie: nauczył młodzież kochać naukę. Jego metoda, jego duch ogarniał każdą szkołę, którą stworzył. Już nie stało Krzemieńca, już zamknięto szkoły w Winnicy, Humaniu, Międzyrzeczu etc., a jeszcze długo, bo przeszło do połowy XIX w. w szkołach już zreformowanych, unosił się nad nimi duch Czackiego. Takie jeszcze cechy, acz z bardzo dalekiem podobieństwem, odszukać się dały w gimnazjum kijowskiem, otwartem przez Czackiego, gdzie w nauce panował, ze zwyczaju, system wzajemnej pomocy (audytorowie), a zabawy młodzieży (rozmaite gry w piłkę, nieznane szkołom rosyjskim, i majówki, jako wspólne zabawy) nosiły na sobie, acz zdefigurowane znamiona urządzeń szkolnych początku XIX w. do roku 1864.

Do historji szkoły Krzemienieckiej znajdzie czytelnik w „Pamiętnikach Detiuka" dużo szczegółów, dużo barw do życia profesorów i uczniów, do tej szlachetnej wspólności koleżeńskiej, dla której węzły przyjaźni i życzliwości, nawiązane w szkole, nie rozluźniają się przez całe życie.

We wspomnieniach Detiuka o Krzemieńcu uderza przedewszystkiem ów ton niezmiernie sympatyczny, jaki panował we wzajemnych stosunkach uczniów do ciała nauczycielskiego. Uczniowie kochali swoją szkołę i profesorów, nawzajem kochani. Dobra cześć szkoły i miłość ku niej, były pewnego rodzaju świętością dla wszystkich. Znałem jeszcze ostatnich krzemieńczanów, którzy z najwyższą czcią i szacunkiem wspominali o szkole, nie jako o miejscu bezpłodnych męczarni, lecz o ognisku wysokiego napięcia naukowego, o chwilach przeżytych w niej górnie i szlachetnie.

Uroczysty obchód zakończenia roku szkolnego autor „Ramot" opisuje szczegółowo, z plastyką i z tem czułem umiłowaniem, które tylko wzajemna miłość nauczycieli, przewodników młodzieży i uczniów wytworzyć może. Szkoła Krzemieniecka nie odrywała ucznia od rodziny i społeczeństwa, nie tworzyła ciała zamkniętego w sobie, jak klasztor, w radościach i zabawach szkolnych brali udział rodzice i krewni uczniów, tworząc pewną całość spojoną miłością i wyrozumiałością. Pedagogja szkolna była nie wrogiem, ale przyjacielem młodzieży.

Autor pamiętnika znał wszystkich kierowników szkoły Krzemienieckiej, znał ludzi dla tej szkoły życzliwych i ofiarnych. Przed oczyma czytelnika przesuwają się postacie Czackiego, szefa Drzewickiego, Platera, w perspektywie ukazuje się postać księcia Adama Czartoryskiego, jako kuratora. Znajdzie tu czytelnik także nieco szczegółów do pobytu w Krzemieńcu Wacława Rzewuskiego, słynnego złotobrodego Emira. Wogóle Krzemieniec pod piórem Detiuka nabiera ogromnego ożywienia. Widać, że z tej małej wołyńskiej mieściny Czacki potrafił stworzyć środowisko nietylko szkolne, nietylko naukowe, ale i towarzyskie. Wszystko, co jest na Wołyniu zamożnego, światłego, ożywionego szlachetną chęcią podniesienia się z upadku, skupia się w Krzemieńcu i nadaje mu charakter ogniska współczesnej kultury i towarzyskości.

Gdy koło szkoły Krzemienieckiej unosiły się groźne widma niesłusznych podejrzeń, Czacki powagą swoją i wykazaniem bezinteresowności celów naukowych, jakie szkoła miała przed sobą jedynie, potrafił je, bodaj na czas swego kierownictwa, usunąć. W Detiuku odbija się rys wspólny całemu prawie ówczesnemu społeczeństwu Wołynia, Podola i Ukrainy — nadzwyczajny optymizm w ocenianiu istniejących warunków życia, a nigdzie śladu ani chęci spoglądania w przyszłość. Widział tylko dobrobyt wszędzie. Narodowych aspiracji nie dotknął nigdzie. Przeciwnie, widać u autora ogromne zadowolenie z tego, co jest. „Dobre to były czasy, — pisze — wesoło było wszędzie. Lata urodzajne, handel kwitnął, grosz za groszem wpływał do skrzyń obywatelskich".

W tym samym czasie — na początku XIX w. biły pioruny zwycięstw Napoleona I, upadały stare państwa, powstawały nowe, a zwycięskie orły cesarza Francji przelatywały przez całą Europę od ponizia Lombardji po Dunaj i Sprewę. Jeszcze trochę, a wielka armja miała przejść Niemen. Ale Detiuk z Ludwipola, z Tuczyna, z Pekałowa, a nawet z Wilna nie widział tego. Do lasów Wołynia i Polesia, do stepów Wasylowa nie dochodziły nawet echa tych walk i przewrotów. Rozczula się natomiast, jako zdeklarowany nieprzyjaciel Wielkiej Rewolucji francuskiej, nad „okrucieństwem Robespiera i Murata", nad tem, że „nie oschły jeszcze strumienie krwi pomazańca Boskiego, Ludwika XVI". Przerażony tem, że „Francja obmywa się krwią", tembardziej ceni spokojny nastrój, panujący w społeczeństwie polskiem na Rusi, tem chętniej ceni „dzielny umysł, wzniosłe uczucia, prawdziwą mądrość cechujące Pawła", a Napoleonowi I przeciwstawia „bohaterstwo Aleksandra, które objawiło się ojcowskiem sercem dla tylu miljonów ludów, podległych berłu jego". Wjazd tego cesarza do Wilna opisuje z entuzjazmem.

Mimo to szkole Krzemienieckiej od czasu do czasu groziło niebezpieczeństwo. Zażegnywał je Czacki.

Rok 1812 o mało nie stał się fatalnym dla szkoły, a jeżeli nie stał się, to tylko dzięki temu, że Czacki zetknął się urzędowo z rozumnym i wyrozumiałym człowiekiem. Gubernator wołyński Kumburley niechętnym okiem patrzył na szkołę. Wolałby był niewątpliwie, ażeby kilkuset kształcącej się młodzieży utworzyło bataljon dzielnych ochotników. Oskarżono Czackiego także o nieprawomyślność polityczną. Drobne zdarzenia, bez żadnej cechy politycznych manifestacji, jak śpiew Te Deum w czasie Bożego Ciała, wysunięto, jako niebezpieczne objawy. Gdy Wołyń ogłoszono na stopie wojennej, a książę Bagration został głównodowodzącym armji wołyńskiej, wezwał Czackiego do usprawiedliwienia się. Uczynił to z godnością i powagą zarówno dla swego wysokiego stanowiska, jak i dla stanowiska Czackiego. Był to człowiek wyrozumiały. Wysłuchał tedy usprawiedliwienia się bez złośliwego uprzedzenia i zarówno Czackiego, jak i szkołę pozostawił w spokoju.

Nie brak było i później ludzi niechętnych, którzy z uprzedzeniem patrzyli na rozwój szkoły, ale autor pamiętnika upatrywał w tej akcji tylko intrygi osobiste.

Nie będziemy śledzić wszystkich „od zwycięstw do upadku stopni". Nie szkoła Krzemieniecka jest tematem niniejszego szkicu, lecz próba scharakteryzowania Pamiętników Detiuka, a poniekąd umysłowości autora.

Andrzejowski zostawił kilkanaście dzieł, streszczających w sobie rezultaty jego badań:

1) Rys botaniczny krain, zwiedzonych w podróżach pomiędzy Bohem i Dniestrem od Zbrucza do morza Czarnego, odbytych w latach: 1814, 16, 18, 22.

2) Coquilles fossiles do Volhynie et de Podolie.

3) Czackia, genre determiné et décrit. Jest to praca o roślinie odnalezionej i określonej po raz pierwszy przez Andrzejowskiego, nazwanej imieniem uwielbianego człowieka. Wśród wielu innych poważną bardzo pracą An-

drzejowskiego jest „Flora Ukrainy“. Skłoniło go do niej ogólnie uznana w nauce potrzeba klucza do oznaczania roślin krajowych, bo nie wystarczały istniejące dotąd Kluka „Dykcyonaryusz roślin“ (XVIII w.) i Jundziłła „Opisanie roślin“ (1798 r.).

Doszła nas tylko pierwsza część „Flory Ukrainy“ z podaniem rodzajów. Następna część, o której wspomina sam Andrzejowski w przedmowie do pierwszego tomu z wyszczególnieniem bardzo dokładnem gatunków „systematem naturalnym Decandolle'a“, — zaginęła. Może się znajduje jeszcze egzemplarz w bibljotece Branickich [1]).

Fr. Rawita-Gawroński.

d. 29 marca, 1913.

Lwów.

---

[1]) „Ziemia“ 26 kwiet. 1913 r., artykuł L. Berezowskiej p. t. Antoni Andrzejowski.

ROZDZIAŁ I.

Wołyń był kolebką moją, tam się urodziłem, tam wyrosłem i na tej miłej ziemi pół wieku przeżyłem w trudach i pracy, do jakich Opatrzność zdolnością i usposobieniem obdarzyć mię raczyła.

Od dzieciństwa zblizka patrzałem na wielkie domy polskie. Przeznaczenie chciało, ażebyśmy i ojciec mój i ja na pańskich wzrośli pokojach. Patrząc więc na magnatów życie, tak jak czytać i pisać, nauczyłem się znać ich obyczaje, tryb życia, sposoby myślenia, wzajemne ich wpływy i związki, a tem samem, złą i dobrą stronę ich serc i charakterów i wpływ na społeczne w kraju stosunki.

Księga to była wielka, znakomita, w której zrazu składając zgłoski, zwolna czytać i rozumieć co czytam, wyuczyłem się.

Dziecinna i młodzieńcza pamięć wiernie zachowała wszystkie z owych czasów wypadki i towarzyszące im okoliczności. Niekiedy rozpamiętywając te lata ubiegłe, więcej pół wieku przesuwa się tak żywo przed mojemi oczami, jak gdybym te obrazy ledwo dopiero wczoraj widział. Kreślę je więc takiemi, jakiemi oczy je moje widziały, jakiemi je umysł mój pojmował.

Pierwsze lata ostatniego dziesiątka zeszłego stulecia zdawały się rokować pokój i swobodę w kraju, i wywie-

rając wpływ swój dobroczynny na przyszłość, pomyślność trwałą zabezpieczać. Nowe ustawy, mądrych i o dobro ojczyzny gorliwych mężów dzieło, wiekopomnej świętości uczuć i wielkości duszy naszych rodaków zabytek, zaprzysiężone przez króla i naród, wzniosły nas w oczach Europy i błogi byt kraju zdawały się zapewniać. W uniesieniu wdzięczności dla tych dobroczyńców ojczyzny, tych ojców narodu, naród cały ustami i sercem śpiewał hymn wesela:

Rzucajmy kwiaty po drodze,
Kędy przechodzić mają
Szczęścia narodu wodze,
Co nowy rząd składają.
Wdziejmy weselne szaty!
Dzień to kraju święcony,
Jakże ten król nasz bogaty
Skarb jego serc miljony — i t. d.

Budził się jak z letargu duch narodowy, odradzało się męstwo naddziadów, a zabezpieczone każdemu stanowi, równość w obliczu prawa, rozsądna wolność i swoboda osobista, ożywiały rolnictwo, przemysłowi i handlowi nowy popęd dawały. Siła narodowego wojska zwiększona i uorganizowana, wywoływała młodzież z pod strzech ojczystych pod święte znaki orłów i pogoni. Ocknęły się i muzy nasze. Dobroczynna ustawa o oświeceniu narodowem otworzyła przybytki nauk dla wszystkich stanów.

Kraj żył, oddychał swobodnie, i pojąć się nie mógł w radości swego odrodzenia. I pomnę, jak Wołyń naówczas oddawał się radości. Wszędzie z synowską życzliwością mówiono o królu, uwielbiano twórców konstytucji 3 maja i zbawienne jej ustawy przywieść do skutku starano się. O! jakież święte uczucia napełniały serca Polaków, jakie świetne nadzieje te uczucia ożywiały! Czytać jeszcze dobrze nie umiałem, a umiałem już na pamięć

pieśni ułożone stosownie do tych błogich, do tych pamiętnych okoliczności.

Ojciec mój służył wojskowo w regimencie Ostrogskim; ale ożeniwszy się uwolniony od służby, został kasjerem w banku Prota Potockiego w kantorze Warkowickim. Gdy zachwiane interesa wojewody zmusiły go do skoncentrowania kantoru w Wadmowce i sprzedania Warkowicz [1]), mój ojciec po trzech latach kasjerstwa wrócił znowu do wojska do kawal. nar. pod chorągiew Szczepana Turny, przyjęty namiestnikiem ze względu na służbę poprzedniczą. A że naczelnik był pewnym wierności i gotowości mojego ojca, ani jaka podówczas groziła Polsce wojna, pozwalał więc absentować się z pułku, i ojciec mój otrzymał dzierżawę od kasztelana Popiela, niewielką wioskę Kryłów, za półtora tysiąca złotych rocznej tenuty. Korzystne między Warkowiczami a Dubnem położenie wioski intratną czyniło dzierżawę. W r. 1792 w marcu, wyszedłszy z dzierżawy trzyletniej z 30,000 złotych, nim się co pomyślnego nadarzy, a raczej nim rzeczy krajowe do zupełnego przyjdą ładu, zamieszkał mój ojciec na rok w Warkowiczach w ładnym dworku, nad główną ulicą, jak to mówią na bruku. Rodzina nasza składała się: z matki mojego ojca, moich rodziców, nas trojga dzieci i dwuch sióstr mojej matki, młodych jeszcze panienek. Żyliśmy sobie skromnie, po szlachecku, ale uczciwie, a uprzejmość i gościnność narodowa, były wrodzonym obojga rodziców przymiotem.

W tym czasie część naszych wojsk odebrała rozkaz przeniesienia się do Wielkiej Polski. Główny pochód z Ukrainy do Warszawy szedł przez Warkowicze. Nowy właściciel tego miasteczka podkomorzy Mołodecki, dla choroby żony obległej w drugiej majętności, nie mieszkał w Warkowiczach; co tylko więc było oficerów wyższych i niższych w przechodzących pułkach, wszystko to opie-

[1]) Miasteczko w dzisiejszym pow. Dubieńskim.

rało się o nasz chudopacholski dworek, a wielu z nich byli naszymi, gdyż i ja liczyłem się towarzyszem kawalerji nar., bo ojciec dał za mnie poczet sowity; w siódmym roku życia mojego szlify i szablę przy boku nosiłem. Generałowie i pułkownicy nie gardzili uprzejmą gościnnością p. namiestnika. Raczył ojciec z serca miłych gości, zasilał wyższych pieniężną pożyczką, z równymi czem mógł tem się podzielał. Dość było, aby który powiedział: Panie Łukaszu, daj! a p. Łukasz, chętnie choćby i grosz ostatni oddawał. Jednego z takowych szczególniej pamiętam, był to pułkownik artylerji, p. Bielicki, wielce miły i światły człowiek. Przez dwa tygodnie pobytu swego w Warkowiczach, rodzina ich zaprzyjaźniła się z naszą i cały ten czas jak jedna familja żyliśmy z sobą. Bielicy mieli synka Rudolfa jednych lat ze mną, a młody bombardjer Wiewiorowski był naszym mentorem i szczerze nas pilnował i bawił. Po odjeździe Bielickich, długo tęskniliśmy za nimi, a odjeżdżającemu pułkownikowi mój ojciec sto dukatów pożyczył. Tak więc grosz za groszem się wytaczał, a natomiast zostawały na świstkach rewersa! — 30,000 złotych, lubo w owych czasach wielką były sumą, wyczerpać się musiały, a po przejściu wojsk naszych ku zimie, ledwie niewielki zapas w gotówce pozostał. Ale mój ojciec nie żałował swojej usługi, i tem się pocieszał, że swoim mógł być jakąś pomocą, i że kiedyś oni pamiętać będą w jakiej przygodzie pomoc znaleźli.

Po przejściu wojsk naszych, za nadejściem zimy, armja rosyjska przyciągnęła na Wołyń. Pułki regularne szły w porządku, i przyznać potrzeba, że się żadnych nadużyć nie dopuszczały. Piękność jednak rodowa i wyższe ukształcenie naszych Polek, ściągały na się uwagę i raziły serca niezlodowaciałe jeszcze podarkturowych mieszkańców. Wielu z wyższych oficerów namiętnem okiem poglądali na nasze młode Sarmatki i kusili się o wykradzenie niejednej szlachetnej panienki. Nawet

w Warkowiczach, przechodzący pułkownik Stryłenko, ujrzawszy ładne siostry mej matki w kościele, podobny względem nich zamiar powziął. Ale się nie udało. Młody podoficer, synowiec pułkownika skrycie ostrzegł moją matkę. Rodzice udali się do właściciela miasta, i obecna naówczas sama podkomorzyna zabrała panny do zamku. Przez szpiegów dowiedział się pułkownik o ich ukryciu, ale na mieszkanie magnata natrzeć nie było śmiałości. Odgrażał się wprawdzie zemstą, ale ukaz śpiesznego pochodu groźbą tylko wszystko zakończył.

Ale o ile ze strony wojska regularnego było bezpieczeństwo, o tyle wlokący się przy pułkach Dońce kozacy, choć jeszcze wojny nie było, trwożyli mieszkańców. Napadali po drogach, rabowali domy i ciężkich dopuszczali się bezprawiów, tak dalece, że dla zabezpieczenia się od tych napadów, potrzeba było u naczelników regularnego wojska prosić o załogę. Trwoga stąd wielka powstała. Mieszkańcy odbiegali domów i dobytku, unosząc życie i co z ruchomości unieść się dało. Bliżsi granicy wsi i miasteczek właściciele w sąsiedniej Galicji przytułku szukali. Ojcu memu do wojskowej swej służby w Ukranie udać się potrzeba było, do tego więc zagranicznego schronienia, wyprawił wraz po Wielkiejnocy matkę moją, z nami dziećmi i siostrami. Babka moja jechać nie chciała, a gdy jej wystawiano napady rabujących Dońców, z rezygnacją pokazywała na krzyż, dany jej z błogosławieństwem od ciotki jej pułkownikowej Kościowej, na Litwie, skąd była rodem, mówiąc: „w tym znaku zwyciężysz! wam młodym niebezpieczno tu zostawać, bo to naród bezbożny, a mnie starej baby, to się nastraszy i nie zaczepi". I tak było w istocie, bo dzicz ta jednak starość uszanować umiała.

Smutny był nasz wyjazd z domu i smutny pobyt w Galicji. W podróży od Warkowicz mieliśmy towarzyszami dwuch polskich oficerów naszych pokrewnych. Żal nam było rozstawać się z nimi, bo zdawało się, że się zry-

wa ostatnia nić wiążąca nas z krajem rodzinnym. Jużeśmy ich więcej nie ujrzeli, obaj zginęli później na Pradze.

Kilka miesięcy naszej emigracji przemieszkaliśmy w miasteczku Stojanowie [1]), w domu parocha Unickiego, dobrego człowieka, ale podległego nałogowi. Skoro tylko podprószył sobie, staczał wojnę ze wszystkimi, wyrzucał nas z domu swego i dziwne sceny wyrabiał. Nikt go nie mógł uhamować, siostra tylko moja starsza, dziewięcioletnia dziewczynka, miała dar uspokojenia go; a natenczas płakał, przepraszał i na intencję swoich komorników w cerkwi akafest śpiewał. W Stojanowie wiele ze szlachty wołyńskiej zamieszkało. Między innymi, podstolina Rohozińska z córką i synem małoletnim, najbliższą naszą była sąsiadką, a jako znajoma oddawna, jeszcze w ściślejszych z matką moją żyła stosunkach. Ale, mimo liczne zebranie osób, mimo spokojność i bezpieczeństwo pod rządem austrjackim, wesołość wszystkich odbiegła. Zasmucające były wieści z Korony i Litwy. Gazeta warszawska nie wiele pocieszających nowin zwiastowała. Zawiązana konfederacja Targowicka, szerzyła się po kraju. Król udał się na sejm do Grodna. W Warszawie duch miłości ojczyzny ożywiał upadające umysły; w Grodnie egoizm, zarozumiałość i chciwość owładnęły sejmującymi, i biada temu, kto się z uczuciami szlachetniejszemi śmiał odezwać. Ukraina zajęta była przez wojska rosyjskie, rzadko gdzie było widać pułk polski, a i ten pewnie należał do stronnictwa Targowickiego. Na Wołyniu i na Podolu trzymała się jeszcze garstka wiernych ojczyźnie wojsk narodowych. Ale nic tak nie rozdzierało serc naszych, jak wiadomość o ustąpieniu przez sejm grodzieński 17 czerwca, 4,550 m. kw. dla Rosji, 1,060 m. królowi pruskiemu. To państwo niedawno obszerne i tak świetne, w jakichże szczupłych granicach zamknęła bezbożność Grodzieńskiego sejmu! W Wielkiej Polsce zbierano się pod dowództwo Kościuszki i z Krakowskiego pod jego cho-

[1]) Miasteczko w Galicji, st-wo Kamionka Strumiłowa.

rągwie nieliczne ciągnęły hufce; w nich i w ich naczelniku cała nadzieja kraju złożona była, nadzieja ta ożywiała i biednych emigrantów. Jeżeli błysła kiedy wieść jakaś pocieszająca, to wszyscy zbierali się do kościoła na dziękczynne Panu Zastępów modły i dzień ten uroczyście obchodzili.

Silnie jeszcze podówczas krążyła w Galicji powieść o porwaniu i umorzeniu Gertrudy z Komorowskich Potockiej [1]). Podstolina Rohozińska, z domu Romanowska, pokrewna Komorowskich i z Potockimi spowinowacona, historję Gertrudy matce mojej ze szczegółami opowiadała. Podług jej powieści matka p. Szczęsnego nie była mniej winną od męża, owszem nawet, pomysł porwania i wywiezienia gdzieś daleko synowej, był płodem przewrotnego jej serca. A dowiedziawszy się o śmierci Gertrudy, miała wyrzec: że sam Bóg nie chciał poniżenia rodu magnata przez taki mezaljans. Uduszenie Gertrudy nie zgadza się z powieścią p. Rohozińskiej, współczesnej temu wydarzeniu. Podług ich rodzinnych podań, p. Potocka była przy nadziei, przestrach przyśpieszył przedwczesne rozwiązanie, a oziębienie zadało śmierć; i kiedy Wilczek postrzegł, że wiezie trupa, zatrzymał się, i kazawszy przerąbać płonkę na Bugu, tam małżonce pana swojego sprawił pogrzeb. Po tem okropnem wydarzeniu wrócił Wilczek do Krystonopola [2]), o wypadku doniósł, i natychmiast i jego i wspólników wyprawiono na Ukrainę, lub na granicę węgierską, gdzie wojewoda miał także majętność, i wszystko się ukryło, i ukryło się na długo! Podług opowiadania p. podstolinej, na wiosnę, czy też rokiem później, dziwnym sposobem wykryła się tajemnica. Niedaleko Krystonopola ku Sokalowi [3]), w nadbrzeżnej wios-

---

[1]) Szczegóły do tej sprawy: J. I. Kraszewski: Starościna Bełzka, opowiadanie historyczne 1770—1774 tomów dwa Warszawa 1858.

[2]) W Galicji, st-wo Sokolskie.

[3]) W Galicji, m. powiatowe.

ce Buga, po oczyszczeniu z lodów tej rzeki, wieczorem, paroch tamtejszy, przechadzając się ponad brzegiem, odmawiał pacierze. Jednym razem postrzega coś płynącego, i po ostatnim odbrzasku zachodowego światła, rozpoznaje płynące ciało ludzkie, biało odziane. Pośpieszył kapłan ku cerkwi, uderzył w dzwon, i w mgnieniu oka zbiegła się czeladź, rzuciła się do czółen, i popędziwszy się za topielcem, dognali go i do brzegu przyciągnęli. Była to kobieta, której pięknych rysów woda popsuć nie zdołała. Ubrania na niej mało było, na palcu złota obrączka, na szyi na cieńkim złotym łańcuszku medaljon, ale tak szczelnie zamknięty, że się woda pod szkło nie wcisnęła i minjatura mężczyzny nie zmienioną została. Ale nikt we wsi ani utopionej, ani odmalowanego mężczyzny nie znał. Paroch, spisawszy akt tego wydarzenia przy świadkach, dołączył do niego medaljon i obrączkę, i złożył to w Złoczowie [1]) w cyrkule, a utopioną, w grobie murowanym pochował. Wieść jednak o tem gruchnęła w okolicy i doszła do Komorowskich. Pośpieszyli oni do Złoczewa, ale stronnicy Potockich szczodrze opłaceni poznawszy w minjaturze portret Szczęsnego, starali się dowody te zniszczyć. Ale, jeżeli w cyrkule załatwił się interes, bo drogo był okupiony, to z księdzem trudna była sprawa. Potrzeba mu było tajemnicę Potockich powierzyć i do niej go wciągnąć, a ślad aktu zupełnie zniszczyć. Ale ani obietnice, ani datki, ani groźby, nic na zacnym kapłanie nie zdołały, i okropna nieprawość wyjawiła się. Pogorszyło to wielce sprawę Potockich. Komorowscy udali się do parocha, widzieli i poznali trupa Gertrudy, otrzymali kopję aktu, złożonego w cyrkule, z podpisami tychże samych co i na akcie świadków, i z tym dokumentem jawili się w Złoczewie. Nie można było utaić aktu, skonfrontowano z nim kopję, wszystko było to samo, ale do dowodów służyła tylko obrączka, bo medaljon zniknął z

[1]) W Galicji m. powiatowe.

kancelarji cyrkułu. Możeby i obrączka była znikła, gdyby się rozpatrzono w jej wnętrzu, gdzie litery G. S. dzień miesiąca i rok były wyryte. Komorowscy obrączkę Gertrudy poznali, o znajomym medaljonie domyślili się. Wszystko to jednak dowodziło tylko, że była utopiona. Podejrzenie padło na Potockich, ale zbrodni nie było jeszcze czem dowieść. Poznali wprawdzie domownicy w czasie napadu Wilczka, dworzanina Potockich, bo ten nieraz posyłany bywał od p. Szczęsnego do p. Gertrudy, ale gdzież go znaleźć, kiedy tyle poszukiwań daremnemi były, kiedy i wieść o nim zaginęła. I czas uchodził, i proces leniwie się przeciągał. P. wojewodzina tryumfowała, Komorowscy martwieli smutkiem i kłopotami.

W historji starościny Bełzkiej przez Kraszewskiego, zjawia się oskarżenie Potockich, potem dekret ferowany w tej sprawie, ukaranie Wilczka i jego wspólników. Ale jakim sposobem zbrodnia ich wykrytą została? Czyżby Wilczka pojmawszy jako porywacza Gertrudy, nie zapytano: gdzieś podział nieszczęśliwą małżonkę twojego pana? czyżby nie znalazły się sposoby wydobycia z więźnia zeznania prawdy? Tu w historji p. Bełzkiej taka jest przerwa, że po przeczytaniu dwuch tomów, zostaje jeszcze zapytanie: no! i cóż dalej? — Smutną tę powieść, w dzieciństwie ciągle po kraju krążącą, wielokrotnie i rozmaicie słyszałem opowiadaną. Wypadków tych, na wiele lat przed mojem urodzeniem wydarzonych, nie mogłem być świadkem, relata refero. Zdaje mi się jednak, że osoba, od której najwięcej okoliczności tej historji słyszałem, największą mieć może przewagę i wiarę w tym względzie.

Chrząszczewski Franciszek, niegdyś sekretarz Szczęsnego Potockiego, później konfederacji Targowickiej, miał brata ożenionego z Cyrynianką, siostrą p. Ksawerowej Malczewskiej. Chrząszczewscy odumarli w dzieciństwie córkę swoją Eleonorę, a ciotka Malczewska wychowała ją wraz z córką swoją. P. Franciszek odwiedzał u Mal-

czewskich w Tarnorudzie [1]) swoją synowicę, tam poznałem tego szczególnego człowieka i miałem szczęście przypaść mu do serca. Niepiękna twarz, zaniedbana powierzchowność, nie mogły u patrzących na niego wywołać jakiejś sympatji; ale skoro p. Chrząszczewski usta otworzył w jakimby to nie było języku (bo ich biegle kilka posiadał), albo w jakim tylko wydarzyło się przedmiocie, natenczas rozjaśniało się jego oblicze, a ucho zachwycone przedziwną jego wymową, oczarowania swego i oczom udzielało. Polubił mię i zniewolił ażebym go odwiedził. W kilka lat ledwie potem, zwiedzając nadbrzeże Dniestru, od Raszkowa do Jaorlika, zajechałem do Saracei, gdzie mieszkał p. Chrząszczewski. Osiem dni upłynęło, jak osiem godzin w miłem jego towarzystwie. Dniem obiegaliśmy piękne tamtejsze okolice, wieczory zajmowała przyjemna pogadanka. Najczęściej jednak rzecz toczyła się o Szczęsnym Potockim, o Tulczynie, a stąd i o Komorowskiej, a to wspomnienie, wywoływało na Chrząszczewskiego uciskający smutek. Opowiadanie jego zawierało wiele okoliczności opisanych dziś przez Kraszewskiego, najwięcej jednak zgadzało się z opowiadaniem p. Rohozińskiej. Ale i p. Chrząszczewski utrzymywał i dowodził, że całą sprężyną tego okropnego dramatu była wojewodzina i cieszyła się ze śmierci Gertrudy, że wojewoda był machiną działającą jedynie podług nastrojenia żony. Opowiadał dalej, że mimo wziętości i uważenia, w jakiem p. Kossakowska była u Wiedeńskiego dworu, zniechęceni ostrem jej obchodzeniem się urzędnicy Lwowscy, przechylili się na stronę Komorowskich, i sprawę ich z tak dobrej strony w Wiedniu wystawić umieli, że ta samego nawet cesarza zainteresowała, co i całemu procesowi inny obrót nadało. Proces Komorowskich stanął na lepszej drodze; ale co się rzeczywiście stało z Gertrudą, o tem sami Potoccy wiedzieli, a stroskany ojciec coś wiedział, wiele się domyślał i przeczuwał jeszcze więcej. Nie było

[1]) W Galicji m. pow. Skałacki.

jednak czem wyświecić całej niegodziwej sprawców jego nieszczęścia. Wykrycie winowajców dziwnym się stało sposobem. Tu wyraźnie okazał się sąd Boży. Rzecz działa się we Lwowie, był dzień niedzielny, u św. Jerzego na nabożeństwie mnóstwo było ludzi. Przy wejściu do kościoła siedział przychodzień wybladły, schorowany, ledwie mogący się utrzymać na nogach. Pobożni chcieli go jałmużną opatrzyć, ale on wsparcia przyjąć nie chciał i błagał w imię Boga, ażeby mu przyprowadzono księdza, przed którym mógłby się ze swoich ciężkich grzechów wyspowiadać. Jakaś litościwa dusza oddała mu tę usługę, wyszedł kapłan i odprowadziwszy nieco na stronę, słuchał go spowiedzi; a po ukończeniu wyznania, z pomocą ludzi kościelnych, wprowadził go przed ołtarz, opatrzył Sakramentami, a potem do klasztornej infirmerji zawieźć rozkazał. Chory zażądał urzędowych świadków, ażeby wobec ich zeznać ważną tajemnicę, ciężącą na jego sumieniu. Sprowadzono urzędników duchownych i świeckich; chory odezwał się w te słowa: „jestem jeden z tych, którzy porwali z domu ojca Gertrudę z Komorowskich Potockę, żonę pana mojego JW. Szczęsnego, za wolą osobistą JW. wojewodziny matki mojego pana. Rozkaz p. wojewodziny był, ażebyśmy porwaną wywieźli na granicę węgierską i osadzili w klasztorze, którego przełożona miała wielkie obowiązki dla p. wojewodziny. Pani moja przestrachu i zimna znieść nie mogła a w bólach macierzyństwa i jednego jęku nie wydawszy, ducha Bogu oddała, zaledwie może o mil parę od domu rodzicielskiego. Wilczek postrzegłszy, że już trupa tylko wieziemy, z przestrachu utracił przytomność, ale nie było już nad czem rozmyślać. Spodziewaliśmy się za nami pogoni, niebezpieczeństwo groziło, zwróciliśmy więc nad Bug i przerąbawszy obszerną w lodzie płonkę, wsunęliśmy śpiesznie pod lód trupa. Strach nas pędził, i lotem ptaka stanęliśmy w Krystonopolu. Uwiadomiona p. wojewodzina wesołą twarzą przyjęła wieść o zgonie synowej, nas w różne dalekie porozsyłała strony. Wilczka zdaje się do Wiednia,

mnie do Tulczyna [1]) wysłała. Mnie gryzło coś w sercu, do niczego nie byłem sposobnym, zdrowie mię opuściło, wałęsałem się po kraju, ale wszędzie widziałem obok siebie trupa pani naszej, naszej dobrej pani. Moc jakaś niewidoma ciągnęła mię w te strony, a czując się blizkim śmierci, pragnąłem wyznać moją zbrodnię i pokutować za nią do wyjścia ducha". Całe to zeznanie spisano urzędownie z podpisami świadków i gubernjum złożono. Powiadano, że arcybiskup dał znać Potockim, ale zeznania urzędowego zataić nie można już było. Układy z Komorowskimi sprawiły, że w dekrecie o tem zeznaniu przemilczano. Potoccy przegrali, i byliby może ciężko karani, gdyby nie względy na ich ród, i na Komorowskich bezinteresowność. Szczęsny kochał Gertrudę, a lubo cytują jego listy, uznające nieprawość z nią małżeństwa, on nigdy nie miał zamiaru zerwania poprzysiężonych wobec Boga ślubów. Całe życie nie mógł zapomnieć Gertrudy i nieraz w samotności łzę jej pamięci poświęcił. Chrząszczewski widział te łzy, których wdzięki i miłość Zofji otrzeć zupełnie nie zdołały. Takie było opowiadanie p. Chrząszczewskiego, i musiało być prawdziwe, bo on kochany był od Potockiego i całą ufność jego posiadał. Ustęp ten przedwcześnie w opowiadanie moje wtrąciłem; ale wspomniawszy o Komorowskiej, sądziłem, stosownem będzie opowiedzieć, co tylko wiedziałem w tym względzie, a czego w dziele p. Kraszewskiego nie znalazłem. Wracam do mojej historji.

Nie mogę tu nie wspomnieć o jednem dziwnem wydarzeniu, którego sobie i dziś wytłumaczyć nie umiem i nikt podobno objaśnić go nie potrafi. P. podstolinę Rohozińską odwiedzili w Stojanowie braterstwo jej p.p. Ro-

[1]) M-stko Podolskiej gub. dawny Nesterwar. Pałac z napisem frontowym: oby zawsze wolnych i szczęśliwych był siedzibą. Nigdy taką nie był. Zbudowany około 1765. Ogród Chorosza. Tulczyn był siedzibą konfederacji Targowickiej. Ostatnie lata spędził tu Trembecki. Obecnie własność rządu. Pałac i ogród w opuszczeniu.

manowscy i z nimi pokrewna samej, panna Grzymalanka, dziwnie pięknej urody, pięknych duszy przymiotów i wyższego ukształcenia, ale nader wątłego zdrowia dama. Z tego powodu, po kilkunastu dniach bawienia, rodzina ta cała, z żalem współ-emigrantów przeniosła się do Lwowa. P. Grzymalanka zostawiła po sobie we wszystkich najprzyjaźniejsze uczucia. Długo nie mieliśmy o nich żadnej wiadomości, a tymczasem odebraliśmy list od mego ojca, donoszący o zwinieniu, czyli jak naówczas mówiono dezarmacji, części wojsk naszych w Ukrainie, z pozwoleniem wejścia w służbę rosyjską w tychże samych rangach. Pisze dalej: że wziął dymisję, wraca do domu i prosi, ażeby i matka z nami wracała; że przejazd już swobodny, bo wojska rosyjskie pociągnęły ku Brześciowi, zostawiwszy gdzie niegdzie załogi dla bezpieczeństwa tej części Wołynia. Potrzeba więc było i nam zbierać się do domu.

Właśnie w czasie tego wybierania się w drogę, matka moja i ciotki cały ranek zajęte były układaniem swoich rzeczy, a my dzieci bawiliśmy się w cieniu drzew na obszernym dziedzińcu. Służąca była przy nas z robotą, a nasz furman zajęty był przyrządzaniem do podróży powozu i uprzęży. Było około południa. Wtem z rogu dziedzińca wychodzi dama w ciemnej materjalnej sukni, w białym półsalopku, w kapeluszu ryżowym z czarną szeroką koronką. Postrzegliśmy ją wszyscy i krzyknęliśmy: „P. Grzymalanka!“ Służąca pobiegła dać znać mojej matce, furman przechodzącą nizkim ukłonem pozdrowił. Dama spojrzała na nas z pełnym wdzięku uśmiechem, i niedoszedłszy do wrót, w pośród dziedzińca znikła, i nikt jej z sąsiadów na ulicy nie widział. Gdy moja matka i ciotki wybiegły, już jej nie było, furman tylko zmięszany tem zjawiskiem żegnał się i modlił. Na nas dzieciach szczególnego to wrażenia nie zrobiło, ale starsi żywą niespokojność uczuli. Wyjazd nasz odwlókł się jeszcze na dni kilka, w przeciągu których odebraliśmy list od podstoliny ze Lwowa, donoszący o zgonie pięknej Grzymalanki, którym

na długo zasmuciła rodzinę i przyjaciół, a wieszczowi wojownikowi smutne nad stratą Telimeny natchnęła Emroda żale [1]).

Wyjechaliśmy ze Stojanowa w początkach sierpnia z błogosławieństwem i modlitwami naszego gospodarza, ale ze szczupłym nader zapasem pieniężnym; a choć do Warkowicz ledwie dwadzieścia mil było i droga letnia wyborna, trudno jednak było pośpieszyć trzema już tylko końmi, które i ciężki powóz i nas osób ośm i duży pakunek dźwigać musiały. Dnia trzeciego naszej podróży, dzień był gorący, znużone konie prawie ustawały, i wcześnie przed zachodem słońca na nocleg stanąć potrzeba było. Na całej przejechanej przestrzeni, od granicy prawie, zastawaliśmy ślady rabunku. Karczmy i dwory pustkami stały, i po wieśniaczych chatach przytułku na noc szukać musieliśmy. Szczęśliwym trafem austerja, pomiędzy Radomyślem a Targowicą w tak pięknym była stanie, jak gdyby na nowo zbudowana i na przechodzie Dońców nie stała, i tam właśnie stanąć na nocleg potrzeba nas zmusiła. Gospodarze, dwoje młodych i pięknych ludzi, najuprzejmiej nas powitali; dano nam obszerny, czysty pokój z wygodnemi łóżkami, i gdy gospodyni prowadziła nas do stancji, gospodarz pomagał konie wyprzęgać i rzeczy poznosić. Zaledwieśmy się cokolwiek rozgościli, gospodyni przyniosła dla nas, dzieci, trzy filiżanki mleka i trzy piękne bułeczki, i zapytała matki mojej, czy nie zechcą panie czem się posilić, nim wieczerza będzie? Matka moja, znając smutny stan swoich finansów, bo już tylko dziesięć złotych miała, a do domu jeszcze dwa dni drogi było, nie śmiała nadużyć uprzejmości gospodyni; ale w tem nadszedł i sam gospodarz i oboje usilnie nalegać zaczęli. „Ludzie dobrzy! — rzecze matka moja, — od popasu niewieleśmy ujechali i jeszcześmy nie głodni". Ale gospodarz, patrząc na nas chciwie zajadają-

[1]) Aluzje do stosunków towarzyskich bliżej nieznane i niedające się wyjaśnić.

cych nasz podwieczorek, domyślał się, że popas nasz nie musiał być wielce obfity.

Słońce było na zachodzie i powiew wieczorny ochładzał dzienne gorąco. Blizko austerji był lasek i z niego widok na piękną wioskę starosty Zagórskiego, do którego i austerja należała. Tam całą naszą gromadką wyszliśmy na przechadzkę, w ciągu której i matka i ciotki przypominały sobie, gdzie i kiedy tego gospodarza i jego żonę widzieć mogły, bo tak nieobce im były ich twarze. Już się ściemniało, kiedy wróciwszy zastaliśmy stół nakryty i zastawioną wyborną wieczerzę. „Jeść, to dobrze, mówiła do sióstr moja matka, ale jak się potem wypłacić?“ Uprzejmość jednak miłych gospodarstwa i potrzeba posiłku przemogły; jedliśmy smaczno, a gospodarz poglądał na nas z takiem rozczuleniem, że to i starsi zauważyli, a nawet naszych dziecinnych postrzeżeń nie uszło. A gdy moja matka chciała go o przyczynę wzruszenia zapytać, już go w pokoju nie było, aniśmy go tego wieczora więcej nie widzieli; gospodyni tylko sama służącej naszej w usłudze pomagała.

Nazajutrz, ledwieśmy powstawali, gospodyni wniosła w porządnym przyborze, wyborną kawę z wyborną śmietanką i ślicznemi świeżemi bułeczkami. Co się w sercu matki mojej działo, trudno wypowiedzieć. Tyle dogodności, tyle dostatku, taka uprzejmość, a czem to opłacić? Bo nietylko dla nas, ale dla ludzi naszych i koni dostatnia była wygoda. Słudzy nasi z pomocą gospodarza pakowali rzeczy w powozie, a gdy już wszystko było gotowe, matka moja zaprosiła gospodarza do obrachunku. Na twarzy jego widać było wielkie wzruszenie. Zapytany, co się za nocleg należy, — odpowiedział z mocą: „Nic“. — „Jakto, nic?“ — zawołała matka. — „Niech pani będzie łaskawa posłucha mię, — rzekł mocno wzruszony młody człowiek, — a potem niech pani sama osądzi, czy mogę wymagać jakiejkolwiekbądź zapłaty. Żył przed niewielu laty w Dubnie pan porucznik Ostrowskiego regimentu Sobiński, mieszkał w pięknym domu własnym na Piekar-

skiej ulicy. Miał szanowną małżonkę i kilka córek, takich miłych, takich zacnych, jak i rodzice. Zacne dusze tych państwa znane były w całem Dubnie. Obok w sąsiedztwie mieszkał szewc Weryński, niemłody już człowiek, dobry majster; ale (mówił dalej ciężko westchnąwszy) Bóg przypuścił na niego nałóg pijaństwa. Miał on syna Jasia, i tego do swego rzemiosła sposobił. Jaś miał już może lat ze trzynaście, dobry musiał być chłopiec, bo go p. porucznik bardzo lubił i sam go czytać i pisać wyuczył. Niech w Bogu spoczywa ten dobry pan (mówił dalej ze łzami), Jaś uczył się czytać i pisać w domu czcigodnych, bogobojnych państwa, i tam się nauczył bać Boga, kochać bliźniego i poczciwie pracować na kawałek chleba. Jaś osierociały od ojca, wziął się szczerze do rzemiosła i ciężko pracował na utrzymanie chorowitej matki, siostry i siebie. Bóg mu pomagał pod ojcowską opieką szanownego p. porucznika. Kochał go Jaś synowskiem sercem i całą rodzinę jego kochał, a dla panień porucznikówien najpiękniejsze trzewiczki robił. Temi dziećmi p. porucznika wy panie jesteście, a ten Jaś jest przed oczyma waszemi, u nóg waszych", — dodał rzucając się do nóg mojej matki. Rozrzewnienie nie dało nikomu słowa przemówić; ale nakoniec matka moja odezwała się: „Panie Weryński! to wszystko, coś powiedział, nie uwalnia mię od zapłacenia tak wygodnego noclegu. Wszak na to wzięliście traktjer na wielkim gościńcu, ażeby stąd mieć przyzwoite utrzymanie, a każdy przyjezdny, jeżeli używa gościnności, opłacać ją powinien" — „O, nie! — zawołał Weryński z płaczem, — pani płacić mi nie będziesz, pani mi tej krzywdy nie zrobisz. Pan Bóg błogosławi pracy naszej, jesteśmy na nasz stan dość bogaci, czemuż nie mamy Bogu dziękować za Jego Opatrzność nad nami, dowodząc wdzięczności naszym dobrodziejom? A pamiętasz pani, kiedy matka moja ciężko chorowała, a ojcem nałóg jego o łóżko uderzył, kto nas karmił swym chlebem, kto doktora sprowadzał, kto lekarstwa opłacał? pan porucznik! Kto przy chorych z nami noce przesiadywał i o chorych naj-

troskliwsze miał staranie? pani porucznikowa i pani. A kiedy ojciec mój biedny życie zakończył, kto pogrzebem się zajął, kto koszta opłacał? i oficer z całą rodziną swoją ubogiego szewca do grobu odprowadził, i życzliwą garstkę ziemi na ten grób rzucił? Pani to sobie przypominasz, widzisz nasze uczucia i chcesz, ażebym ja przyjął zapłatę za ten kawałek powszedniego chleba, który wam winienem i za ten kąt do odpoczynku po trudzącej podróży. A jest że w tem sprawiedliwość?“ To rzekłszy zasłonił oczy i głośno płakał, i przez płacz to jeszcze wyrzekł: „Gdybym od pani wziął zapłatę, coby na to stamtąd rodzice moi powiedzieli?“. Mowa Weryńskiego wywołała powszechne rozrzewnienie, płakaliśmy wszyscy i była chwila uroczystego milczenia; — nareszcie podniosła się matka moja i, objąwszy głowę poczciwego Jasia, po-macierzyńsku ją ucałowała: „Rozpoznaję cię, Jasiu, — rzekła; — rysy twojej twarzy się nieco zmieniły, ale twoje poczciwe serce zawsze toż same. Kochał cię nasz ojciec, bo przewidział, że będziesz poczciwym człowiekiem, jak byłeś dobrym synem, i pewnym był, że ci Bóg błogosławić będzie. Przyjmuję twoją uprzejmość wdzięcznem sercem i takiemże sercem ci dziękuję. Niech ci Bóg stokrotnie nagrodzi, niech ci dopomaga i szczęści we wszystkiem, a ja do zgonu twojego czynu nie zapomnę“. Weryński nie posiadał się z radości, całował ręce mojej matki, ciotek, starszej siostry, a nas dwoje mniejszych chwycił na ręce, i przyciskając do serca, nosił na ręku po pokoju, śmiejąc się i płacząc. Po chwili tego rozrzewniającego uniesienia, matka moja zapytała Weryńskiego: „Kto jest twoja żona? bo mi i jej twarz znajoma.“ A to Kasia Biesiadecka, którąś pani, będąc jeszcze niewielką panienką, z p. porucznikiem do chrztu trzymała i dałaś jej swoje imie... Kasiu! — zawołał, — idź, ucałuj nogi twojej kochanej matki chrzestnej!“ Weszła hoża Kasia, niosąc dwie serwet nawiązanych podróżnemi dla nas zapasami, a postawiwszy to na stole, do nóg mojej matce upadła, ta ją podniosła i serdecznie uścisnęła. Nakoniec

najczulej pożegnawszy pięknych i poczciwych Weryńskich, w dalszą puściliśmy się drogę. Na noclegu jeszcze mocniej przekonaliśmy się, że wdzięczność tych poczciwych ludzi nieograniczyła się samą w ugoszczeniu nas uprzejmością, i że ich przezorność umiała z całą delikatnością wyśledzić nasz niedostatek. W podróżnym worku swoim znalazła matka moja pięć dukatów i list taki: „Racz Pani Dobr. łaskawie nam odpuścić, że podstępnie wywiedzieliśmy się od Anusi (tak się zwała nasza służąca), że państwo ze szczupłym bardzo zapasem pieniędzy do domu wracacie. W drodze może się wydarzyć, Boże uchowaj! jaki przypadek. Ośmieliliśmy się więc włożyć pieniądze do worka Pani Dobr. nie jako dar, ale jako pożyczkę. Daruj Pani Dobr. nam tę śmiałość, ale nam ją podyktowała wdzięczność i serdeczne przywiązanie do państwa. Może nam Bóg pozwoli kiedy odwiedzić naszych najukochańszych Państwa, naszych Dobrodziejów, to dług ten nam wypłacicie, czego życząc zostajemy do zgonu i t. d. Weryńscy". List ten tak prosty, ze łzami czytaliśmy, i moja matka długo zachowała ten dowód pięknych uczuć Weryńskiego. A jednak, był to tylko prosty szewczyk, a żona jego córka rzeźnika. Co za przykład do naśladowania! Iluż to wyższych rodem i wychowaniem, tak wzniosłych uczuć nie posiada! Ja ledwie że to zapamiętam, ale matka moja lubiła często powtarzać tak miłe wydarzenie, i ja go sobie co do słowa wypisałem.

Wróciwszy do Warkowicz, zastaliśmy spokój w kraju i babkę zdrową, ale dom nasz jak w smutnym stanie! Ojciec wyjeżdżając do wojska, co było kosztowniejszego z rzeczy i sprzętów, ukrył w podziemnych izbach naszego dworku, suchych i czystych, oddał od nich klucz swej matce, i zdawało się, że wszystko zabezpieczył. Ale co uniknęło rabunku, to przepadło wylewem bliskiego stawu, w którym wody wezbrane ś-to-jańskiemi deszczami, na kilka łokci się podniosły i wszystkie nadbrzeżne budynki zalały. Powódź ta tak nagle się roztoczyła, że nie było sposobu co uratować. W naszem mieszkaniu

woda przez drzwi sienne na ulicę płynęła; a nim wodę wyczerpać z izb dolnych można było, wszystko w nich zachowane, zniszczeniu uległo. Ta klęska do reszty nas zrujnowała, nie było sposobu utrzymania się dalej, bo ledwie para set złotych całego funduszu pozostało na życie, i kilkadziesiąt rewersów, bez nadziei odebrania zapisanej na nich należytości. Nie było co robić. Ojciec zmuszony był starać się o jaki obowiązek, ażeby wyżywić matkę, żonę i dzieci. W tym czasie wrócił z Warszawy brat mojej matki, który służąc w biurze Komisji Cywilno-Wojskowej lat kilka, siaki taki uzbierał sobie fundusik. A że z zamiłowaniem oddawał się sztuce malarskiej i pięknie malował minjatury i pejzaże, książę Józef Czartoryski, na rekomendację p. Peszki, przyjaciela i przewodnika mego wuja w malarstwie, wezwał go na dyrektora malarni przy fabryce porcelany, założonej przez księcia w Korcu, z piękną pensją i mieszkaniem. Szczególne obstalowania zaś osobny przychód przynosiły. Po dwutygodniowem bawieniu u nas, zabrał wuj do siebie dwie siostry, i oświadczył ojcu memu, że skoro znajdzie obowiązek, ażeby i mnie przywoził do Korca na dalsze moje wychowanie. Smutno było ciotkom moim rozstawać się z siostrą, która im matkę zastępowała i którą jak matkę kochały. Ale to rozstanie się nie nadługo było.

ROZDZIAŁ II.

Korzec [1]).

Nie jest moim zamiarem pisać historję tego miasta: na to potrzebaby wyższych usposobień, wielkiej biegłoś-

---

[1]) M-stko, gub. Wołyńska, pow. Zwiahelski (Nowogradwołyński). Własność niegdyś rodziny Koreckich, wiodącej ród swój od Narymunta Giedyminowica. Leży nad rzeką Korczykiem. Ruiny zamku Olgierdowica Butawa (Stryjkowski). Od

Korzec

ołyniu.

ci w dziejach ojczystych i przejrzenia się w archiwum książąt Koreckich i ich spadkobierców. Za obszerneby to było dzieło i za ciężkie na 70-letniego, a nieuczonego starca. Ja to tylko chcę o Korcu powiedzieć, co moi, a później ja sam mogliśmy widzieć i zauważyć w Korcu, jako w mieście, które przez lat kilkanaście w końcu zeszłego stulecia, rozsławiło się po całym kraju.

Z wdzięcznością wyznać potrzeba, że panowanie Stanisława Augusta lubo tak nieszczęśliwie zakończone, podniosło w kraju oświecenie, ośmieliło talenta, zachęciło sztuki i rękodzieła i dało silny popęd przemysłowi. Światli obywatele wiernie wspierali zbawienne zamiary monarchy, zakładali po swoich majętnościach użyteczne fabryki, sprowadzali z zagranicy biegłych mistrzów, krajowych zachęcali i kształcili. Do takowych mężów zasługi, sprawiedliwie należy między innymi, książę Józef Czartoryski stolnik Lit. właściciel Korca. Zamieszkawszy w zamku zbudowanym za Zygmuntów przez książąt Koreckich na skale, nad Korczykiem, podupadłe miasto pięknie odnowił i przyozdobił, a na przedmieściu od imienia księcia Józefin zwanem, założył fabrykę fajansu i porcelany, która nagle wzniosłszy się, dorównywała fabrykom zagranicznym. Dziwnie piękne położenie Korca nad rzeką Korczykiem, wpośród skał granitowych, niemało wsparło zamiary księcia upięknienia i podniesienia miasta. Też same skały, zdobiące nadbrzeża, dostarczyły obficie i ziemi porcelanowej.

I pięknież bo to było miasto. Rynek w okrąg kamienicami piętrowemi zabudowany prowadził na ośm ulic; z tych, wiodące do zamku i do Franciszkanów, najlepiej były zabudowane porządnemi dworkami i kamienicami. Kościół farny piękne przechowuje dotąd obrazy olejne

---

niego ród Olgierdowiców-Koreckich, który w r. 1651 wygasł. Przeszedł po Koreckich do Leszczyńskich, potem do Czartoryskich. Ostatni z linji Koreckich Czartoryski Józef założył fabrykę porcelany, słynnej i poszukiwanej.

i freski, niewspomnianego może dotąd nigdzie artysty naszego Józefa Mańkowskiego, godnego osobnej karty w dziejach sztuk pięknych naszego kraju. Oprócz fary, były jeszcze w Korcu kościoły: Franciszkański w pół ledwie ukończony i Panieński (tak go zwano) zakonnic, podobno Brygidek. Gmach fabryczny na Józefinie był ogromny. W prawem skrzydle, było mieszkanie dyrektora obszerne, wygodne i ozdobne i laboratorjum; na lewem skrzydle był magazyn wyrobów; środek na dole zajmowały galerje robocze, na górze sale malarni, z tyłu dziedziniec ogromny z licznemi fabrycznemi zabudowaniami.

Do zarządu fabryki książę sprowadził znakomitych nauką i doświadczeniem Polaków: Franciszka i Michała Mezerów, na dyrektorów, tego nowego jeszcze, w kraju naszym zakładu. Mezerowie składali wzorową rodzinę, i uczuć wyższych i wyższych umysłowych usposobień, i światowego ogładzenia. Mieli piękną bibljotekę i kilka gazet ówczesnych utrzymywali. I dom ich na wyższą skalę prowadzony, ugaszczał znakomite w kraju osoby i za rządu Polskiego i pod panowaniem rosyjskiem.

Fabrykantów największa część była z Warszawy, ale byli i Sąksończycy, i Rusinów tutejszych przy tamtych wielu szczęśliwie przyuczało się i kształciło.

Fundusze od księcia łożone na fabrykę były znakomite, ale zwiększyły się jeszcze przez akcje, do których książę przyjmował sumy szlacheckie od 100 do 10.000 złotych i więcej nawet. Tak zwiększony fundusz pozwalał zwiększenia nakładów, stąd też liczba pracujących była ogromna, materjały obfite i wybornie przygotowane, a zatem wyroby trwałe i piękne. W r. 1793, samych siedzących za toczydłami było do tysiąca, w malarni 73, z których odznaczali się pięknem rysowaniem pod przewodnictwem mego wuja, Grzegorz Chomicki, Antoni Gajewski i Bluman. Wkrótce, bo we cztery lata od założenia swego, fabryka korecka pod dyrekcją Mezerów, tak

się podniosła i wsławiła, że wyrównała saskiej, a nie tylko dla prowincjonalnej szlachty, ale i na stoły magnatów naszych, porządnego fajansu i pięknej porcelany dostarczała, i znakomite przynosiła dochody. Olbrzymio procentujące akcje, prawie sto na sto przynosiły zysku. Stąd też akcjonarjusze chętnie budowali sobie domy w Korcu i na zimę tam się na mieszkanie zjeżdżali.

Oprócz porcelanowej, były jeszcze w Korcu fabryki sukienna i tabaczna nie ustępujące austrjackim. Dwuch doktorów Goltz i Żyle, bogata i słynna apteka Krakusa, wielu znakomitych mistrzów w rzemiosłach, zamożni kupcy Izraelici i zagraniczni, wszystko to składało bogatą ludność Korca, i to miasto emulowało z Dubnem sławnemi kontraktami. Od r. 1793 konsystencja wojska rosyjskiego jeszcze więcej zaludniła i wzbogaciła Korzec. Tylu mieszkańcami i tylu użytecznemi zakładami bogate miasto, nie mogło nie zakwitnąć i podnieść się wysoko. A mieszkańcy, chociaż i różnorodni, zawiązywali między sobą stosunki, i utworzyli społeczeństwo, jak na owe czasy świetne i wesołe.

Dyrekcja malarni wręczona memu wujowi, przynosiła mu po 15 czerw. zł. miesięcznie, dom z opałem, światłem i stróżem. Kosztowniejsze obstalunki, sam malował i osobne za to wynagrodzenie odbierał. Mieszkał tuż obok fabryki w sąsiedztwie Mezerów, z którymi ściśłą związany był przyjaźnią. Ciotki moje bawiące przy bracie, jak własne siostry kochane były od obydwóch pań Mezerowych, i pod ich opieką we wszystkie towarzystwa wchodziły. P. Franciszek Mezer miał kilkoro dzieci; dwóch starszych synów, Józef i Kazimierz, starsi rodziny swojej, brali nauki przy Józefie Skoczkowskim, robiącym zaszczyt szkole Międzyrzeckiej, jako jeden ze znakomitych jej uczniów. Szczęśliwe w nim było zmięszanie narodowego, bogobojnego wychowania, z maksymami szerzącej się już podówczas francuskiej rewolucyjnej filozofji. Tłumaczył się i pisał pięknie ojczystą

Porcelana Korecka

na wystawie ceramicznej w Warszawie, w r. 1913.

mową, w łacinie był biegłym jak uczeń szkoły Pijarskiej, po francusku sam się nauczył. Korzystając z bogatej Mezerów bibljoteki, czytaniem doskonalił się w tem, czego mu ze szkół niedostawało. W wykładaniu uczniom nauk elementarnych, z dziwną tłumaczył się łatwością. Z moim wujem w ścisłej byli przyjaźni, i ja z Mezerami młodymi szkołę jego składaliśmy, z wielką naszą korzyścią i zadowoleniem naszych rodziców.

W tym czasie kwaterował w Korcu generał dywizji, czy podobno korpusu, Lewanidow, wiekowy już, bogaty i hojny. Utrzymywał dwór wielki, dobrą muzykę, miał nawet swój teatr. Miłego był ułożenia i wyższej cywilizacji, uprzejmy w swym domu, nie dumny z wysokiego stopnia, chętnie znosił się z mieszkańcami miasta i z okolicznem obywatelstwem. Sprzyjał Polakom, szacował ich uczucia i nikt nie słyszał z ust jego przechwałek zwycięzkich, ani urągania naszemu losowi, a co tylko było pod jego komendą, starało się naśladować zacnego naczelnika. Można też powiedzieć, że w jego dywizji najwięcej znajdowało się pięknie ukształconych oficerów, synów znakomitych rodzin rosyjskich. To też cała przestrzeń kraju, jego wojskiem zajęta, żadnej od żołnierstwa przykrości nie doznawała, a dom generała był zebraniem naszej szlachty, znajdującej w nim uprzejme przyjęcie i bratnie współczucie obecnej niedoli. Podobnym mu był pułkownik książę Łabanow, konsystujący w Międzyrzeczu. Ale nie wszyscy wyżsi naczelnicy tym dwum byli podobni. W tejże samej dywizji pułkownik Tekutiew, gwałtownego był charakteru, nienawidział Polaków; i skutki tej nienawiści, mimo protekcję Lewanidowa, nie mało mieszkańcom okolicznym uczuć się dały.

Z przyjaźniejszych nam, jeszcze jednego dobrze pamiętam; był to major Murawjew, także zamieszkały w Korcu. Majętny z siebie, dom swój utrzymywał na tym stopniu co i Lewanidow. Dwór miał liczny, wyborną muzykę i dwóch Włochów, wysoko opłaconych, ale dziel-

nych śpiewaków. Miał żonę Rosjankę, niewysokiego rodu, ale wielce ukształconą, rozsądną i dziwnie dobrą; to też Darja Michajłowna poważaną była od wszystkich. Uprzejmość jej równie jak i majora miłym czyniła pobyt w ich domu, i pełno u nich zawsze było gości i bawiono się wybornie. Jednego tylko mieli synka Aleksandra w latach siedmiu. Śliczne to było dziecię, ale pieszczone i w żądaniach swych granic nie miało. I Mezerowie i moja rodzina w przyjaźni byli z majorostwem; ciotki moje, sama bardzo lubiła i nawet projekt sobie układała ożenienia siostrzeńca majora Stepana Prokopowicza, bogatego jedynaka możnej rodziny, z młodszą ciotką moją. Mimo piękność młodzieńca mogąca zająć młode serce panienki, różnica religji i niektóre wyskoki wolne kawalera, na przeszkodzie projektom majorowej stanęły. Mały Sasza był ze mną druh, bo rodzice jego bardzo mię lubili, a stary Niemiec Saszy, mnie zawsze wychowańcowi swemu za przykład do naśladowania stawił. Saszę ubierali po angielsku, i majorostwo wymogli na moim wuju, że jakie sukienki dla Saszy sprawią, żeby takie Sasza i mnie zaraz od siebie przysyłał. Major był człowiek wyższego ukształcenia i mało mu było podobnych, otwartość charakteru jednała mu u wszystkich szacunek, a uprzejmość — życzliwość powszechną. Bawiono się w ich domu wesoło, ale i w karty grano. Sam nawet lubił grę, ale nie zawsze grał szczęśliwie. Raz nawet tak się zdarzyło w obcym jakimś domu, że mu do gdy zabrakło pieniędzy, u mego wuja wziął 15 czer. zł. i dał mu na małym papierku rewersik. Nie naglony potrzebą mój wuj nie upominał się długo, a tymczasem pod jego niebytność, major wyjechał zupełnie z Korca, upewniając przez p. Mezera, że dług będzie oddany. Na długo jednak i słychu o majorze nie było.

Piękne i okolice Korca. Poniżej komisarji nad rzeką, dolina otoczona od strony miasta skałami, zarosła wierzbami i topolami jakby umyślnie ugrupowanemi, po-

między drzewami ścieżki i drogi piasczyste i do chodzenia wygodne. To była przechadzka publiczna i w dni świąteczne bardzo, rozmaitego stanu ludźmi ożywiona. O pół mili od Korca w Hołownicy był ogród książęcy, w dawnym smaku ze strzyżonemi szpalerami i świerkowemi figurami. Tam była i oranżerja, bogata mnóstwem drzew cytrynowych rodzących. Całe wyższe towarzystwo koreckie, odwiedzało Hołownicę, księcia to wielce zadawalało; pielgrzymka ta nazywała się: *promenade du beau monde*. Książę sprzyjał mieszkańcom, podzielał ich zabawy, i choć między nimi nie było żadnej wysokiego rodu rodziny, ożywiał swoją bytnością każde zgromadzenie. I Korzec równie jak Dubno słynął zabawami. Słynął i fabryką porcelany, której formy i malowidła i sama porcelana swoim gatunkiem nie ustępowała saskiej. Tutołmin gen.-gubernator obstalował był Kaftier na 12 osób z portretami cesarzowej i stosownemi do tego ozdobami, za 1.000 rb. Piękność tego wyrobu przeszła oczekiwanie. Zadowolony generał umówioną sumę wypłacił memu wujowi, za trafne zaś podobieństwo i gładkość pędzla w medalach 100 czer. zł. ofiarował, a dyrektor Mezer w krótkim czasie piękną złotą tabakierkę z portretem monarchini, bogato oprawnym, w upominku otrzymał. Ale ta tak wysoko podniesiona pomyślność fabryki, musiała się przesilić. Książę wyjechał do Drezna na mieszkanie. Fr. Mezer utracił żonę, a choć w powtórne małżeńskie wszedł związki z panną Honoratą Golczówną, Korzec jednak stał mu się niemiłym i o opuszczeniu tego miasta szczerze zamyślał. W tym właśnie czasie zjechał do Korca wspomniany już wyżej Józef Mańkowski, malarz artysta, dla malowania kościoła farnego. Znajomy był memu wujowi jeszcze z Warszawy, i szanowny starzec przyjął u nas mieszkanie ze wszystkiemi wygodami, za co wywdzięczając się wymalował dwa pokoiki, dając im podobieństwo znanych mu dobrze i ulubionych okolic Neapolu. W pierwszym pokoju, piec z kominkiem

umyślnie na to przerobionemi, wyobrażały grób Wirgiljusza, drzwi do drugiego pokoju były wejściem do chatki strażnika grobu, jaka tam za czasu bytności Mańkowskiego istniała. Na głównej ścianie widok Neapolu, a w dali Wezuwjusza, na innych ścianach inne okolice Neapolu, a wszystko najwierniej podług natury przez samego Mańkowskiego oddane. W drugim pokoju na ścianach pomiędzy kolumnami, na pięknych konsolach, cztery popiersia, Woltera, Monteskiego, Kochanowskiego i Naruszewicza, tak oddane, że wchodząc zdawały się rzeźby prawdziwe. Mój wuj pomagał Mańkowskiemu i wiele z tej pracy skorzystał. Wkrótce rozgłosiła się sława naszego domku, mnóstwo ciekawych odwiedzało nasze kąty, i wielu prawdziwych znawców oddawali talentowi Mańkowskiego sprawiedliwie należne pochwały. Malowidła tego znakomitego mistrza, znajdowały się w farze w Korcu, w Międzyrzeczu [1]) w pałacu i w kościele Pijarskim, a szczególniej grób Pański, cudnie zachwycającej perspektywy linjowej i światła, osobliwie przy blasku lamp. Corocznie w Wielki Piątek, dla widzenia grobu Bożego, był zjazd i z okolic i z dalszych stron nawet, i dla nabożeństwa i dla nasycenia oczu pięknem malowidłem.

Józef Mańkowski [2]), jakim go zapamiętam w 1794 r. był to staruszek (jak sam mówił) 70-letni, wzrostu miernego; mimo wiek, prosto się trzymał i chód miał pewny i skory. Rysy twarzy regularne, cera świeża, oczy ciemne pełne życia i rozumu, okazywały, że pięknym był

---

[1]) Gub. Wołyńska, p. Rowieński. Słynęły tu niegdyś szkoły Pijarskie, skasowane w r. 1832. Założył je właściciel Międzyrzecza Józef Stecki w r. 1814. Steccy posiadali tu wielki i piękny pałac. Dziś ubogie miasteczko. Zamek w opuszczeniu; do niedawna był siedzibą wojska.

[2]) Józef Mańkowski, malarz. Urodził się około 1724 r. Później dożył starości. Kształcił się we Włoszech. Obrazy jego znajdują się w Sieciechowie i w Górze pod Nowym Dworem.

w młodości, że życie jego było czynne i namiętnościami nie zużyte. Charakter miał łagodny, młodzieńczą wesołość przy wytrawnym rozsądku, a dar opowiadania tak bogaty i miły, że się go nasłuchać nie można było. Oddawna wdowiec, jednego tylko miał syna, i ten służył w Polskiem wojsku rotmistrzem. Uczył się w Rzymie dokąd był wysłany jeszcze za Augusta III, ale czy kosztem króla, czy kogo z naszych magnatów, nie pomnę. Całe Włochy zwiedził piechotą, a bogata teka jego, zawierała najpiękniejsze widoki Włoch, kopje przedchrześcijańskich malowideł i rysunki rozmaitych starożytności Herkulanum i Pompei, a wszystko własną jego ręką akwarelą albo guaszem wypracowane. Zbiór ten obejmował do 400 sztuk rozmaitej wielkości przedmiotów. Mańkowski biegle znał język włoski, mówił nim z wdziękiem, a nawet w mowie ojczystej dawał się poznać ślad długiego pobytu w Auzonii. Czechowicza znał osobiście i z uwielbieniem mówił o jego malowidłach. Znał Smuglewicza [1]), ale go niżej daleko stawił od Czechowicza [2]). Czyż zdanie prawdziwego artysty, nie może być zdaniem powszechnem? Wielu miał uczniów Mańkowski, ale najwięcej do mistrza swego przybliżył się Burkiewicz. Taż sama metoda, tenże koloryt, takież wykończenie, ale niema tego życia, jakie Mańkowski krajobrazom swoim nadawać umiał. W tym względzie mój wuj więcej pojął Mańkowskiego i pejzażami swemi przypominał Mańkowskiego malowidła.

Świetność Korca poczynała już przygasać. Książę wyjechał do Drezna i zdaleka tylko i to z mniejszym już

---

[1]) Smuglewicz Franciszek, malarz, urodził się w 1745 r. Kształcił się w Rzymie. W r. 1797 został profesorem malarstwa w uniwersytecie Wileńskim.

[2]) Czechowicz Szymon, malarz, urodził się w Krakowie 1689 r., umarł w Warszawie 1774. Kształcił się we Włoszech kosztem Maxymiljana Ossolińskiego. Malował przeważnie obrazy treści religijnej. Obrazy znajdują się w kościele Wizytek, u Karmelitów na Lesznie, w po-Kapucyńskim i w. in.

zapałem, na piękne dzieło swoje poglądał. Dawni akcjonarjusze powychodzili, nowych bardzo niewiele przybywało, nie zachęceni od księcia, innym spekulacjom się oddawali, i fabryka przed niewielu laty tak sławna, traciła swoją wziętość, chyliła się do upadku i wszystko się na ten upadek sprzysięgło. W r. 1795 Franciszek Mezer wezwany do Zamojskich, przeniósł się do Tomaszowa, majętności w Galicji i tam nową fabrykę otworzył. Słabego zdrowia p. Michał, z trudnością takiemu ogromowi pracy mógł podołać, ciągnął jeszcze rok cały, ale w nocy z 1 na 2 stycznia r. 1797, okropny pożar zniszczył piękną budowę, ogromne zapasy materjałów, i dwa magazyny gotowej porcelany i fajansu. Zgorzała malarnia z całym zasobem najpiękniejszych wzorów saskich, francuskich i chińskich. Ten smutny wypadek dobił fabrykę: bo rezolucja od księcia na odbudowanie nie prędko przyszła i jeszcze znalazła trudności w egzekucji. Zniechęcony obojętnością księcia Mezer, uwolnił się z Korca, przeniósł się do Baranówki, gdzie na własne imię i własnym kosztem, szczęśliwie i do dziś dnia istniejącą fabrykę otworzył.

Wkrótce i książę stolnik życie zakończył. Spadkobiercy starali się zaprowadzenie tak korzystne podźwignąć, sprowadzili dyrektora Francuza z *Sevres;* ale koszta ogromne na jakie wyciągał, sprowadzenie z daleka potrzebnej gliny, bo kopalnia Korecka ze zmianą fabrykantów zatraciła się, utrudniały postęp, a chociaż i wedżwody [1]), robiono i posążki *en biscuit* [2]), spieniężenie jednak

---

[1]) Wedgwood — wyroby porcelanowe angielskie końca XVIII w. Posiadały tło 1) ciemnobłękitne; 2) kawowe i 3) czarne. Na tem tle postacie i drzewa en demi relief z motywów mitologicznych i klasycznych grecko-rzymskich. Wyrabiano talerze, dzbanki, filiżanki, flakony. Figur nie było.

[2]) W pierwszem wydaniu en bisarit — błędnie, zamiast en biscuit. Tak nazywano delikatne wyroby porcelanowe.

wyrobów nie tylko nie robiło właścicielom przychodu, ale i na wydatki konieczne dla utrzymania fabryki niewystarczało. Podziękowano więc p. Francuzowi, a Korzec został tylko przy wyrobach dość nizkiego fajansu, który trwa i dotąd.

Książę Eustachy Sanguszko chciał wziąć Korzec w posagu żony z zamiarem podniesienia fabryki zaprowadzeniem akcji, coby mu nader łatwo przyszło, bo był kochany od obywateli i zaufanie ich posiadał. Ale schedy były przez samego księcia stolnika ułożone, a córka, której się dostał Korzec, ani go cenić umiała, ani do ustąpienia księciu szwagrowi nie dała się niczem nakłonić. Musiała więc upaść fabryka i upadła, a z nią i miasto, którego pięknych kamienic ledwo połowa i to przez Żydów zamieszkana, a reszta murów w gruzy się rozsypuje! Świątynia tylko Pańska stoi cała; i zamek jeszcze cały stoi i wzniosłą wieżą swoją panując nad upadłym miastem, zdaje się urągać walącym się budowom, o dwa stulecia od niego młodszym; a pomny bohaterów, którzy go wznieśli, niezorane czoło dumnie ku niebu podnosi i stamtąd odrodzenia wzywać się zdaje.

ROZDZIAŁ III.

Ludwipol [1]).

W miesiąc po naszym powrocie z Galicji, mój ojciec objął zarząd majątku kasztelanowej Bierżyńskiej, majątku pięknego, choć na Polesiu. Pani to była książęcego rodu, siostra Adama i Kaliksta Ponińskich; wdowa, lat led-

---

[1]) M-stko powiatu Rowieńskiego na Wołyniu. Dawniej zwał się Sieliszcze. Od Ponińskich przeszedł do Bierzyńskich. Aleksander Bierzyński, stolnik Owrucki przezwał Siedliszcze Ludwipolem, od imienia swej żony Ludwiki Ponińskiej.

wie czterdzieści liczyła, piękna jeszcze i do piękności ciała szlachetność uczuć i wysokie ukształcenie łączyła. Była matką trojga dzieci. Starsza córka Eleonora, od lat dwuch wydana za p. Jeraczewskiego zamożnego obywatela w Poznańskiem. Młodsza Apolonja, czyli jak ją zwykle z francuskiego zwano, Poneta, miała dopiero lat piętnaście. Najmłodszy z rodzeństwa Adam, trzynastoletni młodzieniec, w Warszawie w Collegium Nobilium na naukach zostawał. Wszystkie troje odznaczali się pięknością familijnych rysów i jeszcze piękniejszemi przymiotami umysłu i serca. Wychowanie odebrali staranne, i szczęśliwym trafem, osoby trudniące się pierwiastkowem ich wychowaniem, nie zachwyciły jeszcze goszczącej już u nas mody myślenia i tłumaczenia się po francusku, i w uczniów swoich znajomość tylko obcego języka, a uczucia i sposób myślenia, nasz ojczysty przelać potrafiły. Nim Adasia do szkół oddano, wychowaniem jego zajmował się powinowaty kasztelana p. Węgierski, brat sławnego poety, wysoko uczony człowiek. Z tęgością ducha i słodyczą charakteru łączył szczególniejsze zaniedbanie siebie, i z litością spoglądał na niedowarzonych zwolenników ówczesnej francuskiej filozofji, spaczone opinje narodowe. Mało dbający o siebie, poświęcony dla drugich, skromny a gruntowny w sądzeniu, miły w towarzystwie, p. Węgierski powszechną życzliwość i szacunek posiadał. Bawił ciągle w domu kasztelanowej, a znający się na wszystkiem, we wszystkiem był jej poradą. P. Poneta miała jeszcze guwernantkę Francuzkę p. *Robertin*. Dobra to była osoba, ale oprócz swego języka, nie wiele co umiała. Nie młoda już i nie piękna, ale panna, z wielkiem staraniem zawsze ubraną była, bo nadzieja znalezienia męża, choćby to był *un ours de Polonais*, jedyne jej marzenie, życie jej utrzymywało. Jak zwykle w owych czasach, kasztelanowa miała liczny fraucymer, na którego czele była panna stołowa p. Dziusówna, z rodziny szlacheckiej, nie młoda, bez pretensji,

gruntownie rozsądna i poczciwego serca. Zaprzyjaźniła się z moją matką i w ścisłej były zażyłości.

Przy kasztelanowej bawił bratanek jej wojewodzic Poniński. Miły z postaci, ukształcony podług ówczesnej metody, posiadał wszystkie przymioty do świetnienia w salonach potrzebne. Wychowanie brał od Francuzów, których napływ do Polski, pod ostatniem panowaniem, był już niepospolity. Wojewoda chciał mieć syna Polakiem, ale wojewodzina, mając wpływ silny na męża, potrafiła przeważyć swojem zdaniem, i podług swego widzimisię wychowawszy jedynaka, jednego z takich napływowych Francuzów, wyprawiając syna na wojaż, za mentora mu dała. Podróżując po obczyźnie nie dla nauki, a dla rozrywki, wojewodzic wywiózł ze swoich kilkoletnich wędrówek nienawiść i wzgardę dla swojej ojczyzny i wszystkiego co Polskie, zasady ówczesnej francuskiej filozofji, przewrotność Włochów, zarozumiałość angielską i zepsucie obyczajów wszystkich europejskich narodów. Gdy wrócił, rodzice już nie żyli, objął więc piękny majątek i przywiązał się do dworu króla Stanisława. Mieszkał w Warszawie, żył na wielką skalę i żył wolno, a prowadzeniem się swojem nie wiele różnił się od znanego podówczas w całym kraju Henryka Niemirycza. Wojewodzic tak się umiał zastosować do wszelkich form towarzyskich, i tak posiadał dar przybrania na siebie charakteru, jakiego okoliczności wymagały, że istotny charakter jego trudno było odgadnąć; ale w gruncie był dumny, zarozumiały, chytry i zawzięty; — stąd to ile w salonach był poszukiwany, unikano jego przyjaźni, a nieprzyjaźni lękano się, jak śmierci. Co najgorsza, żadnej nie miał religji. Bawiąc przy kasztelanowej, potrafił łatwo zjednać sobie jej ufność i przywiązanie. Dama ta, podobnież jak on ukształcona, czuła i exaltowana, naczytana Russa, Woltera i angielskich romansów, nie mogła być obojętną na zabiegi i nadskakiwania nader miłego bratanka. Panna Robertin słodkie do niego robiła oczki, a i panny Apolonji młode serduszko czuło może więcej, niż bra-

terski afekt dla kuzyna, ale stosunki familijne i dość bliskie, upoważniały jakoś to przywiązanie i poufałość.

Dom kasztelanowej mało był uczęszczany, bo sąsiedztwa nie wiele było w okolicach Ludwipola. Najbliższy Niewirków, po wyrznięciu Wyleżyńskich opustoszały, oczekiwał przybycia p. rejenta Kor., który miał tę majętność po bracie odziedziczyć. Z Tuczynem nie było stosunków, bo p. wojewoda Sieradzki lubo z kasztelanem był w przyjaźni, z Ponińskim niesympatyzował. Słucki chor. Kor. tertio voto ożeniwszy się z młodą i piękną kasztelanką Popielówną, jeszcze był w miodowych miesiącach. Platerowie, Worcelowie, ks.ks. Lubomirscy, byli dalszymi. Brat kasztelana podkomorzy mieszkał daleko w Andruszówce [1]) pod Berdyczowem i zdaje się bratowej nie bardzo sprzyjał. Siostra kasztelanowej, księżna Kasprowa Lubomirska, stęskniwszy się swojem wdowieństwem, świeżo wyszła za szambelana Winnickiego, i kasztelanowa z nią dla takiego mezaljansu zobojętniała. Pruszyńscy, Lubieniccy, Trzebuchowscy, Jabczarski, składali najbliższe sąsiedztwo; ale szlachta dawna i zamożna, nie bardzo sprzyjała arystokratycznemu domowi, wojewodzica nie lubili i pańskich progów zbijać nie byli skwapliwi. Towarzystwo więc Ludwipolskie nieliczne było; z tem wszystkiem nie zbywało na ubiegających się o rękę pięknej Ponety, ale ona o tem i słyszeć nie chciała, a matka znajdowała córkę zanadto młodą dla zmiany stanu i tym sposobem zbywano się konkurentów.

Pałacu w tych dobrach kasztelanowa nie miała, ale w Ludwipolu był dom obszerny i porządny, choć bez piętra, i wcale wygodny. Każdy z domowych miał swój apartament, a i dla gości jeszcze kilka pokojów zostawało. Rodzice moi w oficynie mieszkali, osobne swoje wiedli gospodarstwo; ale matka zmuszona była najwięcej przebywać we dworze, bo kasztelanowa zajęta jużto interesami z moim ojcem, jużto lekturą z wojewodzicem, Po-

[1]) Wieś pow. lipowieckiego, gub. kijowska.

netę z jej guwernantką przy mojej matce zostawiała. Nie rozumiała matka moja po francusku, bo przy niej mało nim mówiono. Francuska nawet lubiła mówić po polsku, choć mową swoją wszystkich śmieszyła.

W takim składzie rzeczy rok prawie upływał. Ojciec mój szczęśliwie rządził, kasztelanowa zadowolona była, miała kasę pełną, bo wydatki połowy intraty nie dochodziły, oddawała sprawiedliwość mojemu ojcu, a do matki coraz się więcej przywiązywała, a nawet, nam dzieciom, często na pańskich pokojach bawić się wolno było.

P. wojewodzic zawsze przyjemny, układny, zajmował się czytaniem książek francuskich (lekturą) z kasztelanową, prowadził ją na spacery, lub towarzyszył w konnych przejazdkach. Panna Poneta z guwernantką czytała, lub grała na klawikordzie. P. Węgierski polubił moich rodziców i częstokroć prostą z nimi rozmowę lub pogadankę z babką moją o Litwie przenosił nad te modne, jak je nazywał, Wolteryzmy salonowe. Wojewodzic nie cierpiał Węgierskiego, bał się go nawet, bo w nim widział surowego sędziego swego sposobu myślenia, ale że wielce był cenionym od kasztelanowej, wojewodzic okazywał mu wysoki szacunek. Poznawał się na tej komedji Węgierski, i za okazywane grzeczności, dworacką obojętnością odpłacał.

Jesień w naszych stronach zwykle najpiękniejszą jest porą, często bardzo ciepłą. Jednego takiego w październiku wieczora, kasztelanowa wróciwszy z przejazdki konnej z wojewodzicem, uczuła się niezdrową, a opuściwszy wcześnie kompanję, udała się do swego pokoju i matkę moją ze sobą wezwała. „Kochana pani Detiukowa!“ — rzeknie pomięszana, ściskając matkę moją za rękę — „spuść drzwi na klucz, bo mam ci powierzyć ważne odkrycie, nie wiem nawet, jak ci to powiedzieć!“ Zamilkła, spuściła głowę, a po niejakiej chwili zanosząc się od płaczu zawołała: „Czy mego stanu nie zauważyłaś?“ — „JW. pani ma dość ciała“. — „Tak! ale ta otyłość, czemże jest? Nieszczęśliwa; znowu będę matką!“ i jeszcze moc-

niej płakać zaczęła. Osłupiała na to wyznanie p. Detiukowa, nie śmiała oczu podnieść, ledwie oddychać śmiała. — „Przeraża cię moje wyznanie? może i pogardzasz mną, wszak prawda?“ — Matka płakała. — „O! widzę współczucie we łzach twoich! tak, twoje poczciwe serce lituje się nieszczęsnej. Słuchaj więc dalej. Ojcem tej biednej istoty jest wojewodzic, którego kocham, uwielbiam! miłości mojej zwalczyć nie umiem, ani chcę nawet. Ach! on potrafił do serca mego przemówić, opanować je i od wszystkiego oderwać! Czytaliśmy razem nową Heloizę Russa!“ — Jęk przerwał mowę kasztelanowej, pochyliła głowę na piersi i jeszcze rzewniej płakać zaczęła. Matka moja całowała jej ręce płacząc, i łzy obydwóch zmieszały się; ale po chwili jakby natchniona zawołała: „Pani jesteś niezależną, wolną, czemużby z ulubionym śluby małżeńskie nie miały cię połączyć i miłość waszą uprawnić?“ Podniosła głowę kasztelanowa, w oczach jej podziwienie, nadzieja, radość nawet z pod łez błysnęły. — „Małżeńskie śluby! O jaki duch niebiański tę myśl ci natchnął i pocieszające słowa do ust podał? Czemuż wśród tylu marzeń mojej namiętności, marzenie o ślubach małżeńskich nigdy się do myśli mojej nie wcisnęło! — „Boś pani o to nigdy myśli do Boga nie wznosiła“, — odpowiedziała nieśmiało matka moja. „Bóg widzi nasze błędy i skory do odpuszczenia, czeka tylko, ażebyśmy się jak dzieci przed ojcem upokorzyli!“ — „O! prawda, prawda! oddana całkiem uczuciom ziemskim, zapomniałam o Bogu! Ale tyś we mnie natchnęła bogobojnego ducha! Dzięki ci! nigdy serce moje tych braterskich rad nie zapomni, nigdy nie zapomni religijnego twego dla mnie współczucia! Tak, poślubię Karola, i odtąd, pomna mojej ułomności, modlitwą i dobremi uczynkami winę moją zgładzić będę się starała. Ale dla spełnienia tego zamiaru, potrzeba mi opuścić te okolice; szanowny nasz pasterz, choć powinowaty, pozwolenia swego odmówi, bo nas z wojewodzicem związki krwi łączą; a wyznać przyczynę zniewalającą mię do tego małżeństwa, za nic, nigdy, nigdy się nie odważę!

Powracaj do salonu, oświadcz, żem niezdrowa i nikogo dziś widzieć nie mogę. Ponetę sama odprowadź do jej pokoju, a przyszlij mi swego męża, potrzeba mi z nim i o tym interesie i o innych się naradzić". Matka moja ucałowała rękę kasztelanowej i wyszła.

W salonie nie było już nikogo, w przyległym pokoju p. Węgierski z p. Robertin żywą prowadzili rozmowę, a gdy weszła matka moja, nie przerywając rozmowy, nieznacznem skinieniem wskazał na buduar kasztelanki. Drzwi były otwarte, lampa alabastrowa księżycowym blaskiem słabo oświecała przedmioty: kasztelanka siedziała na sofie, piękne jej ramiona, zarzucone były na szyję klęczącego przed nią wojewodzica, twarze ich zbliżone. Można sobie wyobrazić jakie na ten widok musiało być zdumienie wchodzącej. Tu dopiero miała przed oczyma występną matkę, tu jeszcze występniejszą córkę. Zerwała się Poneta żywo i rzuciwszy się na szyję mojej matce. — „Ty mię nie zgubisz! — zawołała z płaczem,— ty nie wydasz tego, coś tu widziała!". Gdy tych słów domawiała, wojewodzic z piorunującem wejrzeniem i z wybladłem obliczem, tak się do mojej matki odezwał: „Masz w. pani teraz w ręku los całej naszej rodziny, i jednem słowem możesz zerwać wszystkie węzły krwi, miłości i honoru. Ale jedno słowo z ust w. pani, a biada wam i dzieciom waszym! Ja w połowie tylko mścić się nie umiem!" To rzekłszy wyszedł, kasztelanka nie wypuszczając matki mojej ze swego objęcia. — „O! przyrzecz mi, przyrzecz, — wołała, że tę tajemnicę w sercu swojem ukryjesz! u nóg twych o to błagam! — to mówiąc osunęła się na kolana. Matka podchwyciła klękającą i przyciskając ją do piersi swoich. — „Panno Poneto! — rzeknie, — ten sekret odtąd staje się moim, bądź spokojna! i milczeć umiem i cierpieć potrafię". — „Nie lękaj się pani uniesień Karola: nie, on mię kocha, on mojemi uczuciami powodować się będzie, zaufajmy!" — Scisnęły sobie ręce, matka moja odprowadziła Ponetę do jej pokoju, a tej całej sceny nie było świadka żadnego. Wzruszona i utrudzona tylu

tak dziwnemi wieczora tego okolicznościami, wcześnie udała się na spoczynek, ale zasnąć nie mogła. W godzinę wrócił ojciec, stąpał pocichu, ażeby żony nie obudzić, ale usłyszawszy, że czuwa. — „Ty nie śpisz, rzekł: wielką ciekawość przynoszę". — „Cóż takiego?" — „Kasztelanowa wybiera się do Warszawy, może nawet na mieszkanie". — „Mówiła mi o tem" — odparła matka, ale ze słów męża zmiarkowała, że tajni istotnej kasztelanowa nikomu powierzyć nie chce. — „A wiesz z jakiego powodu?" — „Żeby wyjść za wojewodzica". „To pokazuje się nam obojgu ten sekret powierzony. Mnie poleca zupełny zarząd majątkiem i interesów wszelkich, i jutro jadę z panią do Łucka, gdzie ma przed aktami przyznać mi plenipotencję". — „Daj Boże tylko, ażeby ten związek przyniósł jej szczęście" — rzekła smutnie moja matka.

W dziesięć dni potem dziedziniec zapełniały powozy, rój ludzi uwijał się po dziedzińcu, ci wynosili kufry i paki, drudzy układali je na powozy i bryki, wszędzie był ruch, było działanie, ale był ład, a mój ojciec był wszędzie. Kiedy już wszystko gotowe było do wyjazdu, kasztelanowa wezwała rodziców moich do swego gabinetu, gdzie nikogo nie było, i tak do nich przemówiła: „Żegnam was, moi dobrzy przyjaciele, i żegnam z żalem i za wami i za moim kochanym Ludwipolem. Dziękuję wam za waszą tak poczciwą dla mnie przychylność, a tobie kochana pani Detiukowa za dochowanie sekretu. Odjeżdżam unosząc z sobą wdzięczność dla was i szacunek, zostawiam spokojna mój majątek pod okiem w. pana, bo w ciągu jego tu pobytu, przypatrzyłam się i uczciwości i gorliwemu działaniu w zarządzie dóbr moich, i odjeżdżam z tem przekonaniem, że los mojej fortuny w ręku przyjaciela złożyłam. Jeżelibyś miał w czem jakąś wątpliwość, naradzaj się z p. Węgierskim, który i moim i waszym jest przyjacielem. Skoro wyjadę, proszę zaraz przenieść się do tego dworu, i jakby w domu, sposobu życia nie zmieniać. Bądźcie zdrowi i mnie zawsze życzliwi! przyjmijcie uściśnienie i te bagatele na pamiątkę". To powiedziawszy

uściskała z rozrzewnieniem obojga, ojcu wręczyła śliczny złoty repetjer Gogenmusa, a matce błam pięknych lisów i czarny atłas na szubę. Ucałowali oboje ze łzami ręce dobrej pani, a matka dodała: „JW. pani pozwoli mi jeszcze parę słów powiedzieć?“ — „Mów! mów! pewnie to jest rada jakaś, i pewnie dobra“. — „Pani przyjechawszy do Warszawy zaraz weźmiesz ślub z p. wojewodzicem?“ — „Niezawodnie“. — „Czy nie byłoby przyzwoiciej, żeby od tego dnia p. Poneta, aż do wiadomego pani terminu bawić mogła u ciotki której, albo u siostry? — „Słusznie mówisz i bardzo słusznie: ale z Winicką nie jesteśmy dobrze, Bironowa za granicą, więc ją zawiozę chyba do Leosi, a gdyby i to nie dało się zrobić, to przez ten czas zabawi u przełożonej Wizytek mojej ciotki. Dziękuję ci serdecznie za to przypomnienie!“. I jeszcze raz ściskała moją matkę. Przeszła pani do sali, a z nią i moi rodzice, kasztelanowa żegnała zostających się dworskich i oddawała ich w opiekę mojemu ojcu. Poneta rzuciła się na szyję mojej matki i całując ją w twarz, szepnęła do ucha: „Pamiętaj o mnie!“ — „Zawsze!“ odpowiedziała matka moja oddając uściśnienie za uściśnienie. Wojewodzic zimną grzecznością pożegnał moich rodziców, wejrzeniem tylko przemówił do mojej matki: lękaj się i milcz! W karecie usiadła kasztelanowa z córką, wojewodzic i p. Węgierski, który odprowadził ich do Uściługa; w koczu umieścili się Francuska, Dziusówna i p. Lesiecki od niedawna gatunek konfidenta, niby marszałka wojewodzica, w rzeczy samej pieczeniarz, próżniak i intrygant. Dziusówna nim siadła do powozu, pobiegła jeszcze raz pożegnać moją matkę, ucałować ręce babuni i wziąć na drogę jej błogosławieństwo. Wzięła adres mego ojca i jeszcze uściskawszy obojga: „Bądź zdrowa Kasiu! bądźcie zdrowi! — rzeknie — nie zaniedbam żadnej okazji doniesienia wam, co się z nami dziać będzie“.

Podług żądania kasztelanowej, rodzice moi przenieśli się zaraz do dworu, i my, dzieci, swobodnie bawiliśmy się w tych senatorskich komnatach. Nadeszła zima,

zbliżały się święta, a po nich kontrakty. Korzystna sprzedaż drzewa, z nietkniętych siekierą lasów Ludwipolskich, podniesiona arenda, sprzedana pszenica szyprowi łowczemu Jabczarskiemu, przysposobiły piękną gotówkę w kasztelańskiej kasie. Ojciec mój zajmował się gorliwie gospodarstwem i interesami, a w wolniejszych chwilach, z jednym lub drugim sąsiadem zapolował. Bo też go lubili sąsiedzi, a osobliwie Lubienieccy, szczególniej mu sprzyjali. Dwa miesiące upływało już od wyjazdu pani, a ojciec mój żadnego od niej nie miał zgłoszenia. A chociaż wcześnie zawiadamiał o przygotowanych na kontrakty 20,000 czerw. zł., któremi z mocy plenipotencji miał prawo rozrządzić, zapytywał jednak, co z temi pieniędzmi zrobić? ale ani na list, ani na doniesienie o złożonej sumie, żadnej nie odebrał odpowiedzi.

Tejże zimy w grudniu silne było trzęsienie ziemi, u nas dotąd rzadkie, bo babka moja sześćdziesięcioletnia, żadnego w swem życiu na Litwie nie pamiętała, ani u nas starzy ludzie przypomnieć sobie takowe mogli. Trwało dość długo i nas dzieci ten ruch mebli i wszystkiego, co na nich stało, wielce zabawiał, a gdy się skończyło, bardzo nam się chciało powtórzenia tej sztuki. Smutnie rozpoczęte okoliczności krajowe, dziś jeszcze w smutniejszym stanie zostawały. Większą część Ukrainy zajęły wojska rosyjskie. Wielko-Polska, Krakowskie i połowa Litwy jeszcze były nasze. Na Wołyniu i Podolu wojska polskie ożywione powodzeniem pod Dubienką i Zieleńcami, trzymały się jeszcze i zbierały pod naczelstwo Kościuszki. Dziwne też to były czasy! Dwuch narodów, które już miały sobie wypowiedzianą wojnę, wojska przeciągały temiż samemi drogami, jedno drugiego nie zaczepiając. Dońce tylko dopuszczali się łupieztw i rabunków. Napływ ten wojska obcego, i stan zamięszania w kraju, taka zmiana polityczna, przywykłemu do pokoju przez czas długi obywatelstwu, a tem więcej pospólstwu, nie zdawały się naturalnemi: wszelkie przeto zjawiska natury uważali jako złowieszcze przepowiednie klęsk i nieszczęść; i trzęsienie ziemi świe-

żo wydarzone, do tych przepowiedni zaliczone, trwogą i smutkiem napełniło. Ale nadzieja jeszcze miała przewagę.

Nadeszły święta, zjechał mój wuj z bawiącemi przy nim siostrami i ze mną, i nasze kółko familijne zwiększyło się. Prócz naszej rodziny, zaprosił ojciec imieniem swej pani miejscowego plebana, rachmistrza i kluczowego ekonoma nie żonatych, a tem samem domu swego nie utrzymujących. Starodawnym zwyczajem, mniej dwunastu potraw na wieczerzę wigilijną, u szlachty być nie mogło, ubodzy nawet na sześć się zdobywali. Z łaski kasztelanowej wigilja nasza była pańska. Gdy już podano wieczerzę, ojciec wziąwszy talerzyk z opłatkami podszedł z nim do swojej matki. Powstała staruszka, przeżegnawszy się wzięła opłatek i postąpiła z nim do plebana, a potem błogosławiąc syna, synowę i wnuki, łamała z nimi ten chleb uroczysty; potem z przybraną rodziną, mojemi ciotkami i wujem, dla których macierzyńskie miała uczucia; szła dalej do zaproszonych oficjalistów, nakoniec do sług naszych. Rodzice moi tąż samą koleją za matką postępowali. Uroczysty to obchód! przy łamaniu się opłatkiem wynurzają się najżyczliwsze uczucia, jednają poróżnieni i równają się wszelkie stany; dzieci u nóg rodziców składają serdeczne życzenia, i odbierają równie serdeczne błogosławieństwa. Tak było i u nas: oboje rodzice i nas troje dzieci, pokłoniliśmy się do nóg sędziwej naszej babuni i z opłatkiem błogosławieństwo jej odbierali. Było nas osób dwanaście: na pierwszem miejscu siedziała nasza babka i ks. pleban, my dzieci na szarym końcu. Stół sześcią jarzącemi świecami był oświecony. Długo ciągnęła się wesoła wieczerza, i podawano już kucię, kiedy pod oknami odezwały się skrzypce i gęśle i kilka głosów zgodnie zakolendowały: „Anioł pasterzom mówił".

Noc była śliczna zimowa, czysty i jasny księżyc lał swe srebrzyste światło po ubielonych grubą warstwą śniegu Słuczy nadbrzeżach, droga sanna była wyborna, mróz niewielki, powietrze ciche. Łaskawi sąsiedzi, uwi-

nąwszy się wcześnie u siebie z wieczerzą, najechali nas pocichu i kolendą pozdrowili. Wyszedł ojciec na spotkanie miłych gości i z całą naszą narodową uprzejmością do pokoju zaprosił. Goście nasi, była zacna rodzina Lubienieckich, trzech braci i trzy siostry, i dwuch Trzebuchowskich, których siostra była za średnim Lubienieckim. Nastąpiły przy opłatku życzenia i przyjacielskie uściski. Wszedł kielich ze starym malinnikiem, a z nim i buteleczka nie dzisiejszego węgrzyna postąpiła. Damy matka kawą i gruszkami zimowemi przyjmowała, a panny Lubienieckie nas dzieci wybornemi pierniczkami i domowemi suchemi konfiturami zasypały. Podochoceni muzykanci uderzyli w skrzypce i gęśle, wdzięcznie brzmiały pod palcami Kamińskiego żelazne struny, w ręku ociemniałego Lewandowskiego miło śpiewały skrzypce, czternastoletni syn mu wtórował. Obaj ci muzykanci, była szlachta z Ludwipolskiego zaścianka, znajomi w okolicy i od wszystkich lubieni. Kolenda szła za kolendą, nakoniec wesoły ozwał się mazurek. Panien było cztery, młodzi Lubienieccy i Trzebuchowski, mój wuj i rachmistrz Wojakowski, ochoczo stanęli do koła. „Za pozwoleniem! przepraszam ww. państwa!“ — ozwie się powstawszy ze swego krzesła babka nasza. — Nie tak bywało za moich czasów na Litwie, u ś. p. ciotki mojej, pani pułkownikowej, Kościowej. Panie! świeć nad jej duszą. Mości wojski! — proszę z sobą, — mówiła do starszego Lubienieckiego: — Nie dla tego żebyś nas laty przewyższał, ale żeś najdystyngowańsza między nami osoba, służę ww. panu dobr. panie Lewandowski! *„W żłobie leży!“* Zabrzmiały struny tę poważną kolendę, wszyscy patrzają co to będzie; staruszka, zacząwszy śpiew drżącym głosem, posuwa kilka kroków, wszyscy podziwiają, że kolenda w taniec się zamienia, poglądają po sobie, ale babka posuwa się dalej i stanąwszy przed obrazem Narodzenia, który wpośród innych główną ścianę sali przystrajał, zatrzymała się i wzniesionemi do obrazu dłoniami

prześpiewawszy parę strof, w czem już i cała kompanja dopomagała, — „Teraz panie Lewandowski! narodowego, — rzeknie, a obracając się do mojej matki: — Kasiu kochana! pani synowo, wyręcz mię do tańca! a w. pana dobr. — mówiła dalej — przepraszam za moją śmiałość, ale przypomnijcie sobie, że żłobek nowonarodzonego Zbawiciela, i króle i pasterze, zarówno śpiewem i pokłonem witali. Nie od tegoż i nam szlachcie zacząć należało?“ — Ucałował wojski ręce staruszki, i — „p. Łukaszu! — zawoła — szafuj wina, wypijemy zdrowie mamy dobr., a my tymczasem z namiestnikową dobr. jaki raz i drugi wywiniemy się narodowego. P. Lewandowski! Kościuszkowskiego!“ — Musnął wąsa, poprawił wyloty i posunął w pierwszą parę z moją matką, za nimi ruszyli i drudzy. Ze słodkiem uczuciem ja to wspominam, bo zdaje mi się, że dziś jeszcze widzę, te zacne polskie posuwiste pary, słyszę miły dźwięk strun gęśli pod biegłemi palcami Kamińskiego, że jeszcze patrzę na piękne rysy Piotrusia Lewandowskiego, bolejącego nad kalectwem ojca. Zdaje mi się jakbym był jeszcze obecnym poważnej wesołości szanownej matrony, ukochanej babki mojej. Ustęp ten, jako wspomnienie drogie sercu mojemu, proszę mi wybaczyć. Chwile dzieciństwa, były to chwile szczęścia, których trudno zapomnieć! Obrazy te skreślone dla mnie miłe, może dziś kogo rozśmieszą, ale skreślić je serce kazało.

Po skończonym Polskim, młodzi stanęli ankatr-mazura (en quatre) we cztery pary, starsi pociągali węgrzyna, to za zdrowie naszej dobrej babuni, to za gospodarstwa, to za reszty kompanji, i miła przyjacielska toczyła się pogadanka, to o tem, to o owem, nareszcie z kolei i o kasztelanowej wspomniano. Zerwał się z krzesła p. wojski i uderzając się po głowie: „P. Łukaszu! — zawołał — przepraszam! zapomniałem: wszak to ja do ciebie mam ekspedycję. Oto listy z Warszawy, które przed trzema dniami na poczcie w Warkowiczach odebrałem“. W samej rzeczy, był to list do mego ojca od pani, a dru-

gi do mojej matki od Dziusówny. Rozpieczętował zaraz ojciec pismo, w którem kasztelanowa dziękowała za pomyślny kierunek interesów, polecała żeby pieniądze złożyć w kantorze banku Teppera, mającego być w Dubnie na kontraktach i wziąć od niego weksel. Zresztą rządzić wszystkiem tak jak mu rozsądek i uczciwy jego charakter każą. Trybu życia nie zmieniać i na porządne utrzymanie się kasy jej nie oszczędzać. Pozdrawia żonę i dzieci. Podpisano L. P. Pan wojski czytał wraz z moim ojcem, a doczytawszy się podpisu: — „Cóż to? — zapyta — omyłka jakaś? P. zamiast B.?“ — „Nie, nie omyłka, istotna prawda“. — „Cóż to za zmiana?“ — „Zmiana smutna, — ozwie się matka moja, — p. kasztelanowa jest tylko wojewodzicową“. — „Jakto? wyszła za p. Karola?“ zawołano chórem. — „Tak, — rzecze mój ojciec — wiedzieliśmy o tem przed ich wyjazdem, to ich nawet i do Warszawy popędziło“ — „Tfu! — zawoła p. wojski, — oszalała, czy co? No! potrzeba jej zdrową głowę... — „No!“ — „Ale daj Boże, żeby jej nieboraczce na złe to nie wyszło! — rzeknie starsza panna Lubieniecka“. — „Mnie się ten p. wojewodzic — mówił dalej p. wojski — wcale nie podobał. Nie widziałem, żeby się kiedy choć przeżegnał w kościele, a Woltera, na pamięć umie“. — „Co się p. brat dziwuje, — ozwie się starszy Trzebuchowski, — cały świat wie, że on Farmazon, a czyż Farmazoni wierzą w Pana Boga?“ — „A prawda, prawda!“ — odezwali się drudzy. Tymczasem w kościołku odezwały się dzwony i muzyka umilkła. — „Na pasterską kto łaskaw“, — rzekł mój ojciec, i całe towarzystwo udało się do kościoła. Po mszy, na której wszyscy jednogłośnym śpiewem, kolendą Boga chwalili, goście wymogłszy przyrzeczenie, że babka moja, rodzice i cała nasza rodzina, jutro do p. wojskiego na obiadek przyjacielski zjadą, odjechali: nasi udali się na spoczynek do domu.

„Przeczytaj!“ — rzeknie matka podając ojcu niedo-

czytany jeszcze list Dziusówny. Ojciec czytał te słowa: — „Wstrzymałam się z pismem do was, oczekując waszej odezwy, a jeszcze bardziej, ażeby zebrać więcej coś, dla doniesienia wam o nas. Piszę nareszcie, i ażeby was ten list pewniej doszedł, sama go na pocztę odnoszę, bo mi się zdaje, że są tu u nas osoby, chcące wszelką komunikację z Ludwipolem rozerwać; ale o tem potem. We trzy tygodnie po przyjeździe naszym do Warszawy, pani nasza zmieniła swój tytuł, prywatnie, i wieczorem u Kapucynów ślub wzięła z wojewodzicem. Poneta, starościna Bilska i ja asystowałyśmy na tej ceremonji. P. Węgierski, którego pani uprosiła, że nas do Warszawy odprowadził, nieodstępny wojewodzica Lesiecki, jakiś ogromnie wąsaty p. rotmistrz, i jakiś Niemiec, czy Francuz, licho tam jego wie, bo nie katolik, jak to widać było z jego prezencji w kościele, ze strony wojewodzica świadkami byli. Poneta, zachodziła się od płaczu w czasie ślubu matki; na twarzy wojewodzica, było coś takiego nieludzkiego, że patrzeć na niego było straszno. Adasia na ślubie nie było. Nie myślcie jednak, że wszystko poszło łatwo i gładko, i że p. młody w pretensjach swoich był tak umiarkowany, jak się okazywał w sentymentach gorący. O! nie, było przeciwnie; sentymenta ostygły, a pretensje rozgorzały. Trzy dni trwały narady i targi, nie mało było sporu i swarów. P. Węgierski z całą swoją zacnością utrzymywał stronę pani; stanęło nakoniec jednak na tem, że pani jedną wieś swoją w Poznańskiem oblubieńcowi darem darować musiała. Odbył się więc ślub, ale nie powiem wesele, bo smutek jakiś i przymus na wszystkich twarzach rozlane były. Pani nawet, lubo tak pragnęła i tak potrzebowała tego połączenia, ze zmiany położenia swego niekontenta. Wszyscy jesteśmy jak pod obuchem, nikt nikomu nie ufa, a mnie mimowolnie dreszcz jakiś po ciele przechodzi, jak pomyślę co dalej jeszcze będzie. P. Jaraczewska ze słabą matką mężowską wyjechała do Włoch na całą zimę. Trzeciego dnia po

ślubie pani z Ponetą odwiedziła księżniczkę Annę przełożoną Wizytek, ciotkę swoją i na usilne (niby) jej nalegania, Ponetę na trzy miesiące tam zostawiła. Gdy wróciła do domu sama, zadziwił się wojewodzic, i pół z gniewem, pół z szyderstwem zapytał żony, co z córką zrobiła? — „Ciocia żądała mieć Ponetę u siebie na parę miesięcy". — „A toż co znowu, na parę miesięcy? mamy teraz mały karnawał, ona się tam zanudzi." — „Ciocia jest tak dobra, tak ją kocha, że znajdzie sposoby rozerwania jej, a nawet zabawienia." — „Przeorysza Wizytek! — rzekł drwiąc wojewodzic. — „Księżniczka Anna." — odrzekła z powagą pani. — „Ależ w klasztorze — mówił łagodniej — jakież zabawy? Czyż to są bale, te świetne bale stolicy, na których wyższy świat się zbiera, na którychby Ponetka pięknością swoją brylować mogła". — „Ponetka jeszcze za młoda do tych balów, a gdyby nawet dorosłą była, z kimżeby teraz pokazać się mogła? Ty wiesz, że zdrowie moje na tych zabawach bywać mi nie pozwala. Więcej ci powiem, Ponetka ochotnie przy babuni została". — Nic więcej nie odpowiedział wojewodzic, ale widziałam, jak się nachmurzył, zagryzł usta, nie małżonka czułego okiem spojrzał na żonę i wyszedł. O! niema tu miłości, niema i spodziewanego szczęścia; daj Boże! żeby choć spokojność została. Pani mówiąc ze mną, nie tai się, że jej żal za Ludwipolem, wspomina was z życzliwością, nieraz łzy ją oblejąc, ale się nie użala, cierpi, ale tego dać poznać nie chce. Święta się zbliżają, życzę wam przepędzić je zdrowo i wesoło, zacząć rok podobnie, i nadal wszystkiego dobrego. — Tekla Dziusówna". — „O! to już miesiąc jak ten list pisany; data listu kasztelanowej późniejsza. Chwała Bogu! jeszcze to wszystko dobrze" — mówił ojciec składając list — „obaczymy, co z tego dalej będzie".

Nazajutrz po mszy ś. pojechaliśmy do Chołop, do Lubienieckich, gdzie i całą ich rodzinę zebraną zastaliśmy. Dzień u nich przeszedł, jak wieczór wczorajszy

u nas. Narodowa uprzejmość, otwartość prawdziwa, uczucia szczere, cechowały przyjęcie w tym zacnym szlacheckim domu, a zamożność dodawała materjałów do uczciwego ugoszczenia zaproszonych. Wesoło było starszym, ale nam dzieciom, to i opisać trudno, bo to mało, że nas łakociami nasycono, ale najmłodsza z panien Lubienieckich Teodora, trzynastoletnia panienka, bawieniem nas zajęta była. Były tam i obrazki z książek i figurki meblowe w użyciu, i w gry graliśmy, słowem cały dzień na ślicznej dziecinnej zabawie szybko przeleciał, i z żalem opuszczaliśmy i my i starsi przyjacielski dom Lubienieckich.

Trzeciego dnia odebrali rodzice miłe nader wezwanie do Mezerów, zaczęcia z nimi roku. „A kiedyście zrobili nam przykrość, zabierając p. Kazimierza z siostrami na święta, niechże to nam nagrodzeniem będzie, odwożąc ich sami na Nowy Rok". Tak się też stało: i mnie z sobą zawieźli, ale do szkoły, matka aż do postu w Korcu została. Z zaczęciem roku nie słychać było nic gorszego o interesach krajowych, owszem jakiś promyk lepszej nadziei z pośród chmur przeświecać się zdawał. Oddawano się więc wesołości, a dwa narody w wojennych stosunkach ze sobą będące, przez cały Karnawał w Korcu, najprzyjaźniej się ze sobą bawiły.

Na kontrakty do Dubna wyjechał mój ojciec z pięknym zapasem dukatów. W rzeczy samej, został już kantor Teppera zawiadomiony o przywiezionej sumie, wręczył więc ją do banku, i odebrane weksle wysłał zaraz na pocztę do Warszawy do kasztelanowej, od której jednak na ten raz przez Teppera żadnego pisma nie odebrał. Jaki był obraz ówczesnych kontraktów, o tem powiedzieć nie umiem. Były sprzedaże, kupna, ustępstwa, były pyszne magazyny zagranicznych kupców, był teatr i inne widowiska. O teatrze pamiętam jedno wydarzenie, nie wiem tylko jakiego to było roku; ale od rodziców moich, naocznych świadków to wydarzenie nieraz opowiadane sły-

szałem i tu przytaczam. Sławny w dziejach naszego teatru Owsiński, grał *Bewerkia.* Dramat ten z wielkiem zajęciem przyjęty był. Niejaki p. Cześnik ze znacznym groszem przybywszy na kontrakty, poszedł także na teatr. Energiczna gra Owsińskiego zachwyciła poczciwego szlachcica. Szczerze płakał nad energiczną pasją gracza, ale kiedy już miano brać Bewerkia z całą rodziną do więzienia, wzruszony do głębi serca Cześnik, niedolą winnego i niewinnych, podnosi się z miejsca i z płaczem zawoła: „Mości panowie! wstrzymajcie się, oto jest połowa sumy przegranej przez p. Bewerkia, drugą natychmiast przywiozę i wypłacę wszystko. Mnie Bóg to nagrodzi, ale nie krzywdźcie tych nieszczęśliwych". Mógłże świetniejszy oklask uwieńczyć talent artysty? Cała publiczność zawrzała czcią dla gry Owsińskiego i dla naiwnych, a tak wzniosłych uczuć Cześnika. Podniesiono go na ręku, hucznemi oklaski, i głośnem: wiwat! rozlegał się teatr, szlachcic żałował, że to jest tylko udane, i prosił, żeby choć sto dukatów przyjął od niego Owsiński.

Rodzice matki mojej mieli w Dubnie [1]) piękny dom na Piekarskiej ulicy, przynoszący corocznie 100 czerw. złot. za najem kontraktowy. Po śmierci rodziców, ojciec mój spłacił rodzeństwo i sam został właścicielem domu; wynajęli go potem rocznie rodzice moi, i od lat dwuch już w nim nie mieszkali. Zastał go ojciec w dobrym stanie i najętym za staraniem architekta Słoniewskiego, sąsiada i przyjaciela, który i kupca na dom za 500 czer. zł. nastręczył. Warunki były łatwe, przedaż korzystna, umowa prędko stanęła, spisano kontrakt i wyliczono pieniądze. Zjazd był wielki w Dubnie i wielu znajomych znalazł mój ojciec. Sławny poświęceniem się sprawie prze-

---

[1]) M-stko powiatowe na Wołyniu, leży nad Ikwą. Do roku 1794 odbywały się tu słynne czterotygodniowe jarmarki, zwane kontraktami — przeniesione do Kijowa.

mysłu i handlu, Prot Potocki w-da kijowski [1]) znajdował się także na kontraktach. Znał wojewoda dobrze ojca mego kiedy jeszcze był kasjerem Warkowickiego kantoru banku wojewody i szacował go, bo mój ojciec z kasjerstwa swego ledwie 20,000 zł. wyniósł, kiedy kasjerowie Machnowieccy, miljonowe na swym urzędzie porobili majątki. Interesa wojewody skłaniały się już do upadku, ale nadzieja zawsze ożywiała tego zacnego pana i nie upadał na duchu. Mile przyjął mego ojca, i przyrzekł mu, że skoro interesa narodowe i jego przyjdą do ładu, weźmie mnie na swoją opiekę i losem się moim na przyszłość zajmie. Czcigodna to była dusza, tchnąca poświęceniem się dla drugich z zupełnem o sobie zapomnieniem. Był z nim ks. Ossowski znany w kraju z swej uczoności i przedsiębierczego umysłu; ale, przebąkiwano na kontraktach, że wojewoda na tym socjuszu dobrze nie wyjdzie. Czy tak było w istocie, niech powiedzą zbliska patrzący na życie wojewody.

Przybył między innymi pułkownik Bielicki dla odebrania posagu żony. Uradował się obaczywszy mego ojca i pożyczone w przeszłorocznym przechodzie 100 czer. zł. najrzetelniej wypłacił, ale procentu ojciec nie przyjął. Ten też jeden tylko się uiścił! Bogaty 600 czer. zł. mój ojciec, porobiwszy do domu nie wielkie sprawunki, w wilję wyjazdu na cały wieczór wybrał się do Słoniewskich, gdzie też się zeszło i wielu ze szlachty kontraktowej. Tamże był i p. Jabczarski łowczy, szyper, sąsiad ludwi-

---

[1]) Prot Potocki, jedna z najbardziej wybitnych postaci końca XVIII w. w prowincjach ruskich Rzptej. Objawił ogromną rzutkość na polu ekonomicznem i przemysłowem. Zakładał banki w Warszawie, Machnówce (gub. kijowska) i Chersoniu. Z nowo powstającą Odesą zorganizował handel zbożowy wbrew tradycji posyłania do Gdańska. W Machnówce założył fabryki powozów, sukna, mebli, kapeluszy etc., drukarnię. Nieszczęścia publiczne i osobiste zachwiały jego interesami. Był to ostatni, który od r. 1791 nosił tytuł wojewody kijowskiego. Umarł w 1801.

polski z Druhowej. Ujrzawszy mego ojca: — „Ach! mości namiestniku! zawoła, jakże mi w. pana dobr. potrzeba było!“ — i usunąwszy się na bok: — „Czy jegomość dobr. myśli i nadal zostawać u p. wojewodzicowej (bo już nie kasztelanowa)? Czy może gdzie indziej życzyłbyś sobie tentować szczęścia?“ — „Jestem jeszcze w roku i trudno mi porzucać obowiązek tak mi dogodny i tak spokojny“. — „A jednak żebym ja w. p. dobr. naraił korzystniejszy u chorążego Kor. w Międzyrzeczu? Pełnomocny jego jw. stolnik Karwosiecki mocno mię obligował, ażebym z jegomością dobr. w tym interesie pomówił. Estymuje on wmp. dobr. wielce i radby przybrać go sobie za socjusza, oddając jegomości zarząd klucza Kiliniowskiego“. — „Mości łowczy, w niczem nie zawiodłem zaufania czcigodnej mojej pryncypałki i najmniejszej dotąd od niej przykrości nie doznałem, nie widzę więc potrzeby zmienienia miejsca; a potem, wyznam szczerze p. łowczemu dobry interes mój jedyny, jest dowieść mojej bezinteresowności i uczciwości mojego charakteru, bo to droższem mi jest nad wszelkie korzyści i zyski. Miło mi i szczycę się tem, żem potrafił służyć sobie na łaskawą opinję jw. stolnika, ale pewny jestem, że przez to odmówienie, zaszczytnej o mnie jego opinji nieutracę i może na więcej względów zasłużę“. — „E!... bo widzisz asindziej, — ozwał się nieukontentowany łowczy, — tu u nas coś na odmiany zakrawa. Słychać, że wasi nowożeńcy mają zagranicę wyjechać, może majątek puścić w posesję zechcą?“ — „Natenczas, z łaskawej rady p. łowczego dobr. korzystać nieomieszkam“, — odrzekł ojciec i na tem się rozeszli.

Po powrocie ojca do domu wszystko szło po dawnemu. Po zapustach i matka z Korca wróciła, a z Warszawy żadnej wiadomości. Tymczasem rzeczy krajowe szły gorzej, konfederacja Targowicka działała silnie, bo i król do niej, niepomny na zaprzysiężoną konstytucję 3 maja, przystąpił. Wojska pruskie weszły już do Wielkiej Pol-

ski, i już głucha wieść chodzić zaczęła, o nowych zaborach sąsiednich na naszej biednej ojczyźnie. Napływ wojsk rosyjskich coraz się powiększał i wszystkiemi szli drogami, i na Ludwipol szły pułki. Starszyźnie oficynę dworską na kwaterę dano. Wielu tych starszych poznaliśmy, trzech jednak najwięcej w pamięci zostało. Jeden, kapitan Gromow, trzy dni kwaterował i tak się w domu naszym oswoił, że z siostrami mojemi ciągle się bawił, a osobliwie ze starszą dziesięcioletnią sprytną dziewczynką, i gdy ta podając mu kawę, przelała na miseczkę, matka ją zgromiła tem słowem: „jakażeś niezgrabna!“ Odtąd kapitan ciągle ją nazywał „prekrasna niezgrabna“. Odjeżdżając, przy najczulszem pożegnaniu, samowar i funt wybornej herbaty w upominku rodzicom moim zostawił. Od niego nauczyli się użycia herbaty i poznali dogodność samowaru; ale z wyjazdem Gromowa, samowar został tylko sprzętem nieużytecznym, bo nikt się obejść z nim nie umiał. Następnie po nim był młody jeszcze bardzo porucznik, dobry chłopiec, ale jeszcze bardzo nie otarty, o wszystko co postrzegł pytał się: „co to? i na co?“ i gdy wieczorem podano świece, uderzyły go w oczy jasne, stalowe szczypce, a gdy mu siostra moja słownie tylko wytłumaczyła ich użycie, dobry porucznik, urwał knot napalony, palcami wrzucił do rozwartych szczypców, i silnie zacisnąwszy, z radością wielką zawołał: „prekrasnaja maszynka“. Nieudana była ta nieznajomość rzeczy. Był to jedynak bogatych i skąpych rodziców, wychowany w domu, jak to i u nas bywało, *domator!*

Ale jeden z tych starszych znamienitą po sobie zostawił pamięć. Był to Łabanow, brat (jak mówił o sobie) księcia Łabanowa pułkownika, mającego zimową kwaterę w Międzyrzeczu, ale się księciem nie nazywał, znać jednak było na nim i ród wysoki i staranne wychowanie. Mówił dobrze po polsku, i mnóstwo miał książek cudzoziemskich, które długo zawsze w noc przy woskowych

świecach czytywał, — jedną nawet z takowych siostrze mojej darował; później nauczyliśmy się, że to było dziełko Florjana *Galatea*. Prędko przystał do naszej rodziny i przez tydzień swego pobytu, zaprzyjaźnił się, można powiedzieć, z moim ojcem, lubił z nim gawędzić i polować. Często zamyślał się, ale tak głęboko, że nawet nieuważał co się w koło niego dzieje, i nieraz na zapytanie, ni w pięć, ni w dziewięć, jak mówią, odpowiadał. Matka moja prześladowała go, że gdzieś tam daleko w Rosji, przedmiot swoich myśli i uczuć zostawił. — „O! nie pani“ — smutnie odpowie: — nie w Rosji, nie. Ta która spokojność moją zatruła, zniweczyła życie moje, była waszą rodaczką! Kochałem ją całą miłością duszy i zdawało mi się, żem jej wzajemność posiadał. Oświadczyłem się matce, ale ani słuchać nie chciała. Nigdy, mówiła, nigdy córki mojej za w. pana nie wydam! „Cóż było robić? Ciotka mojej Elżusi i powiernica, p. Gertruda, sprzyjała mi i radą swoją pomagała. Z jej to porady, ułożyliśmy się: że wykradnę Elżusię, weźmiemy ślub, i ciotka przyjmowała na siebie przebłaganie matki. Tymczasem, zbliżał nam się czas opuszczenia Warszawy i pochód, potrzeba było pośpieszać z wykradzeniem. Dzień czwartkowy naznaczony był na spełnienie naszego zamiaru. O! nigdy ten dzień bolesny z pamięci mojej nie wyjdzie!“ — „Cóż to? przerwała matka moja, Elżusia umarła?“ — Gdyby tak było, wieczna okryłaby mię żałoba! Ale proszę słuchać dalej. Matka Elżusi, niedaleko Ujazdowskiego pałacu mieszkała, nie wielkie więc zaludnienie tej części Warszawy, układom naszym wielce sprzyjało. Noc była ciemna, deszcz lejąc dzień cały, ledwie że się ujął potrochu wieczorem. Na rękę nam była ta słota, nie mogłem jednak być spokojnym, jakieś smutne przeczucie gwałtem się do serca cisnęło. O jedenastej zostawiwszy powóz na głuchej uliczce przyległej, podszedłem ku domowi. Serce mi biło gwałtownie, twarz pałała, szumiało w uszach, a dreszcz ustawny całe ciało

przebiegał. W domu przez szpary okienic światło jeszcze błyskało. Czekałem drżący, i jak na toż, deszcz rzęsisty puścił się znowu. Nareszcie światło pogasło w domu, podstąpiłem bliżej, ciotka miała wyprowadzić Elżusię, — czekałem jeszcze. Nareszcie po godzinie może, postrzegam samą Elżusię owiniętą w salopę, zwolna wychodzącą z domu; poskoczyłem ku niej, pochwyciłem na ręce i zaniosłem do powozu. Elżusia była drżąca i zdaje mi się, że płakała; uspokajałem, całowałem jej ręce, powtarzałem moje oświadczenia i przysięgi wiecznej i wiernej miłości. Elżusia milczała, kiedy niekiedy tylko drżącą ręką, rękę moją ściskała. Konie leciały, znikały nam domy i ulice, ja nie posiadałem się z radości, chociaż w gruncie trwoga mię jakaś przejmowała. W Wilanowie czekały nas świeże konie, zatrzymaliśmy się, towarzyszka moja odchyliła kapiszon, — spójrzałem!... Sądź pani o moim przestrachu. Zamiast ulubionej, siedziała koło mnie szanowna ciocia, czterdziestoletnia i brzydka jak noc obecna, p. Gertruda. Wyskoczyłem z powozu, ciocia za płaszcz mię zatrzymała. „Nie uciekaj kochany kapitanie od tej, która ciebie jedynie kocha: tamta nigdy miłości twojej nie podzielała, a jeśli zgadzała się na wykradzenie, to jedynie dla mnie robiła, ażeby szczęście moje zapewnić, podstawiając na swojem miejscu godniejszą twojego serca. Oto masz w tym woreczku moje własne 1,000 czer. zł., mój posag, a to list, który cię o wszystkiem objaśni". Ledwiem słyszał te słowa ostatnie, zrzuciłem płaszcz i uciekłem machinalnie ściskając podany mi bilecik. Niewiem jak długo i którędy biegłem, i znalazłem się na mojej kwaterze. Służący, który jeszcze się za mną nie wybrał, zdumiony moim okropnym stanem, rozbierał przemokłego pytając, gdzie płaszcz podziałem? Opamiętałem się trochę, zacząłem powoli zbierać myśli, przypominać okoliczności, i uczułem, że mam coś w ręku, i wtedy dopiero postrzegłem mój dekret. Elżusia najgrzeczniej wyznaje, że mię wcale nie kochała, że przyjmując moje

zaloty, zaraz projekt o ciotkę ułożyła i całą tę komedję ze mną dla niej wygrała. Przeprasza mię za swój postępek, do którego i matka należała, życzy mi szczęścia w pożyciu i zapewnia o swojej przyjaźni na zawsze". — „Może jednak byłbyś wolał unieść z tej awantury woreczek z 1,000 czer. zł.?" — wtrącił żartobliwie mój ojciec. — „A niech ją licho weźmie z jej dukatami, czy mnie pieniądze były potrzebne? Wściekałem się ze złości, wyobrażając sobie, jak się musi śmiać ze mnie Elżusia; ale i w tym złośliwym uśmiechu jeszcze tysiące wdzięków znajdowałem i do zemszczenia się nie miałem serca. Przeniosłem się natychmiast na inną kwaterę, ażeby Gertruda znaleźć mię nie mogła, a po kilku dniach opuściłem Warszawę, unosząc obrażoną miłość własną, może urazę, może zawziętość, nie wiem, ale w sercu wiecznie obraz Elżusi. Dwa roki już odtąd mija, mnie to tak świeżo w pamięci, jakby dopiero wczoraj się stało". — Rodzice moi i babka wiele współczucia starali się okazać kapitanowi, ale potem razem z nim śmieli się z pociesznej jego awantury. Odjeżdżając Łabanow, całe to wydarzenie własną ręką spisane, zostawił mojej matce, — i z tego właśnie rękopisu, zapamiętawszy okoliczności, chociaż tak dawne, tu opisałem.

Jużeśmy potem przechodu wojsk nie mieli. Ucichło wszystko, ale na straszniejszą burzę się zanosiło. Prusacy zajęli Wielką-Polskę i już o podziale nowym biednej naszej ojczyzny mówiono! Smutno, wśród smutnych wieści czas uchodził, a u nas z Warszawy żadnej wiadomości, jak niema, tak niema. Nareszcie około ostatnich dni kwietnia, wrócił p. Lesiecki i pierwszą wiadomością z ust jego była wiadomość o drugim podziale Polski i o wyjeździe króla do Grodna. Wręczył potem mojemu ojcu list wojewodzica w tych słowach: „Interesa nasze tak się złożyły, że wyjeżdżamy do Poznania i dalej. Majątek Poleski puściliśmy w dzierżawę p. Lesieckiemu, jemu więc WMPan oddasz i zarząd dóbr i kasę i papiery, a sam wol-

ny od obowiązku u nas, innego szukać możesz; póki zaś go nie znajdziesz, pozwala mu się mieszkać w dworskiej oficynie. K. P.“ Zmartwił taki list moich rodziców, tem bardziej, że od kasztelanowej ani słowa. Rada w radę, ojciec tegoż samego dnia oddał wszystko p. Lesieckiemu, mieszkania nie przyjął i na zaścianku blizko miasteczka, u wdowy po oficjaliście Zawadzkim, siostry Dziusówny, najął porządny dworek, gdzieśmy się wygodnie umieścili.

Wróciła wiosna. Piękna, ciepła kwietniowa pogoda ożywiła naturę, drzewa się rozwijały i w blizkim lasku pełno już było wiosennych kwiatów; a że to już był ostatni tydzień przed Wielkanocą, to i ja byłem do domu z Korca przywieziony. Dzień był śliczny; rodzice, babka i gospodyni domu siedzieli w ganku, my biegaliśmy sobie po niewielkim, ale czystym dziedzińcu. W tem z poza domu pokazał się nam kozak dworski: był to Szełest, który z panią jeździł do Warszawy, znajomy nam dobrze, bo nieraz, a osobliwie mnie na ręku nosił i bawił. „Szełest, Szełest“ — krzyknęliśmy wszyscy troje. Obrócili się rodzice. — Kozak oglądając się ostrożnie na wszystkie strony: — „A można?“ — zcicha zapyta. — „Chodź! chodź, mój kochany! — zawołał ojciec — nie bój się“. Podszedł kozak; nizko się pokłonił, każdego w rękę pocałował. — „Cóż tam u was? masz jaki list?“ — „Mam, od p. Dziusówny. O, nie dobrze tam u nas w Warszawie. Pełno zgrai, a pani odkiedy poszła za p. wojewodzica, zawsze płacze po kątach; a on na wszystkich swarzy się, łaje na panią fuka; jedna tylko panna kasztelanka jego się nie boi, ale jej teraz niema, jeszcze w klasztorze, to też pan strasznie się gniewa, a z madamą coś raz wraz szwargoczą. Jeszcze to było jako tako, póki był p. Węgierski, ale on po zapustach wyjechał w Krakowskie i u nas teraz takie nieszczęście“. — Rozpieczętowała matka list Dziusówny, w którym donosi, że ostatnich dni lutego pani powiła syna, że na wojewodzicu nie było widać ojcowskiej radości, i że nawet wymógł na żonie, ażeby w maju dziecię odesłane było z mamką do dóbr Poleskich, lub odda-

ne było komu z sąsiadów. Pani żądała, żeby tobie oddać go zupełnie na wychowanie, ale wojewodzic ani chciał tego słuchać. Dla czego syna usuwa od starań i pieszczot matki, od swojego oka, jest zagadką, której nikt odgadnąć nie zdoła. Mały ma imię Juljusz, i śliczne dzieciątko! Z tego na co tu patrzę, przewiduję, że nas coś jeszcze okropniejszego czeka. Mamy wyjeżdżać do Poznania. Pani smutna, wojewodzic coraz nieznośniejszy, wziął panowanie nad wszystkiemi; jedna tylko Poneta mu nie ulega. P. Węgierski nas opuścił, — jakże to opuszczenie czujemy! On umiał jeden trzymać naszego despotę na wodzy. P. Eleonora wróciła z Włoch i wzywa nas na wieś do siebie; jutro wyjeżdżamy, a tam zabawiwszy czas jakiś, do Poznania na mieszkanie. Coś tu bardzo często i o Berlinie mowa, czy nie myślą i tam się udać? O! upadam do nóg! pomiędzy szołdrów, Lutrów, jechać nie myślę; a jeżeli mię do Ludwipola nie odeszlą, to tu zostanę, i albo dogodnego sobie miejsca szukać będę, albo wstąpię do klasztoru. Ale, ale, jeszcze jedna rzécz. Posesja Lesieckiego jest tylko komedją, a istotnie z narady jego z wojewodzicem wypadło, ażeby się was pozbyć, bo pani wymówiła się, że z waszej rady Ponetę wywiozła i że do powrotu siostry gościem była u matki, na co wściekał się wojewodzic i na was się pomścił. Pani długo na wasze usunięcie zgodzić się nie chciała, ale po wyjeździe p. Węgierskiego, dla spokoju domowego ustąpić musiała. Kazała mi wam to napisać i upewnić, że w jej sercu też same przyjazne uczucia na zawsze zachowa. — Bądźcie zdrowi! do zobaczenia, daj Boże. T. D.“ — I Szełest o tym wyborze mówił, i to nie uszło jego uwagi, że wojewodzic i kasztelanka mają się do siebie i że nawet sama pani zdaje się to zauważyła. Szełest uwolniony od służby dworskiej, miał pozwolenie od samej pani służyć u mego ojca. Przyjął go chętnie, bo był przywiązany do nas, zręczny i stateczny chłopiec, a ojciec mając przed sobą częstą podróż dla szukania obowiązku, właśnie takiego sługi potrzebował.

Po świętach, ojciec odwiózł matkę i mnie do Korca,

siostry z babką zostawił, a sam to wyjeżdżał, to wracał, szukając obowiązku. W czerwcu matka wróciła do Ludwipola, pooddawszy siostry swoje: starszą do szambelanowej Strojnowskiej do Zytynka, młodszą do p. wojewodziny Walewskiej do Tuczyna, a że wuj miał potrzebę wyjechać na Ukrainę, więc i ja z matką wróciłem. Nie dała mi matka próżnować i wszystko, com się uczył przy Skoczkowskim, przy matce powtarzałem, a czasem siostra starsza matkę zastępowała, i oprócz tego poduczywszy się sama czytać po francusku przy p. Węgierskim, mnie swojej umiejętności udzielała. Miło nam lato na wsi schodziło. Co rana z babką i matką godzinę klęcząc modliliśmy się, potem ja brałem się do moich lekcji, siostry przy matce siadały z robotą. Wieczorem była przechadzka do sąsiedzkiego lasku. Ojciec mój za każdym powrotem przywoził wiadomości krajowe, najczęściej smutne, czasem jednak jakąś nadzieją ożywiające. Nie mówiono jednak nic przy dzieciach, i tylko niepocieszające wieści poznawaliśmy po smutku naszych, a lepszych następstwem była dziękczynna modlitwa przed obrazem Zbawiciela. Odwiedzali nas sąsiedzi, nie zmienni w uczuciach, przy zmianie naszego losu; ale najmilsze dla nas, w naszem ustroniu były odwiedziny p. wojewody Kijowskiego, który umyślnie dla widzenia moich rodziców kilka mil zboczył z drogi. Interesa p. Potockiego w okropnym już były stanie, i on sam mocno był zmieniony, zacnej jednak duszy jego okoliczności nie zmieniły. Użalał się przed matką moją, że wojewodzina go porzuciła, że kim innym zajęta, chce iść do rozwodu, że dla naradzenia się wyjechała do Tuczyna, do p.p. Walewskich, i że on tam za żoną dąży. Powtórzył matce mojej, obietnice względem mnie dane ojcu na kontraktach, i zostawił 15 czer. zł. dla mnie na książki, nim lepsze czasy obietnicę spełnić dozwolą. Egzaminował mnie z tego, com się uczył, i pogłaskawszy po głowie powtórzył to znane nam wyrażenie, jakoby Stefana Batorego: disce puer! ego te faciam Mościpanie. Smaczno podzielał nasz skromny obiadek, a po-

żegnawszy nas czule, z żalem naszym i błogosławieństwami odjechał.

Nie mogę tu pominąć jednego dziwnego wydarzenia, na które zbliska patrzaliśmy, a które na moim młodocianym umyśle silne zrobiło wrażenie i całe życie w pamięci utkwiło. Obok naszego dworku, mieszkał bogaty włościanin Ohij imieniem. Najzamożniejszym był we wsi, wszystko mu się wiodło, miał kilka córek i jednego 4-letniego synka Iwasia. Znaliśmy to piękne dziecię, bo często do nas zabiegał. Wszyscy go lubili, i zawsze był u moich rodziców dla niego kawałek pięknej bułki, albo cukru, albo obwarzanek. Ohij miał węża domowego, który ssał krowę i zawsze wyłaził do dzieci i z jednej z niemi miski mleko popijał. Mały Iwaś nie bał się węża i owszem lubił go, a gdy wąż do miski się przysuwał, malec brał go za głowę i bijąc łyżką: „nie pij ptasiu mleka“ — mówił. Widywaliśmy nieraz tę scenę i sami z wężem oswoiliśmy się. Zdarzyło się, że Ohij przyjął nowego parobka, ten dostrzegłszy węża ssącego najpiękniejszą z trzody Ohija krowę, nic nikomu nie mówiąc, skoro się wąż od krowy oddalił, ubił go i wziąwszy na kij przyniósł do izby, ażeby się oddaną usługą pochwalić. Splasnęła rękami biedna Ohijowa i słowa przemówić nie mogła. Iwaś chwycił węża, a dziwiąc, że się nie rusza, z wielkim płaczem wykrzyknął: „niema ptasi!“. Po trzech dniach ryku i niejednym płaczu powtarzając: „niema ptasia“ — życie zakończył. Rozpacz rodziców była nie do opisania, i my sąsiedzi szczerześmy ich żal podzielali.

W końcu lata, jednego wieczora pod niebytność mojego ojca, po odmówionych pacierzach, wszyscy siedzieliśmy sobie na ganku; wtem otwierają się wrota: Krakowska bryka z budą zajeżdża prosto przed ganek, z niej wysiada dama porządnie ubrana, i rzuca się w objęcie mej matki, a potem p. Zawadzkiej. „Dziusówna! siostra! zawołały obie razem. W rzeczy samej była to Dziusówna, zadziwił wszystkich jej przyjazd, a po mocno wypakowanej bryce, poznać było można, że już zupełnie do domu

wróciła, co i natychmiast oświadczyła siostrze. „O! nie macie wyobrażenia okropności, na jakie przez te kilka miesięcy oczy moje patrzyły!“ — „A kasztelanowa? — zapytała żywo matka moja — cóż się z nią dzieje? — „Módlcie się za nią!“ — „Jakto? nie żyje?“ — „Żyje ciałem, ale umysł jej uległ pod ciężarem trosk i zgryzot. Zwarjowała!“ — „Jak? co? mów! mów, kochana Teklusiu!“ — „Pisałam do was, że się wybieramy do Poznania i tak się stało. Zabawiwszy w Omęcinie u p. starościny Eleonory, najprzyjemniejszych dwa tygodnie, na usilne nalegania wojewodzica wyjechaliśmy na mieszkanie do tego przeklętego Poznania, i szczęśliwie stanąwszy, rozlokowaliśmy się w kamienicy naszego pana, i od pierwszego dnia uczuliśmy nad sobą żelazną jego rękę. Poneta miała zostać u siostry, ale wojewodzic tak umiał zawładnąć wolą swej żony, że córkę z sobą wziąć zmuszoną była. O! czemuż Bóg nie natchnął ją stałością i uporem w tej okoliczności! Teraz, odkryło się jawnie, cośmy dotąd tylko podejrzewali! wojewodzic oddawna kocha się w pasierbicy i jej wzajemność posiada. Zaślepiona matka długo tej intrygi nie dostrzegała, i nikt jej w tem ostrzedz nie poważył się. Piekło wrzało w domu przez dwa miesiące; nakoniec, jednej nocy wojewodzic i kasztelanka zniknęli. Co się u nas wtedy działo, opowiedzieć nie umiem. Bóg mię natchnął przytomnością i męstwem uzbroił. Posłałam po ks. prałata Wolickiego, koligata i wielkiego przyjaciela pani, i sztafetę wysłałem do p. Eleonory. Trudno było znaleźć środki wlania jakiegokolwiek pokoju do duszy nieszczęśliwej żony i matki; ani słodkie i bogobojne refleksje ks. prałata, ani najczulsze starania i pieszczoty drugiej córki, nie wywołały uspokojenia w udręczonem macierzyńskiem sercu. Ale to, co nas czekało, było jeszcze straszniejsze. Starościna zabrała nas na wieś; tam otoczyła matkę najrzewniejszą i najgorliwszą troskliwością, i usuwała wszystko, coby jej ranę rozdrażnić mogło. Kasztelanowę opuścił ten pierwszy wybuch silnej rozpaczy, zimna tylko i cicha boleść została.

Serce uciśnione, we łzach ulgi nie miało, sen ją odstąpił, umysł upadał pod ciężarem cierpienia. Obojętna na wszystko, na wszystko zimnem okiem spogląda, a o ile pierwej wyrzekała na męża i córkę, tyle teraz wspomnienia ich unika! Religja nie przyszła w pomoc udręczeniu i nie otarła łez rozpaczy. Dwa tygodnie przeszło bez żadnej odmiany. Ledwie kiedy na kilka minut sen zamykał jej oczy, i natychmiast budziła się z nowem cierpieniem, tem straszniejszem, że w ponurem milczeniu. Cierpiało serce, umysł upadał, ciało jedno zdrowe i czerstwe zostało. Wyobrazić sobie nie możecie, jak wpośród tych udręczeń piękną była. Na jej twarzy ani wieku, ani śladów cierpienia nie widać było. Ale nadeszły dni okropne. Była to niedziela. Po przepędzonej bezsennie nocy przy pani, poszłam tylko przebrać się do mego pokoju; lecz zaledwie bieliznę zmieniłam, i narzucić zdołałam suknię, aż wbiega pokojowa p. Eleonory z krzykiem: „Ach! p. Dziusówna! biegnij, ratuj moją panią, bo umiera“. Nie wiem już jak wleciałam do pokoju starościny, zastałam ją leżącą na kanapie w okropnej opresji serca. Mąż z całem przywiązaniem i najczulszą troskliwością niósł jej ratunek. Skoro mię postrzegła. — „Dziusiuniu! — zawołała — Poneta została Kalwinką i ślub wzięła z Karolem!“ — „A poczwary! — przerwała opowiadanie babka moja; — o Boże! i tyż to cierpisz! przeklęci!“ — I jam toż pomyślała, a możem i wyrzekła — mówiła dalej Dziusówna — tego nie pamiętam, bo com uczuła, opisać nie umiem. Uspokoiwszy nieco starościnę, i gorzko z nią zapłakawszy, pierwszem mojem staraniem było, otoczyć kasztelanowę ostrożnością, ażeby ta wieść do niej nie doszła. Ani na krok jej nie odstępowałam, tem więcej, że p. Eleonora nie miała ani dosyć sił, ani dosyć męstwa odwiedzić matkę. Sam starosta podzielał czas swój między żoną i kasztelanową; a to serce anielskie, ta dusza szlachetna, oddała się cierpieniom drugich. Kilka dni tak przeszło. Jednej nocy, o Boże! straszno wspomnieć... siedziałam przy pani, nie imał się sen moich oczu, snuły się czarne myśli, do modlitwy

ducha zebrać nie mogłam. Już było po północy; dziewczyna służąca weszła po cichu dając znać, że w przyległym pokoju staruszka jakaś chce ze mną mówić. Ze wstrętem jakimś słuchałam tego wezwania, odprawiłam dziewczynę i zostałam przy pani; ale po chwili pokazała się we drzwiach uboga głucha staruszka, którą pani bardzo lubiła, wiele ją wspierała. Podeszła ku drzwiom, dając jej znak, żeby się nie odzywała, bo kasztelanowa od wyjazdu Ponety, pierwszy raz spokojnie usnęła. „Pójdź, odpocznij trochę w drugim blizkim pokoju; ja tu posiedzę i pani pilnować będę". — Nie bardzo się opierałam jej oświadczeniu, bo znałam ją i nieraz już w słabościach pani przesiadywała z nami po nocach; ani spójrzałam na twarz staruszki, w ledwie słabo, jedną lampą oświeconym pokoju. Dawszy się namówić do spoczynku, zostawiłam ją na mojem miejscu i w przyległym gabinecie rzuciwszy się na sofę, mocno zasnęłam. Jak długo trwał mój sen, powiedzieć nie potrafię, ale krzyk przeraźliwy w pokoju pani uderzył moje uszy i ze snu obudził. Zerwałam się i jednym krokiem byłam przy jej łóżku. O! straszno powiedzieć, wspomnieć straszno! Lampa stała na gierydonie przy łóżku, pani w najokropniejszych konwulsjach miotała się na pościeli; staruszki już nie było, a na posadzce koło stolika leżał list otwarty i zmięty. Porwałam go bez myśli, i w pierwszych słowach wyczytałam przyczynę okropnego stanu kasztelanowej. Nieprzytomna sobie, zamiast nieść ratunek cierpiącej, krzyczałam na cały głos wzywając pomocy. Zbiegli się słudzy, nadbiegli starostwo. Na szczęście doktór, przyjaciel ich i sąsiad, z własnej woli odwiedzający państwa, znalazł się pod ręką, i zajął się troskliwie ratunkiem kasztelanowej. W niemem osłupieniu czekaliśmy wyroku doktora. Po dwóch śmiertelnego oczekiwania godzinach, wróciło życie, ale zdrowie umysłu nie wróciło! Gorączki żadnej nie miała, ale nie poznawała nikogo, mówiła od rzeczy, śmiała się, śpiewała, zrywała się z łóżka — „Puśćcie mię! — wołała, puśćcie! na wesele Ponety! O, idą do ślubu; moja córka z Karo-

łem, jaka piękna para! jak pięknie postrojeni! Ale gdzież mój Adaś? gdzież mój Julek? O! jego matka nie warta była mieć go obok siebie! O! biedny Julek! biedna matka! Ale wy cicho! cicho! nic, nic o tem! nie gadajcie, bo będzie wam od p. wojewodzica, będzie bieda, wielka bieda!... Hej Karolu! dalej na twojem z Ponetą weselu, dalej ze mną Menuette à la Reine! ze mną. Czegoż się odwracasz? Nie poznajesz Ludwiki? Czym ja nie twoja? Twoja i nowa Heloiza... A nasz Julek, śliczne dziecię! niedźwiedziom Ludwipolskim oddamy go na edukację, i znowu będzie wesele Ponety z Julkiem. Wesele, wesele! muzyka, graj skocznego!" — Takie i tym podobne brednie plotła kasztelanowa, śpiewała, klaskała w ręce, zrywała się do tańca i znowu wpadała w bezsilność i okropne osłupienie. Po trzech dniach nakoniec oświadczył doktór państwu, że warjacja się zupełnie zdeklarowała, że ten stan obłąkania pochodzący z tak silnych uderzeń na umysł, był nieuleczony, a że konstytucja ciała mocna i żadnym defektom nie podlega, ta choroba długie lata pociągnie. Biedna p. Eleonora ciężko ten cios odcierpiała, aniby więcej na zgon matki uczuć i boleć mogła; nie odstępowała jej jednak i ja z nią czuwałam, ale pilnując chorej pani i sama na zdrowiu upadać zaczęłam, musiałem więc żądać uwolnienia. Widziała to starościna, i choć z żalem, na moje oddalenie zezwoliła. Panią umieszczono na pensji u Sióstr Miłosierdzia, a mnie, hojnie udarowaną, ze łzami pożegnawszy, przez Galicję do domu wyprawili. O! złote to serce tych p.p. Jaraczewskich. Wspomnieniu ich dobroci, w sercu mojem, towarzyszy zawsze modlitwa, aby im Bóg błogosławił. Z Brodów odesłałam im powóz, ludzi i konie, a tym Żydem najętym tu do was przyjechałam". — „A list od kogo był? cóż się ze staruszką zrobiło?" — zapytała moja matka. — „List był bez podpisu i bez daty, a staruszki nigdzie odszukać nie mogli".

Tyle było opowiadania Dziusówny, przerywanego częstemi łzami, opowiadającej i słuchaczów, — i na tem skończyła się historja smutna kasztelanowej, której ser-

ce i umysł najpiękniesze, idąc po drodze życia ówczesnem wychowaniem wytkniętej, zmyliły się, i obłąkały, a religja ich nie wspierała. Kilka lat jeszcze męczyła się kasztelanowa; a o wojewodzicu wieść chodziła, że się sam zastrzelił.

ROZDZIAŁ IV.

Tuczyn.

Pierwszych dni września, ojciec mój miał już obowiązek marszałka dworu u p. wojewody Sieradzkiego Michała Walewskiego w Tuczynie, z rekomendacji w. Prota Potockiego, który nie mogąc nic sam pomódz mojemu ojcu, u przyjaciela go umieścił. P. wojewoda Sieradzki, był to pan, prawdziwy pan. Imię jego piękną zajmuje kartę w dziejach naszych za panowania ostatniego króla. Imię to, ze czcią jeszcze wspominają sąsiedzi obywatele, którzy go pamiętają; bo dzisiejsze pokolenie, jak obojętnem okiem spogląda na pamiątki narodowe, tak i mężów dostojnych, przed półwiekiem żyjących, ledwie kiedy z nazwiska pamięta. P. wojewoda skoligacony był ze wszystkiemi domami pierwszych magnatów Wołyńskich i od wszystkich kochany i ceniony wysoce, a rady jego były prawie wyrocznią. Nie liczył nieprzebranych dostatków i wielości ziem obszernych, jakiemi ukraińscy bogacze słynęli, bo cała fortuna jego, trzech miljonów zł. nie dochodziła; żył jednak okazale, po senatorsku, jak to naówczas jeszcze mówiono, jako mądry, przezorny i sumienny gospodarz. Zamożność włościan Tuczyńskiego klucza wzorowa na całą okolicę, wzbudzała smutne uczucie zawiści we włościanach sąsiednich majętności. Pięknie utrzymał i spadkobiercom swoim zostawił czystą nieobciążoną fortunę. P. wojewoda od niewielu lat jeszcze zamieszkał w Tuczynie, przedtem pobyt jego ciągły był w Krakowskiem, skąd cały ten dom pochodził, i teraz jeszcze miał tam dobra i dlatego, to w nich, to na Wołyniu przemiesz-

kiwał. Piękna to była ta majętność Tuczyńska: ziemia żyzna, lasy obfite i stare, rzeka Horyń donośna, obracała ogromnie intratne młyny. Sześć było folwarków w nich umiarkowanej obszerności, łany wybornie zawsze uprawione, bogatym plonem nagradzały trudy uprawy. — Na folwarkach, panie ekonomowe utrzymywały pacht bydła i drobiu, skąd i oznaczone dyspartymenta obficie wystarczały na pańską kuchnię, i znaczna część pachtu sprzedawała się po jarmarkach na korzyść skarbu, i p. ekonomowa miała jakie sto złotych uczciwego zarobku. Ale p. ekonomowe ówczesne, nie sadziły się na modne kapelusze, salopy: dyma domowa na codzień, od święta jakaś kartonowa sukienka, rzadko wełniana, a jedwabna darem chyba tylko była jw. pani za porządne prowadzenie pachtu. Sto złotych rocznie brał ekonom, znaczną ordynarję i wolność przychowku bydła i koni. Ten ostatni artykuł tak podniesiony u chorążego Kor. dla tych tylko ekonomów i innych oficjalistów miał względy, których zauważał przyjeżdżających do kościoła porządną bryczką i dobremi końmi. Umiarkowane życie, nieskrzywione naśladownictwem panów; pozwalało szlachcie i utrzymać się stosownie do położenia swego i jakiś grosz na przyszłość oszczędzić. Ale bo też i pieniądz w owych czasach był drogi. Dziś 150 rubli jest bagatelą, a tamtych czasów 1000 złotych był piękny posażek szlacheckiej panienki, z którym i na posesję iść można było. To był jeszcze wiek XVIII! I położenie Tuczyna dziwnie piękne. Na obszernej błoni łąk, Horyń kilku korytami zawracał się i skrytemi nurtami liczne tworzył jeziora. Brzegi wód zarosłe rozmaitemi wierzbami, srebrną i czarną topolą, przerywały jednostajność zielonej równiny. Od prawego brzegu rzeki wysokie wznoszą się nadbrzeża okryte gajami. Na jednym z takowych wznosi się pałac wojewody wielki i wspaniałej budowy, i przybywających z za Horynia zdaleka w oczy uderza. Gmach ten, nie wytrzymałby zapewne ścisłego estetycznego względu, ale całość była gustowna i okazała. Przed pałacem obszerny dziedziniec, za

nim wielka droga, za tą znowu dziedziniec, a na nim budynek nieco od pałacu mniejszy, mający na dole stajnie, na górze porządne mieszkania. Pałac Tuczyński był może największym z pałaców wołyńskich, i póki żył wojewoda, miał ten gmach jakiś pociąg dla wszystkich; dziś, w trzeciem od tego czcigodnego pana pokoleniu, w ruinie!..

P. wojewoda dwa razy wdowiec po Walewskiej i Turównie, żonaty z trzecią z domu Michałowską, wdową po Ślaskim; z pierwszej miał dwuch synów Józefa i Wojciecha i córkę Teodorę, po raz drugi zamężną za ks. Stanisławem Jabłonowskim. Pierwszy jej mąż był Stecki, chorąży koronny, pan ogromnej fortuny, sąsiad wojewody i lat z nim prawie równych; z tym się rozwiodła, i pozostałą z nim córkę Dorotę przy sobie starannie wychowywała. Rozwód nie zniweczył przyjaźnych stosunków, jakie do zgonu i księżna dla chorążego i on dla księżnej dochowali. Z Turnówny miał p. wojewoda syna Hieronima i dwie córki Teresę i Karolinę, obie panny w młodym jeszcze wieku. Z synów, żaden nie był żonaty, a wszyscy trzej, daleko od domu, w kawalerji narodowej służyli.

Rzeczy narodowe szły coraz to gorzej, zmniejszona drugim rozbiorem Polska, liczyła jednak jeszcze 11 województw w Koronie, a ośm na Litwie. W ręku przezornego i gorliwego rządcy, co za piękna fortuna jeszcze! Ale Bóg na ukaranie nierządu naszego i niedbałości o dobro ojczyzny, zesłał nam króla, którego dość długie a nieszczęśliwe panowanie, wymazało nas z liczby państw europejskich, i bolesne dalekim nawet pokoleniom wspomnienie zostawiło. Budził się jednak w Polakach duch miłości ojczyzny. Naczelnik Kościuszko z ostatkami wojsk narodowych bronił upadającej matki. Wysilali się prawi obywatele na poświęcenie bez granic: majątki, swobody, życie nieśli w ofierze, na zachowanie tej reszty kraju, niegdyś tak potężnego i sławnego. Właśnie w tym czasie p. naczelnik był na Wołyniu. Odwiedził on w Równem księżnę Józefową Lubomirską z domu Sosnowską. Kiedyś,

dawniej, księżnę i Kościuszkę łączyły ogniwa miłości i nadzieja poprzysiężenia sobie wiary w obliczu ołtarza, ale los inaczej zdziałał. Kościuszko walczył pod chorągwiami Washingtona; panna Helena Sosnowska z woli rodziców oddała rękę ks. Józefowi Lubomirskiemu. Ale bohater walczył z całem poświęceniem się, z całą energją wielkiej duszy; Helena wyszła za mąż bez żadnej skłon-

Jan Stecki.
Chorąży wielki koronny.

ności dla księcia i serce unosiło uczucia jej na drugie półsferze. Ani czas, ani okoliczności uczuć ich nie zmieniły; przygasła miłość lat młodych, i wiele, wiele lat potem szacunek wzajemny, przyjaźń braterska, jednoczyły tych dwoje zacnych ludzi. Wieść o przybyciu Kościuszki do Równego, w parę godzin obleciała całe sąsiedztwo. P. wojewoda wybierał się także. „Wypada i w. panu, rzekł do

ojca, prezentować się p. naczelnikowi, wszak także służyłeś w wojsku, a takiego męża widzieć i poznać i honor jest i szczęście". Rozmowa ta była na ganku pałacowym; ja stojąc blizko słyszałem. Lat mnie było już ośm, i młodemu sercu nie obce były uczucia ożywiające serca rodziców. Skoro ojciec odszedł, podbiegłem do p. wojewody i rzuciłem się do nóg jego. Zdziwiony pan, podnosi mię i słowami pełnemi ojcowskiej dobroci: „Czego chcesz moje dziecię?" — zapyta. — „Widzieć Kościuszkę". P. wojewoda poglądał na mnie z czułością. „Maszże ty piękne ubranie?" — „Mam mój mundur" — „Dobrze". — Posłał pan po mojego ojca. „Proszę w. pana wziąć także do Równego i Antosia, a ubrać go w jego mundurek". — Zdziwił się ojciec, skąd to polecenie, ale ja zaraz przyznałem się do mojego postępku; chciał mię ojciec połajać, ale i śmiech go brał i miłą mu była moja śmiałość. Nigdy nie wyjdzie z pamięci mojej ta ważna epoka mojego dzieciństwa! Przemarzyłem noc całą. Znałem rysy twarzy Kościuszki, bo byłże choć jeden dom od najbogatszych do najuboższych, gdzieby wizerunku tego bohatera nie było? Nazajutrz o 9-tej wyjechaliśmy, i tę odległość dwuch mil od Tuczyna do Równego szybko przebyliśmy. Cóż to za dzień był uroczysty. Co za okazałe zebranie znakomitych obywateli, co za świetne towarzystwo dam! Jakieś niewypowiedziane uczucie czci, uwielbienia i nieograniczonej ufności dla naczelnika, grało w obliczu mężów. Płci pięknej uczucia łzami się objawiały. Wszedł p. wojewoda, bratersko się z p. naczelnikiem uścisnęli. — „P. namiestnik kaw. nar. z regimentu Szczepana Turny, p. Dietiuk"— rzekł p. wojewoda przedstawiając mojego ojca; — „po zwinieniu wojsk naszych w Ukrainie, nie przyjął służby w wojsku imperatorowej, i teraz zostaje na moim dworze". Kościuszko podał rękę mojemu ojcu, rozmawiał z nim, ale ciągle patrzał na mnie, i nie dziw, byłem bowiem osobliwością w mojem dzieciństwie. Włosy moje nadzwyczaj czysto czerwone, kręciły się wolno w duże kędziory wokoło twarzy pełnej, świeżej, rumianej, ponad duże-

mi błękitnemi oczami, w ciemne oprawnemi rzęsy. Było tam wiele równolatych chłopczyków, z którymi piękną urodą ani mi w porównanie iść można było: fizjonomja moja przecież ściągnęła na siebie uwagę p. naczelnika. „To synek w. pana?“ — zapytał mojego ojca“. — „Tak

Tadeusz Kościuszko.

jest jw. naczelniku“. — Kościuszko wziął mię za rękę i przyprowadziwszy do księżnej, — rzeknie — nic podobnego jeszcze widzieć mi się nie zdarzyło, to osobliwość! Bo rude włosy bardzo często zdarzają się i przechodzą familijnem następstwem, ale to, to jest żywy kolor ognia“.

Pyta mię potem: — „Na cóż ten mundur nosisz?“ — „Bo mię starosta Turno zrobił towarzyszem kawalerji narodowej“. — „Maszże ochotę służyć w wojsku?“ — „Jak podrosnę.“ — „A na wojnę pójdziesz“ — „Za Kościuszką i za Kościuszkę!“. — Ojciec zmięszał się tą moją odpowiedzią tak śmiałą, ale p. naczelnik, pogłaskał po twarzy, objął ognistą moją główkę i w czoło pocałował, poznał bowiem, że moje słowa wiernie oddawały uczucia tych, którzy mię wychowali. Wziął potem brzoskwinię ze stołu i dał mi mówiąc: „to lepsze, niż kule na wojnie“. Pocałowałem go w rękę i rówieśnicy wzięli mię do swego koła. Odpowiedź moja Kościuszce nie była żadnym wyskokiem dziecinnego dowcipu, było to hasło wszędzie powtarzane, nauczyłem się go ze słuchania, wierna pamięć w swoim czasie ustom go poddmuchnęła, a w ustach ośmioletniego dziecka naiwną się wydała. — Wyjeżdżającego naczelnika ze łzami żegnali, a błogosławieństwa duchownych, obywatelów i pospólstwa powóz jego otaczały. Nadzieja kraju była jedynie w tym wielkim mężu! — Kościuszko był więcej niż miernego wzrostu, rysy twarzy mniej kształtne, pełne były życia i wyrazu cnót zdobiących bohatera naszego. Nie wiem, czy wrażenie, jakie zrobiły na młodej wyobraźni rysy uwielbionego męża, czy napatrzenie się później na jego portrety, ale rysy te pamiętne, tak zostały mi obecnemi, że nie tylko podówczas z łatwością rozróżniałem portrety podobne od niepodobnych, ale i dziś jeszcze po upływie lat tylu, rysy te żywo wydatne w pamięci mojej zostały.

Kiedy tak w kraju panował duch męstwa i poświęceń, kiedy świątynie Pańskie rozlegały się modłami o zbawienie ojczyzny, w Ukrainie i bracławskiem wrzał duch Targowicki. Nie wiele obywateli z województw Wołyńskiego i Podolskiego zgubny akt tej konfederacji podpisało. P. wojewoda Sieradzki, na wezwanie Szczęsnego Potockiego, temi słowy odmówił: „Widzę chylącą się do upadku Polskę; wszyscy trzej synowie moi walczą w jej obronie; i ja byłbym z nimi, gdyby mię starość nie przygnia-

tała. Czuję żal do króla, ale nie mniej przeto kocham moją ojczyznę! Do aktu konfederacji nie przystąpię, bo jej cel ani z mojem przekonaniem, ani z mojemi uczuciami się nie zgadza. Kto podczas Barskiej konfederacji za swobody kraju piersi nadstawiał, kto przywodził Krakowskiej, kto ustawy 3 maja ze czcią religijną przyjął, możesz bez hańbienia się Targowicki akt podpisać? Los naszej ojczyzny jest w ręku Boga! jednem skinieniem może ją podźwignąć i zbawić. A jeżeli podoba mu się wymazać ją z listy narodów, to, z czołem pokornie schylonem i bijąc się w piersi ze łzami, jako plagę sprawiedliwości Boskiej za winy nasze i ojców naszych przyjmując, oczekiwać będę pod strzechą moją, jak los tę sprawę rozstrzygnie. Synów nie odwołam, niech bronią upadającą ojczyznę za mnie i za siebie. A kiedy już i piędzi ziem swobodnej nam nie zostanie, zdam się na wspaniałość wielkiej monarchini. W troskach moich, ta mi zostanie pociecha, że ręka moja nie łączyła się do rąk, które ojczyznę naszą do grobu wtrąciły". List ten z archiwum ś. p. wojewody wypisałem, a później u p. Franciszka Chrząszczewskiego własnoręczny oryginał ze czcią winną czytając, ze łzami ucałowałem ślady ręki nieocenionych cnót męża. Odpowiedź ta świadczy o szlachetnym sposobie myślenia, i zbija zarzuty, jakie zawiść na tego dostojnego męża potwornie rzuciła.

Kiedy ojciec mój objął obowiązek w Tuczynie, bawiła tam przez całe lato p. wojewodzina kijowska Potocka, córka księcia Kaspra Lubomirskiego. Dziwnie to piękna była pani i anielskiej dobroci. Wdziękami swemi mogłaby była i nad panującym panować, ale ukochała jednego i poświęcając związki małżeńskie, ojczystą ziemię i wszystko, rękę mu swoją oddała. Pani Potocka wezwała p. wojewodę z żoną, całą rodziną i całym dworem do Zwiahla, gdzie p. wojewoda Sieradzki między rozwodzącymi się polubownie interesy układał. Cała zima przeszła w Zwiahlu. Zjazd był wielki, sale i stroje świetne, ani pomyśleć można było, że tam się agituje sprawa ważna o losy tak

znakomitych osób, i że okoliczności krajowe tak były zasmucające. Przeszła zima i wiosenny zawitał skowronek. Rozjechali się goście ze Zwiahla. Rodzice moi zostawiwszy mnie w Korcu, wrócili do Tuczyna, p. wojewoda z żoną i z córkami udał się do dóbr swoich w Krakowskiem i tam wkrótce rozwiódł się z trzecią żoną. Ciotka moja będąca przy wojewodzinie, wróciła do Tuczyna z wojewodziankami, i odtąd jako rezydentka przy nich została. P. wojewodzina nie mogąc jej przy sobie zatrzymać udarowawszy ją wspaniale, ze łzami z nią się rozstała. P. wojewoda w miesiąc dopiero po córkach wrócił do domu.

Rok 1794 czarną kartę dziejów naszych przedstawia: klęski jedne po drugich, powstania, upadki, rzezi, wysilenia ostateczne poświęconych obronie kraju, były to wieści wyciskające łzy Polaków i grożące nieuniknionem powszechnem nieszczęściem! Kościuszko jeszcze walczył, jeszcze nadzieja jakaś go ożywiała. Ale uderzyła fatalna godzina. Bitwa i klęska pod Maciejowicami ostatnią zniszczyły jego nadzieję. Bohater Kościuszko dostał się w niewolę. Rozległa się Wielka i Mała Polska boleśnym płaczem nad klęską stanowiącą zupełny upadek, nad uwielbionym wodzem. Wołynia jeszcze ta wieść nie doszła. Najmłodszy syn p. wojewody Hieronim, ledwie z Collegium nobilium wyszedłszy, zaciągnął się pod chorągwie narodowe. Bił się mężnie młodzieniec, zasłużył rangę porucznika, i pod Maciejowicami dostał się w niewolę. Odartego przez kozaków z munduru i przyodzianego w stary kozacki długi i szeroki ubiór, pędzono wraz z innymi jeńcami do Lublina. Pędzący jeńców Dońce znęcali się nad biednym młodzieńcem, a naśmiewając się z postaci niedzwiedziej w okropnym tym stroju, tańcować mu z sobą kazali. Wywijał kozaka z Dońcami pierwszy uczeń Skurczyńskiego, łzy lały się po twarzy, serce mu się z boleści krajało, a nogi skakać musiały. Nie uszedł uwagi oficera prowadzącego oddział, taniec wojewodzica, i z większą odtąd dla niego był delikatnością. W Lublinie stawiono jeńców przed jenerałem Ferzenem. Na szczęście wojewo-

dzica, przy Ferzenie adjutantem był Gruszecki, który po zniszczeniu wojsk naszych na Ukrainie, przeszedł w służbę rosyjską. Poznał on młodzieńca, bo dawniej nieraz w domu wojewody miłego doznał przyjęcia, wyrobił mu więc pierwszeństwo przedstawienia. Biedny szesnastoletni Heruś małego wzrostu, dziwnie wyglądał w ogromnym stroju kozackim, do tego z natury zająkliwy, w przelęknieniu ledwie kilka słów wyjąkać potrafił.

„Kto ciebie oddał do wojska?“ — zapytał Ferzen. — „Ja sam“. — „Dla czego?“ — „Ażebym bronił mojej ojczyzny“. — Zamilkł jenerał; po chwili znowu zapytał: —„Cóż mam z tobą zrobić?“ — „Do papy odesłać.“ — „Gdzie mieszka twój papa?“ — „Na Wołyniu“. — „Jakiż będzie okup za ciebie?“ — „Papa da p. jenerałowi tysiąc złotych“. — „Nie drogi z ciebie towar, ale cóż ty umiesz?“ — „Nic“. — „Umie pięknie tańcować“, — ozwie się oficer prowadzący oddział. — „A więc tańcuj!“ — rzekł jenerał i muzyka huczno zabrzmiała kozaka, a biedny Heruś z płaczem puścił się w uczone skoki. Lekkość i zwinność młodzieńca, choć w tak ciężkim stroju, wybór kroków, któremi w pośród uczniów sławnego tancmistrza celował, podziwienie, oklaski, zadowolenie i życzliwość jenerała tańcującemu zjednały. Gdy skończył, Ferzen własną chustką łzy i pot jego otarłszy, ucałował go i obok siebie u obiadu posadził. Po obiedzie kazał mu przebrać się w mundur właściwy, ale wojewodzic prosił, żeby mu kozackiego nie odbierano, bo ten świadczył o jego bytności w działaniu, o jego niewoli i oswobodzeniu. Nazajutrz Ferzen odprawił Hieronima do Tuczyna z Gruszeckim na kurjerskich koniach i do p. wojewody list pełen grzeczności napisał. Wszystko ta tak prędko się stało, że gdy wojewodzic do domu wrócił, p. wojewoda o smutnych wypadkach Maciejowickiej bitwy jeszcze nie wiedział.

Otworzył szanowny starzec ramiona na witający uścisk syna; ale, gdy ten wyjąkał: „p. naczelnik wzięty“, — ojciec odtrącił go od siebie: „I tyż śmiałeś wracać

pod ojcowską strzechę? Twoje miejsce było na pobojowisku, w mogile. Możebym łzę jaką uronił, aleby mi ta została pociecha, żeś poległ w dobrej sprawie". — Gruszecki pośpieszył z rozpowiedzeniem szczegółowem wszystkich okoliczności wzięcia Kościuszki i męstwa Hieronima. Uspokojony tem p. wojewoda o syna, poddał się całej goryczy żalu i boleści po stracie ostatniej nadziei. Po tej wieści, wiadomości były jedne od drugich coraz smutniejsze. Wzięcie Pragi, kapitulacja Warszawy, nakoniec zupełny wyjazd króla do Grodna, ubiły na duchu i mieszkańców Wołynia.

Tutołmin wysłanym był dla odebrania wdztwa Wołyńskiego na imię imperatorowej Katarzyny. Wychodzono naprzeciw niego z chlebem i solą, bito we dzwony po kościołach i cerkwiach. Jenerał zapewniał mieszkańcom imieniem swej monarchini ich wiarę, język, prawa i swobody. Słuchał naród ze łzami słów Tutołmina, i jakaś otucha zdawała się łzy boleści osuszać. Kapłani wznosili po kościołach hymn dziękczynny. Na Podolu jakiś niemieckiego nazwiska jenerał spełniał ten obowiązek, ale dumny, zimny egoista, nie posiadał uczuć szlachetnych jenerała i obywatela Rosjanina.

W tymże samym roku pamiętne w naturze mieliśmy zjawisko. Było to od nikogo nie przepowiedziane całkowite zaćmienie słońca. We Francji rewolucja wstrząsła narodem i sparaliżowała nauki. Niemcy nie dość widno zapuszczali się w te głębokie podania natury. Akademja Krakowska rozpierzchła się po świecie, a w Wilnie jedyny obserwator ks. Poczobut był u wód w Baden. Szwecja tylko (może i Anglja) zapowiadała to zjawisko; ale wiadomość ta, ani do nas, ani, ile mi wiadomo, do Petersburga, nie doszła. Byłem wtedy w Korcu na naukach z Mezerami, synami Franciszka, przy Skoczkowskim. Dn. 11-go czerwca, bo ten dzień zanotował nasz nauczyciel, w najpogodniejszy dzień o 2-ej z południa zaczęło się ściemniać na dworze, choć żadnej chmury nie było. Skoczkowski wyszedł z pokoju i po chwili wróciwszy, okopcił ka-

wałek szkła nad świecą i znowu wyszedł, a my za nim. Więcej się jeszcze ściemniało nie nocnym zmierzchem, bo odbicie światła było żółte i przykre dla oczu. Jak długo trwał ten przechód, tego oznaczyć nie potrafię, ale pomnę dokładnie, jak raptem znikło słońce i gwiazdy się pokazały. Ta chwila nocy wśród dnia, ta ciemność nienocna, trwogą napełniły ludzi i zwierzęta. Nikt nie śmiał w domu pozostać, wszystkie drzwi raptem się otwarły, fabrykanci hurmem runęli od swoich warsztatów. Jęk i płacz ze wszech stron się rozlegały wśród pospólstwa, padali z krzykiem twarzą do ziemi, a ten krzyk rozpaczy zdawał się wzbijać do nieba i z grozą dopominać zwrócenia swojego światła. Bydło z rykiem uciekało z pola, ptastwo mięszało się w powietrzu, psy wyły. A wśród ciemności powietrze było parne, i zdawało się, że go do oddychania za mało było. Oświeceńsi, jak nasz Skoczkowski, tłómaczyli sobie to zjawisko, że księżyc przechodząc między słońcem a ziemią, zakrywa całą, lub cząstkowie, tę gwiazdę dziennego światła; ale wpośród tych pięknych fizycznych tłumaczeń, nie byli spokojni. My tylko, dzieci, nie czuliśmy żadnego wrażenia, ani bojaźni, chwilowe było tylko nasze zadziwienie, gdyśmy ujrzeli gwiazdy, a słońca nie było ani znaku. Jak stopniowo rozjaśniało się, jak długo to rozjaśnienie trwało, nie pomnę; to dobrze pamiętam, że Skoczkowski dawał nam patrzeć przez okopcone szkiełka na słońce, jak się z pod czarnego kręgu zwolna dobywało, — zdaje się jednak, że cały proces tego zjawiska musiał trwać więcej kwadransa. Skoro błysnęło słońce, choć dopiero jeszcze w połowie, radość wszystkich ogarnęła, winszowali jedni drugim powrotu dnia, ciesząc się ujrzeniem dziennego światła; wielu jednak z prostoty nie ufali, i bojąc się, ażeby z zachodem nie zniknęło na zawsze, nie śpiąc czekali jego wschodu. Chwilowe zaćmienie słońca, smutne na umysłach sprawiło wrażenie; jakże musi być smutno przez pół roku nie widzieć słońca w krajach polarnych!

Nazajutrz rano schwyciło się słońce i zaraz silnie

grzać zaczęło, ani najmniejszy wietrzyk powietrza nie ochładzał, a około dziewiątej godziny, nasunęły się czarno-czerwone chmury coraz cięższe i cięższe. Huk odległego gromu, bezustannie, zewsząd się rozlegał, ciągła błyskawica raziła oczy i blaskiem swoim słabe dnia światło ćmiła. Około południa zerwał się silny wicher, a wpośród szumu i świstu wichru i gęstych piorunów, ulewny deszcz, głuchym szmerem jeszcze więcej okropności temu wzburzeniu natury dodawał. Nurty Korczyka wzniesioną falą, nie podobne do przeniesienia głazy, jedne za drugiemi toczyły. Wezbrane ulewą rzeki i strumienie szeroko swe wody rozlały. Okropne to i wspaniałe było widowisko! widowisko wzbudzające religijną trwogę, nawet w sercach niedowiarków, których, niestety! już tak wielu naówczas u nas rewolucja francuska natworzyła. Około drugiej z południa burza ucichła, uspokoiło się powietrze, wody do swego koryta wracać poczęły. Pokazało się słońce, i wieczór był tak pięknie pogodny, jak po dniu najpogodniejszym. Tysiące przepowiedni, jedne od drugich smutniejsze, rozchodziły się z tej okoliczności między pospólstwem. Jakoż i smutne następstwa jedne po drugich boleśnie raniły serca biednych naszych rodaków. Gdzie niegdzie jeszcze trzymały się wojska nasze. Wawrzecki objąwszy naczelnictwo po Kościuszce, opierał się, jak mógł, ale obecność Kościuszki nie ożywiała już upadłego w żołnierstwie ducha! Jasiński, z całem męstwem i poświęceniem się walcząc, czyny swe świetne życiem na Pradze zapieczętował. Był to wuj mego ojca, brat o wiele lat młodszy ukochanej babki mojej, która ledwie go dwoma tygodniami przeżyła. Król z Grodna do Warszawy nie wrócił.

Po ostatnim rozbiorze, kazano mającym majątki w dwuch państwach, zamieszkać stale tu, lub wyprzedawszy się w rosyjskim zaborze, przenieść się do dóbr, do Prus lub Austrji odpadłych. Wołyń szczególniej wówczas zaludnił się obywatelami, bo swobody zapewnione przez imperatorowę, zniewoliły wielu i bardzo wielu, którzy

Tomasz Wawrzecki.

piastując urzędy znakomite w Koronie, po stracie kraju opuściwszy stolicę i majątki pod pruskim lub austrjackim rządem będące, w ziemiach swoich na Wołyniu spokojnie osiedli. Rok cały najsmutniej upłynął. W naszej rodzinie była żałoba po dwuch matkach, po babce mojej. Wszyscy obywatele cicho siedzieli po domach swoich, zaledwie pomiędzy najbliższymi sąsiadami były jakieś stosunki. I pan wojewoda podobnie ograniczył się swoją tylko rodziną i oddał się całkiem urządzeniu swoich interesów, a dla zaszłych różnych w ekonomice majątku okoliczności, zarząd dóbr swoich ojcu mojemu wręczył; matkę zaś po powrocie do kraju Abessy Francuskiej, ochmistrzynią swych córek postanowił. Nie umiała matka moja po francusku, potrafiła jednak i wojewodzianki do siebie przywiązać i na p. wojewody szacunek i ufność zupełną zasłużyć.

W domu p. wojewody i polor wieku XVIII widać było i starodawne obyczaje zachowano. Przy córkach jego dla towarzystwa ich, bawiły córki obywatelskie, a te się rezydentkami zwały, a choć to nie były z biednej szlachty, każda z nich jednak na potrzeby swoje po 50 czer. zł. rocznie pobierała. I nic dziwnego: każda z nich miała wydatki na potrzebne codzień uczciwe pokazanie się, a p. wojewoda nie chciał, ażeby poświęcając się kompanji jego córek, rodzicom swoim ciężarem były. Uboższe panienki szlacheckie służyły, a każda wojewodzianka prócz garderobianych, miała i pannę służącą, która i do stołu pańskiego siadała i na pokojach z paniami bawiła. Przy wojewodzicach zbierali się młodzi pokrewni ich blizcy i dalecy i obywatelscy inni synowie. Ci nie byli pensjonowani, ale prezenta imieninowe i kolenda za pensję wystarczały. Towarzystwo więc Tuczyńskie było liczne. Nieznacznie, powoli, zaczęto oswajać się z obecnem położeniem, młodzież potrzebowała rozrywek, i do tego sam wiek ją usposabiał, wracała więc i wesołość i zabawy się zjawiały. Żaden dom na Wołyniu nie był zebraniem tylu młodzieży płci obojej pięknie wychowanych, co dom p.

Jakób Jasiński.

wojewody, ani się równie nie odznaczał wesołością. Senator sam chciał tego, ażeby dzieci się jego rozweselały, zawsze miał twarz wypogodzoną i uśmiech dobroci na twarzy; a jeśli czasem troska jakaś na sercu osiadła, lub też poniesionych strat wspomnienie łzę wycisnęło, tego smutku ojciec mój był tylko świadkiem.

W Tuczynie i w jego okolicy rozłożony był na konsystencję pułk Kimburnski dragonów, szefem jego był brygadjer Karol Baur [1]) znacznej kurlandzkiej familji, pięknem wychowaniem, układnością światową i dziwnie miłemi przymiotami serca celował między współkolegami. W Tuczynie stał sztab jego, a latem obóz pod Szubkowem, wsią do majętności Tuczyńskiej należącą. W niedługim czasie zbliżył się z domem wojewody. Nie wiele od wojewodziców starszy, prędko zaprzyjaźnił się z nimi i wszystkie zatrudnienia ich i zabawy podzielał. P. wojewodę jak ojca kochał, szanował i wolę jego miał sobie za świętą. Całe dnie i wieczory w pałacu przepędzał i tak był z całą rodziną spoufalony, że go nawet nieznajomi za krewnego p. wojewody brali. Majętność Tuczyńska nie czuła ciężaru, jaki kwaterunek wojska przynosić może, bo wszystkie produkta, bądź na potrzeby ludzi, bądź na karm koni brane, płacone były brzęczącą monetą i po dobrej cenie; a za niewielką opłatę miał wojewoda żeńców, robotników w ogrodzie, cieślów i jakich zażądał rze-

---

[1]) O tym Baurze Kostomarow pisze: „Kiedy Igelstrom przeszedł na plac Krasińskich, z sąsiednich domów posypały się strzały. Rosjanie padali od kul. Igelstrom wysłał brygadjera Bauera do wodza polskiego z zapytaniem: czy to nie przez omyłkę strzelają? Pistor odpowiedział na to: po co prosić u Polaków przyjaznych wyjaśnień? Oni zapewne aresztują Bauera". Istotnie nie czas było na przyjazne wyjaśnienia. Bauera zatrzymano. Dał on znać przez oficera Igelstromowi, że Mokronowski odpowiedział: jedynym środkiem do uchylenia nieporozumień jest abyście się oddali na łaskę i niełaskę Polaków. (Kostomarow: **Poślednije gody Rieczipospolitoj polskoj.** Petersburg 1886, t. II).

mieślników. Z taką też pomocą, w jednym roku, stanęły na nowo ogromne młyny na Horyniu, kilka porządnych dworków w mieście, i różne potrzebne budowle po folwarkach, a nawet nowy niewielki teatr w ogrodzie. P. wojewoda bardzo się przywiązał do Baura, a mimo jego namiętności bałamucenia dam, szacował go wysoce. Przeznaczenie jakieś przywiązało go do Tuczyna,, i nieraz jeszcze w dziejach Tuczyńskiego domu napotykać go będziemy.

W Żytomierzu naznaczone było otwarcie gubernji i pierwsze obywatelskie wybory. Ciekawość widzenia tego uroczystego zebrania, potrzeba obrania mających się opiekować obywatelami i ich majątkami marszałków, stanowiących o ich sprawach sędziów, czuwających nad bezpieczeństwem, oraz nad wewnętrznym tak gubernji wogóle, jak i w szczególności każdego powiatu porządkiem, ściągały do Żytomierza magnatów oraz bogatszą i uboższą szlachtę. Wyjechał p. wojewoda, a z nim i mój ojciec, nie jako marszałek dworu wojewodzińskiego, ale jako wybrany od możniejszych obywateli gospodarz wydatków na wystawne obiady i bale w czasie wyborów. Taka bowiem na ten czas była zgodna jedność obywatelska, iż wszyscy ciężar kosztów równo ponosić chcieli, że mało bankietów szczególnych, a ledwie nie wszystkie nosiły nazwę obywatelskich. Baur na te kilka tygodni oddalił się do korpusnej kwatery, ale wyjeżdżając przykazał, ażeby w pałacu na noc zaprowadzono warty dla bezpieczeństwa i spokojności, a pułkowikowi Wernerowi, szanownemu i miłemu staruszkowi, opiekę nad pozostałymi polecił. Nikt z młodzieży bawiącej w Tuczynie nie był na wyborach, zabawy przeto nieustawały, balów tylko nie było.

Tymczasem wojewodzianki, korzystając z przydłuższej niebytności ojca, ułożyły sobie na jego imieniny zrobić mu niespodziankę, a że lubił teatr i nieraz zebrana przyjacielska młodzież komedje mu grywała, postanowiono więc i teraz przedstawić jakąś sztukę, i na ten koniec

operetkę (jak dziś zowią wodewil) Kniaźnina[1]) „Troiste Wesele“ wybrano. Rozpisano role, wojewodzianki, moja matka i ciotka były aktorki. Aktorów nie miały tak udatnych. Wojewodzic Wojciech, Rejentowicze Kor. Wilczyńscy Kryzsztof i Jan, guwerner p. Raduski, oraz Baur podjęli się ról męskich. Ażeby jeszcze skryciej działać i niespodzianiej uweselić ukochanego ojca, wojewodzianki na wszystkie wydatki tego przygotowania ze swoich pensji pieniądze wyliczały. Ładnaż bo to operetka i ładne w niej stroje krakowskie, a p. wojewodzie tak ulubione. Wszystko się dobrze wiodło, p. wojewoda kilka tygodni w Żytomierzu bawił, a tymczasem zbliżał się ś. Michał, imieniny p. wojewody.

Popowracali do domów obywatele, a sąsiedzi zbierali się z żonami i córkami na 29 września z atencją do Tuczyna. Wojewoda kazał robić przygotowanie do uroczystości, ale o przygotowaniach do teatru nic nie wiedział. Na parę dni przed 29-ym, gdy p. wojewoda zwyczajem swoim po obiedzie godzinę spoczywał, aktorowie zebrali się na teatr na próbę, ażeby nim ojciec odpocznie sobie, powtórzyć na miejscach i z muzyką swoje role. Ale nie tak to łatwo idą próby; potrzeba poprawiać, regulować i że tak powiem musztrować, ażeby do ładu jakiegoś przyprowadzić. Aktorom szło jak z płatka, bo już dawniej grywając, znały porządek wchodzenia i wychodzenia, obracania się w potrzebie do widzów lub do współaktorów, użycia głosu i gestów. Ale z aktorami była rzecz inna: gdzie na parter było potrzeba obrócić się do współaktora, oni patrzali i zapominali ról swoich, to znowu od-

[1]) Poeta (Franciszek Djonizy) urodził się w Witebsku 1750 r., umarł w Końskowoli, niedaleko Puław w domu przyjaciela Franciszka Zabłockiego, który był tam proboszczem w r. 1807. Był sekretarzem księcia Ad. Czartoryskiego. Umysł sentymentalny. Pod wpływem miłości dla jednej z księżniczek, a następnie wypadków 1794 roku dostał pomięszania zmysłów. **Troiste wesele** napisane było na życzenie księżnej Czartoryskiej.

wracali się od widzów; to po scenie przechadzali się niepotrzebnie lub za kulisy patrzali i rozmawiali. A śpiewyż to! Boże uchowaj! Żaden z kawalerów mających udział w wodewilu nie miał wyobrażenia muzyki, i nie dziw, bo jeszcze w owym czasie jakaż edukacja? szkoły, a za szkołami koń i pałasz. Zaledwie wychowani w stolicy lub od wykwintnie wychowanych matek biorący edukację talentów jakich nabywali. Zapewnie, że zamiar króla w upowszechnieniu i wspieraniu talentów, był nader chwalebny i mający na celu wykrycie genjuszów; ale nieszczęściem nauka ujęta była w leszczoty wyrachowanych godzin i tak zwanych klasycznych prawideł, często nawet zniechęcały, i lubiące swobodę poloty genjuszu zupełnie niszczyły. Ludzie, niewątpliwie rodzą się z talentami, ale talent i wypracować można, ta tylko będzie różnica, że pierwszy nad siebie wznieść się może i genjusz objawić, drugi prawidłami usznurowany, da się najwierniej ująć w przepisane formy i z nich, ani wyżej, ani niżej nie wystąpi. Ale wróćmy do naszego opowiadania. Budziewicz metr muzyki wojewodzianek, drogo opłacany uczeń Hajdena, ale dzielny nauczyciel, dyrygował orkiestrą i śpiewu wyuczał aktorów. Kobiety i głosy miały i ucho dobre, a wojewodzianki i muzykę znały. Ale aktorowie! Ciężko pracował i gorzko cierpiał, nim się udało słuch im otworzyć, a cóż dopiero głos wyprowadzić! Z wielką wprawdzie mozołą dokonał cudu, że wojewodzić i rejentowicze pojęli śpiew, i szło nieźle. Na tej jednak próbie, powtórzenia jeszcze były częstsze, bo do przedstawienia mało już dni zostawało, a w sam dzień, o próbie i myśleć nie można było, to też aktorowie ani się spostrzegli, jak czas uchodził.

Tymczasem p. wojewoda odpocząwszy, wyszedł na dziedziniec i posłał po mojego ojca dla pomówienia ostatecznie o programie uroczystości, ale ojciec zajęty był łówką ryb na Horyniu. Szedł więc sam wojewoda do ogrodu, poświstując sobie nótę nabożnej pieśni: „U drzwi twoich stoję Panie“ — co oznaczało, że w najlepszym był

humorze. Zaledwie kilka kroków za pałac postąpił, uderza go odgłos dobranej muzyki. Słucha, słucha i odgadnąć nie może, skąd go te harmonijne dźwięki dochodzą. P. wojewoda wielce lubił muzykę, i jak powiadał o sobie, to w młodości na amorce melancholiki wygrywał. Nie żałował też na metrów dla córek, i korzystały z amatorstwa ojca i ślicznie na fortepjanie grały. Kiedy tak p. wojewoda przysłuchiwał się i rozpoznawał skąd go ten odgłos dochodzi, z tej właśnie strony zbliża się chłopiec ogrodowy: „Gdzie to grają, chłopcze?“ — „A w komedjalni, jasny panie“. — Któż tam gra?“ — „A zwyczajnie wojskowa kapela“. — „Na cóż oni grają i komu?“ — „Cha, cha, cha! alboż to jasny pan nie wie?“ — „Nie wiem, nie wiem, mój kochany!“ — „To ja jasnemu panu powiem: tam panna Teresa, p. Karolina, p. marszałkowa i panna Sobińska, i panicze, takie tam komedje wyprawiają, aż strach! a p. Budziewicz, to gra, to śpiewa, to na paniczów swarzy, a oni się śmieją, i ja się śmiał, bo ja tam dopiero przez szparę zaglądał“, — i śmiał się chłopiec i poszedł dalej. Roześmiał się i p. wojewoda, a ciekawością zdjęty poszedł ku teatrowi i pode drzwiami bocznemi dosłyszał część śpiewu i rozmowy i dowiedział się, że ta reprezentacja dla niego na wiązanie. Łzy się starcowi po licu puściły: „dobre, kochane dzieci“ — rzekł zcicha i jeszcze ciszej wrócił do pałacu nie dając poznać nikomu, że sekret dzieci odkryty. Ojcu tylko mojemu zwierzył się i polecił, ażeby żadnych kosztów nie szczędzić na wystawienie pięknie sztuki, którą dzieci jego ukochane dla niego grają. Mój ojciec nawzajem oświadczył, że jeszcze w Żytomierzu był o tem uwiadomiony, i że kwity p. Teresy kupcom i rzemieślnikom potrzebnym wydane, w jego ręku już były. Na imieniny ojca i p. Józef pośpieszył z Warszawy.

Pałac Tuczyński jeszcze i do połowy nie był skończony, dwa tylko pawiljony o piętrze i jedno skrzydło, w którem niewielkie dwa pokoje i ogromna oranżerja, były mieszkalne. Dla niedostatku sposobnej do balów sali, w oranżerji ułożono posadzkę, ubrano ściany w dębowe

girlandy i rzęsiste świeczniki, po kątach zastawiono cytrynami, oleandrami i mirtami, umieszczono porządnie sofy i krzesła, a tam i obiad i tańce odbywać się miały.

Dawniej w wigilję uroczystości już się goście zjeżdżali, nie tak, jak dziś, że w sam dzień imienin około wieczora dopiero się zbierają. Dawniej solenizant uroczystą był osobą, goście z uszanowaniem, w paradnym stroju, przed południem winszować mu przychodzili, damy nawet o południu poubierane na pokoje się zbierały. Około drugiej siadano do stołu, obiad ciągnął się parę i więcej godzin, poczem wracano do bawialnych pokojów, a po czarnej kawie, damy wymykały się dla zmiany stroju na lżejszy, ale może jeszcze wykwintniejszy, poważne matrony stroju nie zmieniały. Po wyjściu damy zostawiały pole szanownym ojcom familji dla uprzejmych wynurzeń, szczerych oświadczeń, od serca życzeń przy gęsto krążących kielichach wiekowego węgrzyna, zapieczętowanych toastem echy narodowego braterstwa: „kochajmy się!“ Tak było i u p. wojewody, a może i weselej, bo rozumna i szczera otwartość, staropolska gościnność i słodycz charakteru gospodarza, wszystkich zobowiązywały i tchnęły we wszystkich ducha jednomyślnej wesołości.

29-ty września podobnym szedł trybem. O jedenastej p. Adamowa Walewska[1]), bratowa p. wojewody, i panna Teresa przyjmowały gości. Zabrzęczały karabele naszych szanownych kontuszowych obywateli przy posuwistych ukłonach powinszowania, starsi i młodsi fraczkowi, modnemi francuskiemi ukłonami szastali. Damy w lewitkach, greczynkach, kabatach z kosztownych materji, w kornetach, tokach, piórach, aksamitach i klejnotach na głowach,

---

[1]) Adam Walewski, młodszy brat Michała wojewody sieradzkiego służył w wojsku francuskiem wraz z księciem Józefem Poniatowskim w pułku Royal-Allemand. Ożenił się z Józefiną Lubomirską. Rozwiódł się dobrowolnie. Żona wyszła za gienerała en chef, hr. de Witte. Córka z pierwszego małżeństwa wyszła za księcia Gagarina, prezesa Rady ministrów.

poważnem, strojnem ubraniem jeszcze więcej wrażyły uszanowania dla swych wspaniałych postaci. Dziewice w furach, tunikach, w zgrabnych karakach i bogatych szpencerach, z powplatanemi w warkocze perłami, koralami, kwiatami, same, jak śliczne bukiety wyglądały. Dzień był pięknie pogodny i ciepły, okna pokojów były pootwierane. Damy zasiadły węzgłowia i krzesła, panny zebrały się w przyległym gabinecie, mężczyzn wszędzie pełno było. Starsi, poważniejsi, gromadnie gwarzyli o gospodarstwie, o interesach, o nowości wyborów tak dogodnych przywilejom szlachty, obierającej z pośród siebie na urzędników godnych czci powszechnej i zaufania; czasem z ciężkiem westchnieniem dała się słyszeć wzmianka o świeżo i tak smutnie ubiegłej przeszłości!.. Młodzież, naturalnie za paniami ciągnęła, bo dawniej młodzi starali się zabawiać damy, i dla fajek, a co gorsza dla kart, kompanji nie porzucali.

Kiedy tak wszystkich zebranych uprzejmi gospodarze z całą staropolską gościnnością starali się zabawiać, dał się słyszeć od dziedzińca odgłos pełnej wojennej muzyki i wszedł mój ojciec oznajmiając, że p. brygadjer Baur z całym sztabem prosi solenizanta, aby raczył wyjść dla przyjęcia od wojskowych powinszowania. Cała kompanja ruszyła na ganek i otoczyła p. wojewodę. P. Baur w pełnym mundurze na czele swojego sztabu oficerów, muzyki pułkowej i pierwszego szwadronu dragonów, podjechał pod ganek salutując szablą solenizanta, muzyka zabrzmiała marsz ceremonjalny, p. brygadjer zakomenderował na prawo, a oficerowie i cały szwadron dobytemi pałaszami i hucznem: „hura!“ solenizanta odsalutowali. Wróciwszy przed ganek brygadjer w kilku słowach wynurzył swoje życzenia, a odpinając od boku jedną szablę (miał ich dwie) — „Nie mogę, rzekł, jw. panie godniejszego nad to zrobić wiązania“, — i lekko zeskoczywszy z konia, ucałował rękę p. wojewody i oddał mu broń ofiarowaną. Spojrzał na dar p. wojewoda, łzy mu się puściły po twarzy, poznał i ucałował pałasz kolegi w konfederacji Bar-

skiej, i uściskiem ojcowskim Baurowi podziękował. Był to pałasz Kazimierza Puławskiego, drogo przez Baura opłacony i bogato oprawny.

Wspaniały obiad długo się przeciągnął, muzyka wojskowa ciągle brzmiała, toasty ogłaszał dźwięk trąb i huk moździerzowych wystrzałów. Po obiedzie aktorowie cichaczem się wymknęli, damy udały się do swoich pokojów dla zmiany stroju. Jeszcze się nie zmierzchło, kiedy gości zaproszono na teatr. Wybornie udała się operetka, na małe uchybienia nie zwracano uwagi. Wojewodzianka starsza i ciotka moja, na swój śpiew piękny otrzymały fora i huczne oklaski. Zadowolenie widzów i głosem i oklaskiem jawnie się okazało. P. wojewoda nie posiadał się z radości, którą pomnożyło, jeszcze przy zaczęciu sztuki, przybycie kuzynów wojewody, jeneralstwa Karwickich, którzy umyślnie, pocztą z Warszawy na ten dzień pośpieszyli. Wesoło wracało towarzystwo z teatru, ogrodem gustownie oświeconym, co było także niespodzianką przez Baura solenizantowi sprawioną. Nim się tańce rozpoczęły, powitano aktorów hucznym toastem. P. wojewoda najczulej im dziękował, a ukochaną Tercię ojcowskiem uściśnieniem pozdrowił, bo też w istocie jej to dla ojca przywiązanie pierwszą myśl tej niespodzianki natchnęło, a drugich życzliwość do wykonania jej pomogła. Tańce trwały do rana; wieczerza pod gołem niebem, mało co tańcom przeszkodziła. Budziewicza, dziękując mu p. wojewoda, piękną złotą tabakierą udarował i nikogo z aktorów piękny upominek nie minął. P. wojewoda każdą zrobioną mu przyjemność umiał ocenić i wywdzięczyć się za nią nie zaniechał.

Nazajutrz wszyscy goście pozostali, bo to był dzień imienin wojewodzica Hieronima, młodego Maciejowickiego bohatera, który na pamiątkę skoków swoich przed Ferzenem, w stroju kozackim, ale nowym, bogatym i do talji zrobionym, z siostrą swoją Karoliną popisywał się kozakiem i przeszedł samego siebie. Ale i tancerkę też miał niepospolitą! Wojewodzianka do kroków wyuczonych

przyłączyła rzadki wdzięk postawy i giestów zachwycających. Przejęci podziwieniem pięknego tańca i rozrzewnieniem, w jak smutnym razie taniec ten stanął wojewodzicowi w przygodzie, ojcowie obywatele, jedni przed drugimi ubiegali się z najserdeczniejszem uściśnieniem dla Hieronima i zdrowie jego spijali — wojewodzianki zdrowie z białego atłasowego jej trzewiczka spełniano. Myliłby się jednak, ktoby myślał, że wino nalewano w trzewik; sztuka na tem zależała, ażeby kielich nalany postawiwszy w trzewiku, nie trzymając ręką kielicha, wypić co do kropli nie zmoczywszy winem trzewika. Zdarzały się czasem takowe myłki, ale i w owych czasach je wyśmiewano, bo rubaszność narodową miarkowało już staranne wychowanie.

Po trzydniowym balu nie wiele się osób rozjechało, bo rozpoczęło się polowanie, przenosząc się porządkiem puszcz, należących do różnych obywateli sąsiadów, które głęboko w Polsce zachodziły. Ja z ciotką starszą i młodszą siostrą, słabemi na febrę, odjechaliśmy do Korca. W Tuczynie, jesień na polowaniach, zima na uroczystościach i balach szybko i wesoło upłynęły. Na wigilję świąt obchodzono imieniny p. Adama, brata p. wojewody; komedyjka „Troiste Wesele“ powtórzoną została; niektórych z aktorów zmieniono z wielką pociechą Budziewicza, i ta zmiana wielce była korzystną. Na tym balu pokazała się po raz pierwszy sławna nasza młodziuchna piękność wołyńska księżniczka Dorota Sanguszkówna [1]), córka wojewody wołyńskiego. Co tylko natura najszczodrzej wylać mogła na płeć piękną, czem najstaranniejsze wychowanie hojnej naturze dopomódz mogło, to wszystko posiadała księżniczka. W latach ledwie szesnastu była

[1]) Córka Eustachego, właściciela Antonin. Nieutulony w żalu po jej śmierci, książę Eustachy wzorem klasyków tu pisał swoje treny i hodował słynną stadninę arabskich koni, sprowadzonych przez koniuszego Moszyńskiego i Świerczyńskiego.

to wzorowa piękność, najświetniejszemi umysłu i serca przymiotami ubogacona. Równej Dorocie Wołyń nie posiadał.

Zgon imperatorowej Katarzyny II wielkie sprawił odmiany. Wstąpienie na tron rosyjski Pawła I rokowało wiele dobrego i dla Rosji i dla krajów do niej przyłączonych. Dzielny umysł, wzniosłe uczucia, prawdziwa mądrość, cechowały tego monarchę. Ale, niestety! życie jego było zakrótkie! Uwłoczą wiele przymiotom wielkiej duszy Pawła i swoi i obcy historycy najniesprawiedliwiej! Jedyne, może, coby mu zarzucić można, było to, że długo stłumiona swoboda uczuć jego i woli, omierziła mu ród ludzki i zrobiła go ekscentrycznym, że potem wydobywszy się raptem na jaw, okazała się w działaniu nie zawsze odpowiednią oczekiwaniu interesowanych; że nakoniec zegar życia jego szedł zaprędko! Obejście się cesarza Pawła z Kościuszką, przywrócenie wolności tylu naszym współziomkom, wziętym w nieszczęśliwych ostatnich czasach, niedowodzą wielkomylśności tego monarchy? Czynne było i mądre, choć krótkie panowanie Pawła; Polacy w nim, nie pana, nie monarchę, ale ojca znaleźli, i kto z nas jeszcze w owe czasy pamięcią zasięga, z żalem i ze czcią panowanie jego wspomina.

Ale jakiż to był wiek, jakie to były czasy! Na gruzach i na stosach trupów, smutnych niestety rewolucji śladach, Francja obmywała się krwią przelaną w bitwach pod dowództwem Bonapartego, obmywała się ze krwi miljonowych ofiar okrucieństwa Robespiera i Marata. Nie oschły jeszcze strumienie krwi pomazańca Boskiego, Ludwika XVI. Szczątkom nieszczęśliwej Burbonów rodziny dał bratni przytułek Paweł I; książę Kondeusz zamieszkał Dubno. Ale niewiele wzbudzali współczucia wysocy emigranci. Duch rewolucyjny unosił się nad Europą i u nas Francja więcej miała stronników, niż jej książęta tułacze. Wiele ze znakomitych rodzin francuskich za-

mieszkało w Rosji z tych czasów, wielu nawet znaleźli miejsce na kartach dziejów rosyjskich. Ale też razem napłynęło mnóstwo chołoty, pod tytułami diuków, kontów, markizów, baronów, na ziemię naszą, takie mnóstwo, że nie było prawie domu, w którymbyś nie znalazł Francuza, to kapelana, to guwernera, to metra jakiego, to przyjaciela, doradzcę, nie mówiąc już o sługach wszelkiego rodzaju. A wszystko to uczyło nas mowy francuskiej

Uwolnienie Kościuszki.

obyczajów i manier, a zasiewało w młodych sercach, nie zrażonych jeszcze panowaniem Stanisława-Augusta, brudne zepsucie. Tej to powodzi winniśmy rozprzężenie naszej moralności i przeobrażenie się w Francuzów ,ale Francuzów zbiegów, z potrzebującej rąk ich ojczyzny. Ale porzućmy ten ustęp; historja i dokładniej i jaśniej powie o tem potomności.

Roku 1797 z 1 na 2 stycznia w nocy, pożar okropny zniszczył piękną budowę fabryki porcelanowej w Korcu.

Wielkie zapasy materjałów, cały piec wypalającej się pięknej porcelany i drugi fajansu; magazyn napełniony obstalunkami i zapasowem naczyniem, warsztaty, formy, narzędzia, ze wszystkiemi pięknemi wzorami, z przygotowującemi się drogiemi serwisami, wszystko spłonęło. Trudno sobie wyobrazić przestrach i rozpacz fabrykantów i ich przełożonych! Myśmy ocaleli, bo choć nasz dworek blizko sąsiadował z gorejącym magazynem, ale stał za wiatrem i to go ocaliło; u nas więc i dyrektorstwo z dziećmi i z całem swem mieniem przytułek znaleźli. Ten okropny wypadek najwięcej wpłynął na upadek fabryki, zdecydował wyjazd Mezera do Baranówki [1]) i przeniesienie się mego wuja do Tuczyna. P. wojewoda dał mu porządny dworek w samem miasteczku, z dostatnią ordynacją, z opałem i usługą i nie pomnę jaką pensją, a mój wuj uczył p. Teresę malować minjatury. I dobrze nam było w Tuczynie, ja znowu byłem z siostrami, ale starsza, więcej jeszcze niż w Ludwipolu pilnowała, żebym tego, com się przy Skoczkowskim nauczył, nie zapominał. Powtarzając ze mną łacinę, tak pojęła gramatykę, że jej to i we francuskim języku, którego teraz uczyła się od p. wojewodzianki starszej, wielce korzystnem było i nadal wielce się przydało.

Śmierć ks. biskupa Szembeka i spadła po nim sukcesja, powołały p. wojewodę do Krakowa i Warszawy. Wyjeżdżając z córkami, przy matce mojej zostawił tylko siostrzenicę swojego zięcia, księcia Jabłonowskiego, Cecylję Potocką, starościankę Tłumacką. Matka jej nieszczęśliwa cierpiała pomięszanie; Cesię więc księżna wzięła do siebie i z córką swoją wychowywała. Przed ro-

---

[1]) Na Wołyniu, pow. zwiahelski. Stanowiła cząstkę dóbr ks. ks. Lubomirskich. Po Walewskich przeszła do Gagaryna, męża Izabelli Walewskiej, córki Lubomirskiej Józefowej 1-o voto Walewskiej, 2-o de Witte. D-r. Mezer, kierownik fabryki w Koreu założył tu fabrykę porcelany. Po Gagarynach przeszła do Szuwałowych, w końcu sprzedaną została przez nich jakiemuś konsorcjum przedsiębiorców finansowych.

kiem księstwo wyjechali za granicę i księżna zostawiając ją w Tuczynie, dozorowi i staraniom mojej matki powierzyła. Cesia była delikatna, słabowita, ale dziwnie słodkiego charakteru, wszyscy ją lubili, a matka moja, jak do własnego dziecka do niej się przywiązała i my jak siostrę kochaliśmy. P. wojewoda do zarządu dworem ojcu memu i zarząd całego majątku przyłączył, z powiększeniem wynagrodzenia i zapewnieniem nadal funduszu do życia. Zbieg okoliczności zatrzymał p. wojewodę w tej podróży kilka miesięcy. Resztę zimy przepędził w Warszawie, gdzie szczególniej miał na celu ożenienie starszego syna Józefa z p. Teresą Kicką, koniuszanką Kor., damą, urodzeniem, wdziękami, wysoką edukacją i posagiem, znakomitą. P. wojewoda brał się dobrze do interesu, panna nie od tego była, ale kawalerowi co innego w głowie się roiło. Nic jednak po sobie nie pokazywał, owszem oświadczył się pannie wobec ojca i życzliwą jej odpowiedź pozyskał. Ojciec spokojny o los przyszły syna, oprócz majętności w Krakowskiem, zostawiwszy mu jeszcze 40,000 zł., znaczną w owych czasach sumę, na ekwipowanie się do wesela, pełen najsłodszych marzeń o szczęściu przyszłem ukochanego syna, do domu odjechał.

Gdy się to działo w Warszawie, tymczasem ojciec mój rządził pomyślnie. Pszenicę p. Jabczarski zakupił, młyny 120,000 zł. rocznie robiły przychodu, potaż się wyprzedał i interesa p. wojewody kwitnęły: to też z wylaniem najprzyjaźniejszych uczuć dziękował pan przywiązanemu i wiernemu słudze. I do pięknej ciotki mojej młodszej nadarzył się pretendent, wdowiec, niepierwszej młodości, ale czerstwy i miły, p. chorąży p-tu Zwiahelskiego Skirmunt, znajomy nam zdawna i w ścisłej z ojcem moim i wujem przyjaźni będący. Trzymał piękną posesję od ks. Jabłonowskiej, wojewodziny bracławskiej w Berezewszczyźnie i od niej wysoce był poważany, a gdy się dowiedziała o zamiarze p. Skirmunta wstąpienia powtórnie w małżeńskie śluby, przysłała narzeczonej piękne szmaragdowe kolczyki. Z weselem mojej ciotki wstrzymano się

do powrotu p. wojewody, a że ten w poście nastąpił, wesele na dwa tygodnie po świętach odłożono. Wojewodzianki były drużkami, drużbami wojewodzice, z gości był tylko marszałek Borejko, szambelan Monakowski z

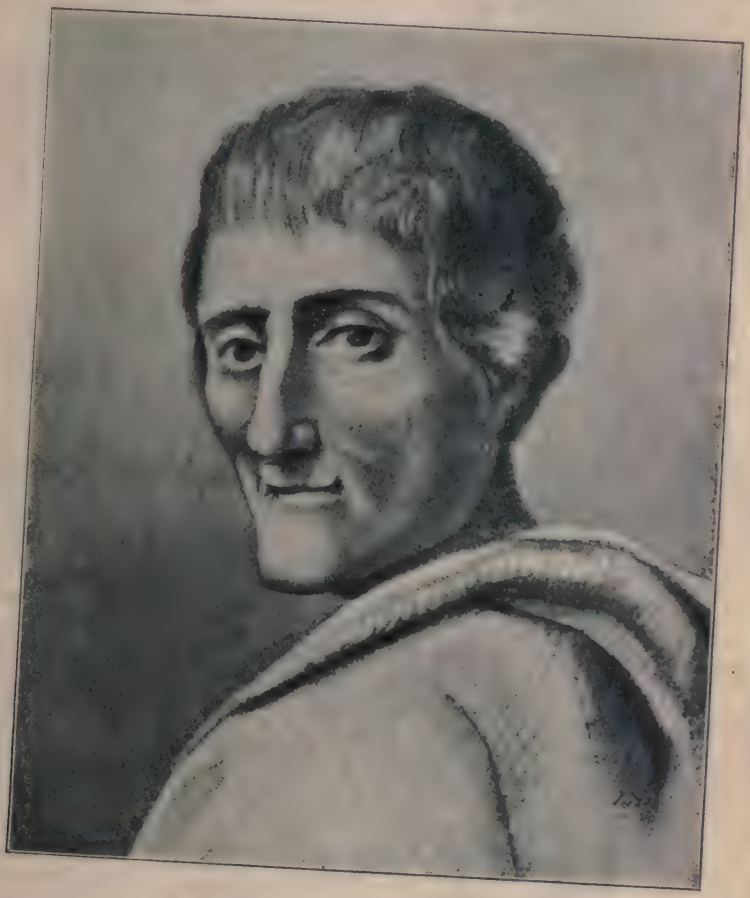

Franciszek Szopowicz.

córkami, szambelan Oraczewski, sąsiad i przyjaciel Skirmunta, z rodziną, familja naszego dobrego pana i nasza. Po weselu wkrótce wyjechali p.p. młodzi do domu, a p. wojewoda tymczasem kazał dla nich budować dom, w

blizkiej swej wiosce, którą im na lat dwanaście wydzierżawił. Odtąd los p. Skirmuntowej stał się nieodłącznym od kolei, jakim zacna rodzina p. wojewody podlegała.

Po ostatnim rozbiorze Polski, akademja Krakowska rozwiązana była, członkowie jej rozproszeni po świecie, jedni tułali się poza granicą, inni po domach obywatelskich szukali przytułku. Ks. kanonika Trzcińskiego, p. wojewoda do domu swego zaprosił. P.P. Adamostwo Walewscy w dom swój przyjęli profesora Franciszka Szopowicza, w zamiarze powierzenia mu edukacji syna swego Tadeusza, ale, że pan brygadjer potrzebował wyjechać do wód, a małego jedynaka zostawić nie miał dość serca, p. Szopowicza więc w Tuczynie zostawił. P. Szopowicz celował szczególniej w wydziale nauk przyrodzonych i matematycznych, ale i wszystkie inne nie obce mu były. Kilka języków gruntownie posiadał, grał pięknie na arfie i czasem sam na sam śpiewywał sobie przy arfie psalmy, lub ojczyste śpiewki. Pobyt p. Szopowicza w Tuczynie ważną w mojem życiu stanowi epokę, bo ten znakomity mąż, a moich rodziców prawdziwy przyjaciel, zajął się uczeniem mnie podług zasad wskazanych przez komisję edukacyjną dla szkół narodowych podwydziałowych, czyli, jak dziś zowią, gimnazjów. Pani Szopowiczowa z domu Hamsówna, niegdyś panna służąca stołowa p. wojewodziny Potockiej, jeszcze od Warkowicz znajoma, z matką moją do ścisłej z nią przyszła przyjaźni. Była to osoba wyższego ukształcenia z niepospolitym talentem muzyki, a szczególniej śpiewu. Pobyt tych państwa wpłynął niezmiernie na ożywienie tuczyńskiego towarzystwa. P. wojewoda wielce ich poważał, a wojewodzianki całem sercem przystały do p. Szopowiczowej. Dla mnie, te kilkanaście miesięcy mieszkania ich w Tuczynie były czasem najszczęśliwszej mojej młodości. Dziwnie miły i łatwy sposób wykładania przedmiotów naukowych, jaki posiadał Szopowicz, zachęcał mię i ułatwiał nauczenie się tego wszystkiego, co było potrzebnem do klasy czwartej szkolnej, ażeby w niej czasu napróżno nie tracić. Po-

czątki dane mi od Skoczkowskiego, nie małą były mi pomocą, szło mi więc dobrze, nauczyciel mię lubił, a w nagrodę pilności i postępu, dawał mi początki botaniki, do której z dzieciństwa miałem ochotę. Nieraz, bywało, zadowolony mojem uczeniem się, to na moją prośbę i na arfie mi grywał. Ojciec mój widząc moje przykładanie się do nauk i korzyść z nich odniesioną, wylewał się z całem swem przywiązaniem dla mnie; matka się radowała, a nasz czcigodny pan, łask swoich dla mnie nie szczędził. A wszystko to winienem był Szopowiczowi! Cześć i dzięki popiołom twoim dostojny mężu, któryś tak szczęśliwie rzucił światło na mój umysł! jeżeli dziś co umiem, to wszystko twojem jest dziełem! Siedmdziesięcioletni starzec, młodnieję wspomnieniem i dziś twojej dla mnie życzliwości!

W Tuczynie wesoło było i lato całe nie przerwane żadnem niepomyślnem wydarzeniem upłynęło wesoło. Zbliżał się ze wrześniem św. Michał, ale na ten raz p. wojewoda 30 września chciał mieć uroczystszym, gdyż zamierzył sobie wyprawić imieniny ks. wojewodzie wołyńskiemu, i mnóstwo gości zaprosił. Książę Hieronim Sanguszko z pierwszego małżeństwa z księżniczką Jabłonowską, miał syna Eustachego i córkę za jenerałem Mokronowskim. W powtórnem małżeństwie z panią Kuczkowską z domu Pruszyńską miał dwie córki Dorotę i Teklę i syna Józefa. Księżniczka Dorota, do wdzięków cudnej urody, łączyła jeszcze piękniejszą duszę. Dosia była pieszczotą, skarbem, szczęściem rodziców, uwielbieniem wszystkich, a najstaranniejsze wychowanie dopełniało tę szesnastoletnią doskonałość. Księstwo byli w wysokiem u wszystkich poważaniu, ale Dosia była przedmiotem kochania, admiracji i prawie ubóstwienia dla Wołynianów, ona była matką sług i poddanych. Zbiegano się w dom księstwa, ażeby choć widzieć tę nieziemską istotę: szczęśliwy kto ją poznał; szczęśliwy stokroć, kto jej życzliwe uczucia pozyskał; ale jakieżby szczęście było tego, któryby był jej serce i rękę otrzymał! Lecz w księdze

wyroków czarno zapisaną była jej przyszłość — aniołowie tylko radowali się: bo do ich chorów wielbiących Pana nad pany, jeden głos czysty miał przybyć jeszcze! Księżniczka i z rodu i z fortuny pierwszą partją na Wołyniu była.

28 września wieczorem przyjechał książę wojewoda; księżnej nazajutrz dopiero oczekiwano. Dzień ten zeszedł uroczyście i dość nawet wesoło, księżnej jednak nie było. P. wojewoda niespokojny kazał wysłać na całą noc umyślnego do Sławuty. 30-go książę solenizant odbierał powinszowania od licznie zgromadzonego obywatelstwa i był bardzo wesoły, ale gospodarz i jego rodzina pocierpali w duszy oczekując powrotu posłańca, bo już księżnej przestali się spodziewać i coś okropnego przeczuwali. Wieczorem cały ogród i łąki Horynia wspaniałą iluminacją zajaśniały. Pyszny fajerwerk na górze ogrodowej przedstawiał świątynie, cyfry, piramidy w brylantowych światłach, a ogniowe fontanny walczyły o pierwszeństwo z wytryskiem pięknej masy wody, dolną część ogrodu zdobiącym. Fajerwerk spóźniono do zmroku, i tańce po nim dopiero rozpocząć się miały. Kiedy tak w pośród ochoczych i życzliwych wiwatów zdrowie solenizanta przy cyfrze jego w najlepsze spijano, posłaniec ze Sławuty powrócił. Kajetan Marcinkowski postrzegł go rozmawiającego z moim ojcem i z oczów jego okropną nowinę wyczytał. Ojciec wręczył pokryjomu p. wojewodzinie list p. Pruszyńskiego, brata księżnej, donoszący pokrótce: że Dosia i Józio dostali ospy, która najgorzej się wysypuje, że Kitel, Wykisały i Lernet robią co mogą, ale żadnej nadziei uratowania nie mają, że księżna na miłość Boską księcia zaklina, ażeby wracał. Mój ojciec wysłał natychmiast do Annopola, ażeby tam Schary, miał w pogotowiu kilkanaście koni na przeprząż. P. wojewoda i dla siebie powóz przygotować kazał. Marcinkowski wziął na siebie list księciu przeczytać i tyle tylko przeczytał, że dzieci dostały ospy. Ruszyli wszyscy z ogrodu, p. wojewoda przeprosił gości, że ich opuścić musi, i nikt mu tego

za złe nie poczytał, a z balu tak świetnego smutne się zrobiło zamieszanie. O jedenastej książę i p. wojewoda już byli w drodze. Trzeciego dnia wieczorem przyjechał posłaniec ze Sławuty z listem do wojewodzianek, donoszącym, że Dosia i Józio, jakby tylko czekali przybycia ojca, nazajutrz jedno po drugiem we trzy godziny życie skończyli, że rozpacz rodziców nie do wypowiedzenia, że nikt nie jest w stanie nieść im jaką pociechę, bo żal ciężki wszystkich uciska, bo tylko z rodzicami cierpieć i płakać mogą. Bolesny ten cios księstwa cały Wołyń podzielał, smutek powszechny zamknął domy obywatelskie, i zdawało się, że żałoba wywołana nieszczęściem księstwa cały Wołyń okryła. We trzy dni potem p. wojewoda przywiózł stroskanych rodziców do Tuczyna, z córką ich najmłodszą Teklą, dziś jeszcze żyjącą hrabiną Włodzimierzową Potocką, która wdzięków siostry nie posiadała i tylko duszą była jej podobną. Ale to było jeszcze małoletnie dziecię, nie mające sposobów pocieszenia nieutulonych w żalu rodziców. Wkrótce rozpoczęły się zwyczajne polowania; szukał w nich roztargnienia biedny książę, ale żadne zabawy, jak zwykle bywało w tej porze, nie ożywiały jesiennych wieczorów. Smutnie, leniwo płynęła jesień, nie weselej i zima przechodziła. Księstwo na zimę przenieśli się do dóbr swoich na Ukrainie.

Spokojnie było w kraju za panowania Pawła, a jeżeli były jakie wojny, to się daleko od granic państw jego toczyły. Podług mądrych ustaw jego, wyborowi urzędnicy zasiadali we wszelkich sądownictwach, i wykonanie praw żadnej trudności, ani zwłoce nie podpadało. Gorliwy jednak o dobro tak własnych, jako i nowo przybranych dzieci, monarcha zsyłał wiernych sobie, światłych i zasłużonych mężów, dla rozpoznania, czy wola jego i prawa ściśle były spełniane. A były to czasy dziwnie niespokojne. Konsul Bonaparte stawał się już groźnym Europie. Legje polskie formowały się we Włoszech. Dąbrowski, Liberadzki i inni zbierali pod swoje chorągwie młodzież wymykającą się z naszych prowincji za granicę.

Krążyły wieści o naszych wojakach, a ojcowie i matki ciesząc się walecznością swych synów, ocierali łzy wyciśnięte ich odjazdem, ale się taili. Z wiadomościami ukrywano się, bo cesarz nie sprzyjał Bonapartemu, bo i zaciąganie się pod jego znaki brałby był za złe. W tym to

Iwan Gudowicz.

czasie jenerał adjutant graf Gudowicz wysłany był na Wołyń w pomienionym celu, a może i dla wybadania, czy też duch francuski nie rozszerza się w tych prowincjach. P. wojewoda znał grafa, i gdy ten odwiedził ks. Lubomirskich w Równem, p. wojewoda zrobił mu wizytę i do Tuczyna zaprosił. W kilka dni potem, wieczorem, całe to-

warzystwo domowe tuczyńskie, zebrane było w pokoju p. wojewody. Matka moja czytała w głos nowo wyszłe tłumaczenie „Matki Rywalki“ p. de Genlis. Kiedy wszyscy z zajęciem słuchają, dają się słyszeć na dziedzińcu dzwonki pocztowe i bije łuna od lecących kagańców. P. wojewoda gościa się domyślał, kazał sobie podać szablę, przypasał ją do codziennej szaraczkowej czamarki i zielonego kaszemirowego pasa i tak na spotkanie wysokiego urzędnika ku drzwiom przedpokoju postąpił. Wojewodzice i ich rezydenci byli we francuskich tużurkach, kamizelkach z klapami, włosy po prostu zczesane, ubiór wcale przeciwny, przepisanemu od samego cesarza. Wprowadził p. wojewoda grafa, wszyscy powstali; gospodarz prezentował córki, synów i całe towarzystwo obecne. Zmarszczył się Gudowicz na widok francuskiego ubrania młodych i często na nich z ukosa poglądał. Tymczasem i p. wojewoda i wojewodzianki tak umieli zająć gościa, iż się powoli udobruchał, a gdy p. Teresa śpiewała mu włoskie, francuskie i polskie śpiewy, do zupełnie dobrego przyszedł humoru i z młodzieżą o ich modnym stroju grzecznie i dowcipnie żartował. Po wieczerzy ojciec mój odprowadził gościa do górnych apartamentów, p. wojewoda przy drzwiach przedpokoju pożegnał i uprosił, ażeby dzień jutrzejszy w Tuczynie odpoczął. Nazajutrz p. wojewoda w mundurze swym wojewódzkim, w orderach, przy szabli, synowie z zaczesanemi wercetami i harcapami, upudrowani w mundurach najściślejszej formy, poszli odwiedzić grafa. Gudowicz jeszcze nie był ubrany, zmięszał się więc, gdy wszedł gospodarz w pełnej etykiecie, przepraszał p. wojewodę, ale widać było z oczu, jak był zadowolony tą atencją, żądał jednak, żeby młodzi zdjęli ceremonjalne suknie i tylko sobie w zwyczajnych byli ubraniach. Wzbraniał się p. wojewoda temu uchybieniu etykiety, graf nastawał, i ceremonjalna ta sprzeczka przetrwawszy z kwadrans, zakończyła się dogodzeniem żądaniu Gudowicza. Po obiedzie graf poszedł do siebie na godzinę odpoczynku, obiecując, że wróci na

partję wista, a potem z pannami w żmurki i gotowalnię grać będzie. Tymczasem zjechali się pokryjomu zaproszeni goście z sąsiedztwa i muzyka podstolica Pruszyńskiego z Pustomyt. Zdumiał się Gudowicz zobaczywszy tyle dam, a jeszcze więcej, kiedy p. Teresa podawszy mu rękę wprowadziła go na oświeconą salę.

Zagrzmiała muzyka narodowym tańcem, poszły pary, na czele wojewodzianka Teresa z Gudowiczem. „Pani! — rzeknie graf głosem rozrzewnionym — ojciec pani dziwy ze mną wyrabia!“ — „Ojciec mój chce dowieść, jak jest rad tak dostojnemu gościowi“. — „Ale jakiż ma do tego powód? jaki interes?“ — „Czyż chęć zasłużenia sobie przyjaznych uczuć potrzebuje mieć bodźcem interes? Czyż nas obecne położenie nie zbliża? Czyż senator Polski, nie jest godzien przyjaźni wysokiego ruskiego dygnitarza?“ — „Prawda! wszystko prawda; pani mówisz, jak myślisz, a myślisz tak, jak jej szanowny papa. Ale dobroć wasza nie padła na niewdzięczne serce, ja chcę być godnym waszej przyjaźni, i wysoki dygnitarz ruski dowiedzie jej i dotrzyma senatorowi polskiemu. Mówmy więc otwarcie, po przyjacielsku. Wieści chodzą o tej prowincji, jakoby wysłani z Francji rewolucjoniści krążyli po Wołyniu i rozsiewali swoje szkodliwe, niby to filozoficzne, zasady, że nawet takowi w Tuczynie się znajdują; że młodzież wymyka się ciągle za granicę do legji polskich, że komunikacja między obywatelami tutejszymi, a legjonistami trwa, i ciągle wiadomości stąd i tam i nawzajem bezustannie krążą. Liczna młodzież zebrana w domu państwa daje domysły wspierające rozsiewane wieści. Nie dowierzam doniesieniom, i dlatego wolałem sam być w Tuczynie i przekonać się osobiście o wszystkiem na miejscu. Cóż zastałem? ojca obywatela, otoczonego dziećmi i pokrewnymi, spokojność i uprzejmość w domu, i nawet żadnego podejrzenia powziąć nie mogłem. Miejcie się jednak na ostrożności; żadnych pism, książek, rysunków z zagranicy nie odbierajcie i w domu nie przechowujcie. Ja dam mój raport do monarchy o Tuczynie,

i spodziewam się, że po mnie żadna urzędowa wizyta spokojności waszej nie zakłóci, w jakimby to nie było celu". Czule uścisnęła rękę grafa, polonez się skończył, graf dziękując za taniec, piękną rączkę wojewodzianki ucałował. Zabawa nie ustawała, tańczyli ochoczo, i graf rozochocony, w skocznych nawet tańcach kompanji dotrzymywał, a bal do dnia się przeciągnął.

Nazajutrz Gudowicz odjechał, z rozrzewnieniem żegnając p. wojewodę i jego rodzinę, upewniając o prawdziwej swej przyjaźni, dał p. wojewodzie też same co i p. Teresie przestrogi, i zapewnił, że od wszelkich nieprzyjemności ze strony rządu po jego raporcie jest wolny. P. wojewoda ze swej strony upewnił grafa, że jak on, tak i wszyscy obywatele wołyńscy jednym tchną duchem wierności i przywiązania dla swego monarchy. Te kilka słów p. wojewody, jako zdanie Gudowicza, powtórzone były w raporcie jego i wiele wpłynęły na spokojność Wołynianów. To też dom p. wojewody jeszcze szacowniejszym stał się dla współobywateli i swobodnym dla wszystkich przytułkiem.

Tejże zimy zajęła się wojna między Rosją i Persją, i brygadjer Baur, już jako jenerał dywizji, na czele pułku dragonów, których był szefem, wyprawiony został. Przeznaczenie tego człowieka, tak go powiązało z domem tuczyńskim, że go nieraz jeszcze wspomnieć nam przyjdzie.

P. wojewoda zaproszony od ks. Michała Lubomirskiego na karnawał do Dubna, wyjechał z córkami i z ich ochmistrzynią, a za nimi i wojewodzice pociągnęli. Tam po raz pierwszy w obywatelskiem wołyńskiem gronie hr. Chodkiewicz wszystkich serca sobie pozyskał.

Piękna wiosna wróciła strapionym uspokojenie, i powoli wesołość wracać zaczęła. W Tuczynie znowu zbierała się młodzież, przybyło jeszcze dwuch synowców p. wojewody i kasztelanic Bierzyński, ów Adaś, o którym wspomnieliśmy, celujący między młodymi starannem wychowaniem i piękną urodą. Wzrostu był więcej niż miernego, kształtnej kibici, włosów płowych, oczu niebieskich

pełnych życia, rysów twarzy Antinousa, a uśmiech miał tak pełen wdzięku, że go z uśmiechem anioła porównać można było. I serce tak piękne było jak postać, dla tego też pozyskał sobie miłość u wszystkich i p. wojewodzie przypadł do serca, a historja smutna matki jego jeszcze mu więcej życzliwości jednała. Młody, piękny, dobry, edukowany i bogaty, nie do odrzucenia był u młodych obywatelek i wiele matek projekta sobie na niego robiły. Ale p. Adam, od wstąpienia w progi tuczyńskie tak przylgnął do rodziny Walewskich, że mu się zdawało, że tam się urodził i wychował. Z początku wszyscy mniemali, że o p. Karolinie zamyśla, ale nie miał szczęścia jej się podobać, bo zdaje się, że wojewodzianka, starszym Rejentowiczem Krzysztofem była zajęta. Czy i kasztelanicowi to się zdawało, nikomu się nie zwierzył, ale zaloty swoje do p. Teresy obrócił i nader mile przyjęty został. Niedługo taił się ze swemi uczuciami; p. wojewoda z radością słuchał oświadczenia, z powagą jednak do decyzji córki odwołał się. P. Teresa odpowiedziała, jak zwyczajnie dobre córki odpowiadają: „Jeśli mon cher pere, znajduje ten marjaż odpowiedni życzeniom swoim, ja nic nie mam p. Adamowi do zarzucenia". — „To jest, inaczej mówiąc, że ci się kasztelanic podobał?" — „A tak, mon cher pere", — spuściwszy oczy, odpowiedziała p. Teresa. I pokłonili się oboje do nóg p. wojewodzie, i stanęły układy i wesele naznaczone było na św. Michał; na ten dzień bowiem i ks. biskup naznaczył poświęcenie parafjalnego kościoła w Tuczynie, więc dogodnie było pokrewnemu przy tej ceremonji i błogosławić ślubem kochaną Teresię. To się stało w końcu maja, i do 29 września dość było czasu na przygotowania, kiedy i w pałacu już sala jedna i górne okazałe apartamenta i paradne pokoje ukończone były. Ale ważnej okoliczności niedostawało; księżna Jabłonowska była za granicą, a o p. Józefie ani wieści nie było. Pod koniec lipca p. wojewoda z córkami i moją matką wyjechali z wizytami zapraszającemi na

wesele. Kasztelanic na podobną wędrówkę wybrał się z p. Węgierskim, którego za powrotem swoim do majątku wezwał do siebie i jak ojca szanował. Miesiąc prawie trwała ta wędrówka; p. wojewoda czasem odłączał się od córek, zostawiając je w znajomych domach, i wstępował do innych, a wszędzie zapraszał z rodziną. Nikt nie odmówił, bo każdy z zadowoleniem do jego domu uczęszczał.

Zbierali się więc bliżsi i dalsi, a nawet i bardzo dalecy obywatele; a jakto zwyczajnie bywa jedni ze szczerej życzliwości, ci przez ciekawość, a niektórzy dla smacznego kąska i puharu. Sławna bo też była kuchnia wojewodzińska, a piwnica na cały Wołyń słynęła, i niejeden antał nie dzisiejszego tokaju na tę uroczystość dobyty został. Ojciec mój ciągle temi przygotowaniami zajęty, w parę dni po wyjeździe pańskim, siedział wieczorem na ganku swego mieszkania, dysponując ekonomom dyspartymenta potrzebne na rozchody balowe, gdy w tem przybiega sztafeta z Warszawy. Zdawało się ojcu, że z tem miastem żadnych stosunków nie było, niecierpliwie zatem rozerwał pieczęć i te słowa z przerażeniem wyczytał: „Ratuj kochany panie Łukaszu! Nieszczęście zewsząd mię ogarnęło. Ożenienie moje z p. koniuszanką nie doszło z mojej przyczyny, szczerze ci się przyznaję! Niegodzien byłem tej zacnej damy, bo serce moje uwięzło w stosunkach z kobietą, dla której nic świętego niema. Opuściła najlepszego męża dla amantów, z których ja dziesiątym już byłem. Dom jej dla wszystkich nienajprzykładniejszego życia otwarty, był zbiegowiskiem gry i swawoli. W czasie bytności ojca mojego już te związki egzystowały, ale potrafiłem się ukryć i na pozór do woli się ojcowskiej zastosowałem. Bywałem nawet u mojej narzeczonej, udawałem zaloty, i długo mi wierzono. Dowiedziano się wreszcie o mojem postępowaniu, poznano komedję, którą odgrywałem, i p. Teresa odesłała mi pierścionek. Dotknęło mię to głęboko, bałem się ażeby wia-

domość o tem do ojca nie doszła, chciałem widzieć p. Teresę, ale mi to odmówiono. Mój Czapliński mimo całą surowość zasad swych moralnych, potrafił jakoś wkręcić się do domu pp. koniuszostwa, ale nic się nie dowiedział, później tylko dowiedziałem się, że ojcu o tem nie donosili, snadź chcieli, ażeby cała kara zgryzoty na mojem tylko sumieniu leżała. Wkrótce wyjechali do Drezna, ja odetchnąłem, wróciłem do mojej Cyrce i z większym jeszcze zapałem wylałem się na romanse i gry azardowe. Przedałem Niemanowice, a ta suma i zostawione mi od ojca 40,000 zł. na weselne ekwipowanie się, stopiły się na zielonym stoliku lub przeszły do kieszeni mojej kochanki. Żyłem więc na kredyt, grałem na honor, i ani postrzegłem się jak w długi wlazłem. Sprzedane moje ruchomości mało mi pomocy zrobiły, i dwadzieścia tysięcy zł. mają na mnie wierzyciele. Kochanka moja widząc mię w niedostatku i zadłużonym, z jakimś oficerem ruskim wyniosła się z Warszawy; mnie kredytorowie w areszcie trzymają. Jestem zgubiony! Zawiodłem zaufanie najlepszego ojca, zasłużyłem na wzgardę tej, którąby mię prawdziwie uszczęśliwić mogła! Niemam przyjaciela, któryby mi rękę podał, a wstyd mi moją po wsparcie wyciągać. Sam sobie obrzydłem i pewniebym dotąd już nieżył, gdyby mię tak ściśle nie strzeżono. O! ratuj przyjacielu! ratuj! Nadewszystko nic nie mów ojcu mojemu, drogiemu ojcu! ta wiadomość życieby mu zatruła, a on tak spokojny! tak szczęśliwy! Tercia kochana idzie za mąż, a ja jej na weselu usłużyć nie mogę! Jeśli się dowiedzą o tem, co się ze mną stało, ileż goryczy w ich serca wleję! Radzić sobie nie umiem, znosić nieszczęścia nie mam cierpliwości, a żyć muszę, żyć okryty wstydem, ażebym powoli umierał. Ratuj! jeżeli możesz nieszczęśliwego Józefa."

Silne wrażenie list ten zrobił na moim ojcu, śpiesznie odprawił oficjalistów, ażeby bez przeszkody zająć się interesem nie cierpiącym zwłoki. Rzewnie był przy-

wiązanym do całej rodziny p. wojewody, bo go jak ojca kochał, bo go jak obywatela uwielbiał, a w p. Józefie choć błądzącym wysoko cenił szlachetność serca, na której nieraz patrzał dowody. Ale cóż tu robić? 20,000 zł. w owych czasach, suma była niepospolita. Miał wprawdzie ojciec w kasie wojewodzińskiej złożone 10,000 zł. wzięte za dom, które w każdym czasie wolno mu było podnieść, ale to dopiero była połowa tego co mu potrzebnem było. Na szczęście p. Libory Wroczyński plenipotent p. wojewody znajdował się w Tuczynie, w ścisłej był przyjaźni z moim ojcem i do starszej siostry mojej konkurował. Kazał ojciec prosić go; gdy wszedł, bez ogródki powiedział mu: „P. Libory, ufny w twej przyjaźni, proszę pożycz mi 500 czer. zł. zaraz, mam pilną potrzebę, ale jaka? nie pytaj, kiedyś dowiesz się może. Termin wypłaty na kontrakty, procent sam sobie oznaczysz". — „P. Łukaszu! — odpowie zacny prawnik, — worek mój równie jak i serce dla przyjaciół otwarte: bierz ile potrzebujesz, sekretu wiedzieć nie chcę, a w twoim ręku złe użycie tej sumy być nie może. Warunków żadnych nie kładnę, a wspomnieniem procentu obrażasz uczucie prawdziwej przyjaźni". Uścisnęli się dwaj przyjaciele; p. Libory przyniósł 500 dukatów w pięknem złocie obrączkowem, a ojciec dał mu na prostym papierze *pro memoria*. Nazajutrz potem pieniądze leciały sztafetą do Warszawy z takim listem mojego ojca: „Nie do mnie należy sądzić pana i czynić mu wyrzuty, kiedy ci własne przekonanie tak srodze je czyni. Ja mam sobie za szczęście, że śpieszną pomocą usłużyć mu mogę; jw. pan o niczem nie wie, ale pan przyjeżdżaj niezwłocznie. Ojciec choć zagniewany zawsze jest ojcem, a pański jest pierwszym z najlepszych ojców. Wracaj więc, a Bóg nam dopomoże i wszystko pójdzie najlepiej. Moje mieszkanie, zawsze po prawej stronie od wjazdu w oficynie; tam pana z upragnieniem oczekuję. Najżyczliwszy Detiuk".

Kamień z serca zsunął się poczciwemu mojemu ojcu

i błogo mu było na duszy, i był wesół, i mnie swoim Antośkiem i towarzyszem kawalerji nazywał i Kościuszkę przypominał, ale zachowanie sekretu najmocniej zalecał. Umiałem już uczuć i ocenić zacny postępek mojego ojca; ze łzami całowałem jego ręce, a moje rozrzewnienie i jego rozczuliło i serdecznie mię do swego ojcowskiego łona przycisnął. Uczułem na mojem czole łzę szacowną cnotliwego sumienia i byłem szczęśliwy!

Wrócił p. wojewoda zdrożony i zaraz udał się do swego pokoju. Wojewodzianki z moją matką udały się do swoich, ażeby się otrząsnąć z kurzawy i odetchnąć po trzytygodniowej podróży. Pan uwolnił je od przyjścia na wieczerzę i sam zaraz wszedł do kąpieli, a potem na spoczynek; ojciec mój tylko mu towarzyszył. — „Cóż tu u ciebie słychać mój p. Łukaszu?“ — „Wszystko jak najlepiej jw. panie“. — „Widzę żeś wesół, musi tu iść wszystko jak należy“. — „Cieszę się z powrotu jw. pana, i że wszystko co się robi, będzie z jego zadowoleniem“. — „Tego pewny jestem. A listów jakich nie było do mnie?“ — „Nie było żadnych“. — „Ani z Warszawy? Ten Józef! zabija mię swojem milczeniem! Nikt mi nic nie donosi, a on już blisko rok jak nie pisuje. Nie wiem co się stało z jego ożenieniem, i nie jedną noc myśląc o nim, bezsennie przepędzam. Ach! to dziecko moje pierworodne! mojego serca! i ty go z moich synów najlepiej lubisz? wszak prawda?“ — „Niezawodnie jw. panie. Ale posłałem dziś na pocztę do Równego, w nocy posłaniec wrócić powinien“. — „Cokolwiek będzie, proszę cię p. Łukaszu, nie ukrywaj nic przedemną!“ — „Spełnię najwierniej rozkazy jw. pana“. Potem p. wojewoda położył się w łóżku, uściskał mego ojca i rozstali się.

P. wojewoda wstawał latem i zimą o piątej godzinie, i mój ojciec także i zaraz szedł do pana, tam do ósmej trwały narady o interesach, o gospodarstwie, o domowych potrzebach, o dzieciach pańskich, poczem pili sobie razem kawę, potem p. wojewoda ekspedjował z sekreta-

rzem Janickim jeśli miał jaką korespondencję, a o dziesiątej ubrany już był na pokojach, i o tejże godzinie córki z ochmistrzynią na pokoje zejść były powinne. O pół do pierwszej podawano do stołu, a po obiedzie i czarnej kawie rozchodzili się wszyscy po swoich kątach, gdzie kto na fajkę, gdzie kto przedrzymać się, a przynajmniej rozebrawszy się w chłódku odpocząć. P. wojewoda szedł do siebie na całogodzinny spoczynek, po którym najczęściej konno lub karyolką, z moim ojcem wyjeżdżał na oglądanie gospodarstwa. Czasem i damy tę przejażdżkę podzielały, natenczas, zaprzęgano sześć koni do sześciomiejscowej dorożki, tam siadały damy, a woźnicami byli wojewodzice. Niekiedy jeżdżono tak do Szubkowa, gdzie był ogród fruktowy wyborem owoców słynący. Nabierano duże kosze fruktów, i jadąc przez wieś, rozrzucał pan pomiędzy dzieci włościańskie, które wiedząc co ich czeka, w porządku uszykowane, powrotu pańskiego czekały. Za powrotem z przejażdżki, podawano kawę, bo herbatę mało kto jeszcze pijał, a p. wojewoda wcale jej nie lubił; poczem w ogrodzie lub na ganku pałacowym bawiono się aż do ósmej, to jest do wieczerzy; o dziesiątej wszyscy się rozchodzili, jeśli gości nie było. Taki tryb życia był latem, zima mniej była ożywiona, a jednak się nie nudzili. Zebrawszy się o piątej na kawę, cały wieczór zabawiano się czytaniem książek, co zwyczajnie mojej matce się dostawało, bo na podziw pięknie czytała. Czasem zbierała się partja wista, w której już panu, ojciec mój kompanji dotrzymywał; a jeśli nie było partji, to we dwóch sobie w rumla grali, gra jednak tak była cicha, że czytaniu nie przeszkadzało.

Następnego dnia po powrocie z podróży, p. wojewoda później się obudził, mój ojciec czekał już w gabinecie. „Prosić p. Detiuka!“ rzekł pan do kamerdynera. — „Jestem jw. panie!“ odpowiedział wchodząc. — „A dobry dzień! A cóż to p. namiestniku! coś nie w tak wesołym humorze jak wczoraj?“ — „Ciężko zmartwiony jestem“.

„Pewnie nie dość masz jeszcze zwierzyny, albo niegrzeczny Horyń, łówką ryb ci nie dopisał, — rzekł żartobliwie pan, — to ciężkie zmartwienie!“ — „I to byłaby dla mnie nieprzyjemność, bo chciałbym wystąpić, jak na jw. pana przystoi. Ale dzięki Bogu, wszystko nam idzie jak z płatka, i nie o to chodzi! Niemiły, smutny list odebrałem“. — „Skądże? czy nie z Maniatyna, może nasza kochana Skirmuntowa niezdrowa?“ bo p. wojewoda wiedział, że mój ojciec tę siostrę, jak własną córkę kochał. „O! nie, zdrowa, i w tych dniach oboje jw. panu służyć będą; mój list zdaleka!“ — „Może od swoich z Litwy?“ — „I to nie, moi bogaci pokrewni zapomnieli o mnie!“ — Czy nie z Warszawy? — zawołał pan zrywając się z łóżka“ — „mów! mów! cóż tam mój Józef?“ — „Ciężko chorował!“ — „Umarł? czy żyje? nie dręcz ojcowskiego serca, mów tak, jak jest!“ — „Żyje, i powoli do zdrowia przychodzi“. — „Czemuż tu do mnie nie przyjeżdża? czyżby mu u ojca nie było lepiej!“ — „Nie śmie“. Cóż zrobił? — „Cały majątek stracił, zadłużył się“. „Marnotrawny!“ — „Ożenienie jego rozeszło się!“ — „Co! ożenienie? O! niegodny! mniejsza o majątek, rzecz nabyta. Ale mnie serce srodze boli, że tak godnej kochania osoby nie zaślubił! Jam mu zawierzył, a on! on mnie tak oszukiwał! To było ukochane moje dziecko, dziecko tak dobre! jam mu zaufał, a on mię! niech mię milion set... on mię na dudka wystrychnął! O! nie, ani na oczy! Napisz mu pan, ażeby nie ważył mi się nigdy pokazywać!“ — „A jeśli ten wyrok biednego do grobu wpędzi?“ — mówił zcicha niby do siebie mój ojciec. — „Co wmpan mówisz?“ zapytał p. wojewoda wzruszony. „Nic, ja to sobie tak głośno myślę!“ — „Wmpan coś taisz przedemną?“ „Wszak wszystko powiedziałem“. — „Może on w biedzie? może potrzebuje pieniędzy? poszlij mu ile chcesz z mojej kasy, ale mu napisz, żeby się nie ważył nigdy przedemną pokazać, bo go odepchnę, przeklnę! tyle mi wstydu, tyle zmartwienia narobił!“ — To mó-

wiąc, oparł ręce na kolanach i oczy zakrył. Ojciec mój skinął na kamerdynera, żeby panu dawał się ubierać, i dla przerwania tak przykrego dla obu położenia, ucałowawszy rękę ukochanego pana, wyszedł.

Ważny krok był już zrobiony, czytał ojciec w sercu swojego dobrego pana, że przeciw wyrokowi surowego sędziego, serce najczulszego ojca w obronie stanęło. Wypadł jakiś interes, że p. wojewoda zażądał, ażeby mój ojciec sam pojechał do Równego. Rad z dobrego przygotowania w sprawie syna przed ojcem, wyjechał mając nazajutrz powrócić. Ale rzeczy inny zupełnie obrót wzięły. P. starosta Turno, brat drugiej żony p. wojewody, wuj p. Teresy, wracając z Warszawy wstąpił do Tuczyna, i wszystkie awantury biednego Józefa, ze szczegółami opowiadał. Złośliwie to było ze strony starosty, bo potrzebującemu nie przyniósł pomocy, a przed ojcem go oskarżył, ale już tego cofnąć nie można było. Szczęściem, że p. Turno, dawniej nieco wyjechawszy z Warszawy, najpóźniejszych wiadomości panu wojewodzie o synu dać nie mógł. P. starosta rano wyjechał i mój ojciec wróciwszy już go nie zastał. Interes w Równem najpomyślniej był zrobiony i p. wojewoda serdecznym uściskiem dziękował mojemu ojcu, ale mu z żalem ukrytą prawdę wymówił, na syna się srożył, obiecywał go wydziedziczyć, wyrzec się, przeklnąć. Mój ojciec milczał, a gdy pan, wyburzywszy się, w oczach sługi szukał odpowiedzi: „Zostawmy to czasowi, — rzekł mój ojciec, — gniew jw. pana, jest sprawiedliwy, choć może za srogi, aleś ojciec! a Bóg nam w Ewangelji, powieść o marnotrawnym synu na przykład zostawił". W tem ktoś z sąsiadów nadjechał, rozmowa się przerwała, i mój ojciec wyszedł pełen dobrej otuchy.

W kilka dni potem, p. wojewoda mając jeszcze kilku bliższych sąsiadów do zaproszenia, na parę dni z domu wyjechał. Mój ojciec siedział przy swoim kantorku przeglądając spis zaproszonych gości i rozporządzając gdzie

komu, jakie dać mieszkanie, ja pisałem kartki z numerami dla wręczenia ich margrabiemu pałacu, — w tem turkot zajeżdżającego powozu obudził moję ciekawość, ojciec go nawet nie zauważył. Wyskoczyłem na ganek i ujrzałem wysiadającego mężczyznę, pięknej postawy, który mię zapytał: „Jest p. Detiuk?“ — „Mój ojciec? — odpowiedziałem, — służę panu!“ i wprowadziłem go do pokoju. Obrócił się ojciec od kantorka, a ujrzawszy przybyłego wykrzyknął: „P. rotmistrz!“ i oba serdecznie się uścisnęli. Domyślałem się kto to jest, i wyszedłem, żeby im nie przeszkadzać rozmowy. W kilkanaście minut zawołał mię ojciec i p. rotmistrzowi przedstawił. Był to najstarszy syn naszego pana, p. Józef, wracający pod strzechę ojcowską; uściskał mię i o czemś tam ze mną mówił, nie pamiętam, wiem tylko, żem się na niego napatrzeć nie mógł, i że moje młode serce od tej chwili, nazawsze do niego przylgnęło. Ojciec gościa umieścił w swoim pokoju, sam się wyniósł do drugiego gdzie ja sypiałem. Tego wieczora, nikomu nie dano wiedzieć o przyjeździe wojewodzica, bo mój ojciec chciał, ażeby zdrożony i tylu uczuciami miotany, wcześnie udał się na spoczynek.

Około północy wrócił p. wojewoda z kagańcami, wyszedł na spotkanie pana mój ojciec, ale nic po sobie nie pokazał i wszystko do jutra odłożonem zostało. Jakoż o piątej jak zwykle był już u p. wojewody. Mówili długo o przygotowaniach do zbliżającej się uroczystości, i mój ojciec szczegółowie okazywał, jak wszystko ładem idzie. Zadowolony pan zacierał ręce i poświstywał ulubione: *U drzwi twoich*. Widząc ojciec dobre usposobienie humoru pańskiego, postanowił z chwili przyjaznej korzystać, a wyliczając osoby z familji, rzekł: „Szkoda! dwoje z rodzeństwa nie będą asystować p. Teresie do ślubu i błogosławić, ale cóż? księżna za granicą, a p. Józef...“ — Cóż ten p. Józef? wmpan go z ust nie wypuszcza, za cóż go tak kochasz?“ — „Bo do pana mojego i twarzą i duszą podobny!“ — „To tylko chyba w twoich oczach. No cóż

ten p. Józef?“ — „Możeby zjechał na wesele siostry, ale...“ — „Cóż, ale?“ — „Ale nie śmie“. — „Dla czegóż nie śmie?“ — „Czyż jw. pan nie kazałeś mu napisać, ażeby się nie ważył jw. panu na oczy pokazywać?“ — „I wmpan mu to napisałeś?“ — „Miałżebym być nieposłusznym rozkazom mojego pana?“ — „Hm!“ mruknął p. wojewoda i zaczął chodzić zadumany po pokoju i ulubionej nuty nie poświstywał. Milczenie trwało chwil kilka, ojciec śledził poruszenia pana, i w chwilowo rzuconych wzajemnie wejrzeniach, śledził walkę i grę uczuć ojcowskiego serca. Czy więcej nic nie pisał do wmpana?“ — „Nie.“ — „I myślisz, że on mógłby się jeszcze poprawić?“ — „Kto do win swoich najrzetelniej się przyznaje, wstydzi się za nie, i cierpieniem duszy pokutuje, czy ten od poprawienia się jest daleki?“ — „I chciałbyś może, ażeby w ojczyste progi powrócił? ale nie, nie, jabym go widzieć nie mógł; nie! oh! on mi tyle zawinił!“ mówił p. wojewoda, ale głos jego wzruszony zdradzał i surowość słów i serca uczucia. „Odpuść nam nasze winy! wymówił ojciec mój z czułością“. — „Odpuszczam mu! cóż chcesz? odpuszczam, ale widzieć go! o! nie, nie mogę nigdy“, — i głos coraz więcej był drżącym. „A gdyby p. Józef był tu już w domu?“ to rzekłszy, przez okno od którego pan był odwrócony, ojciec dał mi znak, na który czekałem na ganku i dałem znać wojewodzicowi. — „Co! niech mię miljon set!... Co? Józef tu w moim domu?!“ — zawołał p. wojewoda głosem, w którym jeszcze był krzyk, ale już zwycięstwo przywiązania nad gniewem rozpoznać można było! — „Jak on śmiał?... to już zapewnie wmpana robota?“ — „Tak jest jw. panie! moja! a jeśli ten mój postępek zasługuje na naganę, to mię ukarz, to jest od usług swoich oddal, bo to byłaby dla mnie najsroższa kara!“ — Nie! mój drogi przyjacielu, — odpowie p. wojewoda wyciągając rękę do mego ojca, — czyż mógłbym mieć ci za złe tyle przywiązania do mojej rodziny? Pozwól mi tylko nabrać nieco męstwa po-

trzebnego na takie spotkanie!“ — Zaledwie tych słów domówił, drzwi się otworzyły, i syn marnotrawny był u nóg ojca. W sercu p. wojewody już gniewu nie było, ani nawet w oczach ślad jego pozostał. Przycisnął do łona ukochane dziecko, całował czoło i twarz jego, wpatrywał się w zmienione oblicze, a nic mówić nie mógł; łza tylko gorąca, łza czułości ojcowskiej, łza przebaczenia z oczu ojca na lice powróconego syna spłynęła. Ojciec mój stał na boku i oczy zapłakane ocierał; p. wojewoda wyciągnął ku niemu rękę, którą ojciec z rozrzewnieniem do ust przycisnął. „O! dziękuję ci! dziękuję, ani wiem nawet jak ci odwdzięczę za tę rozkoszną niespodziankę! Jam jednak przeczuwał, marzył, że ty ją dla mnie przygotujesz. Patrzaj! jak teraz jestem szczęśliwy! tu przy sercu syn mój ukochany; a tu uściśnienie dłoni prawdziwego przyjaciela!“ to mówiąc, przycisnął ojca mego do serca i szczerze ucałował.

— „Czy Józio widział się już z siostrami?“ — „Nikt dotąd jeszcze niewie o przyjeździe p. rotmistrza“. — „Ani p. Detiukowa?“ — „Zacóżby moja żona miała wiedzieć wcześniej od wszystkich?“ — „No! wieszże co p. Łukaszu! poszlij prosić twojej żony, żeby tu do mnie z Tercią i z Karolką na kawę przyszły, a potem poszlij za moimi chłopcami“. — Odszedł mój ojciec i syna z ojcem sam na sam zostawił. Była tam najszczersza spowiedź winowajcy, i najuroczystsze odpuszczenie sędziego. Niezwykłe tak ranne zaproszenie zdziwiło wojewodzianki, wypytywały kamerdynera: „coby to było tak pilnego, i czy niema kogo u pana?“ — „Nie wiem“, — odpowiedział ze spokojną twarzą kamerdyner. Narzuciwszy więc ranne ubranie, wojewodzianki z moją matką pośpieszyły na wezwanie p. wojewody. Jaśniało radością oblicze szczęśliwego ojca, nucił pieśń ulubioną, wesoło przyjął dobry dzień od przychodzących, ale p. Józefa ukrył wprzód w gabinecie. „Terciu! — rzecze do starszej córki — miłego dziś mamy gościa“. — „Będziemy mu z serca rade,

mon cher pere!“ — „Ale ten gość i na weselu twojem zostanie“. — „Jeżeli tak miłym jest papie, to i nam obojętnym nie będzie“. — „Kogóżbyś żądała mieć w tym gościu?“ — „O! siostrę Teonię chciałabym mieć około siebie i jej błogosławieństwo otrzymać!“ — „A tegoż?“ — zapytał p. wojewoda, otwierając drzwi gabinetu. — „Józio! Józio!“ — krzyknęły razem obie wojewodzianki i uwiesiły się na szyi brata; p .wojewodzie łzy, ani mówić, ani poświstywać ulubione „U drzwi twoich“, nie dopuściły. Tkliwa to była scena; płakali łzami radości i śmiech radości te łzy osuszał.

Nadeszli młodzi wojewodzice i kasztelanic, czułe było braci powitanie. Śniadanie było wesołe, p. wojewoda nikomu nie powiedział wmpan, wmpani, wszyscy byli: ty, wszyscy kochani. U obiadu, pił ojciec zdrowie powróconego syna; mieszkanie naznaczył mu obok swojego pokoju, bo go długo nie widział, bo nie jedną noc bezsennie o nim przemyślał, bo całą przeszłość jego zapomniał i tylko czuł potrzebę wylania uczuć ojcowskiego serca. Dzień ten był prawdziwą uroczystością, był prawdziwem świętem familijnem. P. wojewoda opowiadał swoje konfederacyjne wypadki, p. Józef smutną swoją historję, p. Karolina grała nową sztukę Bethowena, p. Teresa śpiewała włoskie arje i ulubione ojcu polskie piosneczki, bo obie pod dyrekcją Budziewicza wysoko w muzyce postąpiły, już nawet długi fortepjan, czyli pantalon Waltera z Wiednia miały.

Kasztelanic im dłużej bawił w Tuczynie, tem więcej odkrywano w nim pięknych przymiotów i coraz więcej serca wszystkich ku sobie pociągał. Wiele anegdotek o jego dobroci krążyło w Tuczynie. Te które pod mojemi oczami zaszły, wymienię. Był w Tuczynie mularz Justycki, doskonały majster i wielce od architekta Merka uważany; miał żonę, ale pani Justycka więcej lubiła kieliszek, niż dom i męża, stąd i częste nieporozumienia zachodziły pomiędzy małżeństwem. Zdarzyło się, że jed-

nego wieczora, p. Adam, słuchając muzyki w słodkich dźwiękach z pod pięknej i biegłej ręki p. Teresy wychodzącej, opóźnił się, sam do stancji aż na stajniach powracał. Ledwie wyszedł na drogę przedzielającą dwa dziedzińce, aliści słyszy jakiś głos swarliwy, niby jęczący, niby groźny, zbliża się w to miejsce, i mimo noc dość ciemną, rozeznaje kobietę, na wpół leżącą nade drogą. — „Kto to?“ — zapyta kobieta. — „Co wmpani tu robisz?“ — zapyta kasztelanic. „A, idę do domu“. — „A gdzież wasz dom?“ — „Oś tut, niedaleko, ale coś mnie się w oczach kręci, a wmpan kto? pewnie pacholik którego z paniczów? bo to i młode i ładne jak paniątko. Pomóż mi wasan wstać, bo mi się coś nogi pocierpły“. — „Może wmpanią do domu odprowadzić?“ — „A co to; ja sama nie potrafię?“ — „Ale noc ciemna i nogi nie służą, a może i złe psy na drodze“. — „Ha! prawda, psy, o tam u popadi, ale ona jeszcze od psów gorsza. No chodźmy! Ale wara odemnie, żadnej podufałości, bo jakem majstrowa, jakem Justycka, zęby powybijam“. — Śmiał się po cichu kasztelanic i podał ramię p. majstrowej, i ciężkie niepewne jej stąpanie silnie podtrzymywał. W domku ich jeszcze się świeciło, weszli; mularz siedział przy stole i modlił się na książce, poznał kasztelanica, i zerwawszy się z siedzenia, kłaniał się, całował ręce młodego pana i nie wiedział jak za tyle dobroci dziękować, ale p. majstrowa nic już ani mówiła, ani pamiętała. Ciepło izdebne, w moment ją objęło i cały spirytus do głowy popędziło. Zalecił p. Adam Justyckiemu, ażeby mieli oko na kobietę skłonną do napicia się, bo może być kiedyś okropny przypadek. Justycki przeprowadził p. Adama aż do pałacu, i za to został nagrodzony. Nazajutrz, nocna awantura z Justycką, była nowiną bawiącą towarzystwo pałacowe, pikowano kasztelanica; ale mularz i jego żona obsypywali błogosławieństwem młodego pana.

Potrzeba było p. wojewodzie posłać do Dubna dla Bessona 50 czer. zł. na jakiś przysłany sprawunek; oj-

ciec mój nie mógł oderwać się od zatrudnień mnogich przed bliską już bardzo uroczystością, — p. wojewoda kazał posłać pisarza Ankwicza, którego wierność i poczciwość znane już były z wielu dowodów. Do Dubna było mil ośm; wysłany wieczorem na pół drogi między Równem i Warkowiczami zanocować musiał. Nieszczęście chciało, ażeby biedak nie dopilnował się, i czy zgubił, czy mu je ukradli, dość że rano z noclegu opatrzył się że niema pieniędzy. W strachu i rozpaczy, wraca nazad do Tuczyna. Rano kasztelanic przyszedł do mojego ojca, bo z nim miał wszelkie narady o swoje przygotowania. Wtem wchodzi Ankwicz blady, chwiejący się, ledwie mówić może, rzuca się ojcu memu do nóg i z płaczem nieszczęście swoje wyznaje. Ojciec rozgniewany ostro mu wyrzuca jego niebalstwo, a niewie sam co tu w takim razie poradzić. Kasztelanic bierze go do drugiego pokoju, dobywa zwitek 50 czer. zł. i dając rzeknie: „Kochany p. Detiuk! ratujmy tego poczciwego człowieka! Niech p. wojewoda o niczem nie wie; mnie ta bagatela różnicy nie zrobi, weź to, i wypraw natychmiast pisarza mojemi końmi. Zwłokę powrotu można będzie jakoś wyekskuzować, a interes zrobi się tak, jak papa żąda". Ojcu memu łzy w oczach stanęły, uściskał kasztelanica, wyszedł do pisarza, i surowo zalecił więcej pilności i ostrożności w podobnych poleceniach: „Tysiąc złotych mój panie, to summa, to trzy lata twej służby, którąbyś utracił, gdyby nie wspaniałość jw. kasztelanica. On to łaską swoją i ciebie i dzieci uratował". Rzucił się do nóg p. Adamowi pisarz, podniósł go kasztelanic i rzekł z uśmiechem: „Ale bądź ostrożnym p. Ankwicz, bo ja na drugi raz i grosza nie dam". Pisarz odjechał śpiesznie końmi kasztelanica, i tym razem już lepiej się sprawił, a z całą rodziną swoją gorąco modlił się o szczęście tak dobrego pana.

Kasztelanic wiedział od p. Węgierskiego o pobycie moich rodziców w Ludwipolu, i był dla nich z najszczer-

szą życzliwością i szacunkiem, a ojca szczególniejszą ufnością zaszczycał. W chwilach poobiednich, kiedy się wszyscy po swoich kątach rozchodzili, Adam najlepiej lubił ten czas spędzać u mojego ojca. Jednego dnia, p. Węgierski, kasztelanic i wojewodzic siedzieli sobie na ganku naszym z fajkami, p. Adam opowiadał figle swoje szkolne, p. Węgierski pobyt Adasia przy nim, stąd poszła rozmowa o Bystrzycach, o Ludwipolu, zasępiła się piękna twarz p. Adama, bo w sercu jego smutne wspomnienia wywołała. Służący mego ojca, słuchając ze drzwi siennych, przez łzy spoglądał na kasztelanica; ale ten sługa, był to ów Szełest kozak, którego odesłano z Warszawy, ani mu na najusilniejsze prośby przy paniczu zostać nie pozwolono. Nie w kozackim już ubiorze, ale w wojewodzińskiej liberji strojny przystojny lokaj, po imieniu Janem był zwany. Ale w sercu poczciwego włościanina odzywała się przeszłość i przywiązanie do swoich panów. Rozrzewnienie jego zauważano, i średni wojewodzic Wojciech z drwinkami do niego przemówił: „A, p. Jan, jaki czuły! jak łaskaw! nasze rozmowy podsłuchuje!“ — „Nie podsłuchałem ja jw. panie; co mi do rozmów pańskich? ale oderwać oczu nie mogę od oblicza mojego prawego pana... Jw. panie! — mówił dalej upadłszy do nóg kasztelanica — mnie tu w służbie, jak u ojca, alem ja twój poddany! Nie dano mi być przy jasnym panu w Warszawie, to pozwól odtąd służyć tobie, póki w Szełeście ducha stanie“. Szczerze objął go i ucałował kasztelanic. — „O mój dobry Szełeście! twoje takie wynurzenie się, zasługuje na moją wzajemność. Wiem jak poczciwie służyłeś mojej biednej matce, a dzisiejsze położenie twoje pokazuje, że tu wierności, statku i zdolności dowodzisz. P. Detiuk pozwoli że cię znowu do osobistych moich usług biorę, rodzinę twoją całą i ciebie od poddaństwa zupełnie uwalniam; a panu, — rzecze do mego ojca, — innego usposobionego na miejsce dam człowieka. Szczęśliwym! jeśli ten poczciwy chłopiec, zawdzięczo-

nym jest odemnie, tak, jak zasługuje!“ Odtąd Szełest nieodstępnym był swojego dobrego pana, a w r. 1809, zgonem swoim, życie pana swego ocalił. Szlachetna, wielka dusza była w pięknym Adamie i życie też jego piękne było!

Tymczasem zbliżały się i uroczystości i tydzień już tylko do termiunu zostawał. Damy wielce były zajęte. Kupcy, krawcy, szwaczki, haftarki i różni rzemieślnicy, dniem i nocą snuli się po pałacu; ci dostawiali towarów, ci towary przerabiali na suknie, bieliznę, sprzęty i różne potrzeby sutej wyprawy. Wszystko płaciło się gotówką i ciągle ważne holenderskie dukaty z rąk przechodziły. I narzeczona nie próżnowała: razem z siostrą siedziała przy jednych krośnach, przy drugich moja matka i p. Wosińska, wyśpieszały ślubnej sukni przybory. Robota odbywała się na pokojach, bo p. wojewoda lubił patrzeć na córki igłą zajęte. Kawalerowie asystowali damom, a narzeczony nieodstępnym był swojej p. Teresy. I warta też była tej miłości i tego uwielbienia z jakiemi był dla niej piękny kasztelanic. P. Teresa nie była tak piękna jak p. Karolina, ale ileż to najpiękniejszych serca i umysłu przymiotów, ile talentów, wdzięki oblicza podwyższało! Miernego była wzrostu, i dość miała ciała, ale kibić kształtną. Włosy ciemne, rysy twarzy mniej regularne, familijne Turnów, nosek nieco zadarty, oczy pełne życia i wyrazu słodyczy, usta piękne, świeże i cudnej piękności zęby, białość twarzy, gorsu i rąk czysta i delikatna, ręka i noga malutkie i dziwnie kształtne. P. wojewoda oprócz ojcowskiego przywiązania, miał dla jej rozumu wielki szacunek, w ważnych interesach jej się powierzał, rady nawet zasięgał. Całe życie tej damy wzorowe było! A w szczęściu i niedoli umiała zachować umiarkowanie, wiarę i tę słodycz charakteru, którą od lat młodych, wszystkich życzliwość zjednać sobie umiała. Radował się ojciec pięknem jej zamężciem, odpowiednem jego życzeniu, ale czuł, że bez Terci będzie mu smutno i tęskno.

To go tylko pocieszało, że córkę niedaleką sąsiadką mieć będzie.

* * *

Najpierwsi na wesele p. Teresy zaczęli się zjeżdżać swoi. Brat p. wojewody p. brygadjer z żoną, z dwoma synowicami Marją i Ludwiką, z kuchnią, kredensem, cukiernikiem i usługą; pp. jeneralstwo Karwiccy, p. starosta Turno, p.p. Skirmuntowie, p.p. Ksawery, Antoni i Feliks synowcowie, p. Ślaski, siostrzeniec p. wojewody, p. Zawisza z Litwy, także koligat jakiś bawiący i wprzódy w Tuczynie, wielce w salonach ceniony, a zwłaszcza z tańca. P. młody dotąd mieszkał z wojewodzicami na stajniach, ale na tydzień przed weselem przeniósł się do kamienicy w miasteczku, gdzie i dwór jego i wszystkie weselne przygotowania miały swe stanowisko. Ruch był wielki w pałacu i w miasteczku, ale nieładu nigdzie nie było. Każdy miał swój zakres, za który nie wychodził i każdy swoje porządnie spełniał.

D. 28 młodzi byli u spowiedzi. Pannie młodej towarzyszyły przybrana matka p. brygadjerowa i moja matka. Panna młoda i dwie drużki biało skromnie ubrane, a młoda obszerną zasłoną okryta była. Od południa i dalsi zjeżdżać się zaczynali. Dla ks. biskupa obiadującego u księstwa w Równem, na pół drogi wysłano powóz wojewodziński i konie, i szanowny nasz pasterz o czwartej zajechał przed ganek. Wyszedł p. wojewoda z całą rodziną na spotkanie; mój ojciec karetę otworzył i wysiadającemu ramię podstawił; wojewodzice podprowadzili na wschody; na ganku p. wojewoda i rodzina jego przyjęli błogosławieństwo i ucałowali ręce pokrewnego pasterza i na pokoje wprowadzili. Chciał mu p. wojewoda ustąpić swój pokój, ale świętobliwy kapłan obrał już sobie mieszkanie na probostwie, bo i porządne były pokoje i blisko kościoła, gdzie mu o 7 rano już być potrzeba, gdzie też i wyżsi z duchowieństwa i kler pomieszczeni

byli. Po ks. biskupie, nieustannie już przyjeżdżali goście, nie schodziłem z ganku pałacowego, bo nie powiem, że mię to bawiło, ale zachwycało. Tegoż wieczora przyjechali książęta Sanguszkowie, w-da Wołyński i strażnik Lit. z żonami, ks. Sapieha w-da Smoleński i z nim razem Ludwik Raciborowski starosta Czerwonogrodzki i podczaszy Podolski Józef Witosławski, właściciel sławnego pięknością swoją w Podolu Krzywczyka, którego położenie z siebie już okazałe, gustem swoim jeszcze więcej przyozdobił. P. wojewodzina Bełzka Potocka, kasztelaństwo Rzewuscy, Potocki star. Szczyrzecki, który, wracając od wód, wstąpił odwiedzić koligata i na ten akt uroczysty zatrzymanym został. Wszyscy domowi, na ciasnych byli kwaterach. Wojewodzice, ich krewni i rezydenci zajmowali jedną austerję w miasteczku, drugą taką przygotowano dla kawalerów przyjezdnych. W pałacu i na stajniach było 19 apartamentów dla dam. Na komisarji dla trzech domów były pokoje, a dwa porządne dworki oficjaliści na te dni kilka dla gości ustąpili. Mój ojciec ze mną mieścił się w małej izdebce przy kuchennej oficynie, a w jego mieszkaniu ks. Sanguszkowie mieścili się. Każdy dom zajezdny w miasteczku wyporządzony był dla gości. Dalej jeszcze tego wieczora przyjechał ks. Eustachy Sanguszko z żoną, niedawno zaślubioną sobie piękną księżniczką stol. kor. Czartoryską, kasztelaństwo Platerowie z Beresteczka z córką Adelą i synem pięknym Edwardem, kasztelaństwo Tarnowscy z Podberezia, starosta Denysko, generał Bobr z żoną, podkomorzy Piniński, podstolina kor. Karszyna, wojewodzina Ledóchowska, starosta Zagórski, szwagier chor. kor., strażnikowa kor. Czacka z córkami, ks. Lubomirscy Józefostwo z Równego z piękną córką Heleną, gubernator Glazenap, marszałek gub., Worcell, podkomorzy Gostyński. Stary margrabia pałacowy Urzędowski w paradnej liberji, w trzewikach z brylantowemi sprzączkami, z kapelusikiem pod pachą, zwijał się to tędy to owędy,

ale się nie pomylił i każdego na swojem miejscu ulokował, dwuch młodych zręcznych froterów miał do pomocy. Ja dosiedziałem prawie do północy przypatrując się zajeżdżającym powozom i wysiadającym z nich gościom. Uprzejma gościnność p. wojewody i ta wziętość, jakiej słusznie używał w obywatelstwie, ściągały gości do jego domu, a zaprowadzony przez ojca mego porządek, że nietylko panowie, ugoszczeni byli, ale i sługom na niczem nie zbywało, i za karm koni płacić nie mieli potrzeby, żadnego uskarżenia się, ani panów, ani sług nigdy nie wywołał.

Już tego wieczora p. Teresa pięknie ubrana, w towarzystwie drużek, nie gospodarowała na ojcowskich pokojach; p. Adamowa Walewska spełniała w domu brata obowiązek gospodyni, i gości przyjmowała. Tańców nie było, a gdy już rozchodzić się mieli, dwuch drużbów podali ręce pannie młodej, ta pożegnała czule ojca, pięknym ukłonem pozdrowiła całe zgromadzenie, i w towarzystwie tylko sióstr i mojej matki, do swego panieńskiego apartamentu odprowadzona była. Ks. biskup wcześnie udał się na spoczynek, damy także nie dosiadywały, i starsi panowie, młodzież rozsypała się po swoich kwaterach, na dwuch tylko czy trzech stolikach dogrywano wista. P. wojewoda najpóźniej się położył. Mój ojciec zdawszy panu sprawę ze stanu przygotowań na dzień jutrzejszy, obejrzawszy wszystkie kąty i dawszy zlecenia na jutro zebranym dworskim, sam także udał się na spoczynek.

Cel tych wszystkich przygotowań i trudów, i kres ich, było oczekiwane jutro! to wielkie jutro, dla domu p. wojewody, już tylko o kilka godzin było odległe. Myśl o niem, różne w różnych budziła uczucia i wrażenia. Narzeczeni niecierpliwie go pragnęli i lękali się jego nadejścia, bo jutro będzie dla nich zaczęciem nowego życia. Pojmiemy to łatwo, przypomniawszy sobie w ich położeniu. Jest to bowiem w naturze ludzkiej, że gdy czego

wielce pragniemy, wszystkie usiłowania łożymy, ażeby dopiąć naszego celu, a gdy już chwila spełnienia żądań zbliża się, radzi temu spełnieniu, chcielibyśmy jednak tę chwilę jeszcze nieco oddalić. Szczęśliwy! kto dobrze trafił, ale niestety! jak często nadzieja zawodzi! — P. wojewoda zajęty przyjęciem jak najuprzejmiej swych gości, i pewien, że ład, obfitość i porządek we wszystkiem będzie, zadowolony spokojnie zasypiał marząc o przyszłem szczęściu swej lubej Teresi. O! bo niemasz słodszej myśli dla rodziców jak myśl o szczęściu dzieci, a jeszcze dobrych dzieci! Haneczko moja! pociecho jedyna starości mojej! kreśląc te wyrazy, ojciec twój o tobie, o twej przyszłości marzy, i takiego ci szczęścia życzy, jakie było Teresy i Adama, których wesele tu opisuję! Rodzice zebrani na wesele wojewodzianki, o weselach córek swych także marzyli. Młodzież płci obojej, zazdroszcząc może państwu młodym, snuła w swych marzeniach i swoich wesel obrazy, a może i zamki na lodzie budowała. Piękna i cicha noc wrześniowa sprzyjała snom, które rozsiewając makówki swoje, słodkie marzenia spiącym nasyłały; kucharze tylko i lukiennicy tej słodyczy kosztować nie mogli.

Pałac p. wojewody nie był jeszcze wewnątrz zupełnie ukończony. Najpiękniejsza część jego, okrągła sala, zastawiona rusztowaniami, na których sztukatorowie Probst z czeladzią około sklepienia pracowali. Ale po prawej stronie, były paradne bawialne pokoje, po lewej ogromna sala jadalna, która na ten raz i za salę do tańców służyła. Wspaniałe to były, i prawdziwe senatorskie komnaty! Główny bawialny pokój, biały mozajkowy z drzwiami i oknami, suto złocistą rzeźbą ozdobionemi. Błękitne adamaszkowe firanki u drzwi i okien, i takąż materją okrytą meble biało-lakierowane ze złotą rzeźbą. Między oknami od gzymsu do posadzki zwierciadła i zwierciadło ogromne nad wspaniałym mozaikowym kominem. Przyległy gabinet o trzech parapetach, sztuczne-

mi marmurami wyłożony z takimże kominkiem. Firanek u okien nie było, meble złocistą materją okryte, a naprzeciw środkowego okna wielkie weneckie zwierciadło pięknie odbijało widok na Horyń i malownicze jego okolice. Drugi pokój bawialny, był obok pierwszego, ale już w skrzydle pałacowem i z niego przechodziło się do pokoju p. wojewody. Niższym był od głównego, ale obszerny, wesoły i ozdobny obiciem i firankami adamaszkowemi, amarantowemi i takim pokryte meble. Styczny z obydwoma bawialnemi, był bilardowy, malowany w pejzaże przez Burkiewicza, i z niego wychodziło się do głównej sieni. Sala jadalna ozdobna w arabeski naśladujące płaskorzeźby na tle szafirowem, nazywała się szafirową. Oddzielała ją od paradnego pokoju nieukończona jeszcze okrągła sala, przez którą na teraźniejszą uroczystość, architekt Merk zręcznie urządził, wygodny, elegancki nawet, płótnem wybity, wybielony i w girlandy dębowe i wazony przystrojony przechód. Nad temi pokojami na piętrze były dwa wielkie apartamenta. Po prawej od wschodów, świeżo wymalowany, pięknemi obiciami wyklejony, z firankami u okien i gustownie umeblowany, z pięciu pokojów i wielkiego przedpokoju złożony przeznaczony był dla państwa młodych. Po lewej podobnyż zajęła ks. wojewodzina Wołyńska i jej synowa. Piękne wschody wiodące do tych komnat, na ten dzień ponsowem suknem pokryto, sień drzewami przystrojono. Przy oranżerji przystawiony był ogromny namiot, gdzie stoły przyrządzano. Pokój karmazynowy i p. wojewody, do ubierania się panny młodej naznaczono. Damy zaproszone rozmieszczono iużto w pawilonach, już w apartamentach nad stajniami, a kareta zaprzężona, ciągle stojąca przed pałacem, do przewożenia dam gotową była. Sześciu lokajów i tyluż froterów naznaczono do usługi po apartamentach. Konie gościnne stały we czterech austerjach na karmie p. wojewody. Wszystko było obmyślane i opatrzone nietylko dla panów, ale i dla sług. Dla panien garderobnych i loka-

jów, był stół, gdzie uczciwe szlacheckie jadło, w czasie tych balów, więcej sześćdziesięciu osób karmiło, a w dzień ślubu i kilkanaście butelek stołowego wina zastawiono.

Nastąpił nareszcie i 29 września, pięknie pogodny i jak na jesień bardzo ciepły. Ks. biskup o ósmej już był w kościele, bo poświęcenie kościoła jest uroczystym obrzędem i wiele czasu zabiera, a szanowny pasterz chciał przy nowo poświęconym ołtarzu mieć pierwszą mszę solenną i po niej błogosławić państwu młodym. Zapowiedział więc, że na dwunastą czeka z sumą. Do tego więc wyroku stosować się musiano ze wszystkiemi ceremonjami weselnemi, które chciał p. wojewoda, ażeby obyczajem staropolskim najuroczyściej spełnione były. Rano więc wszyscy powstawać musieli i rano być postrojeni. O dziewiątej panna młoda w strojnem ubraniu z sześciu drużkami, siostrą swoją Karoliną, ks. Heleną, dwoma stryjecznemi Marją i Ludwiką, Marją Mossakowską i Adelą Platerówną do p. wojewody udała się, gdzie już przybrana matka p. Adamowa Walewska i p. Karwicka jej oczekiwały. Pokłoniwszy się do nóg ojca, otoczona drużkami usiadła przy gotowalni i panny ubierać ją na głowie zaczęły. Tymczasem damy wczoraj przybyłe zbierały się na pokoje, nowe przyjeżdżały, a wszystkie postrojone, jak na taki akt solenny przystało. Przybyli z gości marszałkowie, Rakowski, Borejko, Nowowiejski, p.p. Jełowieccy— Paweł, Mikołaj i Tomasz z żonami, starosta Zakrzewski z córką, Pruszyńscy, Czarnieccy, Lenkiewiczowa z Huszczy, Grocholski Antoni z Tereszek z piękną żoną, siostrą stryjeczną p. młodego, podkomorzy Mołodecki, chor. Kor. Stecki z dwoma synami i synowemi, wojewoda Wilga z synem i synową piękną starościanką Tłumacką siostrą małej Cesi Potockiej i innych wiele, których nie znałem i nie pamiętam. Było tak nawet, że wielu sam p. wojewoda nie przypomniał sobie; powitawszy tylko gościa, pytał ojca mego: „kto to jest?“, ale nic mu nie chybił, witał wszystkich uprzejmie i powinszowania odbierał. Całe zgromadzenie zebrało się już na pokoje, obszerne

komnaty nie były jednak za obszerne dla tylu osób, mieszczono się przecież wygodnie. W owych bowiem czasach nie było jak dzisiaj mody, żeby na wielkiej sali wywijając się, kilkanaście osób na ciasnotę narzekały. W szczupłej izdebce częstokroć więcej było wesołości, niż dziś w ogromnych gmachach, bo była jedność i otwartość szczera w szlacheckich stosunkach.

Bytność gubernatora wymagała formy; ale gubernator oddawna przyjaciel, zaraz oświadczył, że od tej urzędowej etykiety uwalnia, urzędnicy jednak byli w mundurach. P. wojewoda miał żupan ze srebrzystej materji, rubinową spinką pod szyją spięty, kontusz granatowy z sajety z aksamitnemi ponsowemi wyłogami i srebrnym garniturem, mundur Sieradzkiego województwa; do tego stosownie buty safjanowe czerwone ze srebrnemi podkówkami, pyszny pas lity i bogato oprawny pałasz Puławskiego przy boku, na szyi order ś. Stanisława, przez ramię po wierzchu kontusza i pasa błękitna wstęga Orła białego, na lewej piersi dwie gwiazdy, w ręku czapeczka biała rogata z kosztownym barankiem. Śliczna to była i poważna postać p. wojewody! miał już lat sześćdziesiąt i sześć, ale można było o nim z Wirgiliuszem powiedzieć: *Jam senior, sed cruda viridisque senatus.* Wzrost słuszny ze stosowną otyłością, trzymał się prosto, chód miał śmiały i poważny, a w tańcu polskim i chód i postać majestatyczne. A twarz! nigdy tych pięknych, wspaniałych rysów nie zapomnę! Czoło wysokie i oczy pełne życia, pełne rozumu, nie przygaszone namiętnościami i zużyciem; nos wydatny, ale foremny i do dużej twarzy proporcjonalny, usta kształtne i pełne przyjemnego uśmiechu, a zęby tak jeszcze zdrowe i białe, że wielu młodych chętnie mieniałyby na swoje. Włosy znacznie posiwiałe, nosił okrągło podstrzyżone, na świeżej twarzy mało miał zmarszczków, a i te wtedy się tylko pokazywały widoczniej, kiedy silniejsze uczucie smutku lub gniewu sercem owładło.

Taka była powierzchowność tego dostojnego pana,

a pod tą piękną postacią, jeszcze piękniejsza ukrywała się dusza. P. wojewoda był krwistego temperamentu, i posiadał jego łagodność i żywość aż do uniesień; nigdy jednak nikogo w gniewie nie ukrzywdził; a wspierać bliźnich i łzy cierpiących ocierać miał sobie za powinność, jak codzienną modlitwę, za potrzebę życia, jak chleb powszedni. *Odpuść nam nasze winy,* było świętem jego prawidłem, to też urazy łatwo przebaczał, z tymi nawet, z którymi z interesu proces mieć musiał, w niezachwianej żył przyjaźni. Pobożny bez przesady, hojny bez rozrzutności, rachunkowy bez chciwości, wierny w danem słowie, wytrwały w pracy, nie zachwiany w przeciwności, nie dumny w szczęściu, arystokrata z równymi, przystępny i uprzejmy dla niższych, szacował tych, co uczciwą pracą dorobili się majątków, a czy magnat z przodków, czy szlachcic dorobkowy, byle uczciwy człowiek, zarówno u niego miał cenę. Dla poddanych był ojcem, dla sług najlepszym panem, ale był sprawiedliwym, zasługę nagradzał, przestępstwom nie pobłażał. Rzadko był w złym humorze, co poznać można było po milczeniu i zasępionej twarzy. W uniesieniu pierwszem wyrażeniem było: „niech mię miljon set!“, ale to po chwili ustawało, a udobruchany uśmiechał się i nucił, lub poświstywał „U drzwi twoich“. Pięknie a nawet wymownie tłumaczył się i pisał ojczystą mową i po łacinie łatwo rozmawiał; francuski język rozumiał tylko. Wesołym był i lubił w drugich wesołość, to też dom jego sławił się zabawami, bez nadużycia, bez nadwerężenia majątku. Jakim był gospodarzem, poświadczała wzorowa uprawa roli, bogate gumna, zamożny byt poddanych, porządne zabudowania gospodarskie, i porządnie utrzymane drogi. Za słabe jest pióro moje na oddanie wszystkich zalet, któremi świetniał ten mąż znakomity! Był to wzorowy przykład ojca, pana i obywatela, był to magnat, o jakich nam tylko dzieje wspominają, a o jakich następne pokolenia wyobrażenia nawet sobie zrobić nie potrafią. Wymowniejsze stokroć od moich usta, oddały mu hołd należny, a w historji naszej imię

jego piękną zajmuje kartę. Z prawdziwą rozkoszą szczycę się tem, że mój ojciec służył takiemu panu, że jego szacunek i ufność pozyskał; i tem się szczycę, żem w tak zacnym domu wziął wychowanie.

Już prawie wszyscy goście byli na pokojach, gdy wszedł pan młody, a z nim dwunastu druhów. P. młody z całą na wesele zaproszoną młodzieżą umówił się, aby mieć jednakowe przyjacielskie mundury, a chcąc jeszcze więcej zaskarbić sobie przywiązanie przyszłego teścia, wybrał mundur województwa Sieradzkiego. Wszyscy mieli fraki granatowe z ponsowemi wyłogami, spodnie i kamizelki białe, buty węgierskie z ostrogami i okrągłe kapelusze z białemi kokardami. Solenizant mile przyjął powinszowania zacnej młodzieży, a przyszłego zięcia serdecznie uściskał. Drużbami byli: trzech braci rodzonych p. młodej i trzech stryjecznych, dwaj książęta Lubomirscy, dwuch rejentów, p. Edward Plater i p. Zawisza. Było ich wszystkich do trzydziestu, ale czyż podobna wszystkich spamiętać? bliżej tylko znajomych wymieniłem.

Tymczasem, kiedy panna młoda ubrana już na głowie, wyszła do ojcowskiego pokoju dla przywdziania sukni, sześć panienek i tyleż chłopczyków z pokrewnych lub zażylszych sąsiadów, wnieśli sześć ogromnych tac srebrnych z bukietami, przy każdym bukiecie była iglica złota z wyrytym rokiem i dniem ślubu. Cztery drużki: p. Karolina, ks. Helena i dwie stryjeczne panny młodej wzięły się do przypinania bukietów, biorąc dla dam od chłopczyków, od panienek dla mężczyzn. Dwieście iglic nie wystarczyło dla wszystkich, choć duchownym bukietów nie dawano. W ciągu tej ceremonji w głównym bawialnym pokoju rozścielono pyszny perski dywan p. młodego i postawiono na nim wspaniałe krzesło. Obok krzesła stał stolik nakryty białą jedwabną złotem przerabianą serwetą, na nim na srebrnej tacy chleb i sól, a na drugiej starożytnej złotej, leżała korona ślubna, zrobiona z zielonego aksamitu na drótach i o sześciu zębach zaokrąglonych,

otoczonych sznurem z brylantów, na płaszczyźnie każdego zęba astor brylantowy, a podług ówczesnej mody, osobna opaska na głowę. Znakomite matrony zbliżyły się dla oplecenia korony mirtem i rozmarynem z pięknych drzew przez p. młodego przywiezionych. Przypięcie korony zostawiono stryjence, zastępującej matkę, i najbliższej kuzynie p. Karwickiej. Pierwsza miała na zielonej atłasowej takąż krepową, złotem haftowaną suknię, na głowie strój z drogich koronek ze złotemi kłosami. Druga, na atłasowej białej srebrną koronką obszytej, w aksamitną amarantową greczynkę djamentami obszytą i usznurowaną odziana była na głowie z takiegoż aksamitu opięcie z brylantami i białem piórem.

Gdy już panna młoda zupełnie ubraną była, dwaj bracia wprowadzili ją do salonu. Suknia jej była biała krepowa, bogato srebrem haftowana, na białej atłasowej; kryza koronkowa, włosy pięknie utrefione, pół warkocza w pukle upięto, połowa w kształtnych kędziorach na piękną szyję spadała. Wszyscy wchodzącą uprzejmym powitali ukłonem, ojciec ją uściskał i wskazał na krzesło, dokąd ją bracia doprowadziwszy na bok się usunęli. Przystąpiły matrony, drużki bukiet przypięły, a dwie matki przybrane uwieńczyły koroną. Podeszli dwaj drużbowie bracia, podali ręce pannie młodej; p. młodego prowadziły wojewodziaka Karolina i księżniczka Helena, obie w różowych krepowych sukniach ze srebrem, na atłasie, w różach na głowie i same jak róże. Zaproszono p. wojewodę na krzesło. Dotąd szanowny starzec rozmawiał wesoło, zcicha nucił śpiew ulubiony, ale w tej uroczystej chwili silne uczucie sercem owładło. Milcząc usiadł na krzesło, i usiadł sam tylko, bo nie było matki, którąby z nim tę uroczystą radość dzieliła; a kiedy córka i zięć do nóg mu upadli, głośno się rozpłakał, głośno, wzniosłszy ręce i oczy, z psalmistą modły do Boga zanosił i głośno, położywszy ręce na głowach dzieci, ze łzami zlał na nich serdeczne ojcowskie błogosławieństwo. Nie było nikogo z przytomnych, coby się tym widokiem nie wzruszył.

Wstał p. wojewoda z krzesła, ale przybrana matka miejsca jego nie zajęła, ani młodym pokłonić się dopuściwszy, szczerem uściśnieniem im błogosławiła; przed poważnemi jednak matronami kłaniali się i za błogosławieństwo ucałowaniem ręki dziękowali, ojcowie familji uściskiem ojcowskim błogosławili. Gdy młodzi całe koło wiekiem poważnych obywateli obeszli, p. wojewoda wziąwszy ojca mego za rękę — „Terciu, rzecze, i Adasiu! oto jeszcze najżyczliwszy i najszczerszy nasz przyjaciel, a jemuż się nie pokłonicie?“ Rzucili się oboje państwo młodzi w objęcie mojego ojca, a cicha łza i uścik braterski, wiernie tłumaczyły uczucia i błogosławiącego i odbierających błogosławieństwo. W tem wszedł p. Burski, koniuszy, także w drużbowskiej barwie, dając znać, że jw. pasterz czeka ze mszą. I mnie p. wojewoda ślicznie na wesele p. Teresy przystroił: miałem białe majtki, czamarkę granatową z ponsowym aksamitnym kołnierzem i srebrnemi potrzebami, czapeczkę szafirową aksamitną i białe rękawiczki, bo ja tacę z koroną za jw. panem do salonu wniosłem i przy niej, dopóki damy się nie zbliżyły, jak na warcie stałem. Miałem już naówczas lat dwanaście.

Ruszono się do odjazdu: dwuch braci stryjecznych podali pannie młodej ręce do karety zupełnie odkrytej; usiadła z nią przybrana matka i cztery drużki. Pan młody i trzydziestu drużbów asystowali konno przy powozie panny młodej. Kościół od pałacu odległy na parę tysięcy kroków; a kiedy panna młoda wysiadła przed kościołem, ostatnie powozy ledwie z pałacu wyruszyły. Ślicznież to było patrzeć na ten długi szereg paradnych karet, w bogatej uprzęży dzielnych koni i strojno przyodzianej służby. Nic już podobnego później widzieć mi się nie zdarzyło i nikt już może nie zobaczy, i to nawet, co świadek naoczny tu opisuje, za lat niewiele zmyśloną tylko powieścią zdawać się będzie. Zmieniły się zwyczaje, stroje i obyczaje nasze starodawne: wiek postępu wyśmiałby je może dzisiaj; wyśmianoby może obrzędy weselne wojewodzianki, i tę szlachecką poczciwą rubaszność, i tę

łączność obywatelską sąsiedzką, jaka wiązała szlachtę w złym i dobrym razie. Było to życie powszechne, wspólne! Rozprzęgało je powoli panowanie Stanisława - Augusta, dzisiejsze ucywilizowanie zupełnie rozprzęgło. Zrodził się nieznany ojcom naszym egoizm i silnie wzrasta. Zdaje się nawet, że z czasem i rodzinne krwi związki rozwiążą się, i tylko spekulacyjne stosunki zostaną. Wyśmieje mnie może z mojemi mniemaniami, oświecone dzisiejsze pokolenie, jako starego, ciemnego stronnika przeszłości, jako nieprzyjaznego postępowi, a przyjaznego starodawnym uprzedzeniom; ale ja, nie zaprzeczam nieocenionym korzyściom dzisiejszego oświecenia, szanuję wykształcenie obyczajów, uwielbiam mężów, pod których wpływem krzewią się nauki i użyteczne wynalazki, i umysłowe udoskonalenie, lecz żądam uczuć, szukam serc! „Miej serce i patrzaj w serce!“ święte słowa naszego nieśmiertelnego wieszcza!

Do kościoła wprowadzili pannę młodą ks. Lubomirscy, p. młodemu towarzyszyły dwie stryjeczne. Msza św. już się była zaczęła, goście zajęli ławki i krzesła. Pierwsza msza w nowo poświęconej świątyni Pańskiej celebrowana przez pasterza djecezji, była na intencję solenizanta fundatora i nowożeńców. Wyborna muzyka chorążego kor. grała na chórze; panie Dydyńska i Szopowiczowa, w towarzystwie p.p. Zwierzchowskiego, Szopowicza, mego wuja i śpiewaków Międzyrzeckich, harmonijnemi głosy, zachwycały modlących się Chrześcijan, przejmując ich serca wiarą, miłością i nadzieją, wraz z ich modłami wznosiły się w niebieskie sklepienia. O! bo nic tak nie wzbudza ducha czystej pobożności, jak piękny śpiew w czasie spełnienia świętej ofiary ołtarza. Ale ileż to z nas, ciekawych słyszenia pięknej muzyki, dla niej tylko idziemy do kościoła, i ani nas obchodzi, co się przed ołtarzem dzieje! Za naszych ojców tak nie było!!!

Po mszy świętej ks. Piaskowski oficjał wstąpił na kazalnicę; a tymczasem ks. biskup odszedł do zakrystji i tam posiliwszy się kawą, i zmieniwszy obłóczenie, miał

czas odpocząć od trudu długiej i nużącej ceremonji poświęcenia kościoła i celebrowanej solennie sumy. Bo też i kazanie było długie; do trzech ważnych okoliczności zastosować je było potrzeba; naszpikowane było jw. i jośw. tytułami domów spokrewnionych z państwem młodemi. Pięknie jednak mówił i chwalono go, a niosąc i solenizantowi i nowożeńcom najprzyjaźniejsze życzenia, zakończył temi słowy: *„ad multos annos, ad multos annos“*. Skończyło się kazanie, ruch się zrobił w kościele, bracia p. młodej podali ręce p. Teresie i raz jeszcze powiedli ją do nóg ojcowskich i raz jeszcze ojciec ją pobłogosławił; potem żegnała się z pannami i wszystkich głębokim ukłonem pozdrowiła. Otworzono balustradę ołtarza, pasterz siedział już na krześle przed ołtarzem w paradnej asystencji djecezalnych dygnitarzy; młodzi upadli mu do nóg jako pasterza i bliskiego krewnego, podniósł ich, do serca przycisnął i łzą miłości chrześcijańskiej czoło ich skropił; krótko i wymownie wskazawszy im obowiązki małżeństwa, połączył ich ręce, wstał i z odkrytą głową słuchał ich przysięgi. Cóż to była za piękna, jak święta postać naszego pasterza! W oczach jaśniała wiara i ewangieliczna słodycz, uśmiech był anielski, a wymowa ś. Pawła i Chyzostoma. Po ślubie zaintonował „Te Deum“, zabrzmiała muzyka z trąbkami i kotłami, uderzono w kościele i po cerkwiach we dzwony i dwadzieścia cztery razy na wiwat z moździerzów wypalono. Panna młoda witała mężatki i odbierała przyjazne ich powinszowania.

W prowadzeniu p.p. młodych wielka zaszła odmiana: usunęły się drużki i drużbowie odstąpili, miejsce ich poważne matrony i sędziwi ojcowie zajęli. Pannie młodej podał ręce Glazenap i ks. wojewoda Wołyński; p. młodego prowadziły przybrana matka i ks. Józefowa Lubomirska. Oglądał się p. młody w stronę tylko pięknej matki, mającej na ten dzień córkę równych lat z sobą, a mównej, lecz podeszłej i już nie pięknej, ze spuszczonemi oczyma odpowiadał. Jadąc do pałacu w tejże co i wprzód karecie siedziała panna młoda z przybraną matką i z p. Kar-

wicką, i panu młodemu z zaślubioną usiąść kazali. Sami więc drużbowie bez naczelnika, z mniejszą już gorliwością pannie młodej, a z większą ochotą drużkom asystowali. Między pałacem a kościołem jest piękny staw, a na nim porządna grobla. Przy wjeździe na groblę wielka gromada włościan z dóbr p. wojewody czekała państwa młodych z chlebem i solą, a Jakób dziesiętnik pałacowy powitał ich pięknemi ruskiemi słowami, niosąc im życzenia i błogosławieństwo poddanych, i podarek, znalezioną w wałach Tuczyńskich starodawną jakąś srebrną tacę, dość nawet kosztowną. Mile przyjęli życzenia i podarek, a pan młody coś im ofiarował, bo nizkim pokłonem i głośnem wykrzyknikiem swoje zadowolenie okazali. Tymczasem ojciec mój i muzyka pośpieszyli przodem; powozy sunęły się zwolna i p. wojewoda wszystkich wyminął, ażeby dzieci na swoim progu powitać. Pannę młodą wysadzili z karety stryj i p. Karwicki, pana młodego wprowadziły na ganek, siostra jego, p. Grocholska, i pani Walewska. Na ganku powitała ich muzyka chórem, którego stosowne słowa ułożył Kajetan Marcinkowski, a muzykę Budziewicz; p .wojewoda podał im chleb i sól i ojcowskiem rzewnem uściśnieniem błogosławił. Wszyscy goście zbierali się w szafirowej sali, gdzie przygotowano lekkie śniadanie, nim wszyscy goście się zbiorą.

Stół w oranżerji 60 łokci długiej, 20 szerokiej, w łuk zagiętej, w całej jej długości był przygotowany z trzema bocznemi wystawami. Sześć drzew pomarańczowych w stół wprawionych, rozpościerały nad stołem piękne swoje gałęzie, a każdej pień okryty był kwiatami. W pośród tych klombów srebrne serwisy z ogromnemi wazami, figury z saskiej porcelany, piramidy z ciast i cukrów, kosztowne kryształowe na srebrnych podstawkach, do napojów przybory, tworzyły całość bogatą, okazałą, rozmaitą i gustowną. Stół w oranżerji miał sto sześćdziesiąt nakryć, w namiocie mieściło się jeszcze dwa stoły, każdy na pięćdziesiąt osób. Dano znać do stołu, ruszył ks. biskup, za nim panna młoda prowadzona przez gubernatora

i ks. wojewodę wołyńskiego, p. młody podał rękę ks. wojewodzinie i p. kasztelanowej Tarnowskiej. P. wojewoda i drudzy obywatele prowadzili pierwsze damy i długim szeregiem szły pary za parami. Prócz ks. biskupa i pierwszych prałatów, reszta duchowieństwa zajmowali cały jeden stół pod namiotem. U głównego stołu na pierwszem miejscu posadzono państwa młodych, ks. biskup i wojewodzina wołyń. najbliżej nich zajęli miejsca, nikomu z gości w rozmieszczeniu u stołu nie uchybiono. Panny wszystkie siedziały u wielkiego stołu, kawalerowie poza stołem damom asystowali, a jednak wszystkie trzy stoły zajęte były. P. Salukiewicz niegdyś księcia prymasa Poniatowskiego, dziś p. wojewody kuchmistrz, wszedł paradnie wystrojony we fraku aksamitnym, złocistej kamizeli, ufryzowany, upudrowany, w trzewikach z batystowym przed sobą fartuchem i z nożem w złoto i perłową macicę oprawnym (dar ks. prymasa), i pokłoniwszy się państwu młodym, podał im na srebrnej tacy opleciony rozmarynem, z cyframi ich marcepan, potem wziął się do częstowania potrawami i francuskiemi i krajowemi, w których dnia tego najwyższy dowód dał swojej doskonałości w sztuce kucharskiej. Weszły kielichy, szampan nie był jeszcze tak upowszechniony, jak teraz, podawano go jednak równie jak i inne wyborne francuskie i reńskie wina, jak porter i piwo angielskie, ale podawano po pewnych potrawach systematycznie i nieskąpo, i tem już rozporządzał Salukiewicz, bo pan jego dawny i gastronomem był i win wyborowych używać umiał. Ale, gdy przyszło zdrowie państwa młodych, piwniczy Remański wniósł na złotej tacy kryształowy kielich z herbem p. wojewody na obstalunek w Czechach zrobiony, prawie kwartowej miary; lecz po sutym obiedzie półtorawiekowy węgrzyn nie zastraszał w tej ogromnej mierze i owszem zachęcał do spełnienia wiwatu. P. wojewoda skinął na mego ojca, ten wstał, i pokłoniwszy się ks. biskupowi kielich mu podał. Powstał szanowny starzec, a podniósłszy nalany złocistym tokajem kielich, błogosławił mło-

dym, którzy aż do nóg jego się pokłonili. Przeszedł kielich do p. wojewody, od niego do gubernatora i krążył dalej z rąk do rąk poważnych obywateli. Gubernator wniósł toast solenizanta, solenizant ks. biskupa i gubernatora, po kolei ojców familji, dam stanu duchownego, pięknych drużek i t. p. za każdym toastem zmieniano kielich, a każdy był dobrej miary, za każdym toastem brzmiały trąby i kotły, huczały moździerze.

Długo przeciągnął się obiad, słońce jednak jeszcze nie zaszło, jak się skończył. Wstających od stołu pan Adam Walewski, stryj panny młodej zaprosił na wety na górne pokoje. Co tylko najwyborniejszego z owoców, co najwykwintniejszego z cukrów, co najdroższego z win, wszystko to tam się znajdowało. Stół wielki okrągły, zasłany obrusem, złotem przerabianym, na środku ogromny kosz srebrny prześlicznej roboty, a w nim malowniczo ułożone brzoskwinie, pomarańcze, banany, melony drzewne, winogrona i wiśnie, uwieńczone ananasami; w czterech koszach kryształowych, były melony, kawony, rozmaite śliwki, bery i inne; na misach kryształowych podobneż owoce z lodów, oszukiwały patrzących doskonałością naśladowania, — wszystko, nawet cukry w malowniczym porządku ułożone były. Wokoło stół otaczały kosztowne talerze z francuskiej porcelany i złote sztuce, a do napojów angielskie i czeskie kryształy. Było tam czem i oczy nasycić, i wykwintne podniebienie zadowolić i najwyborniejszych win zagranicznych dosyta się napić. Uprzejmy gospodarz hojnie częstował gości. Weszły puhary, lały się obficie wyborne napoje, i tu dopiero wszedł obficie kosztowny prawdziwy szampan, i owe wysmukłe kielichy, które tak miło na brzegach Wilji nasz szacowny Chodźko odmalował. Szampanem zdrowie państwa młodych spijano. Wiele jednak osób, po utrudzeniu i rzęsistych przy obiedzie wiwatach, potrzebowali odpoczynku; ks. biskup nawet od deseru się wymówił. Liczni jednak byli biesiadnicy, gospodarz rozweselał, zachęcał, goście nie żałowali ni sobie, ni siebie, a wesołość rosła.

Glazenap, ujęty miłem przyjęciem i uprzejmą otwartością wojewodzińskiej rodziny, pijąc może po raz dziesiąty zdrowie solenizanta, w wylaniu serca, wśród najczulszych oświadczeń, ugiął przed nim kolano. Podchwycił klękającego i z rozrzewnieniem uściskał. P. Adam kazał podać węgrzyna, ale jakiego! pięć dukatów butelka! i kielich spory z napisem „kochajmy się“, — i spełniano ten toast w pośród najserdeczniejszych braterskich uściskań. Tymczasem dwuch ich stryjecznych podnieśli krzesło, i gdy gubernator zabierał się schodzić na dół, posadzili go i niosąc na ramionach i śpiewając stosowne chóry, spijali zdrowie jego i tłukli po wschodkach kieliszki. Gdy tak nasi obywatele raczyli się u kochanego p. Adama, damy wymknęły się, starsze dla odpoczynku, młodsze dla zmienienia stroju na lżejszy do tańców, niektóre zaś czując, że choć przyciężki, ale do twarzy, i do tańców go nie zmieniły. Drużbowie także poszli zamienić buty na trzewiki, bo etykieta ówczesna wymagała na wielkim balu być chaussé. A mógłże być bal uroczystszy nad imieniny i wesele w domu takiego magnata?

Nie wiele było czasu między deserem i tańcami, bo i wtedy kończyły się przy świecach, w licznych bronzowych i srebrnych świecznikach, misternie i gustownie ustawionych. Kiedy więc damy od siebie wracały, sala szafirowa już była wspaniale oświecona, równie i inne pokoje. Muzyka stroiła instrumenta, lokaje i frotery jeszcze przymiatali salę i ustawiali krzesła, wpośród których pod główną ścianą było wyższe siedzenie dla ks. biskupa. O ósmej zaproszono gości na salę. Ks. wojewoda smoleński, najstarszy wiekiem, poprowadził pannę młodą; skoro weszli, muzyka hucznie zabrzmiała narodowego. P. wojewoda szepnął na ucho księciu, ten się posunął, ale par więcej nie postąpiło; bo to był taniec ceremonjalny weselny. Książę oddał p. młodą gubernatorowi, następnie inni poważni ojcowie podali rękę p. młodej, ostatni oddał ją stryjowi, stryj bratu starszemu, ten pokłoniwszy się oddał ją ojcu. P. wojewoda obszedłszy z córką salę i przez

wszystkie pokoje, jakby dla pożegnania ojcowskich progów, oddał ją p. młodemu. Pokłonili się oboje do nóg ojcu, zatrzymawszy się potem z pokłonem przed ks. biskupem, poszli w taniec, a za nimi nieprzeliczone posunęły się pary. Po pierwszem obejściu sali, poważni obywatele zatrzymali taniec, i zdrowie pierwszej pary spijali. Po kilku polskich, które już p. wojewoda, już inni dostojni panowie z pierwszemi damami zaczynali, nastąpiły skoczne tańce: już to cudzoziemskie kadryle, anglezy, tampety, alagrelli i walce, już to nasze narodowe mazury i krakowiaki. Były i tańce popisujące się. Uproszono ks. Eustachową, że z ks. Fryderykiem Lubomirskim tańczyła menueta ,a z jakimże wdziękiem i powagą piękna księżna wykonała ten okazały taniec! Księżniczka Helena popisywała się z nieznanym jeszcze na prowincji szalem, i wszystkich zachwyciła i serca ku sobie pociągała. Ale nic podobnego wrażenia zrobić nie mogło, jak kozak p. wojewodzicowej Wilżyny z Hieronimem. Nie odda pióro moje tych zalet, jakiemi taniec ten się odznaczył. Kibić, ręce, nóżka, wybór kroków i na wszystko rozlany wdzięk czarodziejski, opisać się nie dadzą, zapomnieć ich jednak nie podobna. Wstrzęsły się mury pałacu oklaskami, zdrowie wojewodzicowej z trzewiczka spełniano.

Po północy odprowadzono państwa młodych z muzyką do ich apartamentów, gdzie pan młody wystąpił z cukrową kolacją, równającą się deserowi stryjaszka; ale nie było komu nią się delektować. Pannom nie pozwolono być na tym bankiecie, młodzież panien odstąpić nie chciała, to tańcując z niemi, to im znosząc z góry łakocie, były więc same poważne osoby, i krążyły kielichy win wybornych, ale już nie z takim zapałem, jak przy obiedzie i na wetach. Po godzinie wrócili i starsi na salę, wesołość nieustawała, hulała młodzież i nie mało z poważniejszych w tańcu im dotrzymali. Światło dnia, wpadając przez ogromne okna i mięszając się ze światłem świec po raz drugi dogorywających, nie miłym odblaskiem raziło oczy, i wielce nie korzystnie odbijało się na licach niespaniem i tań-

cem znużonych; nareszcie przyszła przecie komuś uwaga, że to już dzień, i rozeszli się.

Nazajutrz nikt ani myślał o rannem wstawaniu, wszyscy dosypiali wydartych chwil nocy, i starali się wynagrodzić tyle niedospanych godzin. O dziesiątej p. wojewoda dowiedział się do państwa młodych, ale jeszcze spali. O pół do dwunastej p. młoda z moją matką tylko pojechała do kościoła, i z gości nikt im nie towarzyszył. Około drugiej dopiero zaczęto się zbierać na pokoje. P. młoda w paradnej różowej materjalnej sukni, we włosach utrefionych tylko oczekiwała czepka, bo p. wojewoda chciał, aby równie ceremonjalnie był włożony jak i korona. Czepek ten, był to upominek p. młodego, umyślnie od pierwszej modniarki w Warszawie Lazarewiczowej sprowadzony. Gdy się już damy zebrały, p. służąca wypakowała go z pudła. Był on z drogich koronek z różowemi wstążkami i kwiatami, a pod niem podług ówczesnej mody djadem djamentowy. Mimowolny okrzyk dał się słyszeć między damami, nic bowiem podobnie bogato strojnego, a razem tak gustownego nie widziano tu na prowincji. Przybrana matka z kilką poważnemi damami oczepiły tym pysznym strojem panią młodą i do swojego grona zabrały.

Prócz duchowieństwa mało co z wczorajszych gości ubyło. Dzień drugi wesela, jako imieniny ks. wojewody Woł. i wojewodzica Hieronima obchodzono, ale książę równo z dniem wyjechał, księżna z synową zostały. I tego dnia nie mniej okazała była uroczystość. Dla urozmaicenia zabawy ułożono tego dnia płynąć Horyniem do Holenderni, za rzeką leżącej. Była to w istocie krowiarnia, gdzie kilkadziesiąt sztuk wybornego bydła starannie utrzymywano. Na spadzistości pagórka stał domek o trzech pokojach drewnianych, biało i zielono pod lakier malowanych, ze złoconemi obwódkami; po drugiej stronie miała mieszkanie zasłużona staruszka, p. Siewrukowa, doskonale znająca się na chowie bydła i urządzaniu nabiału, dozorczyni Holenderni. Przed domem obszerny aż

do wody dziedziniec, za domem rozciągał się piękny gaj, gdzie rozmaicie rozrzucone drogi, z wdziękiem rozdzielały się i schodziły. Ogromny bat o maszcie i drugi mniejszy, ośm par pozbijanych czółen przygotowane do tej żeglugi, oczekiwały na łasze Horyniowej pod górą pałacową. Dla bojących się wody były powozy i najstarsi je zajęli, młodzi i młodzież woleli wodną przejażdżkę i falom się Horynia powierzyli. Dwie pary największych czółen zajęła muzyka, i przygrywając płynęła przed większym batem, na którym p.p. młodzi w pięknem gronie płci obojej żeglowali. Krótko przed zachodem słońca przypłynęli do Holenderni, gdzie ich przyjemna czekała niespodzianka. Drużbowie cichaczem wystąpili z podwieczórkiem, nieustępującym okazałością i wyborem traktamentu, ani deserowi p. brygadjera, ani cukrowej kolacji p. młodego. Gdy przypłynęła kompanja, p. Siewrukowa wyszła do młodych z chlebem, solą i błogosławieństwem, a za nią przypędzono prześlicznych sześć krów tyrolskich z przychówkiem na nowe gospodarstwo Terci od ojca. Potem wybiegło z gaju ośm dam i tyleż kawalerów, ubranych po krakowsku i zaprosili całą kompanję na pierogi i kurczęta. Uczta długo się przeciągnęła, i zmrok był już ciemny, gdy się do powrotu zabierano, ale, że noc była cicha i pogodna, całe więc towarzystwo wodą wracać wolało. Po brzegach rzeki paliły się beczki smolne, statki pięknie lampami ozdobione płynęły zwolna, a żeglarze w miłej biesiadzie i przy dźwiękach muzyki, ani się postrzegli, jak czas uleciał i do przystani przybyli.

Na górze zebrani oficjaliści i słudzy oczekiwali powracających państwa, powitali hucznym wystrzałem z moździerzów i wnet cała droga do pałacu zajaśniała kolorowemi lampami i palącemi się cyframi. Na górze palił się wspaniały fajerwerk, za którym ukryta muzyka i śpiewacy zabrzmieli chórem, ułożonym przez ks. Zebrowskiego, rektora szkół Międzyrzeckich, od wiernych i życzliwych sług, najlepszym panom. Muzyka była Budziewicza, który i talentem swoim i kieszenią do składki oficja-

listów na to przyjęcie należał. Zebrani potem na salę goście do rana się bawili i z rozwidnieniem zupełnem Tuczyn opuszczali.

Na trzeci dzień zostali tylko pokrewni i ściśli przyjaciele. Chorąży kor. na następny dzień wszystkich do siebie zaprosił, muzykę odesłał, i sam na obiad tylko pozostał. Pili po obiedzie jeszcze może więcej, niż dni poprzedzających, i w słodkiem rozmarzeniu, z najprzyjaźniejszemi wynurzali się uczuciami. Chor. Stecki chciał się cichaczem wymknąć, kareta stała przed pawiljonem, więc o ile mu wiek pozwolił, pośpieszał, wsiadł do karety i kazał ruszyć z kopyta. Byłem na ganku, a że mi się nie zdawało, ażeby nasz pan pozwolił na taki odjazd sąsiada i powinowatego, jednym skokiem byłem na sali i znać p. wojewodzie dałem. Z żywością dwudziestoletniego młodzieńca dognawszy karetę, chwycił za koło i wstrzymał sześć koni kłusem bieżących. „A panie Janie!“ — zawołał: — „niech mię miljon set...“ Także to ty mnie kochasz? a godzisz się najprzyjaźniejszego ci sąsiada tak ukradkiem opuszczać?“ — Nie było co mówić; i reszta kompanji z kielichami nadbiegła, wyciągając z karety, prowadzą pod ręce i na ganku nasze narodowe „kochajmy się“ spełniają. Ja widząc ten dziwny dowód siły p. wojewody, osłupiałem, nie mogłem się opamiętać i do dziś jeszcze z podziwieniem wspominam. Wieczorem młodzież niesyta dwudniowych tańców, uprosiła Budziewicza, że im grał i tańcowali, a nawet p. wojewodę i chorążego koronnego do mazurka wciągnęli. Tego dnia po wszystkich folwarkach p. wojewody wyprawiono bankiety dla włościan i dla ubogich na uczczenie wesela panny Teresy, którą wszyscy, jak anioła opiekuna kochali i czcili.

Takie to było wesele p. Teresy Walewskiej; opisałem je z wielu szczegółami, które tak mi świeżo w pamięci zostały, a których trudno zapomnieć. Nie wzbudza to opisanie może interesu we względzie osoby, po której dzieci tylko zostały i dalsza rodzina, która jej nie pamięta, albo nawet jej nie znała; ale może zainteresować obraz oby-

czajów ówczesnych, i wspomnienie tej braterskiej jedności, tej szczerej wzajemnej życzliwości, tej sprawiedliwości w ocenieniu zasługi drugich i osobistej godności, jakie cechowały poczciwych ojców naszych. Przywykły od dzieciństwa patrzeć na tyle rodzin najznakomitszych naszego kraju, nauczyłem się poznawać, co jest arystokracja naszych magnatów, jakie są ich charaktery, uczucia, sposoby myślenia i wzajemne ich między sobą stosunki, ale nauczyłem się razem i oceniać ich wartość! Nie dziw więc, że z taką życzliwością, z taką czcią, wspominam p. wojewodę i jego rodzinę, bo zostawili po sobie zaszczytną pamięć u wszystkich, a jeszcze droższą dla mojego serca!

Po weselu pp. Bieżyńscy wybrali się do domu w Bystrzycach, bo p. Adam w Ludwipolu mieszkać nie lubił. Wyjeżdżając hojnemi upominkami odpłacał się za oddane mu w czasie wesela usługi i wszystkich zadowolił. Żegnając się z moim ojcem, przy dziękczynnem uściskaniu i upominku, oświadczył, że aż do skończenia szkół w Międzyrzeczu, corocznie na utrzymanie moje po trzysta złotych wypłacać będzie, i zaraz na rękę ojca piętnaście dukatów za pierwszy rok wyliczył. Dobroczynna ta suma dostateczną była na uczciwe utrzymanie szlacheckiego dziecka, jeżeli na prywatnej stał kwaterze. Mnie umieszczono u staruszki szlachcianki Rembiszewskiej, bardzo porządnie, i za dozorcę miałem Skoczkowskiego, młodszego brata mojego pierwszego nauczyciela. Nie miał on tyle nauki co Józef, ani tyle był ogładzony, ale był moralny chłopiec i celujący w szóstej klasie. Nie wiele miał ze mną do roboty, bo przygotowanie moje przy Szpowiczu wszystko mi ułatwiło. I dobrze mi szło w Międzyrzeczu i miałem łaskę u ks. rektora, któremu polecił mię Szopowicz. Nie mam co opisywać pobytu mego w szkołach, bo ten sam dla wszystkich uczących się. Nie świetniałem nadzwyczajnemi zdolnościami, ale się i wyprzedzić nie dałem, a że byłem więcej wesoły niż swawolny, to i bez

kar szkodliwych się obeszło i promocję do piątej klasy otrzymałem. Przez ten rok żadnych stosunków z uczniami nie zabrałem, w wielu bowiem nie znalazłem tego ogładzenia, jakie przywykłem widzieć w młodzieży bywającej w Tuczynie. Z dwoma się tylko zbliżyłem; Ignacy Wyliżyński najmłodszy z rejentowiczów, i Dominik Starzyński, oba z klasy 6, ale znajomość nasza zrobiła się w Tuczynie. Z Ignacym bywaliśmy razem, Dominika nigdzie spotkać nie zdarzyło się. Konwiktorowie, panicze, jeszcze dumniejsi tem, że co niedziela u chorążego kor. na pokojach bawili się, z góry na mnie poglądali, i ja unikałem ich. Ale raz p. wojewoda będąc u chorążego, pytał o ks. rektora i zadowalniającą odpowiedź odebrał. Chorąży przytomny rozmowie, zapytał o kogo chodzi? P. wojewoda mu o mnie opowiedział; a że p. Chorąży znał dobrze mego ojca i bardzo go cenił, oświadczył więc ks. rektorowi, że skoro cały tydzień nie będę mieć *malam notam*, żeby mię brał ze sobą w niedzielę do pałacu. Cóż to za zdziwienie było paniczów, konwiktorów, gdy mię obaczyli na pokojach międzyrzeckich, w mojej eleganckiej czamarce, i gdy przy prezentacji p. chorąży w czoło mię pocałował. Rozpoczęły się jesienne polowania, do których przybył dom kasztelanostwa z ogromnemi lasami pełnemi grubego zwierza. 16 października obchodzono w Bystrzycach imieniny pani samej, na które zjechał p. wojewoda z rodziną i sąsiedztwo, bo razem obchodzono przenosiny państwa Bieżyńskich. Już tego nie byłem świadkiem i dopiero na święta do Tuczyna przyjechałem. Kasztelanic odebrał od Trzebuchowskich brata swego Julka, i pani Teresa z pomocą siostry mojej starszej, którą dowodząc ojcu memu życzliwości za tyloletnią jego przychylność, wzięła na opiekę i kształcili go. P. Węgierski nieodstępnym już został domu kosztelanostwa i domowe towarzystwo było przyjemne. Na święta zjechali pp. Bieżyńscy do Tuczyna i p. wojewoda przybranemu synowi sute wyprawił imieniny. W Tuczynie zawsze młodzieży

dużo było i gość częsty, bawiono się więc wesoło, bo interesa szły ładem, pomyślnie i z intrat dokładały się córek posagi.

Dobre to były czasy! lata urodzajne i handlowe. P. łowczy Jabczarski, coraz na większą stopę szyprując, u połowy prawie obywateli wołyńskich zakupywał pszenicę, płacił gotówką po dukacie korzec na miejscu, a jeśli produktami gdańskiemi, to i wyżej. P. wojewoda i wielu innych zadowoleni akuratnością i rzetelnością p. Jabczarskiego, trwali w niezmiennych z nim stosunkach. Ale niektórym zdawało się, że p. łowczy za wiele na nich zarabia i postanowili wyprawić się sami z pszenicą swoją do Gdańska. Tak więc p. podczaszy kor. Czacki, brat jego stryjeczny strażnikowicz, książę Eustachy Sanguszko, Józef Stecki syn chorążego kor. i kilku jeszcze, odprowadziwszy pszenicę do Buga w Korytnicy, wyruszyli do Gdańska razem. Łowczy nie tylko, że im za złe nie miał zajęcia się osobiście swoim frjorem, ale owszem jako biegły szyper, wiele im radą swoją pomagał. Jakiś mały wypadek zatrzymał łowczego w drodze i panowie pierwiej od niego do Gdańska stanęli. Wieść runęła po całem mieście o przybyciu naszych magnatów; ponajmowane magazyny tysiące łasztów pszenicy mieściły, ale nikt z kupców, ani przez faktorów, ani osobiście o cenie tych zapasów nie dowiadywał się. W tydzień dopiero nadjechał p. łowczy i natychmiast ruch wielki zrobił się w mieście, a drzwi jego mieszkania po całych dniach się nie zamykały, taki był natłok spekulantów. Cena była wysoka i obieg złota ogromny. W dziesięciu dniach p. Jabczarski ukończył swoje targi po siedem czer. zł. korzec, trzecią część szacunku zboża biorąc jak zawsze w towarach, co kupcom było bardzo na rękę. U naszych panów, ledwie kto zapyta o pszenicę, a że ją chcieli zbyć po cenie p. Jabczarskiego statki już ruszały nazad naładowane cukrem, kawą, bakaljami, trunkami, bielizną stołową, srebrami, meblami i t. p. pokupnemi towarami, a na-

wet sam łowczy do wyjazdu się zabierał, kiedy nasi panowie nie doczekawszy się zbycia swego frjoru, zrzucili pychę z serca, i dalej w prośby do p. łowczego. Nie odmówił zacny szlachcic swojej pomocy, i za jego wpływem panowie przedali swoją pszenicę po 110 zł. korzec gotówką.

Po ukończeniu targów pszennych, pierwszy z kupców i jakiś urzędnik municypalny, nie pomnę już dobrze, ale zdaje się Zellerman, bo i podczaszy kor. z którego ust całą tę historję słyszałem, niepewnie tak go nazywał, zaprosił naszych magnatów na wielki obiad, dawany w imieniu kupiectwa gdańskiego, dla p. Jabczarskiego. Niewypowiedziany był przepych w potrawach, najrzadsze i najwyborniejsze wina wystąpiły w niepospolitej obfitości; a pierwszy toast wniósł gospodarz bankietu; „za zdrowie tego, który nas od lat dwunastu karmi i handel nasz pszenicą swoją wzbogaca! p. łowczego Jabczarskiego zdrowie", i muzyka grająca w czasie obiadu, huczno w trąby i kotły uderzyła. Osiwiały nasz szyper Wołyński, pierwsze miejsce przed magnatami u stołu zajmował i wszystkie honory bankietu dla niego były. Drugi toast wnieśli kupcy, zdrowie w ogólności obywateli wołyńskich, a obecni, i za siebie, i za całą prowincję dziękować musieli. Po obiedzie, panowie wołyńscy odprowadzili p. Jabczarskiego do jego mieszkania i prosili, aby ich komis przyjąć raczył, albo podawnemu pszenicę u nich zakupował; ale staruszek od wszystkiego się wymówił, obiecując pomagać im wpływem swoim i radą, i wspólnika niegdyś swego p. Chodakowskiego im zarekomendował.

Taż sama wiosna pamiętna i nadzwyczajnem wód wezbraniem. W Tuczynie Horyń zalał wszystkie łąki i utworzył jezioro, więcej kwadratowej mili rozległe, a z pałacu do Holenderni po wierzchu wierzb i topoli nadbrzeżnych czółna pływały. Wspaniały to był widok, ale trwał tylko trzy dni, poczem dość raptownie wody opadły. Wylew ten żadnych znacznych szkód nie narobił,

i tylko młyny tuczyńskie przez dwa tygodnie intraty zwykłej nie przyniosły.

Roboty około ukończenia pałacu, zimą nawet nieustawały. P. wojewoda jakby przeczuwał jakąś konieczną potrzebę tego pośpiechu, i sztukatorów, jakiemi tylko mógł sposobami ujmował, ażeby z robotą pośpieszali. Pobłażanie, i że tak powiem nadskakiwanie pana, ozuchwalało zarozumiałych Niemców, tak, że już i pałacowym i miasteczka mieszkańcom, nieznośnymi się stawali. Dwa wielkie pokoje naprzeciw stancji mego ojca, oddano im na skład form i odlewanie sztukaterji. Nadchodziła Wielkanoc i od Kwietnej niedzieli Niemcy-Katolicy porzuciwszy robotę, oddali się nabożeństwu. P. wojewoda podług zwyczaju na rannej sekcji naradzał się z moim ojcem względem następujących świąt, bo spodziewając się oprócz rodziny wiele gości, chciał więc jeszcze okazalej wystąpić: polecał więc mojemu ojcu, ażeby i dla sług, równie jak dla panów, święcone i porządnie, i obficie przygotowane było. Apartamenta pałacowe wszystkie miały już swoje przeznaczenie. Na święcone pańskie naznaczono salę szafirową, na stół marszałkowski salę dolną w lewym pawilonie, chodziło tylko o miejsce obszerne dla liberji, i mój ojciec wielce się biedził, gdzie się z ich stołem podziać. Kamerdyner Makarewicz i piwniczy Romański, przypomnieli się, że tamtych lat pod bokiem mego ojca, właśnie w izbach przez Probsta zajętych, bywało dla służby dworskiej święcone, i że teraz można je przez święta na ten użytek obrócić. Przyjął mój ojciec radę, tem więcej, że pod jego bokiem, i że przez to zapobiegało się mogącym wypaść nadużyciom, i kazał jaknajostrzej z większego do mniejszego pokoju wszystko powynosić. Rozgniewany Probst, że bez jego zezwolenia noszono formy i narzędzia, wleciał zaperzony do p. wojewody ze skargami na mego ojca, że mu wszystko zrujnował i że niema już czem kończyć swojej roboty. Było to w Wielki piątek, ojciec mój wyszedł dla dalszych rozporządzeń i spotkał się

z panem, który w największem poruszeniu gniewu, od zwykłego: Niech mię i t. d. zaczął. Po kilku zamienionych ostrych z obu stron wyrazach, p. wojewoda rzuciwszy czapkę o ziemię: „Niech to miljon set djabłów weźmie takich sług!“ wyrzeknie; a mój ojciec równie żywy i unoszący się, w toż, rzuciwszy czapkę i temże samem wyrażeniem oddając złym duchom taką służbę, za obowiązek podziękował; potem milcząc rozeszli się i żaden czapki nie podjął, ojciec jednak zajmować się przygotowaniami nie przestał. Kamerdyner, podjąwszy czapkę pańską, odniósł ją do pokoju, zastał pana siedzącego przy stole z głową spuszczoną na obu rękach opartą. „Kto tam?“ zapytał pan nie obracając się. „Przyniosłem czapkę jw. panu“. „Możesz pójść sobie“. Wszyscy dworscy kochali ojca mego jak ojca, a Makarewicz, który całą scenę widział i wiedział z jakiego powodu zaszło poróżnienie, nie mógł wytrzymać i do pana przemówił. „Jw. pan był w izbie gdzie przygotowano święcone dla liberji?“ — „I pocóż miałem iść, żeby widzieć całą robotę moich sztukatorów wniwecz obróconą?“ — Jw. pan usłuchał Niemca, który najniegodziwiej nałgał przed jw. panem“. — „Idź waść do miljon set!“ i zamilkł, ale w głosie nie widać już było uniesienia gniewu z jakim przed chwilą wybuchnął; kamerdyner wyszedł.

Rodzina już się była zjechała, wszyscy chcieli nadąsanych pokombinować; ale mój ojciec nie dał się niczem nakłonić, a pan ni tem, ni owem pośredników zbywał. Wieczorem p. wojewoda idąc do spowiedzi, kazał ojca prosić do siebie i po chrześcijańsku przepraszał, — przepraszał podobnież mój ojciec pana; ale to była scena sucha, zimna i tylko obowiązkom obrzędu religijnego zadość czyniąca. Mój ojciec trwał w swojem postanowieniu, p. wojewoda ani namienił, że chce mego ojca nadal w obowiązku jego utrzymać, i znowu się jak obcy sobie rozeszli.

Wiosna była prześliczna, wszystko odżyło i nowem

uśmiechało się życiem. Przeszła Wielka sobota, ziechali się zaproszeni goście, p. wojewoda uprzejmie ich wita, ale widno, że ciężka troska jakaś na sercu mu osiadła, ani się uśmiechnie, ani ulubionego śpiewu nie zanuci, a smutek ojca i na rodzinie się odbija. Nadszedł i dzień pierwszy świąt, pogodny i ciepły, wszyscy piechotą poszli do kościoła.

Mój ojciec równie jak i pan jego będąc miłośnikiem dawnych zwyczajów, zaprowadził taki porządek. Cała kompanja zebrana pierwszego dnia świąt na pokojach, oczekiwała wezwania na święcone. Gdy wszystko już było przygotowane, kamerdyner w paradnym stroju dawał znać, lokaje otwierali podwoje i cała kompanja wchodziła do sali, a mój ojciec spotykał pana z jajkiem święconem i winszował mu szczęśliwie doczekanego *Alleluja*, i dopiero p. wojewoda wziąwszy od niego talerz obracał się do dzieci i do zaproszonych gości. Tak było już przez lat sześć, i terazby tak było, gdyby poróżnienie pana ze sługą nie było na przeszkodzie. Wszystko jednak było przygotowane jak dawniej i kamerdyner oznajmił, że gotowe. Wszedł p. wojewoda z całą drużyną, ale nikt nie podszedł naprzeciw niego; bolesny wyraz twarzy malował bolesne uczucie serca naszego zacnego pana. „Prosić p. Detiuka!“ rzeknie smutno, wszyscy czekają, kamerdyner wraca i odpowiada, że p. marszałek dziękuje. „To ja sam pójdę!“ — „Nie mon cher pere! niech papa pozwoli, ja z Józefem pójdę“, — ozwała się p. Karolina. — „Idź moje dziecię! idź!“ Mój ojciec chodził smutny po pokoju, widać w nim było walkę obrażonej dumy szlacheckiej, z przywiązaniem synowskiem do dobrego pana. Weszli deputowani, wojewodzianka rzuciła się na szyję memu ojcu, zaklinając ażeby poszedł, bo p. wojewoda niczego tknąć się niechce bez niego, i ciężkie zmartwienie zachmurzyło twarz ojca, ani się nawet do dzieci uśmiechnie. „Mój luby! drogi mój Detiukuniu! — mówiła dalej ze łzami — chodź! chodź! jak nas kochasz!“ Nie mógł

się ojciec mój oprzeć czułemu wezwaniu tych dwojga młodych ludzi, których całem swem sercem kochał, wzięli go więc pod ręce i powiedli do sali.

P. wojewoda podszedł ku niemu z rozstawionemi rękami mówiąc: „A p. Łukaszu! i tyż mię w takim dniu odstąpić chciałeś? I toż mi krewkości mojej nie przebaczysz? Któż mi poda ten święcony pokarm, który przez lat tyle nawykłem z twojej życzliwej przyjmować ręki?" Za całą odpowiedź, chwycił rękę kochanego pana mój ojciec i do ust poniósł. P. wojewoda objął go po bratersku, a te ciche uściśnienie i łzy zmięszane, były najpiękniejszem pojednaniem i ślubem nierozstania się aż do zgonu. Potem, wszystko szło już dawnym porządkiem, a cała rodzina wojewodzińska dziękowała ojcu memu, że pozostał. P. wojewoda odtąd jeszcze więcej był wylanym do mego ojca, i wobec wszystkich wyznał, że bez niego jużby się obejść nie mógł. Do Probsta taką niechęć powziął, że chciał nawet przemienić sztukatora, ale mój ojciec tego nie dopuścił, i nie tylko, że Niemca na miejscu utrzymał, ale mu jeszcze to na dziedzictwo wyrobił, i uprosił, że p. wojewoda z matką moją Probstowi syna do chrztu trzymał.

Po pięknej wiośnie, piękne nastąpiło lato. Bujnem zbożem okryte łany, zbiór obiecywały bogaty. Cieszyli się właściciele ziem nadzieją sutej intraty, włościanie błogosławili imię Wszechmocnego za bogaty zapas chleba! Zboża dojrzewały, żniwa już bliskie były, — kiedy pamięcią starców nie zasiągnięta na Wołyniu szarańcza, ogromnemi chmurami przeciągała nad krajem i po całych godzinach wśród dnia nocnym cieniem ziemię okrywała. Przestrach ją poprzedzał, a po niej zostawało zniszczenie. Szczęśliwe pole, które ominęła, lecz gdziekolwiek ta klęska padła na niwach przed chwil niewielą zbożem okrytych, zostawała czarna tylko ziemia, kryjąca we wnętrzu swojem zarodki tych strasznych pustoszycieli. Łan Szubkowski wcześniejszy od innych, na dniach za-

powiadał już żniwo, a na żadnym folwarku tak pięknej pszenicy nie było, kiedy w nocy z 3 na 4 lipca osiadła na nim szarańcza, ale stwardłego już ziarna pozrzeć nie mogła. Przededniem ekonom przyleciał dać znać mojemu ojcu, i on i włościanie radzili spędzać, mój ojciec kazał się wstrzymać, bo już to, co popsuła, poprawić było trudno, a że na całą dobę osiadła, był więc czas namyśleć się jakby ją na miejscu wygubić, i udał się do p. wojewody.

„Bóg łaskaw na jw. pana! błogosławi nam we wszystkiem, ale złe równie jak i dobre, z pokorą z jego ojcowskiej ręki przyjąć potrzeba! Wszystkiego doświadczyć musimy". — „Cóż to jest? cóż mi tak okropnego zwiastujesz?" — „Jeszcześmy tej klęski nie mieli: szarańcza na łan Szubkowski padła!" — „Niech mię milion set! nieszczęście! spędzać!" — „Spędzać, to nie trudno, i odpędzić można, ale to zakopaniu się jej nie przeszkodzi, a ta, która odleci, klęskę dalej rozniesie". — „Cóż więc robić?" — „Poświęcić swój łan, i tem przeciąć dalsze szerzenie się". — „To chyba spalić?" — „Nieinaczej, tym tylko sposobem i lecąca się zniszczy i nasion swych zgubnych w ziemi nie pozostawi". — „Kochany mój p. Łukaszu! leć! weź się natychmiast do tej roboty, niech wożą słomę ze wszystkich folwarków! Spal moją pszenicę, niech się zniszczy ten straszny nieprzyjaciel obecny i przyszły". Mój ojciec wsiadł na konia i cwałem puścił się na łan napadnięty, a w parę godzin obszernie wznoszące się dymy zwiastowały pożar na łanie. P. wojewoda patrzał z okien salonu na pożar i głośno śpiewał: *U drzwi twoich.* Czynność ta prawdziwie obywatelska, przerwała dalsze napady, i zdaje się, że następne hordy przerażone takiem przyjęciem, zwróciły kierunek na lasy poleskie i tam swą zgubę znalazły. Nagrodził Bóg sowicie poświęcenie dalszych widoków powszechnemu dobru, bo na drugich folwarkach tak omłotna okazała się pszenica, że ilością swoją wynagrodziła utratę jednego łanu i w bilansie przychód nie okazał się mniejszym od prze-

szłorocznego, i p. Jabczarski znowu pięknem złotem pszenicę zapłacił.

Następowała jesień. Pp. generalstwo Karwiccy chcieli, ażeby św. Michał u nich w Mizoczu [1]) był obchodzony. Zgodził się na to p. wojewoda pod warunkiem, że generalstwo na całą jesień zjadą do Tuczyna. Huczny był bal w Mizoczu, i pokazały się na nim nowe osoby. Pani wojewodzina Szwejkowska, siostra generała z córką Anną i synem Adamem. Zacna to, czcigodna była dama, przykład żywy wzorowych cnót ojczystych. Syn! i któż go niezna na Wołyniu z jego obywatelskiej poczciwości? A panna Anna! Co natura ujęła jej we wdziękach lica, to stokrotnie nagrodziła najszlachetniejszemi uczuciami, wysokim rozumem i mnóstwem pięknych talentów! Nową także i ważną osobą był młody hrabia Aleksander Chodkiewicz. Wspaniała postać, wysoka uczoność, świetne serca przymioty i wielkie historyczne imię, jednały mu życzliwość i szacunek powszechny. Hrabia część tylko ojcowizny posiadał, bo matka p. starościna Żmujdzka resztą majątku władała, ale i tego co miał hrabia, używał na wsparcie nauk i ulgę cierpiącej ludzkości. Nie był żonaty i wszystkie nasze wołyńskie magnatki, zięcia w nim sobie marzyły. Pani Karwicka powiedziała sobie, że go z wojewodzianką Karoliną ożeni. Poznał był wojewodziankę hrabia jeszcze przeszłego roku w Dubnie na karnawale u księcia Michała Lubomirskiego, ale pobyt na Litwie całoroczny nie dozwolił jej częściej oglądać. Utkwiła mu jednak w pamięci i chętnie zaproszenie generalstwa na św. Michał przyjął, bo tam znowu miał zobaczyć, obecną w pamięci, a może i w sercu osobę. P. Karolina miała lat dziewiętnaście, wzrostem, kształtną kibicią i wdziękami oblicza, przewyższała wszystkie rówieniice, a pięknej powierzchowności odpowiadała piękna du-

[1]) M-stko na Wołyniu, p. Dubieński. Dotychczas w posiadaniu rodziny Karwickich.

sza i męski rozum. Wielu było ubiegających się o jej rękę, ale żaden jeszcze wyobrażeniom jej o zamęzciu i mężu nie odpowiadał. W marzeniach swoich szukała czegoś wyższego, a bal mizocki zdecydował o jej losie; swatowstwo p. generałowej szczęśliwy wzięło skutek i spełniły się marzenia.

Na tym balu ułożono, że cała kompanja generalstwa zjedzie do Tuczyna na oktawę św. Michała, na bal maskowy i na polowanie, — i w samej rzeczy p. wojewoda wróciwszy do domu, oznajmił ojcu memu o projekcie. Chwalił bardzo hrabiego i dał to poznać, że wielceby sobie życzył mieć go za zięcia. Tydzień prędko upłynął. W domu zamożnym przygotowania nie były trudne; goście się zjeżdżali, a było ich co niemiara, każdy jednak jak zwykle u p. wojewody bywało, znalazł uprzejme i miłe przyjęcie. Nastąpił dzień festynu; w pysznie oświeconych salach okazały się licznie zebrane rozmaite narody: Kamczadale i Murzyni, Peruwianie i Morlaki, starożytni Rzymianie i czasów Ludwika XIV Francuzi, Turcy i Hiszpanie, nawet Cyganie i Żydzi. Wojewodzianka z generałową ubrane były za Morlaczki, a piękny ten z siebie ubiór podnosiły jeszcze bogate klejnoty generałowej. Hr. Chodkiewicz, był w stroju polskich bolesławowskich czasów; do twarzy i kibici ten strój potomkowi wielkiego imienia! Patrząc na niego, wyobraźnia mimowolnie przenosiła się w wieki ubiegłe i przypominała Jana-Karola w chwili, gdy po ślubie z Anną z Ostroga, na wojną Chocimską się wybierał. Wesołość szczera panowała w całem zebraniu, a wspaniały staropolski senator w niejednym tańcu z piękną Morlaczką oddawał w cichej rozmowie hołd jej wdziękom i przymiotom. Miłe były te rozmowy wojewodziance, a odpowiedzi jej tchnęły szacunkiem i rozumną zalotnością. Bawiono się wybornie, a wstające słońce powitało tańcujące jeszcze rozmaite narody.

Spali długo dnia następnego, a nawet p. wojewoda zaspał zwyczajną swoją godzinę. O ósmej radzili sobie

z moim ojcem, a wtem wszedł kamerdyner i zwiastował odwiedziny p. hrabiego. „Proś!“, rzekł p. wojewoda, i sam ruszył ku drzwiom na spotkanie dostojnego gościa; ojciec mój chciał wyjść, ale go hrabia zatrzymał: „Przed panem, tak przywiązanym do p. wojewody, sekretu niema, proszę zostać z nami“. Pokłoniwszy się potem do kolan p. wojewodzie, o rękę p. Karoliny prosił. „P. hrabio! — rzeknie p. wojewoda — twoje imię, twojej duszy świetne przymioty, dają ci pierwszeństwo przed wszystkimi synami naszych obywateli. Nie taję się z tem, że szczęście jakie w połączeniu z tobą córki mojej znajduję, marzenia moje przewyższa. Oddaję ci moją Karolinę i o los jej spokojny, spokojnie do grobu zstąpię“. Uściskali się czule, a o południu wobec wszystkich gości, hrabia i wojewodzianka zamienili obrączki i błogosławieństwo ojca otrzymali. P. Karwicka może najwięcej się cieszyła, bo połączenie zaręczonych, istotnem swatostwa jej było dziełem. I ten dzień uroczyście obchodzono, a hrabia nazajutrz wyjechał mając na 16 t. m. powrócić. Wesele postanowiono wyprawić na ś. Jędrzej z równą jak i p. Teresy okazałością.

Z wyprawionego tak szczęśliwie maskowego balu, wielu jeszcze gości na polowanie zostało, a ciepła i dziwnie pogodna jesień sprzyjała tej rozrywce, a przy niej i innym zabawom. Wędrówki wodne na Horyniu, podwieczorki po różnych pięknych okolicach Tuczyna przerywały łowy, z których znowu wracając myśliwi, spotykani byli to przez chłopskie wesele, to przez krakowskie, to przez jakichś rycerzów i współczesne im damy, to przez Żydów z towarami, rozdających bez zapłaty różne ładne bagatele. Między innemi, szczególniej udał się tabor cygański. Pani Karwicka, dusza tych zabaw, pomysł o cyganach podała i swoim kosztem całą bandę, pod sekretem dla myśliwych, przystroiła. Niedaleko za pałacami wznosił się las stary sosnowy, a w pośród niego gdzie-niegdzie piękne polanki. Na jednej z takowych nad drogą, którą

myśliwi wracać mieli, rozłożył się tabor ze swemi ogniami i szatrami. Już się zmierzchało, kiedy myśliwi zadowoleni ubiciem dzika i łosia, zbliżali się wesoło ku końcowi lasu. Nagle uderza ich blask jakiś i odgłos nieznajomej muzyki. P. wojewoda pyta mojego ojca: „Co to jest?“ — „Nie wiem jw. panie“, — i puścił się koniem ku miejscu skąd łuna i odgłos dochodziły. Tymczasem kompanja polujących zbliżywszy się, rozpoznaje Cyganów tańcujących w najlepszą swojego kadryla. „Niech mię miljon set djabłów! — wykrzyknie p. wojewoda, — Cyganie!“ a cierpieć nie mógł koczujących, choć całe przedmieście osiadłymi miał zamieszkane. Już gotował się na ostre wymówki mojemu ojcu, kiedy cała gromada cygańska w skokach i pląsach, zastąpiła myśliwym drogę, obiecując im wróżyć i zapraszając na cygański bankiet. Poznano niespodziankę, pozsiadali z koni i z powozów, witali starszą (p. Karwicką) taboru, i pomięszawszy się z cyganami, pod ralnianym szatrem, znaleźli wyborną wieczerzę i pożno na tańce wrócili do pałacu.

Tak jesień wesoło upływała, a tymczasem przygotowano wyprawę. Wrócił hrabia na dzień oznaczony, było to święto kasztelanicowej, której Bóg pobłogosławił już córeczką, a której ojciec uroczyste sprawiał imieniny. Wróciła i najstarsza córka, księżna Jabłonowska, z ledwo wyszłą z dzieciństwa śliczną córeczką Dosią. Chorąży kor. radował się z powrotu córki tak pięknej, ale o projektach dla niej myśleć jeszcze nie można było, bo Dosia rok dopiero 14 miała. Na tych imieninach odebrał p. wojewoda kurjera od generała Baura z listem przepraszającym, że na uroczystości tuczyńskie zjechać nie mógł, bo asystował N. cesarzewiczowi w. ks. Konstantemu będącemu w Dubnie i bytność jego w Tuczynie zapowiadał. Nazajutrz więc p. wojewoda odjechał do Dubna, ażeby się N. cesarzewiczowi prezentować, nim swą bytnością dom p. wojewody zaszczycić raczy. Niebytność gospodarza nie przerwała zabaw, ale do przyjęcia monarchiczne-

go gościa wielkie przygotowania czyniono. Trzeciego dnia wrócił p. wojewoda pełen radości z łaskawego przyjęcia u cesarskiego syna. Na dzień naznaczony przybył wielki książę, otoczony wielkim pocztem generałów, z pośród których Baur najlepiej był uważany, i wiele miał wpływu u cesarzewicza. Wielki książę młody, wesoły bawił w Tuczynie trzy dni. Niewymuszona uprzejmość p. wojewody, ten ton przyzwoity w zachowaniu się z tak wysoką osobą, piękny dobór towarzystwa, rozmaitość zabaw, tak ujęły księcia, że po trzydniowem bawieniu w Tuczynie, przy najprzyjaźniejszem pożegnaniu z p. wojewodą, oświadczył, że Tuczyn mu będzie wspomnieniem, i że mieć się będzie za szczęśliwego, jeśli p. wojewoda jakim interesem jego ks. m. obarczyć zechce; i wyjechał z Tuczyna do Równego. Zapewnie, że bytność takiego gościa, niemałym zaszczytem dla domu obywatelskiego, ale wyznać potrzeba, że po jego wyjeździe swobodniej się bawiono.

Wypadły hrabiemu jakiś interes, zmusił go prosić o przyśpieszenie wesela; nie czekając więc oznaczonego wprzódy dnia, wesele odbyło się 9 listop. na dzień imienin księżnej Jabłonowskiej. Dżdżysty był czas i błotny, biskup jednak zjechał błogosławić ostatnią córkę przyjaciela i krewnego, ale z zaproszonych gości ani połowy, nie było też i okazałości o jakich myślano, wesele jednak odbyło się tak, jak na senatorski dom przystało. Ślub odbył się na szafirowej sali świetnie przybranej w pomarańczowe drzewa i oświeconej. Księżna Jabłonowska jako siostra najstarsza, zastępowała matkę i koronę pannie młodej przypięła. Skrzywiły się na to niektóre z obecnych, że księżna raz się rozwiodłszy z mężem, za drugiego wyszedłszy, niepowinna była spełniać tego obrzędu, ale to było żądaniem panny młodej i tak być musiało. Różne stąd na przyszłość niepomyślne robiono wnioski, niestety z czasem sprawdzone! Ale o tem potem. Niemam co ze szczegółami opisywać uroczystości wesela panny

Karoliny, bo to byłoby powtórzeniem tylekroć już opisanych. Smutno było ojcu z ostatnią już córką rozstawać się; tydzień jeszcze hrabstwo zabawiwszy w Tuczynie do domu swego w Pekałowie o pół milki od Młynowa [1]), gdzie matka pana młodego mieszkała. Pani starościna Żmujdzka dla wieku i niedomagania, na wesele syna nie zjechała, napisała tylko list pełen najprzyjaźniejszych wyrażeń do p. wojewody, a dla przyszłej synowej z błogosławieństwem, wysokiego szacunku klejnoty przysłała. Nazajutrz po przybyciu do Pekałowa państwo młodzi odwiedzili panią starościnę, mile matka przyjęła synową i nie dozwoliwszy jej nawet upaść sobie do nóg, czule ją uściskała, nazwała córką i trzy dni od siebie hrabstwa nie puściła. Wkrótce i p. wojewoda za dziećmi pośpieszył i zaraz pani starościnie złożył winne uszanowanie. Wizyta tak znakomitego obywatela, którego p. starościna wysoko ceniła, uradowała tę panią zacną, ale dumną, przyjęła go najuprzejmiej i na nadchodzące święta ze wszystkiemi dziećmi zaprosiła. Zjechała się cała rodzina wojewodzińska do Młynowa, a pani starościna występując hojnie i okazale, cały prawie tydzień u siebie zatrzymała. Na Nowy Rok, chorąży kor. chcąc także ufetować nowe małżeństwo, wszystkich z Młynowa do Międzyrzecza zaprosił. Tak się zakończył ten rok, p. wojewoda osamotniał, bo już nie było przy kim zbierać się córkom obywatelskim w Tuczynie, a choć jeszcze towarzystwo liczne zostało, bez dam życia nie miało. Pp. Bierzyńscy tylko dla przyjemności ojca więcej w Tuczynie, niż w Bystrzycy [2]) bawili.

---

[1]) M-stko na Wołyniu, p. Dubieńskiego.

[2]) Starożytna osada nad Słuczą, w pow. Rowieńskim. W końcu XVIII w. był jej posiadaczem kasztelan Adam Bierzyński, który się ożenił z Teresą Walewską, wojewodzianką sieradzką.

ROZDZIAŁ V.

Rok 1801 wielką w Europie rozpoczął się epoką. Aleksander I osiadł na rosyjskim tronie; Bonaparte został dożywotnim dyktatorem Francji i do osiągnięcia cesarskiej władzy, olbrzymim szedł krokiem. Ale Napoleon był bohaterem wojownikiem, Aleksandra bohaterstwo objawiło się ojcowskiem sercem dla tylu miljonów ludów, podległych berłu jego. Gwiazda Arkturów wzniosła się nad inne i stała się dobroczynnem słońcem dla krajów północy. Napoleon był pogromcą, Aleksander cierpiącą podźwignął ludzkość. Wielki ten Monarcha z równem uczuciem podawał dłoń ojcowską ruskim rodzinom, jak i plemionom innego szczepu i innego wyznania. Wieść o wstąpieniu na tron Aleksandra, rozlała wesele na serca tak licznych pod berło jego zebranych różnorodnych narodów, i jeden odgłos, odgłos radośny serca, wznosił dziękczynne modły za pomazańca Pańskiego.

Ale ten rok tak pomyślnie dla kraju zaczęty, dla naszej rodziny stał się rokiem ciężkiej żałoby. Ojciec mój namiętnie lubił polowanie, i w wigilję nowego roku próbując myśliwskiego szczęścia, wywrótem z sanek putłukł się i silnie zaniemógł. Mocując się jednak ze swojem cierpieniem, kilka dni trzymał się na nogach i obowiązkiem swoim zajmował, ale 7-go stycznia obległ zupełnie. Pan wojewoda zwołał okolicznych lekarzy, starania były usilne, pilność w dozorze najsilniejsza, ale nic nie pomagało. Niezbyt silna budowa i pracą jeszcze zwątlona, podołać nie mogła mocnemu uderzeniu pleury zamienionej w nerwową gorączkę. Dniem i nocą nie odstępowałem jego łoża, a kiedy matka i siostry spoczywały, ja czuwałem niosąc moje usługi Widząc mię tak nieodstępnym, ojciec w chwilach nie wielu wolnych od gorączkowego bredzenia, brał mię za głowę, przyciskał do piersi, coś mówił, ale trudno było uchwycić wątek i te słowa nie chwytały się wowczas mojej myśli zajętej cierpieniem ojca.

Doktorowie zdecydowali niebezpieczeństwo, matka i siostry nie wiedziały o tem, bo decydowali łaciną nie obcą dla mnie. P. wojewoda każdego dnia po kilkakrotnie odwiedzał chorego i długo w noc z nim siadywał, a ostatniego dnia do wyjścia ducha, z nami go nie odstąpił. Dnia 13 stycznia, zakończył życie mój drogi ojciec, życie nieskalane żadnym brudnym postępkiem, życie przepędzone w poczciwej pracy. Moc żalu naszego, napróżnobym chciał opisać; jest to uczucie, na którego oddanie język ludzki nie ma dostatecznych wyrazów. Więcej pół stulecia od tego dnia boleści upłynęło, a łza synowskiego przywiązania, szacunku współrodaka, spada na tę kartkę, poświęconą drogiemu wspomnieniu. Spełniło się przyrzeczenie jakie sobie dali mój ojciec i jego zacny pan, nierozłączenia się do grobowej deski, ale też długo nic pocieszyć nie mogło pana po stracie sługi; już więcej sobie takiego nie dobrał. Nie puścił osierociałych dobry pan, zapewniając matce mojej dożywotnią pensję jaką ojciec pobierał z wygodami życia jakich dotąd używała. Starsza siostra moja została przy kasztelanicowej na jej opiece.

W mojem położeniu wielka zaszła odmiana. Po wyjeździe Szopowicza, oddano mię do Międzyrzecza do szkół, gdzie czwartą klasę ukończywszy, z promocją do piątej przyjechałem do domu na wakacje i po zaszłych wspomnianych okolicznościach pozostałem aż do zgonu ojca mego w Tuczynie. Odtąd dalsze mną rozporządzenie, od hrabiego Chodkiewicza jedynie zależało, jakoż wyjeżdżając na wiosnę do Wilna i mnie z sobą zabrali. Bolesno było rozstawać się z rodziną, smutno było opuszczać dom pod którego opieką wyrosłem, piękne okolice w których przeskakałem wiek mój dziecinny. Myśl, że sam w pośród obcych mam zostać i to Bóg wie na jak długo, że przestrzeń mil 80 oddzielać mię będzie od sióstr i matki, że wśród ogromnego miasta, ani będzie do kogo głowy przytulić, uciskała moje młodociane serce.

Podróż szła zwolna, a choć piękne były dni majowe, dla złych dróg jednak pośpieszyć nie można było. Nowość atoli okolic, śliczna pora, odmiana ludzi, wpływały wiele na młody umysł, rozrywały mię o tyle, że została tylko tęsknota za domem, częste westchnienia i niekiedy w ukryciu cicha łza dziecinna.

W Słonimie spoczywaliśmy dni kilka. Hrabia chciał, ażebym oglądał wszystkie osobliwości pałacu Ogińskich. Podziwiałem wszystkiemu, ale nic mię tak nie zachwyciło, jak zbiór wypchanych pięknie zamorskich rzadkich ptaków i zwierząt i okazały teatr na którym prawdziwa sadzawka, nosząc prawdziwe statki, czarowny sprawiała widok. Tu i mój ojciec wiek swój młody przepędził, i dopiero mi przyszło na myśl, że blizki zgonu między innemi i Słonim wspominał — ale w jakim celu? to dla mnie na zawsze zagadką zostało. Stary niegdyś marszałek dworu, Pelikan, gdym mu moje nazwisko wymienił, przypomniał sobie, że mój ojciec oddanym był przez ojca swego, pana rotmistrza, na dwór ś. p. J. W. hetmana, dla promocji, że interesa konfederacyjne, po kilku latach pobytu w Słonimie, odwołały młodego człowieka i że już odtąd tam nie wrócił. Stanęły mi wówczas na myśli niezrozumiałe słowa mojego ojca, przypomniałem sobie, jak nieraz babka wspominała spokrewnienia swoje na Litwie, ale nic stąd wywikłać nie zdołałem, ani było kogo o to zapytać.

Sławnym był i podówczas dom Nieświeżski, ale domu Ogińskich sława świetniejszą była. Tu przy wyższej cywilizacji 18-go stulecia, zachowały się wiernie obyczaje i bogobojność czasów dawniejszych. Słonim był kolebką i przybytkiem nauk i sztuk pięknych, błogim przytułkiem uciśnionej ludzkości. Muzyka Ogińskiego składała się z mistrzów znakomitych. Peszka i Rustem tu wykształcali swoje talenta. Była tu okazałość, wytworność, hojność, ale nad wszystkim miały władzę umiarkowanie i wiara. Rzadki to był dom, i dotąd na Litwie ze czcią wspominany.

Dojechaliśmy nareszcie do Wilna, ale widok jego zdala nie zrobił na mnie żadnego wrażenia, i dopiero wjeżdżając w Ostrą Bramę, widok po obu stronach ulicy ludu na kolanach korzącego się przed obrazem Królowej nieba i ziemi, Opiekunki Giedyminowego miasta, wzbudził w sercu mojem silne uczucie wiary i nadziei. Hrabstwo i dwór cały wysiadłszy z powozów, szli piechotą. Msza była przed Ostrobramską Marją solenna, bo to była sobota, z muzyką i dobranemi głosami śpiewaków. Wszyscy uklękli oddać cześć Opiekunce Litwy i wezwać jej łask i błogosławieństwa na dalsze sprawy. Ukląkłem i ja i gorąco modliłem się za matkę, za siostry, za duszę ojca bo o sobie jeszczem myśleć nie umiał i tylko wszczepiona od dzieciństwa pobożność w całej swej sile się odezwała.

Hrabstwo zamieszkali na Rudnickiej ulicy w domu Zejdlera, mistrza nie pomnę jakiego cechu. Tegoż dnia i moje dalsze kierowanie się rozstrzygnionem zostało. Hrabia wyegzaminowawszy moje usposobienie naukowe, chciał ażebym szedł tą samą drogą, aż do osiągnięcia stopnia w uniwersytecie. Hrabina wyśmiała tę *naukowość* i żądała, abym się przykładał do jakiego *talentu*. Na biedę moją, poduczałem się trochę rysować przy moim wuju, postanowiono więc umieścić mię przy sławnym Smuglewiczu. Ale ten profesor bawił natenczas w Petersburgu, potrzeba więc było szukać kogo innego, mnie zabłysła nadzieja drogi naukowej, i hrabia znowu tentował prowadzić mię podług swego zamiaru, ale hrabina ani słyszeć o tem nie chciała. Namyślano się więc zostawić mię u p. Rustema i hrabia wybierał się nazajutrz być u niego, gdy Zejdler oznajmił hrabiemu, że jest w Wilnie młody artysta z wielkim talentem i wielkich nadziei Oleszkiewicz [1]). Nazajutrz zaraz hrabia odwiedził

[1]) Oleszkiewicz Józef (1777 — 1830). Znakomity malarz. Kształcił się w Dreźnie i Paryżu. Do r. 1810 pracował przeważnie w Wilnie lub dla malowania portretów na wieś wy-

artystę, widział jego malowidła, mówił z nim i okrył go swoją protekcją. W parę dni oddał mię w ręce Oleszkiewicza, tylem sobie tylko wyprosił u hrabiego, żeby mi wolno było chodzić na jakie lekcje. Po trzech dniach przeniosłem się zupełnie do kardynalji do mego nauczy

Józef Peszka
ur. 1767 r., zm. 1831 r.
Według rysunku Józefa Cholewicza.

ciela, stół umówiono dla mnie w pałacu Chodkiewiczowskim u chirurga Bigulskiego, a w wypadku jakich po-

---

jeżdżał. W 1810 r. został mianowany członkiem Akademji sztuk pięknych w Petersburgu i tu życie zakończył. (Szczegóły: Rastawicki: Słownik malarzy polskich; Fr. Rawita-Gawroński: Studya i szkice historyczne. Serja I. Lwów 1903, str. 271. Józef Oleszkiewicz, malarz i mistyk.

trzeb, kazano mi odnosić się do pełnomocnego hrabiów w Wilnie, p. Przegalińskiego.

W tydzień po tem wyjechali hrabstwo, a ja uczułem

Jan Rustem

ur. 1761 r., zm. 1835 r.

Według litografji J. Piwarskiego, wykonanej z autoportretu.

dopiero moją samotność. Nic mi nawet na fraszki nie zostawiono, a całem bogactwem mojem było: sto złotych dane mi z błogosławieństwem przy wyjeździe czcigod-

nego dobroczyńcy mojego p. wojewody, dukat poświęcony od matki, a od wuja rewersik majora Murawjewa, o którym wiedzieliśmy już, że jest generał-inspektorem wszystkich zachodnich komor granicznych. Szanowałem te pieniądze, bo mi się zdawało, że to jakieś świętości, których pozbyć się nie wolno mi było, a zapisanych na rewersiku, ani sobie marzyłem odebrania. Oporządzony z domu, przyzwoicie, chędogo się odziewałem i wielu, miało mię za jakieś paniątko z korony. Miałem też i listy od doktora Barszcza do profesora Śniadeckiego i Maleskiego, a od matki mojej do p. Śniadeckiej ściśle z nią znajomej gdy była jeszcze Mikułowską.

W kilkanaście dni po wyjeździe hrabstwa ośmieliłem się pójść do pp. Śniadeckich. Malec, sierota, zostawiony tak daleko w obcej stronie, trwożliwie wstępowałem na wschody mieszkania znakomitego w kraju męża. Wszedłem na górę, pierwszą osobą którą spotkałem była dama skromnie ubrana, nie piękna, ale ujmujących rysów twarzy i okazałej postawy. Kogo szukasz moje dziecię? spytała głosem łagodnym. — To macierzyńskie wyrażenie natchnęło mię śmiałością, skłoniłem się i zapytałem o pp. Śniadeckich. Proszę z sobą, rzekła, ja jestem Śniadecka, mój mąż wyszedł z domu, ale moje dziecię, maszli do niego interes? Mam listy z Wołynia, i to mówiąc listy Barszcza i mojej matki wręczyłem. Skoro p. Śniadecka przebiegła list oczyma, powstała, ucałowała mię w czoło i odrazu po imieniu nazywając nie zmieniła dla mniej swej uprzejmości. O ileż to pociechy ta wizyta wlała do serca mego! mówiliśmy o naszych stronach, bo i p. Śniadecka było wołynianka, o mojej matce, o siostrach, o p. wojewodzie i jego rodzinie i miły nam był ten język ,choć nie wiele dla drugich zrozumiały. Niedługo zabawiwszy, pożegnałem szanowną damę, a ta kazała mi przyjść jutro o pół do ósmej z rana dla zaprezentowania się panu profesorowi.

Nieomieszkałem stawić się nazajutrz, a przyjęcie

u tego wielkiego męża, nigdy z serca mojego, ani z pamięci nie wyjdzie. Oboje pp. Śniadeccy polecili mi swój dom jakby rodzinny i kazali codziennie o tej porze przychodzić na śniadanie. Dzieci pp. Śniadeckich bardzo jeszcze małe były: Zosia ledwie rok czwarty liczyła, Józiowi dwa lata były skończone, prędko przystały do mnie, bawiłem je wystrzygając i klejąc z papieru i kart różne figurki, odmawiałem z niemi pacierz i opowiadałem im coś o Wołyniu, lub o kraju naszym. Pp. Śniadeccy coraz łaskawsi na mnie byli i wreszcie weszło we zwyczaj, że po śniadaniu zostawałem godzinę lub dwie z dziećmi; p. Śniadecki na lekcję lub do pacjentów, sama wyjeżdżała do kościoła, lub do miasta za potrzebnemi sprawunkami. Tam poznałem hr. Filipa Platera, młodzieńca wielkich nadziei, syna podkomorstwa Platerów z Dąbrowicy na Wołyniu. Mimo kilka lat różnicy wieku, miałem szczęście pozyskać hrabiego życzliwość i nieraz w miłej nam obu o Wołyniu pogadance, miła nam upłynęła godzina. O! błogo mi było w domu tych zacnych ludzi i bodajbym był w Wilnie towarzystwa innego nie znał!

Oleszkiewicz (Józef), mój nauczyciel, miał pod ten czas lat 25; piękny był mężczyzna, wzrostu słusznego, kształtnej budowy ciała, brunet, rysów twarzy wydatnych, ale proporcjonalnych, a w oczach jego czarnych tyle było słodyczy i życia, a razem taka wyrazistość, że z wejrzenia łatwo było poznać jakie uczucie sercem owładło. Urodził się z talentem i sobie samemu winien był swoje ukształcenie, w latach 18 już malował. Później kształcił swój talent w domu Prozorów, gdzie bogaty zbiór pięknych malowideł, naprowadził młodego artystę na drogę prawideł sztuki. Ale najwięcej przyczyniła się do rozwinięcia talentu Oleszkiewicza, pani Mostowska, jedna z pierwszych magnatek litewskich, wysoce uczona i utalentowana dama. Pod jej okiem młody artysta miał pole obszerne doskonalenia się w malarstwie i nabycia

nauk i wiadomości potrzebnych prawdziwemu artyście; p. Mostowska zarekomendowała go Smuglewiczowi, a mistrz ten, lubo nieco zawistnym okiem poglądał na wiele obiecujący talent młodego człowieka, rad mu jednak swoich nie odmawiał, i Oleszkiewicz umiał z nich korzystać. Stąd też go niektórzy uczniem Smuglewicza

Józef Oleszkiewicz
ur. 1777 r., zm. 1830 r.
Według litografji współczesnej.

mianowali. Oleszkiewicz utrzymywał się w Wilnie z lekcji rysunków w znakomitych domach, a jeszcze więcej z portretów, które pięknie malował. Portrety mężczyzn oddawał z całą prawdą i z wdziękiem biegłego pędzla, ale dam portrety malował z cudnym urokiem. Nie pięk-

ne nawet, znajdowały i podobieństwo i wdzięki; na których im zbywało. Stąd też u dam miał wielką wziętość i był od nich poszukiwany. Z dawniejszych jego malowideł, żadnego widzieć nie zdarzyło mi się, a obraz który hr. Chodkiewicz zastał u niego pod pędzlem, wyobrażał Olimp ze wszystkiemi bogami. Ogromny ten obraz bogatą kompozycją, wybornym rysunkiem, żywością kolorytu i prześlicznym wykończeniem, okazywał i wysoki talent i duszę artystyczną swojego twórcy. Hr. Chodkiewicz zamówił ten obraz dla siebie za 600 dukatów, a artystę swoim kosztem przedsięwziął wysłać za granicę.

Oleszkiewicz przy najzacniejszych serca przymiotach, poszedł drogą świata, jaką mu oddanie się talentowi wskazało. Olbrzymim krokiem postępował do sławy artystycznej i powszechne pozyskał sobie uważanie. Ale Oleszkiewicz bez przewodnika w młodzieńczym wieku, chwycił się ówczesnych mniemań francuskich i wolnych obyczajów panowania Stanisława Augusta. We Francji rewolucja obaliła religię, ale w sercach wzdychano do ołtarzów Zbawiciela! U nas były kościoły, były nabożeństwa, ale mało kto szedł tam na modlitwę. Oleszkiewicz znał te tylko, w których były obrazy mistrzów naszych, lub obcych jakkolwiek sławnych, lub gdzie się zbierał świat elegancki i nie jedna piękna twarzyczka widzieć się dała. U Oleszkiewicza zbierali się zwykle les ésprits forts Bychowiec, Tomaszewski, Cejzik, Niemczewski młody, Liboszyc, Korwell, Petrusiewicz, Damel i wielu innych, których nazwisk nie pamiętam. Rozmowy ich były tak wolne, jak ich obyczaje; a filozofja, wspomnieć dziś straszno; a czytania, wszyscy co przeciw moralności religijnej i zasadom religji samej pisali, najulubieńszymi ich byli autorami. O dziejach narodowej Litwy ani słyszałem! Słuchałem i ja i nie mogłem nie zachwycać się czarującym sposobem, jakim ci pisarze umysły i serca owładnąć umieli.

Oleszkiewicz nie lubił powagi p. Śniadeckiego, krzywo patrzał na moje uczęszczanie do ich domu, zabronić mi jednak tego nie mógł, bo w tem była wola mojej matki i mojego dostojnego protektora. Ale za to, i on i jego towarzystwo naśmiewali się ze mnie, żem się klęczący modlił i żem się spowiadał. Kryłem się więc z moim pacierzem i najczęściej odmawiałem go u pp. Śniadeckich z ich dziećmi.

Wyprosiłem sobie u p. Śniadeckiego pozwolenie bywania na jego prelekcjach chemji. Przedstawił mię ks. Jundziłłowi, od którego otrzymałem pozwolenie uczęszczania na lekcje zoologji i botaniki. P. Lobenwein, prof. przyjaciel pp. Śniadeckich, poznał mię u nich, polubił, wprowadził na lekcje anatomji potrzebną dla sposobiących się do malarstwa i obok swej katedry posadził, a tak czternastoletni dziecina, prawie bez żadnych poprzedniczych przygotowań, z własnej chęci, słuchałem ważnych przedmiotów i nie bez korzyści, bom je pojmował, bo łatwe, jeszcze i wymowne tłómaczenie się prof. Śniadeckiego, każdemu, kto tylko chciał korzystać, ułatwiało naukę. Pod szczęśliwym darem zajmującego tłumaczenia się, w suchej nawet nauce terminologji botanicznej i w wymownym wykładzie systemu Linneusza, jaki mieliśmy w ks. Jundzille, można było wiele się nauczyć. Z najczulszą wdzięcznością myślałem sobie o Szopowiczu, który i gust do botaniki i jakie takie nauki tej wyobrażenie we mnie zaszczepił. Łatwo mi więc szło rozpoznanie cech charakteryzujących rodzaje i gatunki roślin i wkrótce takem w nich postąpił, żem wielu starszym, w determinowaniu roślin był pomocą. To mi zjednało przychylność wielu współuczniów, a że nie uczyłem się dla stopnia, to postęp mój i zazdrości nie wzbudzał.

Ale kiedy mi tak miło i lekko przychodziły nauki przyrodzone, postęp mój w rysunkach szedł bardzo opieszale. Marszczył się na to Oleszkiewicz, czyniąc mi gorzkie wyrzuty napróżno straconego czasu, i to też

tylko miał mi do zarzucenia, bo zupełnie zresztą zostawiony sobie, nie zdawałem nikomu sprawy z mojego postępowania. Tak nawet bywało, że Oleszkiewicz wezwany na wieś dla robienia portretów, zostawiał mię samemu sobie bez czyjegokolwiek nademną dozoru, po całych tygodniach.

Robiłem więc, co mi się podobało, starając się tylko wykonać naznaczone mi rysunki, zresztą chodziłem gdzie chciałem, czytałem, co mi w ręce padało. Takowe czytania i nabyte mimowolnie z nasłuchania się zdań tych wyższych rozumów maksymy, rozlewały słodką truciznę po moim sercu i umyśle i podkopywały zasady moralności religii w jakich wychowany byłem; nawykłem do wolnych mniemań naszych filozofów i nawet w nich smakowałem. Ostygłem w mojej pobożności i ledwie kiedy niekiedy pomodliłem się w kościele. Taiłem się jednak z tym mojem usposobieniem, a nadewszystko strzegłem się z czem wymówić u pp. Śniadeckich, mniej nawet do nich uczęszczałem, składając się odległością mieszkania do któregośmy się przenieśli. Niechybnie upadłbym był zupełnie, gdyby Opatrzność nie czuwała nad zbłąkanym sierotą!

U pp. Śniadeckich bywał p. Odachowski sekretarz komisji edukacyjnej, człowiek już nie młody, rzadkich serca i umysłu przymiotów. Polubił mię i widząc, że mam niezłe początki języka francuskiego i chęć postąpienia w nim, kazał mi przychodzić w wolnych godzinach na czytanie. O! jakże różne od bywających u Oleszkiewicza, znalazłem towarzystwo! Widziałem się w pośród ludzi rozsądnych, światłych i bogobojnych. Odachowski łatwo zbadał tajniki mojego serca. Po ojcowsku naprowadził mię na drogę prostą, niszczył niebezpieczny zaród nachwytanych mniemań, wskazał korzyści i szkody z czytania, a nadewszystko obudzał ducha wiary. Nie zrażając mię dla Oleszkiewicza, jego błędy wpływowi innych przypisywał, a mnie zalecał szanować w nim nauczycie-

la. Pokój wieczny twoim popiołom! pokój twej duszy mężu czcigodny! Tyś mi oczy otworzył nad brzegiem przepaści! wdzięczność moja dla ciebie zstąpi ze mną do grobu! W rzeczy samej odrodziłem się, stałem się innym. Wróciła moja dawna pobożność. U pp. Śniadeckich znowu częściej bywałem, uczęszczałem na opuszczane przez czas jakiś prelekcje, bywałem w kilku domach, gdzie mię wprowadził Odachowski, w których wesołości towarzyszyła moralna obyczajność i było mi dobrze, bo nawet rysunki naznaczone na swój czas i porządnie wykończone były, i Oleszkiewicz był mną zadowolony.

W kilka miesięcy po mojem przybyciu, w początku zimy, jednego wieczoru, Oleszkiewicz wróciwszy do domu, oznajmił mi, że generał-inspektor Murawiew jest w Wilnie, mieszka w pałacu Millerowej i zachęcał mię probować szczęścia i przypomnieć się generałowi. Całą noc przemyślałem nad tem, jak się stawić przed tak wysokim urzędnikiem i przypomnieć mu przeszłość, może niezbyt mu miłą. Rano jednak wstawszy, porządnie ubrany, szczerze pomodliłem się Bogu i poszedłem. Nieśmiało wstępowałem po wschodach, tam pokazano mi apartament generała. W przedpokoju siedział lokaj w bogatej liberji i z góry na mnie poglądał. Na szczęście moje wszedł staruszek, ale nie w liberji i z ujmującą grzecznością zapytał: „czto wam ugodno?“ Widzieć się z p. generałem“. „Proszę zaczekać chwilkę, on jeszcze nie wyszedł z swojej sypialni“. Ośmielony uprzejmem obejściem się staruszka, zapytałem, jak dawno w służbie u generała?“ „20 lat“ „To byłeś i w Korcu z nim?“ „Byłem nianią jego syna pokojnika“. „Jakto? Aleksander nie żyje?“ „Od lat trzech, odpowiedział, ocierając łzę z oka“ „a wy znali mojego Saszę?“ „Jakże nie, i bardzośmy się lubili“. „Nieużli wy plemiennik Kazimira Warftołomicza Sobińskaho?“ „Ja sam w istocie“. „Antosza! drug moj lubiezny! zawołał ściskając mię z rozrzewnieniem, ty

zdieś? czto ty tak daleko od swoich? żywy-li oni wsie, czy zdorowy? kak ja rad czto tiebia uwidił, czto ty mojego Saszu drużno wospominajesz. Pójdziemy do generała on ciebie mile przyjmie". „Czy i Darja Michajłowna jest tutaj, zapytałem". „O! nie, ona poszła za swoim Saszą, a generał żonaty z drugą wielką damą". W tym odezwał się dzwonek, stary niania wprowadził mię do salonu i zaanonsował. Generał w pysznym chałacie siedział przy stoliku. Skoro mu niania powiedział kto jestem, wstał, uprzejmie mię uściskał, posadził koło siebie i mnóstwo dawał mi zapytań o mojej rodzinie, o Korcu. Musiałem mu opowiadać o wszystkich okolicznościach od czasu wyjazdu jego z Korca. Słuchał z uwagą i współczuciem, potem rzekł do mnie tonem chwytającym za serce. Słuchajno Antosiu! jedną okoliczność opuściłeś. Ja jestem dłużnikiem p. Sobińskiego i ciężko mi, że w mojem tak dostatniem położeniu, dotąd się nie uiściłem. Czy p. Kazimierz Sobiński nie polecił ci tego interesu? Mam rewers p. majora Murawjewa, a j. w. pan jesteś generałem. Ale zawsze jestem ten sam Murawjew, co był w Korcu, przyjaciel twojej rodziny. Tyle było szlachetnego uczucia w tych słowach, żem się rozpłakał i ucałował rękę generała. Wziął ode mnie rewers, odczytał popatrzał na mnie i pocałowawszy w czoło rzekł: odbierzesz twoje, ale wprzódy z nami herbaty się napijesz. Żona moja zaraz wyjdzie; zaprezentuję cię i o twoich jej wspomnę. Wyszedł generał, a ja ośmielony tak niespodziewanem przyjęciem rozmawiałem sobie o Korcu ze starym nianią, a tymczasem służba zastawiała stół do herbaty, z całym przepychem zamożnego magnata. Weszli generalstwo, generał przedstawił mię żonie, a ja przez cały czas śniadania oka z niej spuścić nie mogłem, bo piękną była generałowa i dystyngowanej postawy. Po herbacie generał wyszedł, generałowa wypytywała mię po francusku o Wołyń, o sposób życia obywateli, odpowiadałem jak mo-

głem, słuchała mię z zajęciem, usterki języka z całą delikatnością poprawiała. Mówiliśmy o Oleszkiewiczu, generałowa wzięła jego adres.

Wrócił generał, wręczył mi rulonik, uściskał znowu i polecił, ażebym co dzień o tej porze przychodził do nich póki w Wilnie zabawią. O południu generał odwiedził Oleszkiewicza i wezwał go do malowania portretu generałowej za 100 rubli. W moim ruloniku było 30, chciałem zaraz oddać 15, ale generał śmiał się ze mnie i tak mówił: „źle cię moje dziecię uczono arytmetyki, kiedy reguły procentu nie znasz. Pieniądze pożyczone były w nagłej potrzebie i lichwiarz więcej byłby wziął za połowę tyle czasu. Rewersowi lat siedm, obrachowałem należny procent i z takim ci je oddaję. Nie jest to ani omyłka, ani jałmużna, możesz to śmiało przyjąć z przyjaznej ręki". Wielką mi były pomocą te pieniądze, podzieliłem się niemi z moim nauczycielem, bo choć miał znaczne dochody, zawsze jednak był w potrzebie. Do wuja napisałem najczulszy list z podziękowaniem za pomoc prawie niespodziewaną. Im więcej rozpatrywałem się w Wilnie, tym mocniejsze na mnie robiło wrażenie. Starożytne miasto, tyle przechowujące ojczystych pamiątek, wspaniałe świątynie Pańskie, w nich wzniosłe, religijne obrzędy, uroczystości miejscowe, rozmaitość ludzi, ruch, to życie wielkiego miasta, nie mogły nie zachwycić młodocianego umysłu. Okazała Katedra, kościoły św. Anny, św. Piotra, rozwaliny zamku Jagiełłów i pałacu kr. Barbary, pałac Sapieżyński na Antokolu zarysowały się wiecznie w mojej pamięci. Ponary, Antokol, Markucie i Rybiszki botanicznie, Werki, Trynapol i Zakret malownicze i dziś jeszcze żywo przedstawiają się mojej wyobraźni. Werki swoim pałacem, korytem Wilji, przypominały mi Tuczyn w mniejszych nieco rozmiarach. Ale nic mię tak nie pociągało, jak romantyczna samotność Zakretu. Nie raz pod temi opuszczonemi jeszcze naówczas murami, nad brze-

giem Wilji, przedumałem całe godziny, o swoich... o sobie... i nieraz łza moja zmieszała się z falami rzeki!

Na wiele okazałych uroczystości napatrzyłem się w Wilnie. Poświęcenie Katedralnego Kościoła, na którym prócz djecezalnego ks. Kosakowskiego, Dederko miński, Pilchowski in partibus i emigrant francuz biskupi asystowali. Tamże Rezurekcja. Uroczyste procesje: na św. Kazimierz, na Boże Ciało przez całe miasto, do kościoła św. Jana; św. Kazimierza w rynku, Dominikańskiego i św. Trójcy. Ile to konwentów ciągnęło po przed biskupem, jak cechmistrze salutowali chorągwiami cechowymi każdą z odwiedzanych świątyń, jak brzmiało w ustach tylu tysięcy uroczyste „twoja cześć chwała!“ Kto raz widział te okazałe święte obrzędy, nigdy zapomnieć ich nie może, a wspomina je ze czcią religijną.

Ale nic tak nie utkwiło w mojej młodej pamięci, jak bytność w Wilnie, nieodżałowanej pamięci monarchy Aleksandra I-go. Oleszkiewicz wezwany na kilka dni od urzędników grodzieńskich dla robienia ich portretów, nie był natenczas w Wilnie, a ja miałem zupełną swobodę być gdzie zechcę i widzieć co mi się podoba. O! jakże mi ta wolność była teraz na rękę!

Dzień przyjazdu N. Cesarza był naznaczony. Całe miasto wyszło na piękną równinę, na zachód od Wilna, Pohulanka zwaną, ograniczoną górami Ponarskiemi, Zakretem, Wilją i miastem. Tam wszystkie władze rządowe w całej formie oczekiwały świetnej, szczęśliwej chwili, ujrzenia błogosławionego oblicza. Od gór Ponarskich wzbił się tuman kurzawy, goniec lotem ptaka lecąc oznajmił przybycie Monarchy. Zatrzymał się powóz, władze rządowe witały Pana, a prezydent miasta, Karner w pięknych słowach wyraził szczęśliwość Wilna, że w murach swoich ogląda ojca, tylu, miłością dla niego połączonych, ludów. Tymczasem obywatele miasta wyłożywszy konie z powozu cesarskiego i zaprzągłszy się sami ponieśli lo-

tem ptaka ukochanego Monarchę do miasta. Zmrok już padał, noc czerwcowa piękna i cicha rozciągnęła swe cienie nad miastem, ale miljony świateł sztucznych zwyciężyły ciemność nocy i Wilno, jak we dnie zajaśniało. Nieprzeliczone przezrocza, jedne od drugich piękniejsze, wyobrażały allegorycznie i szczęśliwość miasta i uwielbienie Monarchy. Przy bramie Trockiej u wejścia do kościoła Franciszkanów, czekał ks. biskup Pilchowski w pysznem obłoczeniu, z całem wyższem duchowieństwem wileńskiem. Zatrzymał się cesarz, wysiadł z powozu, przyjął powitanie katolickiego pasterza i pokropienie wodą i podany krzyż ucałował. Z Trockiej, udali się do uniwersytetu, obok pięknego przezrocza w bramie umieszczonego, cały senat akademicki w togach, pożądanego oczekiwał gościa i krótką ale piękną mową powitał. Stamtąd po pod ratusz wspaniale iluminowany, skąd przez Niemiecką ulicę i Pocztową do pałacu biskupiego, gdzie była rezydencja generał-gubernatora, obywatele cesarza zanieśli. Z dziwnym wdziękiem pożegnał miasto do jutrzejszego widzenia, a Brzostowski, starosta piński, marszałek gub. imieniem szlachty litewskiej i obywateli miasta, zaprosił cesarza nazajutrz na bal, i Monarcha zaproszenie łaskawie przyjąć raczył.

Obywatele litewscy biedzili się jakąby pamiątką odznaczyć dzień w którym Wilno zaszczycone zostało bytnością swojego Monarchy. Mnóstwo było pomysłów, ale wszystkie zdawały się albo niedostateczne, albo do śmieszności przesadzone. Księżna Pelagja z Potockich Sapieżyna podała myśl, tę wszyscy przyjęli, bo wszystkim do serca przypadła, wykonano ją szczęśliwie. Był w Wilnie instytut wychowania sierot i podrzutków pod okiem sióstr miłosierdzia, wspierany najwięcej szczodrobliwością litewskich matek obywatelek i te biedne istoty, odbierały tam przyzwoite wychowanie. Dwanaście takich panienek czternasto i piętnastoletnich wybrała księżna, dwunastu znakomitych obywateli przyjęli je do imienia

i herbu i posagi im naznaczyli. Nowe te obywatelki, witać miały cesarza wchodzącego na bal i rzucać pod jego stopy gałązki dębowe i z róż bukiety. Śliczneż to były dziewczątka! wszystkie w białych sukniach zielonym barwinkiem gustownie obszytych, w wieńcach zielonych na głowach. Przedstawił je cesarzowi marszałek gub. i cesarz powitał je jako nowe obywatelki i szlachectwo ich zatwierdzić raczył. Bal był w salach ratuszowych pysznie oświeconych; na dwuch chórach, dwie muzyki umieszczono, dla przemiany w tańcach, prócz polskiego, w którym obedwie grały, pod dyrekcją Skorupackiego katedralnego i Nejmałowskiego teatrowego i miejskiego kapelmistrzów. Dwa pierwsze polonezy za wejściem Monarchy na salę, miały śpiewy stosowne do okoliczności przez trzydziestu śpiewaków wykonane; jeden z nich przez artystę naszego Kozłowskiego w Petersburgu, który *requiem* na pogrzeb króla Stanisława Augusta ułożył. Drugi ze słowami polskiemi, podobno Szahina, umyślnie na tę uroczystość przez Nejmałowskiego skomponowany. Lubo polonez Kozłowskiego modnym był w stolicy a przeto i w Wilnie w ustach wszystkich, harmonja wspaniała, narodowość i śpiew do serca idący Nejmałowskiego, na ten raz i u znawców i u publiczności, wyższość swojemu twórcy zjednały.

Gospodyniami na balu, były ks. Pelagja Sapieżyna i p. wojewodzina Chomińska; gospodarzami: p. Brzostowski, p. Obożny lit. Pociej i p. Karner pierwszy kupiec i prezydent miasta Wilna. Uprzedzony od generał-gubernatora Benigsena marszałek gub., że cesarz nie zechce na balu tańcować, pokłoniwszy się Monarsze z ks. Sapieżyną bal otworzył. Aleksander I, młody, piękny, dobry i wesoły, z największą delikatnością, zapytał przez szambelana swego ks. Golicyna, czy obywatele przyjmą go, do uczęstnictwa w swych tańcach. W tym momencie p. marszałek Brzostowski przystąpiwszy z nizkim pokłonem przepraszał Najjaśniejszego gościa, składając się

ostrzeżeniem Benigsena, że cesarz tańczyć nie będzie i niewiele chwil na balu zabawi. „Omylił się staruszek“ rzekł śmiejąc się Monarcha i stanął z księżną do polskiego, po którym, ani jednego tańca nie opuścił i żadnej damy nie ominął. Były i popisujące się tańce. Piękna panna Anna d'Abry, z niewypowiedzianym wdziękiem wykonała wielkie tamburina i otrzymała zasłużone pochwały Monarchy i całego zgromadzenia. Ale nic tak nie zajęło wszystkich, jak kozak tańcowany przez dwoje dzieci, córeczkę dziewięcioletnią p. Śledzińskiej pierwszej modniarki w Wilnie, z dwunastoletnim synem Karnera. Śliczne to były dzieci i śliczny ich taniec. Gdy po skończonym kozaku mała tanecznica ukłoniła się cesarzowi, cesarz chwycił ją na ręce, podszedłszy do matki winszował jej tak milutkiej córeczki i z tąż malutką rozpoczął polskiego. Mówią, że cesarz ściskając malutką tanecznicę miał łzy w oczach; to być mogło, bo mu piękna dziecina przypomniała, że miał także córeczkę, którą cieszyć się niebo nie pozwoliło! Podczas wieczerzy śpiewała artystka pani de Roche i grał koncert na klarnecie p. Steiniger, wielkiego talentu, gustu i biegłości wirtuoz. Urodził się w Warszawie; w Wiedniu i Rzymie w muzyce się doskonalił. W drugim solo przeszedł samego siebie, Monarcha podzielał powszechne zachwycenie tą czarującą muzyką, kazał sobie przedstawić artystę, dziękował za przyjemność jaką sprawił swem graniem i oddawał sprawiedliwość talentowi i gustowi p. Steinigera i mówią, że piękną tabakierę z portretem swoim dał mu w upominku. Nie długo po wieczerzy cesarz pożegnał zgromadzenie, ale bal trwał aż do dnia. W czasie balu, na placu ratuszowym wyprawiono bankiet dla pospólstwa, kosztem obywateli. Dwa woły całkowite i mnóstwo baranów i drobiu upieczono, a piwa, miodu i wódki, to i miary nie było.

Nazajutrz na Połulance cesarz miał przegląd wojska, a wracając, był w katedrze, zwiedził uniwersytet i wszelkie naukowe, przemysłowe i dobroczynne zakła-

dy. Benigsen uprzedził, ażeby żadnemi suplikami cesarza nie trudzić. Ale była jedna nieszczęśliwa wdowa, której mąż jeszcze za panowania Pawła, skazany na wygnanie, na Syberji życie zakończył. Fundusz biednej wdowy pokrewni zagrabili, fortunę zaś, jaka po mężu została, skonfiskowano. Nieszczęśliwa rozpoczęła z krewnemi proces o swoje, o mężowskie dopominała się u rządu, ale wszystko szło jej oporem, a kiedy ani protekcji nie miała i nie było resursów na popieranie interesu, proces się przeciągał i biedna wdowa do ostatniej nędzy doprowadzoną była. Przybycie Monarchy ożywiło nadzieję wdowy, ale jakże do panującego dostąpić? Pani wojewodzina Chomińska [1]) wzięła na siebie obowiązek pomagania biednej. Cesarz miał wracać od katedry, umieściła więc wojewodzina wdowę przy samem wejściu w zamkową bramę i sama obok stanęła. Matka i troje dziatek okryci żałobą klęczeli, najmniejsza z nich trzymała prośbę. Cesarz zdaleka zobaczył tę malowniczą grupę, niezapytawszy nikogo, co to znaczy, przypuścił konia i zatrzymał się przed bramą. Przez uszanowanie dla wojewodziny, nikt nie śmiał ani usunąć wdowy, ani jej ukryć przed okiem Monarchy. Aleksander poznał p. Chomińską, zsiadł z konia podniósł klęczącą, prośbę przeczytał i proszącą ojcowskiemi słowy pocieszał. Potem, ze zwykłym sobie wdziękiem pozdrowił wojewodzinę i zapytał: Est-ce votre protegée, madame? „Oui sire! mais le coeur magnanime de son Souverain, la protegera aussi, car sa cause est juste.“ „Vous serez satisfaite madame!“ to rzekłszy zagiął róg prośby i oddał ją księciu Golicynowi, skłonił się damom i spiąwszy konia ostrogami, wcwał puścił się dalej.

---

[1]) Chomiński Ksawery należał do tej grupy obywatelstwa na Litwie, która z Adamem Czartoryskim i Jul. Niemcewiczem rozpoczęła akcję antinapoleońską, niemającą wielkiego powodzenia śród obywatelstwa na Litwie.

Nazajutrz bardzo rano z żalem mieszkańców Wilno opuścił, a w kilka dni wdowa otrzymała ukaz wracający jej i to co mąż posiadał i to co jej krewni wydarli, błogosławiła wspomnienie wielkiego, ukochanego Monarchy. W przejeździe tym przez Litwę, każda chwila, każdy krok cesarza, oznaczały się dobrodziejstwami i wszędzie wznosiły się odgłosy wdzięczności ludów, które go uwielbiały i błogosławiły. Przystępność Monarchy, pozwala każdemu zblizka napatrzeć się na jego piękne oblicze i zostawić w pamięci niezatarte rysy pomazańca Boskiego — ja go zblizka widziałem! i dziś jeszcze zdaje mi się, że widzę to nadobne oblicze, przez które przemawiała, jeszcze nadobniejsza dusza. Na pamiątkę bytności cesarza, miasto kazało odmalować piękny portret cesarza i w salach ratuszowych umieścić. Nim jednak stanął na miejscu, inaugurowany był z wielką okazałością.

Na ten cel wybrano dzień 30 sierpnia, dzień imienin najukochańszego Monarchy. W katedralnym kościele umieszczono portret na tronie, ks. biskup w wielkiej asystencji duchowieństwa uroczystą Mszę celebrował. Wszystkie władze rządowe, senat akademicki i znakomitsi obywatele w formie paradnej, asystowali przy tronie, a gdy pasterz zaintonował *Te deum,* procesja ruszyła do ratusza. Szły naprzód cechy ze swojemi chorągwiami, za niemi wojenna muzyka, następnie prezydent magistratu, niosąc na bogatej poduszcze klucze od miasta, szły potem władze rządowe, senat akademicki, za którym ks. biskup poprzedzał portret, niesiony przez dwunastu znakomitych obywateli miasta, pod baldachimem umyślnie na to przyrządzonym, na noszach wieńcami dębowemi i purpurowemi festonami ozdobionych. Za portretem ciągnęła się długa procesja rozmaitego stanu, płci i wieku, osób asystujących inauguracji obrazu ojca ludu. Cechy i pospólstwo pozostali na placu, duchowieństwo, urzędnicy i obywatele weszli do sali, gdzie przybrany był tron dla portretu, w tem samem miejscu,

gdzie przed dwoma miesiącami dla samego cesarza był przygotowany. Liczna orkiestra i chór dobranych śpiewaków, stosownym hymnem powitały uwielbianego Monarchy rysy. Ks. biskup poświęcił cały przybytek i portret na tronie postawiono. Wieczorem ratusz i miasto okazale oświecono, a w salach pałacu Millerowej okazałym balem uroczystość tę marszałek gub. zakończył. I na przyjęciu Monarchy i na tem obchodzie wszędzie mię wprowadził szanowny mentor p. Odachowski.

Postęp mój w botanice, otworzył mi wstęp do botanicznego ogrodu, a zaskarbiwszy sobie życzliwość starego ogrodnika, miałem wolność uzbierania sobie nasion, z czego korzystając, zebrałem wiele pięknych roślin, nieznanych jeszcze w naszych stronach. Uśmiechnął się ks. Jundziłł, zastawszy mię przy tej robocie, pochwalił cel i kazał zbiór mój powiększyć. Rysowałem sobie widoki reszty zamku dolnego Jagiełłów, rozwaliny górnego, pałac Sapieżyński na Antokolu, pojezuickie w Zakrecie z za Wilji, ale Oleszkiewicz ledwie że spojrzał na nie, bo widoków malować nie lubił, a sztukę pejzażową miał za najniższy stopień artystyczności malarskiej. Pobyt mój w Wilnie otworzył mój umysł, ukształcił nieco, dał mi potrochu znać ludzi i ludzi, dojrzałem więcej niż można było na lat szesnaście.

Pod jesień wezwał hrabia Oleszkiewicza i mnie z nim powracać kazał. Oznajmiłem pp. Śniadeckim mój blizki wyjazd i usłyszałem od nich oświadczenie, że jeżelibym pozostał w Wilnie, zostanę pod protekcją i opieką p. Śniadeckiego i że o tem hrabiego sam uwiadomi. Silna walka wszczęła się w sercu mojem. Czułem już całą wartość kierowania się naukowego, pojmowałem korzyści i zaszczyt ofiarowanej mi protekcji; z jednej więc strony widok świetny przyszłości pociągał, z drugiej, przemagała tęsknota za strzechą rodzinną, za matką, za siostrami! Dziecinne przywiązanie ciągnęło do domu, rozsądek kazał to uczucie poświęcić widokom przyszłego losu. P. O-

dachowski silnie popierał stronę rozsądku; dobroć pp. Śniadeckich brała przewagę. Biedziłem się, wahałem, bo mi jeszcze lat nawet szesnaście spełna nie było i tak chodząc bez celu, zaszedłem do katedry. Nie było w kościele nikogo, cicha tylko msza zaczęła się w kaplicy św. Kazimierza. Ukląkłem i gorąco modliłem się do św. Patrona naszej krainy. Dziwne usposobienie owładło mą duszę, jakiś głos wewnętrzny odzywał się „zostań!“ i po mszy wstałem umocniony na duchu, ze stałem przedsięwzięciem niewracania na Wołyń. Pewny nawet byłem, że to się hrabiemu podoba i matka chętnie się zgodzi na kilkoletnie niewidzenie jedynaka, zapewniające jego przyszłość, oświadczyłem więc mój zamiar Oleszkiewiczowi. Jaką to burzę zwaliło na moją głowę, ani chcę opisywać, ani mogę. Gdybym miał lat więcej, lub więcej tęgości charakteru, mógłbym się był uprzeć przy mojem przedsięwzięciu, ale zalękniony, uległem i musiałem jechać z Oleszkiewiczem. Bolesne było dla mnie opuszczenie miejsca, w którem nadzieja kreśliła mi błogi obraz przyszłości, gdzie doznałem jak Opatrzność czuwa nad sierotą, gdzie tak łaskawych na mnie znalazłem. Z rzewnym płaczem żegnałem moich czcigodnych dobroczyńców, a od ich miłych dziatek oderwać się nie mogłem. Zosia mi dała woreczek ładnie na drutach robiony, od Józia miałem srebrny rajsfeder. A ja? ja nic im nie dałem, prócz najserdeczniejszego uściskania i łez najżyczliwszych. Pobłogosławili mię oboje profesorstwo na drogę, a ja, za łzami, progu nawet który po raz ostatni przestępowałem, nie widziałem. Szanowny Odachowski odprowadził mię aż do stancji, długo coś z Oleszkiewiczem w drugim pokoju mówili, ale odmyślam się że o mnie, bo Oleszkiewicz daleko łagodniej do mnie mówił. Płakałem żegnając Odachowskiego, ale i jego łzy, przy ostatniem uściśnieniu, na czoło moje spadły. Wyjechaliśmy z Wilna, mego smutku nic rozerwać nie mogło, kryłem się z mojemi łzami i towarzystwo młodego Oleszkiewicza

z którym żyliśmy przyjaźnie tyle czasu, nieznośne mi się stało. Jedyną pociechą uciśnionego serca była myśl, rzucenia się do nóg drogiej matki i uściskania sióstr ukochanych.

W Możejkowie parę dni spędzonych w pośród czcigodnej rodziny Markiewiczów, podziałały na mój smutek bo ileż to mi współczucia okazywali, a pan Onufry po prostu powiedział mi, że gdyby był obecnym przy naszem wybieraniu, byłby mię w Wilnie zostawił, cały interes u p. hrabiego wziąłby był na swoją odpowiedzialność. Pokochałem całem sercem p. Onufrego za takie pocieszające słowa. Stamtąd wstąpiliśmy do Dereczyna, majętności ks. Franciszka Sapiehy, jednego z najmożniejszych panów litewskich. Fraszka, że książę nieprzemierzone ziemie posiadał, że intraty na miljony liczył, ale książę umiał bogactw swoich używać, ale pomagał *talentom, protegował nauki i szukając po skrytych zakątkach cierpiącej ludzkości* skryte i hojne przynosił jej wsparcie. Dom dereczyński nie celował wspaniałą powierzchownością, ale jakie skarby wewnątrz zawierał! Pominę bogate obicia, meble, narzędzia, naczynia srebrne lub złote, bronzowe, chiński gabinet, pyszne z Pompei i Herkulanu etruski, postęp szkła od pierwszego wyrobu, aż do wydoskonalenia kryształów w Czechach i Anglji i inne osobliwości, ale galerja obrazów, o której tyle tylko powiem, że Oleszkiewicz nie mógł się nasycić rozpatrywaniem się w niej przez trzy dni i z żalem ją opuszczał.

Potrzeba tu powiedzieć i z pokorą wyznać, że Litwini, o wiele nas mieszkańców południowej części kraju, wykształceniem smaku i obyczajów, podniesieniem się w naukach, wyprzedzili. Litwa przed połową przeszłego stulecia jeszcze, liczyła kilkadziesiąt znamienitych domów posiadających bogate bibljoteki, obfite zbiory wybornych malowideł i innych osobliwości. Na Wołyniu w ostatnich prawie latach XVIII wieku ks. Kacper Lubomirski, Grocholski Antoni, senator Gliński i Krzysztof

Urbanowski posiadali zbiory obrazów. W innych domach ledwie gdzie jakie lepsze widzieć można było malowidło, a i o tem nie wiedziano skąd się wzięło. Toż było na Podolu i Ukrainie. Tulczyn posiadał zbiór wielki, sławne imiona artystów widać było pod obrazami, ale gruntowny znawca, niewiele do tych świadectw przykładał wiary. Z bibljotekami toż samo prawie było. Nie można powiedzieć, że Wołyń i Podole nie posiadały zbiorów ksiąg Czackich, Mniszchów, Chodkiewiczów, Jabłonowskich, Glińskich, Urbanowskich na Wołyniu, Makowieckich i Raciborskich na Podolu, godne wspomnienia. Ale takich bogatych mało było, a najwięcej może przechowujące materjałów, klasztorne, w nieładzie rozrzucone, żadnego użytku nie przynosiły. Inne obywatelskie, nie różniły sie od klasztornych, a i tych liczba ograniczona. Za Sasów, Wołyń nie świetniał oświeceniem, kiedy Litwa już się szczyciła naukowemi zbiorami Sapiehów, Tyszkiewiczów, Chreptowiczów, Platerów, Ogińskich, Prozorów i tylu innych znakomitych rodzin.

Wołyń, Podole i Ukraina, razem wzięte, ledwie dziesięć szkół liczyły, Litwa miała ich prawie w trójnasób tyle. Prawda, że litewscy obywatele więcej się trzymali ojczystych ziem swoich i umieli czas swój mądrze rozdzielić, na pobyt w stolicy lub za granicą i na domowe sprawy; kiedy południowe Polski prowincje zalane nieprzejrzanemi okiem, podziwiającemi obszernością i zamożnością magnatów majętnościami, rzadko kiedy właścicieli ich widywały. Szlachta, choć i dostatniejszej wiele było w tych prowincjach, niewiele się naukom oddawała, możniejsi rzadko nawet dzieci do szkół posyłali, przestając na cudzoziemcach, którzy, Bóg wie czego i jak uczyli. Ubożsi odbywali nauki w szkołach, może i z korzyścią odbywali, ale nadal wojskową, albo prawniczą mając przed sobą drogę, ledwie że pamiętali to czego ich w szkołach uczono; albo w roli zagrzebawszy zdolności, rdzawieli umysłem i sercem! Zaledwie koniec

XVIII stulecia ujrzał więcej zamieszkane możnemi Wołyń, Podole i Ukrainę, i smutno powiedzieć, że upadek dopiero kraju obudził ducha naukowego. Czyż te ziemie, mlekiem i miodem płynące, nie mogły na żyznych niwach swoich, dać wcześniej wschodzić, krzewić się i kwitnąć, wydać owoce, oświeceniu!

Litwo! błogosławiona Litwo! Kolebko rodu mojego! ty! na biednej glebie twojej, z ciężkiem trudem, w pocie czoła, wydobywając chleb twój powszedni, kształciłaś umysły, zbierałaś naukowe skarby i wyrabiałaś w sobie polor i zaszczytne uczucia, któremi tak świetnie w dziejach naszych jaśniejesz, i zostawiłaś nas daleko za sobą! daleko!

W końcu września przyjechaliśmy do Pekałowa. Nader miło hrabstwo powitali Oleszkiewicza, na mnie się zakrzywili za mój mały postęp w rysunkach; ale kiedy hrabia dowiedział się o mojem uczęszczaniu na uniwersyteckie lekcje i wyegzaminował z tego, czegom się nauczył, zadowolony, odezwał się do hrabiny: „Widzisz, ma chère! że mój projekt na Antosia był lepszy". „Rób sobie co chcesz, odrzekła, niech sobie będzie i uczonym głupcem, tak jak wielu". Na tem słowie ucięła, hrabia niby nie zrozumiał... machnął ręką... i polecił mi, ażebym codzień ranek przy rysunku, od obiadu zaś czas w bibljotece przepędzał. W kilka dni posłał mię do Tuczyna, gdzie u pana wojewody ojcowskie znalazłem przyjęcie. Matka rada była z mego powrotu, ale kiedy dowiedziała się o żądaniu pp. Śniadeckich, żałowała, tak, jakem przewidział, że nie zostałem w Wilnie. Niejeden wieczór w kółku rodzinnem przeszedł na opowiadaniu o Wilnie i o wszystkiem, co tam widzieć mogłem i zauważać potrafiłem, a co jeszcze tak świeżem było w pamięci. Nieraz i sam p. wojewoda rad słuchał moich opowiadań. Zebrane w ogrodzie botanicznym nasiona ofiarowałem p. wojewodzie, co mi uważenie naszego czcigodnego pana zjednało, a dar, darem odpłacając, kupił mi botaniczne,

Pałac

Verkach

jakie dzieła podówczas w języku naszym istniały Kluka i Jundziłła.

Wiele też odmian zastałem w Tuczynie. Wojewodzice Józef i Heronim pożenili się, starszy z Czacką strażnikówną kor., młodszy ze strościanką Tłumacką Potocką, ową Cesią delikatną, słabowitą i dobrą jak anioł, o której już wyżej mówiliśmy. P. Józefowi, wypuścił ojciec Drohobuż, Ilin i Podolany, Heronim pozostał przy ojcu, bo tę synowę p. wojewoda jak własną córkę kochał, i od niej najczulszego doznawał przywiązania. Skirmuntowie przenieśli się do dzierżawy wypuszczonej im od p. wojewody, o milę tylko od Tuczyna odległej, i często w Tuczynie bywali. Matka moja pozostała przy naszym panu, mieszkała w ładnym domku blizko pałacu, ale najwięcej panu po całych dniach kompanji dotrzymywała. Z młodzieży, bawili w Tuczynie młody i piękny Antoni Potocki brat p. Hieronimowej i p. Linowski kuzyn p. wojewody. Ale już, nie ten to był Tuczyn, co dawniej. Wesołość jaka cechowała towarzystwo i zabawy, rozdzieliła się na trzy domy, a najmilej gościła w Bystrzycach u kasztelanicowstwa, u których kilka dni miło mi uleciały. Zastałem tam panią Antoniowę Grocholską, siostrę stryjeczną pana Adama, o której mówiłem, że na wesele brata zjechała. Rozstała się z mężem i poszli do rozwodu. Interesującą historję tej damy, pokrótce tu opiszę:

P. podkomorzy Bierzyński, młodą tę i piękną córkę, wydał samowolnie za człowieka, nie dla niej stworzonego, człowieka, do którego żadnej skłonności nie miała. P. Grocholski piękny z postaci, nie miał zasad skrupulatnych religji i moralności, ale za to świetniał wielką forenmą błyszczącą edukacją i szczęśliwem w miłostkach powodzeniem. Miły w obcowaniu, gładki w tłumaczeniu się i swoim i obcemi językami, posiadał nauki, wpłynął silnie na podkomorzego, zyskał u niego opinję światłego obywatela, i można powiedzieć tak mu głowę zawrócił,

że podkomorzy nie zważając, czy córka ma skłonność, czy odrazę, wydał ją za p. Antoniego. Ale z tą piękną i tak ogładzoną powierzchownością, charakter się nie zgadzał; bo w tem sercu zużytem delikatnych uczuć nie było. Ten człowiek nietylko nie pojmował swojej żony, ale nawet jej materjalnie nie kochał. Z takim mężem, Eleonora, ta godna, czuła, delikatna, może i trochę egzaltowana, wyżyć nie mogła. Szukała przytułku w domu ojcowskim, ale ojciec rozgniewany, że tak pięknego, rozumnego męża opuściła, dom jej swój zupełnie wymówił. Biedna Eleonora osiadła w Dubnie i bardzo skromnie i prywatnie żyła z zasiłków przez macochę jej udzielonych.

Konsystujący podówczas w tem mieście znajomy już generał Baur widział p. Grocholską na spacerze, spotkał ją później u Igielsztromów, tam się zrobiła znajomość i generał otrzymał pozwolenie odwiedzania p. Eleonory. Ciągnęło się to z pół roku blizko — generał coraz więcej przywiązywał się do pięknej seperatki i ona nieznacznie nawykała do miłego z nim towarzystwa. Generał oczekiwany był z upragnieniem, przyjmowany z braterską uprzejmością. Poznał Baur niedogodne wcale położenie Eleonory przedstawiając jej, że trudnienie się drobiazgowemi szczegółami gospodarstwa, za ciężkie dla niej i wcale niepotrzebne, polecił swemu dworeckiemu, zająć się wszelkiemi pokupkami dla domu p. Grocholskiej podług rozporządzenia, a ten krok delikatny znacznie polepszył byt jej w Dubnie.

Jakoś w tym czasie p. Bierzyńskiemu wypadł interes do Dubna, jako ściśle znajomy, natychmiast odwiedził Baura. Po powitaniu, miła pomiędzy przyjaciółmi wszczęła się pogadanka i Baur zapytał kasztelanica, czy zna p. Grocholska Antoniową? „Jakże nie, to moja siostra, gdzież ją poznałeś? — „Tu w Dubnie“. „Kiedy?“ „Odtąd, jak rozłączywszy się z mężem, tu osiadła“. „Jakto? poznałeś przecie? Gdzież mieszka? Będę ci zaraz

do niej towarzyszyć, ale pozwól mi pierwej kilka słów z tobą pomówić. P. Eleonora od kilku miesięcy tu zamieszkała; wkrótce poznałem po jej przybyciu, poznałem ją i odtąd stałem się codziennym u niej gościem. Częste przebywanie z tak piękną i tak pięknie wychowaną osobą, nie mogło nie podziałać na moje serce. Ten Baur, bałamut, pędziwiciher, znalazł przecie osobę, która go na statecznego człowieka zmienić potrafi, której i miłość prawdziwą, i rękę swoją radby poświęcić. Dotąd jednak kroku stanowczego nie zrobiłem, a mimo moje uprzedzenia o kobietach, cnoty p. Eleonory tyle panowania mają nade mną, żem jej uczuć moich odkryć nie poważył się.

Nie śmiem sobie pochlebiać, ażebym już jej serca wzaiemność pozyskał, ale nie mam dość męztwa pozbawiać się słodkiej nadziei zasłużenia na jej przychylność. Bóg cię tu sprowadził Adasiu! ty wyrozumiej stan rzeczy i działaj, a co wypadnie, z rezygnacją, choć może z boleścią przyjmę. Słuchał z uwagę kasztelanic i miło mu było, że człowiek, którego cenił wysoce, mógłby się stać jego pokrewnym. Nic ci generale teraz nie odpowiadam, idźmy do Leosi, tam z kilku słów, poznam i stan serca mojej siostry i twoją przyszłość.

W kilka chwil potem, kasztelanic i generał byli u p. Antoniowej. Prawdziwie braterskie było powitanie rodzeństwa, p. Adam wymawiał siostrze, że po rozłączeniu się z mężem pod bratnią strzechą nie szukała przytułku, gdzie i on i Tercia sercem by ją przyjęli. Wymawiała się biedna Eleonora bojaźnią, ażeby i oni, tak jak ojciec nie poczytali za złe jej postępku. Serdeczne uściśnienie braterskie zakończyło wymówki, rozmowa stała się ogólną, ożywioną, a o interesie, ani kto wspomniał. Wieczorem podano herbatę, ludzie generała i serwisy były na usłudze. Widząc p. Eleonora na twarzy brata zadziwienie, powstała z miejsca, a wziąwszy Baura za rękę, „Bracie!“ rzecze „oto jest człowiek, który chęci moje uprze-

dza i z największą delikatnością we wszystkiem mi pomaga: a lubo od pół roku blizko znamy się, i nie mogę niepoznawać stanu jego serca, wyznaję, że tyle szanował moje położenie, iż najmniejszem pozorem, żadnem słówkiem, uczuć swoich poznać mi nie dał. Z prawdziwą sercu pociechą widzę wasze przyjazne stosunki, i usprawiedliwiam serce moje z przywiązania, jakie powzięłam ku temu zacnemu człowiekowi". „Kiedy pani raczyłaś tyle powiedzieć, ozwał się Baur, pozwólże mi dokończyć. P. Adamie! zwierzyłem ci się z moich uczuć i życzeń, ale je kryłem przed panią, bo szanowałem smutne jej położenie, ale dziś, w przytomności twojej Adasiu, ośmielam się prosić twej siostry aby pozwoliła los jej z moim połączyć, oddając mi swą rękę. Czułe uściśnienie ręki generała, było całą odpowiedzią Eleonory, ale w tem wymownem uściśnieniu, zatwierdziło się szczęście obojga kochanków. P. Adam z radością zatwierdził ten akt, i wesołość okryła serca tej rodziny.

Ułożono, że p. Grocholska zaraz z bratem odjedzie do Bystrzyc, tymczasem prośba do konsystorza wysłaną będzie o rozwód, a kierowanie sprawy, wpływem swoim generał ma popierać. Kasztelanic wysłał natychmiast umyślnego do Bystrzyc, donosząc o wszystkiem ze szczegółami, z tegoż listu i tu wypisanymi. Długo jeszcze wróciwszy do siebie rozmawiali dwaj przyjaciele, nakoniec zadowolenie z pomyślnie ułożonego interesu, sen błogi na nich zesłało. P. Grocholska nie była tyle spokojna, a lubo pragnęła wytłumaczenia się z Baurem i zaślubienie jego nieraz jej marzeń było celem, zmiana ta jednak położenia silnie podziałała na jej nerwy, i długo marząc o swej przeszłości i przyszłości, długo zasnąć nie mogła.

Nazajutrz p. Adam sam odwiedził siostrę, Baur zajęty przygotowaniami do podróży p. Leonory został u siebie, bo trzebaż było rodzeństwu dozwolić rozmowy między niemi samemi. Szczęśliwa z bytności brata, który

i uczucia jej i wyobrażenia pojmował, opowiadała mu smutne pożycie z człowiekiem, którego nie kochała, a którego wolne i dziwaczne postępowanie, szacunku nawet wzbudzić nie zdołało. „Ileż to ubliżeń! ileż nawet upokorzeń znosić musiałam. Odosobniona zupełnie z boleścią serca patrzałam jak p. Antoni faworytkami otoczony, zwyczajnej, nawet pozornej przyzwoitości nie zachował. Cierpiałam, ani było komu cierpień się moich użalić.

Nakoniec przebrała się miara! trzy lata wycierpiawszy, ośmieliłam się nakoniec powiedzieć p. Antoniemu, że już „dłużej takiego brzemienia ucisku znosić nie zdołam". „Więc pani możesz się uwolnić i wyjechać dokąd się podoba. Ekwipaż jest na jej zawołanie". „Tyle bezczelności, obojętności i szyderstwo z jakim te słowa wymówił i jakie wyryte były na jego twarzy, obudziły moje męztwo. Nic nie mówiąc spojrzałem tylko na niego, ale tego spojrzenia ostatniej pogardy nie mógł wytrzymać, spuścił oczy; wyszłam i tegoż dnia opuściłam Tereszki. Gdzież się udać? naturalnie do ojca, w nadziei, że jeżeli listy moje nie mogły przemówić do jego serca, to może łzy córki rozbroją surowość ojca. Ale się zawiodłam!" „Wracaj wmpani do męża, a jeżeli chcesz go koniecznie porzucić, to i dom mój dla niej na zawsze zamknięty". „Nie wiem co się ze mną stało i jak długo trwało to moje odrętwienie, ale przyszedłszy do siebie, dowiedziałam się, że ojciec wyjechał do Berdyczowa i nie wróci, aż po moim wyjeździe". „A podkomorzyna, przerwał p. Adam, która zdawała się tak ciebie kochać, cóż na to?" „Macocha, od kilku dni wyjechała do swoich, i niewiadomo było kiedy powróci. Pierwszą myślą było jechać za ojcem i wezwać pośrednictwa księżnej Radziwiłłowej, ale rozważywszy i moje położenie i upór ojca, zaniechałam tego zamiaru, i napisawszy do ojca list najtkliwszy, błagając, ażeby, jeśli mnie już nie chce przyjąć do swego domu, nie chował przynajmniej w swem sercu gniewu na

nieszczęśliwą córkę; i odjechałam do Dubna. W miesiąc odebrałam list od mamy pełen najprzyjaźniejszego współczucia, zaklinający, ażebym się niepodawała rozpaczy i miała w Bogu nadzieję, a czasowi udobruchanie się ojca zostawiła. Przysłała mi dwieście dukatów, które ojciec z kasy swojej wziąć pozwolił, i odtąd pisujemy do siebie, i zapewnia mię, że wkrótce będę mogła ojca odwiedzić". „Odwiedzisz go!" zawołał kasztelanic: „odwiedzisz go ze mną i z moją żoną. Dawnośmy byli u stryja, zadowolony więc będzie z naszych odwiedzin i spodziewam się, że wszystko pomyślny obrót weźmie.

Gdy tych słów domawia, wszedł lokaj i pakiet z poczty oddał p. Grocholskiej. „Od p. Antoniego!" czytaj Adasiu, bo moje wzruszenie czytać mi nie dozwala, list był w tych słowach: „Nie dobrane było nasze stadło, nie dla siebieśmy stworzeni! Silna tylko wola ojca pani, ten związek żadnemi uczućmi nie wzmocniony, skleić mogła. Ślicznieś pani zrobiła opuszczając mój dom, lepiej pani odwdzięczyć się nie mogę za wróconą mi wolność, jak donosząc, że sprawę rozwodową rozpocząłem. Pani masz po sobie najważniejszą i najprawniejszą w tym gatunku spraw przyczynę, przymus od ojca. Spodziewam się, że pani nie trudno będzie znaleźć przyjaciół, chcących popierać tę sprawę, której stanowczego dekretu z upragnieniem wyglądać będę". „Doskonale! zawoła kasztelanic, uprzedził nas p. Antoni, więc tem pewniejszy skutek". Nie posiadała się z radości Eleonora, „będę wolną" i „będziesz moją" odezwał się generał, który, cicho wszedłszy, i list i te słowa p. Grocholskiej słyszał. „Będę twoją, tak, i to dopiero będzie ślub serc prawdziwie sobie oddanych". „Będziem szczęśliwi!" — zawołali razem kochankowie, — „bądźcie szczęśliwi!" — rzekł rozczulony p. Adam. W parę dni potem p. Eleonora z kasztelanicem opuścili Dubno, generał ich tylko do Warkowicz odprowadził, pożegnał do widzenia i wrócił dla zajęcia się przyśpieszeniem swojego szczęścia.

W Bystrzycach oczekiwano już przybycia p. Grocholskiej; mile przyjęła ją kasztelanowa i od pierwszego dnia były zsobą jak siostry. Słodycz charakteru, wyższe ukształcenie, mnóstwo talentów, zachwycająca pięknością powierzchowność, wszystkich serca dla niej jednały. W krótkim czasie, p. Eleonora, stała się duszą domu pp. Adamostwa, wszyscy ubiegali się w uprzedzeniu jej myśli, ona, myśli swoje i chęci stosowała do wszystkich. P. Grocholska, wzrostu była słusznego, kibici kształtnej, owal twarzy miała regularny, rysy greckich piękności, białość kararskiego marmuru, usta i zęby prześliczne, a błękitne oczy, z pod ciemnych rzęsów, anielskiem wejrzeniem jaśniały. Włosy (blond) płowe w długich kędziorkach spadały na śnieżną szyję, rumieniec rzadko kiedy skrasił to lice nadobne, bo tyle przeniesionych cierpień zniszczyły zdrowie tego anioła; ale taż sama bladość, taki wdzięk na całą postać rozlewała, a do tego ulubione jej białe ubranie, tak ją jakąś nadpowietrzną, nieziemską wystawiały, że każdy widział w niej anioła, i tego anioła pojąć i ocenić nie umiał ten, co los swój z jej losem połączył. Pan wojewoda, znając p. Grocholskiego, jako obywatela światłego, a nie wiedząc jakim był w pożyciu domowem, miał za złe p. Eleonorze, że takiego znakomitego człowieka, poprzysiągłszy mu wiarę, opuścić mogła; ale rozpatrzywszy się bliżej w przymiotach i postępowaniu Eleonory, nie znajdował słów na oddanie jej sprawiedliwości. Do podkomorzego sam napisał, wymawiając mu zbytnie uprzedzenie się względem zięcia i nieojcowską surowość dla córki. Im dłuższy był pobyt Eleonory w Bystrzycach, im więcej ją poznawano, tem mocniej szacunek dla niej i uwielbienie wzrastały. Baur bywał często i przesiadywał u kasztelanicostwa i wszyscy winszowali ożenienia, jakie czekało go z Eleonorą. W tym właśnie czasie byłem w Bystrzycach i widziałem tę piękność, i od siostry mojej, którą p. Grocholska bardzo lubiła, te szczegóły

słyszałem, następnie całą historję Eleonory, taż siostra moja zanotowała.

Sprawa rozwodowa rozpoczęła się, ale nim koniec weźmie, kazano p. Grocholskiej mieszkać w klasztorze, albo u Brigidek w Łucku, albo u Karmelitanek w Dubnie; p. Eleonora wolała pozostać w Dubnie, lecz nim się tam przeniosła, kasztelanicostwo powieźli ją do ojca, dokąd i p. wojewoda im towarzyszył, bo się przekonał o moralnem prowadzeniu się p. Eleonory i w pożyciu z mężem i po zerwaniu tych związków, i przed ojcem protekcją swoją bronić postanowił. Pora była jesienna, wilgotna i chłodna, podróżnym wypadł nocleg w Piatce, lichem i nędznie zabudowanem miasteczku. W nocy wszczęty niedaleko domostwa, w którem nocowali, pożar, podróżnych rozbudził. Eleonora, marząc o przyjęciu, jakie ją czeka u ojca, nie spała, i pierwsza usłyszawszy rozruch, w przestrachu krzyknąwszy: „gore!“ nieodziana wyskoczyła na dwór; szczęściem lokaj p. wojewody postrzegłszy wybiegającą, chwycił na ręce i zziębniętą wniósł do pokoju. Wiatr, wiejąc w przeciwną stronę, odnosił niebezpieczeństwo od domu, gdzie nocowali podróżni; położono więc Eleonorę w ciepłą pościel, gdzie prędko i spokojne zasnęła i zdawało się, że ogrzanie i sen zapobiegły złemu, bo nazajutrz wstała spokojna i rzeźwa. Nad wieczorem drugiego dnia stanęli w Andruszówce. Podkomorzy nie spodziewał się nikogo i zadziwił się widząc tyle ekwipażów wjeżdżających w dziedziniec, ale poznawszy karetę p. wojewody, wyszedł na ganek powitać kolligata. P. wojewoda, nie czekając aż reszta podróżnych wysiądą, wziął podkomorzego za rękę i prawie gwałtem wciągnął do pokoju. „Ależ kochany wojewodo! pozwól mi i resztę gości powitać i wprowadzić, tam widzę są i damy“. „Jest tam Adaś, i on je wprowadzi, a powitanie później nastąpi. Słuchaj p. Józefie! stary przyjaciel, turbował swoje stare kości o kilkanaście mil do ciebie, spodziewam się, żeś mu rad?“ „Tak, jestem szczęśli-

wy z odwiedzin twoich, że co tylko każesz robić będę, choćby i koziołki przewracać". „Trzymam cię za słowo i pewny jestem, że słowa dotrzymasz, ale tu nie o koziołki chodzi. Misja moja jest ważna!.. Przywożę ci twoją Leosię!" „Leosię? Leosia tu?" zawołał pomieszany podkomorzy „któż ją ośmielił przestąpić moje progi?" „Ja! a jeżeli córkę odepchniesz od twego łona, odepchniesz i starego towarzysza broni, który dziś błaga ciebie za twojem dziecięciem!" „Panie Michale! wykrzyknął podkomorzy, rzucając się w objęcia p. wojewody, dla miłości Pana Boga! dla twojej przyjaźni, przebaczam! odpuszczam!" jeszcze tych słów nie domówił, jeszcze p. wojewoda trzymał go w uściśnieniu, a już Eleonora oblewała łzami stopy ojcowskie; wyrwał się podkomorzy z rąk przyjaciela, chciał się cofnąć, ale wejrzenie klęczącego przed nim anioła, rozbroiło surowość i wywołało z serca ojcowskie uczucia. Z głośnym płaczem chwycił córkę na ręce i serdecznie do piersi przycisnął. Wszystkich oczy zalały się łzami, i p. wojewoda płakał, ale przez łzy, oczy jego jaśniały takim blaskiem, takim tryumfem, że cała postać jego nadludzką się zdawała. Podkomorzy posadziwszy córkę, uprzejmie witał kasztelanicostwo, a chwyciwszy rękę p. wojewody i niosąc do ust: „P. Michale!" zawoła „bracie! ojcze! to coś ty dziś dla mnie zrobił jest dobrodziejstwem, na odwdzięczenie którego, całego życia za mało! Tem pojednaniem z córką, ostatnim chwilom moim spokojność wróciłeś. Nieraz zgryzota srodze trawiła serce ojcowskie wyrzutami nieludzkiej srogości, odsuwającej od mego łona moją Leosię. Nieraz zacna małżonka przemawiała po macierzyńsku nie za swojem dziecięciem. Ale ani zgryzoty, ani łzy żony nie mogły wzruszyć zakamieniałego serca! Tyś wszystko zwyciężył! tyś przebaczył zbłąkanemu synowi! szczęśliwym! że z twego przykładu korzystać mogę!" „Mój Józef w istocie był winnym" rzekł p. wojewoda: „a córka twoja niewinnie nieszczęśliwą była! Czy-

taj listy jej męża, na którym, niestety! takeśmy się zawiedli!“

Podkomorzy przebiegł szybko listy p. Grocholskiego i boleśnie wykrzyknął: „Ty byłaś tak nieszczęśliwą, a twój ojciec cierpieniom twoim wiary dać nie chciał. O! przebacz! przebacz!“ i płakał rzewnie i tulił do serca ukochane dziecię. Wtem nadjechała podkomorzyna i nie po macierzyńsku powitała Eleonorę. Długo w tkliwem wciśnieniu płakały dwie przyjaciółki ni słowa nie mówiąc i wszyscy rozrzewnieni milczenia przerwać im nie śmieli. Szczęśliwy to był wieczór w tej zacnej i pięknej rodzinie, wesoło, błogo było wszystkim, każdy miał co do powiedzenia, a nikt nikogo nie słuchał. Pan wojewoda poprawiał wyloty u kontusza, zacierał ręce i poświstywał ulubione *U drzwi twoich;* — przy wieczerzy spełniono kielich zgody, a kiedy przyszło zdrowie p. wojewody, podkomorzy przykląkł przed przyjacielem; p. wojewoda rzucił się także na kolana, i w najszczerszem wylaniu uczuć, ściskali się dwaj szanowni weterani! Długo jeszcze po wieczerzy biesiadowali, a nakoniec podkomorzyna oznajmiła, że podróżnym wczasu potrzeba. Podkomorzy odprowadził p. wojewodę i pp. Adamostwo do ich pokojów, podkomorzyna Eleonorę do siebie zabrała i tam jeszcze dwie przyjaciółki długo nagadać się nie mogły.

Drugiego dnia córka opowiedziała podkomorzemu wszystkie swoje cierpienia, wyjazd z domu męża i pobyt w Dubnie. Dowiedział się i o tem, że aż do czasu otrzymania rozwodowego dekretu, Eleonora ma bawić w klasztorze, a p. wojewoda ostrożnie wspomniał o ułożonem wyjściu jej za Baura; nie zdziwiło to podkomorzego, znał generała, bardzo go lubił i nie znalazł nic przeciwnego w oddaniu mu ręki córki, owszem rokował sobie, że może z nim szczęśliwszą będzie. „Bawienie Leosi w klasztorze“ mówił „można będzie przerobić na dom ojcowski i tu ją aż do terminu zatrzymać“. Ale p.

wojewoda radził, ażeby się nie sprzeciwiać woli konsystorza i rozporządzeniu szanownego i ukochanego pasterza. Stanęło więc na tem, że podkomorstwo sami odwiozą córkę do Dubna, że podkomorzy wracając, drogę na Tuczyn obróci, a podkomorzyna zostanie z Eleonorą i tam, jeśli jaka ważna okoliczność nie wezwie ją do domu, do końca rozwodu zabawi. Tydzień cały podkomorstwo nie puścili swych gości, odwiedzali ich sąsiedzi i wesoło czas upływał. Ale najprzyjemniej płynęły chwile, kiedy trzy damy i pan Adam zasiedli razem na pogadankę, a starzy ojcowie przy kielichu równoletniego z niemi węgrzyna przypominali sobie młodych lat figle, wojenne wyprawy i konfederacyjne działania. Przeminął tydzień, jak jedna chwila i o wyjeździe myśleć potrzeba było.

Silne działanie uczuć przy tylu wzruszeniach, wstrząśnienie nerwów przy witaniu z ojcem, a do tego przeziębienie w czasie pożaru w podróży, nie mogły nie wywrzeć szkodliwych skutków na wątłe zdrowie Eleonory, krew pokazała się z piersi, ale cierpiąca nic o tem nikomu nie mówiła, a z twarzy zwykle bladej nikt się niczego nie domyślał. Nakoniec p. wojewoda wyjechał, podkomorstwo i pp. Adamostwo odwieźli rozwódkę do Dubna. W Warkowiczach spotkał ich generał, z najgłębszem uszanowaniem powitał podkomorzego, który go od razu po ojcowsku uściskał i przyszłe szczęście swej córki jego sercu polecił. Baur całą rodzinę na nocleg zatrzymał i hojnie i panów i sług podejmował. Szczęśliwy był Baur, szczęśliwa Eleonora, bo byli swobodni w miłości, bo chwila połączenia się na zawsze tak się niedaleka zdawała.

Radował się podkomorzy szczęściem córki, kasztelanicostwo radość jego podzielali, wszyscy się cieszyli dobrem obecnem, i takąż przyszłość sobie marzyli, ale złe postępowało swoją koleją. Jedna tylko podkomorzyna dostrzegła groźne oznaki rozwijającej się w pier-

siach pasierbicy choroby, nie miała jednak odwagi przestrzedz o tem biednego ojca i tylko kasztelanicowej postrzeżeń swoich udzieliła; uradziły więc, ażeby skoro do Dubna przyjadą, wezwać rady wielką nauką słynnego doktora Lerneta i pocieszały się nadzieją, że ten hipokrat wołyński złemu zaradzić potrafi. Nazajutrz o południu stanęli w Dubnie, wieczorem Lernet, po długim egzaminie, oświadczył, że nic jeszcze zagrażającego nie widzi, przepisał sposób życia, pokarmy, rozrywki, a lekarstw najmniej, a dla zupełnej spokojności, wziął chorą zupełnie w swoją kurację. Po kilku dniach bardzo się polepszyło p. Grocholskiej, przeniosła się z podkomorzyną do klasztoru, podkomorzy wrócił do domu, kasztelanicostwo wyjechali do Pekałowa dla ostatecznego naradzenia się z hrabstwem względem ułożonego wyjazdu na całą zimę do Wilna, który wkrótce nastąpił.

Ja także wróciłem do Pekałowa po miło przepędzonych świętach w Tuczynie. Często widywałem p. Grocholską, bo generał przysyłał po mnie, zawsze dawał mi co do rysowania dla tej damy i zawsze jakimś użytecznym upominkiem pracę moją nagradzał. W ciągu tej zimy Oleszkiewicz prócz kilku portretów, wypracował dla hrabiego cztery obrazy w niewielkich rozmiarach: śmierć Katona, dwa z historji Harmodjusa i Arystogitona i obronę Trembowli. O rysunku niema co i mówić, bo ten był tak prawidłowy, że mu nawet Smuglewicz oddawał sprawiedliwość. Koloryt, kompozycja, postawy osób, charaktery twarzy, wykończenie i wdzięk szczególny pędzla, dawały w tych obrazach poznać wielki talent, wytworny gest i doskonałą znajomość sztuki. Ale jeden z historji Harmodjusa nocny obraz, cudnym efektem światła i kolorytu zachwycał znawców i nieznawców Cztery te malowidła, zdaje mi się, że dzieje sztuki w kraju naszym, policzą do arcydzieł pierwszych mistrzów malarstwa i do pomników sławy naszego wcześnie nam wydartego artysty.

Nie przykrzył się p. Grocholskiej pobyt w klasztorze, towarzystwo podkomorzynej, słodki charakter i wyższe ukształcenie przełożonej, częste widywanie ulubionego, a nadewszystko nadzieja szczęśliwego rozwiązania przyszłego losu, uprzyjemniały jej życie i wpływ miały na zdrowie. Tak było jej lepiej, że Lernet pozwalał przejażdżki i niedługich odwiedzin w mieście, a widząc taki stan polepszenia pacjentki, największą nadzieję budował na kuracji wiosennej, której plan już sobie ułożył. Zima łagodna sprowadziła liczne obywatelstwo na kontraktowe zabawy, bo choć kontrakty przeniesiono już do Kijowa, Wołyniańie nawykli do Dubna, tu się i dla interesów i na zabawy zbierali. Książę Michał Lubomirski, właściciel Dubna, odwiedzał często rozwódkę, widząc polepszenie jej zdrowia, zachęcał do uczestnictwa w zabawach i wymógł na Lernecie, że pozwolił Eleonorze być na balu, który książę umyślnie dla niej dawał. Uradowana tem pozwoleniem zajęła się przygotowaniem stosownego ubrania. I nie dziw, piękna, zaledwie lat 22 mająca, ukształcona do świetnienia w wyższych towarzystwach, znała swoje zalety, lubiła rozrywki, których w domu męża długo pozbawioną była. Bal księcia był bardzo świetny. Eleonora w ulubionym sobie białym stroju, w białych kwiatach i sama jak śnieg biała, z rozlanym na twarzy i całej postaci uroczym wdziękiem, zachwyciła i wzrok i serca całego zebrania. Książę bal z nią otworzył, ale Lernet skocznych tańców zabronił. Baur nie posiadał się z radości, patrząc na tę królowę swojego serca, w pośród pięknych najpiękniejszą, i marzył, że ta królowa, niezadługo małżonką jego będzie i szczęściem się swojem upajał. Na silne prośby księcia, Lernet pozwolił Eleonorze jednego mazura, a książę sam jej wybrał tancerza. Młody i piękny Trokin, syn ociemniałego polskiego generała, mieszkającego z familją w Dubnie, był tym szczęśliwym wybranym. Piękna para, w pięknym tym naszym tańcu, wszystkich zachwyciła; całe

zgromadzenie obstąpiło koło mazurowe i głośno zadowolenie swe okazywali. Po trzech figurach p. Eleonora oczuła się zmordowaną i z żalem patrzących taniec się przerwał. Wyszła z podkomorzyną do dalszych pokojów, a usiadłszy dla wypocznienia, kaszlnęła i krew z piersi chustkę jej zbroczyła; podkomorzyna przyzwała Lerneta „a widzisz pani“ rzekł doktór, „że pani tańce nie służą, ale to nic, nie trwóżcie się panie!“ i kazał wypić szklankę ciepłej orżady. Lepiej się zrobiło Eleonorze, ale już więcej nie tańczyła. Ani Baur, ani nikt wydarzenia tego nie widział; ale, wróciwszy do siebie miała podobne rzucenie się krwi. Nazajutrz Lernet, nietylko zabronił tańca, ale i wyjeżdżać nie pozwolił i największą spokojność zalecił. A tak resztę karnawału za kratą klasztorną przepędzić potrzeba było.

Matka hr. Chodkiewicza p. starościna żmujdzka, dla wieku mało kiedy z domu wyjeżdżała; do tego, prócz ks. Michała w Dubnie nikogo z magnatów w sąsiedztwie nie miała, a szlachtę chociaż w domu swoim nawet dość uprzejmie podejmowała, trudna była w odwiedzaniu szlacheckich progów, i szczęśliwy szlachcic, którego wywód z przodków zyskał u niej zatwierdzenie; cokolwiek nieupoważnionej dawnością szlachcie dziwne dawała nazwiska. P. starościna z domu była Rzewuska siostra hetmana i starosty Drohobuskiego, miała siostrę za ks. Radziwiłłem, ale ta rozwiódłszy się, czy owdowiawszy, już nie pamiętam, wyszła sobie, za Chobrzyńskiego, ot tak sobie szlachcica, ale starościna zawsze ją po dawnym tytule nazywała. P. starościnę wszyscy, dzieci jej nawet panią nazywali. Przeciwnie to wydawało się, jak hr. Aleksander, zamiast tak miłego dzieciom wyrażenia „mama“ mówił np. „Może pani będzie łaskawa nas odwiedzi“. Hrabina Aleksandrowa często jednak używała francuskiego: *„Ma chere Maman“* i z podziwieniem wszystkich starościna się tem nie obrażała. Dom p. starościnej na stopie wysokiej, jak mówiono w tamtych

czasach, po senatorsku, był utrzymany, ale po staroświecku; sama nawet trzymała się w ubraniu mody, jak na dworze Stanisława króla, jeszcze przed konfederacją barską zachowywano. Zawsze ufryzowana, upudrowana, z warkoczem na grzebień zapiętym i niebieską kokardą związanym, czepka nie nosiła, chyba w jakiejś nadzwyczajnej okoliczności. Wyśmiewała mowy obecne i obyczaje i zupełnie w wyobrażeniach swoich i zwyczajach, za połową XVIII stulecia została. Była to jednak pani mądra i nauki cenić umiejąca. Względem domowników i sług była dumną, ale łagodną i sprawiedliwą to też kochali ją i widzieć tam można było dwór z osiwiałych w usłudze jej domu służących, w całej paradzie staroświeckiej liberji, ufryzowanych, w trzewikach, na codzień nawet, złożony. Nieprzyjaciółka wszelkich nowości, dzieciom jednak najstaranniejsze dała wychowanie. Córka jej Rozalja księżna Aleksandrowa Lubomirska i pięknością i wysokiem ukształceniem na dworze Marji Antoniny świetniała i wraz z tą królową podzielając nieszczęścia rodziny Burbonów haniebnym zgonem piękne swe życie skończyła. Uczoność hr. Aleksandra i świetne serca przymioty na ziemi naszej osobną kartę mieć będą. Ks. kasztelanowa wileńska, Radziwiłłowa, nie posiadała wprawdzie wdzięków siostry, ale wielkie jej moralne zalety, zaszczytne jej na Litwie wspomnienie zostawiły. Nie była jednak p. starościna czułą matką. Kiedy jej ktoś w rozmowie wspominał o ks. Aleksandrowej, z zupełną obojętnością odpowiedziała: „jak kto sobie pościele, tak się wyśpi". Nie wiele widać było żalu i po drugiej córce. Wnuki swoje lubiła, ale po pańsku, jedną tylko Zofję, córkę hr. Aleksandra, czule kochała.

Pani starościna rzadko wyprawiała bale, tej zimy jednak chciała, żeby szlachta zabawiła się u niej w zapusty. Kazała więc zaprosić sąsiedztwo. Sąsiedzi przywykli już byli do jej przyjęcia i nie rachowali się z magnatką na wizyty, a że w takich zebraniach w domu jej w ni-

czem nie żenowano się, a tem samem i zabawy ożywione były, więc chętnie się zjeżdżali. Dom prezesostwa Dąbrowskich, żyjący w bliskich sąsiedzkich stosunkach z hrabstwem w Pekałowie, Leduchowscy ze Smordwy, p. Miączyńska, Tarszeńscy, generałowa Trokinowa z córkami i synem, hr. Krasiccy z Morawicy, zarządzający majątkiem hr. Aleksandra p. Gliniecki, Oleszkiewicz i ja otrzymaliśmy także wezwanie. P. starościna znała dziada mojego, jakoś szczęśliwie naszemu szlachectwu żadnego epitetu nie przyczyniła i na mnie tyle łaskawą była, że miałem pozwolenie, przy powitaniu p. starościnę w rękę pocałować, co nie każdemu wolno było. Ja trzymałem się z Dąbrowskim i ułożyliśmy niespodziankę dla starościny, mazur z czterech par zamaskowanych. Dwie Trokinówny, panny Dąbrowska i Liśniowska, Trokin, Dąbrowski, Falkowski, kuzyn Krasickich i ja, dziwacznokomicznie, ale lekko ubrani, wpadliśmy parami do sali, pokłonili się pani, wieńcem w około jej krzesła okręciliśmy się, wylecieliśmy nazad; ale starościna prosiła, żebyśmy się wrócili i tańczyli. Stało się zadość jej woli, ale często wymykaliśmy się i znowu inaczej przebrani wracali. Mnie wzięła pustota ubrać się za damę z czasów starościnej, wolno nam było brać jakie chcieć nawet kosztowne suknie i szale, i wybrałem robron czarny atłasowy z całym garniturem. Dla tem komiczniejszego zaprezentowania się, Falkowskiego znacznie wyższego odemnie, ubrałem za moją córeczkę w krótkie i obcisłe ubranie. Ustroiwszy się, wymalowawszy i wymuszkowawszy twarz, w wysokim kornecie z rozmaitości na wyfryzowanej peruce, z półtorałokciowym wachlarzem w ręku, zaprezentowałem się jako p. cześnikowa Wszędobylska, przyjeżdżająca z winną submisją od jw. starościny, suplikując, ażeby córeczkę jej Hermenegildzię raczyła przyjąć na rezydentkę. Cała ta przemowa w języku staroświecko-parafjańskim, tak mi się udała dobrze, że zadowoliła starościnę, że śmiała się do rozpuku. Trze-

ba jednak było skończyć tę scenę, bo mężczyzn do tańca mało było i my oba byliśmy do następującego angleza potrzebni, wymknęliśmy się więc i starościna nie wiedziała kto udawał cześnikowę. Podejrzewając, że to któraś z dam rodziny Dąbrowskich i nie wypytywała się o to. Po północy zastawiono paradną wieczerzę, starościna tak była w dobrym humorze, że wszystkich zachęcała do używania darów Bożych, a nam kawalerom tańcującym, własną rękę po kieliszku wybornego węgrzyna nalała. Po wieczerzy pożegnawszy całe towarzystwo i prosząc, ażeby zabawy kontynowali, na spoczynek odeszła. Na trzeci dzień zapust wyprawiała zapusty dla oficjalistów, ale tylko do północy, żeby w post hulając nie dawać zgorszenia.

We środę wstępną, kiedyśmy sobie, Oleszkiewicz, Gliniecki i ja, wróciwszy z popielca z Koblina, o ubiegłych zapustach rozmawiali, kozak z Młynowa oddaje list marszałka dworu do p. Glinieckiego, ażeby natychmiast do p. starościnej przyjeżdżał i mnie ze sobą przywoził. Zdziwiliśmy się; Oleszkiewicz wnosił, że musi być obrażona za cześnikowę, ja struchlałem. Bo cóż? popaść w niełaskę p. starościny, to i hrabiego łaskę utracić można było. Wszedłszy, nizkim ukłonem powitaliśmy jw. panię, ale starościna wskazując na mnie, odzywa się: „A no moja p. cześnikowa, jak się wasani masz?“ podsunąłem się skromnie, ale ze śmiechem, i wyciągniętą do mnie rękę z uszanowaniem ucałowałem. „Ale wybornie waść udajesz. Już to tak u p. Aleksandra grając komedje, wyuczyłeś się udawać; zda się to na świecie, ale twoja cześnikowa zapomniała tu swoich sukień, proszę zabrać, proszę! może to matce przydać się na co. Mosanie Gliniecki, jeśli wy pościcie, to proszę u mnie zjeść obiad, a jeśli może po modnemu, to z Panem Bogiem, u mnie do niedzieli w kuchni nawet nie widać mięsa“. Po obiedzie p. służąca wyniosła mi zawinienie, dziękując p. starościnie pocałowałem ją w kolano, co ją tak zadowolniło, że pogłaskaw-

szy mię po głowie, rzekła do przytomnych pokazując na mnie; „jakto zaraz znać szlacheckie dziecko, wie komu się co należy i na pańskich pokojach przystojnie się znajduje". Wróciwszy do Pekałowa, cieszyłem się, że tak dobrze poszedł interes. W zawinieniu znajdował się cały ten bogaty strój, jaki miałem na sobie, i nic więcej, tylko z tego przyboru matka moja miała paradną czarną atłasową salopę, a siostra młodsza takąż przyjaciółkę, coś nakształt dzisiejszych burnusów.

Sprawa rozwodowa p. Grocholskiej przeciągała się, chociaż starania wielkie były, bo i p. wojewoda u ks. biskupa Cieciszewskiego szczerze się nią interesował i Baur, pragnąc przyśpieszyć pożądaną chwilę, latał do Łucka i do Kamieńca, sypał pieniędzmi, błagał i groził. Biedny generał nie znał rzeczywistego stanu choroby swojej narzeczonej. Zwłoka środze ją dręczyła i silnie działała na pogorszenie. Dostrzegło tego niepokoju oko przyjaciółki, podkomorzyna z macierzyńską troskliwością uspakajała i pocieszała cierpiącą. Ale choroba rozwinęła się w całym swoim charakterze. Lernet odkrył podkomorzynie stan zagrażający choroby, kazał strzedz wszelkich poruszeń moralnych i otoczyć chorą największą troskliwością w utrzymaniu regularnego życia i spokojności umysłu. Ale złe brało górę, wątła z natury budowa i silne uczucia działały w pomoc chorobie, którą tak nieszczęśliwie ostatni bal u księcia rozwinął. Wróciła nakoniec wiosna wczesna i piękna, ale nadzieja uleczenia nie wróciła. Eleonora poznała swój stan, z rezygnacją poddała się woli Boga, pragnęła tylko dożyć dekretu. Przyszedł nareszcie w końcu kwietnia ten pożądany dekret, uradowała się Eleonora i znacznie orzeźwiała, pocieszyło to podkomorzynę, bo jeszcze nadziei nie straciła, sztafeta dała znać mężowi, aby na ślub córki pośpieszył. P. Eleonora tak się uczuła lepiej, że tegoż dnia pożegnawszy przełożoną i zakonnice, z podkomorzyną do domu generała się przeniosła. Polepszenie to jednak nie było

naturalne i nie cieszyło Lerneta, bo to był stan gorączkowy, podsycany marzeniem o przyszłem szczęściu.

Pośpieszył podkomorzy i wzdrygnął się, widząc okropną zmianę w obliczu córki, nie dał jednak tego jej poznać. Nastąpił i ślub we własnym ich domu. Trzymała się dzielnie Eleonora, ale wstając od ślubu, rzuciła się w objęcie męża i omdlała. Wytrzymując ucisk i zmartwienia, chwili szczęścia wytrzymać nie mogła. Złożono zemdloną na łóżku, Lernet rzucił się do ratowania, ale ocuconej krew obficiej niż kiedy rzuciła się z piersi i niebezpieczeństwo objawiło się zupełnie, ani Lernet starał się robić jakąkolwiek nadzieję. Stan choroby ciała częstokroć podnosi działanie duszy, aż do egzaltacji. Eleonora i ze swego cierpienia i z oczu otaczających osób czytała swój wyrok, ale na duchu nie upadała. Z religijną rezygnacją przyjmując swoje przeznaczenie, pocieszała męża, ojca i przyjaciółkę, a szczęśliwa, że umiera żoną ulubionego, swej ostatniej chwili spokojnie czekała. Dwadzieścia dni jeszcze przedłużała się choroba, olbrzymim postępując krokiem, ale cierpień prawie żadnych nie było, chora odgadła dzień swój ostatni, stałość i spokojność jej nie odstępowały; usprawiedliwiwszy się przed Bogiem, z anielskim uśmiechem na ustach, żegnając przyjaciółkę, ojca i męża, na ich ręku snem sprawiedliwych w Bogu zasnęła. Nie potrafię oddać słowami żalu przyjaciółki, boleści ojca i rozpaczy męża, łatwo je pojmie ten, co już niejedną stratę bolesną w swem życiu poniósł, niejedną okrył się żałobą. Rokiem przed tem, siostra p. Baurowej, młoda panna, z tejże choroby wcześnie ze świata zeszła. Oddawszy ostatnią posługę zwłokom pięknej Eleonory podkomorstwo ciężko zasmuceni odjechali do domu. Baur niczem niepocieszony, kazawszy sprzedać dom i tę sumę na biednych oddać, wyjechał do Petersburga i ledwie w rok potem na Wołyń powrócił.

ROZDZIAŁ VI.

W maju wrócili pp. Chodkiewiczowie z Wilna, kasztelanicostwo stamtąd jeszcze do Warszawy i w Poznańskie pojechali. Z powrotem hrabstwa ożywił się Pekałów, i ożywił cichą spokojność sąsiadów. Wkrótce Oleszkiewicza hrabia wyprawił do Paryża, gdzie na ówczas znajdowały się wszystkie arcydzieła sztuki, niegdyś po całej zachodniej Europie rozrzucone, a mieczem Bonapartego zgromadzone w Paryżu. Tam Oleszkiewicz doskonalił się w szkole sławnego Dawida i przejął jego metodę. Dla hrabiego kopjował Rafaela Przemienienie w tychże samych rozmiarach, co i oryginał, i pierwszy od tylu wieków w kopjowaniu Rafaela, duchem jego przejąć się umiał i wiernie naśladować to arcydzieło malarstwa. Ja pozostałem, Oleszkiewicz, jadąc sam dla poświęcenia się pracy, a mając brata młodszego przy sobie, nie chciał mnie brać na swoją odpowiedzialność, a chłopca szesnastoletniego rzucić w odmęt Paryża i hrabia nie chciał; ale mi próżnować nie dał, bo i rysować musiałem i w językach się ćwiczyć.

Dom hrabiego Aleksandra Chodkiewicza [1]) był można powiedzieć małem muzeum; bogata bibljoteka, zbiór już piękny obrazów, liczne i najświeższe narzędzia i aparaty astronomiczne i fizyczne, zamożne laboratorjum chemiczne, w którem hrabia biegły w tej nauce, lubił pracować, sprawdzając nowe odkrycia i nowe coraz robiąc spostrzeżenia. Do tego niewielki, ale dobrze urządzony teatr, wyborna orkiestra pod dyrekcją wirtuoza i kompozytora p. Karszmidta, słowem wszystko tam było, co tylko zmysły przyjemnością nasycić i umysłowi dać ży-

---

[1]) Aleks. hr. Chodkiewicz (1776—1838). Kasztelan, zamiłowany w chemji, przesiadywał często w Krzemieńcu i z prof. Zienowiczem poświęcał się badaniom. W Młynowie posiadał piękną bibljotekę i laboratorjum chemiczne. Wydał: Chemja t. t. 7. Warszawa 1816—1820.

cie może. Dodajmy do tego tę narodową uprzejmość przy okazałości życia prawdziwie pańskiej, jaką słynął Pekałow, a można sobie wyobrazić, jak pobyt w domu hrabstwa każdemu był miłym.

Aleksander hr. Chodkiewicz
ur. 1776 r., zm. 1838 r.
Według litografji współczesnej.

Ale!... i dla czegóż wszędzie to *ale* wcisnąć się musi? ale mówmy tak jak było w istocie. Hrabia że był uczonym, znakomicie uczonym, to nic dziwnego, z dzieciń-

stwa wyrobił w sobie tego ducha, to zamiłowanie nauk i szedł już tą drogą całe swe życie. Ale hrabia miał serce, w którem tlały najszlachetniejsze uczucia wiary, miłości ojczyzny i miłości bliźnich. Kto go raz poznał, kochać go i wysoko szacować musiał. Aleksander Chodkiewicz, nieodrodny potomek wielkich przodków swoich, zostawił pamięć swego imienia, mającą kartę w dziejach naszych i we łzie wdzięczności serc tych, tak licznych, dobrodziejstwami jego na ludzi wyszłych ludzi. O! nie, znając hrabiego tak zblizka, nic mu zarzucić nie znajduję; nawet nadwerężenie majątku okolicznościom, a nie jemu przypisać trzeba. A jeśli potrzeba koniecznie znaleźć plamy na słońcu, to zarzucimy hrabiemu to jedno, że zbytnio kochając żonę, niekiedy panować jej nad sobą pozwalał. Otóż jest odwrotna strona tego medalu szacownego, ale i ta nie szpeci całości i nie narusza blasku, którym tak zasłużenie jaśnieje.

Ale, i tu dopiero jest to ale, bez którego nic! Ale hrabina nie to była co hrabia. Znałem ją panną Karoliną i znałem hrabiną Chodkiewiczową. Dwie siostry Teresa i Karolina były pociechą szanownego ojca i kochaniem całego domu, ale te dwie siostry mimo to, że w obydwóch najszlachetniejsze biły serca, różniły się między sobą. Dałem już obraz p. Teresy, dodam tylko to, że ta słodycz charakteru, jaką się od lat dziecinnych odznaczała, że takt niepospolity w postępowaniu, w zdaniu sprawiedliwości, poświęcenie się dla cierpiących, dotrzymanie wiary, spełnienie najświętsze obowiązków żony, matki i obywatelki, w całem jej życiu niezmiennie jej towarzyszyły. Panny Karoliny serce było podobnież dobre, szlachetne, ale z dzieciństwa już w żywym swoim temperamencie, chowała zarodek chęci panowania, który tylko powaga ojca ograniczała. Zostawszy hrabiną Chodkiewiczową, p. Karolina nie hamowała niczem swej namiętności, chęć panowania rozwinęła się w niej zupełnie pod wpływem nieograniczonej dobroci hrabiego. Do tego

przywiązała się duma swojego rodu i przybranego małżeństwem wielkiego imienia. Hrabina stała się nieodstępną prawie arystokratką: ani znakomity rozum, ani wrodzona dobroć serca nie przytłumiły tej żądzy. Duma wywołała rozrzutność i przyprowadziła do zbytków. Niczem dla niej było za jednym razem, w Dubnie u Beszona lub Ekielta zrobić sprawunki za tysiąc czerw. złotych i takowe w ciągu roku wielokrotnie się powtarzały, podane rejestra od kupców hrabia nie użalając się płacił. Hojną była hrabina, ale nie zawsze datek płacił zasługę, nie zawsze potrzebnemu się dostał. Dobroć hrabiego i te uchybienia prostowała. I ta to dobroć bez granic przywiodła hrabinę do zapomnienia co winna takiemu mężowi, co sobie samej winna. Rozłączyła się z hrabią, w tym samym prawie czasie, kiedy siostra jej, dobrowolnie idąc za mężem zesłanym na wygnanie, sama jedna, na wszystkie wysługi wygnańcowi poświęciła się. O! pamięć Teresy żyje dotąd w sercach wszystkich co ją znali i wszyscy tę pamięć błogosławią. O Karolinie ledwie w jej dzieciach wspomnienie zostało!...

Za nadto może i za wcześnie, rozwodzę się nad tem, o czem mi sądzić nie należało. Ale człowiekiem jestem i jako człowiek pobłądzić muszę. Otworzyłem myśl moją, ale może ta myśl jest powszechną, może zdanie moje o tych dwóch siostrach jest zdaniem opinji publicznej, *vox populi, vox Dei,* mówi łacińskie przysłowie. W ciągu dalszym mych ramot okaże się faktami, czy słusznie sądziłem.

W końcu lata hrabstwo osiedzieli się w domu. Przy hrabim bawili pp. Meliton Korsak, Jan Markiewicz i Śliwiński Ignacy, litwini, to dość powiedzieć na ich pochwałę, i hrabina miała swoje rezydentki. Wzięliśmy się do teatru i jakoś tak wypadały uroczystości po uroczystościach, to samego hrabiego, to pierworodnej ich Zosi, to p. wojewody, żeśmy kilka komedji, grali i ja mimo wiedzy hrabiego zrobiłem mu dekorację ruchomego morza

z latarnią na wieży i jaskinię czyli grotę Sybilli, za co z wielkiem zadowoleniem dziękował hrabia i na więcej dekoracji zamówił. Po wesoło spędzonej jesieni, hrabstwo wyjechali na zimę do Lwowa i do Wiednia, na wesele hr. Wacława Rzewuskiego, z księżniczką Aleksandrówną Lubomirską, siostrzenicą p. Chodkiewicza. Ja miło w Tuczynie przepędziwszy święta, wracając do Pekałowa przeziębiłem się i dostałem nerwowej gorączki. Zarządzający dworem ani wierzył mojej chorobie, i gdyby nie oddany na naukę muzyki od p. Józefa Walewskiego chłopak, nie byłoby komu nawet i wody mi podać. Źle było koło mnie, silne nosem płynienie krwi już od doby nie ustawało, ani kto pomyślał co mnie radzić. Jakoś sekretarz hrabiego i bibljotekarz Ginet nie widząc mię od dni kilku, zapytał i odebrawszy wiadomość, żem chory, odwiedził mię i dopiero sprowadzono z Młynowa Bartolozzego, lepszego poetę panegiryka, niż medyka, uspokoił on płynienie krwi, ale groźne symptomata tyfusu rozwinęły się i p. Bartolozzi ręce opuścił, i mnie było coraz to gorzej. Opatrzność zesłała pomoc. Synek hrabstwa, Karolek, został z boną w Pekałowie, hrabstwo p. Józefowi polecili opiekę nad dzieckiem, a że i Lernet uproszony był do czuwania nad zdrowiem Karolka, przywiózł go z sobą wojewodzic. Dziecię było zdrowe, p. Józef o mnie zapytał; marszałek dworu obojętnie odpowiada, że słaby; „gdzie? prowadź mię waćpan". „A to nie tu, na folwarku". „Jakto na folwarku? czy dom moich braterstwa nie ma dość pokojów na umieszczenie dziecka na ich opiece będącego? Idźmy, rzeknie do Lerneta, zobaczyć co się z tym biednym chłopcem dzieje." Ale zastali mię zupełnie bez przytomności i niepodobnego do życia. Lernet nic nie przepisał, felczerowi pałacowemu przykazał ani na chwilę nie odstępować. Oświadczył p. Walewskiemu, że jest niebezpieczeństwo życia, ale że młodość zdrowa może także podziałać. P. Walewski kazał postawić kozaka przy mojej stancji, drugiego któryby w Dub-

nie czekał u p. Lerneta; felczerowi zaś polecono, czy, jeżeli życie skończę, czy gorączka opuści po północy, żeby natychmiast dawać znać do Dubna. Inny zaraz był dozór koło mnie, p. Ginet nie odstępował od mego łóżka, na usłudze było kilku chłopców, z pałacu wszystko, bo p. Józef zapowiedział marszałkowi i dał słowo, że jeżeli ja umrę, on miejsce straci. W istocie, po północy ocknąłem się, gorączki zupełnie nie było, gorący pot całe oblał ciało, ale sił nie było do przemówienia. Ale mi jakoś tak błogo było! poznałem siedzących koło mnie i do p. Gineta uśmiechając się powiedziałem zcicha jeszcze: p. Ginet! Nie dopuścił Ginet pisać felczerowi, sam do Lerneta napisał i bardzo dokładnie kryzys mój oznaczył. Posłaniec poleciał, a ja prosiłem czem się posilić. Dano mi filiżankę kleiku, a ten mi jakimś specjałem wydał się. Wrócił kozak z lekarstwem i z przepisaniem pokarmów i całej regularności życia. Trzeciego dnia siedziałem na łóżku, i p. Gineta ani na krok od siebie puścić nie chciałem. Piątego dnia p. Lernet mię odwiedził, pozwolił wstać z łóżka, ale na dwór nie wychodzić, i mnie też ochota nie brała, bo to był czas najbrzydszy rozpuszczania śniegów, błota i mglistego powietrza, zaledwo więc na Wielkanoc wychodzić mogłem. Po świętach hrabstwo wrócili i przelękli się, zobaczywszy mnie tak zmienionego. Maj następował, hrabstwo kupili dom Baura i tam na maj z dziećmi zamieszkać mieli, ledwie że hrabstwo wyjechali ja dostałem szkarlatyny. Było polecenie hrabstwa, żebym i ja na maj przyjechał do Dubna. Wsadzili mię na odkrytą bryczkę i w deszcz rzęsisty półtory godziny wieźli. Można sobie wyobrazić co się ze mną zrobiło. Jak mnie z bryczki zsadzili, jak zaprowadzili do stancji w domu zajezdnym żydowskim, czy też zanieśli, nic nie wiem. Trzeciego dnia, opamiętawszy się nieco, siadłem w oknie ogrzać się na słońcu, bo dzień był prześliczny. Ulica to była główna, zwana Szeroka, ciągły był przejazd, ale mię ten widok mordował, że miałem już odejść od okna, kie-

dy mignął mi powóz hrabiny, zostałem w oknie, aż i powóz zawraca i staje przed domostwem, gdzie mieszkałem i p. hrabina z rezydentką p. Dobrowolską weszły do pokoju. Hrabina zapytała „co ty tu robisz?“ za całą odpowiedź pocałowałem rękę hrabiny i rzewnie się rozpłakałem. Ale żydówka, nie oszczędzając marszałka, rozpowiedziała jak mnie kazał u niej zrzucić, jak cyrulik Nepomucki zrobił mnie jakieś lekarstwo, i od trzech dni nikt się ani dowiedział o mnie czy żyję. Hrabina mocno była rozgniewana, pocieszała mię jednak bardzo łaskawie, że dziś jeszcze mię przeniosą do domu hrabstwa i p. Lernet będzie mię widział. Odjechały damy, wieczorem tymże samym powozem przewieziono i mnie, ale ruch powozu nie był mi sprzyjający i ledwie mię dwuch ludzi z powozu wysadziwszy do pokoju wprowadzili. P. Lernet dał mi sól powąchać, potem egzaminował mię z całego życia. Nic mi nie przepisał, ale jutro kazał wstać rano i przed piątą przyjść do niego po receptę. Państwu zaś powiedział, że źle koło mnie i że jeśli po północy lepiej nie będzie, żeby mu dawać znać. Tę noc jeszcze przepędziłem w żydowskim domu niedaleko Bernardynów, Lernet mieszkał w zamku, cóż to za ogromną drogę potrzeba mi było zrobić! Wróciłem od hrabstwa po dziesiątej, i zaraz do łóżka i smaczno zasnąłem. Na ulicy tak publicznej długo spać nie można, wstałem więc przed piątą i powlokłem się na moją wędrówkę. Długo szedłem, często spoczywałem, nakoniec zawlokłem się, ale na schody ani sposobu. Siadłem i dumam, co z sobą zrobić, aż Bóg nadniósł aptekarza znajomego, i tak był dobry, że pomógł mi wejść na górę. Lokaj uprzedzony, że przyjdę, wprowadził mię do gabinetu doktora. Wielkie zadowolenie widać było na twarzy Lerneta, posadził mię na wygodnej kanapie, kazał wypić filiżankę czekolady z grzaneczką, a po tym traktamencie kazał na tej samej kanapie dać poduszkę, pozasłaniawszy okna życzył mi dobrego spoczynku i zamknął w gabinecie. Błogi mój sen był i obudziłem

się daleko rzeźwiejszym. Dał mi receptę i kazał za trzy dni przyjść znowu do siebie. Chciałem mu ofiarować 5 dukatów, które mi wczoraj na to dał hrabia, ale nie przyjął doktór, jeszcze naśmiał się ze mnie i kazał schować peniądze na pomarańcze, których po cztery na dzień jadać, przytem dużo chodzić zalecił. Dobrze szła moja kuracja. Wiosna i młodość jeszcze skuteczniejszemi lekarstwa robiły. W końcu maja, przyszedłszy zupełnie do zdrowia, podziękowałem łaskawym opiekunom moim za ich świadczone dla mnie łaski, za ojcowską opiekę i poszedłem na swój chleb, a pracując z jaką taką znajomością malarstwa, mogłem się utrzymać, nie będąc nikomu ciężarem.

Lato całe przemieszkałem w Tuczynie. P. wojewodzie przemalowałem gabinet i ciągle byłem zajęty, p. wojewodzie podobała się moja pracowitość, lubił mię i dom jego stał się moim przytułkiem. Kazał mi nawet dać osobny ładny pokój obok oranżerji i jednego z froterów do usługi wyznaczył. Mówił, że mu kochanego p. Łukasza bardzo przypominam. Nieraz po godzin parę, chodząc z moim panem po ogrodzie, nazywałem drzewa i kwiaty botanicznie, lub o Wilnie rozpowiadałem. Raz pamiętam, wracając z trejbhauzu, spotkałem p. wojewodę z moją matką idących do ogrodu. „Skąd idziesz Antosiu?“ zapytał. „Z trejbhauzu jw. panie“. „Cóż tam?“ „Śliwki dojrzewają, ananasy kwitną. „Co? Ananasy kwitną?“ „A kwitną jw. panie“. „Słyszysz wmpani, liznął trochę botaniki i już fanfaronuje! Niech mię miljon set! sześćdziesiąt sześć lat żyję na świecie, od dwudziestu lat mam ananasy, ani widziałem żeby kwitły“. „Może jw.pan zechce się ze mną założyć?“ „Choćby o Tuczyn“ matka ściśnie na mnie ramionami, żebym się nie sprzeczał, ale ja pewny swego: „o sto złotych“ rzeknę. „Choćby i o tysiąc“, i założyliśmy się—wchodzimy do trejbhauzu, pięćdziesiąt stanów pięknie obfitym okrytych kwiatem uderzyło wzrok p. wojewody, zastanowił się, patrzał, patrzał i milczał; po

chwili „wygrałeś“ zawołał i w głowę mię pocałował“. Patrz moja pani Detiukowa, młodzieniaszek, a mnie staremu dał naukę. Chodź ze mną mój botaniku! winienem ci dług mój wypłacić“. Szedłem za naszym dobrym panem, on poświstywał „u drzwi twoich“, a mnie jakże wesoło, jak błogo było! Przyszliśmy do jego gabinetu, odliczył mi 5 dukatów i rzekł: „oto masz twoje wygrane poczciwie sto złotych a to drugie sto na książki, i to na letnie ubranie“ dodał, biorąc z bocznego stolika dwie sztuki Ostendeńskiego nankinu. Ucałowałem kolana p. wojewody, on pocałowawszy mię znowu, krzyż nad moją głową uczynił. I matkę to uradowało, że się sprzeczka tak dobrze skończyła. O! dobry to był ten nasz pan ukochany i nie było mu podobnego, i nie będzie!.. Wkrótce nadjechał marszałek Borejko botanik i kultywator, słynący i cnotami swojemi i bogactwem ogrodu swego w Samostrzałach. P. wojewoda zaprezentował mię temu czcigodnemu obywatelowi, który znał ojca mego, mnie mile przywitał i trochę egzaminował, a zadowolony mojem tłumaczeniem się, wezwał mię do Samostrzał, gdzie mię p. wojewoda sam zawiózł i tam przez trzy dni bawiąc skarby ogrodu p. Borejki z rozkoszą rozpatrywaliśmy.

W lipcu hr. Chodkiewicz przysłał po mnie, niebardzo mi się chciało jechać z Tuczyna, ale wezwaniu mego dobroczyńcy odmówić nie należało. Mile hrabstwo przywitali i hrabia poprowadził mię do bibljoteki i wyjąwszy z pomiędzy sztychów ledwie pół ćwiartkowy widok wnętrza jakiegoś więzienia: „co ty na to Antosiu?“ zapyta, „śliczny widok mój hrabio“, „ale jakby on się na teatrze wydał?“ „będziemy próbować mój hrabio!“ Natychmiast poszliśmy na teatr, rozmierzyliśmy kortynę, kazałem nadwornemu malarczukowi wygruntować płótno i przygotować farby i we trzy dni wziąłem się do roboty. Po rozrzuceniu pierwszych linji, poznał hrabia, że rozmiary trafione i mocno się uradował. Następowały imieniny hrabiego, przygotowywaliśmy się grać dramat „Cheniera“

Fenelon, do którego ta dekoracja potrzebną była. Hrabstwo wyjechali na przedimieninowe wizyty na długo, ja tymczasem od wschodu słońca do zachodu pracowałem około mojej kortyny, ale dla ukompletowania dekoracji, w środku sceny dodałem pilastr z opartemi na nim arkadami, w tym samym stylu i kolorycie, co kortyna. We trzy tygodnie wróciłi państwo, dekoracja już ukończona była, ale uprosiłem hrabiego, żeby ją dopiero przy świetle lamp obejrzał. Ustawiłem i kortynę i środkowy pilastr, oświeciłem obficie i zaprosiłem państwo. Miło mi było widzieć zachwycenie z jakiem ujrzał wykonanie i dopełnienie dekoracji. Hrabina nawet: „mais c'est magnifique" zawołała. Uściskał mię hrabia i nie mógł się nacieszyć dekoracją. Na imieniny gości było mnóstwo, dramat doskonale się udał, nas aktorów oklaskiwano, pochwalono, a mnie nazajutrz hrabia 50 czer. z ucałowaniem i tysiącznemi podziękowaniem wręczył. A nasz czcigodny p. wojewoda nacieszyć się mną nie mógł. Po tej i jeszcze następnych fetach, rozjechali się goście, hrabstwo wyjechali do Podhorzec, gdzie byli naówczas hetmanostwo Rzewuscy, ja wróciłem do Tuczyna.

Dobrze mi było na świecie. Miałem lat ośmnaście, trochę towarzyskiego ogładzenia, wesoły i pełno roiło mi się pomysłów do zabaw i uroczystości. Kasztelanicostwo szczególniej mię lubili, zabrali mię do siebie i u nich resztę jesieni i całą zimę przepędziłem. W dzień z samą panią malowaliśmy pejzaże, wieczorem zaś bywały gry, czytania, czasem tańce. Kasztelanicowa grywała na fortepianie, śpiewała, nam dobierała łatwiejsze śpiewy i chórem śpiewać uczyła. Często zostawiwszy p. Bieżeńskę przy fortepjanie, wymykaliśmy się do sali i tam ułożywszy jaki historyczny obraz z naszej kompanji, wzywaliśmy naszą ukochaną panią, która każdą niespodziankę ze zwyczajną sobie słodyczą i czułością przyjmowała. Bo też i towarzystwo było piękne w Bystrzycy i dawny Tuczyn

przypominało. W Pekałowie okazałe były zabawy, ale w Bystrzycach taka słodka panowała wesołość, że ją nad okazałość hrabskich festynów przekładano, bo duszą domu była p. Teresa, bo p. Adam wszystkich do domu swego przywiązać umiał. Kilka córek obywatelskich bawiło w Bystrzycach; p. Marja Mosakowska ścisłą przyjaźnią od lat kilku z kasztelanicową złączona, ostatnią już zimę w domu jej bawiła. Młodsza jej siostra Anna wydaną była za p. Koźmiana tak znanego u nas i ze wzniosłych przymiotów serca i umysłu i z zachwycających pism swoich. Anna rok tylko podobno żyła z mężem, i zostawiając mu syna, zaklęła, ażeby temu dziecku ciotkę za matkę przybrał. Dotrzymał danego żonie słowa p. Koźmian, pisywał do Marji, a po skończonej żałobie, przyjechawszy na Wołyń, w domu kasztelanicostwa Marji się oświadczył i przyrzeczenie odebrał. W kilka miesięcy odbyło się wesele w Błudowie, p. wojewoda z całą swoją rodziną był na weselu i córkę przyjaciela błogosławił. W miesiąc po ślubie p. Koźmianowa wyjechała w Mazowsze, gdzie mąż jej miał swój majątek. Zacna to była osoba! i gdym ją w kilkanaście lat później widział w Warszawie, znalazłem ją takąż samą jak była panną, bo ani znaczenie wysokie w jakiem byli, ani pożycie w pośród wielkiego świata tej duszy zmienić nie mogły.

Nadeszła zima, na święta zjechała się familja kasztelanicowej i całe sąsiedztwo, bo w wigilję były imieniny p. Adama i uroczyście je obchodzono. Na tem licznem zebraniu pokazała się nowa, mało komu znana dama, a w domu kasztelanicostwa po raz pierwszy widziana, p. szambelanowa Płotnicka, nie pierwszej młodości, ale piękna jeszcze i ubrać się do twarzy umiejąca. Dla złej drogi, opóźniła się w dzień imienin i uprzejmi gospodarze zmienić jej podróżnego ubrania nie dozwolili. Ale ten negliż, tak był piękny, tak starannie wytworny, że nic nie tracił przy okazałych strojach dam innych. Ciekawa jej

była historja i taką, jaką słyszałem z opowiadania jej samej, p. Płotnickiego i p. Koniuszewskiego jej szwagra, tu umieszczam.

ROZDZIAŁ VII.

Pani kasztelanowa Przyłuska, z domu Urbanowska, umiała w sobie połączyć wyższe ukształcenie czasów Stanisławowskich z powagą bogobojności i staropolskich obyczajów. Czy więc, jako senatorowa bawiła w Warszawie, czy jak prywatna obywatelka mieszkała w swoich Butowcach, zawsze była na swojem miejscu, zawsze miła ludziom i powszechnie szanowana. Przytułek miały przy niej ubogie szlacheckie panienki, a szczególniej pokrewne. Wszystkie były na tonie panien stołowych, a nad niemi, jakby ochmistrzynią panna wyprawna kasztelanowej panna Urbańska. Pomiędzy niemi najpiękniejszą była Ludwika Słomczyńska, daleka powinowata Urbanowskich. Młode to było dziewczę, żywe, wesołe, sprytne, ale wychowanie jej było ubogie, szlacheckie. Obca jej była etykieta domów wyższych, ale się prędko z nią oswoiła, bo u p. kasztelanowej wszystkie panienki na pokojach, pod jej okiem z robotami siedziały, i p. Ludwika wiele korzystała z towarzystwa, jakie dom p. Przyłuskiej napełniało. Bracia p. kasztelanowej odwiedzali ją często, a osobliwie p. Michał, który się do niej i uczuciami i sposobem myślenia przybliżył. Majątek pp. Urbanowskich, był jak na owe czasy ogromny, bo każden z nich więcej miljona złotych w ziemi posiadał, ale żaden się nie żenił. P. kasztelanowa bezdzietna pragnęła, aby który z braci miał potomstwo i przemyślała nad wyszukaniem dla nich żon pomiędzy obywatelskiemi córkami, ale szło trudno.

Pan Michał, odwiedzając siostrę zauważył p. Ludwikę, lubił się z nią bawić, światłą rozmową ukształcił jej

umysł, rozwijał wyobrażenia i wprawiał do porządnego tłumaczenia się językiem lepszego towarzystwa. Dawał jej dobre książki do czytania, co z wielką dla młodej było korzyścią. Ale im więcej władze jej się rozwijały, im więcej umysł się oświecił, tem więcej rozwijała się zarozumiałość i zalotność, lecz że serce było dobre, to umiała czuć interesowanie się nią p. Michała i przywiązała się do niego. Postrzegając coraz więcej życzliwości dla siebie w p. Urbanowskim, przystroiła zalotność swoją w naiwną wesołość, i coraz więcej przywiązując go do siebie, w marzeniu o przyszłości, powiedziała sobie: „będę p. Urbanowską". Panna Urbańska, widząc i przywiązanie p. Michała do Ludwiki i poznawszy jej zamiary, postanowiła sobie pomagać Ludwice. P. kasztelanowa często prześladowała brata p. Słomczyńską, ten się nie bronił, uśmiechał się i powiedział nakoniec siostrze, że gdyby poślubił Ludwikę, niby w tem złego nie było. P. Przyłuska, lubo w duszy arystokratka i pragnęła jakiegoś znakomitego połączenia się, bratowej ze starego i możnego szlacheckiego domu, widząc jednak, że brat nie żartem o Ludwice zamyśla, odpowiedziała, że i jej to przeciwnem się nie zdaje. P. Urbańska wpływem swoim na kasztelanowę potrafiła przekonać, że panna dobrego szlacheckiego rodu, choć uboga, warta p. Michała. Udało się więc jej uprojektowane swatostwo, p. Ludwika, tak jak sobie zamierzyła, została panią Urbanowską. Wesele odbyło się u kasztelanowej w Butowcach, i w kilka dni pp. młodzi do swego majątku wyjechali.

Lubo w Polesiu, piękne jednak położenie Cepcewicz. Na wzniosłym pagórku nad Horyniem, stał ładny pałac, z dziedzińcem, otoczonym od wyższej strony podziemiami, od wsi szeroką fossą, na której most długi, porządny, łączył dziedziniec pałacowy z ulicą, z dworków oficjalistów i dworskich złożoną. Po za pałacem rozciągał się ogród częścią w dawnym sposobie ze szpalerami strzyżonemi, częścią, z dziką promenadą (jak w ów czas zwano),

w dobrym angielskim guście wykonaną. Środek pałacu z piękną facjatą, łączyły z pawilonami dwie galerje z krytemi dachami, ułatwiającemi przejście górne z pawilonów. Pokoje były obszerne i jak na owe czasy paradnie umeblowane. Nowa pani tych gmachów, nie mogła się nacieszyć posiadaniem tak pięknego i wspaniałego domu. Mąż, coraz więcej przywiązujący się do pięknej Ludwiki, obsypał ją tem wszystkiem, co jego bogactwo pozwalało. P. Urbanowska, stroje, bieliznę, meble i wszystkie zbytkowe drobnostki, miała sprowadzone z Warszawy, dokąd co miesiąc posyłano, dla otrzymania nowości od pierwszych kupców i modniarek. Nie mógł szał nie objąć młodej i niezbyt starannie uorganizowanej głowy, a kiedy jeszcze okazała się nadzieja potomstwa, p. Michał nie znał granic swojej hojności, a p. Ludwika nie znała granic swoich kaprysów i coraz nowych wymagań.

Rok tak przeszedł, p. Urbanowska powiła syna, którego starsi z całej majętności do chrztu trzymali. Piękny to był i uroczysty obchód. Pomiędzy kolumnami pałacowego ganku, wznosił się wspaniały ołtarz; w środku, dwuch złożonych na krzyż półsetków pięknego krajowego płótna, na bogatej poduszce leżało pańskie dziecię, a starce i podeszłe niewiasty trzymały brzegi płótna od końców, aż do poduszki i dwieście głosów pawtarzały słowa sakramentalnego obrzędu. Zamożni kmiecie sumiennie i umiejętnie rządzonego majątku, na krzyżmo, złożyli kosztowne srebrne stołowe naczynia. Wszystko najpiękniej się składało, Ludwika opływała szczęściem. Ale szczęśliwość jak błyskawica mignęła. Od urodzenia syna, p. Michał zaczął mocno zapadać na zdrowiu, a jeszcze mały Teodorek lat dwuch nie miał, kiedy ojciec jego u wód za granicą życie zakończył.

Z rozpaczą przyjęła Ludwika wiadomość o zgonie męża, bo i przywiązaną do niego była i zgon p. Michała bez testamentu, stawiał ją w bardzo niepomyślnem położeniu. Bracia p. Michała, a osobliwie p. Krzysztof, czło-

wiek światły, uczony, ale trochę dziwak, niewiele do bratowej ceny przywiązywał, bo znał jej usposobienia i jej nieustalony charakter. Temu przyznaną była opieka nad majątkiem, nad synem i nad wdową po bracie. Odpowiedzialny i przed światem i przed własnem sumieniem za całość majątku i wychowanie synowca, zamieszkał w Cepcewiczach, i nie ujmując przyzwoitego utrzymania, ograniczył zbytki p. bratowej. Nie podobała się wdowie taka zmiana, ale ufna w swą piękność, wszelkich środków używała dla osiągnięcia przywiązania p. Krzysztofa. Ale, aby zająć człowieka tak wyższego umysłowem usposobieniem, potrzeba było czegoś więcej jak pięknego lica, a właśnie tego czegoś w p. Ludwice nie znajdował, wszystkie więc zaloty wdowy rozbijały się o serce zimnego filozofa, jak o głaz jaki, często nawet w uszczypliwym jego żarciku przebijało się coś nakształt pogardy.

Starsza siostra Ludwiki była za p. cześnikiem Koniuszewskim, pełnomocnym Urbanowskich; ten jako szwagier pomagał zamiarom siostry, ale widząc, że wszystko napróżno, tak rzeczy nastroił, że wdowa zabrawszy syna, którego dotąd jej nie odbierano, skrycie wybrała się do Warszawy. Nie dopuścił tej ucieczki stryjaszek, odebrano p. wdowie syna, a dla niektórych nierozsądnych trzpiotostw, wzięto jejmość pod ścisły dozór w kuratelę. Srożyła się, groziła, ale p. brat z zimną obojętnością słuchał gróźb i wyrzutów, i postępowania swego nie zmienił. Radby był p. Koniuszewski pomagać Ludwice i przemyśliwał nad sposobami ratunku, ale bojąc się narazić pryncypałowi, działał tak skrycie, że i wdowa o niczem nie wiedziała. Tymczasem dni upływały, Ludwika zmieniła postępowanie, mniej się burzyła, p. Krzysztof był delikatniejszym. Wdowa uzyskała wolność widywania codzień syna i wyjeżdżania w sąsiedztwo. P. Koniuszewski tego tylko oczekiwał. Razu jednego p. Ludwika wyjechała niby do Stepania z wizytą i stamtąd już nie wróciła. Młodszy Koniuszewski czekał tam z karetą podróżną i z rze-

czami, a dowiózłszy do Dubna, dniem i nocą, stamtąd powiózł do Warszawy.

Widząc, że bratowa nie wraca był markotny, ale znając dom zacny, do którego w odwiedziny pojechała, uspokoił się zupełnie pewny, że nazajutrz powróci; ale kiedy konie i powóz odwożące do Stepania wróciły i ludzie donieśli, że pani przesiadłszy tylko do innego powozu, dalej w stronę Międzyrzecza udała się, zmieszał się mocno, myśląc jednak, że do Butowiec zawróciła, wysłał wiernego sługę za uciekającą, z listem do kasztelanowej, a drugich w inne strony porozsyłał. Stracili gońce ślad, i z niczem powrócili. Zadrżał z gniewu p. Krzysztof, wszystkich otaczających obwiniał, na winnego jednak nie miał żadnego podejrzenia. P. Koniuszewski wymawiał mu, że niepotrzeba było jejmości cuglów popuszczać i tyle swobody pozwalać. Trapił się i gniewał p. Krzysztof, a wdowa tymczasem szczęśliwe w Warszawie stanęła.

W komisji cywilno-wojskowej, złożonej ze światłych mężów, zasiadał znany ze swych zasług w kraju Tadeusz Czacki, p. Krzysztof był także tej komisji członkiem, ztąd i znajomość blizka i obywatelskie stosunki tych dwuch urzędników łączyły. Znała i p. Urbanowska p. starostę i przybywszy do Warszawy, jego się opiece polecić postanowiła. Nie tracąc czasu, nazajutrz zaraz starała się wywiedzieć o mieszkaniu p. starosty, a trzeciego dnia do niego z wizytą pojechała. P. Czacki pracował w swoim gabinecie, gdy mu dano znać, że dama jakaś żąda się z nim widzieć. Zerwał się od biura, i na prędce jak mogąc ubrawszy się, wyszedł do salonu na przyjęcie przybyłej damy. P. Urbanowska w grubej żałobie, osłonięta czarną krepową florą, z pod której jeszcze więcej jaśniały jej wdzięki, postąpiła parę kroków i rzuciwszy się na kolana: „Ratuj nieszczęśliwą wdowę!“ zawołała z płaczem. Podniósł ją p. Czacki i w krześle posadził, a sam usiadłszy obok, z uprzejmością wypytywał o interes, jaki ją sprowadza. Tu dopiero Ludwika, nie oszczędzając mę-

żowskiego brata, narzekała, że jej wydarto wszystko, nawet syna, że ją jak w więzieniu trzymają, że doznała ucisku i pokrzywdzeń na jakie nie zasłużyła. Pan starosta słuchał z uwagą, nie wszystkiemu może i wierzył, ale w tem złotem sercu przeważała litość nad cierpieniem bliźnich, i wzruszony rzekł: „wszystko co pani mi mówisz, obruszy każdego czułego na cierpienia drugich człowieka; jeżeli mi pani zaufasz, będę się starał radzić jej to wszystko, co rozum, co sumienie, czynić tu pozwalają". „O zasłoń mię protekcją twoją! Poddaję się woli twojej, a co rozkażesz za najświętsze prawo mieć będę", to mówiąc chwyciła rękę starosty i do ust swoich poniosła, nie dopuścił starosta i piękną rączkę pięknej wdowy z uczuciem pocałował. Przekładał p. Ludwice środki umiarkowane, może polubowne układy, ale wdowa płakała i swoich ciemiężycielów najczarniej malowała. „Interes jest ważny, mówił p. Czacki, i najpiękniej by było, zgodnie go ukończyć, ale kiedy tak o zaciętej nieprzyjaźni dla niej p. Krzysztofa trzymasz, ta sprawa o tron oprzeć się musi. Wypada więc pani, naprzód zaprezentować się królowi i prośbę do niego podać". „Jakże ja będę śmiała sama stanąć przed obliczem monarchy?" „Najjaśniejszy pan jest nader przystępny i nikomu nigdy posłuchania nie odmówił. Dziś będę u dworu i wybadam chwilę, w której król przyjąć nas raczy, bo z najszczerszą chęcią towarzyszyć będę". Odpowiedź ta przeszła nadzieje wdowy, wiedziała, że król Stanisław nie był obojętnym na wdzięki płci pięknej, wiedziała i to, że był zalotny, w tej więc samej chwili, w myśli jej wyrodziły się olbrzymie marzenia, zachwycające pomysły, narzucenia królowi imci rożanych okowów, jej wdziękami uwitych; troskliwość nawet swego protektora na karb tych wdzięków liczyła, ale te p. Czackiego nie zachwyciły, szukał tylko w swej pamięci znajomego tych rysów podobieństwa. Pan starosta wziął adres p. Urbanowskiej, przyrzekł ją uwiadomić o czasie wizyty, i żegnającą go damę aż do karety odprowadził.

Tego wieczora były pokoje na zamku i mnóstwo osób płci obojej pierwszej dystynkcji przechadzało się po salach, damy zasiadły bogate wezgłowia, króla jeszcze nie było. Wszedł Czacki, otoczyli go Ignacy Potocki, Małachowscy, Kołłątaj, Naruszewicz i Tarnowski szwagier i inni, a widząc w twarzy starosty jakieś zakłopotanie, roztargnienie, wypytywali o przyczynę; zbywał ni tem, ni owem zapytania, a wszystko poglądał na drzwi, z których król miał wchodzić. Rozmowa rozmaicie się po różnych gromadach toczyła, wszystkich jednak prawie przedmiotem był zbyt wczesny zgon Julji z Lubomirskich Potockiej, pięknością sławnej w Europie, pięknością duszy uwielbianej w kraju ojczystym. Potrzeba było, ażeby natura podobieństwo uderzające do Julji dała p. Urbanowskiej. Czacki nie mógł się wstrzymać, aby o tem podobieństwie nie wspomnieć, a razem nie okazać niewinnego prześladowania tej cierpiącej piękności. Zainteresowało to wszystkich i każdy żądał poznać tę piękną wdowę i nieść jej jakąś usługę, damy nawet nie bez współczucia wypytywały się o nią.

W tem poziomie oznajmili wejście monarchy. Pani Krakowska po pierwszem powitaniu, oświadczyła bratu, że starosta Czacki ma jakąś nieszczęśliwą klijentkę, piękną i do Julji Potockiej podobną, król zbliżył się do p. Czackiego, zapytując, z jakichże to stron wywiózł tę znakomitą osobliwość? „Z głębokiego Polesia najjaśniejszy panie! Przybyła ona szukać w stolicy wsparcia i obrony przeciw uciskającym ją pokrewnym zeszłego męża". „Znajdzie je u nas" rzekł król tonem mniej lekkim „byleby sprawa jej czystą była". „Wdowa lęka się wszelkiego procesu i w samej tylko wielkomyślnej wspaniałości naszego monarchy całą nadzieję pokłada". „Więc p. starosto! słucham wywodu tej sprawy". „Czy nie raczy w. kr. mość raczej pozwolić, aby wdowa sama interes swój opowiedziała?" „Może to ją biedną zbytnie zażenuje?" „Obecność w. kr. mci i najbojaźliwszego swoi". „Jakże się

zowie wmpana klijentka?“ „P. Urbanowska“. „Więc jutro o dziesiątej czekam“.

Obrócił się król gdzieindziej, i innym osobom dał ucho; p. Czacki tymczasem śpieszył donieść wdowie o pomyślnem wyrobieniu posłuchania. Ludwika nie spodziewała się żadnych odwiedzin; w negliżu wieczornym, pół leżąca na kanapie, rozmawiała z panną Urbańską, o Czackim, o królu, o nietajnych w Warszawie intrygach dworu, lokaj oznajmił p. starostę nowogródzkiego. Zapomniała Ludwika o swoim zaniedbanym stroju i naprzeciw protektorowi aż do przedpokoju wybiegła. „Jutro, o godzinie dziesiątej, masz pani posłuchanie u króla, na tę godzinę chciej być gotową, moja kareta czekać ją będzie“. „Jakto, p. starosta ze mną nie pojedzie?“ „Pani mię tam zastaniesz, oto jest i prośba gotowa, staraj się tylko, o ile można oszczędzać honoru mężowskiego brata. Daruj pani, że ją pożegnam, zatrudnienia moje tak są pilne, że służę jej tylko na chwilę, ażeby dobrą nowinę zwiastować“,—to rzekłszy ucałował rękę wdowy i śpiesznie wyszedł. Nie śmiała Ludwika zatrzymywać, może nawet i nie chciała, bo w uszach jej silnie brzmiały słowa p. Czackiego, bo jej myśl już tylko królem była zajęta. Natychmiast więc zaczęły się narady z p. Urbańską o jutrzejszej prezentacji i długo w noc się ciągnęły i długo jeszcze marzenia słodkie zasnąć wdowie nie dały.

Nazajutrz przed dziesiątą król ubrany oczekiwał ciekawie przybycia zapowiedzianej damy, twarz miał wypogodzoną, a wiadomo i z podania i z portretów, jak ta twarz piękną była i ujmującą. Piękny paź Serafin Płotnicki pełnił dnia tego służbę przy królu. Na pokojach mało się jeszcze zebrało osób, ale starosta nowogródzki już się między nimi znajdował, niespokojnie oczekując swojej klijentki. Płotnicki, młody, żywy dworak, wyglądał także owej piękności, o której wczorajszego wieczora jedynie tylko na pokojach mówiono. Służbie zapowiedziano, żeby przed damą w żałobie, podwoje były otwarte; jakoż o

10-ej otworzyły się podwoje i weszła pani Urbanowska w pełnej żałobie i w całej świetności swych wdzięków. Serce jej gwałtownie biło, interesująca bladość pokryła lica. Płotnicki spotkał ją przy drzwiach, chciał coś przemówić i słowa mu na ustach uwięzły, chcąc ukryć pomięszanie, pośpieszył do króla z oznajmieniem przybycia pięknej wdowy, a tym czasem p. starosta witał ją i ośmielał. W kilka minut Płotnicki zwiastował, że najjaśniejszy pan prosi p. Urbanowskę do swego gabinetu, p. Czacki podał rękę Ludwice i do drzwi królewskich odprowadził. Po kwadransie może wezwał król p. starostę, wdowa siedziała w królewskiem krześle, jeszcze łzy nie oschły na oczach, a już twarz jaśniała radością i dumą. „Interes p. Urbanowskiej jest ważny, polecam go sumieniu i gorliwości wmpana, chciej sam wybadać na miejscu jak się rzecz ma; niech krzywda i ucisk wdowy sprawiedliwie wynagrodzone zostaną. Klijentka twoja, jest moją klijentką, bo król winien ojcowską opiekę wszystkim swoim poddanym, a szczególniej sierocie i wdowie". „A do tego pięknej wdowie", mruknął sobie pod nos Płotnicki. „Serafinie! rzekł król do pazia, „asystuj p. Urbanowskiej do pani Krakowskiej moim ekwipażem". Wstał król, podał rękę Ludwice i do drzwi sali odprowadził, a żegnając do zobaczenia, piękną rączkę ucałował. P. Czacki został u króla i dowiedział się, że w interesie wdowy pośpiechu nie potrzeba.

Płotnicki wprowadził Ludwikę do karety, w której z uszanowaniem na przodzie usiadł; ani na chwilkę oczu swoich odwrócić nie mógł od pięknego oblicza wdowy, ale ta, o czemże się zadumała? Marzyły jej się swoboda, majątek zmarłego męża, życie w stolicy, łaska, może nawet więcej niż łaska zalotnego monarchy. Serafin śledził jej myśli, może po części je odgadywał, milczał biedny i wzdychał. Wdowa nie patrzała na niego, a jeżeli kiedy ich wejrzenia spotkały się, w oczach Ludwiki był chłód i duma, w wejrzeniach Serafina malowały się uczucia ro-

dzącej się w sercu jego miłości. Wejrzeń pazia nie rozumiała piękna pani, bo jej myśl wysoko latała, bo w jej sercu było pusto i zimno. Nie uszła wprawdzie jej uwagi piękna twarz młodzieńca i jego wyższe ukształcenie, ale że to był paź tylko, więc ta uwaga żadnego w pamięci śladu nie zostawiła.

Pani Branicka, kasztelanowa krakowska, mieszkała na Senatorskiej ulicy, podróż więc od zamku nie długo trwała. Płotnicki wprowadził p. Urbanowskę na pokoje i pobiegł oznajmić pani Krakowskiej i oddać bilecik królewski, w którym młodą wdowę jej protekcji polecał. Znaną była przystępność, dobroć i popularność tej nieskażonej obyczajami panującemi w Polsce, tej wzorowej polskiej damy. Ani braterstwo panującego, ani dostojeństwo osobiste ani opinje i obyczaje czasowe nie zmieniły w niej cnót, cechujących nasze starodawne matrony. P. Branicka surowa względem siebie, pobłażającym okiem na świat otaczający ją patrzała. Więcej pół wieku, od tych czasów upłynęło, a jeszcze od Białegostoku do Warszawy i Wilna imię jej z wdzięcznością i uwielbieniem wspominają!—P. Krakowska uprzejmie powitała Ludwikę i ze współczuciem wybadywała jej położenie. Umiała wdowa przybrać postać skromną uciśnionej, a łatwość wysłowienia się podawała do ust wyrażenia tkliwe, silne i ujmujące. P. Krakowska zatrzymała ją na cały dzień u siebie i odprawiła pazia i ekwipaż królewski. Biedny Serafin sam powracał, w ciągu posłuchania układał sobie, co jadącej z nim wdowie ma powiedzieć, jak trafnie uczucie jej wybadać i jakby wyrażeniami pełnemi uszanowania i miłości trafić do serca wdowy zapewne swobodnego jeszcze. Ale cały ten pięknie ułożony djalog z pięknych marzeń wysnuty, kilka słów siostry królewskiej zniweczyło. Jechał smutny i gniewny, a w sercu odzywało się jeszcze inne uczucie, którego nie śmiał rozwinąć, a wyrzucić z serca nie miał odwagi. Stanąwszy przed królem zdał sprawę ze swego posłannictwa, a król klepiąc go po ramieniu:

„a co piękna wdówka?“ rzecze: „Piękna najjaśniejszy panie!“ „A może i do serca p. Serafinowi przypadła?“ Zapłonił się na te słowa Płotnicki, spuścił oczy, król mówił dalej: „staraj się podobać p. Urbanowskiej, wdowa i swobodna; ale cię przestrzegam, że póki w Warszawie, to silnych i możnych współzawodników mieć będziesz. Nie zrażaj się jednak, audaces fortuna juvat“. Serafin ucałował rękę łaskawego pana, wyszedł, i odtąd marzenie pojęcia w małżeństwo pięknej wdowy stało się celem jedynym, jedynym jego żywiołem.

Tymczasem u pani Krakowskiej Ludwika poznała wiele dam pierwszej dystynkcji i wszystkie, a osobliwie poważne matrony niezazdrośne jej wdzięków, okazywały jej swoje współczucie. Pani Branicka tak ją polubiła, że sama woziła ją po wizytach i na wieczory zamkowe wprowadziła. Pochlebiało to dumie naszej wdowy i pomału, pomału zapomniała o swojem położeniu i rada była, że rozwiązanie jej interesu opóźnia się.

Pani Grabowska, szczycąca się już naówczas względami króla, które później tak jawnemi się stały, widziała w p. Urbanowskiej piękną nowość, i lękała się ujrzeć rywalkę, niebezpieczną rywalkę, ale zachowując cały pozór bezinteresowności, zręcznie udając współczucie, nalegała na króla, ażeby nie pozwalał wdowie tak długo cierpieć i rozwiązanie jej sprawy przyśpieszył. Płotnicki najczęściej używany do posłannictwa w stosunkach z królem, a ośmielony szczególną dla siebie p. Grabowskiej protekcją, z zapałem mówił o Ludwice i wydał się mimowolnie z tajonemi dotąd uczuciami. Nie dała poznać po sobie p. Krajczyna, że pojęła stan serca młodego pazia, ale uradowana w duszy, przedsięwzięła nieznacznie pomagać mu i nastawała delikatnie na króla i o wsparcie rychłe dla wdowy i o promocję dla pazia.

Ludwika rzucona w odmęt światowy, zajęta blaskiem, który ją otaczał, ufna we wdzięki swoje i w protekcję p. Krakowskiej, była pełna nadziei panowania nad panu-

jącym, zapomniała o roli, jaką jej wygrywać należało, a nawet o istotnem swojem położeniu. Ani wspomnienia na przyszłość, ani rozsądne przyjacielskie uwagi panny Urbańskiej, nic jej nawrócić nie mogło. Czas upływał, finanse się wyczerpały i coś w złem się świetle przyszłość okazywała.

P. Krzysztof wywiedziawszy się od przyjaciół, że bratowa w Warszawie i że jej się udało zainteresować króla i cały świat wyższy stolicy, wybierał się do Warszawy, ażeby tam użyć środków dla przeszkodzenia działaniom wdowy. P. Koniuszewski, uwolniwszy się z obowiązku u Urbanowskich, posiadacz wioski w sąsiedztwie, miał ciągłe na oku, co się dzieje w Cepcewiczach, a skoro usłyszał o zamiarze p. Krzysztofa, dniem i nocą puścił się do stolicy, ażeby interes siostry jak najśpieszniej do końca doprowadzić i ją samą ztamtąd wydobyć. Mała niedyspozycja opóźniła wyjazd p. Krzysztofa, p. Koniuszewski tymczasem był już w Warszawie, a wiedząc z listów Ludwiki, że p. Czacki interesuje się jej sprawą, do niego najpierwiej się udał. Tymczasem król na naleganie p. Grabowskiej, wezwał p. Czackiego i polecił mu towarzyszyć wdowie na Polesie i tam najpomyślniej interes jej załatwić, bez ujmy w czemkolwiek honorowi szlacheckiemu braci jej męża. Rzecz nie cierpiała zwłoki. Czackiego wszystkie chwile poświęcone były usłudze kraju, tym wyjazdem przerwać je potrzeba było, i na ten raz gorliwość o dobro ojczyzny, prywatnemu interesowi ustąpić musiała.

P. Urbanowska olśniona swem powodzeniem, już nawet o zwleczeniu żałoby zamyślała i właśnie nad wyborem strojów z p. Urbańską naradzała się, kiedy lokaj oznajmił p. Koniuszewskiego. Ludwika oczekiwała go niecierpliwie i z nim pieniężnego zasiłku, na którym już jej bardzo zbywało, pobiegła więc śpiesznie ku wchodzącemu wołając: „Ach bracie kochany, witam cię sercem pełnem radości! zapewne przywozisz mi pieniądze, ach! dawaj prędzej, dawaj! nie uwierzysz jak dziś wielkie są

moje potrzeby". To, co przywiozłem pani siostrze, wystarczy na wygodny powrót". „Dokąd powrót," „Do Cepcewicz, do domu". „Mój dom — Warszawa". „Ale Warszawa daje wydatki, a przychodów żadnych, zkąd więc p. siostra żyć będziesz?" „Alboteż do wmpana nie pisałam, że potrzebuję pieniędzy?" „Z jakichże je miałem czerpać funduszów?" „Było pożyczyć!" „A na jakiej hipotece?" „Czyż majątek mego męża niedostateczny dla zabezpieczenia pożyczki?" „A maszże p. siostra jakie do niego prawo? Czyż p. Michał zrobił jakie rozporządzenie, zabezpieczające fundusz dla jego wdowy?"

Tych kilka słów jak grom uderzyły umysł Ludwiki. Od dwuch miesięcy pobytu w Warszawie, nigdy przez myśl jej nie przeszło zastanowić się nad prawdziwem swojem położeniem; smutna prawda rozwinęła się w całem swem świetle. Zamilkła, załamała ręce i w tej postawie rysy jej charakter rozpaczy przybrały. Ale to jak błyskawica przelsnęło; w moment z żywością rzeknie: „a moje 20,000 u p. Przyłuskiej?" „Podniosłem je, i z sobą przywiozłem". „No! to dawajże prędzej! dawaj!" „Zaraz, niech jednak wprzódy p. siostra zechce spojrzeć na te dwie kartki, są to jej rachunki z kupcami, rzemieślnikami, sługami i gospodarzem domu, w którym masz mieszkanie i ekwipaż". „Czyż to tak wielka suma?" „Proszę zobaczyć". „Urbansiu! przejrzyj, proszę cię te głupstwa i powiedz mi, wiele tam tego wszystkiego". „Oprócz stołu dla nas i troiga ludzi, na robotę strojów, sukien etc. etc. za szal, za tualetę z przyborem, za lokal z meblami, za ekwipaż, pensii dwom lokajom etc. etc., ogółem 720 czerw. złot. Kucharz i stół 100 dukatów zostaje więc pani 180, a i p. cześnikowi pani coś winna" dodała p. Urbańska. „Ja mego nie liczę, bo między rodziną rachunków niema. Da Pan Bóg p. siostrze, a będę w potrzebie, wtedy udam się do siostry o pomoc". „Ja niczyjej darowizny nie potrzebuję" zawołała Ludwika i porwawszy pióro napisała szwagrowi rewers na 200 dukatów wzięte, jadąc do Warszawy. Pro-

szę mię ze swej kurateli uwolnić, sama sobie w świecie dać radę potrafię. A do tego proszę wiedzieć, że mię najwyższa okrywa protekcja". To rzekłszy wyszła do gabinetu i drzwi za sobą zatrzasnęła. Z litością p. cześnik poglądał za odchodzącą, p. Urbańska pomięszana nie miała co powiedzieć i chwilę jakąś trwało milczenie, przerwał je cześnik: „I cóż p. Urbańska! także to was zmieniła Warszawa, że i przeszłości nie zapomniały i na przyszłość względów nie macie?" „Ach! p. cześniku! nie opuszczaj nas! Piękność Ludwiki, świetne jej powodzenie zdziałała: wielkości głowę jej zawróciły, ani ją zwrócić na jej drogę nie można!" „Czemuż wmpanna nie starałaś się okazać fałszywego jej położenia?" „Niestetyż p. cześniku! żadnej nad nią nie mam mocy, a jeśli kiedy odważę się zrobić jej jaką uwagę, odpowiada mi z gniewem: „Proszę mię rozumu nie uczyć". „Więc na mnie spada cały ciężar wyrwania jej z tego odmętu? dobrze! działam i działać będę, choćbym się miał narazić na jej gniew, a może i na wyższą niełaskę". „O! nie, o to zdaje się nie ma co się lękać; król już nie jest w tem oczarowaniu względem Ludwiki, samej piękności za mało dla Stanisława Augusta; grzecznym jest dla Ludwiki również jak dla drugich i nic więcej". „Czegoż więc bawić w Warszawie?" „Bawimy się, i w zabawach przeszłość i przyszłość utopić chcemy". Ledwie tych słów domówiła, wszedł p. starosta Nowogródzki nieopowiedziany, bo wizyty jego w każdej porze nie anonsowały się p. Urbanowskiej, cześnika ścisnął za rękę i rzekł mu z cicha: „wszystko skończone, możecie wyjeżdżać, ja za wami pocztą pośpieszę". Zapytał potem głośno o p. Urbanowskę.

Na ten głos śpiesznie wyszła Ludwika z nieco zapłakanemi oczyma i czule witała p. starostę. „Winszuję ci piękna klijentko! Najjaśn. pan kazał oświadczyć ci, że twój interes skończony. Jedź pani spokojna! mnie polecił jechać za tobą i w Cepcewiczach z pp. Urbanowskiemi w imieniu królewskiem traktować. Spełniając rozkaz monar-

chy, twoich pani oczekuję rozkazów". Te słowa, jak grom uderzyły umysł i serce wdowy, zbladła, zachwiała się i głośnym płaczem rozległy się jej pokoje. Uspakajał starosta płaczącą, ale jego wzniosłe uczucia nie pojmowały i pojmować nie mogły stanu duszy Ludwiki. Widziała koniec wymarzonej świetności swojej karjery, uleciały sny pochlebne, znikła nadzieja oczekiwanej zdala wielkości! Była już tylko znowu tąż samą wdową, żebrzącą u ludzi wsparcia, pomocy, ale między temi ludźmi, na żadnym nie jaśniała korona. Poddała się więc zupełnie żalowi, a wśród łez gorących, ledwie słów kilka zimnego podziękowania wybąknęła. P. starosta przypisywał te płacze wzruszeniem serca przepełnionego wdzięcznością i radością, a poleciwszy p. Ludwikę staraniom cześnika i Urbańskiej ucałował rączkę wdowy, i do widzenia w drodze pożegnał. Pozostawszy z domowemi tylko poddała się najsroższym wyrzekaniom, nie szczędząc ani p. starosty, ani samego króla.

W godzinę może potem, oznajmiono p. szambelana Płotnickiego. „Szambelana?" powtórzyły razem Ludwika i Urbańska „prosić!" Wszedł Serafin w stroju szambelańskim i z kluczem złotym u stanu; bogaty ubior dodał wdzięków pięknemu młodzieńcowi, ale wszedł nie śmiało, ledwie odważył się spojrzeć na p. Urbanowską, postąpił ku niej z uszanowaniem, skłonił się i rzekł zcicha. „Najjaśniejszy pan rozkazał mi złożyć pani najczulsze pożegnanie i upewnić ją o jego monarszej życzliwości i protekcji". To mówiąc, złożył na stoliku ponsowe marokinowe w złoto oprawne pudełko. Obrażona duma Ludwiki, że król sam osobiście nie przyjechał ją pożegnać, nadały rysom wdowy wspaniały charakter, z góry więc poglądając na Płotnickiego rzecze: „Nie należy mi przyjmować daru, na który nie zasłużyłam, ani najjaśniejszy pan ma obowiązek obdarzać mię jakim upominkiem; wielkie odebrałam dobrodziejstwa, w protekcji jaką najjaśniejszy pan zaszczycić mię raczył przeciw uciskającym mię krewnym mojego

nieodżałowanego męża, wdzięczność dla najłaskawszego monarchy, poniosę w najodleglejszy zakątek i w sercu na zawsze zachowam, ale daru tego, najjaśniejszy pan niech mi pozwoli nie przyjąć". To mówiąc zalała się łzami, a gdy dla obtarcia oczu podniosła ręce, Płotnicki zręcznie pocisnął sprężynę, pudełko się otworzyło i mimowolne: ach! pobudziło Ludwikę do odkrycia oczu, których wejrzenie, jak magnes żelazo, przyciągnęły brylanty. Ale się pomiarkowała, zamknęła pudełko, i chciała je oddać szambelanowi. „Nie, pani! nic mię nie skłoni, do zwrócenia najjaśn. panu tego, co mi dla oddania pani powierzyć raczył; może kto inny tego się podejmie, a mnie chciej pani pozwolić, na ten raz być nieposłusznym jej rozkazom, całem życiem nagradzać będę to moje uchybienie", i zabierał się do wyjścia.

Jak on jest miły, jak się pięknie tłumaczy, pomyślała wdowa: i obracając się do Serafina, rzeknie; p. szambelan czego tak się śpieszy? czy go służba do skorego powrotu zmusza? „Nie pani! dziś kolej p. Axamitowskiego, a ja to tylko jedno zlecenie od najaśn. pana miałem". „Więc proszę zabawić" rzekła wdowa. „Odurzona światłem, nie korzystałam z częstych odwiedzin pana, ale teraz mając już opuścić Warszawę, miło mi będzie wspomnieć, że i tu kogoś życzliwego mi zostawiłam". „Życzliwego? jakże małemi sądzisz pani i błahemi cenisz uczucia tych, którzy ją w milczeniu uwielbiają". „Jakto w panu widać dwór zalotnego monarchy!" „Czy pani w silniejsze uczucia nie wierzysz". Prawie nie; słowa pana, jest to język dworu Stanisława Augusta, galanterją zwany na wielkim świecie i bardzo tam popłaca, a dla nas prowincjonalnych prostaków niezrozumiały". „Czy pani każesz i po prostu się tłumaczyć". „Uwalniam pana od tej fatygi: parafjanka, mogłabym piękne wyrażenia jego wziąć za szczere". „Alboż pani i w szczerość naszą nie wierzysz? „Na teatrze, tyle nasłuchałam się oświadczeń, wynurzeń, a nawet przysięg, że i na świecie będąc i słysząc piękne

mężczyzn wyrażenia, zdaje mi się, że jestem na komedji. „A jeżeli czas usprawiedliwi te oświadczenia?“ „Więc zostawmy to czasowi“, rzekła Ludwika wstając, Serafin wstał także, zabierając się do pożegnania. „Żegnam pana szambelana“, rzeknie podając rękę, którą Serafin po stokroć ucałował, ani mu jej odjęto. „Czy pani pozwoli pisywać do siebie? „O! czemuż nie! kto tak pięknie ustnie się tłumaczy, tego zapewnie i listy, godne są czytania“. „A jeżeliby w nich silniejsze uczucia przebijać się miały?“ „Okoliczności wskażą, czy je omijać, czy czytać będzie należało“. Uradowany szambelan jeszcze raz ucałował rękę p. Urbanowskiej, uczuł nawet lekkie swojej ściśnięcie, pełen nadziei wyszedł i wdowa do drzwi salonu go odprowadziła.

Szczęście towarzyszące Ludwice wypieściło ją i zepsuło, bo ani religijne, ani ścisłe moralne było jej wychowanie. Serce dotąd złudzeniom tylko dostępne, prawdziwej miłości nie znało, a rozdrażnienie moralne, w jakim ją zbieg okoliczności postawił, usposobiło to serce do zdrowych i silnych wrażeń. Z drugiej strony oczy jej otworzyły się prawdziwie, poznała istotnie obecne swoje położenie i przekonała się, że droga, którą szła dotąd była mylną, i że inny charakter, inny tryb życia przybrać potrzeba; ale nie pokazała jednak po sobie tej zmiany sposobu myślenia i ton swój zachować chciała. Grzeczniej przecież mówiła ze szwagrem, i niby z trudnością na wyjazd przystawała. Oświadczała się, że upominek królowi odeszle, ale Cześnik dał jej poznać, że to byłoby niedorzecznością, i że kiedy już do tego przyszło, że król Imc udarował ją upominkiem, dar ten koniecznie przyjąć należało. Otworzyła Ludwika pudełko, popatrzała, uśmiechnęła się, zamknęła i do szkatułki schowała. Nazajutrz p. Urbanowska pożegnalne wizyty oddawała, p. Koniuszewski rozpłacał się z dłużnikami, panna Urbańska rzeczy do podróży układała.

Ludwika udała się naprzód do pani Krakowskiej i

przyjęcie uprzejme znalazła, ale ją zdziwiło, gdy p. kasztelanowa zaczęła jej pochwalać zamiar opuszczenia Warszawy, gdzie dłuższy pobyt mógłby przynieść szwank jej dobremu imieniowi, zwłaszcza, że Warszawa obfituje w ludzi, mających jedynie za cel życia intrygi i plotki. „Powracaj moje dziecię w twoje strony, tam los jeszcze zrobić możesz. Protekcja króla brata mojego i w najodleglejszym państw jego zakątku dosięgnąć ciebie potrafi. Abyś i o mnie nie zapomniała, to proszę cię, abyś na tych paciorkach codziennie pacierze twe odmawiała i za mnie westchnęła". To mówiąc, zarzuciła na szyję Ludwiki kosztowny różaniec z koralów, z wizerunkiem złotym Zbawiciela, misternej roboty. Uklękła wdowa przed panią Krakowską i z uszanowaniem religijnem przyjęła dar szacowny, całując rękę czcigodnej dawczyni upominku. Nigdy jeszcze podobne uczucie nie obudziło się w sercu wdowy, bo może raz pierwszy w życiu uczuła, że w religji tylko prawdziwą pociechę i męztwo do znoszenia trosk znaleźć można. Lecz to uczucie prędko przeminęło, bo jeszcze myśl za światem ulatywała. Wszędzie p. Urbanowskę grzecznie przyjęto, ale nikt jej nie powiedział: zostań! nie znalazła nawet ani w jednej z dam znajomych, uprzejmości, choć pozór mającej przyjaźni, wszędzie światowo była przyjęta. Znikło zupełnie oczarowanie. Uczuła dopiero wdowa, że dla powodzenia na dworskim świecie potrzeba albo niezmiennej u dworu wziętości, do czego sama piękność nie wystarczała, albo sił umysłu imponujących, pod pozorem pewnej układności; poznała, że być w modzie jest za mało, bo moda zmienna i nie stała. Znużona zimnemi wizytami i z ściśnionem sercem, do siebie wróciła. Panna Urbańska, postrzegłszy na jej szyi okazały różaniec, zapytała u kogoby ten drogi klejnot kupiła? Przypomniała sobie Ludwika szacowny upominek i ucałowała krzyż na nim zawieszony. Nie było w tem uniesieniu światowej próżności, serce uciśnione potrzebowało pociechy i po raz pierwszy może uczucie religijne zstąpi-

ło do uciśnionego serca. Nazajutrz p. Urbanowska z towarzyszami podróży, wysłuchawszy mszy św. u św. Krzyża, Warszawę na zawsze opuściła.

Wróciwszy na Polesie, p. Urbanowska zamieszkała u szwagra. P. Krzysztof uwiadomiony o wszystkiem od starosty nowogródzkiego oczekiwał jego przybycia, odwiedził bratowę i na mieszkanie do Cepcewicz zapraszał, ale odrzuciła wezwanie, warując tylko sobie odwiedzanie syna i bywanie jego u matki. Nadjechał p. Czacki i p. Czacki i p. Urbanowska do Cepcewicz przybyła. P. Czacki ułożył pomyślnie dla niej cały interes, wypłacono jej intercyzą zapewnione 20,000 zł. i dano na własność ładną wioskę z Cepcewickiego klucza, gdzie p. Krzysztof zobowiązał się wystawić dom porządny i całe gospodarstwo w przeciągu roku zaprowadzić, a tymczasem p. Urbanowska zamieszkać miała cały jeden pawilon Cepcewickiego pałacu. Zrzekła się pretensji do opieki nad synem, warując sobie, iż skoro zamieszka w swojej wiosce, Teodorek każde święta u niej przepędzi. Stanął pokój i p. starosta zadowolony obu stron powolnością pożegnał Ludwikę i do Warszawy powrócił. W rok potem p. Urbanowska zamieszkała w Trosteńcu, p. Cześnik pomagał jej w gospodarstwie, syna często przywożono i po kilka dni bawił, nawet p. Krzysztof nierzadko i uprzejmie ją odwiedzał; i była zupełnie szczęśliwą, i Warszawa z głowy jej wyszła.

We dwa lata później, zachciało się p. Urbanowskiej pojechać na kontrakty do Dubna. Z dochodów wioski grosz się zebrał, bo go stracić nie było na co, a i 20,000 leżało w całości. Z tych zasobów wypłaciła 100 czer. zł. p. Koniuszewskiemu, ale szwagier procentu nie przyjął. W Dubnie znaleźli się znajomi obywatele z Wołynia i z Warszawy. Ludwika zaraz po przybyciu udała się do p. kasztelanowej Przyłuskiej, której dawno już nie widziała. Mile ją przyjęła kasztelanowa i wymawiała, dlaczego owdowiawszy, u niej przytułku nie szukała; „ale to już

przeszło“ mówiła dalej „powiedz-że mi jak ci się w Warszawie powodziło?“ Ludwika opisywała cały swój pobyt w stolicy, wiele okliczności opuściła, a o upominku królewskim ani wspomniała. Kasztelanowa zajmowała cały większy dom Urbanowskich i część jego bratowej ustąpiła. Dom kasztelanowej otwarty i mnóstwo bywało u niej codziennie osób dystygowanych płci obojej. P. Urbanowska, której byt dobry i spokojność całą świeżość wdzięków wróciły, zajaśniała znowu w towarzystwach. Żywość naturalną przytłumiło cokolwiek doświadczenie, a zalotność rozwinięta w Warszawie, lubo w przyzwoitości granicach pozostała, zachwycała jednak jeszcze mężczyzn, a dam nie obrażała. Książę Michał Lubomirski, zebranych u siebie kontraktowych obywateli mile przyjmował, zamek rozlegał się dźwiękami wybornej jego muzyki, sale brzmiały hucznemi balami. Pierwszą pięknością Wołynia i Ukrainy była p. Protowa Potocka, synowica księcia, pierwszą po niej mężczyźni przyznawali p. Urbanowskę i książę zdanie ich podzielał. Powodzenie Ludwiki na świecie dubieńskim było wielkie, ale wsparta radami p. Przyłuskiej miała się na ostrożności.

Przy p. kasztelanowej bawił, pokrewny p. Wiktor Urbanowski, młody człowiek, nie piękny, ale bardzo miły z charakteru i prezentowania się w towarzystwie i na wieczorach u p. Przyłuskiej był gospodarzem. Następował takowy wieczór, p. Wiktor, całując rękę kasztelanowej, zapytał: „czy pozwoli ciocia zaprezentować sobie, świeżo tu przybyłego z Warszawy kawalera?“ „I owszem, ale któż to jest?“ „P. szambelan Płotnicki“. „A ha, ha, znajomy Ludwice z Warszawy, ma być piękny i pięknie ukształcony?“ „Niezawodnie. Wyznać potrzeba, że piękniejszego nad niego kawalera w naszem zebraniu nie mamy, a o ukształceniu tego, który był paziem naszego króla, czyż wątpić można?“ „Więc proszę wprowadź, miło mi będzie poznać p. szambelana“. O zmroku zjeżdżali się goście na bal do kasztelanowej, cała wyższa

noblessa opóźniała się, szlachta demokratyczna zebrała się najpierwsza. Ludwika pięknie ubrana w białej atłasowej kwitce z gazową kwiatami obszytą spodnicą, na głowie opaska z aksamitu, spięta fermoarem królewskim i białe pióro, w uszach kolczyki do fermoaru należące. Świetniała tego wieczora i równie pięknej sobie nie miała. Rój młodzieży ją otaczał, każdy rad był choć jedno uchwycić spojrzenie, ale to spojrzenie na nikogo jeszcze nie padło. P. Wiktor wprowadził p. Płotnickiego, uprzejma gospodyni mile powitała gościa, Ludwika zarumieniła się, nieco zmięszała, ale to tylko chwilkę, wnet przyszedłszy do siebie grzecznym ukłonem odpowiedziała na powitanie szambelana. „Pani tak łaskawa raczyłaś mię sobie przypomnieć?“ „Dobrych przyjaciół się nie zapomina“. „Więc pani mię tym drogim tytułem zaszczycać raczysz?“ „Czyż nieznaliśmy się w Warszawie!“ „O w Warszawie rzekł westchnąwszy“, czyżbym śmiał był ubiegać się o względy pani?“ „Zapomnijmy o tem, a teraz bądźmy dobremi przyjaciółmi!“ To rzekłszy podała do poloneza rękę, którą z uczuciem ucałował. „Pani mię nie pytasz o nowiny Warszawskie?“ „Przez lat trzy zamieszkania mego na wsi, pobyt mój w Warszawie poszedł w zapomnienie“. „A jednak pamięć jej dotąd tam pozostała“. Ludwika badawczy wzrok rzuciła na szambelana, i radaby była coś usłyszeć o królu i bała się, ażeby o nim nie wspomniał. Płotnicki dalej rzecz prowadził: „Pani Krakowska zawsze panią wspomina, inne damy rade by cię w wiecznej niepamięci zagrzebać, boś pani nie w jednem sercu drogie wspomnienie zostawiła“. „Nie mam ciekawości wybadywać pana o tem, co się stało po moim wyjeździe z Warszawy, a co było przed wyjazdem z odmianą mojego położenia, w niepamięć poszło. P. staroście nowogródzkiemu dozgonną zachowam wdzięczność, a więcej dla nikogo nie mam obowiązków“. „Dla nikogo?“ „Masz pan słuszność, tak masz pan słuszność, macierzyńska protekcja p. Krakowskiej głęboko w sercu mojem zapisana, a jej upominek do zgo-

nu mię nie odstąpi". „Czy i inne upominki z Warszawy teiże są ceny?" zapytał Serafin, poglądając na klejnoty p. Urbanowskiej. Zmięszała się Ludwika zabierała się na odpowiedź, a tymczasem taniec się zakończył.

Weszły tańce skoczne, Płotnickiemu nikt w nich nie wyrównał. Ile było dam, każda żądała być wybraną przez pięknego tancerza, on udzielał się wszystkim, najwięcej jednak tańczył z p. Urbanowską. Pochlebiało to wdowie i przy podziękowaniu za taniec, nie jednem uściśnieniem ręki dała mu poznać swoje zadowolenie. Na prośbę księcia tańczył z księżną menueta, potem z innemi damami matlota, peregordin, ale kiedy z Ludwiką posunął allemanda, wszyscy zachwyceni byli i pięknością tańca na prowincji nieznanego, a jeszcze więcej pięknością pary tańcującej. Głośny okrzyk malował jawnie zachwycenie całego zgromadzenia, książę dziękował obojgu tancerzom i zamówił sobie powtórzenie tej przyjemności na następnym u siebie balu. Allemand ten zwyciężył wdowę, przypomniała sobie Płotnickiego w Warszawie, poznała jakie były jego podówczas uczucia i życzyła sobie w duszy, ażeby trzy lata rozdzielenia uczuć tych w sercu pięknego Serafina nie zatarły. Szambelanowi również przeszłość stanęła w oczach. Ludwika zawsze piękna, pani swej ręki, o! gdyby uczucia jego podzielać chciała! Ale Płotnicki szczupłego był majątku, liczną miał rodzinę na Litwie, a wioska jedna ledwie wystarczała na skromne szlacheckie utrzymanie. Nie śmiał więc podawać się lubemu marzeniu pojęcia w małżeństwo pięknej wdowy.

Nazajutrz po balu p. Przyłuska zapytała Ludwiki, co sądzi o swoim tancerzu? „A wie ciocia, w Warszawie nie przypatrzyłam się p. Płotnickiemu, paź mało mię interesował". „Bo może wyżej oczy twoje bujały". Zapłoniła się Ludwika i oczy spuściła, kasztelanowa mówiła dalej: „Ale jakże znajdujesz szambelana?" „Bardzo dobrze". „I podobał ci się?" „Możesz nie podobać się człowiek tak dobrze ukształcony?" „I wyszłabyś za niego?" „Nad tem,

kochana ciociu, pomyśleć potrzeba. Nadto byłam szczęśliwą z Michałem, ażebym się mogła spodziewać podobnego szczęścia za drugim". „Ale tak młoda, myślisz-że we wdowieństwie czekać starości?" „A tyż, ciocia, nie jesteś-że szczęśliwą?" Szczęśliwą? bez potomstwa? A po tem, uważ, że ja owdowiałam o wiele lat starszą od ciebie". „Zostawmy to czasowi, co mi przeznaczone, to mię nie minie". Na następnych balach, wszędzie Serafin i Ludwika świetnieli w pośród młodzieży i powszechnem zdaniem było, że dla siebie stworzeni. Szambelan przed wyjazdem z Dubna, na pożegnaniu u p. Przyłuskiej, otrzymał pozwolenie w przejeździe do Litwy odwiedzić p. Urbanowskę w Trosteńcu. Wróciła Ludwika do domu, ale klejnoty przypominające Serafinowi Warszawę ustąpione ks. Józefowej Lubomirskiej za znaczną sumę pozostały w Dubnie. P. szambelan w Trosteńcu oświadczył się, otrzymał przyrzeczenie, a we trzy miesiące po powrocie z Litwy p. Urbanowska została szambelanową, szczęśliwą małżonką pięknego Serafina.

Wiele lat upłynęło od tego czasu, syn jej Urbanowski był już pełnoletni, z Płotnickim miała trzech i najstarszemu było już lat dziesięć. Różnie bywało w ich pożyciu, można jednak oddać sprawiedliwość Ludwice, że mimo wyskoków p. Serafina, kochała go, najlepszą była żoną, chociaż jeszcze pięknej na wielbicielach nie zbywało.

W tej właśnie epoce swego życia i w Bystrzycach pokazała się, a mimo cztery krzyżyki wieku, pięknie wyglądała, a do tego mówna i wesoła, towarzystwa, jak mówiono, nie zakwasiła; wiele mówiła o synu swoim Teodorze, którego powrotu z Paryża codziennie spodziewała się. Z nią była p. Justyna Płotnicka siostra szambelana, o wiele lat od niej młodsza niepiękna, ale miłego ułożenia, wiele rozumu i dobrą dozę zalotności mająca, ztąd też pożądana w towarzystwie. U kasztelanicostwa pierwszy raz się pokazała i wszystkich życzliwości pozyskać sobie potrafiła, a mój poczciwy wujaszek, od tej chwili uczuł

dla niej coś więcej w swem sercu niż powszechną życzliwość.

Pierwszy dzień Świąt postanowiono bawić się w kostiumach. Młodzież ułożyła krakowski kadryl w krakowskich ubiorach, panny Marja Mossakowska, Płotnicka, Anna Lubieniecka, Zofja Oświecimska, krakowianki; krakowiacy, pp. Ignacy i Klemens Walewscy, Ignacy Wyleżyński brat Krzysztofa i Jana i Konopka. Damy nawet poważniejsze przybierały ubiory, to narodów rozmaitych, to bóstw pogańskich, a wszystkich ogólnie stroje były charakterystyczne i piękne. Sąsiedzi Lubieniecy nie mało przyczynili się do wesołości tego wieczora, familjną kompanją swoją, poprzebierawszy się za chłopskie wesele, ze skrzypcami, z pieśniami i pysznym tortem w kształcie korowaja zrobionym, wpadli niespodziewanie na salę i najżywszem zadowoleniem gospodarzów napełnili. Wrzała wesołość i kiedy w najlepsze się bawiono, dano znać, że kozak umyślny z Cepcewicz przyjechał z listem do p. szambelanowej. List był od syna Teodora, który wróciwszy z zagranicy śpieszył powitać matkę, ale jej w domu nie zastał, a do nieznajomych jechać nie śmiał, oczekuje więc niecierpliwie powrotu mamy w Cepcewiczach. Niemdana była radość p. Płotnickiej; po trzech latach rozdzielenia, miała syna zobaczyć, niezależnym panem pięknego majątku, z wykształconym umysłem i sercem. Czy w tej chwili, prócz radości macierzyńskiej było jeszcze jakie inne uczucie? czy myśl nie uleciała za jakiemiś marzeniami przeszłości, to trudno odgadnąć. Ale nic już szambelanowej zatrzymać nie mogło, p. Justyna niechętnie się wybierała, żal było balu i tak miłego towarzystwa, bo w Cepcewiczach żadne zabawy nie czekały, bo i dom restauracji potrzebował i młody gospodarz w sąsiedztwie nieznany. Damy więc wśród nocy, nie zmieniając prawie ubiorów wyjechały. P. Płotnicka zaprosiła mego wuja do Cepcewicz, chętnie przyjął wezwanie wujaszek, bo tam miał znaleźć Justynę.

Hrabstwo Chodkiewiczowie zjechali do siostry i dla nich w wilję Nowego roku graliśmy komedyjkę i wybornie nam się udała. Na nowy rok powiększyła się kompanja, bo w Międzyrzeczu, zwyczajnego na to święto obchodu nie było. My z nową zabawą wystąpiliśmy. W mniejszych pokojach przygotowane były dwa obrazki, dwoje drzwi do pobocznych gabinetów zakryte były przezroczami, na jednym był Wezuwjusz, na drugim widok domu Pekałowskiego przy świetle księżyca, oba mojego malowania i nieźle mi się udały. Po usunięciu Wezuwjusza, pokazała się za gazą przy białych i dobrze oświetlonych ścianach gromadka dzieci malowniczo ustawiona, na czele córka pp. Bieżyńskich, śliczna Michalinka, z pięknym bukietem, wierszami powitała ciotkę i wujaszka. Za widokiem Pekałowa odkryły się dwa kramiki różnych ładnych i dość kosztownych bagatelek, w każdym kramiku znajdowała się gospodyni, z niemiecka gustownie ubrana: p. Marja Mossakowska i moja siostra młodsza. Przede drzwiami na półkolumnach stały dwie urny i przy każdej schludnie ubrane dziecko, wyciągające, jedno numer fantu, drugie imiona osób, dla których fanty przeznaczone były. Długo z zadowoleniem wszystkich trwała ta loterja, bo jeśli komu i niestosowny fant dostał się, to jeszcze więcej wesołość obdarzało. Po ukończeniu loterji, cała kompanja przeszła do sali, gdzie tańce i wieczerza i znowu tańce, aż do drugiego stycznia do rana trwały.

ROZDZIAŁ VIII.

Wesoło było wszędzie, bo dobre były czasy. Lata urodzajne, handel kwitnął, grosz za groszem wpływał do skrzyń obywatelskich. I przemysł się rozwijał, różne rękodzieła i fabryki przedsiębrali możniejsi; huta kasztelanica, nietylko wyrabiała piękne szkła na użycie stołowe,

ale i angielskie kryształy naśladowała. Potasz Platerów z Dąbrowicy i Worcella z Podłużnego, z chciwością przez szyprów zakupowany, wielce w Gdańsku popłacał. Już i Odesa zaczynała się podnosić, bo już w niej kompanja polska zawiązała się. Chersońska i Mikołajewska admiralicja szukały drzewa na budowę okrętów w Polesiu. Lasy Lubomirskich i Steckich dostarczały materjałów, ale najwyborniejsze w puszczach kasztelanica znajdowały się; ogromne więc sumy napełniały kasy obywatelskie i interesa wszystkich żadnego niedostatku nie znały. Wołyń był zamożny, spokojny, a zatem wesoły; a czy to w pałacach miljonowych magnatów, czy w skromnych dworach jednowioskowej szlachty, wszędzie panował błogi dostatek i prawdziwa pomyślność, nikt nikomu nie zazdrościł, jednoczyli się wszyscy i cała prowincja szczęśliwą była. O! to był rok złoty! i takich następnie spodziewać się pozwalał! Ojcowska ręka mądrego monarchy, otarła łzy płaczących zgonu ojczyzny, a jego wielkomyślna opieka dla nowych poddanych, ani dawała uczuć, że pod obcem berłem żyjemy. Ustanowienie edukacyjnego rządu sprzyjało rozszerzeniu się oświecenia i zasmakowaniu w naukach. Ministrowanie Zawadowskiego stanowi wielką epokę w dziejach oświecenia Rosji. Wybrani najoświeceńsi mężowie przy sterze oświecenia, gorliwością, poświęceniem się tak ważnej sprawie, zasługiwali względy monarsze, wdzięczność wpsółziomków i uwielbienia potomności; imiona tych mężów dzieje wiecznej pamięci podadzą. Rozmaitość wyznań, języków i ustaw miejscowych, tylu różnorodnych prowincji, nie stanowiły żadnej różnicy w ojcowskiej opiece Aleksandra I-go, zarówno wszystkich był ojcem.

W tych to latach, mąż znakomity wielkiemi cnotami domowemi i publicznemi, wysoką nauką i poświęceniem się dobru powszechnemu, z zupełnem o sobie zapomnieniem, wytrwałością w przedsięwzięciu i dzielną wymową, nasz nieodżałowany Czacki, oddał się gorliwie trudne-

mu i często upokorzającemu zbieraniu funduszów na wzniesienie szkół wyższych na Wołyniu, na Podolu i w Kijowie. Zbierał podpisy po domach obywatelskich i wszędzie ze współczuciem i ze czcią winną takiej ofierze przyjmowany. Zbierał i na kontraktach kijowskich. Większa część obywateli podzielała szlachetne widoki Czackiego i chętnie piękne fundusze porobili; wielu niechętnie dawali, a znalazło się wielu i takich, co krociowe licząc majątki, składki zupełnie odmówili. Imiona pierwszych przejdą do potomności, ostatnich teraźniejsze nawet pokolenie już zapomniało. Wpływ wielki miało poświęcenie się Czackiego. Obywatelskie domy tak niedawno zapchane koczującą hordą napływowych Francuzów, przewodników do edukacji swych dzieci w pośród rodaków szukać zaczynały i sposób wychowania zmieniać się zaczął. Miło wspominać tę wielką epokę, bo ona rzuciła kamień węgielny przyszłej pomyślności krajowej i daleko po za granicą sławą mądrych ustaw zabrzmiała. Pod panowaniem Aleksandra I świetnie zakwitły nauki, dojrzałe owoce wydały i sława ich szeroko po świecie się rozniosła.

Rozjechali się goście z Bystrzyc, wuj na wezwanie pojechał do Cepcewicz, ja wróciłem do Tuczyna, gdzie w domu naszego czcigodnego dobroczyńcy, obok matki i siostr, pobyt był dla mnie najmilszy i tam zapusty przepędziłem. W początkach postu wuj zabrał mię do Cepcewicz do Teodora Urbanowskiego, gdzie od pierwszego poznania, więcej niż światową grzeczność u p. Teodora znalazłem. Wesołość moja i usposobienie w języku francuzkim ujęły mocno Teodora, bo też prócz niego i kuzyna jego Fryderyka Starzyńskiego, nikt po francusku nie mówił, mało kto nawet ten język rozumiał. Po dwuch czy trzech tygodniach p. Teodor i piękną bibljotekę swoją i korespondencję staraniom moim poruczył. Szybko mi czas w tych zatrudnieniach uchodził. Nadeszła wiosna, p. Teodor miał potrzebę wyjechać do Warszawy. P. Płotnicka zajęła się potrzebnemi w domu urządzeniami, a stosując

się do panującej mody w umeblowaniu domu, mojej rady zasięgała. Podałem jej na wzór dom hrabstwa Chodkiewiczów i stosownie do tego wzoru, rysowałem całe umeblowanie, jakie się do pokojów Cepcewickiego pałacu zastosować dało. Robota szła żwawo, bo gotówka na wszystko się sypała i kiedy w czerwcu wrócił p. Teodor, już główne pokoje ukończone były i tak nam się udały, że Teodor był niemi zachwycony i korzystając z nowo przystrojonego pałacu, zawdzięczając oraz trudy matki, postanowił uroczystym balem imieniny jej obchodzić. Ku końcowi zatem lipca, p. Teodor jako nowy obywatel wybrał się w odwiedziny bliższych i dalszych sąsiadów i mnie na tę wędrówkę wziął ze sobą. Objechawszy Dąbrowicę, Stepań i kilka innych pobliższych domów, udaliśmy się do Tuczyna.

Wrócił Teodor do Cepcewicz i zaczęto myśleć o imieninach p. Płotnickiej. Dom już był zupełnie umeblowany. Salon paljowem gładkiem obiciem wyklejony, zawieszono wokoło draperjami z białego muślinu ze sutą frendzlą i sukna ponsowego bramowanego szerokim szlakiem w guście starożytnym, podtrzymywanemi bronzowemi kołami przez lwie paszcze przechodzącemi. Pomiędzy trzema parapetami, wychodzącemi na ogród, dwa od gzymsu do posadzki sięgające zwierciadła, ogromne nad kominem zwierciadło i obok nisza także zwierciadlana z posągiem Wenery medycejskiej obstawionym kwiatami, dopełniały ozdoby tego wspaniałego pokoju. Sofy stopniowe i krzesła na wzór greckich, bogatemi haftami pokryte, gustownie rozstawione, wygodne i malownicze siedzenia dla dam stanowiły. I w dalszych pokojach z mniejszym może przepychem, ale zawsze gustowne było umeblowanie. Liczna zebrała się kompanja; wyborna muzyka p. Antoniego Urbanowskiego, okazały i smaczny obiad, uprzejmość gospodarza jeszcze uprzyjemniała. Pięknie wystąpił p. Teodor i długo o tym balu w sąsiedztwie rozmawiano. Po fecie w kilka dni p. Teodor wy-

jechał do stryja Krzysztofa na Pobereże, p. Płotnicka z mężem i siostrą do Trosteńca. Mnie zostało ogromne zajęcie, przeniesienie bibljoteki i uporządkowanie jej w nowym lokalu. Wiele mi czasu zajęła ta robota, bo i szafy się powoli robiły i powoli w nich układały się książki. Teodor wyjeżdżając z domu, polecał mi zawsze, ażebym przy zatrudnieniach moich szukał rozrywki w sąsiedztwie. Ale niewiele było domów w okolicy pociągających przyjemnością sposobu życia. Krasiccy z Włodzimierca[1]) zacni byli ludzie, ale jeszcze młodzieńcy sami, i towarzystwo ich nie wiele miało pociągu. Hr. Olizar z Rafałówki[2]), stary kawaler, trochę mizantrop, niewiele się sąsiedztwu udzielał i nie każdego co go odwiedzał, uprzejmie przyjął. Izdebscy, Chodakowscy, Moszyńscy, Koniuszewscy, to nasza Cepcewicka koterja. Dom w Stepaniu[3]) nie zalecał się wesołością. Powiadano, że kiedy jeszcze Worcell żył z pierwszą żoną, Morawską z domu, która rozwiódłszy się z nim, za Józefa Wyleżyńskiego wyszła, Stepań odznaczał się zabawami; teraźniejsza Tepperówna, nie miała tych usposobień wesołości i sam Worcell osowiał. Dombrowica[4]) tylko błyszczała jak gwiazda w tej części Polesia. Hr. Plater, prezes, wiekowy mąż, wielkiej zacności i rozumu, lubił swój zakątek. Hrabina sama, pani czcigodna, ale męzkiego ułożenia, wesoła, jeździła konno, polowała, strzelała z pistoletów, ale była pobożną

---

[1]) Wołyń, p. Łucki.
[2]) Wołyń, p. Łucki.
[3]) Wołyń, p. Rowieński.
[4]) Wołyń, p. Rowieński. W XIII w. zwała się Dubrowica. W XV w. należała do książąt Holszańskich, którzy od miejscowości zwać się poczęli ks. Dubrowickimi. Ostatnia z tego rodu, Marja, 3-o voto za Andrzejem Kurbskim wniosła te dobra posagiem mężowi i testamentem zapisała jemu. Była w ręku ks. Dolskich, a ostatecznie przeszła do hr. Wiktora de Broel Platera. Szkoły, pod kierunkiem księży Pijarów były słynne. Tu się kształcili: Alojzy Feliński, Łukasz Gołębiowski, Cyprjan Godebski.

i na cierpienia ludzkości tkliwą. W Dąbrowicy były szkoły pijarskie i dwunastu ubogiej szlachty uczniów, pokryjomo kosztem prezesa utrzymywało się. Na pensji p. Gomalowej sześć biednych panienek hrabina ze swej kieszeni opłacała. Wiem o tem z pewnością, bo jedną z tych panienek była pokrewna ks. Grylewicza proboszcza w Bereznicy [1]), a jeden z uczniów funduszowych hrabiego 1806 r. był w Krzemieńcu Ławecki i nam o tej tajemnicy dobroczynności opowiadał. W Worobinie, gdzie hrabstwo mieszkali, co niedzieli zbierało się sąsiedztwo i młodzież ze szkół i z pensjonu, ale hrabina tych tylko przyjmowała, którzy z całego tygodnia i z obyczajów i z lekcji dobrą notę mieli. Do tego na wieczorach i ks. rektor i para profesorów zawsze bywać musieli. Świetnieli na tych wieczorach między młodzieżą Szczytt, Haas, i Janczycki. Ten ostatni i od obojga prezesostwa był lubiony i każdemu podobać się umiał. Bo to, do ładnej twarzy, zgrabnej figury, łączył szczęśliwy dar przystojnego w towarzystwie obejścia się, dowcip miły z pieprzykiem, wiele taktu i dziwnie łagodny charakter. On swoją miłą żywością ożywiał zabawy, i naiwną wesołością całe towarzystwo rozweselał. Wkrótce z nim przyjazne stosunki mię połączyły, a przez niego i z drugiemi się poznajomiłem. Odnowiła się tu i moja wileńska znajomość, hr. Filip syn prezesostwa był u rodziców. Rzadkim już był gościem, bo Czacki poznawszy wyższe umysłowe zdolności i niepospolitą naukę, w trudach swoich do pomocy go przybrał, czyli, jak hr. prezesowa mówiła: „Czacki sobie naszego Filipa zaarendował". Hr. Filip przypomniał sobie i nader uprzejmie powitał, cały wieczór o Wilnie przegadaliśmy; p. Filip łaskawie o mnie rodzicom swoim wspomniał i odtąd jeszcze lepszy wstęp do Dombrowickiego domu miałem. Następującej niedzieli

[1]) Wołyń, p. Łucki.

już hr. Filipa nie było i dopiero po nowym roku znowu go zobaczyłem.

Było to jakieś święto samej hrabiny, zebraliśmy się grać komedją i tableau ułożyliśmy. Udało się wszystko bardzo dobrze, stary hrabia każdemu z nas grających coś przyjemnego, nie bez duchownego obroczku powiedział, hrabina z każdym z nas poloneza zaczynała. Ale co godne wspomnienia, na tej fecie znajdowała się córka pp. Platerów hr. Krasicka, ależ piękna! Gdyby żyła ks. Dorota Sanguszkowa, taby tylko z Krasicką na równi stanąć mogła. P. Krasicka była w rozwodzie z mężem. Niedobrane może było to małżeństwo, ależ i z drugim nie lepiej trafiła. Drugi syn prezesostwa, Ignacy, młody chłopczyk, pilnie przysposabiał się do szkół wyższych, ale to nie przeszkadzało mu do dzielenia naszych zabaw. Po reprezentacji nastąpiły tańce, hrabina matka tańczyła także, ale lubiła, żeby tancerze byli w trzewikach i do jej woli wszyscyśmy się stosowali. Mnie się śmieszny na tym wieczorze zdarzył przypadek. Pułkownik ułanów tańczył przedemną w anglezie, w promenadzie zawraca się w połowie i spotykając mię nadeptuje na nogę, ale tak silnie, że ostrogą rozdziera mi pończochę, trzewik i skórę na nodze aż do krwi. Niewiele pomocne w bólu: „izwinitie“ jeszcze przykrzejszem się zdało w ustach człowieka, który prócz pięknej postawy i szlif pułkownikowskich, żadnych zalet nie posiadał. Ale najprzykrzej było wychodzić z tańca i miłą tancerkę panną Chodakowskę porzucić. Nie uszło to oka p. prezesowej i Janczycki całą jej prawdę powiedział. Dano mi zaraz buty p. Ignacego, ale już tańczyć nie mogłem. Na drugi dzień po śniadaniu, gdyśmy się już rozjeżdżać mieli, p. prezes odwołał mię do swego pokoju: „P. Filip mówił mi, że jeszcze od Wilna jest wmpana dłużnikiem, wziąłem ten dług na siebie i oto są pięć dukatów i dziękuję wmpanu za zrobioną synowi memu pomoc“. „Mości hrabio!“ odpowiedziałem — „ani hr. Filip nigdy odemnie nie pożyczał pieniędzy,

ani położenie moje było takie, ażebym w potrzebie mógł usłużyć. Widzę w tem tylko jawny dowód łaskawej dla mnie życzliwości hrabiego. Niech jw. daruje", dodałem, całując rękę prezesa, „że tego przyjąć nie mogę"; „to się tam za widzeniem z Filipem sprawicie". W kilka dni po powrocie do Cepcewicz, odebrałem w upominku od hrabstwa przez Ganczyckiego pudełko farb paryskich więcej niż 5 dukatów warte, papier angielski do rysunku i polecenie od p. prezesowej, odmalowania jej bukietu z hortensji.

Miłe dla mnie było także sąsiedztwo proboszcza Bereznickiego, to był kapłan wzorowy i prawy człowiek! Na niezamożnej prebendzie żywił przy sobie matkę i brata, z żoną i kilkorgiem dzieci i z pomocą tego brata utrzymywał na swojem wykarmieniu szkółkę z dziesiątka ubogich szlacheckich dzieci złożoną. Miał ładny zbiór książek i nie dlatego, żeby się niemi pochwalić. Humor miał miły, wesoły, niby rubaszny, ale tak pięknie ogładzony, że parafjane kochali go i szanowali i u hr. Platerów miał wielkie zachowanie. Nie nudnie więc rok mi upłynął w Cepcewiczach. Pobyt tam i nadal nader byłby miłym, gdyby nie skrzyżowanie interesów różnych bawiących tam osób. Taki był skład miejscowych okoliczności i nieporozumienia familijne, że, ażeby nienależeć do żadnej strony i nikogo sobie nie narazić, usunąć się wolałem, i rozsądnie postąpiłem. Pół roku nie upłynęło po moim wyjeździe, a wszelkie stosunki rozprzęgły się; z nieporozumień przyszło do poróżnień, kłótni i brudnych wypadków. Rzućmy zasłonę na to pasmo nieprzyjemnych okoliczności: a gdy i aktorów ziemia już pokryła i świat ich bytu zapomniał, zagrzebmy wraz z ich popiołami i czynności ich niezawsze czyste i moralne.

Wróciwszy do Tuczyna znowu wielkie zastałem odmiany. Księżna Stanisławowa Jabłonowska, rozstawszy się z mężem, zamieszkała w Tuczynie, w pięknym dworku komisarją zwanym, który od pałacu ogród tylko od-

dzielał. Gen. Baur wziąwszy dymisję także w Tuczynie osiadł, niezmienny w uczuciach dla domu p. wojewody, usługi swoje szczególniej księżnej poświęcił. P. Wojciech ożenił się z wdową Małachowską z domu Maszkiewiczową, bogatą i bardzo zacną niewiastą i zamieszkali w Pedynkach, majątku wdowy pod Lubarem.

P. wojewody zdrowie niedopisywać już mu zaczęło. Kochał księżnę, miły mu był jej pobyt w Tuczynie, ale rozstanie się jej z mężem goryczą zatruwało serce ojcowskie, a ten niepokój wewnętrzny działał na ciało, którego silna budowa ani wiekowi, ani zgryzotom podołać już nie mogła. Trzymał się jednak na nogach starzec, starał się okazywać twarz wypogodzoną, ale już znikła owa dawna wesołość, nie słyszał już nikt poświstywania ulubionego niegdyś: „U drzwi twoich". Nie żalił się na nic, nikogo nie obwiniał, czasami tylko przed moją matką i p. Skirmuntową z troską się swoją wywnętrzał. „Zmieniły się czasy moja Skirmuntko!" mówił razu jednego: „zmieniły! marzyłem o szczęściu w szczęściu mych dzieci, i gdzież to szczęście? Karolina szczęśliwa, ale swej błogiej doli cenić nie umie i nadużywa dobroci nieocenionego swego męża. Józef dostał piękną i bogatą żonę, ale gdzież w niej uczucia? Zimny Wojciech z zimniejszą jeszcze swoją połowicą, szczęśliwi z siebie, zamknęli się w swoich Pedynkach, gromadzą przychody, a o starym ojcu! — jakby go nie było na świecie! A księżna! ta mię dobija! nie posądzam ją o płochość, bo w tym wieku czyż płochą być już można? ale pozory, pozory! języki ludzkie! Mógłbym Baurowi delikatnie zrobić uwagę, żeby Tuczyn opuścił, ale po tylu odebranych od niego dowodach przyjaźni, po tylu usługach, nie mam serca nic mu powiedzieć." „Może życie już niedługie — docierpię! Daj Boże! żeby choć po mojem zejściu szczęśliwsi byli!" „Ależ p.p. Heronimstwo, p.p. Bieżyńscy" wtrąciła p. Skirmuntowa. „Tak, oni tylko trzymają się podług mojego życzenia i czułości dowodzą; tak Adaś i Tercia kochane, drogie dzieci, a Cesia to druga Tercia!"

Nie było jednak smutno w Tuczynie. Przy księżnej dla kompanji jej córki bawiło kilka panienek. Przy p. wojewodzie bawił synowiec, Feliks Walewski, młodzieniec miły z postaci, serca i ukształcenia, kochany jak syn od wojewody, ścisły przyjaciel p. Józefa; młody Linowski i brat p. Heronimowej Antoni Potocki, piękny postacią i duszą. Sąsiedzi odwiedzali Tuczyn, ale rzadko w pałacu, najczęściej u księżnej na zabawy się zbierano. Feliks, codziennie bywając u księżny, codziennie widząc piękną kuzynkę, nie mógł być nieczułym na jej wdzięki i serca przymioty i wzajemność jej serca pozyskać umiał. P. wojewoda z przyjemnością o połączeniu Feliksa z Dosią przemyślał i księżna tym zamiarom sprzyjać zdawała się. Z chorążym kor. często bardzo ten projekt rozbierali, przyjemnie o szczęściu tych dwojga młodych marzyli, i spełnienie ułożonego połączenia do wiosny odłożono. Do wiosny! — Ale jakże wiele okoliczności, wiele wypadków blizkość tej wiosny odsunęło!

Do najważniejszych tego roku okoliczności należy otwarcie gimnazjum w Krzemieńcu [1]). Nie zatartej w dziejach oświecenia i w sercach rodaków pamięci mąż spełnił to dzieło. Uzyskawszy dyplom cesarski, wezwał urzędników i obywateli wołyńskich Czacki, i odbył z całą uroczystością ten obchód. Opisywały to krajowe i zagraniczne gazety i obszerny opis został w aktach tegoż gimnazjum. Hr. prezes Plater odwożąc sam syna do Krze-

---

[1]) Miasto powiatowe na Wołyniu nad Ikwą. Osada przedhistoryczna. Historyczne życie rozpoczyna się od Kazimierza W., który w r. 1340 dał je w dzierżenie Jerzemu Narymuntowiczowi. Po różnych kolejach dziejowych wybrany został przez Tad. Czackiego siedzibą gimnazjum (1803), później liceum, które ogromną rolę odegrało w naukowem, moralnem i obywatelskiem podniesieniu się społeczeństwa polskiego na Rusi. Uposażone bogato przez szlachtę wołyńską. Zamknięte z rozkazu rządu w r. 1833 wraz z innemi szkołami na Wołyniu, Podolu, Ukrainie. Zbiory i fundusze przeniesione do Uniwersytetu w Kijowie. Szczegóły: Michał Rolle — Ateny wołyńskie. Lwów. 1890.

mieńca, nocował w Cepcewiczach. I my z p. Teodorem mieliśmy jechać, ale jakieś domowe okoliczności zamiaru spełnić nie dozwoliły.

Otwarcie gimnazjum Wołyńskiego stanowi ważną Wołynia epokę. Oświecenie jakby z letargu się ocknęło. Międzyrzecka szkoła, dotąd pierwsza na Wołyniu, nie wystarczała dla przygotowania się dostatecznego do uniwersytetów, okazała się potrzeba obszerniejszego wykładu wyższych nauk i tej potrzebie odpowiadało urządzenie Wołyńskiego gimnazjum. Cisnęła się zewsząd młodzież wszelkiego stanu, bo podwoje tej świątyni, dla biednych równie, jak i dla bogatych otworem stały. W roku drugim od otwarcia, szkoła ta liczyła do siedmiuset uczniów. Los i mnie tam zaprowadził. Zmieniło się moje położenie, zmieniły stosunki i na przeszłe sceny mojego życia zapadła kurtyna.

Ówczesne okoliczności polityczne natchnęły w zawistnych dobrej sławie Czackiego sposobność wystawienia zamiarów jego w złem świetle, a jakiś niewiadomy osobisty nieprzyjaciel, przed ministrem go oskarżył. W r. 1806 odebrał Czacki rozkaz udania się do Charkowa, pod pozorem zbadania stanu nauk w tamecznym uniwersytecie. Z Charkowa wezwany do Petersburga, przed samym cesarzem zdał sprawę ze swoich czynności i oczyścić się potrafił, bo prawdziwa cnota, i przed tronem najpotężniejszego monarchy śmiało przemawiając, wiarę znalazła. Nietylko, że się usprawiedliwił Czacki, ale jeszcze i nowe dobrodziejstwa dla swojej ukochanej szkoły wyjednał. Cesarz najłaskawiej darować raczył na gimnazjum starostwo krzemienieckie, osierocone przez zgon księcia strażnika Sanguszki, i zatwierdził ułożoną przez Czackiego komisję dla wydobycia funduszów edukacyjnych pojezuickich i innych. Ale Czackiego rok cały nie widział Krzemieniec i jak dzieci do ojca, tęsknił do niego.

W tym to właśnie czasie zbiegiem rozmaitych okoliczności dostałem się do Krzemieńca, bez żadnej myśli, bez żadnego istotnie celu. Piękne okolice zachęciły mię

do zdjęcia widoku miasta na papier. Wybrałem miejsce, skąd mi się zdawał najpiękniejszym i codziennie z moją tablicą, farbami i pęzlami po kilka godzin rannych tam przepędzałem. Nie zbywało na ciekawych śledzących mnie i nakoniec kilku uczniów doszli do wzgórka, na którym rysowałem, zaczęła się rozmowa i z rozmowy znajomość. Znajomych trzeba było odwiedzić, odwiedzając uczniów, i nauczycieli u których mieli mieszkanie, poznać wypadało. Znalazłem ludzi, którzy mi Szopowicza przypomnieli, znalazłem młodzież wychowaniem swojem przypominającą mi towarzystwo, w jakiem wyrosłem. Wystarano się dla mnie o lekcje rysunku i zdawało się, że byt mój w Krzemieńcu został zabezpieczony. Nie bez funduszu i przyjechałem, z zapracowanych kilkudziesięciu dukatów oporządziłem się pięknie i coś mi jeszcze w gotówce zostało. Wynaleziono mi stancję u pewnych państwa, którzy mieszkając w Radziwiłłowie, w najętym domu utrzymywali swoje dzieci i za opłatą cudze na stół i stancję przyjmowali. Poznajomiony z nauczycielami, zacząłem uczęszczać na obrane lekcje i nauczycielów moich życzliwość pozyskać sobie potrafiłem. Jakie takie ogładzenie, wesołość i żywość wieku łatwy mi wszędzie przystęp robiły, ale nigdzie nie znalazłem tylu uczniów wyższego ukształcenia, co w domu nauczyciela Malawskiego; tam przylgnąłem i tam przyjaciół znalazłem. Piotrowski Eligi [1]), Chojecki Władysław, Stanisław Proskura, Dionizy Bilski, Plater Ignacy, Dominik Stecki, było to moje codzienne towarzystwo i chlubię się, że tak zacnych młodzieńców przyjaźń Bóg mnie pozyskać pozwolił. Z niektóremi na jedne lekcje chodziłem, a że mi język łaciński i nieobcy już był i łatwy, dobrze mi szło

---

[1]) Piotrowski Eligi(usz) nauki kończył w Krzemieńcu, historyk. Dzieje Kijowszczyzny drukowała Bibl. Warsz. Umarł 1863 r.; Pamiętniki Wawrzyńca Rakowskiego (tytuł opuszczam w. XVIII) wydał... Żytomierz 1861.

i drugim pomocą być mogłem bez żadnej pretensji, bo mając i coś swego zasobu i trzy niezłe lekcje, nie zdawało mi się przyzwoitem, brać co od przyjaciół za tak małą usługę.

W takim składzie rzeczy przeszły miesiące do świąt; w tem tylko zaszła różnica, że zmieniłem mieszkanie, bo mi na przeszłej stancji dobrano kluczyk do szkatułki, do której nie miałem potrzeby często zaglądać i moje 15 dukatów co do jednego wybrano. Apelacja do Pana Boga! milczałem, ani o mojej szkodzie nikt z przyjaciół nie wiedział. Szczęściem stół z góry opłaciłem, pilnych potrzeb nie było, a z lekcji w końcu grudnia powinienem był odebrać ośm dukatów za lekcje. Zniosłem mężnie ten cios, bo młodych nadzieja zawsze pociesza. Napisałem do matki, że mi dobrze w Krzemieńcu, i nikt po mnie położenia mego nie poznawał. Na święta zaczęli się rozjeżdżać uczniowie, z moich lekcjowych jeden tylko zapłacił, drudzy na po świętach wypłatę odłożyli, wierzyłem — nie troszczyłem się, bo mię żadna pilna potrzeba nie naciskała.

Rok to był wielki w całej Europie. Cesarz Francuzów na skrzydłach swych orłów zwycięskich leciał na wschód Europy, Prusy już były zajęte i zbliżył się do polskiej niegdyś stolicy. Krzemieniec, lubo żadnych nie miał stosunków z Warszawą, wszystkie jednak działania wojsk nieobce nam były. Zwierzchność szkolna, ile tylko w jej mocy było, starała się utrzymać młodzież w ciągłych zatrudnieniach szkolnych i usuwać od niej wszelką wiadomość tego, co się w Europie działo. Ale cóż się przed młodemi ukryć potrafi? O ile zwierzchność nasza usiłowała ukrywać wszystko przed nami, o tyle urzędnicy rosyjscy byli nieostrożnymi. Sam policmajster Pryhorowski był gazetą roznoszącą po całem mieście nowiny, o każdym prawie kroku i o każdem powodzeniu wojsk działających.

Od Malawskich nikt nie jechał na święta, zabrali więc i mnie i bardzo w swoim czasie, bo mi termin mie-

sięczny stołu już wyszedł, a dalsza opłata była dopiero w nadziei. W ciągu pobytu mego u Malawskich, starałem się być im jakąś pomocą, jakąś usługą, przez co tak ich ująłem, że mi zaproponowali, ażebym się już od nich nie wynosił. Podziękowałem najczulej, ale nie przyjąłem, bo rachowałem na mój zarobek, bo bardzo niezależność moją lubiłem. Jakże nieraz nieprzyjętej przyjacielskiej uprzejmości żałowałem! Przeszły święta, wracali uczniowie, z moich jeden nie wrócił, drugi pieniędzy nie przywiózł, odkładając wypłatę do powrotu ojca z kontraktów. Zostałem tedy przy jednym płacącym, co wcale nie na rękę mi było; zapałciłem wprawdzie za stancję do końca roku, ale na stół potrzeba było czterdzieści złotych miesięcznie, jakoś jednak za styczeń poszło. Tym czasem uczeń regularnie płacący zapadł na oczy i musiał lekcje rysunku porzucić, na luty więc zostałem bez żadnego przychodu; ale mię to mało obchodziło, ważniejsze mię troski dotykały. Z Tuczyna żadnej nie miałem wiadomości, ani na list do matki żadnej odpowiedzi.

Koniec tomu I-go.

(Spis nazwisk będzie dołączony do III-go tomu wspólny dla wszystkich trzech tomów).

Ks. Adam Czartoryski.

RAMOTY STAREGO DETIUKA O WOŁYNIU

WYDAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
FR. RAWITA GAWROŃSKI

TOM II.

WILNO.
Bibljoteka Pamiętników. 1914.
Nakładem Tow. Udz. „Kurjer Litewski".

Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

ROZDZIAŁ I.

W Krzemieńcu cios bolesny mię dotknął. Władysław Chojecki tak mię polubił, że postanowił sobie po ukończeniu szkół przybrać mię za towarzysza podróży za granicę i nadal losu mego od swego nie odłączać. Ale jego przeznaczenie już się spełniło. Kochany od współuczniów, szacowany od nauczycieli, wzór młodych, pełen życia materjalnego i moralnego, uderzony gorączką tyfusu, po kilkodniowej chorobie, na mojem ręku życie zakończył. Ciężko boleli tej straty przyjaciela koledzy, dla mnie dalszych widoków nadzieja upadła. Opłakali go nauczyciele, dyrektor Czech w tych kilku słowach do profesora księdza Osińskiego żal swój wyraził: „chciałem sam w niewielu wyrazach uczcić pamięć wydartego nam tak nagle zacnego młodzieńca, ale ten cios niespodziany tak silnie na nerwy moje podziałał, że czuję się mocno osłabionym i niezdolnym kilku słów skleić. Racz wmpan mię zastąpić i, oddając należną sprawiedliwość pięknym przymiotom zmarłego, zachęcić żyjących do naśladowania nieodżałowanego Władysława". Mnie ten list był wręczony, zebrałem więc kilku ze ściślejszych przyjaciół zmarłego i poszliśmy do szanownego profesora. Nie odmówił naszej prośbie i wezwaniu dyrektora i wzniosłym Skargi językiem wspomniał znakomite zdolności i piękne przymioty duszy Władysława; żywo odmalował boleść niepocieszonych rodziców, żal szkoły, zasmucenie nau-

czycielów i współuczniów łzy żałosne. Ze łzami też najszczerszej żałości odnieśliśmy zwłoki przyjaciela na odległy cmentarz i własnemi rękami usypaliśmy mogiłę. Władze szkolne towarzyszyły mu do grobu.

Odtąd jeszcze ściślejsza przyjaźń łączyła mię z Proskurą niepocieszonym po stracie Władysława, którego jak brata kochał. Widział on przywiązanie zmarłego do mnie i znajdował pociechę zbolałemu sercu, zastępując dla mnie utraconego przyjaciela. Kochałem Stanisława, wysoko ceniłem jego przyjaźń, ale strzegłem się nadużyć jego przyjaznych dla mnie chęci. Tymczasem interesa moje coraz przykrzejszy brały dla mnie obrót. Już więcej miesiąca stołowałem się na kredyt, gospodyni oświadczyła, że na następny kredytować nie myśli. Przychodów nie było, reszta przeszło-kwartałowego poszła na obuwie, na pranie bielizny. Napisałem do matki, najwierniej malując moje położenie, i spodziewanej pomocy oczekiwałem. Oko prawdziwej przyjaźni dostrzegało coś niepewnego w mojem położeniu, ale ja zawsze porządnie odziany, nie użalając się na żaden niedostatek, potrafiłem oszukać czujność przyjaciela. Gospodyni zaczęła silniej mię naciskać o wypłatę należną, prosiłem o zwłokę, daremnie: „natychmiast pieniądze, albo pójdę do p. prefekta"; właśnie o to mi najbardziej chodziło. Co mam tu robić? W tym samym domu mieszkał uczeń 3-go kursu Bahrynowski, miał dwuch uczniów i dobrą u nich kondycję. Z wielką dla mnie okazywał się przyjaźnią; nieraz długie zimowe wieczory przepędzaliśmy na czytaniu francuskich klasyków, których język lepiej znałem od niego, pomoc moja wielce go zobowiązywała. Do niego więc w potrzebie udaję się; pożycza mi 80 zł. z terminem oddania przed wyjazdem na wakacje. Uściskałem przyjaciela, opłaciłem com był winien za stół, a że nie było czem za miesiąc zapłacić z góry, nie przyjęto mię nadal i z kilkunastu pozostałych złotych opędzam potrzeby, jak mogłem. Często wprawdzie z lekcji wymowy koledzy zabierali mię ze sobą do Malawskich na obiad, ale stara-

łem się o ile możności unikać tych daremnych obiadów, bo mi się zdawało, że przez to stawałem się pieczeniarzem. Mieszkający w tym samym domu Bahrynowski nie postrzegał mego niedostatku, ale staruszka, gospodarująca u jego uczniów, poznała moje położenie i częste ze stołu swych paniczów udział dla mnie robiła, bo to była kobieta, bo to była matka, której syn w moich latach gdzieś daleko w Ukrainie służył, bo biedna dawno już, dawno od niego wiadomości nie miała. Wszystkie te jednak wypadkowe posiłki nie trafiały się codzień, i niejeden dzień przeszedł o bułeczce groszowej, i nic więcej, i tak było do wiosny. Nie przeszkadzało to jednak zabawom zapustnym. Nauczyciele lubili mię za moją w towarzystwie wesołość i żadnego wieczora nie opuściłem; podałem projekt wieczorków składkowych i ten z zadowoleniem przyjęto; bawiliśmy się i tańcowałem wszędzie i dużo, a osobliwie walca, na czem buty moje wielce ucierpiały. Właśnie wszedłszy w post, kiedy wiosna błotnisto się rozpoczynała, ja zostałem w pięknie wyszuwaksowanych butach, z tekturowemi podeszwami. I tego nikt nie widział, bo to nie przeszkadzało po kamyczkach przedybać na lekcje. Czasem wieczorem u Malawskich chcieli mię na noc zatrzymać, ale bojąc się odkrycia moich butów, składałem się, że mam na stancji korepetycję łacińską i to mię uwalniało.

Zbliżyła się wielkanoc, z Tuczyna niema odpowiedzi. Proskura wybierał się na święta do domu i mnie chciał wziąć ze sobą. Zręcznie się wymówiłem oczekiwaniem listu od matki i, kiedy tak rozmawialiśmy, wchodzi Legocki, poważny lokaj Proskury, który dojrzał kalectwa moich butów, i proponuje mi, czy nie kupiłbym sobie u niego butów nowych, które, że na pana jego ciasne, darował mu, a on chce je odstąpić. Proskura wysunął się nieznacznie, ażeby mię nie mieszać moim niedostatkiem. Buty były do moich nóg, Legocki przyrzekł, że sekretu mego nie wyda i na zapłatę poczeka. Opatrzność Boska! pomyślałem sobie. Ale na stancji inna czekała mię scena. Na samym

progu spotyka mię Bahrynowski upominając się o pieniądze. „Janie!“ — odpowiedziałem — „kiedyż termin?“ „A co mi tam termin, ja teraz potrzebuję“. „Zmiłuj się! ty potrzebujesz? możeszże to mówić?“ „Dajmy na to, że mam zapas, ale potrzebuję!“ „Bądź cierpliwy! proszę cię! po świętach przyszlą mi z domu, z podziękowaniem oddam“. „Et, co mi tam! — ja, żebym był żydowi oddał, toby mi za ten czas procent zapłacił!“ O! te słowa mniemanego przyjaciela, jak nożem w serce uderzyły. Nie odpowiedziałem, spojrzałem tylko na niego, ale w tem spojrzeniu wszystkie moje uczucia mógł wyczytać; wyszedłem co prędzej i u winiarza Bunia, u którego po przyjeździe moim do Krzemieńca kilka dni mieszkałem, zastawiłem mój złoty zegarek za pięć dukatów i natychmiast oddałem dług Bahrynowskiemu, prosząc go tylko, aby mię uwolnił od tych codziennych godzin czytywania z nim po francusku, bo z wiosną oddać się botanice potrzebuję. Na święta Malawscy zabrali mię do siebie. Przyjąłem ich łaskę z wdzięcznością, ale już tym razem zacząłem przemyśliwać nad dalszą moją karjerą. Z domu ani słowa, przychodu żadnego, dług ogromny, żyć trzeba, a tu stołu niema czem opłacić. Wsparliby przyjaciele, ale miałżem się uniżyć i prosić? O! to byłaby jałmużna! a mnie młodemu, zdrowemu, wypadałoż wyciągnąć rękę i żebrać? O! nie, lepiej cierpieć! Biłem się z myślami mojemi, a żadna dobra nie przychodziła. Biedziłem się i cierpiałem.

W czasie świąt zmarł zamożny obywatel, podczaszy Kamiński. Czwartek, piątek, sobotę przed przewodnią naznaczono na uroczysty obchód; mnóstwo obywatelstwa z powiatu i liczna zmarłego rodzina zjechali się do Krzemieńca, między innymi szambelaństwo Radzimińscy. Syn ich starszy Józef stał u ks. Osińskiego i dobrze mi był znajomy, bo nieraz z nim przed lekcją ks. Osińskiego powtarzałem tłumaczenie łaciny, czem i młodego Józefa sobie życzliwość zjednałem i łaskawe uważanie ks. profesora zyskałem. Pp. Radzimińscy odwiedzając syna i

mnie tam zastawali i nieraz z samym przyjemną o znajomych mi wielkich domach wołyńskich we francuskim języku pogadankę miewałem. Szambelaństwo mieli w domu młodszego syna Feliksa i potrzebowali człowieka, któryby go do klasy trzeciej w domu przygotował. Józef mnie nastręczył. A że szambelaństwo, nieraz mówiąc o mnie z ks. Osińskim, łaskawe jego o mnie słyszeli zdanie, łatwo przyjęli przedstawienie i w sobotę wieczorem dość korzystnie z nimi się umówiłem. Za tydzień mieli przysłać po mnie i część jakąś umówionego wynagrodzenia. Spokojny o przyszłość, układałem sobie, jak czas rozporządzić, ażeby i obowiązkowi zadość uczynić i samemu nad sobą pracować; ale w duszy odzywał się żal za przyjaciółmi, a może i za miłą młodemu niezależnością.

Pp. Radzimińscy na wyjezdnem odwiedzili jeszcze ks. Osińskiego. „Cóż, macie państwo kogo dla Feliksa?“ „Mamy“ — odpowiedział lakonicznie szambelan“. „I człowieka sposobnego“ podchwyciła szambelanowa“, którego i ks. profesor bardzo lubi“. „I kogoż to?“ — „P. Antoniego“. — „Któż go do państwa wprowadził?“ — „Józio“. — „Już się umówił?“ — „Umowa skończona, za tydzień po niego przyszlemy“. — „Nie mam co powiedzieć, winszuję wyboru. Ale czy władza szkolna zezwala, bo to, rozumie pani, w ciągu roku szkolnego“. — „To ja będę u p. Czecha“ — odezwał się szambelan. Wieczorem wyjechali pp. Radzimińscy, a ja o tej rozmowie nie wiedziałem. W niedzielę uczniowie od Malawskich zabrali mię ze sobą z kościoła na obiad; już tam wiedziano o moich układach, zacni Malawscy wziąwszy mię na bok, zapytywali o przyczynę. Przyznałem się, że niemożebność utrzymania się w Krzemieńcu zmusiła mię przyjąć na wsi obowiązek i z żalem opuścić przyjaciół i nauki. „Szkoda!“ — odpowiedzieli oboje i na cały czas do wyjazdu wzięli mię do siebie. Proskury jeszcze nie było; drudzy wymawiali mój pośpiech, różne robili uwagi i różne podawali projekta; widać w nich było współczucie, nikt jednak istotnie ręki nie podał. Siedzieliśmy u stołu, gdy oddano

mi karteczkę od ks. Osińskiego wzywającą mię do stawienia się na wezwanie. Zastałem ks. profesora w jego pokoju, Józefa nie było. „Co, rozumie pan“, — odezwał się z uśmiechem — „pan się umówił z pp. Radzimiński-

Ludwik Osiński
ur. 1775 r., zm. 1838 r.
Według portretu Ant. Brodowskiego w zbiorach warsz. Tow. Z. S. P.

mi?“ — „Tak jest i za tydzień wyjeżdżam na wieś“. „To dobrze, rozumie pan. Cóż spowodowało do tak nagłej decyzji?“ „Moje przykre położenie“. „Radziłeś się kogo?“ „Nie“. „To źle, rozumie pan, proszę mnie posłuchać. Znam ten dom. Sposobiąc Józefa, trzy lata temu bawiłem, i tyle panu powiem: ojciec, człowiek rozumny, uczony i wymagający; matka słaba i widzi niedaleko; syn pieszczony i nie lubiący się uczyć; stąd łatwo wniesiesz, co cię w tym domu czeka. Gdybyś był mnie się poradził, rozumie pan, możebym i więcej co mógł powiedzieć, dziś klamka zapadła, potrzeba jechać. To, coś ode mnie usłyszał, niech ci będzie przewodnikiem w twojem postępowaniu. Z serca życzę, rozumie pan, ażebyś nie żałował swego pośpiechu i o ile można czuwać będę nad panem. Proszę wierzyć mojej życzliwości“. Ucałowałem rękę szanownego kapłana, w którego głosie prawdziwe przebijało się współczucie i z uciśnionem sercem wyszedłem.

Ledwie wstąpiłem na ulicę, spotykam prof. języka greckiego, na którego lekcje z korzyścią chodziłem. „Pan chcesz nas opuścić?“ — zapytał. „Tak jest mci profesorze“. „I bez naradzenia się z profesorami, i bez wiadomości p. Czecha [1])“. „Zdawało mi się, że ubycie tak mało znaczącego ucznia, nie zrobi w gimnazjum różnicy“. „Nie myśl pan tak. Byłem dopiero u p. Czecha, ks. Osiński [2])

---

[1]) Józef Czech (1762—1810) z Krakowa powołany przez Czackiego na dyrektora liceum w Krzemieńcu. Wydał Euklidesa: Początki geometrji, Wilno 1807, II wyd. 1827; Krótki rys arytmetyki. Wilno 1807.

[2]) Osiński Alojzy (1770—1842). Najprzód Pijar i profesor w szkołach pijarskich. Od r. 1806 wykładał w liceum wołyńskiem liter. polską, łacińską i starożytności rzymskie. Pisarz niezmiernie pracowity. Ważniejsze prace: Słownik mitologiczny z przyłączeniem obrazo-pisma (ikonologja) Warszawa, 1802—1812; O życiu i pismach Tad. Czackiego. Krzemieniec 1811. W rękopisie pozostać miały: Słownik pisarzy polskich i Słownik języka polskiego w 14 tomach. Pozostało po nim przeszło sto tomów rękopisów, które niewiadomo gdzie się podziały. Umarł w Ołyce na Wołyniu w dzisiejszym pow. Dubieńskim.

doniósł mu o zamiarze pana, i p. Czech ma w tym względzie zrobić panu swoje uwagi. Jeżeli to jeszcze odmienić się może, proszę w domu moim przyjąć przyjacielski kątek". Czule podziękowałem za tak przyjazne wezwanie, ale oświadczyłem, że mój wyjazd nieodmienny. Wróciwszy do Malawskich, wszystko im opowiedziałem. „Wiem o tem, rzekł zacny Malawski, byłem razem z ks. Osińskim u p. Czecha". Ciężko mi było na sercu, czułem, żem nierozważnie postąpił, nie powierzając się nikomu i niczyjej nie zasięgając rady, ale rady na złe w sobie nie znajdowałem.

W poniedziałek, przy wyjściu z kościoła, prefekt Jarkowski [1]) spotkał mię na galerji. „Cóż to, moje dziecko, chcesz porzucić gimnazjum i na domówkę się wybierasz?". „Tak jest mości prefekcie dobr." „Dlaczegoż to władza szkolna o tem nie wiedziała?" Milczałem. „Wstydziłeś się przyznać, żeś biedny? To wstyd fałszywy! biednych więcej na świecie, niż bogatych. I jam nie z bogatych powstał. Praca i statek z ubóstwa wywodzą. Wiem, moje dziecko, coś miał przybywszy do Krzemieńca, jakie miałeś przychody i jakie wydatki. Miło mi, pocieszyć się tem, że władza szkolna wiadoma twego postępowania, niema ci nic do zarzucenia, prócz tego, żeś bez jej wiedzy sobą rozporządził. Ale to jeszcze da się przerobić, a u mego stołu zawsze miejsce na ciebie czekać będzie". Ucałowałem rękę szanownego naczelnika, on mię w głowę pocałował. „O! nieodmawiaj mi, ojcze dobrodzieju, i nadal swojej protekcji!" zawołałem. „Prowadź się zawsze poczciwie, moje dziecko, a prefekt zawsze ci będzie życzliwym!" i aż do jego zgonu doznawałem jego ojcowskiej opieki.

Uczniowie zbierali się do klas, u mnie lekcji nie było, wyszedłem. Dążyłem do mojej kwatery, aby tam samotny, spokojnie moje obecne położenie rozbierać; ale po-

---

[1]) Antoni Jarkowski, prefekt liceum Krzemienieckiego. Szczegóły dalej.

trzeba było przechodzić koło dyrektorskiego ganku. Czech stał na wschodach i, ujrzawszy mię, dał znak, ażebym się przybliżył. „Proszę z sobą", rzekł wchodząc do sali, „mam z wmpanem do pomówienia". Piękna twarz tego czcigodnego męża oddawała wyraz wysokiego rozumu i dziwnej słodyczy charakteru, które go cechowały, drżałem jednak nieco, wchodząc za nim, i myśli zebrać nie mogłem. „Ks. Osiński", rzecze, „mówił mi, że wmpan opuszczasz gimnazjum, i żeś się z Radzimińskimi rocznie umówił?" „Nieinaczej". „Jakież do tego miałeś powody?" Milczałem. „To ja wmpanu powiem". „Nie miałeś się z czego utrzymać?" Milczałem i łza spadła z mych oczu. „Zgadłem? — rzekł biorąc mię za rękę — nie wstydź się dobry młodzieńcze! i, jak ojcu, opowiedz mi swoje położenie". „Ucałowałem podaną mi rękę i opowiedziałem mu o moich rodzicach, o p. wojewodzie, o opiece hr. Chodkiewicza, oraz o przyjeździe i szczegółowo o pobycie moim w Krzemieńcu, nieraz łzy mowę mi tamowały i opowiadanie przerywać musiałem. Słuchał cierpliwie, z uwagą i z pełnym słodyczy wyrazem oblicza, gdym skończył: „Wierzę!" odpowiedział głosem, w którym się malowało głębokie współczucie — wierzę wszystkiemu, coś mówił; mam ci jednak do zarzucenia, żeś we mnie ufności nie położył i oddawna mi położenia swego otwarcie nie powierzył; ale nie znałeś mię, a młodzi tak trudno do ufności w przełożonych nawykają! Jako człowiek kochający bliźniego, starać się będę nieść ci ulgę i pomoc; jako dyrektor, zalecam zerwać umowę i pozostać w gimnazjum. „Zerwać umowę? — zawołałem, czyż mogę?" „Czy wziąłeś naprzód co pieniędzy?" „Chowaj Boże! dawano, ale wziąć nie chciałem zadatku, jak rzemieślnik". „To bardzo uczciwe. Możesz zerwać umowę, bez opowiedzi władzom szkolnym, zawartą, i to za wymówkę położyć, że do końca roku szkolnego taż władza zarządzać ci sobą nie pozwala. P. Radzimiński człowiek rozumny, uzna słuszność twojej wymówki i od słowa się uwolni. O dalszem utrzymaniu pomyślimy; tym-

czasem Malawscy dom swój i wygody ofiarują. Jurkowscy także, z obowiązkiem, w chwilach wolnych od nauk, zajęcia się ich uczniami. W gimnazjum jest suma na pomoc dla biednych uczniów przeznaczona, proszę się udać do mnie, ja chętnie ile potrzeba zaasygnuję. Teraz idź, i myśl o napisaniu do pp. Radzimińskich, a najlepiej, poradź się w tym względzie ks. Osińskiego, który wmpanu prawdziwie sprzyja. Żegnam cię, pewny, że nadal będziesz otwartym z władzą szkolną i więcej w niej zaufania położysz". Ucałowałem ze łzami najżywszej wdzięczności rękę czcigodnego naczelnika i poszedłem do Malawskich. Nazajutrz pod okiem i z poradą ks. Osińskiego napisałem do pp. Radzimińskich, przyłączyłem pismo urzędowe dyrektora, wzbraniające mi opuszczać gimnazjum, i po niedługiem listowaniu uwolniłem się od danego im słowa.

Wrócił i Proskura, a gdy mu opowiadano o moich przejściach, z najzimniejszą krwią powiedział: „szkoda, żeście mu nie dopuścili pojechać!" Ubodła mię ta obojętność człowieka, którego kochałem, i którego przyjaźń zdawało mi się, że posiadam, poznać jednak tego po sobie nie dałem i dobra harmonja trwała między nami. Lepiej mi już było, nie cierpiałem głodu, bo Malawscy z rodzicielską uprzejmością u siebie mię karmili, a noclegi, to u nich, to w mojej kwaterze odbywałem. Gotówki wprawdzie nie było, ale nie było i potrzeb, kłopotał mię tylko zegarek w zastawie, ale się nie troszczyłem, ożywiała mię w Bogu nadzieja, bo miałem wiarę i powoli wróciło w całej swej sile życie moje moralne.

Lekcje botaniki w zastępstwie prof. Szejdta, dla słabości nie wychodzącego już z domu, dawał Jaworski pomocnik, i ja tym lekcjom przysłuchiwałem się. Mała różnica lat, podobieństwo temperamentów, prędko Jaworskiego do mnie zbliżyły, często po górach razem robiliśmy ekskursje; ale w dalsze okolice, Jaworski wysyłał mię z ogrodnikiem Grabowskim. Nikomu ze słuchaczów botaniki nie szło tak dobrze, jak mnie, bo początki wileń-

skie, rozwijałem sobie w Tuczynie i w Cepcewiczach i teraz mi one w przygodzie stanęły i postęp mój u prof. Szejta dobrą mi zjednał opinję. Ekskursje te jeszcze pod jednym względem korzystne dla mnie były. Pod ich pozorem mogłem się absentować od codziennego sposobu życia i w samotności o swoich, o sobie podumać; wycieczki te od połowy kwietnia już się zaczęły.

Ósmego maja przypadały imieniny Proskury. Nietylko od kolegów, ale i od nauczycieli powinszowania odbierał i wszystkich Malawscy do siebie na wieczór zaprosili. Z siódmego na ósmy nocowałem u Proskury i na prośbę jego zająłem się przygotowaniem sutego podwieczorku. Po mszy św. przyjaciele wyciągnęli solenizanta na przechadzkę ku Żołobom. W miejscu gdzie się z jaru wychodzi w połowie drogi na płaszczyznę, koledzy niby rozbiegli się po lasku, ze Stanisławem zostali tylko Piotrowksi i Czajkowski Symforjan. Wtem z pomiędzy drzew wysuwa się starzec i pozdrawia pięknym wierszem solenizanta, a wszyscy koledzy wieńcem go otaczają. Starcem ja byłem; wiersze Eligi napisał. Nie dochowała pamięć tych tkliwych wynurzeń przyjaźni i nawet przepisane zatraciły się z czasem. Z rozrzewnieniem przyjął Stanisław przyjaźni wyrazy i weseli wróciliśmy na suty obiad. Wieczorem prefekt i większa część nauczycieli zebrali się do stancji Proskury, ale po herbacie przenieśliśmy się wszyscy na obszerniejsze pokoje Malawskich, gdzie przy hojnym traktamencie i nieoszczędnych kielichach szampana i węgrzyna, długo za północ bawiliśmy się śmiało, bo jutrzejsza niedziela i obecny szanowny nasz kapelan zapewniali nas, że do dziewiątej jutro spać można.

Kilka dni przeszło po imieninach Stanisława i dnie, w których nie miałem lekcji, całe między górami przepędzałem, skąd rośliny do założonego już botanicznego ogrodu znosiłem. Raz jeden tak się opóźniłem, że już noc była, gdym wrócił zmordowany prosto na moją kwaterę. Rzuciłem się na łóżko nierozebrany i smaczno zasnąłem.

Miło mi się marzyło: widziałem matkę, siostry i moich nowych przyjaciół, byłem z nimi i błogo mi było. Płacz dziecka mojej gospodyni ze snu mnie miłego obudził. Żal mi było, żem się ocknął i rozbierałem sobie wszystko, co mi się śniło, wtem słyszę jakby gang zegarka. Kołatek, pomyślałem sobie, gdzieś się w starych ścianach drewnianych odzywa, i obróciłem się na drugą stronę, ale gang jeszcze wyraźniej z pod poduszki słyszeć się dawał. Dreszcz po mnie przeszedł, serce bić mocniej zaczęło, siadłem, i ściągnąć ręki pod poduszkę nie śmiałem. Nie mogłem pojąć, jakimby sposobem zegarek mój do mnie się dostał, kiedy prócz mnie i poczciwego Bunia nikt o nim nie wiedział. Pytali mię wprawdzie czasem koledzy, „gdzie twój zegarek?“, alem ich zbywał, że w Dubnie u zegarmistrza. Biedziłem się w myślach i już dniało, kiedy odważyłem się podnieść poduszkę. Istotnie, leżał mój zegarek, mój własny zegarek nakręcony i zregulowany. Zapłakałem na jego widok i przycisnąłem do serca tego towarzysza uczuć i myśli moich. Drogim on był dla mnie, bo to był upominek tak szacownego sercu mojemu wojewodzica Józefa Walewskiego. Cieszyłem się odzyskaniem tego miłego sprzętu i bawiłem się nim, jak dziecko i nie dziw — miałem dopiero lat dwadzieścia.

Rano szedłem do kościoła i rzewną była moja modlitwa, stamtąd na lekcje z postanowieniem niepokazywania się tego dnia u Malawskich. Ale gdzie tam! dobrzy koledzy wzięli mię pod ręce i poprowadzili. Proskura szedł zdala z najobojętniejszą miną niepodzielając pustych żartów, ale i mnie nie do śmiechu było. Siedliśmy do stołu, Malawska zapytała mię, która godzina? „Pierwsza“ odpowiedziałem patrząc na zegarek. „Cóż? odebrałeś go już od zegarmistrza?“ — zapytał zimno Stanisław — „zapewnie teraz iść będzie dobrze, bo długo się reparował“. Zaczerwieniłem się, wstyd mi było mojego kłamstwa. Po obiedzie zacna profesorowa, odprowadziwszy mię na bok, zapytała: „któż ci oddał twój zegarek?“ „Nie wiem i domyślać się nie śmiem“. Ja ci powiem, jak było. Wiesz, że

Staś brał wina u Bunia na rejestr, trzeciego dnia posłał swego Legockiego, ażeby się rozpłacił. Sprawiwszy się u winiarza i złożywszy panu rachunek i resztę pieniędzy, „co ja panu powiem — rzeknie — u Bunia jest zegarek p. Antoniego". „Czyś się nie omylił?" Nie, wszak ja ten zegarek znam dobrze, Buń zaprzeczał, mówił, że to jego własny fant i sprzątnął go z przed moich oczu". „Być może"—odpowiedział Staś i zaraz mnie o tem zawiadomił". Cóż z tem zrobisz? spytałem. „Już ja wiem, wziął czapkę, zawołał z sobą Legockiego i poszedł. Buń, zobaczywszy Proskurę, myślał, że jakie nieporozumienie w rachunkach zaszło, ale grzeczne powitanie uspokoiło go. Chcę z wmpanem sam na sam pomówić. „Nu proszę jaśnie pana do mojej izdebki". Weszli, winiarz drzwi ze środka zaszczepnął? „U wmpana jest zegarek przyjaciela mego p. Antoniego?" „Nu co tu przed jaśnie panem taić, jest". „W zastawie?" „Za pięć dukatów". „Dawno?" „Niech pan datę zobaczy". Staś pokiwał głową i z cicha wymówił: „dwa miesiące! biedny!" „Czy pan chce za niego zapłacić?" „Zapłacę, bo mam przysłane dla niego pieniądze, ale i procent za ten czas należy?" „Nu, ja biednego dobrego człowieka obdzierać nie chcę, po dwa grosze z rubla na tydzień, będzie dość ze mnie". „Może i to za wiele!" „No, co jaśnie pan naznaczy, to ja wezmę". Dobył Staś 17 rubli, żyd oddał mu zegarek i twój rewersik. Proskura wręczył go Legockiemu, ażeby korzystając z twojej niebytności, cichaczem ci pod poduszkę podłożył i to tak się udało dobrze, że staruszka, u której klucz zostawiasz, widziała tylko, że Legocki książkę jakąś na stole położył. Ale czy ci nie mówiła o tem?" „Wczoraj późno przyszedłem, stancja nie była zamknięta, staruszka już spała, a dziś jej jeszcze nie widziałem". Łzy mi oczy zalewały, słuchając opowiadania Malawskiej, ucałowałem jej ręce i skoczyłem do pokoju Stanisława.

Siedział sam i czytał ulubionego sobie Rasyna. Rzuciłem mu się na szyję i z płaczem wołałem: „Dobroczynny! wspaniały przyjacielu!" „Cóż to za dramatyczna sce-

na?“ rzekł z udaną obojętnością. „O! nie udawaj! nie udawaj“, mówiłem, „wiem wszystko! „No, kiedy wiesz, to się uspokój, siądź i słuchaj!“ Tu dowiedziałem się dopiero, że Legocki z polecenia swego pana śledził moje kroki i czuwał nad mojem postępowaniem. Wiedział u kogo bywam, kto mię odwiedza, z kim ściślejszą mam znajomość, kiedy nawet i gdzie byłem na ekskursji, historji tylko zegarka i mojej biedy wyśledzić nie potrafił, i o wszystkiem Stanisławowi i Malawskim donosił. „Dzięki Bogu! nic nagannego w twem prowadzeniu się nie okazało, ale nie mniej przez to mam żal do ciebie, żeś się z niedostatkiem twoim tak starannie ukrywał. Wiem, lękałeś się jałmużny? Czyż przyjaźń nie potrafi znaleźć sposobów przyniesienia wsparcia, nie licząc na rękę brzęczącej monety? Skrytość twoja naraziła cię na tyle kłamstw, na zobowiązanie się i zerwanie z Radzimińskimi, i nakoniec musiał się wykryć twój stan rzeczywisty. A gdybyś był więcej zaufał, nie mówię mnie młodemu, ale Malawskim, którzy cię, jak syna kochają, wszystko byłoby się zrobiło i cicho i dobrze. Względem siebie, nic ci nie wymawiam, bo się jeszcze o moich dla ciebie uczucach przekonać nie mogłeś, ale odtąd wierzyć mi może będziesz, tego wymagam, to będzie dowodem, że mię kochasz i przyjaźń moją cenisz“. Rzuciłem się w objęcia Stanisława, płakałem, ale i na jego oczach łzy były. „Słuchaj“, mówił dalej, „kochany nasz Czech kazał ci odnieść się do niego w potrzebie pieniędzy; zachowaj wdzięczność za jego ojcowskie dla ciebie uczucia, ale pieniędzy nie bierz; myśmy inną pomoc dla ciebie obmyślili. Marszałek Borejko, wuj Władysława, napisał do Malawskich, ażeby wszelkie pozostałości po nim zlicytować i sumę zebraną na ubogich rozdzielić. Ty się wcale do zamożnych nie liczysz, kochałeś Władysława, on cię kochał, on chciał nadal losem się twoim zająć, miło będzie jego duszy, kiedy znaczna część tej sumy tobie się dostanie; i już to z Malawskimi ułożyliśmy“. Dziękowałem Stanisławowi, dziękowałem czcigodnym moim Malawskim i już odtąd

nic bez ich rady nie przedsiębrałem. Resztę dnia na miłej przyjacielskiej pogadance przeszło, i tam przenocowałem. Następnego dnia miałem jechać z Jaworskim na Bużą górę i wybrany oczekiwałem go na galerji. Już było około dziesiątej; przybliża się do mnie jakiś młody człowiek, przystojny i przystojnie ubrany, i o mnie się pyta. „Ja sam jestem, co pan żądasz?“ „Racz się pan pofatygować ze mną do zajezdnego domu, tam pana czekają znajomi“. „Któż taki?“ „Tego mi powiedzieć nie kazano“. „A pan kto jesteś?“ „Także dobry pański znajomy“. Zaintrygowany taką mistyfikacją poszedłem za chłopakiem, którego rysy w istocie nie były mi obce. Ale jakaż radość moja była, kiedy wchodząc do izby, zastałem pp. Walewskich Józefa i Feliksa. Tak byłem wzruszony, taki zamęt w moim umyśle i sercu powstał, że nie pamiętam, jak się z nimi witałem. Oba byli w żałobie, domyśliłem się zaraz przyczyny i gorzko z nimi zapłakałem nad stratą mojego dobroczyńcy p. wojewody. P. Józef oddał mi list od matki i sióstr i 5 dukatów, jako udział od matki, o którym w liście nic mi nie pisała. Domyślałem się czyj to datek, przyjąłem, nie dając poznać, że się domyślam, bo wiedziałem, że podziękowanie niemiłemby mu było. Pp. Walewscy poszli do p. podczaszyny Czackiej, mieszkającej już od jesieni w Krzemieńcu, i zażądali, ażebym został na stancji do ich powrotu, zostałem więc z młodzieńcem, który mię przyprowadził. Był to istotnie znajomy, wychowaniec domu p. wojewody, syn zasłużonego oficjalisty, a teraz gatunek sekretarza przy p. Józefie, podczas jego marszałkostwa w rowieńskiem powiecie, Wincenty Kłosowski. Dwór ogładził go pięknie, a przytem poczciwy był chłopiec, miłe mi więc z nim było przypomienie Tuczyna.

Panowie Walewscy zostali na obiedzie u podczaszyny, ja obiadowałem z Wicusiem. Od niego dowiedziałem się wiele szczegółów o Tuczynie, od czasu mego wyjazdu wydarzonych. Jak dziwne zrządzenia losu! Oleszkiewicz wróciwszy z Paryża zaproszony był do Tuczyna, dla zro-

bienia hrabstwu portretu p. wojewody. Znajomy mu był dom p. wojewody jeszcze przed wyjazdem za granicę. Znał moją matkę i bardzo ją szanował i w Tuczynie był tak jak w domu. Siostra moja młodsza, piękna brunetka, odrazu wpadła w oko estetycznemu artyście i rysy jej odbiły się w obrazach później malowanych. Wezwał protekcji p. wojewody i hr. Chodkiewiczów, ci umieli wyperswadować matce mojej, jak stosowną i korzystną była dla Karoliny partja, gdyż Oleszkiewicz miał zapewnione po Smuglewiczu profesorstwo w uniwersytecie wileńskim. Matka moja rada była pięknemu postanowieniu córki i niekochającą Oleszkiewicza potrafiła przekonać, że z nim będzie szczęśliwa. Od roku już skojarzyło się to małżeństwo, biedna moja Karolina została Oleszkiewiczową i nigdy z nim szczęśliwą nie była. Więcej jeszcze okoliczności opowiadał; o tych na swojem miejscu wspomnę. Pp. Walewscy od p. podczaszynej wróciwszy zaraz wyjechali. Czułe było moje z nimi pożegnanie, p. Józef polecił mi, ażebym we wszystkich moich potrzebach najśmielej do niego się odnosił. Dziękowałem za dar i za dalsze mną interesowanie się i ciężko mi było rozstawać się z nimi, i żal długo pozostał w sercu mojem po ich odjeździe.

ROZDZIAŁ II.

Skończył się rok szkolny, starosta Czacki był jeszcze w Petersburgu, brat jego p. podczaszy kor. zastępował go na egzaminach, zjechał i ks. biskup Cieciszowski, tak dawno mi znany, i wielu znakomitych obywateli. Egzamina były surowe, ale przygotowanie uczniów całoroczną pilnością, tak było piękne, że tę konieczną surowość chwalebnie wytrzymało. Konieczna ta surowość była skutkiem starań zwierzchności szkolnej dla przekonania obywatelstwa o niesprawiedliwem zachowaniu się ufności do założyciela gimnazjum, gorliwości nauczycielów i pilności

uczniów, którym zatrzymanie ich dobroczyńcy żadnej w naukach przeszkody, ani tamy nie położyło. Spokojne i moralne sprawowanie się młodych w obecnym stanie politycznym, służyło dowodem czujności szkolnego rządu. Pożądany skutek uwieńczył gorliwość i trudy. Ojcowie młodych wychowańców gimnazjum Krzemienieckiego, serdecznie zadowoleni i postępem w naukach i moralnem prowadzeniem się swych dzieci, najczulej dziękowali władzom szkolnym i błogosławili założyciela tej szkoły.

Na wakacje zabierał mię z sobą Proskura. Gdyśmy już siadać mieli, Malawski wziął mię na stronę i powiedział: „Antosiu! jedziesz w dom nowy dla ciebie, zamożny, będą ci radzi nie wątpię, bo ze Stasiem przyjedziesz, ale czy ci co dadzą, to zgadnąć trudno, a znam ciebie, że nie poprosisz, lepiej więc jeśli swój grosz mieć będziesz. Masz tu pięć dukatów, które żona moja z licytacyjnych pieniędzy umyślnie na to zostawiła. Usłuży ci kto, wypiorą ci bieliznę i t. p. zawsze miło, kiedy jest czem się wywdzięczyć. Uściskałem czcigodnego profesora, profesorowej rączki ucałowałem i pojechaliśmy. Siedem nas bryk w jedną stronę jechało—piękna kompanja przyjacielska. Na noclegu w Katerburgu zahulaliśmy sobie na odjezdnem uczciwie, ale tylko do humoru, bez żadnego brudnego następstwa. Wstępując po drodze do domów rodziny Proskury, ledwie na końcu drugiego tygodnia zajechaliśmy do jego domu, do Wasylowa w powiecie wasylkowskim.

Stanisław Proskura był synem szambelana Proskury z kasztelanki Podoskiej, miał siostrę młodszą i dwuch małych braci Józefa i Antoniego. Stryj jego Kajetan, prezes s. Gł. Kij., dotąd z żalem i uwielbieniem wspominany w Ukrainie, życie jego pełne cnót najwyższych publicznych i domowych zajęłoby opisem tom nie mały. Wylany, jak ojciec dla całej rodziny, kochał Stanisława, jak syna, bo w nim widział obraz swej duszy. Siostry prezesa za znakomitymi były obywatelami ukraińskimi i wszystkie ser-

cem i umysłem jemu podobne. Któż z uszanowaniem nie wspomni generałowej Jerliczowej, której dom czcigodny był szkołą tylu obywatelek? Druga siostra była za podkomorzym Piotrowskim. Cóż to za dom był wzorowy! Jaki obraz obyczajów staropolskich przy wysokiej nowej oświacie. Siedmiu miał synów, jeden z nich Eligi był w Krzemieńcu i szczycę się, żem na jego przyjaźń zasłużyć potrafił. Podkomrzy zostawił synom piękny majątek i jeszcze piękniejsze imię prawego, cnotliwego obywatela! Nieodrodne od zacnych rodziców dzieci, znanemi są i dziś ze swych znakomitych serca i umysłu przymiotów.

Matka Stanisława miała jeszcze ojca. Stuletni zasłużony w kraju obywatel, kasztelan Michał Podoski był dziadem Stanisława. Cóż to za piękna była starość tego czcigodnego pana, ile życia w tej późnej starości, co za nieocenione serce! Jakie wysokie oświecenie, jaka pamięć i przytomność! Prawdziwa była rozkosz obcowania z takim mężem, ani można było dość nasycić się jego rozmową. To też kochanym był, więcej niż kochanym nawet u wszystkich, co się szczycili jego znajomością. Pobyt w domu kasztelana nader był miły każdemu, a ileż biednych pod tą senatorską strzechą przytułek znajdowało. P. kasztelan, jak sam o sobie opowiadał, za Augusta trzeciego służył w wojsku nietytularnie i do lat pięćdziesięciu żył, jak wszyscy za Sasów żyli. Za króla Stanisława stał się cywilnym i dwadzieścia lat w senatorskiem krześle ojczyźnie radami służył. Po rozbiorze kraju osiadł w swoim majątku i spokojne prowadził życie. Wstawał zawsze o piątej i wypiwszy herbatę pracował w swoim ogrodzie, pielęgnując rzadkiej piękności tulipany, hjacynty i najwyborniejsze brzoskwinie, dla których stułokciowe schronienie pod szkłem zbudował. O dziesiątej wracał do siebie, pił herbatę, ubierał się i wychodził na pokoje, gdzie już wszyscy bawiący w domu zbierali się. O dwunastej obiad, po obiedzie znowu herbata i pół godziny spoczynku. Potem ciągle już był w towarzystwie, któ-

re umiał zająć piękną rozmową i przywiązać do siebie niewymuszoną narodową uprzejmością. O dziesiątej szedł do siebie, jeszcze pił herbatę i parę godzin czasem czytywał przed zaśnięciem. Lubił czytać i na dobre dzieła kosztu nie żałował i piękny dobór książek posiadał. Tak pięknie dożywszy sto siedm lat, zakończył piękne życie, pięknym sprawiedliwych zgonem. Ani czas, ani okoliczności nie zatarły w mej pamięci tego czcigodnego męża i dziś go jeszcze z uwielbieniem i łzą wdzięczności wspominam.

Wesoło przechodziły wakacje w towarzystwie rodzinnem Proskurów i kilku nas młodzieży, ciągle towarzyszyliśmy Stanisławowi w familijnych jego odwiedzinach i razem na jarmark berdyczowski pojechaliśmy. Śliczny ż to był zbiór zacnej ukraińskiej szlachty, a choć była w niej rubaszność narodowa, ale nie było nieobyczajności i tego brzydkiego bałagulstwa, które się dopiero w dalszych latach obecnego stulecia z postępowego próżniactwa wylęgło. Niewiasty nasze, jak zawsze, celowały wdziękami i tą wrodzoną ich wdziękom władzą, podtrzymywaną wyższem ukształceniem i osobistemi duszy przymiotami. Nazywano szlachtę ukraińską arystokratyczną; ale, jak p. wojewoda Walewski utrzymywał o szlachcie ukraińskiej, nie była to śmieszna nadętość z rodu lub bogactw, ale sprawiedliwe uznanie i ocenienie własnej godności i osobistej zasługi. To też i towarzystwo w domach szlacheckich było dobrane i miało wielki wpływ na ukształcenie młodzieży i młodzież bogata umysłowemi zapasami tchnęła tem życiem świeżem, pełnem wdzięku, i przy rodzimej ukraińskiej rubaszności pięknym polorem odznaczała się. Zapewne ten rys ogólny Ukraińców, podpada wyjątkom, ale w czasie, w którym byłem na Ukrainie i w okolicy, którą poznałem, kąkolu nie było. Może wiek mój młody, przedstawiając mi świat cały pięknym, ludzi wszystkich dobrymi, rozpatrzeć się należycie nie dozwalał; ale ja w porównaniu odnosiłem indywidua

obecne do tych, wśród których wyrosłem i które stały się w wyobraźni mojej typem, do któregoby wszystkie członki społeczności naszej zastosować się powinny. I dlatego to, wyznaję, że Ukrainę naówczas pokochałem. A niewiasty! Dość powiedzieć, że w czasie owego jarmarku zjawiło się siedmnaście piękności, z których każda liczyć się mogła pierwszą jaśniejącą estetyczną pięknością, tem świetniejszą, że te wdzięki przy młodocianej wesołości zdobiła czysta naturalna skromność i piętno starannego wychowania. Wiele z nich oddawna zeszło z tej ziemi, inne otoczone wnukami jeszcze ślady swych dawnych wdzięków zachowały. I dusze ich tak były piękne, jak ich oblicza! Cóż to były za żony! jakie matki! obywatelki! A mimo to, że Stanisławowskich czasów obyczaje jeszcze w wielkiej części kraju zakorzenione zatrzeć się nie mogły, mało było wyjątków od powszechnej o płci pięknej ukraińskiej opinji, ja przynajmniej podówczas żadnego przykładu takiego zboczenia nie pamiętam. Pokój duszom tych zacnych Ukrainek, które już ziemia pokryła! Cześć żyjącym babkom i matkom istniejącego dziś pokolenia. Wiekowe matrony, któreście wychowały matki obecnego obywatelstwa, cześć wam i wdzięczność! Wy siałyście z Bogiem nasiona bogobojnej moralności i zbierałyście plon wasz z weselem. Cześć i wdzięczność narodowa szanownym popiołom waszym! Oby podobne matki i przewodniczki odradzały się, we wnukach i prawnukach waszych!

Nie mam potrzeby wyliczać rodzin, poznanych w owym czasie, rejestrby to był niezmiernie długi, a może wspomnienie niby do zasług społecznych imionom tym nie przydało. To tylko jeszcze przytoczyć mogę, że w czasie, kiedy napływ emigrantów francuskich, ucząc swej mowy i obyczajności, skaził naszą narodowość w innych prowincjach, Ukraina w całej czystości ją przechowała. Taką była Ukraina, a przynajmniej ta część, którą poznałem natenczas. Czem jest dzisiaj, nie wiem; możeby

starość rozpatrywać się w niej przez okulary radziła, a dokładnie, czysto pokazujących, dobrać do oczu trudno. Możeby wzrok starością osłabiony, niewyraźnie malując przedmioty, zmieniał rysy i zakrywał charaktery, a uwiedziony niedowidzeniem, cośbym o Ukrainie przeciwnego dawnej opinji powiedział. Na co mnie to staremu? wolę przy dawnej zostać illuzji i z Ukrainą żyć po bratersku. Wróciwszy z jarmarku do Miasteczka (tak się nazywała wieś kasztelana), przywiozłem ciężką febrę i w domu czcigodnego senatora doznałem najstaranniejszej pieczołowitości całej rodziny kochanego Stanisława. Boleśnie mi było opuszczać przyjaciela, jakiemu równego już nie miałem, ale wakacje się skończyły i wróciłem do Krzemieńca.

Na ten rok miałem już kondycję i pewne niezłe utrzymanie, ale przeszłorocznych towarzyszów nie było. U Malawskich jeden tylko pozostał Plater, w którego pięknem sercu odbiły się dla mnie uczucia Stanisława. Zmienione położenie moje nie wywołało z przyjaźni faktów, jakie objawić się mogły w zbiegu moich przeszłorocznych okoliczności, rok więc spokojnie przechodził. Na święta zebrałem się do moich. Po dwuch prawie latach miło mi było znaleźć się pod rodzinną strzechą; ale smutno było w Tuczynie. P. wojewoda już nie żył i poczciwego wuja mojego już nie było. Skropiwszy łzami ich groby i oddawszy winny hołd żalu ich popiołom, pocieszaliśmy się w kółku naszem rodzinnem. Pp. Bieżyńscy byli w Warszawie, księżna wydawszy córkę za ks. Józefa, syna ks. Michała Lubomirskiego, wyjechała do Paryża, pp. Józefostwo świętowali u matki w Boremlu, Heronimostwo w swoim majątku zamieszkali. Przeciąg czasu od mego wyjazdu z Tuczyna, stanowi wielce interesującą część domu Walewskich i takową, opowiadaną od ciotki mojej Skirmuntowej, jako ciąg dalszy historji, na którą dawniej patrzałem, tu umieszczam.

Zdrowie p. wojewody, coraz mniej mu dopisywało,

a zgryzoty silnie podkopywały tę silną budowę, której lat siedmdziesiąt i trudy niegdyś wojenne osłabić nie zdołały. Doktór nadworny Diotte, sławni Lernet[1]) i Hackenszmit i wielu innych nie mogli przywołać zdrowia i tylko cierpienia przedłużały się. Księżna zamknęła swój dom i wraz ze Skirmuntową i moją matką łoża boleści nie odstępowały. Zjechały się i drugie córki, i zięciowie, i synowie z żonami. Chorąży kor., niegdyś także zięć i najszczerszy przyjaciel, ledwie co trzeci dzień do Międzyrzecza odjeżdżał. Baur i cały dwór jego byli na usłudze. Najtroskliwsze, najczulsze starania otaczały chorego, ale choroba olbrzymim krokiem postępowała. Cierpienia były ciężkie, ale umysł przytomny i mężny. P. wojewoda prosił, ażeby wezwano podkomorzego Pinińskiego, marszałka Borejkę i p. Skirmunta i wobec nich wolę swoją zdawna napisaną swoim i ich podpisem zatwierdził. Po tem wysileniu gorączka się wzmogła, odjęła przytomność i cierpienia zwiększyła. Trzy dni trwał ten stan okropny walki między życiem i śmiercią, czwartego opuściła gorączka, ustały cierpienia, ale i siły ustały. Wróciła przytomność, ale wróciła tylko dla ostatecznego z Bogiem pojednania, dla pobłogosławienia i pożegnania strapionych dzieci, wnuków, przyjaciół i domowników. Usprawiedliwiwszy się przed Stwórcą, zalecał miłość i zgodę braterską swym dzieciom, odpuścił urazy nieżyczliwym, przyjaciołom pamięć swoją polecał, Józefowi opiekę nad wdowami i sierotami zasłużonych przekazał. Ukochanego Feliksa, jak własne dziecko błogosławiąc, żądał, aby z Dosią połączony był ślubem. Spokojne były ostatnie chwile, a dusza, oczyszczona cierpieniem i skruchą usprawie-

[1]) Lernet Jan, dr. medycyny, lekarz nadworny Lubomirskich w Dubnie. Miał ogromną praktykę i powodzenie. Wyznaczył fundusz na utrzymanie czterech najlepszych uczniów w szkole Krzemienieckiej. Umarł w r. 1820. Złożył w Tow. Przyjaciół Nauk rozprawę po łacinie o morowem powietrzu. Ateny Wołyńskie M. Rollego. Wspomnienia Z. Kowalskiego t. I, 124. Kijów 1859.

dliwienia się przed Bogiem, uleciała do swego Stwórcy i zostawiła na rysach stygnącej twarzy spokojność sprawiedliwego. Już! smutne już! rozległo się w moment po tych tak długo brzmiących wesołością komnatach i jeden płaczu jęk ozwał się z serc osierociałej rodziny i odbił w jękach przyjaciół, sług i między gromadnie na dziedzińcu zebranem poddaństwem! a jeden odgłos powszechny: „niemasz już naszego ojca!“ zabrzmiał w całym Tuczynie i po wioskach okolicznych się odbił. Wspaniały katafalk wzniesiono w sali okrągłej, gdzie kilka dni wystawione było ciało zmarłego. Dwunastu obywateli w pełnych mundurach i krepach wynieśli szanowne zwłoki na wóz pogrzebowy, urzędnicy powiatowi nieśli znaki dostojeństwa zmarłego. Nikt programu obchodu nie układał, obywatele przybywszy na pogrzeb, podług uczuć swoich współobywatelowi usługę ostatnią oddawali. Pokrewny i przyjaciel biskup z licznem duchowieństwem prowadził kondukt i w poświęconym niedawno przez siebie kościele, zwłoki fundatora do grobu złożył.

Okrył się żałobą Tuczyn, opustoszał pałac i zdawało się, że to ani ten dom, ani to miasteczko, piękne nawet położenie Tuczyna osmutniało. P. Józef zamieszkał w pawilonie tylko, Hieronim na stajniach, księżna wróciła do swego dworku, inni po domach się rozjechali. Feliks bawił przy p. Józefie, codziennym był gościem u księżnej, z miłością się swoją dla Dosi nie taił i wzajemnie odbierał. I tak blizko pół roku przeszło. Księżnie wypadło pilno wyjechać do Warszawy, a nie mogąc córki wziąć ze sobą, zostawia ją u pp. Józefostwa Walewskich, a sama z jedną tylko wychowanicą pocztą pośpiesza. Mogła była księżna zostawić córkę u ojca w Międzyrzeczu, ale znała nie wielką życzliwość synowej chorążego pani Józefowej i dla Dosi i dla siebie, a druga synowa p. Karolowa, z domu Morsztynówna, od serca przyjaciółka księżnej była za granicą, w Tuczynie więc Dosię ulokowała. Dla Dosi milszym był pobyt u wuja, niż u bratowej, którą dobrze

znała, pod niebytność ojca bawiącego w dobrach ukraińskich. Feliks już był u kresu swojego szczęścia. P. Józef ubezpieczony wolą ojca i powolnością księżny, chcąc kochającej się parze jeszcze więcej szczęście jej zapewnić, postanowił ich zaręczyć. Sprosił przyjaciół, wezwał ks. biskupa, napisał do chorążego i tak wszystko przygotowawszy, zjechania się wezwanych osób oczekiwał. Najpierwszy przyjechał p. Stecki, p. Józef zamiar mu swój objawił. „Nie mam nic, tego to, przeciw Feliksowi, kocham go i za zięcia mieć sobie życzę, ale bez matki na zaręczyny zezwolić nie mogę. Co się przewlecze, tego to, to nie uciecze. Księżna długo nie zabawi". „Więc niech wobec ojca, wobec pasterza djecezji, rodziny i przyjaciół, niech sobie dadzą uroczyste przyrzeczenie!" Na to zgoda!"

Uroczysty ten akt chciał p. Józef uroczyście obchodzić i na ten dzień wszyscy żałobę zrzucili. Dorota w białej sukni, piękna zawsze, w tym dniu jeszcze piękniejszą była, bo ją ożywiały miłość, nadzieja i wiara. Gdy się wszyscy zebrali na pokoje, ks. biskup zapytał: „czy istotnie z przywiązania, a nie z żadnego interesu, ani z przymusu masz wolę oddać rękę twoją Feliksowi?" „Ojcze!", odrzekła skromnie, lecz śmiało, „serce moje oddawna zupełnie do niego należy, ani matka uczuciom moim przeciwną była, ty ojcze kochany z serca im sprzyjasz, rodziny mojej jest to jedynem życzeniem, możeż więc jaki interes, albo przymus wpływać na moje postanowienie? Wobec Boga! przed obliczem twojem świątobliwy pasterzu, przy sercu twoim drogi ojcze i w przytomności waszej, luba rodzino i przyjaciele, wyznaję, że kocham Feliksa i z nim tylko w małżeństwie szczęście moje upatrując, rękę mu moją oddaję. Tak mi Boże dopomóż!" Podawszy potem rękę Feliksowi przyklękła przed biskupem, który odmówiwszy stosowną modlitwę, pobłogosławił oblubieńców. Rzucili się potem do nóg chorążego, przyciskał w milczeniu do serca ze łzami swoją

jedynaczkę i położywszy ręce na głowach klęczącej przed nim pary: „Błogosławię was moje kochane dzieci“ wyrzekł łkając i przeżegnał. Pierwszy to raz od zgonu p. wojewody wesołość zajrzała do serc jego rodziny. Chorąży żądał córkę wziąć do siebie, p. Józefowa sama ją do Międzyrzecza odwiozła, Feliks także za nią pojechał. Wróciła i księżna, ale o tem, co zaszło nie wiedziała. Feliks nieodstępnym był przy Dosi i księżna na to z uśmechem patrzała.

Na nowy rok, jak zwyczajnie, zbierali się goście do Międzyrzecza, księżna choć w żałobie, dla córki jechać tam miała obowiązek. P. Józef z Feliksem także pojechali. Na tym balu pokazał się po raz pierwszy młody, przystojny, gładki i bogaty syn księcia Michała Lubomirskiego, Józef. Piękne ułożenie młodzieńca ujęło wszystkich dla niego, on jedną tylko widział Dorotę. Nie uszły uwagi matki nadskakiwania młodego księcia i wnet bujna macierzyńska wyobraźnia głowę córki w mitrę stroiła. „Czy uważasz, panie chorąży, jak się książę Józef przysiada do naszej Dosi?“ „Mościa księżno! tego to, widzę, ale nadaremnie“. „Dlaczegoż? Czyżby to nie była odpowiednia partja dla naszej córki?“ „Ja tego nie mówię, dla Dosi, mitra nie zanadto, ale“ — „Cóż ale?“ „Ale tego to, ale dałem słowo Feliksowi, a księżna wie, że tego to, verbum nobile“. „I kiedyż to p. chorąży dał mu to szlacheckie słowo?“ „Długo o tem, tego to, mówić, wolnym czasem opowiem, teraz gospodarzowi gośćmi zająć się należy. Niecierpliwość księżnej niepokoiła ją srodze, ale znała upór chorążego, zagryzła wargi i zamilkła. Bal się długo za północ przeciągnął, p. Józef z Feliksem przed wieczerzą zniknęli“. „Józefie!“—zawoła smutnie Feliks, skoro do powozu wsiedli:— „kochany Józefie! ten książę mię nie cieszy, księżna niezmiernie nim była zajęta, a na mnie niechętne, złowrogie jej spojrzenia padały“. „A Dosia“? „O! ona! ona wszystko mi słodziła, jej piękne oczy zdawały się mówić, nie

trać nadziei!" „I nie trać nadziei, rzeczy daleko zaszły i słowo ojca mamy". „I twoją przyjaźń, bracie mój drogi!" odrzekł ściskając rękę p. Józefa, ale w duszy jego dręczący powstał niepokój.

Księżna pozostała w Międzyrzeczu i nazajutrz zaprosiła chorążego do swoich pokojów na kawę. Kochał ją zawsze p. Stecki i silne nad umysłem jego miała panowanie. „Janie!"—rzeknie do wchodzącego z przymileniem—„mamy czas wolny, pomówmy o naszej Dosi". „A cóż, tego to, Dosia dała słowo Feliksowi, przyrzekła mu swą rękę, a jam to przyrzeczenie potwierdził". „Gdzież to i kiedy?" U Józefostwa w Tuczynie wobec ks. biskupa i przyjaciół". „I jakże mogłeś to uczynić?" „Nie jestemże, tego to, ojcem?" „Ale ja matka! i beze mnie?.." „Chciej sobie, tego to, moia księżno przypomnieć, żeśmy tyle razy o tem z sobą mówili i nigdy temu przeciwną nie byłaś". „Można jednak było z tem do powrotu mego zaczekać" rzekła z uniesieniem księżna; chorąży się zmięszał: „Czyżbyś miała dawną myśl swoją odmienić?" „Okoliczności częstokroć zmieniają nasze projekta"—mówiła księżna łagodniej—„książę Józef..." „Tak, piękna partja; ale czyż on się o Dorotę stara?" „Czyż nie uważałeś, jak on Dosi nadskakiwał?" „Czas to pokaże, tego to, zostawmy to czasowi. Feliks ma moje słowo, ale, tego to, i od ołtarza się rozchodzą". „I oni się rozejdą! ja w tem!" „Proszę moia księżno! zostawmy to czasowi i to, cośmy tu mówili, tego to, niech zostanie między nami. Słowo?" „Słowo!" odpowiedziała księżna i podała chorążemu rękę, którą on wielokrotnie ucałował. Tegoż samego dnia odjechał ks. Józef, ale o pozwolenie częstego bywania w Międzyrzeczu nie prosił. Zauważała to księżna i nasępiła się, ale chorążemu to w smak nie poszło. „A cóż? tego to, nie mówiłem, zostawmy czasowi". „Tak", odpowiedziała księżna, „książątko Paryżem przesiąkło i nas ma może za parafjanów, niegodnych pozyskać jego książęcej mości względy". W duszy jednak o mitrze dla Dosi marzyła.

Za powrotem do Tuczyna przybrała spokojną powierzchowność i wszystko szło po dawnemu, oko tylko zakochanego dostrzegło odmiany. Wizyty jego równie częste, ale księżna nigdy z nim sam na sam Dosi nie zostawiała i w grzeczności było coś wymuszonego. Napomknął Feliks p. Józefowi o swojem spostrzeżeniu. „Tak ci się zdaje. Znasz księżnę i wiesz, że czasem spliny ją napadają". „Byleby nie co gorszego dla mnie". P. Józefowi ciężyło trochę na sercu, że nadużył niebytności siostry, którą kochał i zbierał się pomówić z nią w tej okoliczności obszernie, otwarcie, ale tak się jakoś wszystko składało, że do tej rozmowy nie przyszło.

Tymczasem Baur, wezwany do Petersburga dla zajęcia krzesła w radzie wojennej, z żalem opuszczał tyloletni pobyt wpośród przyjaciół, a księżna, nie mogąc się osiedzieć w Turczynie, po odjeździe jedynego przyjaciela, wzięła w dzierżawę Zelankę, wioskę o pół mili od Tuczyna odległą. Pokazało się przecież, że Baur utrzymywał równowagę między rodzeństwem, bo od jego wyjazdu księżna znacznie zobojętniała dla braci i najwięcej bawiła w wydzierżawionej wiosce. W postępowaniu p. Józefa żadnej nie było odmiany. Ale zbliżała się burza, którą po obecnej ciszy przewidzieć można było.

Pani Józefowa Walewska zebrała się raz odwiedzić księżnę i p. Skirmuntowę z sobą zaprosiła. P. Skirmuntowa równie całej rodzinie Walewskich życzliwa i od księżnej i od braci jej lubioną i szanowaną była, zaufanie ich posiadała, dla tego więc równie w Tuczynie, jak w Zelance, pożądanem była gościem. Mile ją przyjęła księżna, z p. Józefową na zimno braterskiej utrzymała się uprzejmości. Rozmowa padła na Dosię i p. Józefowa nierozważnie zapytała, na kiedy księżna odkłada wesele. „Nie widzę pretendenta do jej ręki", rzekła chytrze księżna. „A Feliks?" „Nic jeszcze o jego zamiarach nie wiem". „Oho, oni już sobie przyrzekli, a p. chorąży i ks. biskup to przyrzeczenie zatwierdzili". „Gdzie? i kiedy?" zapytała, niby nie wiedząc o niczem, księżna". „A w naszym do-

mu, w czasie bytności księżnej w Warszawie". „Tak i toż to było po bratersku korzystać z mojej nieobecności? byłoż to po bratersku nadużywać zaufania, z jakiem Dosię pod waszą opiekę oddałam? Wspomnieliżeście mi przed wyjazdem o waszym zamiarze? O! Józef zawiódł to barterskie moje zaufanie i dziś ja z moich praw zrywam to przyrzeczenie". „Mościa księżno!" ozwie się p. Skirmuntowa „tak czuła matka, ale i siostra przywiązana czyż zechce chować urazę w sercu? Miłość Dosi i Feliksa nie tajną była księżnie i sprzyjałaś jej i pobraniu się nie byłaś przeciwną". „Prawda! kochana pani, możesz mi to śmiało przypomnieć, bo nie mając przed tobą nic skrytego, nie kryłam się z przychylnością moją dla Feliksa, wszakże on i moim jest krewnym, wszakże pięknym jego przymiotom sprawiedliwość oddaję. Niemniej mię jednak, a może i więcej boli, że brat mię usunął i sam się rozporządził losem mojej córki". „To jeszcze nie można nazwać stanowczem, bo wola księżnej tu stanowi. Jednem słowem zatwierdzić, lub zerwać możesz ten związek. Ale wzniosłe uczucia twej duszy zezwolą na cios tak okrutny, dla serc tak sobie oddanych?" „O! moja kochana pani! jakże umiesz czytać w tem sercu macierzyńskiem! Zapewne, że nie czuję się zdolną ranić serce mojej drogiej Dosi, ona dziś dla mnie wszystkiem! ale niemamże prawa mieć żalu do Józefa?" „I to się złagodzi, państwo tak się kochacie!" Nic nie odpowiedziała księżna, z rozrzewnieniem przyjaciółkę uściskała. Księżna miała serce najlepsze, ale była popsuta powodzeniem w pierwszem małżeństwie, a w drugiem doznane nieprzyjemności zaostrzyły jej charakter. Nauczyła się być skrytą, niedowierzającą i podejrzliwą. Przy wyjeździe zaprosiła p. Józefową księżna do Tuczyna. „Przyjadę, przyjadę za dni kilka, ale niech się Józef nagotuje, że mu porządnie głowę zmyję". „A ja księżnie pomogę", odezwała się z uśmiechem p. Skirmuntowa i wesoły uśmiech na ustach księżnej wywołała.

Ledwie, że te damy odjechały, ledwie że matka z córką zabrały się swobodnie pomówić o tem, co dopiero zaszło, gdy przed ganek zajechała kareta z liberją chorążego. I księżna i Dosia ucieszyły się, mniemając, że chorąży przyjechał, ale się omyliły, bo to była bratowa Dosi p. Józefowa Stecka, niezbyt księżnej przyjazna, z kuzynką swoją panną Zagórską. Po przywitaniu niby serdecznem, panny wyszły do innego pokoju, p. Stecka zabrała głos: „Wie księżna? Książę od dwuch dni bawi w Międzyrzeczu, ciągle dopytuje się o Dosię i dziś tu z papą być mają". Spłonęła księżna, ale przybierając twarz spokojną: „będę im rada" odpowie. „My z papą rozmawialiśmy o tej bytności księcia, która nie jest bez projektu". „Cóż pani stąd wnosisz?" „Że się o Dosię stara". „Ale Dosia ma konkurenta, któremu już przyrzekła". „P. Feliksa?" odpowie z pogardliwym uśmiechem p. Stecka. „W samej rzeczy, nic mu niemam do zarzucenia, ale książę ma także wielkie zalety". „Nie przeczę, ale go mało jeszcze znamy". „O! to księżna go pozna i pewna jestem, że tak jej, jak i nam podobać się potrafi". „I temu wierzę, ale tu Dosia stanowi. Wiadomo pani, że jej skłonności dla Feliksa, ani ojciec, ani ja nie mieliśmy za złe, trudno więc rzeczy prawie skończone rozrywać dla projektu jakiegoś w perspektywie". „Ale książę, prócz zalet osobistych, jest dziedzicem całej Dubieńszczyzny i do tego..." „Mitra? chcesz pani powiedzieć? O! ja moją drogo opłaciłam! A co do majątku, czyż pani nie wiesz jaki posag ojciec jej przeznaczył?" „Tak, kilka miljonów, ale nie byłoby od rzeczy dwie takie fortuny połączyć. P. Feliks zaś tak mało ma, że można pomyśleć, iż na żonin posag rachuje". „Feliks, wierz mi pani, kocha Dosię dla niej samej. Majątek, bogactwa wcale go nie łudzą". „O! ja znam piękny jego charakter, przeciw temu odzywać się nie będę, ale i na słońcu są plamy". „Pozwolisz pani, że kuzyna mego lepiej znać muszę". „Toż to przywiązanie familijne często zasłania nam oczy, że swoich z dobrej

tylko strony widzimy, ale czasem wiedzą sąsiedzi...“ „Miałażbyś pani zauważyć co tak nagannego w konduicie Feliksa?“ „O! nie, tak... czasem język złośliwy“. „Z tej strony poznać go nie miałam sposobności, owszem zdawało mi się, że surowy dla siebie, pobłażającym jest tylko dla drugich, że jest optymistą“. „O tak i ten optymista, z całą układnością świętoszka, w oczach świata, nie jedną osobę godną jego czci nawet oczernić potrafił!“. „Przerażasz mię pani, chciej się jaśniej tłumaczyć“. „Komerażów nie lubię, posądzać nie chcę, ale... któż pierwszy o podejrzanem przemieszkiwaniu Baura w Tuczynie wieść rozsiał?“

Krew uderzyła księżnie do głowy, zarumieniła się, pobladła i z cicha wymówiła: „O! Feliks!“ P. Stecka dalej ciągnęła. „Umiał na upadek narazić dobrą sławę drugich, a swoich grzechów zapomniał, o biednej Zosi, którą obietnicą małżeństwa uwieść potrafił. Ale cóż ja robię, zapominam, że to kuzyn księżnej i pozwoliłam sobie niewczesnej otwartości. Przepraszam księżnę, nie wiem, jak mi się to wymknęło, mnie, która obmowy, komerażów nienawidzę...“ Chciała jeszcze coś dalej mówić, ale jej przerwał turkot zajeżdżającego powozu. Ziarno jednak już było rzucone i w sercu własną urazą obrażonem, bujnie wschodzić i rość zaczęło. Księżna od tej chwili w duszy nienawiść kuzynowi poprzysięgła.

Przybrawszy spokojną postawę wyszła z uśmiechem na powitanie chorążego i księcia, i Dosia przyszła, książę jej nie odstępował, starał się być ujmującym i nietrudno mu było podobać się, Dosia nawet słuchała go bez odrazy, a księżna powiedziała sobie, „to będzie mój zięć“. Cały dzień bawili międzyrzeccy goście, księżna odzyskała całą swoją miłą uprzejmość, Dosia stosowała się do humoru matki, książę wyjechał zakochany, chorąży zaczął się wahać pomiędzy nim a Feliksem. Gdy same zostały, księżna rzekła do córki: „książę Józef będzie twym mężem“. „Mamo! ale ja go jeszcze nie znam, a do tego ja-

każ pewność, że on się o mnie stara?“ „Bo ty nie chcesz tego widzieć“. „Mamo! ja do niego żadnej skłonności nie mam“. „To przyjdzie“. „Ale ja kocham Feliksa, uczucia moje nie tajne ci oddawna, i jemu słowo dałam“. „Feliksa! Feliksa! to monstrum, który zabił sławę dobrą twojej matki?“ „Ach mamo! Feliks niezdolny do podobnej zbrodni, onby za ciebie życie swoje naraził“. „Nie mów mi za nim ani słowa, wiem wszystko, znam czarną jego duszę, ale przysięgam na popioły ojca mojego, że Feliks mężem twoim nie będzie, gdyby mię to miało i życia kosztować“. „Ach! mamo! wstrzymaj się, to potwarz, czarna potwarz z ust mojej bratowej nam tak nieżyczliwej. Feliks niewinny! pozwól! on się przed tobą usprawiedliwi!“ „Nie! nigdy! ja go i widzieć nie chcę!“ i odeszła rozgniewana, zostawując córkę prawie omdlałą. Skończyły się pięknej Doroty dni pogodne, czarne chmury okryły jej teraźniejszość i na przyszłość się rozciągnęły, ani jeden promyk nadziei tej ciemności nie rozrywał. Płakała, ale w duszy postanowiła, że nigdy Feliksowi wiary nie złamie. Nie była i księżna spokojniejszą, wszystkie jej uczucia zlały się w jedno: nienawiść bratu, zemsta ulubionemu jedynej córki! Odzywało się czasem po cichu serce, w sumieniu przebijała się zgryzota, ale obrażona miłość własna ten cichy objaw tłumiła. Potrzeba było jechać do Tuczyna, dla oddalenia pozoru uważanego za rzeczywistość, że księżnie tęskno było bawić w domu, gdzie wszystko przypominało jej miłego przyjaciela.

Odwiózłszy Dosię do Międzyrzecza, pojechała sama do Tuczyna. Zaraz wiedziano w pałacu o jej przybyciu, p. Józef zbierał się ją odwiedzić, gdy odebrał od siostry te słowa: „J'attends Joseph, chez moi, mais tout seul“. Tknęło p. Józefa to wyrażenie: „tout seul“ i wnosił sobie, że go jakaś wielka nieprzyjemność czeka. Wszedł, księżna czekała go w swoim gabinecie i przybrawszy twarz spokojną, odezwała się do wchodzącego: „Mój

bracie! Od powrotu mego z Warszawy, nie mieliśmy sposobności pomówić z sobą, a winieneś mi się z pewnej ważnej okoliczności wytłumaczyć". „Wiem o czem chcesz mówić i właśnie śpieszę zdać ci rachunek z mego postępowania..." „Które było najnieuczciwsze z twojej strony". „Nic sobie nie mam do wyrzucenia. Odjeżdżając, zostawiłaś Dosię pod moją opieką, zamiary moje względem jej zamęścia były i twojemi, i ojca naszego, i połączenie kochających się do twojegoś powrotu odłożyła. Nie popełniłem występku zapewniając ich nadzieje w przytomności ojca, bo ich szczęście miałem na celu". „Szczęście! szczęście!", zawołała zrywając się księżna: „szczęście Dosi z wrogiem jej matki?" „Wrogiem! i możesz-że nazywać wrogiem tego, który cię kochał i czcił jak matkę, który uwielbia córkę i jej karjerę swoją i życie swoje poświęcił?" „Czcił? o piękna cześć", zawoła z piekielnym uśmiechem księżna: „ten, co moją sławę sponiewierał, który mnie i moją niewinną przyjaźń z Baurem przed światem oczernił?" „Nie unoś się, siostro! świat sądzi z pozorów, a te nie mówiłyż przeciwko tobie? Przypomnij sobie Teoniu! nie toż samo ci i ojciec, nieodżałowany ojciec nasz powiedział? Jakież masz dowody, że to oczernienie wyszło z ust Feliksa?" „O widzę, że ten wyrodek familji naszej i twoje serce dla mnie zmienić potrafił, ty go kochasz, więcej niż twoją bliższą rodzinę, niż własne dziecię, a ja go nienawidzę, brzydzę się nim i pogardzam". „Że kocham Feliksa, to prawda, jak rodzonego brata kocham, bo jego dusza zacna, bo jego wzniosłe uczucia na to zasługują, i dlatego śmiało ci mówię i przysięgnę nawet, że nie był zdolnym zniżyć się do podłych czerniedeł, jakie mu zarzucasz". „Nie, nie! nie usprawiedliwisz go w mojem przekonaniu; wiem z pewnych ust o wszystkiem; wierzę, że mógł mnie czernić ten, który, mając się żenić z moją córką, zachował sobie dawne stosunki z niegodną jej rywalką". „Czy i to? więc domyślam się z jakich to ust pewnych wyczerpnięta

wiadomość. Ale czyż za szał lat młodzieńczych, karać należy dojrzałego człowieka, którego moralność wzorem być powinna dla drugich? Feliks kochał, a nie mogąc pojąć za żonę osoby, której położenie socjalne o wiele było niższe, znalazł jej godnego męża, oddał czystą i na całe życie uszczęśliwił, a od lat sześciu ani jej widział". „Ty we wszystkich jego postępkach wzorową tylko widzisz doskonałość, przywiązanie cię twoje zaślepiło, ale ja widzę i dalej i jaśniej. Szczęście mojej Dosi jest szczęściem mojem, jest jedynym celem mojego życia, i przysięgam ci na pamięć naszego ojca, Dosia nie będzie żoną Feliksa". „Stój siostro! nie wzruszaj szanownych zwłok tego drogiego ojca! błagam cię! błagam siostro! zajrzyj do twego serca! nie znajdziesz tam uczuć, jakie twe usta wyrażają. Ty jeszcze kochasz twoją rodzinę!" „Ale córkę moją nad wszystko, dlatego powtarzam ci — Dosia żoną Feliksa nie będzie!" „Rozumiem, mitra młodego księcia oczy twoje olśniła, ale byłażeś z mitrą szczęśliwa?" „Bo sobie ją sama wybrałam i dlatego chcę, ażeby córka moja szła nie za sercem, ale za wolą ojca i moją". „Wszakże ojciec przyrzekł ją Feliksowi". „Boście go podstępem ujęli. Ale ja w tem, umrę! a nie dopuszczę, ażeby nienawistny mi poślubił moją córkę, a czy wyjdzie za księcia, czy nie, żoną twego ulubieńca nie będzie". „Pozwól jednak siostro, ażebyśmy się raz jeszcze do Dosi odwołali". „Dosia mojemi uczuciami, moją wolą się zarządzi". „Zobaczymy!" „Zobaczymy!" z gniewem zawołała księżna. Chciał brat wziąć ją za rękę, może chciał poruszyć, rozczulić, obudzić serce, może pożegnać, księżna wyrwała rękę i śpiesznie wyszła do innego pokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Poszedł p. Józef, srodze zdręczony tą rozmową, przez furtkę, łączącą mieszkanie księżnej z pałacowym ogrodem. Feliksa nie było w Tuczynie i nie miał biedny komu się powierzyć, ani z kim trosk swoich podzielić. P. Józefowa miała dobre serce, ale była istotą całkiem mate-

rjalną. Nazajutrz przyjechała p. Skirmuntowa, przed nią się otworzył, w jej przyjacielskiem łonie ciężkie swoje zmartwienie złożył. „Nie rozpaczaj!“ rzeknie Skirmuntowa „pójdę do księżnej, zaszczyca mię swojem zaufaniem, może Bóg dopomoże do jej serca przemówić“. „O! idź! kochana pani! użyj wszelkich sposobów wzruszenia jej uczuć! mnie to poróżnienie srodze cięży na sercu!“ Poszła p. Skirmuntowa, ale w kilka minut wróciła pomieszana. „Cóż to jest? tak prędko?“ „Furtka zabita od dziedzińca księżnej!“ „Czy tak! więc żadnych ze mną mieć nie chce stosunków? O! Teoniu!“ i gorzko zapłakał; jednak nie dowierzał, jednak spodziewał się jeszcze! Tegoż samego dnia księżna wyjechała do Międzyrzecza.

Wrócił Feliks i osłupiał, widząc brata smutnego i mocno zmienionego: „Cóż to jest Józefie!“ zawoła. „Nic, poróżniliśmy się z księżną“. „I to z mojej przyczyny?“ „Nie, mój Feliksie, nie ty sam byłeś przedmiotem naszej żwawej utarczki, wiele się zebrało okoliczności przygotowujących burzę, która nakoniec tak silnie na nas uderzyła. Ale ta burza przejdzie, mam w Bogu nadzieję i jaśniejsze nam słońce zaświeci“. „A Dosia?“ „Dosia w Międzyrzeczu i naszego przemówienia się nie była świadkiem?“ „A książątko?“ „Księżna ostrożna była ze mną w tej okoliczności i nie wiem zupełnie, jak tam te rzeczy idą, ale możemy się dowiedzieć, poszlemy Kłosowskiego niby za sprawunkami, dobry i roztropny chłopiec, zręcznie się dowie, co się tam w pałacu dzieje“. Wyprawiono natychmiast Kłosowskiego do Mierzyrzecza, wszystko jednak, co zaszło z księżną, co p. Józef z Feliksem układał, jednej tylko p. Skirmuntowej wiadome było. Wieczorem wrócił Kłosowski z wiadomością, że książę był w Międzyrzeczu, że wczoraj dopiero wyjechał, że księżna, p. chorąży i p. Dorota, od wczoraj są w Zelance. Uspokoili się nieco pp. Walewscy i czasowi dalsze działanie zostawili. Przeszły święta wielkanocne smutno,

księżna w Międzyrzeczu je przepędziła, ale p. Józef z Feliksem drugiego dnia świąt ją odwiedzili. Zimno przyjęła brata, na kuzyna ani spojrzała, chciał i chorąży podobnie postąpić, ale wrodzona staropolska uprzejmość wzięła górę i rad był gościom z całego serca. To i Dosi dodało ducha i Feliksowi zdawało się, że jedne wypadki na przyszłość jego nie podziałały; uszczęśliwiony wrócił do Tuczyna, ale p. Józef czytał w oczach księżnej srogi dla niego wyrok i w duszy dręczył się jego objawieniem.

Wiosna już znacznie postąpiła, wody opadły, drzewa i łąki zazieleniały i piękne nadbrzeża Horynia nowym wdziękiem zajaśniały i w Tuczynie coś było weselej. Ale w Zelance smutno i ponuro. Księżna starała się zerwać stosunki kochających się, bez względu nawet, że Dosia może to życiem przypłacić. Chorąży nie był przeciwko temu, ale mu żal było córki i nie miał męstwa nastawać. Wyczerpała księżna wszystkie sposoby perswazji, przedstawień, próśb nawet, ale Dosia w swem postanowieniu niezachwiana, wszystkim usiłowaniom matki stale się opierała. Dusza jej zachowała męstwo, ale ciało, pod brzemieniem trosk chyliło się do upadku. Nie mając przed kim serca swojego otworzyć, połykała swoje łzy i zgryzoty. Bezsenne noce i dni w cierpieniach moralnych spędzone, silnie działały na jej zdrowie, a pod ciężarem trosk i umysł na siłach upadał. Matka, niby niedostrzegając zmiany, a korzystając z osłabienia córki, silniej jeszcze nastawała na jej umysł dotąd niezachwiany. Biedny ojciec nie mógł obojętnie patrzeć na smutny stan ukochanego dziecięcia; i gotów był wszystko zrobić, co tylko możność pozwala, aby zasmuconą pocieszyć, ale matka, raz postanowiwszy postawić na swojem, od swego zamiaru nie odstępowała. Wszystko jednak zdawało się napróżno, bo stałości Doroty nic zachwiać nie mogło. Potrzeba było jednem silnem uderzeniem rozbić tę niewzruszoną opokę i wszystko ukończyć, choćby z narażeniem zdro-

wia cierpiącej. Księżna osnuła już w swej głowie plan, czekała tylko przyjaznej pory do wykonania.

Książę przyjechał do Zelanki pełen attencji, nawet czułości dla panny, ale ta smutna i roztargniona wszystkie zabiegi starającego się niechętnie przyjmowała. Chorąży mało na to uważał, ale księżna śledziła każde słowo, każdy ruch córki i gniew palił jej serce, ośmielała jednak księcia, ożywiając w nim nadzieję. Pretendent nie odjechał tego dnia, cały wieczór starał się być miłym, ujmującym, ale im bardziej okazywał w najprzyzwoitszy nawet sposób zalotność, tem więcej zadawał przykrości Dosi, porównywającej go mimowolnie w swej myśli z Feliksem. Musiała jednak udawać uprzejmość dla matki, a to udawanie wysiliło jej władze i uczucia, uczuła się słabą i tak blizką zemdlenia, że księżna spostrzegła to, i przeprosiwszy księcia wyprowadziła córkę do jej pokoju. Książę nie domyślał się przyczyny, ale stan ukochanej osoby mocno go niepokoił. Chorąży upewniał, że to małe cierpienie, że często jej się zdarza, ale złych skutków za sobą nie prowadzi. Nadeszła księżna z twarzą uspokojoną i toż samo powtórzyła. Długo jeszcze rozmawiali, a książę, żegnając się zapytał, czy częste bywanie jego za złe mu nie wezmą, bo zamiary jego są czyste, bo chce sobie zasłużyć przyjaźń panny Doroty, bo tylko w małżeństwie z nią szczęścia się spodziewa. Zadawalająca była odpowiedź rodziców, wskazano mu nadzieję pozyskania serca panny i otrzymania jej ręki.

Nazajutrz rano wyjechał książę z nikim się nie widząc, a sute między służących sypiąc dukaty. Dosia cierpiąca długo nie wychodziła ze swego pokoju, rodzice przy śniadaniu naradzali się względem ostatniego kroku w przerwaniu stosunków z Feliksem, chorąży utrzymywał się przy swojem, żeby z nią jak najostrożniej i najłagodniej mówić, ale kiedy Dosia weszła blada i słaniająca się, jakby dopiero z ciężkiej choroby wstała, silnie wzruszyło się serce ojcowskie i matka surowości swojej

utrzymać nie zdołała. „Dosieńku moja droga!“—zawołał chorąży wyciągając ręce do córki, „co tobie jest? czego ty taka zbiedzona, taka mizerna?“ „Ojcze!“ zawołała rzucając się w jego objęcia „ja cierpię i ciężko cierpię! całą noc nie spałam!..“ i głośny płacz wydobył się z jej piersi, i łzy obfite oblały wiekiem zorane lice chorążego i księżna łez wstrzymać nie mogła. Długo głębokie panowało milczenie, przerywane tylko łkaniem i westchnieniami Doroty, ale ten płacz zbawienne wywarł skutki na młodą naturę, Dosia uspokoiła się, lżej było jej na sercu, mniej nawet smutną była, a o oświadczeniu księcia nie wiedziała. Rodzice unikali wszelkiej rozmowy, mogącej czułość córki rozdrażnić, nie mogła jednak księżna wstrzymać się od wspomnienia pięknych przymiotów pretendenta. Dorota słuchała obojętnie, ale gdy matka wspomniała o jego bogactwie, z uśmiechem pogardy odezwała się: „Feliks ma więcej, bo moje serce posiada!“ i to powiedziawszy wyszła. Rozgniewana matka chciała iść za nią, chorąży ją zatrzymał: „Na to nie pozwolę! odłóżmy rzecz nadal jeszcze mościa księżno! Ona tak cierpiąca, tak słaba, lękam się mocno złych jakich skutków“. Nie śmiała sprzeciwić się księżna, może i uczucie jakie w sercu matki się odezwało, ale w uszach brzmiało jeszcze nienawistne imię Feliksa. Zeszedł dzień cały smutno, Dosia wcześnie udała się do łóżka i rodzicom nie szykowały się narady.

Następnego dnia Dosia dłużej spała i spała spokojnie, chorąży miał odjechać, ale chciał się jeszcze z córką zobaczyć. Około południa wyszła ze swego pokoju, a zobaczywszy powóz ojca przed gankiem: „Cóż to, papa chce odjechać?“ „Potrzeba moje dziecię!“ „O! nie, niech papa nie jedzie, ja dziś dobrze spałam, zdrowsza jestem i spokojniejsza, a bez papy mnie tak smutno!“ Chorąży uściskał córkę i powozowi odejść rozkazał. W samej rzeczy Dosia tak była spokojna, tak uprzejmie z rodzicami rozmawiała nawet o księciu Józefie, że chorąży nie po-

siadał się z radości, a księżna, korzystając z takiego usposobienia córki, zamiar swój do skutku doprowadzić postanowiła. Po obiedzie wyszła Dosia pomiędzy wysokie drzewa dom otaczające i, usiadłszy na ławeczce pod lipą, głośno myśleć zaczęła. Jakaś trwoga ją przejmowała, smutne przeczucia duszę jej uciskały, czarna troska sercem owładła, a łzy nie przychodziły ulżyć temu cierpieniu. „O! Feliksie! mój drogi! oni chcą wydrzeć mi ciebie! Ale nie, pierwej...“ Nie domówiła, a już rodzice byli u nóg jej klęczący. „Dosiu!“, zawołała księżna, „czyż zniżenie się rodziców do nóg twoich, czyż najczulsze błagania do serca twego nie przemówią?“ „Co chcecie? co rozkażecie?“ „Zrzecz się Feliksa!“ Nieszczęśliwa, ani powstać z miejsca, ani przemówić nie mogła. „Zrzecz się Feliksa!“ wołała matka głosem rozpaczy. „Nie mogę!“ odrzekła ponuro z głębi serca. „Nie możesz? Dobrze! więc po trupach twoich nieszczęsnych rodziców z twoim lubym pójdziesz do ołtarza, a ich przekleństwo towarzyszyć ci będzie. Znasz tę flaszeczkę? wystarczy dla twojego ojca i dla mnie!“ i podniosła do ust flaszeczkę z opjum w dostatecznej ilości dla otrucia dwuch osób. „Stójcie!“ zawołała Dosia z obłąkanym wzrokiem, „stójcie! zrzekam się Feliksa! ale żyjcie!“ „Nie dość tego“, rzekła księżna, „napisz to zrzeczenie!“ Wrażenie, jakie ta scena zrobiła na znękanem sercu biednej Dosi, odjęło całą energję jej umysłowym władzom; jak automat jaki wzięła podany sobie papier i pióro, napisała kilka słów i oddała matce; chciała się podnieść, ale siły ciała uległy wysileniu uczuć i padła bez zmysłów na ręce stroskanego ojca...

Czas był prześliczny majowy, obaj bracia Józef i Hieronim z żonami, p. Skirmuntowa i Feliks siedzieli na wspaniałym ganku pałacowym, rozmowa była ożywiona, układano projekta zabaw na maj, rozweselano smutnego Feliksa, wmawiając mu nadzieję, że wszystko wziąć jeszcze pomyślny koniec może. Ale zakochany nie podzielał wesołości towarzystwa, dręczył go wewnętrzny

niepokój i okropne przeczucia. Wtem pokazał się posłaniec. „Z Zelanki!“ krzyknęli wszyscy. „Tu jest list“. „Do mnie“ zawoła Feliks, stojący najbliżej posłańca, „do mnie!“ i drżącą ręką rozpieczętował, szybko przebiegł oczyma, i jęknąwszy boleśnie, opuścił list, założył ręce na piersi i poszedł. Rzucili się wszyscy do listu, ale tak byli pomięszani, że nikt przeczytać nie mógł. „Pozwólcie państwo“, ozwie się p. Skirmuntowa, „ja mam więcej zimnej krwi“ i te słowa czytała: „Drogi Feliksie! wracam ci twoje słowo! Twoją nigdy nie będę, ale kochać cię nie przestanę! twoja sercem już tylko Dorota“. „Więc tak księżna działa?, wykrzyknął p. Józef, „wojny chce ze mną? więc wojna! Nie mam już siostry!“ i, załamawszy ręce, padł na krzesło i oczy zakrył. Nikt nie śmiał słowa przemówić, szanując to uniesienie braterskiego serca boleści. W dziwnem jakiemś osłupieniu oczekiwali, co dalej będzie. Więcej kwadransa trwało milczenie, p. Józef otworzywszy oczy: „gdzież mój Feliks?“ Nikt nie wie, nikt nie widział którędy i gdzie poszedł. Rozbiegli się wszyscy po pałacu i ogrodzie i nad Horyniem szukali, ale i śladu nigdzie dopytać nie można.

W Zelance wszyscy byli na tychże samych miejscach. Otrzeźwiona Dosia blada i w białej sukni, podobniejszą była po posągu, niż do żywej istoty. Siedziała między ojcem i matką, którzy najczulszych pieszczot jej nie szczędzili, ale których ona nie czuła. Jednym razem wykrzyknęła: „Feliks!“ i pochyliła się ku ojcu. „Przyszedłem powiedzieć ci dobranoc i na zawsze cię pożegnać!“ To mówiąc Feliks przyklęknął, ucałował ręce kochanki i poszedł. Dosia omdlała. Feliks po przeczytaniu listu, jak stał, tak i poszedł do Zelanki, zastał ich siedzących pod lipą, stanął naprzeciw oparty o drzewo i wpatrywał się po raz ostatni w te rysy, których mu już więcej oglądać nie było wolno, i byłaby go noc tam zastała, gdyby go nie postrzeżono. Ale po pożegnaniu wrócił machinalnie do Tuczyna, milczący i nieczuły na wszystko, co się wokoło niego działo.

Wszystkie stosunki między Tuczynem i Zelanką zerwały się, a jeśli księżna przyjechała na jaki dzień, to obie strony tak się unikały, że jeśli zdaleka zobaczyły się na przechadzce, to każda zaraz w swoją stronę się zawracała. P. Józef tak dobry, tak łagodny z natury, okazał się srogim, nieubłaganym. W miasteczku zakazano dostarczać przedmiotów potrzebnych do życia dla domu księżnej, których dotąd swobodnie używała. Już tu nie było i śladu owej braterskiej przyjaźni, która te dwa domy łączyła. Dosię wywieźli do Międzyrzecza i tam otoczyli ją argusami, strzegącymi wszelkich stosunków z Tuczynem, i nikt też się o to w Tuczynie nie ubiegał. Czasami tylko Feliks pod zmienioną postacią bywał w kościele międzyrzeckim, ażeby choć na chwilkę pocieszyć się widokiem tej, której obrazu nic w sercu jego zatrzeć nie mogło. Pani Skirmuntowa bywała u księżnej, usiłując jak najostrożniej nakłaniać jej serce do pojednania się z bratem, wielkie były trudności, nie traciła jednak nadziei, że to z czasem, powoli, da się ułatwić. Z p. Józefem trudniejsza była sprawa; niezwykła mu zawziętość opanowała serce jego, o zgodzie ani dał sobie mówić i wspomnienia o siostrze unikał.

Tymczasem książę Józef nie wyjeżdżał prawie z Międzyrzecza, zawsze od księżnej i od chorążego mile przyjmowany, lubo jeszcze w pannie żadnej dla siebie nie widział skłonności, pewnym był jednak osiągnienia jej ręki. Międzyrzecki pałac zaludnił się gośćmi, książę dawał podwieczorki, wystawiał fajerwerki, sprawiał niespodzianki, nie szczędząc kosztów, ni trudu. Wszyscy wiedzieli w jakim celu, chorąży i księżna radowali się w duchu, Dosia przezwyciężała się, starała się być uprzejmą dla przeznaczonego jej od rodziców małżonka. Na ś. Jan imieniny chorążego, wielka była feta w Międzyrzeczu; książę wystąpił dla przyszłego teścia z niespodzianką, był teatr, tableau, kantaty i biedna Dosia przez przywiązanie dla ojca w tych fetach uczestniczyła. Z Tuczyna nikogo nie było, ale kasztelanicostwo Bieżyńscy

dla zachowania z p. chorążym sąsiedzkich stosunków, oboje na imieniny zjechali.

Księżna po opisanych wyżej wypadkach z siostrą się jeszcze nie widziała, ale kasztelanicowa wiedziała o wszystkiem od p. Józefa i od Skirmuntowej. Oburzało ją postępowanie siostry, ale i bratu wymawiała nierozważny pośpiech w działaniu i nadużycie zaufania siostry: „I jabym się może podobnie poróżniła z tobą, gdybyś moją Misią tak się beze mnie rozporządził". W duszy jednak gorąco pragnęła pojednania poróżnionych, w celu tym na-

Pałac w Międzyrzeczu od ogrodu.

wet przyjechali oboje na imieniny. Ale ani pp. Bieżyńscy, ani p. Józef nie wiedzieli, co zaszło w Zelance i co zmusiło ostatecznie Dosię do zrzeczenia się Feliksa. Księżna, korzystając z bytności siostry, odmalowała w najczarniejszych kolorach postępowanie względem niej brata i charakter kuzyna. Nie wiele do tego opowiadania wiary przykładała p. Bieżyńska, bo widziała wszystko przesadzone w rozmiarach, wreszcie wszystko, co dawniej zaszło, było jej wiadome. „Słuchaj Teoniu", rzekła po wysłuchaniu przesadzonej powieści, „koniec końców,

cóż będzie? Możnaż, ażeby jakieś nieporozumienie między rodzeństwem rozrywało na zawsze stosunki braterskie. Nie odzyważ się w twem sercu tęsknota za bratem?“ „Mamże brata przenieść nad córkę?“ „Tego nie mówię, i tego nie potrzeba, zrób Dosię szczęśliwą podług twego widzimisię i bratu zwrócić dawne przywiązanie, a wrócona sercu twojemu spokojność, pociechą twojej starości się stanie“. „Mamże Józefowi przebaczyć zaręczyny Dosi z tym nienawistnym! zaręczyny, których zerwanie tyle mię trudu i zgryzot kosztuje!“ „Na cóż było zrywać to, co się z twojem życzeniem zgadzało?“ „Póki Feliks był godnym mojej przychylności“. „Jakież przestępstwa masz mu do zarzucenia?“ Tu dopiero księżna opowiedziała o Feliksie, co tylko żółć natchnąć jej mogła, dodała nakoniec: „Potrzeba było silnie i stanowczo działać, odważyłam się na wszystko i chorążego nakłoniłam. Z trucizną w ręku rzuciliśmy się oboje do nóg Dosi i wybłagaliśmy zrzeczenie się na piśmie słowa danego Feliksowi“. „I gdyby się nie zrzekła bylibyście się potruli?“ „O! pewna byłam, że do tego nie przyjdzie, pewna byłam, że sam widok flaszki z trucizną aż nadto dostatecznie podziała na delikatne nerwy Dosi“. „Więc wy graliście z nią komedję? O! to niegodne ciebie!“ „Dla szczęścia dzieci wszystkie środki rodzicom pozwolone“. „Jakież szczęście przeznaczyłaś twej córce, w miejscu szczęścia z tym, którego kocha?“ „Wyjdzie za księcia i będzie szczęśliwą“. „A tyż byłaś szczęśliwą? Znaszże charakter człowieka, w którego ręce los twej córki powierzasz? Byłże z ich rodu choć jeden dobrym mężem?“ „Ale on ją kocha“. „Być może, i nie dziwię się temu, czyjegoż serca Dosia ująć nie mogła? Ale zostawcie to czasowi, czas niech żal jej po pierwszym złagodzi, a jej przekonanie niech znajdzie księcia godnym jej szacunku i przywiązania“. „My też nie naglimy, książę dotąd nawet się jeszcze formalnie nie oświadczył. Ale Terciu! słowo, że Józef o naszej rozmowie wiedzieć nie będzie!“ „To ci przyrzekam, boleśnie byłoby i mnie to biedne, poczciwe serce

braterskie na nowo rozdzierać. Jabym tak pragnęła widzieć was pojednanych!“ „Dopóki Józef nie oddali od siebie Feliksa, póty między nami braterstwa niema“.

Nazajutrz pp. Adamostwo przyjechali do Tuczyna, kasztelanicowa dotrzymała księżnie słowa, ale nie zaniedbała wszelkich dołożyć usiłowań, ażeby brata do pojednania nakłonić. P. Adam także ze swojej strony usiłował działać, ale wszystko było daremne. P. Józef był nieubłagany, bo widok cierpień ulubieńca, jeszcze go coraz więcej rozdrażniał; nie szukał zemsty, ale od zgody był daleki. Kasztelanowa, p. Hieronimowa i p. Skirmuntowa rozbierały całą tę okoliczność od początku i radziły o środkach pojednawczych, ale zawziętość stron obu dobrym ich chęciom nie przełamane zawady stawiła. „Potrzeba to jeszcze zostawić czasowi“, rzeknie p. Skirmuntowa, „starajmy się łagodzić rozdrażnione uczucia obojga, użyjmy osób, któreby miały wpływ na ich umysły, chwytajmy każdą chwilę, w którejby się zbliżenie poróżnionych spełnić mogło, a Bóg nam dopomoże i dobre chęci pomyślnym skutkiem uwieńczy“. W istocie, była to najlepsza rada. Czas jest działaczem najsilniejszym, który Opatrzność dała ludziom na ukojenie ich cierpień, na zmiany ich losu i na sprostowanie ich błędów. Cierpliwość i rezygnacja idą mu w pomoc! i dlatego to, często i największe zło, religijnie zniesione, czas w nieoczekiwane dobro zamienia.

Podobnie coś było w Tuczynie; upływały dni i miesiące, stygły wzburzone uczucia, i cała srogość pomiędzy poróżnionymi w obojętność się zmieniała. Książę oświadczył się p. Dorocie; ta choć go nie kochała, nie miała przecież do niego odrazy, a widząc, że to było jedynem życzeniem rodziców i, straciwszy zupełnie nadzieję wrócenia upłynionej przeszłości, kochając jednak Feliksa, zrobiła ofiarę z najdroższych uczuć serca, i rękę swoją księciu oddała. Niewypowiedziana radość rodziców stąd nastąpiła; księżnie, dopiąwszy swego postanowienia, nic

już do żądania nie zostawało, ochłonęła więc i z zawziętości i długo stłumione w sercu uczucia braterskie odzywać się zaczęły. P. Józef nie potrzebował tych uczuć wznawiać, bo ich nigdy nie stracił, bo urazę cierpieniem kuzyna podsycaną, czas złagodził. I brat i siostra zaczęli czuć silnie potrzebę pojednania, ale nikt pierwszego kroku zrobić nie chciał. Widzieli to przyjaciele i szukali wszelkich środków sprowadzenia poróżnionych, ale wszystko szło z trudnością. Kasztelanic jeździł do biskupa, błagając, ażeby jako pasterz i pokrewny, powagą swoją i wpływem rodzeństwo do podania sobie zgodnej dłoni nakłonił, ale biskup cierpiący słabością się wymówił. Zapraszano p. podkomorzego Pinińskiego, ukochanego przyjaciela p. wojewody i znanego z daru godzenia najzaciętszych przeciwników, ale podkomorzy, zajęty ogromnym kompromisem, nie mógł zaraz odpowiedzieć wezwaniu, i tylko listem zachęcał p. Józefa do pojednania się z siostrą.

Tymczasem niechęci same z siebie stygły, księżna częściej znowu przemieszkiwała w Tuczynie, furtka ogrodowa otworzyła się, ogród stał się miejscem przechadzki stron obu, obie jednak strony spotkania jeszcze unikały. Kasztelanic, zmówiwszy się z p. Skirmuntową, starali się korzystać z niebytności Feliksa i z dogodnego ich zamiarom ogrodu. P. Skirmuntowa poszła do księżnej, aby ją wyprowadzić na przechadzkę, p. Adam udał się do p. Józefa, ażeby wyszedłszy razem do ogrodu, wprowadzić go niby przypadkiem na miejsce umówione, gdzieby zastali księżnę. Wszystko sprzyjało zamiarowi, panowie chodząc po ogrodzie zbliżali się do masy drzew starych, w pośród których był rodzaj altany ulubionej p. wojewodzie, dokąd i damy kroki swe zmierzały. Droga szła ponad rów, oddzielający ogród od ulicy. Wtem zabrzęczały na drodze dzwonki krakowskich chomątów: „Feliks!“ zawołał p. Józef i puścił rękę szwagra, p. Feliks przeskoczył rów i przyjaciele już byli w swoich objęciach, a to

wszystko tak nagle się stało, że kiedy p. Adam się opamiętał, bracia już byli pod pałacem i znikła tak przyjazna sposobność wykonania zamiaru dogadzającego zamiarom szlachetnym serca kasztelanica. Trudno już było wynaleźć okliczność podobnie sprzyjającą, a tymczasem z obu stron coraz silniej objawiała się chęć pojednania, tego tylko nieszczęsnego pierwszego kroku żadna zrobić nie chciała. Opatrzność ten akt uroczysty kobiecie zostawiła do wykonania.

Księżna, uspokojona o los córki i znudzona życiem, postanowiła sobie na resztę dni swoich zamieszkać w Paryżu i stosownie do tego zamiaru urządziła swoje interesa. Wkrótce ten zamiar jawnym się stał w Tuczynie, p. Józef pokryjomu wszystko ułatwiał, we wszystkiem dopomagał siostrze, księżna, niby wiedząc skąd pomoc, mile ją przyjmowała. Wyjazd się zbliżał, a wszelkie środki zbliżenia rodzeństwa przed rozstaniem się, może na zawsze, były bezskuteczne. Pani Hieronimowa wychowana przez księżnę i jak matkę ją kochająca, bolała ciężko, nie mogąc pożegnać tej, której więcej niż matce winna była. Użalała się na swoją niedolę p. Skirmuntowej, przeklinała poróżnienie familijne, w którem nie mając udziału, musiała mu przecież ulegać. P. Skirmuntowa podzielała uczucia biednej Cecylji i postanowiła przynieść jej ulgę. W kilka dni państwo Józefostwo wyjechali w sąsiedztwo na imieniny i p. Hieronim z nimi, sama będąc brzemienną, od tej ceremonjalnej wizyty uwolniła się. Dzień był pięknie pogodny, korzystając z niego p. Skirmuntowa namówiła p. Hieronimową przejść się po ogrodzie i poszły. Furtka do księżnej była otwarta, „Cesiu!“ rzeknie p. Skirmuntowa—„pójdźmy do księżnej“. „A jak nas kto zobaczy i doniesie?“. „Nie bój się, biorę wszystko na siebie“ i weszły. Księżna niespodziewanego gościa z otwartemi rękami przyjęła, rozrzewnione damy wylewały się ze swojemi uczuciami i nacieszyć się z sobą nie mogły. Najczulej dziękowała księżna przyjaciółce za miłą

niespodziankę i powiedziała, że od jej przyjaźni i więcej się spodziewa. Po kilku godzinach uszczęśliwiona p. Cecylja wróciła do siebie, nie bez bojaźni jednak, że ta wizyta wznieci burzę, która na jej głowę spadnie. Dziękowała serdecznie p. Skirmuntowej i prosiła, ażeby zaniosła od niej księżnie różaniec koralowy, najdroższy klejnot pozostały po matce: „nic nad to szacowniejszego nie mam, niech księżna przyjmie ten upominek w dowód mojego przywiązania i wdzięczności". Tegoż jeszcze wieczora księżna upominek odebrała.

Nazajutrz p. Józef odwiedził bratową, w wybornych wszyscy byli humorach, p. Józef opowiadał o wczorajszych imieninach, wtem wszedł lokaj z listem: „Od księżnej pani". „Od księżnej" zawołali wszyscy. P. Hieronimowa drżącym głosem czytała te słowa: „Dziękuję ci, Cesiu kochana, moja druga córko, za twój upominek, drogi on sercu memu i nie odstąpi mię do śmierci, bo mi przypomina twoje synowskie uczucia dla mnie. Chciałabym moje dziecię, odwiedzić jutro ciebie, ale żebyś sama tylko była, sama! rozumiesz mię? do widzenia. „Cóż to za upominek?" zapytał p. Józef. Nie mogła p. Cecylja dłużej się wstrzymać, głośno się rozpłakała i tak mówiła: „Na wasze poróżnienie żadnego nie miałam wpływu, w nic się nie wdawałam, tajemnie tylko opłakując waszą zawziętość, i milczałam, póki księżna tu zostawała, bo pocieszałam się nadzieją, że Bóg tym niezgodom kiedyś koniec położy. Wspomnijcie na to, że moja nieszczęśliwa matka z obłąkanym umysłem niezdolną była mię wychować, że księżna dla mnie prawdziwą stała się matką, ona przytuliła mię biedną do swego łona, ona uczucia macierzyńskie pomiędzy Dosią i mną dzieliła. Dziś ta matka moja opuszcza kraj może na zawsze, stan mój nie zapewnia mię o mojem życiu, mogłażem przenieść na sobie, ażebym raz jeszcze jej nie zobaczyła nie pożegnała i błogosławieństwa jej nie odebrała? Tak! byłam u księżnej, kochana p. Skirmuntowa ośmieliła i zaprowadziła, a potem

upominek mój odniosła". „Cesiu!" ozwie się rozrzewniony p. Józef—„najniesłuszniej wyrzucasz nam twoje cierpienie wynikłe z naszej niezgody. Należało oddawna uwolnić się od tego ciężkiego jarzma. Winienem! przebacz kochana Cesiu! przebacz mi! Postępku twego nie mam ci za złe, owszem raduję się, żeś twym uczuciom, twej powinności zadość uczyniła. Kochana p. Skirmuntowo! Pani najserdeczniej dziękuję za to pośrednictwo, oby Bóg i dalej ci dopomagał!" „Pierwszy krok już zrobiony", odpowiedziała p. Skirmuntowa, „Bóg nam i do końca dopomoże". „Odpiszże kochana Cesiu księżnie, że przyjmujesz jej odwiedziny i, że nikt wam nie przerwie rozmowy, jeśli same tego nie zażądacie. Jutro mam dobry pozór nieoddalania się z pałacu, imieniny mojej żony, spodziewamy się gości, bądź więc spokojną". Poszli wojewodzice. p. Hieronimowa odpisała księżnie, że ją czeka z obiadkiem, i potem z p. Skirmuntową do wieczora sobie przegadały. Przyjaciółka prawdziwa domu Walewskich, przemyśliwała szczerze o tem jutrze, mogącem stanowić spokojność życia dwuch osób, rozłączonych dziwnym zbiegiem okoliczności, z których każda działanie swoje miała za prawe, a obie się omyliły. Widziała i dobrą stronę i uchybienia stron obydwuch, i do żadnej się szczególnie nie przychylając, gorąco pragnęła pojednać je, bo ich wszystkich szczęścia pragnęła.

Nadeszło to jutro, goście zbierali się do pałacu na imieniny, ale nie na bal, bo jeszcze się żałoba nie skończyła, bo nazajutrz dopiero była rocznica śmierci p. wojewody. P. Skirmuntowa udała się także na pokoje, powinszowała solenizantce i krótko zabawiwszy zabierała się do wyjścia, p. Józef ją zatrzymał: „Cóż to, rzucasz nas? a na obiad z nami?" „Nie mogę, dałam słowo pani Hieronimowej, że jej dotrzymam kompanji". „To dobrze! ty wiesz, co robisz. Idź!" „A jeśli my tam pana Józefa zapotrzebujemy?" „Idź! niech ci Bóg dopomaga!" odrzekł, rozrzewniony całując jej rękę. P. Skirmuntowa nie za-

stała jeszcze księżnej i o swojem pomyśle nic nikomu nie wspomniała. O południu nadjechała księżna z Dosią i wychowanką Moniką. Zadowolona, że nikogo z mężczyzn nie zastała, oddała się wesołości; rozmowa była ogólna o Paryżu, o podróży, o imieninach p. Józefowej, o osłabłym duchu poróżnienia między rodziną. P. Skirmuntowa w tej materji rzuciła pojednawcze wyrażenie i księżnej to nie raziło. Po obiedzie księżna z p. Cecylją zasiadły sobie w głębokiej oknowej framudze i z cicha rozmawiały, reszta dam w pobocznym pokoju zebrała się koło okna. Dziedziniec pałacowy od stajennego oddzielała publiczna droga, a po tej drodze przechadzał się wolnym krokiem tam i nazad z założonemi na piersich rękami i spuszczoną głową mężczyzna. Dosia i p. Skirmuntowa razem go spostrzegły: „To Feliks!“ rzecze z cicha Dosia, cisnąc za rękę sąsiadkę! „On!“ odpowie takimże głosem: „korzystajmy z przyjaznej sposobności“. „Cóż chcesz zrobić kochana pani?“ „Siadaj i pisz!“ „Do niego? Cóż mam pisać?“ „Ja ci podyktuję“. „Ach mama obrazi się na mnie?“ „Nie bój się! za wszystko odpowiem“. Dosia usiadła i p. Skirmuntowa te słowa jej podyktowała: „Jeśli jeszcze w twojej pamięci zostało imię Dosi i przyjaźń dla niej chowasz w twem sercu, to proszę cię, przyszlij tu mego wuja Józefa“. Posłano w ten moment karteczkę i stanęły w oknie, ażeby widzieć co się z nią stanie i widziały, jak lokaj oddał kartkę, jak ją Feliks przeczytał, jak patrzał przez chwilę w to okno, gdzie stała Dosia, potem dał znak lokajowi i sam poszedł do pałacu.

Księżna z p. Hieronimową spokojnie sobie we framudze siedziały, księżna odwrócona od drzwi wchodowych, reszta dam żwawym krokiem przechadzała się z pokoju do pokoju. Wkrótce pokazało się dwuch mężczyzn idących od pałacu, jeden został się za mostem na drodze, drugi zbliżał się ku mieszkaniu p. Walewskiej. Dosi mdło się zrobiło, wyszła z Moniką do innego pokoju,

p. Skirmuntowa zbliżyła się do siedzących we framudze. P. Hieronimowa opowiadała coś księżnie z żywością, raptem ucięła, spuściła oczy, zbladła i drżeć zaczęła. Księżna, zdziwiona tą nagłą zmianą swej Cesi, obejrzała się, pan Józef stał w środku pokoju. „O zdradziłaś mię Cesiu!“ zawołała księżna zrywając się z krzesła: „miałyśmy być same“. „To ja odejdę“ rzekł smutnie p. Józef. „Nie! nikt z was nie pójdzie, nikt się stąd nie ruszy!“ zawołała p. Skirmuntowa, stając między bratem i siostrą. „Bóg wam zesłał tę chwilę przyjazną, nie będziecież z niej korzystać? Obchodząc jutro rocznicę śmierci najlepszego ojca, jakże niepojednani staniecie nad jego grobem? Zapomnieliściež ostatnich słów jego, gdy was błogosławił: „Kochajcie się dzieci moje! niech jedność i zgoda wiecznie między wami panuje!“ I toż to jest ta jedność? i toż to jest ta miłość braterska, którą wam zalecał. Dość długo waszem poróżnieniem obrażaliście święte ojca popioły! Czyż serca wasze zamknęły się uczuciom tak świętym? Czyż duma nie da się upokorzyć przed sercem i zatłumi wszystkie inne uczucia? Nie odzyważ się zgryzota w sumieniu waszem! O! zaklinam was! — dodała, rzucając się w pośród nich na kolana — błagam! na pamięć tego drogiego ojca! na święte jego popioły! zapomnijcie uraz, podajcie sobie bratnie dłonie i w czułem braterskiem uściśnieniu zagrzebcie w niepamięci hańbiące was niesnaski! Duch ojca unosi się nad wami, aby błogosławić waszemu pojednaniu!“ To wyrzekłszy połączyła nieopierające się ręce rodzeństwa, a brat i siostra rzucili się ze łzami we wspólne objęcia. Uroczyste milczenie trwało chwil kilka, nikt nie śmiał przerywać tych braterskich uniesień. Potem rodzeństwo zabrali się do osobnego pokoju, p. Hieronimowa i Dosia uwiesiły się na szyi poczciwej Skirmuntowej, której piękne lice odmłodniało, jaśniejąc zadowoleniem wewnętrznem z oddanej przyjaciołom usługi. Rodzeństwo długo rozmawiali na osobności, nakoniec wyszli trzyma-

jąc się za ręce; łzy ich jeszcze nie oschły, ale w oczach była pogoda, w sercach pokój i długo niedoznawana radość. Dziękowali od serca zacnej przyjaciółce za pośrednictwo; ta im wskazała, że Dosi najwięcej winni; p. Józef przyciskał siostrzenicę do serca, dziękował i zapłakał i Dosia zapłakała i księżnej oczy łzami się zalały. Z żalem wspomnieli przeszłość, ale już niecofnioną!

Powracającego do pałacu, a jaśniejącego radością, p. Józefa zapytał Feliks: „Co zaszło?“ „Pogodziłem się z siostrą!“ „Tak Bóg chciał! to ci honor nakazywał!“ „A twoja dobra dla mnie przyjaźń dopełniła“ odrzekł ściskając go p. Józef i idąc drogą, całą scenę mu opowiedział. „Dzielna jest Skirmuntowa!“ zawołał Feliks — „Nieoceniona przyjaciółka“ dodał p. Józef. Na pokojach goście dziwili się jego rozpogodzonej twarzy, on opowiedział wszystkim, jaka go przyjemność spotkała, wszyscy mu winszowali, Hieronim poleciał ucałować nogi siostry, którą jak matkę kochał, a na którą gniewać się musiał. Nadjechali kasztelanicostwo podzielać wesele pojednanych. P. Bieżyńska, wynurzając uczucia swoje dla pośredniczki, powiedziała jej: „Marzyłam zawsze pojednanie mego rodzeństwa, jako moje dzieło i przemyśiwałam nad środkami; uprzedziłaś mię, może ci zazdroszczę, ale cię jeszcze więcej kocham, — kocham, jak rodzoną siostrę“. Nazajutrz brat i siostra z całą rodziną w grubej żałobie klęczeli obok siebie, przy katafalku ojca, przez całe nabożeństwo i uściśnieniem najszczerszem, braterskiem uciśnieniem na grobie ojca pojednanie swoje publicznie stwierdzili.

Panna Dorota Stecka wyszła za księcia Józefa Lubomirskiego, czy była z nim szczęśliwą? wiedzą ci, co bliżej Niewirkowa mieszkali, ja raz ją tylko po zamęściu widziałem, zawsze w oczach moich była piękną, a słodka melancholja po twarzy rozlana, jeszcze jej więcej uroku dodawała. Feliks w 1809 r. wszedł do wojska francusko-polskiego, pięknie się odznaczał i w 1812 r. poległ pod

Smoleńskiem. P. Józef, wracając z wygnania, na obcej ziemi życie zakończył. P. Bieżyńska, dzieliła z mężem wygnanie, była sobie kucharką i praczką i zawsze wzo-

Dorota Józefowa ks. Lubomirska,

córka Jana Steckiego, chorążego w. kor. i Walewskiej, wojewodzianki sieradzkiej.

rową, wielką wśród nieszczęścia niewiastą. Zacny Adam nie długo po powrocie z wygnania żoną, dziećmi i domem się cieszył. Księżnę w kilkanaście lat po tem widzia-

łem w Warszawie, widzenie się ze mną wiele ją łez kosztowało, bo jej przypomniałem Tuczyn w całej świetności i upadku. Istotnie upadł Tuczyn. Sprawdziły się słowa Bernardyna na pogrzebie p. wojewody: „Upadła kolumna (herb i przydomek Walewskich), podtrzymująca całą budowę, pozostały słupki, daj Boże, ażeby z upadkiem gmachu nie runęły!“

ROZDZIAŁ III.

Wracając ze świąt wstąpiłem do Pekałowa. Łaskawe znalazłem u hrabstwa przyjęcie, hrabia zawsze z niezmienną swoją dobracią po imieniu nazywał. „A cóż Antosiu, dobrze ci się w Krzemieńcu powodziło?“ „Dobrze mości hrabio!“ „Wiem, wiem o wszystkiem, wiem od waszego szanownego Czecha! Przeszedłeś trochę przez rózgi, ale to młodemu człowiekowi nie bez korzyści. Ale czemu to pan Antoni o Pekałowie zapomniał? Możeby tu kto znalazł się, coby ciebie w biedzie poratował“. „Mości hrabio! małoż to ja pańskiego chleba przejadłem? Małoż tu ubogich uczniów ten chleb jw. hrabiego karmi w Krzemieńcu? Godziłoż mi się także zdrowemu i młodemu zwiększać liczbę potrzebujących jego wsparcia?“ „A tobie co do tego? Czy przyjechałeś, bym słuchał rachunku z moich wydatków? Hę? Jesteś w Pekałowie, to jesteś pod moją opieką i opiekunowi posłusznym być musisz. Widziałeś już Oleszkiewicza ostatnie roboty?“ „Nie, mości hrabio, jeszczem się nawet z braterstwem nie widział“. „No! to idźże i wracaj tu do mnie, sam cię poprowadzę do mojej galerji „car je veux jouir de la surprise“. Poszedłem do Oleszkiewiczostwa, można sobie wyobrazić powitanie moje z siostrą po dwuch latach niewidzenia się i z mężem jej, o którym ani mi się kiedy marzyło, że moim szwagrem będzie. Miło nam było powitać się i w familijną wejść pogawędkę, ale hrabia nie dał mi długo

zabawić. „Wszak nie na godzinę do Pekałowa przyjechałeś, a jeśli się boisz, żeby cię prefekt do ciupy nie zasadził, to napiszę do niego, że parę dni ciebie zatrzymałem. Ale, ale, czy ty najętemi końmi przyjechałeś?“ „Tak jest mości hrabio“. „Matuszewicz!“ zawołał na lokaja „idź powiedź Lisowkiemu, żeby zapłacił co się należy furmanowi, który przywiózł p. Antoniego, a jego rzeczy znieść do p. Gineta“. To powiedziawszy, wziął mię za rękę i śpiesznym krokiem poszliśmy na górę. Bibljoteka zamieniła się w galerję. Zapomniałem języka w gębie, mówiąc po staremu, spojrzawszy na te dziwy sztuki malarskiej. Przeciw nas było: „Porwanie Dejaniry“ z Gwido Reniego, nalewo ogromny obraz Smuglewicza „Śmierć Jana Karola pod Chocinem“, naprawo „Tetys przynosząca zbroje Achillesowi płaczącemu Patrokla“, na odwrotnej ścianie pendant do obrazu Smuglewicza „Pożegnanie z Anną z Ostroga przy wyjeździe na wyprawę Chocimską“, a nakoniec „Przemienienie Pańskie“. Tu dopiero widać było Oleszkiewicza! Przemienienie i Dejanira były kopje, Achilles i Jan Karol oryginały jego pędzla! Upadłem na twarz przed Przemienieniem, zdaje się, że najzimniejszy nawet estetyczny analizator nie mógłby nie uchylić czoła przed Boskiem obliczem Zbawiciela! Długo oczu moich od tego obrazu oderwać nie mogłem i, rozpatrując drugie, zawsze do Przemienienia wracałem. Figura Centaura prześlicznie oddana, a Dejanira pięknością półbogów jaśniała. Ale popatrzmy na własne jego utwory: Achillesa stojąca figura przecina leżące zwłoki Patrokla, Tetys siedzi w nogach zmarłego, otoczona przyborami wojennemi, w głębi niewolnice płaczące: „lecz na pozór Patrokla, w rzeczy siebie płaczą“. (Il. Tł. Dmoch.). Niektórzy zarzucają Oleszkiewiczowi rzucenie dwuch figur na wkrzyż; nie wiem, czy ten warunek w prawidłach kompozycji się znajduje, ale to wiem, że ten obraz tyle ma w sobie życia tyle prawdy, tyle gustu, że nie można nie patrzeć na niego z najwyższem za-

dowoleniem, nawet odwróciwszy oczy od transfiguracji. Jest to zawsze obraz z pierwszorzędnych naszego artysty. Pożegnanie Jana Karola z Anną, na swój ogrom, zdaje się za ubogą ma kompozycję. Wszystkie figury zebrane przy drzwiach kościoła, lewa strona trochę pusta, prawie po środku giermek z koniem nie klasycznej piękności. Ale za to Chodkiewicz! wojownik osiwiały pod hełmem, z twarzy i postawy bohater! A Anna! Co za wdzięk rozlany w całej postaci, jaki żal z rezygnacją w obliczu, zdaje się przez łzy mówić: „Idź! gdzie cię ojczyzna wzywa! Bóg nad nią i nad tobą czuwać będzie!“ Śliczny obraz, godzien pędzla Oleszkiewicza!—Cóż mam powiedzieć o śmierci Jana Karola? Trudno wierzyć, że to jest ten pędzel, który w swoim czasie wsławił Smuglewicza. Może w nim zachowane prawidła kompozycji, ale gdzież pędzel? gdzież życie? rysunku nawet nie zna! Ja pozwoliłem sobie zrobić uwagę, ażeby ten obraz gdzie osobno umieścić, rozśmiał się hrabia i rzekł: „Są to ostatnie tony śpiewu umierającego łabędzia, początek śpiewu był może lepszy. Nic innego z obrazów Smuglewicza dostać nie mogłem a i ten 500 dukatów kosztuje“. Wszystkie wymienione obrazy wielkich wymiarów, figury w nich naturalnej wielkości. Pomiędzy niemi wisiały dawniejsze malowidła Oleszkiewicza, drobniutkie, ale śmierć Katona i nocny obraz z historji Harmodjusa, jakkolwiek małe wymiarem, nic ze swej artystycznej wartości nie traciły. Dziękowałem hrabiemu za widzenie tylu osobliwości i przez trzy dni bawienia w Pekałowie po godzin kilka na przypatrywaniu się temu bogactwu w galerji przepędzałem. Na wyjezdnem dostałem od hrabiny bogaty przybór do rysunku, hrabia mi powiedział: „W ostatki spodziewamy się mieć piękne zgromadzenie i zakończyć karnawał wesoło, przyjedź, jeśli nie dla nas i dla zabaw, to dla siostry twojej i dla malowideł Oleszkiewicza. Ażeby cię nie narażać na koszta, oto masz parę dukatów na najęcie koni“. To rzekłszy śpiesznie mię porzucił. Czułem

w ręku wagę więcej niż dwuch dukatów, było ich dwadzieścia! Zawsze to serce hrabiego było anielskie, ale ta dobroć nie zawsze wdzięczność wywołała!

Dane mi od hrabiego pieniądze zdały się bardzo na zrobienie nowego ubrania, w któremby się w takim domu uczciwie pokazać można. Wkrótce nastąpiły ostatki zapust, wcześnie pojechałem i dobrze się stało: bo jeszcze kazano mi wziąć niewielką rolę w komedji Destoucha „la fausse Agnès", w której Konstancja i Feliks Czaccy najwyborniej pierwsze role oddali. Podczaszostwo Czaccy, hr. Marcinostwo Tarnowscy, pp. Karwiccy, z prześliczną, jak róża wywijająca się z pączka, Anusią [1]), p. Adam Szwejkowski z nowozaślubioną sobie Krystyną Kossowską, córką owej sławnej w Polsce piękności Barbary z Bielińskich Kossowskiej, Leduchowscy ze Smordwy, i z Dubna księstwo, zresztą nie pamiętam wszystkich. Pierwszego dnia graliśmy komedję, ale że bardzo zimno było, więc w sali jadalnej na jednym poziomie z widzami, ale komedja się udała. Drugiego dnia wszyscy byli w Młynowie u p. starościnej żmudzkiej na obiedzie, późno wrócili i tańce nie długo trwały. Na trzeci dzień, była maskarada i balet na sali. Księżniczka Antonina Radziwiłłówna i Oleszkiewiczowa figurowały w balecie. Rozbierając estetycznie rysy księżniczki, nic w nich klasycznego nie było, ale całość takim oblana urokiem, że w pośród pięknych księżniczka piękną się wydawała. Brat jej 13-letni, podobny do niej Konstanty, żywy, pusty, ale miłego i pewnego charakteru chłopczyk, także grotesco

---

[1]) Generałowa Franciszka Dunin-Karwicka, córka Hjacynta Małachowskiego, Kanclerza Wielkiego Koronnego, miała córkę Anusię niesłychanie pięknej urody, w której pól Wołynia kochało się. Anusia była przeznaczona za żonę Janowi Zamoyskiemu, ale uczucie prawdziwej miłości miała dla Tadeusza Walewskiego, któremu też po różnych perypetjach miłosnych rękę swą oddała. Umarła w Krakowie w r. 1881 w 86 roku życia.

w balecie figurował. Książęta byli dziećmi ks. kasztelanowej wileńskiej, siostry hrabiego, i po śmierci rodziców przy wuju bawili. Antosia i Kostuś byli kochaniem całego domu i wszystkich, kto tylko ich poznał. Nie mam co opisywać maskarady. Rzetelność kostjumów, bogactwo i gust w ubiorach, dodajmy do tego wdzięki dam naszych, a było czem oczy nasycić. Balet zakończyły sola Konstancji Czackiej z zielami, księżniczki i Oleszkiewiczowej z girlandami; ułożony był i wyuczony przez panią Maury, guwernantkę Zosi Chodkiewiczówny, którą wywieźli hrabstwo z Paryża na rekomendację p. de Genlis.

We czwartek po rozjechaniu się gości pozostali jeszcze pp. Tarnowscy i Szwejkowscy, nie tańczono już, bo post zaszedł, ale jakoś humory były tak wesołe, tak zgodne, że się wybornie bawili. Ale po okolicy strach się rozchodził. W lasach między Krzemieńcem i Dubnem pojawiła się szajka rozbójników i nietylko po drogach, ale i po domach obywatelskich napadała. Hrabiemu przyszła myśl pusta, zebrał nas kilkunastu, poprzebierał dziwacznie i sam najspokojniej usiadłszy w towarzystwie, rozmowę rozpoczętą o tych napadach podsycał. W tem ze wszystkich drzwi salonu wpadają mniemani rozbónicy. Łatwo sobie wyobrazić krzyk i zamieszanie, jakie się zrobiło między damami, ale jakoś żadna nie zemdlała. Myśmy rzucili się niby na hrabiego, on laską machnął i my upadliśmy na kolana przed damami. Poznano maskaradę. Damy, ochłonąwszy ze strachu, przypatrywały się naszym kostjumom, śmiały się i dobre wykonanie napadu przyznały. Ale to co było tylko udaniem, czekało w istocie dom hrabstwa. Na drugi dzień odebrał hrabia list z Dubna od podkomrzego Tarszeńskiego, że przeszłej nocy połapano w Szepetyńskim lesie rozbójników i herszta ich schwytano. Natychmiast hrabia pojechał do Dubna i nas kilku za nim. Jakież było zdziwienie hrabiego, kiedy w herszcie rozbójników poznał ślusarza, który dwa lata służąc w Pekałowie, wszystkie zamki w pałacu porobił.

„Cóż tu robisz?“ zapytał hrabia .„A cóż, bawię się żelazem“—odpowiedział, potrząsając kajdanami—„to moje rzemiosło“. „Cóż ciebie do tego przywiodło?“ „Wola Przeznaczenia“. „Czyż nie lepiej ci było, tak porządniemu rzemieślnikowi pracować i uczciwie się prowadzić?“ „Ciężki był mój zarobek w pocie czoła, do gotowego iść lepiej“. „To i na mój dom napadłbyś?“ „A na cóżem wszystkie zamki w pałacu porobił?“ „I pozabijałbyś nas?“ „Na co? na moim ręku krwi jeszcze niczyjej nie ma. Zabrałbym wam tylko to, co nadto macie“. „A gdybym potrafił cię uwolnić, czybyś się poprawił?“ „Nie wiem“ rzekł smutnie „daleko zabrnąłem“. Hrabiemu żal go się zrobiło, młody to był człowiek ledwie lat dwadzieścia pięć, piękny i zdatny, umiał czytać i pisać, a przez dwa lata służby nic się w nim nagannego nie okazało. Hrabia wszelkich używał sposobów uwolnienia go, chciał go wziąć na swoją porękę, ale nie było sposobu ratować.

Przeszła prędko wiosna, na wakacje ks. Osiński zarekomendował mnie p. sędziemu Gadomskiemu na Podole do 10-letniego syna. Okolice te nowe dla mnie i ludzie nowi, ale że ludzie są wszędzie podobni siebie, całe więc marzenie moje było o okolicach. Słysząc wiele o Podolu, wyobrażałem sobie, że: ot to ja wpadnę w krainę, gdzie to, co spojrzysz, to pejzaż, a jeden piękniejszy od drugiego. Ale na wstępie zaraz iluzja moja znikła, bo Weselce, majętność, gdzie pp. Gadomscy mieszkali, położeniem się swojem nie zaleca. Piękna to szlachta podolska, Gadomscy. Podkomorzy Gadomski z pierwszej żony miał dwuch synów, Jana i Ignacego, z drugiej syna i dwie córki. Właśnie to p. Jan umówił mię na wakacje. Porządny to był człowiek i nauki wiele i zdrowego rozsądku i takt w postępowaniu. Brat jego młodszy p. Ignacy jeszcze lepiej ukształcony był lektorem króla Stanisława z tytułem sekretarza j. k. mości, piękny był mężczyzna, nie żonaty, uczony, trochę pedant, ale bardzo miły człowiek; mieszkał o mil trzy od brata w Zawadyń-

cach, ładną posiadał bibljotekę i poznawszy mię wstęp mi do niej otworzył. Blizko bardzo od pp. Janostwa mieszkała macocha samego, a samej ciotka, p. podkomorzyna Gadomska, przy niej piękna córka p. Sarnecka, a o pół mili w Borszczówce syn p. Antoni, małego zdrowia, bardzo brzydki i jakoś ułożeniem od braci bardzo różny, mieszkał sam i nie wiele lubił towarzystwo. Uczeń mój Józio, pieszczony, trochę ślamazarny, ale zdolny, pojmował nauki i przez ciąg wakacji przeszliśmy wszystko, czego się na klasę pierwszą uczono. Rekreacje obracaliśmy na przechadzki i nieraz do Radkowicy do babuni zawędrowaliśmy, gdzie nas i ugaszczano serdecznie i odsyłano powozem do domu. Z Gadomskimi żył w przyjaźni biskup Dembowski, żołnierz, senator i kapłan, zawsze i wszędzie jednał sobie życzliwość i wysokie uważanie. Majątek oddał synowi, a sam tylko z biskupiej pensji utrzymywał się. Pani hr. Mniszchowa wydzierżawiła mu Jaromirkę, ze swego Grodeckiego klucza wioskę, gdzie ks. biskup mieszkał najwięcej. Dom trzymał otwarty, więc zawsze miał gości, nie mało też i biednych w Jaromirce przytułek miało. Intrata nie wystarczała i biedny szanowny starzec był zawsze w potrzebie, ale przywiązanie synowskie sąsiadów, z całą delikatnością nieść pomoc interesom pasterza pokryjomu umiało. W blizkim także sąsiedztwie i w blizkich stosunkach żyła z Gadomskimi bogaczka podolska, p. starościna Grabianczyna. Mąż jej, jeszcze za czasów polskich razem z Cagliostrem alchemji się oddawał i szukając złota marnotrawił piękny majątek. P. starościna zauważywszy, że mąż, czy złoto zrobić potrafi, czy nie, a fortunę straci, postarała się o urzędowe usunienie męża od administrowania majątkiem i tak dobrze zawinęła, że w przeciągu lat dwunastu oczyściła i wdwójnasób majątek powiększyła. Dom jej był na wysokiej stopie, bo ród jej i koligacje—hrabianka Stadnicka była z domu—wymagały wyższego tonu w jej domu, i uprzejmość tam była staro-

polska. Domy Kickich, Witosławskich, Raciborowskich, Starzyńskich, Makowieckich, Zaleskich, wszystko to były rodziny szlacheckie, dawne, zamożne i od wieków na Podolu osiadłe, wszystkie na wyższej stopie. Była wszędzie szlachecka ogłada, dostatek, uprzejmość, nawet w przyjęciu wytworność, ale był ład i rachunek. Każdy obywatel żył pięknie i nie bez pięknej gotówki mieli szkatuły. Takie było Podole w pierwszych latach obecnego stulecia.

Wakacje szybko uleciały, pp. Gadomscy zadowoleni postępem Józia zaproponowali mi, ażebym został na rok cały, ale nie decydowałem się, nie wiedząc jakie w tym względzie ma być postanowienie władzy szkolnej krzemienieckiej. Stanęło na tem, że p. sędzia daje mi swoje konie i brykę; ażebym pojechał do matki, a w przejeździe wstąpił do Krzemieńca o decyzję względem zrobionej mi propozycji. Ale jadąc do Tuczyna, skróciłem sobie drogę na Stary Konstantynów i Ostróg. Na ten raz szczęśliwie zastałem u pp. Walewskich całą prawie ich rodzinę i to był raz ostatni. Przeleciało wiatrem trzy tygodnie, byłbym i więcej zabawił, ale mi chodziło o konie p. Gadomskiego, żeby ich długo nie trzymać, bo utrzymanie z łaski p. Józefa i Skirmuntów nic mię nie kosztowało. Ze smutkiem dom opuściłem i skierowałem już drogę moją na Krzemieniec, bo tak umówiliśmy się z p. sędzią, że jeżeli otrzymam pozwolenie, temiż końmi do Weselca powrócę, jeśli nie pozwolą, konie odeszlę. Udałem się natychmiast do dyrektora: „Dobrze, żeś wmpan przyjechał, winszuję, umiałeś sobie pozyskać dobrą opinję pp. Gadomskich i żądają cię mieć na rok, nie jesteś przywiązany do żadnego kursu, do obranych objektów znowu przyjść możesz, a w towarzystwie p. sekretarza i przy jego bibljotece czasu nie stracisz. Bądź gorliwym w twoim obowiązku, a nie bierz na barki więcej nad to, co unieść zdołasz. Żegnam wmpana, życzę ci najlepszego powodzenia!“ Ucałowałem podaną mi rękę i poszedłem odwiedzić drugich. Prefekt, ks. Osiński i Malawscy powyjeżdżali na

wakacje, z innymi nie było chęci do widzenia się i wróciłem na Podole. U p. Gadomskiego zastałem urzędowe uwolnienie mnie na rok z gimnazjum z terminem na 29-go czerwca. Nie gniewałem się wcale, że p. sędzia sam jeździł do Krzemieńca, aby wyjednać to uwolnienie, owszem rad byłem z umieszczenia się w tak zacnym domu. Wziąłem się do pracy z moim uczniem, p. sekretarz obdarzał mię dobremi książkami, cała rodzina Gadomskich okazywała mi niezmyśloną życzliwość i czas mi uchodził przyjemnie. Ze wszystkich domów, gdzie bywałem, najmilej mi było u p. podkomorzynej Gadomskiej, u pp. rotmistrzostwa Kickich, których syn Jan od Krzemieńca znajomy z całą otwartością młodocianej przyjaźni w domu swych rodziców mię przyjmował — i u ks. biskupa zaszczycającego mię swojemi względami.

Pp. rotmistrzostwo mieli córkę, to jest p. rotmistrz z pierwszego małżeństwa, z obecnej zaś małżonki hrabianki Tarnowskiej, siostry hrabiego Marcina, był syn Jan. O pannę Onufrę starał się starościc Czosnowski i otrzymał przyrzeczenie panny, zatwierdzone zezwoleniem rodziców. Wesele naznaczone było na św. Stanisław, rocznicę imienin p. rotmistrza. Wielkie były przygotowania, wiele spodziewano się gości. Dla niedostatku obszernych pokojów w domu pp. rotmistrzostwa, wozownia zamieniła się na wspaniałą salę, ozdobną kolumnami, festonami zielonemi, lustrami i świecznikami w najwytworniejszym guście, a tę okazałą zabaw świątynię czarnoksięską mocą swojego smaku z niczego wywiodła pokrewna pp. Kickich p. Chrząszczówna. Zbierali się goście i sąsiedni i dalecy. Pp. Gadomscy byli zaproszeni, ale sama dla słabości nie była, sam tylko, wziąwszy mnie ze sobą na żądanie Jasia Kickiego, pojechał, Józio został przy matce. Ziechała z Wołynia hrabina Marcinowa Tarnowska z piękną Łucią Sobieszczańską, nie mającą równej sobie w całem tem zebraniu. Siódmego maja wieczorem przyleciał posłaniec z listem od p. młodego, w którym

pisze: „że obrachowawszy się z usposobieniami swojemi materjalnemi i umysłowemi, po dojrzałym namyśle, zrzeka się szczęścia, jakie czeka go z panną Onufrą i od słowa ją uwalnia“. Niewiele to obeszło familję, ani panna wiele żalu okazała, rotmistrz się tylko rozgniewał, chciał wyzwać Czosnowskiego, ale go damy uchodziły, udobruchał się i zamiast wesela, imieniny wesoło i uroczyście obchodzono.

Chodziły już ciche poszepty o wejściu Francuzów do Austrji, już o wzięciu Tarnopola przez polskich ułanów przebąkiwano, młodzież zbierała się po kątach i po cichu radziła. Na 15 maja p. starościna zaprosiła wszystkich gości do Ostapkowiec, gdzie kuzynie hr. Marcinowej Tarnowskiej imieniny wyprawiała, i tam z p. Gadomskim byłem. Już nie szepty, a głośne zbieranie się, narady między młodymi pojawiły się. P. Gadomski miał mię na oku. Bal był świetny, trzydniowy i tańce narodowe najczęstsze. Ksawery Zaleski, Kicki i ja spoczywaliśmy w sąsiednim pokoju od sali, odpoczywając po mazurze, rozmawialiśmy o blizkości wojsk polskich i sposobach dostania się do nich. Kicki dawał dla mnie konia i pałasz i mundur sprawiając sobie i mnie miał sprawić, a w tym zapale rozmowy, aniśmy zauważyli, że mamy świadka naszej pogadanki. Spostrzegłszy p. Gadomskiego, ruszyliśmy się wychodzić, sędzia mię zatrzymał: „Czy także z nimi się wybierasz?“ „Czyż mam, jak baba, siedzieć w kącie, kiedy bracia piersi za ojczyznę nastawiać będą?“ „Piękne to, chwalebne uczucia, ale pan z tą młodzieżą nie pójdziesz“. „Któż mi zabroni?“ „Ja, wziąłem pana z Krzemieńca na moją odpowiedzialność, gdybyś poszedł z domu mego naraziłbyś mię na prześladowanie sprawiedliwe rządu, a i matka twoja miałaby mi do wyrzucenia. Daj mi słowo, że nie pójdziesz aż do terminu naznaczonego ci od twojej władzy, co się przewlecze, nie uciecze, a wtedy sam ci ułatwię przejazd do Tarnopola“. Słuszne były uwagi sędziego i tego momentu wyjechaliśmy z Ostapkowiec. Tej-

że samej nocy prosto z balu od p. starościny wyjechali za Zbrucz: Augustyn Trzcieski, Jan Kicki, Ksawery Zaleski, Antoni Stadnicki, Wieczwiński i Słupecki. W kilka dni potem będąc w Tarnorudzie, przez rogatkę widzałem się z niektórymi, serce ciągnęło za rogatkę, dane słowo wstrzymywało od połączenia się z kolegami. Czekałem obiecanego terminu, ale go uprzedził list prof. Malawskiego, donoszący o bytności w Krzemieńcu księcia kuratora i zniewalający, abym natychmiast przyjeżdżał. Pp. Gadomscy, choć im żal było za mną, radzi byli, że spadł im z głowy ciężar mogącej wypaść odpowiedzialności za moje wyjście. I tak zostałem! z żalem zostałem.

Rok to pamiętny w dziejach Europy. Trzy cesarstwa zamknęły utarczki swe polityczne traktatem, wracającym część Galicji zachodniej do księstwa Warszawskiego, wschodnia część, to jest obwód Tarnopolski, do Rosji przyłączonym został. Wiedział rząd rosyjski o wymykaniu się młodzieży za granicę i w jakim celu, ale wielkomyślność i ojcowska dobroć monarchy przebaczyła to uniesienie młodocianego ducha, a rodziny będących w wojsku francuskiem mieszkańców zachodnich rosyjskich prowincji prześladowanemi nie były.

ROZDZIAŁ IV.

Rok 1809, ważny w dziejach Europy i w Krzemieńcu ważną się epoką odznacza. Ale nim do opisania jej przejdziemy, rzućmy wprzód okiem na ówczesny stan szkoły i miasta. Z powrotem Czackiego z Petersburga, upewnił się i ulepszył byt gimnazjum. Darowane starostwo Krzemienieckie zwiększyło dochody i pozwoliło większych nakładów. Całe zachodnie skrzydło pojezuickich murów przerobiono na okazałe sale bibljoteki, do której i ozdoby i księgi po królu Stanisławie zakupił Czacki. Reformatorów rząd przeniósł do Desderkał, reformacki

klasztor dostał się bazyljanom, bazyljańskie mury przyległe gimnazjum do gimnazjum przyłączono. Na miejsce zmarłego prof. Szeidta, katedra chemji dostała się Szostakowskiemu, uczniowi Jędrzeja Śniadeckiego, wielkich zdolności, kochającemu swój przedmiot nauczycielowi. Na prof. nauk przyrodniczych Czacki sprowadził Bessera, znanego już w świecie uczonym botanika. Z uczniów krzemienieckich pięknie usposobiony Czarnocki otrzymał katedrę algebry. Uczniów liczba siedemset głów wynosiła. Czacki duchem swoim i obecnością ożywiał wszystko, wszystkim energji dodawał.

Komisja rządowa edukacyjna ustalona w Krzemieńcu, działania swoje rozpoczęła. Czacki prezesem, komisarzami byli pp. Filip Nerjusz hr. Olizar, hr. Aleksander Chodkiewicz, Michał Sobański i Wacław Boreiko. Dla nieprzerywania działań komisji wielu z nich osiedli w Krzemieńcu. Po powrocie z Podola, zastałem zamieszkałych: starostwo Czackich, hr. Olizara z córką i synami, p. podkomorzynę Skibicką, marszałkostwo Zakrzewskich, marszałkostwo Gruszeckich i kilka innych pomniejszych szlacheckich domów.

Książę kurator zjechał dla powzięcia prawdziwego wyobrażenia o gimnazjum i cztery tygodnie bawiąc i na lekcjach bywał i półroczne prywatne egzamina pod jego osobistem zasiadaniem odbywały się, a władza szkolna i nauczyciele z pociechą serca widzieli, że całoroczne ich trudy świetny skutek uwieńczył. Licznie zebrani na przyjazd księcia obywatele towarzyszyli mu na egzaminach, wrzucali swoje kwestje, ale przygotowanie uczniów wszystkie wymagania zadowoliło. Tak ścisłe badania egzaminowe, przejrzenie ksiąg dyrektora i prefekta, przekonały kuratora, że szkoła Krzemieniecka najpiękniej odpowiada swojemu celowi i z prawdziwą pociechą serca odniósł samemu monarsze nader pochlebne, ale rzetelne zdanie i o szkole i o jej założycielu. Wtenczas to, zebrani u księcia obywatele, z prawdziwego przekonania i z wdzięczności,

postanowili oddać hołd cnotom obywatelskim i zasługom Czackiego i, kiedy ten mąż dostojny w swojej pracowni zajmował się sprawami komisji, współobywatele jego ułożyli z księciem myśl, jak uczcić pamięć i uświetnić w potomności zasługi męża, który się ich szczęściu, bo oświeceniu się dzieci, z zapomnieniem siebie najgorliwiej poświęcał. Było to jeszcze w pierwszych latach XIX stulecia, jeszcze panowanie interesu i egoizmu nie rozciągnęło ducha swojego nad naszą krainą, jeszcze staropolski duch braterstwa szlachtę jednoczył.

O godzinie dziesiątej członkowie komisji zebrali się na sesję, gdzie dwie jakieś ważne sprawy rozstrzygać się miały. Czacki zagaił posiedzenie, a wtem wszedł książę kurator otoczony gronem znakomitych wołyńskich obywateli, powstali komisarze i do przychodzących się przyłączyli. Powitał ich szanowny prezes, a książę, zbliżywszy się do stołu i pozdrowiwszy prezesa pełnym uszanowania pokłonem, tak mówić zaczął: „Zasługi twoje dostojny mężu! ziomkowie twoi uczuć i ocenić umieli. Twoje poświęcenie się dla dobra naszych dzieci i potomków w sercach naszych wzbudziły uwielbienie dla cnót twoich i chęć wywdzięczenia się choć w części za tyle trudów i poświęceń. Oto Wołynianie przez usta moje błagają cię, abyś chciał przyjąć, jako dowód ich wdzięczności i czci najwyższej, uwiecznienie pamięci twojej umieszczeniem popiersia twego w bibljotece gimnazjalnej i wybiciem medalu z twojem wyobrażeniem i, stosownem do twej zasługi i uczuć ich, godłem. Co do mnie, z najwyższą serca pociechą, odniosę Monarsze głos obywatelstwa, a potwierdzenie zamiaru ich prosić będę i przedwcześnie przewidując pomyślną odpowiedź, serdecznym przyjaźni uściskiem, winszuję ci tak świetnego dowodu powszechnego uwielbienia. Szczęśliwym! nader szczęśliwy, że licząc się w gronie tego zacnego obywatelstwa, uczuć ich tłumaczem zostałem".

Stał Czacki chwilę w milczeniu, łza spływała po pięk-

nem jego obliczu, nakoniec rzeknie: „Mości książę! W usługach moich dla kraju starałem się spełnić obowiązek prawego obywatela, działałem gorliwie, nic przecież jeszcze z tego za zasługę poczytać sobie nie mogę. Zaszczyt, jakim mię życzliwość Wołynianów uczcić raczyła, jak niespodziewany, tak i niezasłużony, tak jest wysoki, tak pochlebny, że mógłby podnieść mię w dumę. Ze łzą wdzięczności i sercem przepełnionem wdzięcznością składam wam dzięki przezacni współziomkowie! ale przebacz mości książę! nie czując się godnym tak świetnej nagrody, przyjąć jej nie mogę".—„Panie starosto!" odpowie książę—„Ta sama skromność, ta bezinteresowność, podnosi cię jeszcze wyżej nad wartość przyniesionej wdzięcznością współziomków ofiary. Ale pozwól sobie powiedzieć, że w tej sprawie głos całej prowincji więcej ma prawa stanowić, niż twój głos jeden, że zasługa twoja, jednomyślnie przez cały Wołyń uznana, musi być rzeczywistą zasługą, i jest nią niezawodnie. Żadne tu osobiste nie wpływają stosunki, żaden interes, bo na liście podpisanych znajdziesz nazwiska rodzin ledwie z nazwiska znajomych, a nawet zupełnie nieznanych; a takie zdanie powszechne, jest sądem świata, sądem potomności, sądem Boga! nie wzbraniaj się więc mężu dostojny przyjąć tego dowodu czci współobywatelskiej, tego hołdu ich wdzięczności, tej zasług twoich godnej nagrody!"—„Dostojni współziomkowie! woli waszej niech się stanie zadość! z pokorą przyjmuję zaszczyt, jakim mnie i ród mój okryć raczyliście. Oby Bóg raczył tyle przedłużyć dni moje, ażebym trudami i poświęceniem się dla waszego dobra usprawiedliwił w oczach świata sąd wasz i moją nagrodę". To powiedziawszy, zszedł ze swego miejsca i z rozrzewnieniem przyjął uściskania współobywateli. Sesja się przerwała, ks. kurator podał rękę Czackiemu i na czele całego obywatelstwa wołyńskiego poszli do kościoła w modlitwie składać Panu zastępów dzięki: Czacki, za nieoczekiwany zaszczyt, obywatele za oddanie sprawiedliwości zasłudze dostojnego współziomka.

Potomność pewnie nic nie zarzuci temu uniesieniu serc wdzięcznych, a czytając życie Czackiego, przyzna słuszność sądowi o cnotach i zasługach tego wiekopomnej pamięci męża. Ale jakże się zadziwi, może i wierzyć nie zechce, że z pośrodka tychże samych Wołynianów, podniósł się głos oskarżający Czackiego o złe cele w prowadzeniu gimnazjum, o nadużycie funduszów na tę szkołę w obywatelstwie zebranych. Głos ten doszedł do tronu, cesarz naznaczył komisję. Pod prezydencją hr. Fryderyka Moszyńskiego zasiadali w niej gubernator Komburley, marsz. gub. Gostyński, senator Worcell i książę Karol Jabłonowski. Czacki sam prosił cesarza o potwierdzenie tych komisarzy, lubo wiedział dokładnie, że dwuch z nich byli jego oskarżycielami, a Komburley osobistym zawziętym nieprzyjacielem. Czacki sam stanął w swojej obronie. Przemówienie jego wstępne, tak wymowne, tak czułe, że tak tylko przemawiać może wzniosły umysł, czyste sumienie, siła woli i uznanie rzetelne osobistej godności. Rozrzewnienie objawiło się na obliczu zasiadającego, wstyd oblał twarze oskarżycieli. Czacki wyrachował się co do grosza z przychodów i wydatków, ale pokazało się, że niewniesione fundusze, własnemi pieniędzmi, z nadwerężeniem własnego majątku, zastąpił. Nie mogła komisja nieusprawiedliwić z niesłusznych zarzutów, nie mogła nie przyznać i nie uczcić bezinteresownego poświęcenia się sprawie oświecenia. Wracający całą sławę i całą cześć Czackiemu dekret komisji Monarcha najłaskawiej zatwierdził i osobnym reskryptem okazującym najwyższe zadowolenie zaszczycić raczył. Tryumf z odniesionego nad nieprzyjaciółmi zwycięstwa nie podniósł w dumę wielkiej duszy Czackiego, pierwszy podał im dłoń bratnią i dowodami okazał, jak słodko urazy przebaczać i dobrem za złe płacić. Radość napełniła serca Wołynianów i ośmset przybranych synów Czackiego, uczniów gimnazjum wołyńskiego, uroczyście ten dzień obchodzili.

Jeszcze więcej obywateli osiadło w Krzemieńcu w

następnym roku, jedni dla edukacji dzieci, drudzy dla ich kompanji. Ale ten rok tak radosny okrył żałobą szkołę i żalem napełnił serca Wołynianów. Dyrektor Czech nie mógł podołać trudom swego urzędu. Zdrowie jego chyliło się coraz do upadku, nakoniec w 1810 roku długie i bolesne cierpienia wydarły nam ukochanego naczelnika, nieszczęśliwym ojca, biednym wsparcie, rodzinie byt cały, światu wysoce uczonego i wielkiego wielkością duszy męża. Ks. Osiński wymową Skargi oddał hołd winny cnotom i nauce Czecha, a opisaniem cierpień i zgonu jego łzy synowskiego żalu 800 osieroconym uczniom wycisnął i licznie zgromadzonych na ten smutny obchód obywateli rozrzewnił. Prefekt Jarkowski objął zarząd naszej szkoły z zadowoleniem rządu, obywateli, nauczycielów i uczniów. Ale Czacki nie robił go dyrektorem, bo wiedział, że na jego miejsce, prefekta, z równie gorliwem poświęceniem się, z taką tęgością ducha, z takiem ojcowskiem sercem w prowadzeniu młodzieży, nie znajdzie.

Dwadzieścia lat z górą urzędowania Jarkowskiego [1]) odznaczają się dziwnym porządkiem obyczajów nieskażonych w tej wyższej szkole; nie dosypiał czcigodny starzec, bo czuwał nad zdrowiem ciała i duszy powierzonych sobie dzieci. Był groźnym, ale nie srogim. Najgrubsze jego wyrażenie było n e q u a m, zwyczajne odezwanie się: m o j ę d z i e c k ą, bo nosowe samogłoski wszędzie wybitnie dodawał. O! on miał ojcowskie uczucia dla młodych, ale był ojcem sprawiedliwym. Pieścił swe dzieci, ale je surowo upominał i przykładnie w potrzebie ka-

---

[1]) Antoni Jarkowski, przeszło 20 lat był prefektem gimnazjum, a potem liceum w Krzemieńcu. Surowym był, ale sprawiedliwym. Jeden z uczniów napisał na drzwiach wchodowych do liceum:

Spalę Krzemieniec, zniszczę jego ziemie,
Wygubię Jarkowskich przeklęte plemie.

Jak się mścił za te pogróżki prefekt, świadczy opowiadanie Detiuka.

rał. Dzieci bały się prefekta, ale skóry niedźwiedziej na stołku rozciągniętej więcej, niż prefekta. Dziwnie delikatne miewał sposoby upomnienia i sprowadzenia na dobrą drogę młodzieży. Z wielu wyszłych z pamięci, jeden tu przytoczę. W drugim roku gimnazjum, trzech młodych, majętnych Podolaków, absentowali się często na lekcjach i nienajprzyzwoitsze wycieczki robili. Kilkakrotnie i surowo upominał ich prefekt, groził oddaniem pod sąd i śledząc ich bezprzestannie, ciężko im dokuczył. Oburzeni panicze zmawiają się, ażeby wracającego nocą prefekta od brata zastąpić na ulicy i wybić. Nikogo do swej tajemnej zmowy nie przypuścili, z tem wszystkiem tegoż dnia prefekt o spisku wiedział. Nazajutrz miał być wykonanym i nazajutrz w czasie lekcji laska prefekta znajomie zapukała we drzwi 1-go kursu: „pp. Klemens i Kalikst Borkowscy i p. Antoni Stadnicki stawią się zaraz do p. prefekta". Zmięszani młodzi idą, wątpią jednak, ażeby ich zmowę wyśledzono. W przedpokoju nikogo nie było i następne pokoje były puste, w czwartym zastali samego prefekta. „Proszę! proszę za mną!" i oprowadził ich wokoło po całem mieszkaniu i nigdzie nikogo nie znaleźli. Pozamykawszy drzwi wszędzie na klucz, wrócił do czwartego pokoju, dobył z zapieca trzy kije leszczynowe, i dając każdemu z nich jeden, rzeknie: „Teraz tu wybijcie prefekta, tu nikt nie zobaczy i nie usłyszy, ani waszej zawziętści, ani wstydu obitego starca". Pomięszanie młodych było niewypowiedziane, odtrąciwszy od siebie kije, z płaczem rzucili się do nóg prefekta; z dobrocią ojcowską podniósł ich zacny starzec, upominał surowo wyrzutami niemoralnego ich postępowania, nakoniec dodał: „Ale serca wasze moje dzieci nie zarażone jeszcze światową przewrotnością, serca czyste, przemawiają za wami, a miłość honoru przez założyciela tej szkoły zasiana, i w sercach waszych wschodzi i o waszej poprawie mię upewnia". Wielkie skutki wywarł na młodych ten szlachetny postępek prefekta, wielka w nich moralna nastąpiła zmiana, żaden z nich w ciągu roku na upomnienie

nie zasłużył, a p. Kalikst wzorowym stał się uczniem. Jeśli jednak zdarzyło się, że po użytych podobnie rozsądnych środkach uczeń się nie poprawiał, szanowny starzec stawał się jego nieubłaganym prześladowcą. Prefekt Jarkowski był surowym, ale za uczniami, jak za własnemi dziećmi, obstawał i to jego uczucie nie zmieniło się w całym ciągu jego urzędowania.

Piękny był skład nauczycielski w gimnazjum wołyńskiem; utrzymywać, że wszyscy równie wysoko byli usposobieni, niepodobna, ale czyż i po uniwersytetach braku nie znajdujemy? Można jednak tem się pochlubić, że fizyczno-matematyczny wydział zawsze był świetny, że literatura miała nauczycielami: Osińskiego, Słowackiego i Felińskiego, że wykład historji Uldyńskiego miłym był i korzystnym, że uczniowie Chońskiego i Jaroszewicza stali się wzorowymi prawnikami. Toż i o klasach powiedzieć można; Strzelecki swoim wykładem arytmetyki, dzielnie usposabiał uczniów do korzystnego słuchania wykładu wyższego w lekcjach Sciborskiego, Czecha, Polińskiego, a nawet Śniadeckiego. Lefort, jeśli nie nauczył mówić po francusku, to przynajmniej takie dał zasady tego języka, że wychodzący na kursa uczeń mógł biegle czytać i rozumieć nietylko prozę, ale i poezję. Nie wszyscy jednakowo byli usposobieni, nie wszyscy może jednakowo dar przelania w młodych nauki posiadali, ale wszystkich gorliwość była równa, wszystkich jedna chęć zasługi ożywiała, wszyscy tchnęli duchem jednym uczciwości i bezinteresowności. A gdzie tacy przewodnicy, mogąż być innymi podwładni? Mało było złych nadużyć między uczniami, a żaden bezecny postępek, żadna podłość nie plami kart w dziejach uczniów tej szkoły. Uniwersytet Wileński, zawistny olbrzymiemu wzrostowi gimnazjum wołyńskiego, śledząc, że tak powiem, kroki jego uczniów u siebie i na świecie, cóż miał im do zarzucenia: zarozumiałość? Czyż uczucie własnej wartości zarozumiałością nazwać można? Uczniowie przechodzący z gimnazjum do uniwersytetu dla kończenia nauk, celując

pilnością w nich i wzorową obyczajnością, mogliż nie uczuć i nie ocenić swojej wartości? Wielu uwłaczających Krzemieńcowi niech sami wyznają, jestże choć jeden stan, choć jedno powołanie, gdziebyśmy nie spotykali odznaczających się talentami, nauką i cnotami obywatelskiemi Krzemieńczanów?

Co rok, to więcej zaludniał się Krzemieniec domami obywatelskiemi, chociaż niektórzy ubywali. Hr. Olizar, uwolniwszy się od urzędowania w komisji dla wieku i słabości zdrowia, na swoje miejsce zostawił hr. Filipa Platera, którego Czacki wysoko cenił. Hrabia Chodkiewicz usunął się także z komisji, a na jego miejsce obrany ks. Maksymiljan Jabłonowski. P. Michał Sobański zamieszkał z familją. Ale zebranie obywateli zwiększyło się jeszcze więcej w r. 1811. Wszystkie te domy przywykłe trzymać domy otwarte w swoich majętnościach, tęskniły do zabaw w Krzemieńcu. Dawać wieczory u siebie, mało to że pociągało wydatki, ale kto na nich tańcować będzie? Przy gimnazjum był zawsze metr tańca i to ze znakomitszych; młodzież ochotnie uczyła się tańczyć i korzystać z tych lekcji, ale nie wszyscy mieli wstęp do wszystkich domów. Potrzeba więc było wynaleźć środki zadość czyniące i stęsknionym za zabawami i uczniów tańcujących w wyższe towarzystwo wprowadzić: przełożono więc Czackiemu myśl, ażeby utworzyć zebrania publiczne, gdzieby młodzież pod okiem władzy szkolnej, nauczycielów, rodziców i obywatelstwa bawiąc się, przywykała do więcej światowego znajdowania się w towarzystwie. Przyjął tę myśl Czacki, bo widział w niej sposób ogładzenia powierzchownego uczniów, a przybrawszy do narady członków poważniejszych komisji i prefekta, ułożyli:

Że każde kasyno powinno być w sobotę, albo w wigilję jakiego święta, ażeby nie przeszkadzało przygotowaniu się na poniedziałkowe lekcje.

Że uczeń, nie mający z całego tygodnia świadectwa

pilności w naukach i dobrego prowadzenia, na kasyno znajdować się nie może.

Że celujący nawet w naukach, jeżeliby miał u prefekta jaką obyczajową notę, tracił prawo bywania na kasyno.

Że tym tylko wolno było bywać na tych zebraniach, których fundusz, po zaspokojeniu potrzeb istotnych, pozwalał obrócić kilka złotych na bilet do wejścia.

Że jeżeliby się okazało, że uczeń dług zaciągnął, aby mieć pieniądze na kupienie biletu, taki tracił i nadal prawo wchodzenia na zebranie.

Że na każdem kasyno z obowiązku znajdować się powinno dwuch nauczycieli i prefekt, którzyby mieli pilną baczność na obyczajne znajdowanie się uczniów.

Że dla uniknienia zbytku w ubraniu, uczniowie w mundurach szkolnych bywać powinni.

Takie były pierwsze kasyna, i surowo pilnowano spełnienia przepisów, a nietylko, że nie psuły młodzieży, ale dla wielu nawet stały się bodźcem pilności w naukach i stróżem obyczajów. Nie było więc tego zdemoralizowania, jakie z takim zapałem p. Grabowski kasynom zarzuca; list nawet cytowany p. Wacława Borejki, że gdy ks. kurator wzywał go na wizytatora po Czackim, odpowiedzał, że kalefaktorem być woli, — jest pięknem zmyśleniem, bo pan Borejko, równie jak pan Sobański i drudzy komisarze, do narady o ustawach kasyn należał. Wyznać jednak potrzeba, że gdyby kasyna zostały były takiemi do końca, jak za Czackiego, niktby przeciw nim nie mógł tak wykrzykiwać. Ale i w najmędrsze ustanowienia nadużycia wcisnąć się mogą i wprowadzić w nieład, często do naprawienia niepodobny.

Wesoło i przyzwoicie przeszła zima. Na kasynach bywała młodzież, nauczyciele nie uskarżali się na opuszczenie się uczniów i z uczęszczających na kasyno, żadnego prefekt w czarną księgę nie zapisał. Piękna i wczesna wiosna nowemi wdziękami okryła piękne okolice Krzemieńca. Sciborski zatwierdzony został dyrektorem.

Znakomity ten uczeń akademji krakowskiej przez Czackiego był wybrany. Wiele osobistych zalet Sciborskiego na tę godność wyniosły, ale mu nie dostawało najistotniejszej może, to jest tęgości charakteru, jaką Czech i Jarkowski posiadali. Instalacja dyrektora odbyła się uroczyście w kościele gimnazjalnym. Na tronie portret cesarski, a naprzeciw niego umieszczono prefekta Czecha, głębiej wzniesiono wyżej siedzenie dla biskupa. W środku kościoła wokoło krzesła, na nich Czacki z całą komisją, nowy dyrektor, nauczyciele i uczniowie, wszyscy w mundurach na swoich miejscach zasiedli. Po skończonej celebrze biskupa, Czacki w pięknem zagajeniu wskazał jakim być powinien rządca tej szkoły, wspomniał, jak zaszczytnie, jak święcie Czech spełniał ten obowiązek, a wzywając Sciborskiego, temi zakończył słowy: „bądź Józefowi Czechowi podobny!“ Pięknie odpowiedział Sciborski na pochlebne dla niego wezwanie i w przysiędze wykonanej dodał: „stać się podobnym czcigodnemu poprzednikowi mojemu, najgorliwszem mojem będzie staraniem!“ Biskup Kaczurski pobłogosławił wstępującego w nowy zawód urzędnika i hymn dziękczynny zaintonował. Po skończonym obrzędzie, u starostwa był wielki obiad dla nowego dyrektora, całe zgromadzenie nauczycieli i mieszkający w Krzemieńcu obywatele, na nim się znajdowali. Wieczorem okazały bal na salach kasynowych kosztem obywatelskim, uroczystość tę zakończył. Sciborski korzystał ze stosunków przyjaznych, łączących go oddawna z prefektem i we wszystkiem rady jego zasięgał; szły też dobrze nauki, i postępowanie młodych pod okiem tych dwuch czuwających nad nimi mężów było moralne i wzorowe.

Układając Czacki z Kołłątajem ustawy dla gimnazjum, zniósł kary cielesne po klasach, zostawiając użycie onych rozsądkowi prefekta i konieczności ich użycia. Dla uczniów kursowych ustanowił sąd szkolny i kodeks dla niego napisał. Ustawy te prawdziwie mądre wpajały w młodych wzniosłe uczucia uczciwości, skromności, pil-

ności w naukach i obyczajności. Kara, napisanego na tablicy nazwiska czarną krepą okrytej i w sali kursu zawieszonej, była tak straszną, że się jej więcej, niż kary cielesnej bali. Każdy kurs obierał swego sędziego z pomiędzy podanych trzech kandydatów, na prezesa wszystkie trzy kursa razem wotowały. Z roku 1811 na 1812 Czacki z komisarzami obecnością swoją wybory zaszczycili. Obraz to był istotny obywatelskich wyborów; podobnież i tu okazały się życzliwości i niechęci i powstające stąd partje i niesnaski. Ale wszystko odbywało się tak cicho i skromnie, że podziwiać należało takie umiarkowanie młodych; bo tam był obecnym ten, dla którego i ojcowskie i obywatelskie uczucia w ich sercach wrzały. W wybraniu sędziów długie były korowody, bo i kandydatów było wielu i na każdego osobno wotowano. Na prezesa jeden był tylko zapisany kandydat i jednogłośnie obwołany—Józef Czacki. Pan starosta ozwał się, że syn jego za młody i nie mógł jeszcze na ten zaszczyt zasłużyć. Ale zabrzmiała sala jednym odgłosem: „prezes Józef Czacki! P. Józefa Czackiego uczniowie gimnazjum Woł. jednomyślnie na prezesa sądów swoich zapraszają!" Nie można było co więcej przeciw temu odgłosowi powiedzieć, prefekt szepnął p. staroście, żeby się nie sprzeciwiał tak pięknemu natchnieniu młodych. Komisarze to zdanie prefekta potwierdzili. Czacki stanąwszy na stole prosił o głos, uciszyło się wszystko i zdawało się, że w sali nikogo niema. Czacki przemówił: „Młodzi, krwi waszej godna! Ta jedność myśli i uczuć waszych przekonywa mię, że mój Józef i uważanie wasze i życzliwość zjednać sobie potrafił. Pochlebia to mojemu ojcowskiemu sercu i jeszcze więcej mię do was przywiązuje. Kocham was, jako braci waszego prezesa, jako własne dzieci moje, i tych uczuć moich dowodzić wam póki życia nie przestanę. Przyjmijcie najczulsze dzięki moje, oby Bóg mi tyle dał szczęścia, żebym i syna mojego i was z nim, oglądać mógł zupełnymi obywatelami, obywatelami takimi, jakimi w marzeniach moich ojcowskich widzieć was pragnę!

Synu mój! współuczniowie twoi, twoi współbracia, w ręku twoim szalę sprawiedliwości złożyli. Ten dowód ich szacunku niech cię oświeci, jak masz go ocenić, jak na niego zasłużyć. Dowiedź szlachetnem sprawowaniem twojego urzędu, żeś w uczuciach dla nich syn mój nieodrodny!“ Skoro skończył mówić, starsi uczniowie obstąpiwszy stół zstąpić mu na ziemię nie dali i, wziąwszy na ramiona drogi im i ukochany ciężar, w towarzystwie całego wyborowego zgromadzenia do jego mieszkania odnieśli.

Wszystko szło ładem w Krzemieńcu, nauczyciele gorliwie uczyli, młodzież korzystała z nauk, zwierzchność wglądała starannie w ich prowadzenie się, komisja czynnie zajmowała się sprawami funduszów edukacyjnych i wiele już sum wywindykowała. Czacki czuwał nad wszystkiem, duch jego wszystko ożywiał. Tymczasem na zachodzie Europy zbierała się burza, mająca wzruszyć całą Europę i zakłócić błogi spokój, jakiego Wołyń i Litwa doznawały. Jeszcze w roku przeszłym ogromna kometa zdawała się ten niepokój zapowiadać, bo mała liczba pojmujących biegi i krążenia ciał niebieskich nie ulegała przesądowi, że wszelkie takie nadzwyczajne zjawiska są poprzednikami jakiegoś zaburzenia i klęsk na ziemi. A jednak tak się okoliczności dziwnie składały, że po takiem nadzwyczajnem zjawisku następowała wojna, lub jakaś inna ciężka katastrofa i przesądu umorzyć nie można było! I w 1812 roku z komety takie wnioski robiono. Głuche latały wieści o wojnie, o Francuzach, o Napoleonie, a choć różne w różnych obudzały uczucia, były to jednak tylko wieści, do których niewiele wiary przykładano. Na Wołyniu, w licznie zgromadzonem wojsku, ani ruchu, ani przygotowań do wojny nie zauważano.

Kościół nasz pomiędzy najwyższe uroczystości policzył święto Bożego Ciała, którego nabożeństwo rozciąga się na cały tydzień i kończy w oktawę uroczystemi nieszporami, a równie w miastach, gdzie były liczne pańskie świątynie, jak i w ubogich parafjalnych kościo-

łach, z całą pobożną okazałością obchodzone. Czacki całą wyższego oświecenia ważność zasadzając na religji, ściśle pilnował, ażeby prawdziwą pobożność w sercach młodych zaszczepić, ażeby wszystkie od kościoła naszego przepisane obrzędy jak najściślej spełniano, bo wiedział, że jak modlitwa rzewna podnosi ducha, tak te powierzchowne formy, silnie działając na młode umysły, wrażają w nie miłość ku Bogu i cześć dla spełniających ofiarę ołtarza, i można się pochlubić, że kapłani nasi na tę część zasługiwali. Uroczystość ta, zwykle przypadająca w początku lata w pełnem zebraniu uczniów w Krzemieńcu, zawsze okazale obchodzoną była, a równie dnia pierwszego, jak i w oktawę, procesja z ewangeljami, po całem mieście drugie kościoły obchodziła.

W r. 1812 szczególniej okoliczności do tego uroczystego obchodu złożyły się. Dzień pierwszy odprawił się u Franciszkanów. W oktawę liczne duchowieństwo z Krzemienieckich klasztorów zaproszone do gimnazjalnego kościoła, uroczystej celebrze nieszporów ks. Osińskiemu asystowało. O godzinie pół do piątej huk dzwonów wzywał lud pobożny do świątyni. Najpiękniejsza majowa pogoda, cichość powietrza, promienie skłaniającego się do zachodu słońca, oświecające przeciwległe góry, cienie wyniosłych wież kościoła rozciągnione przez galerję na rynek uroczo ozdabiały scenę i jeszcze więcej wspaniałości obrzędowi dodawały. Gromady osób rozmaitego wieku i stanu napełniały galerję, a w tem zebraniu, zarówno książęta i hrabiowie, jak rzemieślnicy i wyrobnicy, w jednym duchu, do jednego celu dążyli. Już ławki zajęte przez mieszkające w Krzemieńcu obywatelki, po za filarami mieści się pospólstwo, środek tylko kościoła nie zajęty.

Ozwał się dzwonek szkolny, sypnęły się roje dzieciaków porządkiem klas, każda pod swoją chorągwią, każda pod przywództwem nauczyciela w pełnej mundurowej formie, uczniowie kursów pod własnem swojem przywództwem idą. Damy siedziały w ławkach, ale nikt

się jeszcze nie modlił, a ruch i szelest idących ode drzwi kościoła zwracał wszystkich oczy i uwagę w tę stronę. Nie jednej tam matce serce mocniej uderzyło, nie jedna pełnem serca okiem witała swego jedynaka. O! ileż to błyszczących nadziei, ile pociech, ile świetnych przyszłości, wzrasta w pośród tego pięknego grona, szczęśliwych swą niewinnością, szczęśliwych czułą troskliwą opieką istot! „Patrz! patrz!“ szepnęła podkomorzyna do sędzinej „jak twój Józio niesie głowę do góry, śliczne dziecię! Mówił mi p. Antoni Jarkowski (prefekt), że on w drugiej klasie pierwszy list pochwalny weźmie“. „Co to za uczeń idzie pierwszy po prawej stronie białej chorągwi?“ „A, to Jaś wnuk chorążego, perła klasy czwartej, i urodą i ugrzecznieniem i postępem w naukach dzielnie się odznacza“. „A tenże, co idzie obok niego i tak się figlarnie uśmiecha?“ „To współzawodnik Jasia, Stefański, syn stolarza, profesorowie przyznają, że to wielkich nadziei młodzieniec“. „Czy widzisz?“ rzeknie z cicha marszałek do żony, „jak się pyszni nasz Władzio? Audytor [1]) audytorów od początku roku. Powiadał mi prefekt, że on pewnie mieć będzie accessit do medalu“. „Otóż kursowi!“ szepnęła sędzianka do siedzącej obok pięknej Łucji, „pod temi obcisłemi mundurami jakie tam szlachetne serca biją“. „To jeszcze dzieci!“ odpowie dumna piękność. „Dzieci?“ odezwie się podkomorzanka, „z tym młodocianym pięknym wąsikiem, z tem skromnem i mężnem wejrzeniem, tą postawą wojacką?“ „Dlaczego to tych czterech uczniów idą osobno?“ zapytała podkomo-

[1]) Audytorami nazywano zwykle tych uczniów, którzy byli wyznaczeni przez profesora do przesłuchiwania lekcji innych uczniów w zastępstwie profesora i rezultaty swoich przesłuchiwań komunikowali profesorom. Wybierano do tego najlepszych uczniów. Audytor audytorów przesłuchiwał tylko audytorów. W ten sposób dążono do ułatwienia zadania profesorowi, a równocześnie wytwarzał się między uczniami rodzaj wzajemnej pomocy koleżeńskiej. Zdarzało się — bardzo rzadko—aby audytorowie wchodzili w kolizję z etyką szkolną.

rzyna idącego wedle jej ławki profesora Mirowskiego: „To sąd szkolny“ odpowie szanowny weteran. „P. starosta, uznał korzystnem, ażeby młodzież sama nad swojemi obyczajami czuwała, postanowił sąd szkolny i z ks. Kołłątajem ułożył dla nich kodeks. Corocznie podobne obywatelskie pod okiem dyrektora odbywają się wybory. Dziś, prezesem jest Józef Czacki, jednomyślnie na tę godność wybrany, i powiem wmpani dobrodziejce, że z niewypowiedzianą znajomością rzeczy i tęgością charakteru urząd swój spełnia. Ale darujesz wmpani dobr., że ją odstąpię, jestem dziś dyżurnym dla zachowania porządku między kursowymi w czasie obrzędu, dlatego nawet p. starosta od sesji mię uwolnił“. „Cóż to za sesja? zapytało razem dam kilka“. „Czytają manifest cesarski, ogłaszający wojnę z Francuzami“, to rzekłszy skłonił się i poszedł ku ołtarzowi, damy pomiędzy sobą szeptały.

Dał się znowu słyszeć szmer ode drzwi wchodzących, wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę. Przodem szedł Czacki w całej paradzie stroju swego stopnia i urzędu, po obu jego stronach nowoinstalowany dyrektor i prefekt, za nimi profesorowie parami i urzędnicy gimnazjalni, wszyscy w mundurach. Gdy już wszyscy swe miejsca zajęli, zabrzmiały organy, ksiądz Osiński w pysznem obłoczeniu, w asystencji licznego duchowieństwa zaintonował: D e u s i n a d i u t o r i u m, ozwała się amatorska muzyka, chór dobrany, świętemi hymnami Psalmisty, głosami pełnemi wdzięcznej melodji, chwalił Pana, zachwycał słuchających i ta nieziemska harmonja wzniosła się nad sklepienia kościelne. Lemi, Stein, Dobrowolski, Tabrowski, Garlicki, Stefański byli ci śpiewacy. Po M a g n i f i c a t ksiądz Prokop, kaznodzieja gimnazjalny, językiem i duchem Skargi, wskazał ważność niniejszej uroczystości, jak ją święcie naddziady nasze zachowywały i jako drogą spuściznę nam przekazały, stąd wywiódł, jak wiara jest podstawą i cnót obywatelskich i prawdziwej mądrości; a zachęcając lud zebrany do błagania Boga o pokój i pomyślność krajową, wzniosłą

i rozrzewniającą modlitwą kazanie zakończył. Opuścił mówca kazalnicę, a wszyscy nie opuszczali miejsca. Ks. Prokop dziwnie piękną miał wymowę, a czy to w krótkich coniedzielnych naukach, czy w wypracowanych kazaniach, wszędzie erudycja, wszędzie wzniosły duch wiary, wszędzie wdzięk osobliwszy wysłowienia, mówcę zalecały.

Nastąpiła procesja, ruszyły klasy i kursa swoim porządkiem, za niemi pensjony panieńskie, szli dalej księża franciszkanie i bazyljanie, potem ośmiu uczniów niosło wianeczki, trzynastu w białych komżach z krzyżem, kadzielnicami, świecami i dzwonkami, za nimi czterech kapłanów w ornatach dla śpiewania ewangelji. Ks. Osiński na stopniach ołtarza obróciwszy się do ludu zaśpiewał: „Twoja cześć, chwała! Huknęły dzwony, kilka tysięcy głosów zgodnych powtórzyło: „Twoja cześć, chwała! bo te wszystkie głosy w tej chwili jedno uczucie ożywiało, bo tak ludowi do serca pieśń ta przypadła, że rozpoznać nie można, że dwa różne wyznania lud ten składają. Zeszedł ze stopni celebrant, Michał Sobański i Wacław Borejko wiedli go pod ręce, Czacki niósł nad nim baldachim, długi szereg obywatelek i mieszkańców miasta postępował za nimi, śpiewając pieśń przez celebrującego zaintonowaną. Jeszcze wtenczas i możni i pospólstwo jednym się duchem modlili, a jakim kto mógł głosem śpiewał Panu chwałę, nie tak, jak dziś, że się wstydzą śpiewać na procesji, sam jeden organista drze biedne gardło za wszystkich.

Pierwsza ewangelja w kościele przed ołtarzem Najświętszej Boga Rodzicy Maryi; drugi uczniowie ubrali pod słupem ciosowym, unoszącym posąg Niepokalanego Poczęcia, przed kościołem na galerji wzniesionej znacznie nad przyległy rynek. I rynki i galerja napełnione były śpiewającym chwałę Bożą ludem, a gdy celebrujący zbliżając się do ołtarza zanucił: Rex Christe primogenite kilka tysięcy ludu na kolanach, z czołem schyłonem, z wzniesionemi ku niebu rękoma, uniesienie czy-

stej prawdziwej wiary, nie dające się piórem określić, uniesienie wyobrażało. Każdą ewangelję w łacińskim i słowiańskim języku odśpiewano. Trzecia u Franciszkanów, skąd cała procesja szeroką ulicą umiecioną i usypaną tatarakiem i zielonością rozmaitą, ruszyła do kościoła Bazyljańskiego za miastem, dla odpoczynku śpiewających strofami w długiej procesji, przygrywała muzyka wojenna konsystującego podówczas w Krzemieńcu pułku huzarskiego. Po odśpiewaniu ostatniej ewangelji u Bazyljanów, tą samą ulicą wracano. Wszedłszy na galerję ks. celebrant błogosławiąc lud cały Najświętszym Sakramentem, wzniósł głośno Te Deum i lud przypadłszy czołem do ziemi, cały rynek okrywał. Słońce już było zaszło, wnętrze kościoła noc już obejmowała, świece na ołtarzach i w ręku kapłanów i posługaczów ołtarza niepewny po sklepieniach blask rozsiewając, jeszcze większem uszanowaniem dla obchodu przejmowało. Tu celebrujący przyklął, lud cały rzuca się na kolana, bije w niebo uroczyste nasze i ulubione „Święty Boże"! i poza murami kościoła, daleko, daleko po górach się rozlega. O! nie! tam nie modlili się świętoszkowie! nie! tam, jedno wspólne westchnienie, jedna rzewna modlitwa ze łzami wiary, nadziei i miłości, wzniosły się do podnoża tronu Tego, przed którego najświętszą potęgą jakże są niczem i ludy i trony i światy! Tam jeden głos całego narodu wołał: „Zmiłuj się nad nami Panie! zmiłuj się nad nami!"

Po nieszporach jedna z mieszkających w Krzemieńcu obywatelek, p. podkomorzyna Skibicka, chcąc przyjemnie obchodzić imieniny siostrzenicy swojej Heleny, córki szefa Drzewieckiego, zaprosiła w bliższych będących stosunkach obywateli do ogrodu botanicznego na herbatę. A jak jasne słońce przyświecało nabożeństwu, tak czysty w pełni księżyc niewinnej wesołości bawiących się w ogrodzie przyświecał. Czacki, niedługo tam zabawiwszy, udał się do pracy, bo na jego głowie wielkie leżą interesa, bo na jego ramionach budowa przysz-

łego pokoleń losu oparta, bo jutro tyle ważnych ekspedycji na pocztę. Reszta zaproszonej na herbatę kompanji i znaczna część miasta mieszkańców długo jeszcze przyjemności w przechadzce przy pięknem świetle księżyca używali. Nakoniec wszystko ucichło, głuchy spoczynek objął całe miasto, lekkie sny zlewały przyjemne obrazy na śpiących, a nikomu się nie śniło, jak smutne jutro z miłego snu rozbudzi.

ROZDZIAŁ V.

Już z poza góry zamkowej jasność poranna rozlała się na pół niebieskiego sklepienia, chóry ptasząt wpółubiegały się ze słowikiem, kto pięknejszym hymnem wschodzące słońce powita, czujny kogut budził do pracy przemyślnych mieszczan i przedmieszczanów, Czacki pracował już przy swojem biurze, gdy na dziedzińcu jego ozwał się pocztowy dzwonek. Nikt go nie słyszał prócz Czackiego. Wszedł oficer i ukłoniwszy się z uszanowaniem: „Jestem feldjeger z Łucka“ — rzecze — „główny dowódca, książę Bagration, włożył na mnie obowiązek, ażebym jw. panu asystował do Łucka, i natychmiast odjechać musimy“. „Spełnię rozkaz głównodowodzącego, ani wmpan na mnie czekać będziesz“. Kazał natychmiast przywołać sekretarza swego Kruczkowskiego i starszego syna Józefa, któremu polecił, ażeby jak najostrożniej matce odjazd jego oznajmił, a pomiędzy uczniami nie rozgłaszał. „Mój sekretarz pojedzie ze mną“ rzecze do oficera. „To od woli pańskiej zupełnie zależy“. Czacki uściskał syna i zalecił mu roztropność, dał od ust sługom pożegnanie mówiąc: „do widzenia, ja długo nie zabawię“. Wsiedli do powozu: Czacki, sekretarz i oficer. Zabrzęczał dzwonek, poniósł się kocz, jak na wiatrach. Czacki nie zatrwożył się tem nagłem wezwaniem. Wieści już chodziły, że to tam, to ówdzie brano obywateli i w głąb Rosji zasyłano. Czacki spokojnie odjechał, ale moż-

naż było wiedzieć, wróci lub nie wróci i dokąd go zawiozą? Józef patrzał przez łzy za odjeżdżającym ojcem, i ze ściśnionem sercem patrzał, bolał, duch jednak jakiś wieszczy w zbolałe serce wlewał krople pocieszającej nadziei.

Tymczasem słońce równie jak wczoraj pogodne nad miastem zaświeciło, równie jak wczoraj dobroczynne jego promienie nowe życie we wszystkie twory wlewało. Wdzięczyły się rzęsistym kwiatem okryte drzewa, całe przyrodzenie młodocianym się uśmiechem wdzięczyło; ale w Krzemieńcu dzień smutkiem się obudził. Nikt zdaje się odjazdu Czackiego nie widział, a jednak wszyscy już o nim wiedzieli. Uczniowie w milczeniu przechadzają się gromadami po tej galerji, gdzie się wczoraj tak wesoło zbierali, tak uroczyście modlili. Zadzwoniono na mszę, otworzył się kościół, nigdy z taką akuratnością nie zbierano się na nabożeństwo, ani jednego ucznia nie brakło. Ze łzami kapłan spełniał ś. ofiarę, cicha i rzewna, jak i wszystkich zebranych w kościele, była jego modlitwa. Ozwał się dzwonek szkolny, klasy zajęły swe miejsca, zdaje się słuchają, a nie słyszą i nauczycielom wykład się nie klei, braknie słów, gdzieś znikło wczorajsze przygotowanie. Kursowi nawet na lekcje nie idą, gromadnie zcicha się przechadzając gwarzą, i stroskani nauczyciele za złe im tego nie biorą. Prefekt przerażony nieoczekiwanem nieszczęściem, niema serca na uczniów nastawać, bo widzi w ich sercu cierpienie, które z nimi podziela, stara się wmówić im spokojność, ale niema słów zdolnych do pociechy osieroconych. Tak zeszedł ranek, po południu i nie dzwoniono do szkoły; snują się smętnych i zadumanych roje, wielka część uczniów wyszła za miasto ku królewskiemu mostowi, bo w tamtą stronę serca ich wołają, bo w tamtej stronie ich skarb! ich ojciec! Wszyscy badają się nawzajem oczami, ale nikt nie śmie słowami oddać zapytania, boi się każdy wymówić, boi się usłyszeć to, o czem wie już najpewniej, a czemu uwierzyć jeszcze się waha.

Ale cóż się tam w domu Czackiego dzieje? Starościna blada, spłakana, tuli do łona Marynię i Wiktorka. Józef chciałby uspakajać matkę, łzy mówić mu nie dają. Skibicka, Malczewscy, szef Drzewiecki, Sobański, otoczyli stroskaną, radziby jakąś jej natchnąć nadzieję, ale tej i sami nie mają i boleć tylko z bolejącą mogą. Rzekłbyś, że to jedna rodzina otaczająca łoże dogorywającego ojca, taka żałość, takie współczucie z cierpiącą wszystkich serca przejęły. Ale czyż tylko rodzina, gimnazjum i współobywatele tą ciężką uciśnieni troską? O! nie! miasto całe wstrzęsło się boleśnie smutnem zdarzeniem. Mieszczanie, rzemieślnicy, przekupnie i przekupki z jękiem bolesnym zapytują, gdzie jest dobroczyńca, który swym wpływem ich podniósł, który im drogę oświaty wskazał, który swoją pomocą tyle się do podniesienia miasta i jego pomyślnego bytu przyczynił. Żydzi wszelkiej płci i wieku cisną się do synagogi, której pierwszy kamień Czacki niedawno położył, i za goimem, z całą energją wschodniej pobożności i ze szczeremi łzami, opieki Jehowy nad nim wzywają. O! bo ten goim bez względu na różność wyznania jest ich dobroczyńcą, bo ich dzieciom bramy przybytku nauk otworzył, bo oświeceniem nad zabobonną, fanatyczną ciemnotę wznieść się ośmielił! Odwróćmy oczy od tego smutnego obrazu, który dostojnie opisać pióro moje nie zdoła, pójdźmy raczej za Czackim i obaczmy, co się z nim w Łucku stało.

Miasto Łuck [1]) o czternaście mil od Krzemieńca odległe, historyczną starożytnością swoją Krzemieniec przewyższa. Tam nasz świątobliwy pasterz biskup Cieciszewski mieszka, i nad nieprzeliczonym katolickim dwuch djecezji ludem pasterską opiekę swoją rozciąga. W tychże samych murach i głównodowodzący korpusem

---

[1]) Łuck m. powiatowe na Wołyniu wielką miał przeszłość. W r. 1429 odbył się tu świetny zjazd książąt i królów, na którym Witold, W. Ks. litewski, zamierzał ogłosić się królem Litwy i Rusi. Ruiny zamku o świetności świadczą.

Bagratjon kwateruje. Tylko co wróciwszy od księdza biskupa z obiadu, książę zasiadł przy biurku dla odczytania sam na sam depesz świeżo nadesłanych ze stolicy, gdy adjutant oznajmił mu przybycie p. Czackiego. Wyszedł książę naprzeciw znakomitego urzędnika, z winnem uszanowaniem powitał i przepraszał za nieprzyjemność, jaką mu tak śpieszne wezwanie sprawić mogło. Weszli do gabinetu księcia i Kruczkowskiemu wejść pozwolono. „Pan zapewne czytałeś manifest?“ — zapytał po chwili milczenia książę, Czacki dał znak potwierdzający, książę mówił dalej: „Nieprzyjemne otaczają nas okoliczności, nieprzyjaciel przeszedł już Niemen, najjaśniejszy cesarz ogłosił Wołyń na stopie wojennej, pod wojenną władzą i mnie sąd stanowczy poruczyć raczył. Czuję wiele nad tem, żem pana trudził, ale z mocy mojego urzędu, winienem mu zrobić niektóre zapytania, na które zechcesz mi szczerze i otwarcie odpowiedzieć“. „Mości książę! kłamstwem nigdy ust moich nie splamiłem, a co tylko wiem z pewnością na to najwierniej odpowiem“. „Racz więc objaśnić mię co znaczyła wczorajsza uroczystość i T e D e u m publicznie śpiewane?“ „Zapytanie w. ks. mości wcale mię nie dziwi, bo kościół wschodni tego święta w rytuale swym niema, ale w krajach katolickich uroczystość Bożego Ciała jest z najsolenniejszych, obchodzą ją równie okazale w najlichszych parafjach, jak i po katedralnych kościołach. Sądzę, że i tu pod okiem w. ks. mości wczoraj nasz pasterz podobną celebrę odprawiał“. „Tak jest w istocie, masz jw. pan słuszność, wyznaję, że nad tem pytaniem nie zastanowiłem się. Ale dlaczego po nieszporach był bal i iluminacja w ogrodzie botanicznym?“ „Nie był to bal; p. Skibicka trzema dniami wprzódy zaprosiła nas na wczoraj na herbatę, jako na imieniny swej siostrzenicy, kilkanaście osób z rodziny lub z nią żyjących. Co się tyczy iluminacji, nie wiem, czy zasługuje na to szumne nazwisko para kandelabrów na stole i kilka świec na bufecie“. „To bardzo jasno! Ale, jak mi pan to wytłumaczysz, że wasze damy miały na szar-

fach i przy czepkach narodowe polskie kolory?“ „Mości książę! — odpowie z godnością Czacki — „to są zanadto drobne i błahe szczegóły, ażeby mogły zajmować ludzi oddanych wyższym władzom, urzędników, którym powierzone są losy ludów i przeznaczenie pokoleń! Szczerze księciu wyznaję, że na to nigdy uwagi nie zwracałem, nie wiem nawet, jak kiedy moja żona ubrana“. „Zadowalniające są jw. pana odpowiedzi i doniesienia mam za płonne i nierozmyślnie złośliwe, i nic mi więcej do zapytania nie zostaje. Ale Komburley zrobił mi uwagę, że gimnazjum Wołyńskie posiada wiele młodzieży, zdatnych do służby wojennej i że tych do wojska zabrać należy“. I to mówiąc podał Czackiemu spis trzystu ośmdziesięciu wyborowej młodzieży, na której czele zapisany Józef Czacki. Krew uderzyła w twarz dostojnego męża, oczy łzą zaszły, niezmieszany jednak, z całem męstwem i słodyczą ewangelicznej rezygnacji, z całą energją wielkiej duszy: „Mości książę!“ — odpowie — „uznaję w tym spisie całą niezasłużoną złośliwość ku mnie Komburleya! Monarcha mojej gorliwej wierności tronowi zarząd szkół tej prowincji i gimnazjum Wołyńskiego powierzyć raczył. Zdawałem już sprawę przed jego majestatem z mojego urzędowania i nie zlęknę się zdać raz jeszcze. Rodzice mnie samemu poruczyli los swoich dzieci, odpowiedzialność za nich poprzysiągłem Bogu, rodzicom i mojemu sumieniu. Mamże tak haniebnie zdradzić zaufanie moich współobywateli? O! nie! Monarcha tego po mnie wymagać nie będzie! Znam jego wielką duszę! Uczniów Krzemienieckiego gimnazjum w ręce tylko rodziców oddać powinienem i oddam, ani żadna władza inaczej postąpić zmusić mię nie zdoła. Jesteś książę ojcem i serca twego o to zapytaj!“ Czacki skończył, Bagratjon słuchał go jeszcze. Trudno wypowiedzieć, jakie wrażenie na księciu mowa Czackiego zrobiła, jakie wzbudziła uczucia w tem sercu wojną zahartowanem. I podziw i współczucie i mimowolna cześć dla mówcy w twarzy się jego wyrażały. „I to jest ostateczne jw. pana i nieodmienne postanowie-

nie?“ — zapytał. „Nieodmienne! Mości Czacki!“ — zawoła wtedy Bagratjon — „wiele słyszałem o panu i wysoko ceniłem jego poświęcenie się, jego gorliwą działalność w sprawie oświecenia, ale to, co dziś widzę i słyszę, wyobrażenie moje przechodzi. Mężu czcigodny! dusza twoja wielka i samej tylko sobie równa, zjednała ci cześć należną zarówno obcych, jak i twoich współziomków, i zaszczyt twojemu krajowi przynosi. Kto tak śmiało i poczciwie przed urzędnikiem, w którego ręku los swój widzi, tłumaczyć się zdoła, przez usta jego sumienna prawda przemawia. Ale różnowierzec i różnoplemiennik, nie będzie niegodnym twojego zaufania i szacunku. Bądź moim przyjacielem! ten zaszczyt wysoko cenię i uczucia przyjazne do zgonu w sercu ci dochowam. Powracaj do Krzemieńca! uspokój strwożoną twym nagłym odjazdem rodzinę, przyśpiesz egzamina, rozeszlij dzieci do ich domów nim ja Łuck opuszczę. Bóg wie, co później nastąpić może! Nieprzyjazny ci Komburley każdy krok twój śledzi, unikaj go, albo wyjedź z gubernji Wołyńskiej zupełnie; jeśli masz jakie sprawy ważne w komisjach lub w gimnazjum, porucz je któremu z zaufanych ci, wszak ich tam jest tylu. Bądź zdrów! i poświęć kiedy jakie wspomnienie wysoko szacującemu się Bagratjonowi“. Czule się uścisnęli dwaj godni siebie mężowie, Czacki wstąpił jeszcze na chwilę ucałować ręce biskupa i znowu pocztą, ale bez oficera, poleciał do Krzemieńca, do swoich! Nikt jeszcze w Krzemieńcu ani myślał o spoczynku, snuły się wzdłuż szerokiej ulicy też same zasmuconych gromady, ożywia ich jakieś przeczucie, ale pociechom nadziei poddać się nie śmieją. O dziewiątej godzinie wieczorem zabrzęczał znowu dzwonek pocztowy, wstrzęsło się miasto radosnym odgłosem: „Powrócił!“, góry powtórzyły: „Powrócił! powrócił!“

Czacki zastosował się zupełnie do ostrzeżeń i rad ks. Bagratjona, prywatne egzamina śpiesznym postępowały krokiem, bo w uczniach okazało się takie bogate całoroczną pilnością przygotowanie, że czas się nie tracił i nau-

czyciele z podziwieniem i prawdziwą pociechą koniec swych badań przyśpieszali. Rozesłano gońców do dalszych powiatów, w bliższych marszałkowie kursorją obwieszczali rodziców o przyśpieszeniu rocznych popisów na dzień 12 czerwca, i na ten dzień zjechali się rodzice. Ciągnęły z różnych stron, mniej więcej kosztowne powozy, bryczki i wózki i zapełniły niewielką dolinę Krzemieńca. Wszelkie zjazdy po naszych miastach i miasteczkach wiele się przyczyniają do ich pomyślności. Kontrakty, jarmarki, wybory, a w Krzemieńcu roczne popisy, były to epoki wielkich przychodów i przynosiły ogółem całemu miastu, a szczególniej dla Żydów obfite żniwa. Żyd utargował za stancję, utargował za towary, bo jakże malcowi z listem pochwalnym jadącemu do domu, nie sprawić nowego letniego ubrania? jak się szlachcicowi nie pociągnąć na kilka rubli, dla synka, z którym w sąsiedztwie pochwalić się potrzeba. Możniejsi jeszcze silniejszy haracz nieśli kupcom; na popisy roczne zjawiały się w sklepach kupieckich takie piękne, takie modne nowości w towarach, że nietylko synalkom się coś eleganckiego sprawiło, ale mama i dla siebie miała za co kilkadziesiąt rubli zapłacić. Zwykle nawet rodzice, przywożąc dzieci z wakacji, w Krzemieńcu co im potrzeba sprawiali na całoroczne ubranie, rzadko który z ojców w domu i mniejszym może kosztem dzieci oporządzał. A tak Krzemieńcowi dobrze działo się ze szkołami i miasto wzmagało się i bogaciło. W 1812 r., gdzie liczba uczniów do ośmiuset dochodziła, ten zjazd musiał być jeszcze liczniejszy! Jakiż to był ruch, jakie życie po całem mieście. Wszędzie gromadnie się przechadzają, wszędzie rozmawiają o dzieciach swoich, o nauczycielach, o Czackim, o pięknym tegorocznym urodzaju, i o wojennych dwuch wojsk obrótach gwarzą, bo wojna już nie tajemnicą i postęp jej wiadomy.

Otworzyły się publicznie egzamina i nie udane były popisy, jak to bywa często po szkołach, że przygotowawszy się na jedno pytanie, wyrecytowawszy wyklepany

artykuł jakiś, p. uczeń zmyka, ażeby o co jeszcze nie zapytano. W Krzemieńcu młodzież z prawdziwym zapałem oddawała się naukom i pewna siebie, ochotnie i przytomnie z nich sprawę zdawała. Popisy, szczególniej z fizyki i chemji objaśnione ciekawemi doświadczeniami, z wymowy i literatury ckraszone przytoczonemi wzorowemi przykładami prozy i wiersza, zgromadzonych słuchaczów zachwycały. Zadowoleni byli goście, rozrzewniał się pociechą szanowny pasterz, rodzice uwielbiali Czackiego, Czacki ojcowskiej w sercu doznawał radości i w duchu gorącej wiary niósł Panu dzięki, że trudy i starania jego błogosławił. Żaden rok w dziejach gimnazjum Woł. nie odznaczał się tylu celującymi, ani w żadnym tyle sprawiedliwych nagród nie rozdano.

Po trzydniowych popisach, nastąpił dzień rozdawania nagród. Bibljoteka jeszcze ukończoną zupełnie nie była, a sala żadna nie wystarczała obszernością na objęcie tylu osób zbierających się na ten akt uroczysty, w gmachu więc wspaniałym w kościele wzniesionym przez Jezuitów, dziś gimnazjalnym, uroczystość każdą podobną obchodzono. W środku kościoła, po prawej od wchodu, wzniesione siedzenie biskupa, po lewej, tron z portretem cesarza, wokoło krzesła dwoma rzędami, które zasiedli poważni obywatele, ojcowie i matki; poza nimi porządkiem uczniowie klas i kursów, dalej mnóstwo interesowanych lub tylko ciekawych widzów. Od czasu otwarcia gimnazjum jeszcze tak licznego, tak świetnego w Krzemieńcu zebrania nie było. Jeszcze niema Czackiego, komisarzów i senatu nauczycielskiego, jeszcze i damy nie wszystkie się zjechały; starościny Czackiej i jej rodziny nie dostaje i na nią całe zgromadzenie oczekuje, bo męża wysokie zasługi, pierwszeństwo jej przed wszystkiemi damami nadają. U starostwa dużo było gości. Przyjeżdżający po dzieci składali Czackim winny hołd uszanowania i wdzięczności i starościna wybrać się nie mogła. Pani Adamowa Szwejkowska nagli wyjazd, starościna z niesmakiem jej odpowie: „Moja Krzysiu, te egzamina, jest

to komedja, którą corocznie mąż mój z tymi malcami przed publicznością rozgrywa, mnie to śmieszy, nudzi a nawet gniewa, tak, że wykupiłabym się, żeby tam nie być, mais les convenances. Nieraz płonę wstydem, słuchając jak malcowi z nizkiej klasy, z chłopiańskiego rodu wynajduje historycznych przodków i nazwisko, o którem i dziadowie biednego ucznia nie słyszeli". „A jednak tem zachęca ich do nauki, i nowy byt im stwarza; a jednak tylu zacnych obywateli z uwielbieniem o p. staroście mówią, a i ci, co prześmiewali ten akt, później żałują tego i cześć swoją z uwielbieniem drugich łączą". „Bo mają w gimnazjum dzieci i radziby, żeby tym dzieciom dano nagrody". „Przyznaj pani, że my dzieci w gimnazjum nie mamy, a nasz Włodzio zanadto jeszcze mały, ażebyśmy dla niego jakieś zabiegi robili, a przecież mój mąż, do najgorliwszych wielbicieli p. starosty należy". „Ja bo nie ujmuję memu mężowi tej wielkiej zasługi, jaką mu poświęcenie się sprawie publicznego oświecenia zjednało, szczycę się nią i chlubię, komedji tylko nie cierpię". Piękna p. Adamowa ruszyła tylko ramionami. Wszedł lokaj: „Kareta gotowa!" „Jedźmy!" Weszły do kościoła, lud się z uszanowaniem rozstępuje, wszyscy powstali, mistrz ceremonji wskazał starościnie pierwsze przed damami miejsce, p. Adamowa obok niej usiadła.

Już uczniowie klasami rozstawieni zajęli swe miejsca, na czele każdej klasy gromada celujących należnej nagrody oczekują. Kursa osobno stoją, wszyscy w mundurach, wszyscy weseli; czyż wszyscy nagrody biorą? Nader mała liczba niebiorących, przynajmniej pochwalnego listu, w pośród świetniejących zasługą zniknęła. Śmiało i wesoło poglądają, ale ułożeniem skromni i przyzwoici; bo tu nietylko przyozdabiają umysły, tu i serca kształcą i w nadpsute nawet, wzniosłe uczucia natchnąć potrafią; bo tu naczelnikiem jest przykład, jest wzór, za którym dążą wszyscy, którzy prawego obywatela imieniem szczycić się pragną. Od drzwi wchodowych dał się słyszeć szelest, wszystkich oczy w tę stronę się zwróciły,

wszystkich usta szepnęły: „idą“. Jakoż weszli nauczyciele parami porządkiem starszeństwa, dwuch ostatnich nieśli: jeden dyplom cesarski, drugi na tacy medale, za nimi dyrektor i prefekt, dalej komisarze Michał Sobański, Wacław Boreyko, ks. Maksymiljan Jabłonowski i Filip Plater, pisarz komisji Rudzki i plenipotent funduszów edukacyjnych Borkowski, na końcu szedł Czacki, a za nim sekretarz gimnazjalny ze stosem atestatów i listów pochwalnych. Rozstąpili się wszyscy, grono szanownych mężów zasiadło swoje krzesła, na tronie pod portretem cesarskim złożono dyplom, na stopniach listy pochwalne, sekretarz stanął za krzesłem Czackiego. Ks. biskup zaintonował Veni Creator, po odśpiewaniu którego, Czacki zagaił posiedzenie krótką a piękną przemową. Profesor Choński w uczonej rozprawie wykazał korzyści uczenia ekonomji politycznej; rzecz jego ważna sama z siebie, pełna erudycji i gruntownej filozofji, czystym i uchu przyjemnym językiem oddana była.

Nastąpiło rozdanie nagród; od pierwszej klasy, aż do trzeciego kursu, każdemu oddając list pochwalny, coś stosownego, coś przyjemnego Czacki powiedział. Następowały medale. Od najdawniejszych czasów trwał u nas zwyczaj, że je rozdawali rodzice, znakomitsi dygnitarze lub damy, a zwłaszcza, jeśli byli pokrewni medalowego ucznia; nie mającym obecnej na akcie rodziny, oddawali tę nagrodę ks. biskup, poważni ojcowie i dostojne matrony. Dawniej król Stanisław sam przypinał zasłużonym medale, ale, jeżeli matka była obecna, król zostawiał jej pierwszeństwo uwieńczenia zasługi syna. W tym roku p. Michał Sobański brata i synowca medalem ozdobił: „zaszczyć tą nagrodą zasłużoną ich pilność i obyczajność dostojny mężu, zastąp im ojców, których opiekę tak godnie im zastępowałeś, zaszczyć ich, nim twój Gotard dorosłszy lat do nauki sposobnych odebrać znak taki z rąk rodziców zasłuży. Wy zaś młodzieńcy możecie się pochlubić, żeście z rąk takiego czcigodnego krewnego, ten znak waszej zasługi odebrali i starajcie się być jemu

podobni". Izydor i Piotr Sobańscy byli z drugiego kursu. Następował kurs trzeci, na którym najbezstronniej złoty medal nauczyciele Józefowi Czackiemu przysądzili. Szedł piękny młodzieniec po nagrodę skromnie, lecz śmiało, ale spojrzawszy na matkę, której wyraz twarzy zdradzał walkę uczuć wewnętrznych, jeszcze żywszy rumieniec okrasił jego lice i nie tak już pewnym krokiem postąpił ku ojcu!" „Synu mój! Józefie! Ufność moja bez granic w charakterze i sumieniu władz tej szkoły, upewnia mię, że nie sama ich ku mnie życzliwość, ani żaden interes w przysądzeniu ci tej nagrody zdaniem ich kierowały. Żeś na nią zasłużył zacni ci nauczyciele mię zapewniają, wierzę więc i z prawdziwą serca pociechą zasługę twoją uznaję i do tego drżącego z radości ojcowskiego serca przyciskam! Wam dostojni nauczyciele i przełożeni tej szkoły najczulsze składam dzięki, żeście wszczepili w ten młody umysł zamiłowanie nauk i szlachetną emulację. Czem on będzie na świecie, wasze to dzieło, i za trudy około niego podjęte nagroda, moja ku wam wdzięczność i do grobu serca mego nie odstąpi. Ale mój synu! ukończywszy zawód naukowy, wychodzisz w świat, wręczyłem ci w tym względzie moje uwagi, tu ci jeszcze kilka jedynie słów powiem. Wielkie zaciągnąłeś obowiązki względem tej szkoły! obywatele trzech gubernji raczyli przyznać, że swojemu celowi odpowiada i że mojem jest dziełem. Policzyli mi ją za zasługę i tę zasługę uwieńczyć raczyli. Wszystko to winienem światłu i gorliwości szanownych tych nauczycieli i przełożonych. Ja jedną nogą nad grobem już stoję, może głos mój już po raz ostatni w tych się murach rozlega! na tobie synu cała moja nadzieja! ty się przejmiesz mojemi uczuciami, ty z mojej wdzięczności masz się wypłacić tej szkole, tym czcigodnym współziomkom, tej ziemi rodzinnej, która cię wydała i wykarmiła. Twojej i mojej wdzięczności dowiedziesz, jeśli w całem twem życiu postępując drogą wiary i prawości staniesz się godnym szacunku tych życzliwych mi współobywateli, godnym opieki twego monarchy, god-

nym imienia ucznia gimnazjum Wołyńskiego, imienia Polaka! Na znak, że mi to przyrzekasz podaj mi dłoń twoją! A ująwszy syna pod ramię a drugą ręką medal, „pójdź!“ rzeknie, synu kochany! nikt godniej nie zdoła ozdobić się tym znakiem zaszczytnym, jak ta, która z mlekiem swojem przelała w twe serce uczucia miłości Boga, miłości honoru i miłości ojczyzny!“ Nie mógł już więcej mówić, łzy głos stłumiły. Oddał żonie medal, a Józef przed matką ugiął kolano; drżącą ręką starościna przypięła medal synowi, pochyliła się nad głową jego i gdy chciała do niego przemówić, płacz głośny wydarł się z piersi szczęśliwej matki, objęła piękną głowę młodzieńca, przycisnęła do serca i łzy czcigodnych rodziców zmięszały się ze łzami godnego ich syna, a te łzy były łzami radości, niememi tłumaczami rodzicielskiego błogosławieństwa.

Gdy starościna przypięła synowi medal i ojciec wręczył mu atestat szkolny, przykląkł młody Czacki przed spłakanym pasterzem, który go ojcowskiem sercem na dalszą kolej życia pobłogosławił. Tym czasem p. Szwejkowska szepnęła starościnie „co? pani płaczesz? Wszakże to komedja!“ „Vous êtes méchante et vindicative“ odrzekła z miłym uśmiechem starościna. Zakończył całą tę uroczystość ks. biskup hymnem ś. Augustyna i powszechnem pasterskiem błogosławieństwem. Obchód to był ostatni pod okiem Czackiego i podobnego mu odtąd już nie było. Wakacje rozproszyły uczniów i nauczycieli, tamci do domów własnych lub rodzin, do własnych kątów się udali, nauczyciele znaleźli przytułek pod gościnną strzechą naszego czcigodnego obywatelstwa.

ROZDZIAŁ VI.

Ale wielu i z obywateli Wołyńskich nie dosiadywali po swoich domach. Nienawiść ogólna dla mieszkańców tych prowincji gubernatora Komburleya i prześladowanie, jakiego doznawali, zmusiły biednych tułać się po Po-

dolu lub w Kijowskiem, lub w należącej podówczas jeszcze do państwa rosyjskiego Tarnopolszczyźnie szukać schronienia. Na Podolu gubernator Saint-Priest, energiczny w swojem urzędowaniu, ale sprawiedliwy i pełen delikatności w obchodzeniu się z obywatelstwem, to też wielu Wołynianów pod jego udali się protekcję. Senator Tels rządził w Tarnopolskim obwodzie, rządził z większą, niż gubernator władzą, z odnoszeniem się bezpośredniem do samego cesarza. Tu więc jeszcze więcej obywateli bawiło, bo obchodzenie się senatora, przy całej powadze urzędu, było ojcowskie, tak dla mieszkańców obwodu, jak i dla szukających w nim czasowego przytułku.

Nad samą granicą od Tarnopolszczyzny w Tarnorudzie, mieszkali pp. Ksawerostwo Malczewscy. W roku 1811 zamieszkali w Krzemieńcu dla edukacji syna i córki. Dom ich słynął uprzejmą gościnnością. O! bo to były serca wylane dla drugich z zapomnieniem nawet samych siebie! To też w 1812 roku dom ich stał się miłem schronieniem dla tułających się Wołynianów, a miasteczko, Zbruczem tylko oddzielone od Tarnopolszczyzny, używało swobody i zupełnej spokojności. Młodzi Czaccy, szef Drzewiecki, hr. Wacław Rzewuski, prof. Łuczyński, ciągle prawie tam mieszkali, i ktokolwiek z Wołynia przybywał, w Tarnorudzie, jakby we własnym domu przyjęcie znajdował.

Tymczasem wojna rozpoczęta, a jak zwyczajnie w czasie wojny, rozmaite o powodzeniu wojsk obu latały wieści. Wołyń aż po rzekę Styr zajęły wojska austrjackie i saskie, pod naczelnictwem księcia Schwarzenberga, ale ci sprzymierzeńcy cesarza Francuzów byli bardzo neutralni w działaniach wojennych, a za to czynnie się uwijali około spichrzów i piwnic obywatelskich, nie przepuszczając w domach samych kosztowniejszym sprzętom. Spłoszeni takim najazdem, szlachta, kryli się w sąsiedniej Galicji, a powiaty Kowelski i Włodzimierski i część Łuckiego, nie ujrzawszy ani jednej potyczki, nie usłyszawszy nawet ani jednego wystrzału, obraz wojen-

nego spustoszenia przedstawiały. Protektor Wołynia, ks. Bagration, pociągnął na Litwę, miejsce jego zajął Tormasow, ale obcy dla Wołynia, niechętny może, nikogo protekcją swoją nie osłaniał. Na rękę to było Komburleyowi, bo już mu nikt nie był na zawadzie, nikt nie sprzeciwiał się prześladowaniu, jakiem biednych Wołynian uciskał. Wtedy to i Czacki przeniósł się na Podole, a nawiedzając znajome domy, najwięcej u starościny Krasińskiej, siostry rodzonej, w Dunajowcach przesiadywał. Ale zacięta nieprzyjaźń Komburleya i tam go dosięgnąć potrafiła. Nie mógł Komburley strawić Czackiemu tego, że wyszedł czystym i tryumfującym z brudnej sprawy, jaką mu byli nieprzyjaciele przed dwoma laty zgotowali. Odniósł się więc do gubernatora podolskiego, robiąc mu uwagę, że wielu podejrzanych Wołynianów w tym czasie na Podolu zamieszkało. Niezbyt podejrzliwy Saint-Priest zalecił jednak zwracać uwagę na przychodniów, a że i Czacki był z tej liczby, i na niego dostrzegaczów nastawił. Dowiedziawszy się o tem pani Krasińska ze łzami prosiła brata, ażeby dom jej, jako nader blizki Kamieńca, opuścił. Wyjechał Czacki z Dunajowiec w zamiarze udania się do Tarnopola.

Senator Tels wysoko cenił Czackiego, poznał go przed kilku laty w Petersburgu, znał jego charakter i prawość jego zamiarów. Pośpieszał Czacki do Tarnopola, ale po drodze wstąpił do Malczewskich, z którymi go dawna i ścisła przyjaźń łączyła. Wszyscy mieszkańcy uradowali się z przybycia Czackiego. Malczewscy z rozrzewniającą uprzejmością przyjęli zacnego tułacza, a gdy im oświadczył, że i u siostry bezpiecznego nie miał przytułku, rzucili się do nóg jego, błagając, aby pod ich przyjazną strzechą spokojnie przemieszkiwał. Czacki pozostał w Tarnorudzie i trzy miesiące ciągle tam bawiąc, wyjeżdżał czasem do Tarnopola, czasem pokryjomu przez Tarnopolszczyznę robił wycieczki do Krzemieńca, lub do Teofilpola do wielce mu życzliwej księżnej Sapieżyny, to znowu z szefem Drzewieckim do jego majętności Juskowiec, gdzie

i uwiadomiona od szefa starościna z młodszemi dziećmi przyjeżdżała.

Liczne było towarzystwo tarnorudzkie, bawili się, ale młodym Czacki próżnować nie dał. Syn jego Józef, dwaj synowcowie Feliks i Aleksander, dwuch młodych Malczewskich, Pius i Konstanty, brat autora Marji, Witwicki Mikołaj i ja, codziennie od dziesiątej do pierwszej pracowaliśmy w jego kancelarji i wtedy to z podziwieniem mojem słyszałem, jak razem pięciu dyktował, każdemu w innej materji. Pierwszego dnia pismo moje zrobiło banalukę, z której i my wszyscy i nasz nieoceniony naczelnik dowoliśmy się naśmieli. Czy i drudzy takim omyłkom podpadli, nie wiem, i za skrupuł sobie miałem pisma ich przeglądać, to mię tylko cieszyło, że choć chaos był w mojem piśmie, gramatyką jednak i pisownią celowałem. Od obiadu każdy był wolny zająć się, czem mu się podoba, ja wtedy z Piusem, Anusią i siostrzenicą p. Malczewskiej Leosią Chrząszczewską mieliśmy lekcje rysunku. O piątej zbieraliśmy się wszyscy na pokoje, gdzie cały wieczór młodzi bawili się i Czacki te zabawy podzielał i we wszystkie gry, nawet ciuciu-babkę z nami grywał. żadna gra w karty nie bawiła Czackiego i kart nie lubił, ale w szachy grywał z gustem i grał mocno. Ile razy bywało zasiądzie do partji z prof. Łuczyńskim, my otaczamy stolik i z najmocniejszem zajęciem przypatrujemy się utarczce dwuch mistrzów i wyobrażaliśmy sobie obraz toczącej się na północy wojny dwuch wielkich na scenie świata antagonistów. Czacki polubił bardzo hr. Wacława Rzewuskiego, i ten młody, bogaty pan, przejął się wkrótce duchem poświęcenia się usłudze kraju, duchem Czackiego. Prześliczne były ich projekty względem ulepszenia i podniesienia gimnazjum, które szczodrobliwość hrabiego wspierać i do skutku doprowadzić miała, wzdychano tylko do Boga o pokój.

Tymczasem rzeczy polityczne olbrzymim postępowały krokiem. Wojska Napoleona, jak na wiatrach przeleciały przestrzeń od Niemna do Smoleńska, gdzienie-

gdzie ślady swoje oznaczając spustoszeniem. Ale pod Smoleńskiem dopiero nastąpił pamiętny przelew krwi tylu narodów! I nasi rodacy walczyli, a walczyli w obydwuch wojskach, brat przeciw bratu! syn przeciwko ojcu!! Nikt bowiem natenczas powiedzieć nie umiał, czyja sprawa dobra, czyje cele prawe! Bitwa możajska jeszcze więcej ośmieliła Napoleona, niebaczny! nie pomiarkował, że gdzie majątki i życie niosą w ofierze, gdzie prawdziwy święty patrjotyzm sercami władnie, tam ofiara murów odwiecznej stolicy, jakkolwiek trudna i ciężka, spełnić się musiała. Zaufany w powodzeniu swych orłów, lotem sokoła pędził do odwiecznego carów grodu, ani rady osiwiałych w boju wodzów, ani błagania żołnierstwa nie mogły odwieść go od zamiaru, którego skutek zniweczył wawrzyny tylu zwycięstw, zaćmił blask, jakim sława jego jaśniała. Skoro się wieść rozeszła, że wojska sprzymierzone ku Moskwie pociągnęły, oziębił się duch życzliwości dla Napoleona.

Ale orły Napoleońskie trafiły na gniazdo rosyjskiego orła, dał on swe gniazdo zburzyć, ale i pomścił ucisk swych piskląt. Od batalji możajskiej otwierały się oczy na zamiary wielkiego zdobywcy.

Właśnie w tym czasie wrócił do Tarnorudy Czacki po kilkodniowej wycieczce i w pełnych uczucia wyrazach opowiadał, jak dwieście lat temu w tej samej porze, królewicz Władysław dobył Smoleńska, ale upór Zygmunta trzeciego pozbawił Polskę korzyści, jakie wypadkiem tego zwycięstwa być miały. Smutna ta przeszłość, smutne na nas wrażenie zrobiła! We dwa dni po przyjeździe Czackiego wypadały jego imieniny, ale na ten raz w Tarnorudzie prawie pusto było. Syn starosty, synowcowie, szef Drzewiecki u hr. Wacława w Łanowcach, majętności jego blizko Zaleszczyk [1]), miło czas przepędzali. Czacki rad był, że się towarzystwo domowe umniejszyło, bo swobodniejszym był w swoich zatrudnieniach i w

[1]) M. powiatowe w Galicji.

otwartości swojej. 28 października p. Malczewski z synem i synowcem, profesor Łuczyński, Witwicki i ja w mundurach o godzinie dziesiątej złożyliśmy nasze powinszowania. Damy czekały go w salonie i tam go pozdrowiły swemi życzeniami, a obcego nikogo nie było. Przed samym obiadem dopiero przyjechali hr. Wacław z Czackimi, szef Drzewiecki, podkomorzy Zaleski, generał Zgliczyński, major Cieszkowski i chorąży p-tu Bratkowski, wszyscy dobrze znani i życzliwi staroście. Na wybornym obiedzie pięknym węgrzynem spełniono zdrowie ukochanego solenizanta, bo p. Malczewski rzadkiego szacunku piwnicę po ojcu swoim posiadał i co było z najwytworniejszych win podawał dla okazania, jak mu miło ugaszczać w domu swoim tak dostojnego gościa. Po obiedzie Czacki wrócił do swojej pracy, obiecując, że wróci na piątą dotrzymać w zabawach ślicznej Anusi, córce gospodarstwa. Przez tę parę godzin odświeżono salę, damy zmieniły ubrania i śliczna 12-letnia Anusia, jak świeżo rozwita róża zajaśniała. Podając Czackiemu z miłym uśmiechem rączkę, rzeknie: „pan starosta będzie łaskaw przejdzie z nami na salę, tam i herbatę pić i w gry bawić się będziemy". „Najchętniej moja ty droga malutka gosposiu! idziemy!" Otworzyły się podwoje rzęsisto oświetlonej sali, Anusia puściła rękę Czackiego i w jednej chwili ujrzał się otoczonym obywatelkami, które obsypały go wieńcami dębowemi, a Anusia, Leosia Chrząszczewska i metr muzyki Baszmaków, stosownym do obecnej okoliczności wierszem podłożonym pod muzykę O! dolci cari istanti, o giorno di contento, nie pomnę jakiego artysty, Czackiego powitali. Nie do opowiedzenia było rozrzewnienie starosty, dziękował uściśnieniem tylko, bo jakkolwiek wymowne zawsze usta, na ten raz na oddanie uczuć obecnych serca, słów nie znalazły. Całe to przyjęcie było moim pomysłem i wiersze były moje, ale czas zatarł je w pamięci. P. Malczewska wyjawiła staroście, czyj był pomysł, odebrałem zato ojcowskie uściśnienie Czackiego i przyjazne uczucia hra-

biego Wacława, któremi mię zawsze łaskawie zaszczycał.

To były ostatnie oznaki czci i wdzięczności współziomków za życia Czackiego. Któżby był wtenczas powiedział, że już niedługo oblicze jego jaśnieć nam będzie, że rok 1812 jest rokiem ostatnim tego wielkiego życia! życia, nieocenionych zasług męża! Po wyjeździe starosty posmutniało w Tarnorudzie, ale do lutego w 1813 roku pocieszała nas nadzieja, że go jeszcze ujrzymy! Uderzył grom! i nie stało męża, który był uwielbieniem współrodaków, zaszczytem mędrców, wzorem obywatelów, ojcem uciśnionych i twórcą szczęścia przyszłych pokoleń! ale nikt ze zgonem jego tyle nie utracił, co gimnazjum Wołyńskie! żaden z jego następców nie był mu podobny, bo żaden jego serca nie posiadał, bo mu żaden siłą woli, działalnością umysłu, energją nie zrównał! zszedł Czacki z tego padołu płaczu i na rzewniejszy jeszcze płacz nas sieroty zostawił! Prawie pół wieku od jego zgonu upłynęło, a nam, którzyśmy byli świadkami jego poświęcenia, jego cnót wzniosłych, ta strata jest jakby wczorajsza! Opuściłeś nas nieutulonych w żalu, duch twój tylko ulatując ponad Krzemieńcem czuwał nad nami!

ROZDZIAŁ VII.

Trzymiesięczny pobyt Czackiego w domu pp. Malczewskich, dał nam sposobność poznania w życiu prywatnem tego czcigodnego współrodaka. Czacki w Tarnorudzie nie był kuratorem, ani urzędnikiem, był to sobie obywatel, bawiący w domu przyjaciół, z całą swobodą uczuć i sposobu myślenia, z całą narodową otwartością. Czacki z Tarnorudy znosił się z ministrem narodowego oświecenia względem utworzonej przez siebie szkoły, załatwiał zawiłości spraw komisji fund. edukac., zbierał bogactwa dla gimnazjum, oswajał nas z faktami dziejów naszych, nietkniętemi jeszcze przez naszych historyków,

i często, w mniej uczonej rozmowie, opowiadał czasy ostatniego panowania. Z wielu anegdot dworu polskiego dał nam wyobrażenie o królu Stanisławie, oddając sprawiedliwość wielkim zaletom tego monarchy i nie ukrywając mniej świetnej strony jego charakteru. Pozwalał czynić sobie zapytania i z całą dobrocią i szczerością odpowiadał na nie, i tak nas ośmielił, że pewnego razu odważyłem się zapytać go o pobyt pani Urbanowskiej w Warszawie. „Alboż znasz tę damę?“ — zapytał mię. „Bardzo dobrze“ — odpowiedziałem. „I wiesz jej historję?“ „O tyle, ile z opowiadań tej damy, p. Płotnickiego i p. Koniuszewskiego dowiedzieć się mogłem“. „Więc opowiedz nam!“ Nie mała to była rzecz stanąć z opowiadaniem przed osobą, działającą w opowiadanej historji, starałem się więć unikać rozwlekłości i, jak mogłem, pokrótce wymieniałem fakta. Gdy przyszło do tego miejsca, gdzie p. Urbanowska rozmawiała sam na sam z królem, „o! romansowe tête à tête!“ ozwie się p. Malczewski. „Mylisz się“—rzekł Czacki, nie, to tête à tête było zupełnie sentymentalne; nie zaprzeczam temu, że król zachwycony był pięknością wdowy, nawet mi to powiedział. Ale Stanisław nie samego materjalnego zadowolenia szukał w pięknościach, które mu w oko wpadły. Gdyby p. Urbanowska do swoich wdzięków mogła była mieć wyższe ukształcenie, znajomość wielkiego świata stolicy i ten pewny takt w mowie i postępowaniu, jaki rozwija staranne wychowanie wyższego towarzystwa, zdołałaby była opanować panującego. P. Grabowska, ani mogła wyrównać pięknością p. Urbanowskiej, a przecież widzieliśmy króla, że jej i serce swoje, i swobodę i los całego kraju poświęcił. P. Grabowskę zastraszył nieco odgłos pochwał piękności polskiej wdowy. Na pokojach królewskich zbliżyła się do niej, mówiła z nią z godzinę i już jej za rywalkę nie miała. Ściślejszych stosunków p. Urbanowskiej z królem nie dostrzegłem, chociaż podejrzewając takowe i znając zalotność króla, czuwałem nad moją klientką, i zdaje mi się, że jej nic do zarzucenia nie miałem. Ale

kończ dalej" — rzekł do mnie — „więc wyszła za Płotnickiego?" Opowiadałem resztę historji p. Płotnickiej, wiele szczegółów pomijając, p. Czacki słuchał mię z uwagą i gdy skończyłem, zrobił mi jeszcze kilka zapytań, z których się pokazało, że okoliczności późniejsze zaszłe w domu Urbanowskich i p. Czackiemu równie dobrze, jak i mnie znajome były, rozmowa więc nasza dla reszty słuchających stała się niezrozumiałą. „Otóż to są skutki domowego wychowania młodych!" — zawołał p. Czacki. „Gdyby Teodor uczył się był w publicznych szkołach, gdyby przewodnikami jego byli światli rodacy, na których już nam nie zbywało, i o co nieraz p. Krzysztofowi głowę naklektałem, Teodor nie byłby nachwytał mniemań nie naszych, nie uganiałby się za miłostkami i w wymarzonej swojej doskonałości znalazłby był dziury, potrzebujące załatania. Teodor, z najlepszem sercem, ze zdolnościami umysłowemi, z niezłem nawet naukowem usposobieniem, ale bez hartu duszy, wpadł w ręce interesownych i w 25-leciech przesycony życiem, utracił piękny majątek, położenie obywatelskie i życie moralne. Takie to nieszczęśliwe przykłady jeszcze więcej umacniają przedsięwzięcie moje upowszechnienia wychowania publicznego. Otworzyłem w czasie kontraktów gimnazjum Kijowskie, skoro się rzeczy polityczne uspokoją, otworzę Podolskie w Winnicy, szkołę Pijarską w Międzyrzeczu i Bazyljańską w Humaniu podniosę do stopnia gimnazjum. Takich wyższych zaprowadzeń naukowych nigdy nadto być nie może. Czuję to, ale więcej nad możność moją zrobić nie potrafię!"

Ta rozmowa toczyła się wobec hr. Wacława Rzewuskiego [1]), który przejęty duchem Czackiego, podzielał

[1]) Wacław Rzewuski (1785—1831), syn Seweryna, hetmana pol. koron. Służył w wojsku austrjackim. Trzy lata spędził na Wschodzie w Arabji, Persji, Egipcie (1817—1820). Chętnie nosił miano emira Tadż-el-Fahera. Po powrocie ze wschodu, mieszkał w Krzemieńcu, gdzie młodzież skupiał koło siebie. Słynął jako jeździec awanturniczy. Z Krzemieńca prze-

jego zdania, pragnął działać w sprawie oświecenia i z pomocą swoją szczerze się nastręczał. Nigdy nie zapomnę tego wieczora! Wojna wrzała w całej swojej sile i posuwała się ku Dnieprowi. Dwadzieścia narodów walczyło, los na żadną nie przychylał się stronę. Rozmaite latały wieści, rozmaicie przyjmowano je i tłumaczono. W pokoju Czackiego nikt o wojnie toczącej się ani wspominał. Czacki, Rzewuski, prof. Łuczyński ex-Jezuita, niegdyś nauczyciel szkoły Krzemienieckiej, Stanisław Andrzejowski i ostatni z Jezuitów profesor, wiekowy i ociemniały ks. Krzesz, składali towarzystwo rozprawiających o święceniu; nas kilku młodych otaczaliśmy to czcigodne grono rezonowania. Ks. Krzesz, mimo lat ośmdziesięciu i ślepotę, zachował żywą pamięć, dziwną przytomność umysłu i zdrowe sądzenie o rzeczach. Nie dziwił go postęp naukowy, ani przesądnie do dawnego sposobu uczenia był przywiązany. Wysoko cenił Czackiego i z pociechą serca słuchał zamiarów jego względem odmian, jakie Czacki chciał zaprowadzić w urządzeniu szkół w tych prowincjach. Całą tę scenę rozprawiania, o ile pamięć moja zasięgnąć zdoła, powtórzę. „Śniadecki za złe mi poczytuje rozporządzenie nauk w gimnazjum Wołyńskiem“ — mówił Czacki — „oddaję się pod sąd twój szanowny ojcze Krzeszu! Usilnem staraniem mojem jest, o ile można, zastosować nauki do życia praktycznego. Wiem i czuję to, że jeszcze niedość ułatwione jest nabycie onych, i nad tem pracuję, ażeby każdy uczący się w gimnazjum Woł., ukończywszy nauki, zastosować je mógł do stanowiska, jakie nadal w społeczeństwie zajmować będzie. Wiele zrobiła Komisja Edukacyjna za pa-

---

niósł się do Sawrania. Wziął udział w r. 1831. Pod Daszowem zginął bez wieści. Należał charakterem i temperamentem do liczby słynnych awanturników. Szczegóły: Dr. Antoni I. (Rolle) Opowiadania, serja IV; Wielka rodzina w wielkim narodzie (autorka hr. Adamowa Rzewuska). W bibl. w Rapperswillu papiery familijne matki Wacława Rzewuskiego.

nowania ostatniego króla, idziemy po śladach tych znakomitych mężów, ale nam wolno zrobić odmiany, jakich czas, okoliczności i położenie obecne wymagają. Poszczycimy się przed światem, jeśli Opatrzność pozwoli nam poszczycić się wyprowadzeniem uczonych, którzyby sławą swoją na świecie słynęli. Ale nie wszyscy jednakowemi obdarzeni zdolnościami, ani wszystkich jednakowe społeczne stanowisko. Są talenta, mogą się i genjusze odkrywać, ale nasz kraj więcej potrzebuje. Kraina nasza, rozciągająca się szeroko na żyznej ziemi, jest krainą rolniczą, jest szpichlerzem Europy. Na to więc uwagę zwrócić należy. Dotąd ze szkół naszych wyższych wychodzą medycy, prawnicy, nauczyciele i duchowni. Wielka i tu jest zasługa. Ale któż się ćwiczy w naukach? Szlachta i gdzieniegdzie miast mieszkańce! Najszacowniejsza część ludności naszej, włościanie, rolnicy, nie uczestniczą w tych dobrodziejstwach nauki. Ustawa 3 maja chciała mieć wolną tę klasę narodu i niezawodnie przyjdzie kiedyś do tego, że i tej klasie podwoje świątyni oświecenia otwarte będą. Są już szkółki parafjalne, minister Zawadowski z ojcowskiem uczuciem polecał staraniom moim pieczę o tych szkołach. To jest cel myśli moich, to najgorętsze życzenie mojego serca. To, co dzisiaj w nich uczą, jest za mało i mało praktyczne. Mojem zdaniem, w szkołach parafjalnych, dzieci powinny się uczyć czytać i pisać po polsku i po rusku; prawideł wiary świętej stosownie do wyznania; czterech działań arytmetyki jak najbieglej, z obeznaniem się dokładnem z miarami i wagami krajowemi i sąsiednich narodów. Powinni obeznawać się zawczasu z narzędziami rolniczemi i rzemieślniczemi i ich użycia nabywać praktycznie. Potrzeba im dać wyobrażenie gatunków ziemi i objaśnić najłatwiejszym do pojęcia ich sposobem teorję nawozów; możeby korzystnie było dać im ogólne początki geografji, jakiekolwiek pojęcie technologji, a nadewszystko uczyć rysunku, ale nie tak, jak mój poczciwy Pitchman w Krzemieńcu uczy, gdzie biedny malec, gryzmoląc rok cały

nieszczęśliwe oczy lub nosy, w końcu najmniejszego pojęcia rysunku niema. Dzieciom szkółki parafjalnej nauczyciel niech daje rysować narzędzia rolnicze i rzemieślnicze, początkowo z rysunku, później z natury, tłumacząc im rozbiorowo skład każdego narzędzia. Takie praktyczne uczenie, nietylko że włościan oświeci, ale i z ubogiej szlachty utworzy nam ludzi zdatnych na ekonomów i innych potrzebnych oficjalistów. Ciąg tych nauk najmniej czteroletni byćby powinien. Po ukończeniu nauk, włościanin innem okiem poglądać będzie na tę ziemię, która i jego rodzinę żywić będzie. Wrodzona człowiekowi ciekawość każe mu doświadczeniem sprawdzać to, czego się uczył, a nawykły do zatrudnienia w szkole, imać się będzie do pracy i drogiego czasu trwonić nie będzie w próżniactwie i w karczmie przy kuflu".

„Piękne są i nader chwalebne zamiary p. Starosty — zabrał głos ks. Krzesz — i mimo całe uprzedzenie dla naszego dawnego sposobu uczenia, twoim pomysłom wyższość przyznaję. Zarzucają nam Jezuitom naszą metodę uczenia, może i słusznie, ale ówczesne okoliczności i usposobienia zdawały się wskazywać same, że tak tylko można było uczyć. Czy pan myślisz, żeśmy tego niedostatku nie widzieli? Owszem, czuliśmy go i nieraz przemyśliwaliśmy o poprawach, jakie zrobić należało, ale w zgromadzeniu naszem nie samych mieliśmy rodaków, a nad polskimi Jezyitami cudzoziemcy wyższą władzę posiadali. Cóż więcej mogę powiedzieć?.. O! pierwsze zasady przez ś. Ignacego rzucone były, jak on święte, i bodajbyśmy się byli tych tylko trzymali! Ale wzrastające dostatki i wziętość olśniły nas, wzrośliśmy w potęgę, a zasady Lojoli ledwie wśród niższej braci istotnie się zachowały!" Tu starzec zamilkł, opuścił głowę, a po chwili ciężko westchnąwszy, tak dalej mówił: „Odpuść nam nasze winy, i bądź wola Twoja! Musieliśmy zawinić, kiedy Bóg na nas upadek dopuścił. Darujcie panowie tym smutnym wyrażeniom. Nie mogę nie boleć nad skasowaniem tego wielkiego zakonu, a chociaż znam i dobrą i złą

jego stronę, jestem przecież Jezuitą! Jako Polak i jako nauczyciel, mimo zgrzybiałość moją czuję odmłodzenie serca mojego, gdzie rzecz idzie o oświecenie wnuków tego pokolenia, którego miałem szczęście być nauczycielem. Dlatego to, rozbierając słabym umysłem moim plany pana starosty szczegółowie, znalazłem je spełna odpowiadające swojemu celowi. Kurs szkółek parafjalnych na lat sześć rozłożyłbym, a przyjmując nie mniej, jak w dziesięciu latach, przy troskliwym moralności dozorze, chłopak wychodzący ze szkoły w latach szesnastu, ma dość sił fizycznych, ażeby wziąć się do pługa lub do rzemiosła. Nieźleby może było dać im jakiekolwiek szkice historji krajowej i pamięć jego ożywić jakąś poezją narodową, pieśnią nabożną i bajeczką, którejby sens moralny, łatwy, utkwił w pamięci i nieraz stanął w przygodzie. Patrzymy codziennie na naszych wieśniaków, z jaką łatwością wyuczają się śpiewek swoich nie zawsze czysto obyczajowych. Oświecenie tej klasy narodu nie będzie trudnem, bo to jest ziemia żyzna, którą tylko dobrze uprawić, a wyda plon bogaty. Ale, o ile umysł w nich świeży i do przyjęcia wszelakich wrażeń zdolny, o tyle obyczaje, mało że grube, ale że tak powiem zezwierzęcone. Dopóki ta gangrena zniszczona nie będzie, próżne starania o oświecenie umysłu, bo ten bez hamulca religji i moralności najszkodliwsze społeczeństwu wyda owoce. Mnieby się zdawało, ażeby dzieci szkół parafjalnych odłączyć było można od domowej strzechy i, zrobiwszy pewny rodzaj konwiktu, pod dobrym dozorem, czystość ich uczuć i obyczajów zachować od każenia, a nawet nieco popsutych na prostą drogę naprowadzić. Potrzebaby we wszystkiem taką między dziećmi zachować jednostajność, ażeby żaden żadnemu nie zazdrościł, a mając każdy swoje własne odzienie, sprzęty, książki, szanując swoją i własność drugich szanowaćby umiał, a tym sposobem uniknie się sposobności do złodziejstwa, niestety! przez ciemnotę tak u ludu naszego rozpowszechnionego. Kończę moje uwagi tem, że bez pomocy Boga nic nie mo-

żemy! Dlatego nauka wiary ś-tej, pierwsza przed wszystkiemi, najstaranniej i najdokładniej wykładaną być powinna. Niech Bóg uchowa! ażeby pleban, czy też paroch, dawszy malcowi drukowany katechizm w ręce, naznaczył mu—stąd dotąd, na tej lub owej karcie, jak to zwykle ma miejsce; niech nie wdając się w żadne teologiczne tłumaczenia, ani w retoryczne ozdoby, opowie po prostu każdy artykuł i o ile można przykładem z historji świętej objaśni. Dozorca szkółki powinien dnia każdego dopilnować, aby dzieci skromnie i pobożnie ranne i wieczorne modlitwy odmawiały i przynajmniej 2 razy w rok spowiadały się z należytem przygotowaniem, a spowiednik powinien być dla nich ojcem upominającym i karzącym za przestępstwa, niosącym pociechę i dodającym męstwa na drodze poprawy.

Tak nauki, idące w pomoc religji i na niej oparte, utworzą lud nowy, miły panu, użyteczny ludzkości i niosący zaszczyt temu, co gorliwością swoją, co ciepłem cnót swoich obywatelskich roztlił jasną zorzę nad ciemnotą najbiedniejszej, a może najszacowniejszej kasty ludu naszego. Tyś się, mości starosto, poświęcił jego dobru, nie ostygaj w zapale, trudnościami się nie zrażaj, działaj gorliwie w tak świętej sprawie, a Bóg ci pobłogosławi i pomyślnym skutkiem trudy uwieńczy, a mnie dozwól, abym, jako współrodak winne oddał ci dzięki, a jako kapłan na czole twojem złożył błogosławieństwo". To rzekłszy, starzec powstał; wszyscyśmy powstali, Czacki podszedł ku niemu, uściskał Czackiego kapłan, a gdy podniósł rękę, aby mu błogosławić, Czacki przyklękł przed nim i my wszyscy jednomyślnie padliśmy na kolana, bo było coś tak uroczystego, tak religijnego w obliczu i postaci szanownego starca, że te ostatki ziemskości, które wiekiem, trudami i troskami sterane ciało przedstawiało, zdawały się relikwjami świętemi pierwszych bohaterów wiary Chrystusowej, i najgłębszem uszanowaniem przejmowały.

Nowemi były dla hr. Wacława i okoliczności i roz-

prawy, których słuchał, ale uczucia obywatelskie nie były mu nowemi. Hrabia znał i ocenić umiał, co jest piękne i wielkie, i pojmował dzielne pomysły Czackiego. „Pozwól mi ojcze szanowny, mówił, pozwól mości starosto, pozwólcie podnieść i mój głos nieudolny. Pojmuję wysokość waszych planów, czuję korzyści, jakie z nich na kraj spłyną. Nie zdolny nic dodać do mądrych waszych pomysłów, proszę, byście przyjąć raczyli moją materjalną pomoc. Niech pierwsze szkółki takowe staną w moich majętnościach w kluczu Starokonstantynowskim i w Sawrańskim, a sumy, jakich wymagać będą fundusze na takowe instytucje, z intrat tychże samych kluczów przeznaczam i wypłacanie onych jak najakuratniejsze zaręczam, a przyprowadzenie do skutku szkółek przyjmuję na siebie, szczęśliwy, że spełniając wasze zamiary i sam być wam pomocą jakąś potrafię. Jedno tylko ośmielam się wnieść, ażeby tak, jak szanowny ks. profesor powiedział, uczniowie tych szkółek składali jeden konwikt, ażeby o ile możności od zepsucia domowego dalecy byli. W majętności mojej Sawrańszczyźnie jest sekta Mołokanów, w dogmatach religijnych nie różniąca się od innych włościan, ale w dogmatach obyczajowych bardzo różna. Nie jedzą oni żadnego mięsa i wódki nawet na żadnej uroczystości nie piją, są to jednak ludzie dorodni, piękni, silni i dziwnie rozwiniętych władz umysłowych i otwartego charakteru naiwnej prostoty. W pośród nich pierwszą szkółkę otworzę i pewny jestem, że ich przykład i drudzy naśladować będą. A tak zbawienne wasze zamiary wkrótce po całem się Poberežu rozciągną". Uściskał Czacki młodego hrabiego, ksiądz Krzesz wyciągnął ku niemu rękę i, gdy hrabia podaną sobie dłoń ucałował, szanowny kapłan na czole jego ojcowskie złożył pocałowanie.

Czacki nie był zarozumiałym, a duma jego wtedy się dopiero okazywała, kiedy kto szlachetne zamiary jego na złe tłumaczył, a i tu jeszcze obronę swoją w jak najskromniejszych oddawał wyrazach. Z roztargnienia

swego i krótkiego wzroku sam się naśmiewał. „Wyobraźcie sobie“ — mówił nam raz — „jakiego śmiechu narobiłem z siebie. Pisałem do Kropińskiego [1]) w ważnym interesie szkół Łuckich i Włodzimierskich, dałem Józiowi list zapieczętować i natychmiast list wyprawiłem. W kilka dni Kropiński przyjeżdża i zapytuje, w jakim interesie pisałem do niego. „Ależ generale“ — zawołałem — „czyż potrzeba jaśniejszego wyłuszczenia rzeczy, jak w moim liście?“ Za całą odpowiedź Kropiński oddaje mi moje pismo, niecierpliwie otwieram, i cóż? na dużej ćwiartce klin obrócony do dołu pisma mego własnoręcznego, z którego istotnie nic zrozumieć nie można. Posłałem po Józia: „czytałeś pieczętując mój list do Kropińskiego?“ Nie, papo! ale wiem o co idzie“, to mówiąc wyjął z szufladki złożony wielki półarkusz, na którym był odwrotny klin mojego pisma. Ani dostrzegłem nawet, jak na dwuch osobnych papierach spisałem moje myśli. Kropiński naśmiał się ze mnie, wyciął mi nawet epigramacik, ale interes był spełniony podług mego życzenia. Dobrze mówi stare przysłowie nasze: „mądrej głowie dość dwie słowie“.

---

[1]) Ludwik Kropiński, jenerał (1767—1844), człowiek światły, ale poeta sentymentalno-ckliwy i prozaik w tym samym duchu. Korespondował z Zorjanem Chodakowskim (Zor. Chodakowski, jego życie i praca. Lwów 1893). Napisał romans sentymentalny, czytany w owe czasy, Julja i Adolf. Z poezji jego żartowano. Czworowiersz:

Jakże podobny Eminie
Ten mały strumyk co płynie!
Obraz to jej rzeczywisty„
Bo i spokojny i czysty —

przerobiono w tym samym stylu:

Jakże podobny do Chloi
Ten mały pieniek co stoi!
Jest to jej obraz prawdziwy,
Bo i pękaty i krzywy.

(Wspomnienia Fr. Kowalskiego. Kijów 1859. t. II. 143).

Raz przyjechał do niego rektor szkół Bazyljańskich z Baru, niewysoko uczony, ale prawy człowiek i wesołego humoru. Czacki znał go jeszcze młodym nauczycielem we Włodzimierzu, lubił go i protegował. Po dwugodzinnem zdaniu sprawy ze swego urzędu, wesoły Bazyljanin i dowcipny mnóstwem przyjemnych dykterjek zabawiał towarzystwo. „Czy jw. pan starosta przypomina sobie nasz obchód pogrzebowy w Zahorowie, po zejściu ś. p. jw. podczaszego kor. ojca pańskiego?“ „Coś przypominam sobie, ale opowiedz nam ze szczegółami“. „Potrzeba wiedzieć, że ś. p. podczaszy kor. Czacki stał u nas w rejestrze najważniejszych naszych fundatorów, bo znakomitemi sumy uposażył nasz klasztor w Zahorowie, należącem do obszernych jego majętności. Wdzięczni Bazyljanie starali się jak najokazalej wystąpić z obchodem, jakoż cały kościół obleczony był czarnym kirem, w środku wznosił się wspaniały katafalk, mnóstwem jarzących świec jaśniejący, wokoło stały kolumny z herbami, spokrewnionych z Czackimi domów, Sanguszków, Czartoryskich, Lubomirskich, Potockich, Małachowskich, Tarnowskich, ze stosownemi pod każdym wierszami. W pośrodku na wyższej kolumnie był herb Czackich“. „Jakiż pod naszą świńską głową był napis?“ — zapytał śmiejąc się Czacki. „O! kiedy tak mię jw. starosta zapytuje, to nie pamiętam“. „No! no! pamiętasz, nie żenuj się, mów, wszak to nie twoje były wiersze“. „Gdzież mnie klerykowi dostałby się taki honor? Ksiądz retoryk Skrzetuski był naszym poetą i poczciwi ks. Bazyljanie podziwiali jego wielkie capacitates: były więc wiersze:

Czem są Czaccy w narodzie, herb poświadczy ryty,
Mają głowę sposobną na wszelkie zaszczyty.

Śmiał się Czacki do rozpuku, uściskał Bazyljana i my wszyscy podzielaliśmy wesołość p. starosty. Nie obrażał się żadnym przeciw niemu żartem, ale jeśli ostry jaki przycinek wymierzony był na które z dzieci jego, mocno to uczuwał. Raz u stołu wszczęła się rozmowa o

łysych głowach, a cytując znakomitych w starożytności i w obecnych czasach mężów, zakonkludowano, że łysina jest mądrych głów oznaką. Józef Czacki z całą naiwnością młodego wieku, pokazując rzedniejące nad czołem swoim włosy: „Papo!“ rzeknie: „i ja już łysieję“. Jeden z obecnych, dobrze od Czackiego uważany i w to ufny, odezwał się: „O! toż to wmpan będziesz ludzi oszukiwać“. Zapłonił się Józef, pp. Malczewskim przykry był ten niewczesny wyskok ich rezydenta, a starosta długo ten przycinek pamiętał.

Mimo piękny majątek, interesa Czackiego w złym były stanie. Sumy zapisane na gimnazjum, a nie wypłacone, swojemi dochodami zastępował, a znakomite kupna zasobów dla tej szkoły opłacając, długi na swoją fortunę zaciągnął. Liczono starostę do najzamożniejszych panów Wołyńskich, ale w szkatule jego rzadko kiedy 100 dukatów znaleźć się mogło, a jeśli się znalazły, to pewnie przeszły w ręce potrzebujących wsparcia. Zdarzyło się, że do Tarnorudy przyjechała z Włodzimierskiego szlachcianka, której niewielką wioskę i dom w niej przechód wojsk saskich zrabował. Kto czem mógł opatrzył biedną wdowę, Czackiego zastała bez zapasu. Ale nie zmieszany swoim niedostatkiem, zdjął z palca sygnet, w którym piękny ametyst z herbem jego błyszczał i oddał go wdowie. Sygnet ceniony był 50 dukatów. Ale przyjaciele nie dopuścili, aby klejnot kosztowny szedł w poniewierkę, wykupili go od wdowy i Anusia Malczewska zręcznie wsunęła mu go na palec. Roztargnienie Czackiego nie dozwoliło mu postrzedz miłego figielka i dopiero nazajutrz zdziwił się, widząc na palcu swój sygnet. Przyjaciele starali się wmówić, że wdowa daru tak kosztownego nie przyjęła, ale Czackiego pamięci trudno było oszukać, poznał szlachetny podstęp i milczącemi łzami uczucie swoje wytłumaczył.

Czacki przez ciąg pobytu swego w Tarnorudzie, raz tylko był w Krzemieńcu i to z Żołobów, zostawiwszy tam powóz, przyszedł piechotą, ale policmajster Marków czu-

wał noc całą nad jego bezpieczeństwem i do dnia samego do Żołobów odprowadził. Reszta widywania się jego z żoną i młodszemi dziećmi, miały miejsce u księżnej Sapieżynej w Teofilpolu, albo w Juzkowicach u szefa Drzewieckiego. Zarzucano Czackiemu, że gimnazjum Wołyńskie więcej kocha, niż własne dzieci. Błędne mniemanie! Patrzaliśmy na jego tęsknotę, a przyjaźń zacnych Malczewskich postawiła nieprzerwaną komunikację przez Tarnopolszczyznę między Tarnorudą a Krzemieńcem, i Czacki co trzeci dzień miał wiadomość o żonie i dzieciach.

Najulubieńszą rozmową Czackiego były dzieje narodowe, bądź dawne, bądź nowe, których był świadkiem. O królu Stanisławie wiele opowiadał anegdot. Między innemi, smutną jednego z naszych magnatów opowiadał historję. Umieszczam ją tu nawet ze szczegółami, ale pod przybranemi nazwiskami, nie dlatego, aby miała nieść krzywdę bohaterowi powieści, bo jego charakter świetnie w niej wychodzi, ale może kto jeszcze ze współdziałających żyje i niemiłe w nimby ta powieść wspomnienie obudziła.

ROZDZIAŁ VIII.

„Znajome jest dobrze panowanie Augusta drugiego, znajomy sposób życia tego monarchy i te miłostki“ — mówił Czacki do Malczewskich. „I hrabianka Rochlitz [1]), babka p. Ksawerego, była córką tego króla i wniosła w dom Duninów ogromny posag, którego część trzecią wasza matka otrzymała. Ale nikomu nie dostał się tak wielki udział, jak hrabiemu Fryderykowi. Podskarbi kor., pan

---

[1]) Hrabina Rochlitz była żoną Piotra Dunina, starosty Zaborskiego, kasztelana Radomskiego. Związek skojarzył August II (1720). Z tego małżeństwa syn Fryderyk ożenił się z Zofją Małachowską, zeszedł bezpotomnie. Córka Antonina za Ignacym Malczewskim.

znakomitego rodu i pięknych duszy przymiotów, posiadał szacunek współziomków i łaskę obu Augustów. Ale hrabina, księżniczka rodem, wyższemi jeszcze nad ród obdarzona wdziękami i rozumem, panowała i nad mężem i nad panującym, i to była ostatnia i najsilniejsza miłość Agusta II-go. Nie chowało się potomstwo hrabiemu, jeden tylko im syn pozostał, cała nadzieja przyszłej pociechy. Młodego hrabiego król do chrztu trzymał i tak go ukochał, jak własnego syna. Fryderyk urodził się szpetnym na twarzy i ułomnym, ale co natura ujęła w urodzie, to wynagrodziła przymiotami serca i umysłu. Wychowanie Fryderyka było najstaranniejsze, kosztem chrzestnego ojca, i świetnie rozwinęło wrodzone przymioty. Podskarbi przeżył swój piękny majątek i synowi po rodzicach niewielka spuścizna została, ale szczodrobliwość chrzestnego ojca w czwórnasób wynagrodziła utratę ojcowizny. Ogromne dobra i kapitały, pyszne srebra i inne drogie ruchomości, nieocenione klejnoty, fortunę młodego Fryderyka stanowiły.

Osierocony od rodziców i od ukoronowanego opiekuna, w kwiecie wieku ujrzał się panem wielkiej fortuny i odziedziczywszy ją okazał całą tęgość umysłu, szlachetność serca i wyższość oświecenia. Za Augusta III już był w urzędowaniu, a za Stanisława wysokie dostojeństwo piastował. Hrabia wielkie miał znaczenie na polskim i saskim dworze, a to znaczenie i ogromny majątek robiły go pożądaną partją dla córek naszych magnatów, ale szpetność urody nie mogła mu zjednać żadnego młodego serca. Bo serca młode nie umieją czytać w duszy drugich i pochwały pięknych przymiotów porównywają z powierzchownością, nie zawsze tak piękną, jak dusza. Nasze księżniczki, hrabianki i córki pierwszych dygnitarzy marzyły sobie świetne z hrabią małżeństwo, ale raz go ujrzawszy, w marzeniach swoich ostygały i hrabia odmówienie dostawał. Frederyk miał już lat przeszło trzydzieści a ożenienie zawsze go mijało, lubo pragnął bardzo potomstwa, tkóremuby i imię i piękny majątek

przekazał. Hrabia czuł swoje upośledzenie, ale miał serce czułe, kochał ludzi, a im więcej upokarzały go odmówienia, tem więcej okazywał się kochającym ludzi i sercem i czynem. Ale nakoniec i jego kolej nadeszła. Kasztelanka Rozalja, potomek świetnego rodu i sama świetna dziwnie piękną urodą, rozumem i wytwornem wychowaniem, dumna nawet z tych zalet, powiedziała sobie, że będzie hrabiną Fryderykową. Siostra pełnoletnia sama już sobą rządziła. Mnóstwo pretendentów otaczało wóz jej tryumfalny, ale na żadnym jeszcze myśl się jej nie oparła, a choćby może za którym i uczucie przemówiło, kasztelanka starałaby się to ukryć nawet przed samą sobą. Rozalja była dumną i może ten przymiot był jej przewodnikiem w prowadzeniu się na wielkim świecie. Kasztelan krakowski był jej opiekunem, wprowadził do niej hrabiego i swataniem pupilki się zajął. Umiała ona pokryć odrazę sprawioną widokiem niepięknego pretendenta i wdała się z nim w rozmowę. Wymowa Fryderyka, bogaty zasób nauk i umiejętności, ogładzenie obyczajów, cały wstręt przezwyciężyły, rozumna sama, zasmakowała w rozumnej z hrabią rozmowie i powoli z jego się szpetnością oswoiła, a po niedługim czasie, wobec swojego opiekuna, rękę hrabiemu oddała. Nie posiadał się z radości Fryderyk, a sam szczęśliwy jeszcze więcej drugim do szczęścia pomagał. Wesele odbyło się w domu kasztelana krakowskiego, piękną Rozalję sam Stanisław August do ślubu prowadził. Ubiór panny młodej był skromny, bo ofiarowanych od p. młodego klejnotów nie przyjęła, wymawiając się tem, że do ślubu w tem tylko iść powinna, co jej ojczystą było własnością, i że zostawszy hrabiną, z darów męża będzie miała prawo korzystać. Wszystkim to umiarkowanie podobało się i o przyszłem prowadzeniu się Rozalji najpochlebniejsze dało wyobrażenie. Trzeciego dnia po ślubie hrabina prezentowała się u dworu i wtedy ukazała się w całym przepychu klejnotów hrabiego. Ubranie głowy, naszyjniki, opaskę i bransolety na sto tysięcy dukatów liczono, bo jeden soliter, którym naszyj-

nik z ogromnych pereł był spięty, 27000 dukatów znawcy cenili. Znakomite były zbiory klejnotów w Polsce, ale żaden wyborem i cennością klejnotom hrabiego nie dorównywał. Zachwycano się wytwornością stroju hrabiny, ale wdzięki jej nie mniejsze wrażenie sprawiły.

Po wyjściu na świat stołeczny, jako dama pierwszej dystynkcji, hrabina, znając ile mąż lubi przemieszkiwać w swoich majętnościach, zażądała od męża, aby z nim te obszerne ziemie odwiedzić. Oprócz posiadłości w Wielkiej Polsce i na Czerwonej Rusi, hrabia miał ogromne dobra w województwach: Wołyńskiem, Podolskiem i Bracławskiem, postanowiono więc je wszystkie zwiedzić. Podróże te długo się ciągnęły, tymczasem stan zdrowia hrabiny dał poznać nadzieję potomstwa. Uszczęśliwiony hrabia nie znał granic w oznakach przywiązania dla żony. Dogadzał jej we wszystkiem, zgadywał myśli, uprzedzał chęci. Rozalja, nie umiejąc odgadnąć istotnego charakteru męża, wyobrażała w nim sobie człowieka słabej woli, słabego umysłu i postanowiła sobie owładnąć zupełnie nad nim panowanie. Delikatność wrodzona Fryderyka, pobłażanie stanowi, w jakim było zdrowie żony, wszystko to utwierdzało jej mniemanie, rozum jednak nakazywał jak najmniej korzystać z mniemanej słabości charekteru męża i jego zdaniem powodować. Tymczasem podróż się przedłużała, czas uchodził i nie postrzeżono się, jak nastąpiło rozwiązanie hrabiny. W majętności ukraińskiej obległa i Opatrzność udarowała ją synem. Uradowani rodzice tysiączne o nim marzyli sobie projekta, król miał go do chrztu trzymać z panią Krakowską, książę prymas miał go sam ochrzcić, pierwsi dygnitarze państwa mieli tej ceremonji asystować. Ale rzeczy inny wzięły obrót, dziecię urodziło się słabe i stan zdrowia jego coraz się pogarszał, śpiesznie więc ochrzcić go było potrzeba i dwoje najstarszych z włościan hrabiego wnieśli do kościoła hrabiątko i kumami rodziców jego zostali. Dla zdrowia dziecięcia zatrzymano się dłużej na miejscu, doktorowie wzbronili hrabinie karmić, młoda więc i czer-

stwa ukrainka z mlekiem swojem przelała w hrabiątko wieśniacze ukraińskie zdrowie. Wzrastał mały Staś, dano mu bowiem imię mającego być ojcem chrzestnym króla, wzrastał zdrowo i rodzice nasycali się rozkoszą wychowywania jedynaka.

Na zimę wrócili do Warszawy i hrabina zajaśniała znowu w towarzystwach stolicy. Hr. Fryderyk równą posiadał wziętość i na Saskim i na Polskim dworze. Stanisław August cenił go wysoce dla jego znakomitych przymiotów i uważał go jako jednego z pierwszych dyplomatów państwa, i polecił mu ważną misję do cesarza Józefa II. Hrabina nie chciała odstąpić męża i, zostawiwszy syna z boną u pokrewnej starościny Bracławskiej, wybrała się na kilka miesięcy do Wiednia. Rozalja liczyła już do 30 lat wieku, ale jej piękność tak była młoda i świeża, że jej ledwie lat 20 przyznawano, a do tego lubiła się ubierać i ubiór jej zawsze był pełen najgustowniejszej elegancji, klejnotów zaś tak umiała użyć, że i kosztowność ich i zastosowanie do ubioru i piękności jej samej wszędzie admirowano. Zaświetniała więc ta gwiazda sarmacka na dworze wiedeńskim, wzbudziła podziwienie dam niemieckich i urokiem swych wdzięków Niemców oczarowała. Hrabina pięknie mówiła językiem germańskim, co jeszcze więcej zniewoliło dla niej towarzystwa wiedeńskie. W Wiedniu podówczas najwięcej język ten był w użyciu, bo mowa ojczysta miła panującemu, stała się modą germańskich salonów. Hrabia wielki dyplomata, zajęty był ciągle traktowaniem poleconej mu misji i zostawił zupełną wolność hrabinie rozrządzania swoim czasem i swojemi zabawami. Duma hrabiny utrzymała ją świetnie na jej wysokiem stanowisku, umiała zachować powagę swego dostojeństwa i pogodzić ją z wesołością młodego wieku, ale nie była wolna od uczucia własnej miłości i wrodzonej płci pięknej próżności, a pochlebne otaczające ją pochwały podkopywały zwolna zasady surowe ojczystych obyczajów. Hrabina była kobietą i kobietą młodą i piękną! Roje wielbicieli otaczały ją wszę-

dzie, wszędzie ubiegano się o zasłużenie jej względów. Wszystkie te hołdy, te nadskakiwania, bawiły młodą damę i zawsze wróciwszy do domu zdawała mężowi sprawę ze swoich salonowych powodzeń. Bawiło to i hrabiego, a ufny dumnemu charakterowi żony, pewnym był, że z granic przyzwoitości nie wystąpi i tylko zdaleka nad nią czuwał. W następstwie jednak czasu inaczej się pokazało.

Pomiędzy licznymi nadskakującymi Rozalji znajdował się jeden hrabia węgierski Stefan, pułkownik cesarskiej gwardji. Czem tylko świetnieć może mężczyzna wyższego rodu i stopnia, to wszystko posiadał hrabia. Piękność marsowa, ukształcona powierzchowność, wyższe oświecenie, wzniosłość charakteru, a nadewszystko naturalność i pełna wdzięku prostota jednały mu serca płci pięknej, szacunek współziomków i względy monarchy. Stefan trzydziestoletni kawaler ze swobodą i czystością serca i młodość materjalną zachował, a żadna dotąd z dam uczuć jego nie pozyskała, chociaż dla wszystkich był grzeczny prawie do zalotności. Córki najznakomitszych dygnitarzy marzyły o nim, a matki ubiegały się o pozyskanie go dla swoich córek, ale dotąd żadna mu w oko nie wpadła i tryumfował z niezawisłości swojego serca. Wszyscy wyrzucali mu, że tak unika słodkich więzów Hymenu, on odpowiadał, że dość jeszcze będzie miał czasu jęczeć w tej słodkiej niewoli.

Poseł francuski obchodził uroczyście urodziny swojej królowej i wielki bal wyprawił. Co tylko najświetniejszego z wyższego towarzystwa miał Wiedeń, to wszystko zaproszone było do posła, hrabia Fryderyk z żoną do najpierwej zaproszonych należeli, bo hrabia także, jako reprezentant swego monarchy był uważany, a do tego i w przyjaźni był z posłem; hrabina zaś świetnie wszystkie towarzystwa zdobiła. Tu Rozalja użyła całego gustu swego i całego bogactwa, ubranie kosztowne i wytworne podniosło jeszcze jej piękność i zachwyciła wszystkich, a nawet zimnego monarchy uwagę na siebie zwróciła.

Józef II pierwszy przybliżył się do hrabiny, rozmawiał z nią uprzejmie i polskim tańcem bal z nią otworzył. Hrabia węgierski pierwszy raz widział Rozalję i nie mógł widzieć ją bezkarnie, a że pierwszym był z młodzieży w towarzystwach, gdzie mu i osobiste przymioty i ród wysoki i wielka fortuna dawały przewagę, więc i do tańca był pierwszym; skoro więc kolej żwawszych tańców nadeszła, zadumał się nad wyborem damy, którejby rękę do kadryla miał podać. Cesarz poznał zakłopotanie faworyta i przechodząc szepnął mu: „bierz tę damę polską, z którą bal otworzyłem“ i trafił w myśl Stefana i pułkownik przystąpił do Rozalji. Hrabina już go zauważyła i w duszy życzyła sobie mieć go swoim tancerzem, mimo to jednak mocno się zarumieniła tem zaproszeniem i z bijącem sercem w taniec poszła. Zwykle taniec daje pochop do rozmowy, zawsze znajdzie się co powiedzieć, o coś zapytać, a zwłaszcza pomiędzy młodymi. Pułkownik z całą grzecznością salonowej ogłady zapytał hrabinę po francusku:

— Jakże hrabinie wydaje się Wiedeń po Warszawie?

— Coraz mi się więcej podoba — odrzekła Rozalja po niemiecku.

— Zawstydzasz mię pani — rzeknie skromnie tymże językiem Stefan — do mnie należało ojczystą mową zapytać hrabinę.

— Mowa hrabiego ojczysta jest węgierski język, którego żałuję, że nie posiadam, a niemiecki jest etykietalny tutejszego dworu i dlatego postanowiłam sobie w ciągu pobytu mego w Wiedniu innym nie mówić.

— Ani nawet swoim własnym? — zapytał pułkownik czystą polszczyzną.

— Hrabia mówi po polsku? — rzeknie Rozalja z miłem na mówiącego wejrzeniem.

— Mówię i lubię ten język i wysoko cenię nim mówiących, osobliwie od dzisiaj.

— Dlaczegóż to od dzisiaj?

— Bo dziś poznałem Polkę, jakich może mało Polska posiada.

— Otóż to komplement dworskiej galanterji!

— Czy hrabina nie wierzy otwartości Węgrów?

— Ale hrabia tak już oddawna po obcych tylko krajach bawiąc, może zapomniałeś ojczystych obyczajów i...

— O! pani! możnaż kiedy zapomnieć ojczystych obyczajów, mowy i rodzinnej strzechy? — Słowa te wymówił z takiem uczuciem, z taką energją, że Rozalja westchnieniem i wymownym rzutem oka dała poznać, ile niemi była przejęta. Pułkownik ucałowaniem ręki podziękował za to wejrzenie współczucia i taniec się skończył. Odprowadzając damę na miejsce, Stefan zamówił na następny kadryl i rozmowa dalej się ciągnęła.

— Czy hrabiemu nasz kraj znajomy?

— W młodzieńczym wieku mieszkałem z matką moją w Krakowie, bo ona była współrodaczką pani i zawsze dla swej ziemi ojczystej synowskie przywiązanie zachowała. I dla mnie ta ziemia droga!

— Dlaczegoż hrabio tej miłej mu krainy nie odwiedzisz?

— Obowiązki familijne i moja służba, dotąd nie dozwalały mi dogodzić sercu mojemu, ale teraz korzystając z łaskawych względów mojego monarchy, uzyskam sobie pozwolenie przepędzenia zimy w Warszawie. Czy progi hrabiny będą dla mnie przystępne?

— O! mój mąż najmilej pana przyjmie!

— Czy tylko hrabia?

— Rozumie się, że gospodyni domu nie może być obojętną dla gościa, który raczy dom jej męża bytnością swoją zaszczycić.

Pułkownik ucałował znowu piękną rączkę hrabiny, a w tem przybliżył się hr. Fryderyk. Rozalja prezentowała mu pułkownika.

— My nie jesteśmy obcy dla siebie — rzeknie Fryderyk — między matkami naszemi blizkie nawet było pokrewieństwo.

— I wielce się tem szczycę—rzeknie Stefan—że stosunki pokrewieństwa wiążą mię z domem hrabiego.

— Eh bien! Cousin! — rzeknie śmiejąc się Rozalja — nieprawdaż Fryderyku?

— Jeśli pułkownik przyjmie od nas ten tytuł poufały.

— On mię czyni szczęśliwym nad moje spodziewanie.

— Więc w Warszawie nasz dom niech będzie strzechą rodzinną dla pułkownika.

Pułkownik czule uścisnął podaną mu hrabiego rękę, muzyka zabrzmiała walca i Stefan puścił się po sali z hrabiną i wszystkie pary wstrzymały się i wszystkie oczy zwróciły się na tę prześliczną parę.

Cesarz rozmawiał z hr. Fryderykiem i szeroko rozwodził się z pochwałami swojego ulubieńca i najpochlebniejsze o nim mniemanie wzbudził w umyśle hrabiego. Późno już za północ bal się zakończył, cesarz wychodząc, osobno hrabinę pożegnał, co jeszcze większą dla niej atencję zjednało. Poseł przeprowadził ją aż do przysionka, pułkownik Stefan rękę do karety podał.

Hrabina tryumfowała, ale nie wszyscy jednakowem okiem na nią poglądali, wielu damom niemieckim nie podobała się. Między innemi baronowa Nostitz, ulubiona niegdyś Marji Teresy honorowa dama, miała córkę, która za pierwszą piękność na dworze wiedeńskim uchodziła, ale na balu posła zgasła przy hrabinie, a baronowa uczuła nieubłaganą nienawiść ku przewyższającej wdziękami jej Wilhelminę cudzoziemce. Baronowa jednak nie śmiała wydać się z uczuciami swemi przeciwko damie, której sam panujący przed najpiękniejszemi pierwszeństwo przyznawał. Zamknęła więc w sercu palące uczucie i skrycie tylko szukała środków pomszczenia się; nie sama bowiem zazdrość o wdzięki córki dręczyła serce Niemkini. Wilhelmina była jedną z najznakomitszych partji w Austrji i matka marzyła sobie dla niej męża w hr. Stefanie, ale hołd, jaki widocznie oddawał hrabinie na balu u posła; bódł serce starej baronowej i przebaczyć nie

mogła ani oddającemu ten hołd, ani tej, która celem jego była.

Hrabina mało jeszcze znała okolice Wiednia. Na balu u posła cesarz zapytał: czy była w Szenbrunie?

— Nie znam jeszcze tego skarbca bogactw botanicznych całego okręgu ziemskiego.

— To może hrabina zechcesz go zwiedzić?

— Jeśli otrzymam w. ces. mości pozwolenie.

— Owszem, ja sam będę ciceronem w oprowadzaniu hrabiny.

Hrabina głębokim ukłonem i pełnem uroku wejrzeniem podziękowała.

Czem był Szenbrun naówczas we względzie zbioru roślin obu półsferzów, to światu uczonemu wiadomo. Ani Jardin des Plantes w Paryżu, ani żaden na stałym lądzie porównywać się z nim nie mogły. Praca starego Jacquina zebrała te bogactwa, szczodrobliwość monarchów austrjackich w pysznych gmachach tym przychodniom dała przytułek. Nikt z wędrowników nie opuścił Wiednia, nie zwiedziwszy Szenbrunu i każdy podziwiał skarby, jakie ten ogród zawierał. Na dzień oznaczony hrabstwo wybrali się, hr. Stefan im towarzyszył, Józefa II już zastali w Szenbrunie. Monarcha podał rękę hrabinie, weszli do pierwszej oranżerji i cesarz ukazując rośliny, piękną wymową opowiadał o ojczyźnie pokazywanych roślin, o czasie ich sprowadzenia i o szczególnych każdej przymiotach. Ale zaledwie się zaczął ten uczony i ciekawy przegląd, ledwie gmach pierwszy zwiedzili, monarcha zmuszony był dla jakiegoś interesu dyplomatycznego wracać do Wiednia. Nieprzyjemnie mu nieco było opuszczać piękną towarzyszkę, przepraszał ją i najgrzeczniej pożegnał, polecając Jacquinowi, ażeby go zastąpił. Chociaż hrabinie żal było ukoronowanego towarzysza, czuła się jednak swobodniejszą i hr. Stefan podał jej rękę. Długo ciągnęła się podróż po tych tropikowych na niemieckiej ziemi lasach, nakoniec wyszli na parter kwiatowy. Jacquin z najpiękniejszych zrobił dla hrabiny bu-

kiet, w którym celowała okazała strelitja i nowa zupełnie jeszcze podówczas szenbruńska róża. Pełnym wdzięku uśmiechem i grzecznym niemieckim komplementem dziękowała staremu profesorowi, który mimo wiek podeszły nie był nieczułym na wdzięki prześlicznej i tak grzecznej cudzoziemki, i wprowadził kompanję do kiosku, gdzie ich czekała czekolada i najwykwintniejsze owoce. Gdy zasiedli przy stole, hrabia poważną z uczonym profesorem zaczął rozmowę, hrabina z pułkownikiem rozpatrywali bukiet.

— Wiesz kuzynku, że chciałabym być tak piękną, jak ta róża.

— Niesłusznie tak się poniżasz hrabino! najpiękniejsza centyfolja ustąpić ci musi, chociaż jest kwiatów królową.

— Mon cousin jest wielki pochlebca! Centyfolje już spowszedniały, a róża szenbruńska jest jeszcze osobliwą nowością.

— Czy hrabina tak jest za nowościami?

— Czyż jednostajność się nie uprzykrzy? Widzisz hrabio, że jednakowy krój sukni moda zmienia; że zmieniając miejsce długiego pobytu, czujemy przyjemność; że niezmieniający się sposób życia, z czasem się znudzi.

— Czy to ma się stosować i do osób, z któremi żyjemy?

— Tak i nie. To zależy od przymiotów osób. Widzisz pan, naprzykład, memu mężowi natura odmówiła wdzięków powierzchownych, pobyt z nim jednak sprzykrzyć się nie może.

— O! bo też trudno mieć tyle wynagradzających to uchybienie natury przymiotów i nie jedenby oddał swoją urodę za jego umysł i serce.

— Czyż nie można posiadać razem i wdzięków twarzy i wdzięków serca i umysłu?

— O! to tylko w płci waszej znaleźć się daje!

Hrabina chciała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły na

ustach, spojrzała na kuzyna i oczy ich wymownie się spotkały. Hrabina wyjęła jedną różę z bukietu i podając ją Stefanowi rzeknie zcicha:

— To pamiątka szenbrońska!

— Która mię do grobu nie odstąpi! — rzeknie pułkownik, całując z czułością rękę Rozalji podającą mu upominek. Hrabina obejrzała się na męża, ale hrabia z Jacquinem zniknęli i młodzi kuzynowie nie dopiero sami, ujrzeli się sam na sam. Zakłopotana Rozalja wstała, ażeby iść za mężem, pułkownik uszanował jej pomieszanie i prosząc ażeby została, podjął się odszukać hrabiego. Rozalja, zostawszy sama, rozmyślała nad tem, co zaszło między nią a pięknym kuzynem. Rozum upominał hrabinę o pośpiech daru i spoufalenie się z cudzoziemcem, serce Rozalji za kuzynem się odzywało, hrabina jednak wzięła przewagę.

— Jestem dziś w usposobieniu rozdawania upominków — rzeknie śmiejąc się do wchodzącego męża — kuzynowi dałam różę, tobie Fryderyku tę strelitję, a pana— rzeknie, obracając się do Jacquina — proszę przyjąć tę pamiątkę!—to mówiąc zdjęła z palca kosztowny pierścień z szafirem w brylanty oprawny i Jacquinowi podała. Zachwycił piękny upominek uczonego starca i czule hrabinie dziękował, a hrabiego serce rosło na rozumny i delikatny postępek żony. Pułkownik sam nie wiedział, co myśleć o hrabinie i jaką wartość przywiązać do róży, ale jedno jej wejrzenie oświeciło go i różę do serca przycisnął.

Tego dnia wieczorem były pokoje u dworu, hrabstwo raz na zawsze mieli zaproszenie i Rozalja nigdy bytności tej nie uchybiła. W tym czasie muzyka w Wiedniu na wysokim stopniu stanęła, dość powiedzieć, że Haydn i Mozart na horyzoncie wiedeńskim jaśnieli. I na ten wieczór Mozart miał wykonać nowe swoje fantazje na fortepjan, a p. Werter, śpiewaczka niemieckiej opery, miała śpiewać arję królowej nocy z opery „Zaczarowanego fletu", nieznanego jeszcze publiczności utworu Mozarta. Ope-

ra sama, mówią, napisana była przez cesarza Józefa, pod imieniem Schikenadera i ma ukrywać podobno krytykę tajemnic masońskich, ale muzyka Mozarta należy do arcydzieł opery i jest wiecznotrwałym pomnikiem sławy swojego twórcy. Hrabina uczyła się muzyki we Florencji i w Rzymie, lubiła grać i coraz się więcej doskonalić i można było o niej powiedzieć, że gdyby nie jej stanowisko społeczne i bogactwo, możeby, jako wirtuoz-artystka słynąć w Europie mogła. Nadewszystko ćwiczyła się w śpiewie i miała głos wielki, dźwięczny i melodją metody włoskiej dziwnie wyrobiony. Mało kto w Warszawie znał talent hrabiny, w Wiedniu ani kto się o nim domyślał. Raz tylko zszedł ją śpiewającą hr. Stefan, a jako amator i znawca, oddał hołd pięknemu z siebie i udoskonalonemu uprawą głosowi, ale Rozalja wymogła na nim przyrzeczenie sekretu i dotrzymał go aż do wieczora, o którym mówimy. P. Werter miała głos wielki, umiała go użyć w wykonaniu najsztuczniejszych pasażów, ale jej nie dostawało tej metody, którą włoskie śpiewaczki celowały. Po prześpiewaniu arji i obsypaniu śpiewającej oklaskami, cesarz przybliżył się do hrabiny.

— Hrabino!—rzeknie—nie zechcesz może odmówić nam przyjemności usłyszenia twojego śpiewu.

— Śmiesznaby była i niepotrzebna moja skromność w ukrywaniu się z tem, czego mię nauczono, ale raczy w. c. m. sam przyznać, że występować ze śpiewem obok panny Werter byłoby jeszcze śmieszniejszą zarozumiałością.

— Prawdziwy talent żadnej z tych śmieszności nie podpadnie. My wiemy, że hrabina śpiewa!

Hrabina domyśliła się, że Stefan sekretu jej nie dotrzymał, surowo spojrzała na niego, ale oczy pułkownika tak go dzielnie broniły, że hrabina uśmiechnęła się i wezwanie cesarskie przyjęła. Usiadła do fortepjanu i po pierwszych akordach, w których biegłość jej zajaśniała,

Mozart postąpił ku niej z uszanowaniem i zapytał, co sobie do śpiewania podać każe.

— Coś z włoskiej muzyki, bo z jej metodą więcej jestem oznajomiona. Mozart podał jej Cimarosa. Hrabina z początku zcicha śpiewała, ale ośmielając się coraz, coraz głos podnosiła, coraz więcej dodając mu uczucia i energii. Mozart zachwycał się słuchając, i nie będąc panem swojego uniesienia, na cały głos pochwały śpiewającej wykrzykiwał. Po skończonym śpiewie, cesarz dziękując hrabinie, rzekł:

— Tryumfujący wspaniałymi być powinni i hrabina przebaczy winowajcy, który jej sekretu nie dotrzymał.

— Jakże nie przebaczyć, kiedy tak dzielny patron sprawy pułkownika broni. W. ces. m. masz pełne prawo rozkazywać, a nam miło spełniać najwyższą jego wolę.

— Przybliż się więc pułkowniku odebrać łaskawe przebaczenie.

— Któreś winien przeważnemu wstawieniu się twego wielkiego monarchy.

— A może i powodzeniu świetnemu obrażonej — rzeknie jej zcicha hr. Fryderyk z uśmiechem. Rozalja za całą odpowiedź ucałowała rękę męża. Pułkownik był pod urokiem, jaki wdzięki, rozum i takt Rozalji na niego wywarły.

Ale i baronówna Nostitz śpiewała i sam Mozart lekcje jej dawał. Baronowej chciało się, aby i córka jej popisywała się także; napróżno Wilhelmina wypraszała się u matki, baronowa przez Mozarta wyrobiła to, że cesarz Wilhelminie śpiewać kazał. Pewna była Niemka niższości swego śpiewu od polskiej damy, śpiewała jednak i pięknie śpiewała. Rozalja siedziała przy niej, sama jej karty nut przewracała, a po skończonym śpiewie, uściskała Wilhelminę i prosiła, ażeby we dwie co zaśpiewały. Mozart podał swój duet z „Zaczarowanego fletu“: „Die Menschen welche Liebe fühlen“. Hrabinie obca była ta muzyka, przebiegła jednak wejrzeniem całą i bez żadnej próby, dru-

gi głos ślicznie wykonała i tem śpiew towarzyszki jeszcze podniosła. Umiała to ocenić baronówna, ze łzami prawie dziękowała Rozalji i powzięła dla niej najprzyjaźniejsze uczucia, stara nawet baronowa nieco ze swojej zawziętości ustąpiła.

Cesarz Józef oddawna układał sobie ożenić faworyta z Wilhelminą, bo chociaż baronowej nie lubił, córce jednak sprzyjał i przez pamięć na zasługi barona losem osieroconej szczerze się zajmował. Ale pułkownik żadnej skłonności ku pięknej Niemce nie czuł, a od poznania polskiej damy, jeszcze obojętniejszym się okazywał, grzeczności jednak przyzwoitej nie uchybiał. Widząc cesarz, w jak blizkich stosunkach byli hrabstwo z pułkownikiem, żądał ażeby mu w swatowstwie dopomogli. Hrabia podjął się tego zamiaru i mówił o nim żonie. Zmieszała się Rozalja, ale potrafiła ukryć swoje pomieszanie i spokojnie, prawie zimno odrzekła:

— Prawda, że byłaby to para dobrana, ale czy cesarz zbadał ich serca, czy znalazł w nich skłonności wzajemne?

— Czyż wszystkie małżeństwa skłonność kojarzy?

— Niesprawiedliwy jesteś Fryderyku! czyż o mojem przywiązaniu powątpiewasz, czy w niem dostrzegłeś zmiany?

— O! grzeszyłbym podobnem powątpiewaniem! wierzę w twoją przyjaźń i nowego jej od ciebie domagam się dowodu.

— Ażebym cię jeszcze więcej upewniła o moich uczuciach, wszystko co żądasz uczynię.

— Więc pomóż mi swatać Stefana z Wilhelminą.

Te słowa dały poznać Rozalji, że nie obce mu były stosunki jej z pułkownikiem i, że tak delikatnie chcał usunąć nieprzyjemne ich następstwa. Spojrzała w oczy męża, ale wyraz ich—była czysta spokojność. Chwyciła więc jego rękę i z rozrzewnieniem całując:

— Fryderyku!—rzeknie—nie taję, że kuzynek bar-

dzo mi się podobał, bo jak nie ma się podobać młody człowiek, za którym wszystko mówi, ale niema tu jeszcze żadnego namiętnego uczucia, a twoje ze mną postępowanie pozory nawet usunie.

— Rozaljo!—odpowie z czułością hrabia—uwielbiam twoje wdzięki, ale uczucia twoje jeszcze cię droższą sercu mojemu czynią. Dotąd nic ci nie mam do zarzucenia i pewny jestem, że nic podobnego nie dostrzegę. Ale ja znam siebie, znam ludzi, znam kobiety. Twoje serce jest jeszcze wolne i w tem sercu może się zająć obcy ci jeszcze płomień, na ten czas zrób Fryderyka twoim powiernikiem, on ci nieść będzie pociechy i rady braterskie.

Za całą odpowiedź hrabina rzuciła się w objęcie męża i uściśnienie wzajemne położyło pieczęć zgody i ufności małżeńskiej.

Ale swatowstwo nie szło ładem, pułkownik zawsze w żart je obracał, trudno z nim było do stanowczej przyjść rozmowy. Tymczasem czas uchodził—hrabina zachowała z kuzynem całą poufałość wyższego tonu, ale w wydaniu się z uczuciami była ostrożną. Uczucia te jednak tlały w głębi serca. W tym ciągu pułkownik odebrał rozkaz od cesarza udania się na jakieś ważne stanowisko. Przed wyjazdem odwiedził hrabstwo. Rozalja wiedziała od męża o wyjeździe kuzyna, uzbroiła się męstwem i z wesołem prawie wejrzeniem rzekła do wchodzącego:

— Dobrze, że wyjeżdżasz kuzynku, bo i nasz pobyt już w Wiedniu niedługi. Nie zostawiając tu nikogo z przyjezdnych, mniej tęsknić za Wiedniem będę.

— Ale kuzynku—ozwie się hrabia—nie zapominaj obietnicy, zima twoja w Warszawie.

— Pragnąłem hrabio! i czekałem tego przypomnienia.

— Miałżebyś go potrzebować? Czyż i tam nie znajdziesz stolicy i dworu, czyż tam cię nie czeka przyjazna rodzinna strzecha?

— O! wiem to i ocenić umiem, i ta strzecha jest podobno jedynym celem podróży mojej do Warszawy.

— Więc, sans adieu—rzeknie wesoło Rozalja podając rękę kuzynowi, którą on całując uczuł lekkie ściśnienie swojej, spojrzał na hrabinę, w jej oku była łza, łza nadziei dla niego. Bez żalu więc opuszczał Wiedeń, owszem przyśpieszył wyjazd, marząc o nieznanej mu Warszawie, o zimie, o pobycie pod strzechą pokrewnych.

ROZDZIAŁ IX.

Miesiąc jeszcze przedłużył się pobyt hrabstwa w Wiedniu; wracając odwiedzili swoje dobra w Galicji i dopiero w grudniu przybyli do Warszawy, miło u dworu, uprzejmie od znajomych witani. Rozalja natychmiast swego Stasia wzięła do siebie i szczerze się wychowaniem jego zajęła. Król, pomny pomyślnie przez hrabiego spełnionej misji i wielbiciel wdzięków hrabiny, ze szczególną dla obojga był grzecznością. Tymczasem zima posuwała się, karnawał przedadwentowy wesoło upłynął, ale oczekiwany kuzynek nie przyjeżdżał. Czuła to w sercu Rozalja, ale tęsknotę ukryć umiała i nie wspomniała o kuzynku. Zauważył to hrabia i cieszył się z przytłumienia w sercu żony rodzącej się skłonności i jeszcze więcej dla niej był wylanym. Hrabinę otaczały roje najpierwszej w stolicy młodzieży, ale była z nimi na tonie wesołej powagi, przyjmując zarówno każdego atencje, a nie dozwalając zbliżenia mającego prawo do poufałości, i tem postępowaniem zjednała sobie uszanowanie młodych i powszechny szacunek. Zalotny Stanisław August nie lepiej od innych był traktowany; wszystkie piękne słówka królewskie pełnemi uszanowania zbywała żartami i dziwił się król, że dama piękna, mogąca mu się podobać i wziąć górę nad drugiemi i może nad nim samym, zalotom jego oprzeć się zdołała. Ta stałość hrabiny jeszcze więcej drażniła uczucia, może nawet prawdziwe w sercu jego, i postanowił sobie wszelkiemi sposobami obojętność Rozalji

zwyciężyć. Ale ona grzeczności przyjmowała obojętnie, obojętność płaciła żartami. Król wiedział, jakie wrażenie Rozalja zrobiła w Wiedniu, wiedział i o tem, że zimny dla płci pięknej Józef uczuł przewagę wdzięków hrabiny, umyślił więc wywyższyć ją nad wszystkich i drogą dumy trafić do jej serca.

Na Nowy Rok był bal u dworu. Hrabina okazała się w całem bogactwie wdzięków swoich i klejnotów i wszystkie piękności stolicy zaćmiła. Król oczekiwał na nią z rozpoczęciem balu; skoro weszła, powitał ją wymówką za opóźnienie.

— Pierwsza gwiazda stolicy tak późno dziś wschodzi na naszym horyzoncie!

— Czyż słońce nie znajduje na tym horyzoncie tyle gwiazd świetniejszych?

— Wszystkie one nikną, słońce nawet samo ciemnieje przed blaskiem twoim hrabino!

— O! to zapewne od blasku klejnotów mojego męża, których tyle na siebie naczepiałam.

— Czyż tych kamyków świetność może co przydać piękności osoby?

— N. Panie! — rzeknie z uśmiechem hrabina — poddani w. k. mci oczekują pozwolenia rozpoczęcia balu.

— Sam go rozpocznę i służę hrabinie.

Poszli w pierwszą parę narodowego. Król zwrócił całą uwagę na twarz hrabiny, badając, jakie uczucia zaszczyt jej zrobiony wywoła, ale nie dostrzegł żadnego szczególnego wrażenia, żadnego śladu dumy, a na komplementa w czasie tańca zwyczajem swoim odpowiadała. Po skończonym polskim tańcowano menueta, jeden z Lubomirskich zaprosił hrabinę, Rozalja w menuecie wszystkie damy przewyższyła. Król w głowę zachodził i bodaj czy w sercu jego nie pojawiło się uczucie prawdziwej miłości. Pani Krakowska stała blizko hrabiny i po skończonym tańcu posadziła ją koło siebie, gdzie wkrótce i król się przysiadł. Rozalja w myśli porównywała pięknego króla z pięknym kuzynem, i na tem porównaniu

król tracił. Mało tańczyła hrabina i wcześniej od wszystkich z balu zniknęła. Nazajutrz Stanisław August odwiedził hrabstwo. Wizyta panującego zwykle wielkie wrażenie sprawia i na odbierających wizytę i na jej świadkach. Tegoż samego dnia cała Warszawa wiedziała o tych odwiedzinach i tegoż dnia drzwi hrabstwa nie zamykały się od wizyt. Gdyby sama duma władała sercem Rozalji, możeby nad panującym panowała, ale w naturze ludzkiej jest pewne usposobienie magnetyczne dla bliźnich, iż mimowolnie czasem czujemy pociąg, albo odrazę do pewnych osób i w takiem usposobieniu była Rozalja względem króla, i kiedy wiele dam ubiegało się o pozyskanie względów j. k. mości, Rozalja unikała go tak dalece, iż często bardzo pokoje dworu nie oglądały jej na świetnych nawet zebraniach. Ale i nienawiść, równie jak miłość w sercu kobiety niestałe.

— Róziu! — mówił raz hrabia do żony — ty się tak często absentujesz u dworu, że mi to już król wymawiał.

— Ach Fryderyku! ten twój król tak mi nieznośny, że czuję się szczęśliwą, kiedy widzieć go nie mogę.

— A z cesarzem Józefem lubiłaś przestawać.

— Bo nie miał pretensji podobania się.

— Przyznaj jednak, że Stanisław ma powierzchowność więcej ujmującą od cesarza.

— I zarozumiałość, że nie masz kobiety, któraby jego wdziękami olśnioną nie była.

— Ale jego wzniosły umysł, rozum, ukształcenie?

— Tak! dostateczne dla p. stolnika, ale korona Piastów i Jagiełłów, coś nie do twarzy na głowie tego ukoronowanego szlachcica.

— Czyż to on pierwszy ze szlachcica monarchą?

— O! nie równaj-że go z tamtymi! Maż on cnoty Leszczyńskiego, albo męstwo bohaterskie Jana III? Samolub, z sercem zużytem, do żadnego heroizmu niezdolny! Widziałżeś go z szablą w ręku dowodzącego walecznym swoim rodakom?

— Bo jeszcze mu do tego nie zdarzyła się sposobność.

— O! pewna jestem, że w takiej sposobności na konia nie wsiędzie.

— Źle trzymasz widzę o Stanisławie. Ale niech to zostanie między nami. Nie masz potrzeby w tym ukoronowanym szlachcicu, jak go nazywasz, robić sobie nieprzyjaciela.

— Alboż nam łaska jego na co potrzebna? Czyż cię drugie dwory nie znają?

— Ale ziemia, nad którą on panuje, jest nasza ziemia ojczysta.

— Na ten raz żałuję, żem nie cudzoziemka.

Roześmiał się hrabia na to uniesienie żony, w duszy i on widział wszystkie niedostatki Stanisława, ale dyplomata, umiał zachować w sobie sąd, jaki mu rozum i znajomość ludzi o królu podawały. Nie był pochlebcą, umiał utrzymać zdanie swoje, chociaż niezgodne ze zdaniem królewskiem, ale nigdy nie dotknął własnej miłości króla, której obrazę nienawiścią jego opłacić było potrzeba.

— Róziu! — rzeknie całując rękę żony, — zrób to dla mnie, ukrywaj twój wstręt, dworu nie zaniedbuj. Zima już niedługa, na wiosnę wyjedziemy na wieś i uwolnisz się od tej przykrej dla ciebie powinności.

— Wielka to ofiara! Aleś ty dla mnie tak dobry! Niech się stanie życzeniu twemu zadość.

Po tej rozmowie, hrabina znowu częściej u dworu się zjawiała, nie zmieniając ani swego postępowania, ani obchodzenia się z królem. Król pokazał się obojętnym, hrabina, niby nie poznając się na tem, była wesoła, uprzejma dla wszystkich zarówno, i Stanisław podejrzewający, że kimś zajęta, przekonywał się, że jej serce wolne i znowu podwajał swoje dla hrabiny grzeczności. Karnawał szedł wesoło, mnóstwo balów jedne po drugich następowały. Rozalja bywała na wszystkich, ale czy to już może było przesycenie, może też wymarzonego z wiedeńskich tan-

cerzów brakowało, dość, że mniej tańczyła i ze wszystkich wieczorów wcześnie znikała.

W owych czasach bywał u nas rodzaj zgromadzeń publicznych redutą zwany, odpowiadający zupełnie dzisiejszym kasynom, na których każdemu bywać wolno było. Ale reduty bywały dwojakie, jedne, że tak nazwę, arystokratyczne, gdzie obecność osób wyższej dystynkcji nadawała zebraniu więcej przyzwoitości i etykiety, drugie były to istotne szusterbale, w Wilnie dla różnicy od redut wyższych wieczorynkami zwane. Wyższe osoby na reducie zwykle w maskach bywały. Na wieczorze u pani Krakowskiej król i całe towarzystwo uprojektowali być na czwartkowej reducie. Stanisław zapytał:

— Czy hrabina była już na której reducie?

— Dotąd na żadnej jeszcze n. panie.

— Więc na następną zechcesz nam dotrzymać kompanji.

— Jeśli mój mąż zgodzi się na to.

— Hrabio! spodziewam się, że do naszego projektu należysz? Hrabina zdała się na waszą decyzję.

— Jeśli tak się w. k. mości podoba, będziemy służyć — odpowiedział Fryderyk.

— Hrabino! trudność rozwiązana. Jakiż będzie kostium hrabiny?

— Nad tem n. panie wcale jeszcze nie myślałam. Kilka dni do czwartku wystarczy na obmyślenie i wygotowanie ubioru.

— Hrabina chce być niepoznaną, tai się ze swoim przebraniem, ale my mamy nader czujną naszą tajną policję.

— Od której wpływu damy wyjątek stanowią.

— Czyż damy nie liczą się poddanemi monarchy?

— „Siete serve, ma regnate, nella vestra servitu“ powiedział o nas podobno Metastasio!

— Brawo Signora! Niepodobna było stosowniej zacytować myśli tego słodkiego śpiewaka. Przytoczenie to z pamięci mojej nigdy nie wyjdzie. — To rzekłszy poca-

łował rękę hrabiny i to było pożegnanie i z wieczora kompanja się rozjechała.

Wróciwszy do domu hrabina oświadczyła mężowi, że istotnie nie chce być poznaną, i żąda, ażeby i w domu nie wiedziano, jak będzie ubraną. Nie przeciwił się hrabia i tak wszystko przygotowano, że ani u żadnej modniarki nic nie wzięto, ani żadnego krawca nie przywołano. Właśnie w tych dniach przybyła do Warszawy starościna Zagórska, krewna hrabiny, i u niej zamieszkała, ją wzięła hrabina do motji i z nią i z wierną panną służącą we trzy pracowały nad wygotowaniem kostiumu. Każda z osób do maskarady należących, znając kosztowne szale, perły i klejnoty hrabiego, wyobrażały sobie, że strój hrabiny jaśnieć będzie jej bogactwem; Rozalja to odgadła, przysposobiła sobie strój mołdawski, skromny, ale gustowny i nowy. Ciekawość prowadziła licznych gości do hrabstwa, ale wizyt nie przyjęto; taż ciekawość nasłała hrabinie pierwszą modniarkę Lazarowiczowę, która cały tuzin najstrojniejszych kostiumów z sobą przywiozła, ale Rozalja podziękowała i oświadczyła, że ma już ubiór z Wiednia sprowadzony i tajemnica zachować się musiała. Nadszedł czwartek, cała Warszawa wiedziała, że król będzie na reducie, sadzono się więc na wytworność ubiorów, jakoż nieprzeliczone narody wszystkich części świata, cała mytologja, sławni z różnych epok ludzie i czarnoksiężnicy i różne fantastyczne maski napełniały salę. Król Stanisław w ulubionym swym hiszpańskim stroju (w którym go pani Lebrun malowała) odziany ogromnem czarnem aksamitnem domino, w wielkim sombrero z kilku białemi piórami, odrazu był poznanym. Króla interesowała tylko hrabina i do każdej bogatej maski przypytywał się, ale zawsze zawiedziony, w głowę zachodził, nie mogąc odgadnąć kostiumu Rozalji. Tymczasem dwie Mołdawianki skromnie sobie wśród tego strojnego zgromadzenia chodziły. Długie i obszerne batystowe, bogato i gustownie haftowane koszule, opasywały bogate z materji tureckiej, złotym sznurem w pasie zwią-

zane zapaski, z podobnejże materji kacawejki ścięte w stanie całą kształtność kibici odkrywały, na nogach czarne trzewiki złocistą taśmą zasznurowane, na szyi mnóstwo kosztownych korali z mnóstwem złotych krzyżyków, medali i innych wiszałek. Masek nie miały i tylko muślin cienki okrywając głowy i twarze osłaniał. Z początku nikt ich nie śledził, i przechadzając się swobodnie innym się maskom przypatrywały, ale nareszcie król przejrzawszy wszystkie bogate maski i nie znajdując, czego szukał, zwrócił uwagę na hrabiny nowy kostium. Wytworna prostota i gust ubioru zastanowiły go: „Może to hrabina“ pomyślał sobie, zbliżył się do prawej maski i nie zmieniając głosu zapytał: „Maska zna mię?“

— Z portretu.

— Czy z nad brzegów Dniestru przybywasz tu piękna Mołdawianko?

— Z nad prawego brzegu tej rzeki.

— Więc nie z Pobereża?

— Nie mam szczęścia być poddaną w. k. mości.

Król się zamyślił, tymczasem do lewej maski zbliżył się magnat polski z Bolesławowskich czasów i z uszanowaniem zapytał, czy maska zna go. Maska wstrząsnęła głową, magnat wziął rękę maski i napisał „Rozalja“. Ona to była w istocie i napis ją nie zadziwił, bo imię jej wiadome było wszystkim w stolicy, nie mogła jednak odgadnąć, ktoby to był ze znajomych.

— Nie poznajesz mię piękna Mołdawianko? Choć mój ubiór nie jest zupełnie obcy mojemu rodowi.

— Alboż maska nie jest moim współziomkiem?

— Sercem jestem, ale rodziłem się na innej ziemi.

— Skąd mię znasz?

— Czyż piękność prawdziwa w swoim tylko kraju ma być znajoma? czyż i obcym niewolno jej uwielbiać?

— Tłómacz się jaśniej masko!

— Jeśli słowa niejasno rzecz tłómaczą, to moje przedmioty łatwiej ją objaśnić potrafą. To mówiąc, dobył z zanadrza świeżą szenbruńską różę i podał ją hra-

binie. Rozalja ledwie się wstrzymać mogła od głośnego wykrzyknienia i ściskając rękę maski „Cousin!“ rzecze. Król niezadowolony rozmową z prawą maską, zwrócił uwagę na lewą i rozmawiającego z nią Polaka. Widział w ręku Mołdawianki podaną różę, słyszał coś z ich rozmowy i nie wiedział, co o tem myśleć. Domyślał się, że drugą Mołdawianką musi być hrabina, ale któż ta, z którą rozmawiał, kto jest ten Bolesławowski magnat, ofiarujący zimą tak piękne kwiaty? Poddany to, czy nie, skąd i co tu robi? i w tych myślach przechodzi na stronę magnata i zapyta po polsku: „Czy maska jest moim rodakiem?“

— Nie, jestem Hiszpanem — odpowie maska po hiszpańsku.

— A jednak jesteś cudzoziemcem w naszym stroju.

— Zaszczytem to dla mnie, że choć w masce przynajmniej tym szanownym strojem odziać się mogę.

— Więc nie jesteś Polakiem?

— O to i ciebie masko mógłbym się zapytać.

Król uczuł przycinek, ale maskom wszystko wolno mówić, ciągnął więc dalej rozmowę. — „Czy znasz mię masko?“

— Nie, ale po wspaniałej postawie i bogatym stroju, wnoszę, że z kimś dystyngowanym mam zaszczyt mówić.

— I chciałbyś mię poznać?

— Dłuższy mój pobyt w polskiej stolicy może mi ten honor nadarzy?

— Czy w twoim kraju masko i zimą kwitną róże?

— Dla piękności i cnót wszędzie i zawsze kwitnąć powinny.

— A u nas nie kwitną!

— Bo, albo nie wierzycie w cnoty waszych piękności, albo żałujecie kosztu na wieńce dla nich.

— Czyżby król żałował kosztu!

Pułkownik po tych słowach poznał z kim mówi i uchylając głowy:

— Cześć królowi polskiemu! — rzeknie.

— Więc jesteśmy znajomi! Twój ród masko?

— Zanadto wysoko cenię majestat w. k. mości, ażebym się miał prezentować w masce. W miejscu przyzwoitem złożę hołd winny w. k. mości. — Królowi podobały się odpowiedzi maski, ścisnął ją za rękę i oddalił się, bo nie miał za rzecz przyzwoitą odsunąć go od hrabiny. Pułkownik zapytał Rozalji: — „To wasz król?“

— Czyż trudno go poznać? Najzalotniejszy i najzarozumialszy z monarchów; człowiek bardzo pospolity.

— Mówią, że światły i uczony.

— Dotąd jednak światło jego niewiele kraj oświeciło.

— Piękny z twarzy i z postaci.

— Aż nadto wie o tem, i starannie piękność swą utrzymuje.

— Kuzynka bardzo niepochlebnie wyraża się o swoim monarsze, o następcy Chrobrych i Jagiełłów.

— Bo, niestety! tytuły ich tylko posiada.

Hasło do tańców przerwało rozmowę. Wszyscy oczekują, kto tańce otworzy, wszystkich oczy zwrócone na Hiszpana, kogo wyborem swoim zaszczyci, Hiszpan podał rękę skromnej Mołdawiance i wszyscy łamią sobie głowy nad tem, kto jest ta szczęśliwa dama.

— Hrabina umiała utrzymać w tajemnicy swój kostium i wybornie się udało,—rzeknie Stanisław August.

— Bo my, n. panie, posiadamy pewien instynkt, który nas ostrzega, co nam się udać może, a co nie.

— A gdzie idzie o podbicie czyjego serca?

— I to nawet, jeśli widzimy, że to serce na podbicie zasługuje.

— A hrabina nie myślała też kiedy o podobnej konkiecie?

— Czyż mi nie dość na sercu mojego Fryderyka?

— A może jeszcze i o jakie cudzoziemskie serce idzie hrabinie?

— Prawda, na dworze w. k. mości mnóstwo cudzo-

ziemców, którymby faworów monarszych pozazdrościć można, ale ich podbijać? Nie.

— Braknie może jednego, hrabina domyśla się?

— Bynajmniej. Racz w. k. mość go wymienić.

— Tego, który wśród zimy pięknemi różami damy nasze obdarza.

Rozalja przygotowana była do tych słów, nie zmieszana więc odrzecze z uśmiechem pokazując różę:—Ten? to mój kuzyn.

Tu się król zmięszał, ale poprawiwszy się, rzecze do hrabiny:

— Spodziewam się, że go hrabina zechce prezentować u dworu?

— On ma dość osobistej wartości i nie potrzebuje być przez nikogo prezentowanym, a tembardziej monarsze tak umiejącemu ludzi ocenić. Moje wdanie się, nie mogłoby wcale podnieść go w oczach w. k. mości.

— Mylisz się hrabino! właśnie, że jej sąd o ludziach i charakterach tak trafnym znajduję, że więcejbym na nim polegał, niż na zdaniu wielu i wielu naszych senatorów.

— O! to za wiele łaski w. k. mości dla kobiety, która niczem jeszcze nie miała szczęścia zasłużyć sobie na tak pochlebną opinję.

— Czemże są względy monarsze obok względów pięknej i wzniosłemi uczuciami obdarzonej damy? Nas otacza rój interesowanych, damie hołduje każdy, umiejący ocenić wdzięki jej postaci i jej serca przymioty.

— Czyż każdy jest dla nas tak pobłażający, jak nasz dobry monarcha.

— A przecież hrabino pojąć go nie chcesz.

— Owszem najjaśniejszy panie, pojmuję w nim ojca mojej ojczyzny.

— I nic więcej?

— Czyż ten tytuł nie jest najświetniejszy?

— Ale najczęściej jest tylko dworskim komplementem.

— Ale nie w ustach brzydzącej się pochlebstwem kobiety.

— Jakże byłbym szczęśliwy, gdyby w tych słowach odbijało się uczucie serca hrabiny!

— Czyż serca Polaków i Polek nie są własnością w. k. mości?

— Własność jest wtedy dopiero własnością, kiedy nią swobodnie zarządzać możemy.

— Czyż w. k. mość nie rządzisz nami?

— Biorę cię za słowo hrabino! jesteś moją własnością!

— O ile to się zgadza z godnością monarszą i z moją osobistą godnością.

— Czyż monarsze serce ma być inne, jak drugich? Czyż cel powszechnych uwielbień dla króla ma być tylko obojętny? — Hrabino! chciałbym nie dźwigać korony, możebym wtedy mniej tracił na porównaniu z twoim kuzynem.

— N. panie! czas skończyć taniec. Za długo ciągnie się nasza rozmowa.

— Czy ta się przykrzy hrabinie?

— Wcale nie, ale może być niebezpieczną. — To mówiąc, głębokim ukłonem i przyjaznem wejrzeniem podziękowała za taniec. Król odprowadził ją na miejsce, gdzie najpierwsze damy siedziały, w sercu jego zabłysła nadzieja. Ale Rozalja ani myślała o królu, a wszystko, co mu powiedziała, było dworszczyzną, było głosem i nic więcej. Rozalja była zajęta niespodzianem zjawieniem się Stefana, szukała go oczyma, może i sercem, i wróciwszy do swojej motji, swobodniej przechadzając się znalazła tego, który z jej myśli nie schodził. Pułkownik ją do następnego tańca zamówił. Wszyscy już byli bez masek, królowi ubiór hiszpański dodał wiele piękności, Stefan nie mógł oczu oderwać od tej wspaniałej i pełnej wdzięku

postaci, ale i sam ściągnął na siebie uwagę Stanisława: bo wyznać potrzeba, że w tem licznem zgromadzeniu im dwum nikt w piękności wyrównać nie zdołał. Jednakże ich było dwuch, a hrabina jedna przewyższała wdziękami wszystkie damy, i ci dwaj najpiękniejsi najpiękniejszej byli wielbicielami. Pułkownik zaprosił hrabinę do mazurka, a w tym tańcu w Warszawie, równie, jak w Wiedniu w walcu, para ta wszystkich zachwycała. Hrabia Fryderyk ani oka nie spuszczając z żony, zauważył rozmowę jej z królem i taniec z pułkownikiem. Znał on oddawna Stanisława Augusta, znał jego wszystkie przymioty i wady. Wiedział, że w zalotności nikt mu nie wyrównał i że nikt nie umiał tyle użyć możliwych środków dla dopięcia swojego celu. Lubo był pewnym wyniosłości Rozalji, nie ufał jednak sercu kobiety, wystawionej na zalotność pięknego postacią i umysłem człowieka, a do tego monarchy. Postanowił więc sobie, dla przerwania stosunków, jakieby wyniknąć musiały z jego wyższego u dworu położenia, uchylić się na czas jakiś ze stolicy.

Nazajutrz po opisanej reducie, hrabina długo spoczywała. O południu, kiedy z mężem siedzieli przy śniadaniu, oznajmiono hr. Stefana. Hrabia wyszedł na powitanie dostojnego gościa, hrabina z pełnym wdzięku uśmiechem podała rękę miłemu kuzynowi. Skoro usiedli, hrabia Fryderyk zapytał pułkownika?

— Cóż cię tak długo i gdzie zatrzymało? Zima już prawie przy końcu, a ty się dopiero zjawiasz? Nie dotrzymałeś obietnicy i pozbawiłeś nas wiele przyjemności.

— Nie moja w tem wina, kochany hrabio! Jeszcze przy was wysłany umyślnie przez cesarza wyjechałem z Wiednia. Spełniwszy polecenia mojego monarchy i załatwiwszy własne interesa, pierwszych dni grudnia byłem już swobodny, a zadowolony monarcha dał mi paszport i list do waszego króla. Ale inaczej wypadło. W Karyntji zaszły jakieś nieporozumienia między rządem a krajowcami. Józef II polecił mi zbadanie i uspokojenie tej

sprawy. Rzecz z siebie mała, wiele mi jednak zajęła czasu, nim Karyntczyków do porozumienia się z urzędnikami koronnymi przywiodłem, kilku nawet od urzędowania usunąć potrzeba było. Cesarz raczył łaskawie zatwierdzić moje postanowienia i wynagradzając moją gorliwość uwolnił mię od służby na kilka miesięcy i pozwolił mi jechać do Warszawy. Przebaczycież mi teraz uchybienie danego słowa?

— Z całego serca! przyczyna uchybienia nam jeszcze cię więcej w oczach naszych podnosi.

— Kiedyż na naszym dworze prezentować się będziesz?

— Nie chciałbym długo tej sceny dworskiej odkładać, bo już wczoraj Stanisława Augusta poznałem.

— Jakże ci się wydał? — zapyta hrabina.

— Dziwnie piękny mężczyzna i ma coś wspaniałego i ujmującego w całej swojej postawie.

— I oczarował cię?

— W istocie, może oczarować. Co za układność, co za dostojny sposób wyrażania się w mowie. W tym względzie przewyższa naszego Józefa.

— Szkoda tylko, że to wszystko jest wystudjowane i że nic naturalnego w tym wielkim aktorze nie znajdziesz.

— Ach Róziu! — rzeknie Fryderyk — cieszyłem się wczoraj, widząc się uprzejmie rozmawiającą z królem, mniemałem, że i w mowie o nim mniej będziesz ostrą, ale widzę, że się nie chcesz poprawić i to mię martwi, bo choć łaski jego w niczem nie potrzebujemy, przecież nie chciałbym mu się narazić. Wierzaj mi, ukoronowany nieprzyjaciel straszny! Bo za nim ciągnie długi szereg dworaków, dla których humor monarchy jest wskazówką obchodzenia się z nami.

— Przebacz, Fryderyku, ale ja go cierpieć nie mogę.

— Strzeż się! moja Róziu! ażebyś z tej ostateczności w drugą nie przeszła. Jako król — możny, jako mąż-

czyzna — zalotny i nie jednym tryumfem ośmielony, czegoż nie użyje dla dopięcia swego zamiaru? I tyle innych, równie może, jak i ty srożących się piękności, upadły!

— O to nie lękaj się. Gdybym miała uledz kobiecego serca słabości, szukałabym serca mniej zużytego i charakteru prawdziwego mężczyzny, może nawet nie na ojczystej ziemi.

— Dlaczegoż to, kuzynko? — zapytał pułkownik.

— Bo tu cała młodzież małpuje, że tak powiem, i maniery i obyczaje swojego monarchy.

— Uprzedzenia kobiet, mój Stefanie, trudniejsze są do zwalczenia, niż Hajdamaki i Tatary. Moja żona zaś w tym względzie jest prawdziwą kobietą.

— Bronić się nie mam czem przeciw zarzutowi. Jestem kobietą ze wszystkiemi jej ułomnościami.

— I ze wszystkiemi zaletami płci twojej! — rzecze Fryderyk. Rozalja, przyciskając z uczuciem do ust rękę męża, odpowie:

— Pod twojem okiem i twemi radami wsparta, czuję się więcej, niż zwyczajną kobietą.

Wtem oznajmiono pazia królewskiego i wszedł Turkuł w całej paradzie stroju, z wytwornym koszykiem, w nim celowała ledwie rozkwitła szenbruńska róża:

— N. pan zapytuje o zdrowie hrabiny i prosi, aby raczyła przyjąć te kwiaty.

— Nie mówiłem ci, — rzeknie Fryderyk zcicha do żony, — że wszelkich użyje sposobów dla dojścia do swego celu?

Hrabina zapłoniła się i spoglądała, to na bukiet, to na męża, to na kuzyna, w którego oczach był smutek, ale w moment zebrawszy myśli, ozwie się do pazia:

— Z najczulszą wdzięcznością przyjmuję te kwiaty i drogo cenię uczucie, z jakiem dar mi posłany. Racz wmpan, proszę, złożyć j. k. mości najuniżeńsze moje podziękowanie, nim mieć będę szczęście osobiście to do-

pełnić. — paź nizko się skłonił i wyszedł, pozostali, poglądali na siebie w milczeniu.

— I cóż ty na to kuzynku? — rzecze po chwili hrabina.

Że wasz król umie trafiać w myśl i gust dam, na które sidełka zastawia!

— Otóż mylisz się, i bardzo mylisz. Te kwiaty tak są wyforsowane, jak i uczucia, które posłanie ich natchnęły, a ta róża tam tylko dla mnie ma wartość, skąd imię dostała, lub z rąk bezinteresownej przyjaźni. — To mówiąc, rzuciła różę w kominek i wskazała na wczorajszą umieszczoną w pysznej kryształowej flaszce. Fryderyk śmiał się z uniesień żony, Stefan ledwie ukryć zdołał wzruszenie, chwycił rękę Rozalji i niosąc do ust, zawoła:

— O nieoceniona hrabino!

— Teraz Fryderyku! kiedy n. pan tak daleko pretensje swoje posuwa, to ja ciebie proszę, usuńmy się na czas z Warszawy.

— Zgoda! — rzeknie hrabia, wczoraj odebrałem wezwanie od dworu drezdeńskiego w interesie, król mi nawet sam o tem wezwaniu powiadał. Kończy się karnawał, za kilka dni wyjedziemy.

— I pewnie żądał, ażebyś żonę w Warszawie zostawił?

— Coś nakształt — rzeknie śmiejąc się hrabia.

— O! nic z tego n. panie! wyjazd przyśpieszymy.

— A kuzynka zostawimy w Warszawie?

— Mogęż wam towarzyszyć, nie ściągając na siebie uwagi?

— O Fryderyka bądź spokojnym, a jeśli kto tu weźmie nam za złe, żeśmy cię wywieźli, ten odgłos nas nie dojdzie.

— Nie, ozwie się hrabia, — nie wypada, ażeby Stefan, ledwie pokazawszy się w Warszawie, zaraz zniknął. Owszem, niech tu jakiś czas zabawi, a jeśli serce wskaże

mu potrzebę być z nami, i w Dreznie znajdzie u nas strzechę rodzinną.

— Wątpię — rzeknie hrabina, — czy zapoznawszy się ze swobodnem życiem i obyczajami Warszawy, tak różnemi od wiedeńskich, nie zasmakuje w nich i czy nie uchyli czoła przed tutejszemi pięknościami!

— Być może! — odpowie z uczuciem Stefan, — ale czy choć jedna z tych piękności wyrówna róży szenbruńskiej?

— Ale kuzynku! i szembruńska róża ma kolce!

— Od której zakłócie nie boli! — Hrabina czule spojrzała na pułkownika, ale milczała, i na cóż tam było potrzeba słów, gdzie oczy tak się wymownie tłumaczą? Stefan czuł się szczęśliwym, w sercu Rozalji rozwijało się słodkie uczucie pierwszej miłości. Ułożono tedy, że pułkownik zostanie jeszcze na parę tygodni w Warszawie, a potem uda się do Drezna, gdzie go hrabstwo oczekiwać będą.

Nazajutrz po tej rozmowie hr. Fryderyk prezentował kuzyna u dworu. Okazała postawa, piękność doskonała męskich rysów, pyszny strój węgierski, wszystkich oczy na pułkownika zwróciły. Król nader mile go przyjął i, po krótkiej etykietalnej prezentacyjnej scenie, poufale z nim rozmawiał.

— Dlaczegóż hrabio mówiłeś do mnie po hiszpańsku?

— Mniemałem, że strój i język są nierozłączne z sobą.

— Czyżbyś wolał widzieć mię w innym stroju?

— Czyż Piastowi inny od ojczystego może być właściwszy?

— Słusznie mówisz hrabio! Ale niestety może mimo wewnętrzne przekonanie, może z upodobania przejęliśmy i ubiór i obyczaje cudzoziemskie. Ta córka zbytku i niestałości — moda, panowanie nad nami wzięła.

Uczuł Stanisław August całą ważność tych słów i

podziwiał w duszy otwartość cudzoziemca. Pułkownik podobał się i król powziął myśl przywiązać go do swego dworu. Ale inny los czekał Stefana. On kochał sercem czystem, kochał pierwszą miłością i marzył o celu swej miłości. Król nie znając pułkownika, podejrzewał go z rozmowy z Rozalją na reducie, w długiej więc pogadance naprowadził rzecz i na ostatnią maskaradę.

— Warszawa się bawi i mnie to miło, ale hrabia przywykłeś może do okazalszych balów na dworze Józefa II.

— N. panie! wyznać muszę szczerze, że na naszych balach, zwykle bardzo etykietalnych, niema tej miłej, swobodnej wesołości, jaka ożywia tutejsze zgromadzenia pod okiem w. k. mości. Jakiż z naszych tańców wyrówna mazurowi?

— To prawda! a jeszcze kiedy się w nim puszczają tacy tancerze, jak hrabia i hrabina Fryderykowa.

— Czyż możesz w. k. mość równać cudzoziemca z damą polską, która może niema równej sobie w swym kraju!

— Ubliżasz sobie, hrabio! z mowy twojej trudno wziąć cię za obcego w Polsce, a takiemu ukształceniu, niejeden, sądzę, z naszej wyższej szlachty pozazdrościć może.

— Łaskawe wyrazy w. k. mości mogłyby mię podnieść w dumę, gdybym nie znał jak mi wiele nie dostaje.

— Nie, hrabio! nie, głos mój jest głosem powszechnym, i hrabina Fryderykowa jest tego przekonania.

— O! moja dobra kuzynka tak jest pobłażająca, że jej niechętnego zdania o nikim nie słyszałem.

— Oprócz o królu.

— N. panie! moja kuzyna szanuje i kocha swego monarchę, jak ojca!

— O! to wcale zimne kochanie! i są szczęśliwi, dla których silniejsze ma uczucia.

— Ma męża, którego kocha.

— O! już to daruj hrabio, ale w tę miłość nie wierzę. Hrabina tak piękna, a hrabia...

— Prawda, że powierzchowność jego niepiękna, ale jaka dusza!

— Tak, i miłość to jest platoniczna, ale nie to uczucie, co jednoczy dwa serca pełne życia. Ty to hrabio pojmujesz i pewnie uczucie to nie jest ci obce. Przyznaj, że hrabina mogłaby je w tem sercu obudzić?

— Nie przeczę n. panie! że trudno jest mieć więcej zalet, jak je połącza w sobie hrabina, ale jest to twierdza silnie honorem broniona.

— Tak! mais pas imprenable, czas wszystko może.

— N. panie! żaden czas, żadne okoliczności charakteru jej nie zmienią, nadto wysoko ceni swoją dobrą sławę, aby kiedy poniżyć się mogła.

— Utinam falsus sim vates — rzekł król i pożegnał pułkownika grzecznem zaproszeniem, ażeby na dworze jego uważał się tak, jak na dworze wiedeńskim obok Józefa II. Ale Stefanowi za wolne nieco względem Rozalji wyrażenia, nie po sercu były i ostygł w uniesieniach swoich względem króla, ale to przekonanie zamknął w sobie.

Hr. Stefan znał wielu panów polskich w Wiedniu, mających majątki w części kraju oderwanej od Polski pierwszym rozbiorem. Od dworu więc udał się do ks. generała ziem podolskich, gdzie zastał hrabinę Fryderykową z wizytą pożegnalną. Księżna generałowa świetniała naówczas na horyzoncie polskim. Ale w owym wieku zalotności, nikt nie starał się zgłębić tej wielkiej duszy, mało kto może poznać się na niej umiał. Miłostki panującego były przykładem, były modą całego wyższego tonu stolicy, nader mało wyłączyć można było dam naszych z owej epoki, któreby surowość obyczajów prababek swych zachowały i każdej z nich złośliwa kronika przypisała, jeśli nie całe życie, to przynajmniej choć jedną awanturkę nie najczystszej cnoty i wierności małżeńskiej. Czy i księżna

należała do liczby dam hołdujących modzie — złośliwa kronika o tem nie wspomina.

Księżna generałowa z najprzyjaźniejszemi uczuciami była dla hrabiny Rozalji i dom księstwa był najczęstszym jej pobytem, a że już w domu książąt przebijała się niechęć dla ukoronowanego bratanka, Rozalja więc u nich swobodnie się z uczuć swoich tłumaczyła i pozwalała sobie śmiało wynurzać z tem, co było w jej sercu dla panującego. O nim właśnie toczyła się mowa, gdy oznajmiono hrabiów Fryderyka i Stefana. Księstwo znali pułkownika w Wiedniu i po krótkich komplementach etykiety, rozmowa stała się poufałą i książę zapytał pułkownika:

— No! cóż hrabio! zadowolonyś przyjęciem u naszego najjaśniejszego?

— Ale trudno jest być więcej i milej uprzejmym, jak Stanisław August, a co za piękna postać, jaki wdzięk wysłowienia! Kilku z panujących dziś monarchów miałem zaszczyt poznać, ale żadnego z nich z królem polskim porównać nie można.

— Masz słuszność hrabio! — rzecze księżna — bratanek ma te wszystkie zalety i gdyby nie był królem, świetniałby w naszej ojczyźnie.

— Czyż Stanisław nie jest dostojnym godności, którą piastuje?

— Dzieje to późniejsze okażą, i daj Boże! ażeby twoja o nim opinja była opinją historji.

— A jednak obrany zgodną wolą narodu.

— Tak! pod silnym wpływem, nie nader przyjaznych nam mocarstw — podchwyciła hrabina.

— Rózia — ozwie się hr. Fryderyk — skoro tylko mowa o królu, musi zawsze szczyptę pieprzu do niej przyrzucić.

— O! gdyby przez to można w niej smak poprawić!

— Nie proponowałże ci hrabio — zapyta książę — pobytu na jego dworze?

— Owszem, dał mi to poznać, że chciałby mieć mię przy swoim boku.

— A o reducie nie wspominał?

— A jakże, i o hrabinie Rozalji nieoddzielnie.

— O! on mię cierpieć nie może.

— Przeciwnie! daruj hrabino! ja znajduję, że on nią nader zajęty.

— Wolałabym żeby mię nienawidził.

— Ale to piękna rzecz — ozwie się księżna — mieć u nóg swoich ukoronowanego.

— Tak! króla, bohatera! i takiemu wszystko poświęcić. Ale tych zniewieściałych monarchów, co u toalety dwie godziny drogie dla panujących muskają się, a potem myślą tylko o zabawach, o miłostkach i miłosnych awanturkach, jakieś tam du Barry i inne im podobne, ale nie Polki kochać mogą.

— Czy mniemasz hrabino, że wiele z naszych dam nie kochają się w królu?

— A księżna mniemasz, że to jest miłość? To interes, to duma, może nawet i chciwość pod maską tego szlachetnego uczucia. Bo w mojem przekonaniu miłość prawdziwa, niematerjalna, bezinteresowna, choćby nawet przedmiot jej od nas był niższym, jest wzniosłem, jest szlachetnem uczuciem. Ale w miłość dla panującego nie wierzę, bo zawsze ma na celu albo wywyższenie, albo chciwość zysków, albo czasem nawet zemstę, której zadość uczynić często nawet mimo własne przekonanie ukoronowany kochanek musi. Karty historji zapełnione są imionami faworyt monarszych, jakże mała między niemi liczba tych, które z prawdziwej miłości honor swój w ofierze królom swoim przyniosły!

— Ślicznie rezonuje hrabina — rzecze książę — i jej zdanie zupełnie trafia do mego przekonania. Więcej powiem, królowie poznawają się na tych wystudjowanych sentymentach i często bardzo, coś nakształt pogardy dla nich mają; ale miłość materjalna, nawyknienie do osoby, czynią ich niewolnikami swoich kochanek. Ten to podobno ostatni artykuł jest najwięcej powodem, że kobiety dla władzy nad panującym wyrzekają się uczuć macierzyń-

skich, słodyczy domowego pożycia, a nawet dobrej sławy.

— Nie mamy w tym względzie nic na naszą obronę— ozwie się księżna—ale chciej książę i na to zwrócić uwagę, że częstokroć doznawana od was obojętność, podejrzenia, a nawet zupełne o nas zapomnienie, zmusza płeć naszą szukać w obcych uczuciach tego, co im niestałość mężów odjęła.

— Księżna ma rację — wtrącił hr. Fryderyk — uderzmy się w piersi i wyznajmy, że do niestałości żon naszych my sami dajemy powody. Zbytek władzy męża, przy dzisiejszym stanie obyczajów, jest jednym z tych powodów, ale silniej jeszcze działającym jest ta wolność bez granic, jaką dla pokrycia naszych wyskoków żonom naszym dawać musimy, albo podejrzliwość każdego ich kroku. Szczęśliwy! kto w tej okoliczności umiarkowany środek utrzymać potrafił, bo i pokój domowy pozyskał i żony na zejście z prawej drogi nie narazi.

— Siebie tu w tych ostatnich słowach odmalowałeś Fryderyku — ozwała się hr. Rozalja. Nie zarzekam się, abym nie miała kiedy uledz obcej jeszcze dotąd dla mnie namiętności, ale poświęcić twoją spokojność i może dobre imię, nie! tego się nie dopuszczę!

— Dzisiejsze twe postępowanie, hrabino, odpowiada zupełnie temu, coś wyrzekła. Zaloty króla przyjęłaś najobojętniej, aleś jeszcze tak młoda, ale może nie król wzbudzić w twem sercu tę nieznaną ci namiętność i obudzić tak silną, że i twój charakter i twój rozum ugną kolano przed jej władzą. Nie ufaj sobie!

— Dopóki jestem z moim Fryderykiem, zaufać sobie mogę.

— Ale hrabia tak wiele starszy od ciebie, ani tak silnej budowy, możesz go przeżyć, a wtedy sama przewodnikiem swoim zostaniesz.

— O! tej smutnej przyszłości obraz nigdy się myśli mojej nie nasunął!

— I daj Boże! żeby się nie ziścił! W takiem jednak

smutnem zdarzeniu w Puławach znajdziesz przyjazne ci uczucia i rady.

Hrabina ucałowała rękę księżnej i hrabstwo pożegnali zacną Puław rodzinę.

Lekka niedyspozycja królewska uwolniła Rozalję od pożegnalnej wizyty u dworu. Samego hrabiego przypuszczono do gabinetu królewskiego. Stanisław August w najwykwintniejszym negliżu leżał na sofie, oblicze jego nie było wcale zmienione, owszem negliż więcej jeszcze dodawał mu wdzięku. Jeszcze raz próbował namówić hrabiego, ażeby Rozalję zostawił w Warszawie, ale widząc go nieporuszonym, upominał o rychły powrót do kraju:— „Ja wiem — dodał zcicha — że cię elektorowie interesują, bo to jedna krew z tobą, ale nie zapominaj, że Polska ojczyzną twej matki i że cię w niej z utęsknieniem oczekuje primus inter pares, Stanisław August, najżyczliwszy wam przyjaciel". — Przy tych słowach podał król rękę hrabiemu, ale ucałować jej nie dopuścił. Po takiem pożegnaniu wrócił Fryderyk do swego mieszkania. Wszystkie wizyty już były dopełnione i przygotowania do podróży ukończone, na ten raz i Staś jechał z rodzicami i Warszawę na długo opuścili.

ROZDZIAŁ X.

Pobyt hrabiostwa w Dreznie nie był tak wesoły, jak w Warszawie lub w Wiedniu. Dwór saski, stosownie do spokojności naturalnej panującego elektora, był etykietalny, cichy. Hrabiostwo przyjechali w wielkim poście, a choć największa część dworu składali protestanci, przez wzgląd na swego księcia katolika i wielce pobożnego, cała stolica uroczystą spokojność czterdziestodniowego postu zachowała. Żadnych widowisk publicznych, a tembardziej balów nie bywało i wielu ze znakomitszych dygnitarzy z familjami z Drezna się rozjechali. Hrabina mało znajomych miała w tej stolicy, bo sztywniejsze jeszcze

od Austrjaczek Saksonki nie sympatyzowały z piękną Polką, ani też ona do tych zimnych figur przystać mogła. Hrabia, znakomity dyplomata, potrzebny był elektorowi, posiadał jego szacunek i zaufanie, najwięcej więc czasu w pałacu przepędzał i pobyt jego w Dreznie na długo się zabierał. Rozalja nawykła do innego towarzystwa, nudziła się na saskim dworze, ani w stolicy Saksonów odpowiedniego nawyknieniu społeczeństwa znaleźć mogła, ale nie utyskiwała na nudy i hrabia, widząc czasem jej niewesołość, żadnego nie słyszał użalenia. Hrabina najwięcej czasu przepędzała w domu, zajmując się to muzyką, to czytaniem, to damskiemi robotami, a najczęściej swoim Stasiem, który już biegał i szczebiotał. Kształtne to było i bardzo ładne dziecię, lubo miało zupełnie rysy twarzy hrabiego, w niewielu wyrażeniach mowy jego dziecinnej widać było żywość i wiele rozwijającego się sprytu. Hrabiostwo oboje ślepo kochali jedynaka i nacieszyć się nim nie mogli. Razu jednego Fryderyk, wróciwszy od elektora, zastał żonę igrającą ze Stasiem na rozścielonym dywanie. Hrabina była w pięknym białym negliżu, leżała oparta na poduszce wysokiej, z jedną ręką wyciągniętą w górę z cackiem, które Staś siedzący u jej łona usiłował dostać. Poza hrabiny i dziecięcia tak były malownicze, że hrabia wchodząc zatrzymał się u progu dla napatrzenia się na tę grupę godną pędzla najpierwszego artysty, jakoż i kazał później malować ją, a w r. 1821 widziałem ją w Sielcu u podczaszostwa Czackich. Rozalja, postrzegłszy męża, wesoło zawołała:

— Chodź Fryderyku! — chodź! — patrz, co twój syn ze mną dokazuje. — Malec wziął go za rękę i ciągnąc ku matce i pokazując cacko rzecze:

— Odbierz to od Rózi i daj mnie tato, bo ona się ze mną drażni. Hrabia usiadł przy żonie i niby to siłą wydarłszy cacko, oddał je synowi, dziecię zbliżonych rodziców objęło za szyję i z obojgiem pieścić się zaczęło. Fryderykowi łzy w oczach stanęły.

— Szczęśliwyś Fryderyku? — mówiła z przymileniem hrabina — i lubisz twego syna?

— Róziu droga! jacyż rodzice nie kochają swojego dziecięcia? Możeż być szczęście wyższe, nad szczęście matki i ojca pieszczących swoje potomstwo?

— I mnie to szczęście osładza pobyt mój w Dreznie.

— Ty się nudzisz moja luba i nie utyskujesz na to?

— Słuchaj Fryderyku! że lubię zabawy, to prawda, że przenoszę pobyt w Wiedniu, lub w Warszawie, nad pobyt w Dreznie i to prawda, ale tu w Dreznie nie jestem hrabiną świetniejącą w zebraniach dwuch stolic, jestem Rozalją, żoną twoją, matką ślicznego twego Stasia, i w negliżu igrająca na dywanie z twojem dziecięciem, więcej jestem na swojem miejscu, niż obsypana twemi klejnotami na pokojach dworu wiedeńskiego lub warszawskiego.

— I przez to jeszcześ droższa mojemu sercu.

Hrabina objęła szyję męża, składając na czole jego pocałowanie, mały Staś uczepił się szyi ojca i pieszcząc się z nim wołał: „tato, mój tato!“

— W tem uniesieniu dziecięcia — rzeknie Rozalja — niema nic wyuczonego, on ciebie kocha.

— I nie boi się tak szpetnej twarzy mojej?

— Bo w nim się odzywa krew twoja i instynktowe uczucie synowskie.

— Oby to uczucie ze wzrostem jego wzrastało!

— Matka wraz z modlitwą codzienną uczyć go będzie miłości ku ojcu.

— I ku tej matce, tak ze wszechmiar czcigodnej. — Ale nie umiem ci tego objaśnić, czemu, patrząc jednak na to dziecię, jakaś bojaźń utracenia go, serce moje przejmuje i sen z powiek moich odgania.

— Dziecko jesteś Fryderyku z twojemi przeczuciami. Któż ci może wydrzeć tę pociechę? Czyż i matka nad nim równo z tobą nie czuwa? Ona go bronić będzie, i oddawszy ci dorosłego i takiego, jakim go mieć żądasz, szczęśliwa do grobu zstąpi.

Taki jeszcze był sposób myślenia hr. Rozalji po

trzech latach pożycia z mężem i zdawało się, że żadne okoliczności zmienić go nie potrafią. Młoda i piękna, obsypana dostatkami przepadającego za nią męża, świetniejąca na wielkim świecie dwuch stolic, przy wolności, w jakiej mąż żyć jej pozwalał, nie wyszła z granic przyzwoitości; słynąc jako wzorowa piękność, używała sławy najlepszej żony szpetnego i niemłodego męża; ani najzłośliwsze języki warszawskie zarzucić jej co mogły. Rozalja uczuła nieznane może jeszcze wzruszenie, poznawszy hr. Stefana. Marzyła o pięknym kuzynie z lubością, ale hrabina dumna z natury, umiała uczuciom nakazać milczenie i nie dać się rozwinąć namiętności, mogącej mieć wpływ na jej socjalne dostojeństwo, a te usiłowania wspierane były rozsądnem z nią postępowaniem jej męża. Był to prawdziwy przyjaciel, umiejący trafić do jej przekonania, nie obrażając własnej miłości, który zostawiwszy jej całą swobodę, ostrożnie, zdaleka, czuwał nad jej postępowaniem, a tem i jej zaufanie pozyskał i od płochych wyskoków obronił. Spokojny pobyt w Dreznie, zajęcie się miłą dzieciną jeszcze więcej uspokoiło przelotne serca wzruszenia. Czuła Rozalja, że kocha Stefana, ale była to miłość tak spokojna, tak nieodrywająca ją od jej obowiązków, że Rozalja była szczęśliwą. Widział to oczyma duszy hr. Fryderyk, ale był spokojnym i nieraz myślał sobie: „Niech go kocha! moje zdrowie nie silne i wiek pewnie nie długi. Zabezpieczę los syna, i jej znakomity udział z fortuny mojej uczynię. Po mojej śmierci, niechaj poślubi tego, którego prawdziwą miłością ukochała". Piękne były zamiary Fryderyka i godną wykonania ich sądził swoją Rozalję. Gdyby okoliczności pobytu w Dreźnie zostały były też same do końca, Rozalja byłaby może wyszła szczęśliwie. Ale wszystko ma swój kres zamierzony.

Post już się zbliżał do końca. Hrabiostwo mieli pozwolenie bywać na nabożeństwie w książęcej kaplicy. Był to honor dozwolony znakomitym tylko osobom katolickiego wyznania i nasi hrabiostwo asystowali pobożnemu elektorowi. Jednego piątku kaplica napełniona była

dostojnymi modlącymi się. Hrabina bardzo skromnie ubrana klęczała u bocznego ołtarza i szczerze się modliła, ale kiedy śpiewacy książęcy zaintonowali Stabat mater Pergolezego, zachwycona doborem pięknych głosów i harmonijną melodją samej muzyki, przestała się modlić i mimowolnie instynktownie głos swój zmięszała z głosami rzewnie wyrażającemi macierzyńską boleść Boga Rodzicielki. Śpiew jej nie uszedł uwagi bliżej modlących się osób i Rozalja usłyszała za sobą niemiecką rozmowę:

— Ale mylisz się Wilhelmino, skądżeby ona tu się wzięła? Wszakże niedawno donoszono nam, że ta polska grafini bawi w stolicy dla miłści swojego króla.

— I nie wierzyłam temu mamo, i nie wierzę. Hrabina nadto jest dumną, ażeby do przyjęcia miłostek króla zniżyć się miała.

— Dziecko jesteś i nie wiesz, co to jest świat. Hr. Stefan, zajęty warszawskiemi pięknościami, z których wiele o wiele wdziękami przewyższają hrabinę, opuścił ją, a ona, mszcząc się, postarała się opanować panującego i teraz z nim się modli.

— Nie! to się wcale nie zgadza z jej szlachetnością.

— W czemżeś to zauważyła?

— A zapomniałażeś mamo nasze śpiewy w Wiedniu? Nie jejże to ujmującej grzeczności winna jestem wydźwignienie mię z takiego ambarasu? nie jestże to dowodem jej wzniosłych uczuć? Czemuż panna Werter tego nie zrobiła?

— To znowu co innego. Werter, prostego wychowania osoba, a ta dama i rodu wysokiego i wysokiej edukacji.

— I równie wysokich uczuć.

— Ta Polka oczarowała ciebie moja Minchen.

— Być może! ale ja ją szacuję i kocham, i daruj mamo! że w tym względzie zdania nasze zawsze różnić się będą.

Hrabina nie śpiewała, cała jej uwaga zwrócona była

na rozmowę, w której poznała baronową i jej córkę. Ubodła ją złośliwość, obróciła się i zwyczajnym niemieckim od ust posłanym całunkiem i najrzeczniejszym ukłonem pozdrowiła znajome damy.

Skończyło się nabożeństwo, zaczęto ruszać się do wychodu. Nie mogła Wilhelmina wytrzymać i podbiegłszy do Rozalji, czule ją witała; hrabina oddała uścisk za uścisk i podstąpiwszy do baronowej, podając jej rękę rzeknie:

— Jakże miła dla mnie siurpryza oglądać tu szanowną baronową i kochaną Wilhelminę.

— O i ja bardzo się cieszę z oglądania tu hrabiny. Dawno już w Dreznie?

— Od początku postu.

— Nie żal-że hrabinie za Warszawą, w której tak świetniałaś?

— O! dobra baronowa żartuje sobie. Tak niższa od wielu naszych piękności, mogłażem czyją uwagę zwrócić na siebie?

— Ukoronowanych głów, hrabino, monarchów!

— Czyż to wszyscy ukoronowani tak są grzeczni, jak Józef drugi?

— Przecież powiadają, że wasz Stanisław August tak zalotny, tak ujmujący.

— Być może, ale nie zdarzyła mi się okoliczność przekonania się o tem, a do tego, kochana baronowo, to za wysokie progi na moje nogi.

— Mówią jednak, że król starał się bardzo przypodobać hrabinie.

— O tem nie wiem, bo mało bywałam u dworu. My sobie w domu mieliśmy nasze kółko bardzo miłe i znajomy baronowej, hr. Stefan do naszej kompanji należał i bardzo wesoło większą część zimowych wieczorów przepędziliśmy.

— Gdzież hrabia Stefan?

— Został jeszcze w Warszawie, ale na prośbę mojego męża obiecał tu za nami pośpieszyć.

Baronowa zamilkła. Wyszli z kaplicy, Rozalja przy pożegnaniu wręczyła baronowej swój adres, starej Niemkini wstyd trochę było, że podobnego biletu nie miała.

We trzy dni potem baronowa oddała hrabiostwu etykietalną wizytę. W ciągu odwiedzin baronowa dyplomatyczną z hrabią najwięcej prowadziła rozmowę o cesarzu Józefie i o królu polskim, Rozalja z Wilhelminą rozmawiały sobie o Wiedniu, o Warszawie, o zeszłym karnawale, i od niej hrabina dowiedziała się, że baronowa na rok cały w Karlsbadzie dla kuracji zamieszkała i że do Drezna dla nabożeństwa i na Wielkanoc przyjechały. W ciągu tych rozmów oznajmiono hr. Stefana; Rozalja i Wilhelmina zarumieniły się, ale hrabina w ten moment przybrała twarz spokojną i wesołą, i wejrzenia badawcze baronowej nic na niej postrzedz nie mogły. Hrabia postąpił naprzeciw kuzyna, ale jakież zdziwienie było pułkownika ujrzawszy baronową, której, nie to że u hrabstwa, ale nawet w Dreznie zastać ani się spodziewał.

— Soyez le bien venu cousin — zawołała hrabina.

Słowa te opamiętały nieco pułkownika, ścisnął dłoń hrabiego, Rozalji rękę pocałował, baronową i jej córkę grzecznym ukłonem powitał.

— Tysiączne mam ukłony dla kuzynki z Warszawy, ks. generałowa, p. hetmanowa Rzewuska, ks. kasztelaństwo wileńscy, wojewodzina sieradzka i cała magnaterja wasza.

— A król? — zapytała ciekawie baronowa.

— A tak i król hrabiego pozdrawia i prosi, abyś wracał do kraju.

— A hrabinę?

— Osobnego dla hrabiny pozdrowienia król mi nie polecił.

— Wypadła z łaski, — szepnie baronowa do córki, ta ścisnęła ramionami, Rozalja, która ten szept słyszała, rzecze z uśmiechem do męża:

— Patrz! N. pan raczył o mnie zapomnieć, wypadłam z łaski! niestety!

— Nie bój się moja droga, jeśli zechcesz, to sobie ciebie przypomni.

— I recydywa straszniejszą będzie od samej choroby.

Baronowa uwierzyła tym wszystkim słowom i snuła już w głowie swojej dalszy ciąg powieści o Rozalji. Wilhelmina płoniła się za matkę, ale nie wypadało w cudzym domu wchodzić z nią w jakąś sprzeczkę, powstawszy więc dała znak matce, że czas już odjechać. Ruszyła się baronowa i wielce kordjalnym uściskiem pożegnała hrabinę do widzenia.

— A co! — rzeknie Rozalja — szanowna baronesa ma już całą osnowę pięknej o mnie powieści, będzie to dalszy ciąg tego, co w kaplicy córce mówiła.

— Wilhelmina jednak zdaje się nie podziela mniemań swej mamy.

— Nietylko, że nie podziela, ale nawet różni się od niej i zdaniem i sercem. Nieprawdaż mon cousin?

— Przyznam się, że nie miałem sposobności zbadać jej charakteru.

— A jednakże cesarz swatał cię z Wilhelminą.

— I państwo byliście tak łaskawi, dopomagali temu swatowstwu.

— Bo też to istotnie partja we wszystkiem odpowiednia dla ciebie.

— Zapewne. Ale wtenczas, kiedyby nas dwoje tylko na świecie zostało.

— Nie zarzekaj się mon cousin, przywiązanie jej tak stałe może nakoniec przezwyciężyć wstręt twój dzisiejszy.

— W czemże ona do róży szenbruńskiej podobna, — rzekł zcicha Stefan. Hrabina spojrzała czule na niego i westchnęła, hrabia Fryderyk to zauważył i zmieniając rozmowę zapytał ex publicis. Stefan mówił o zbierającym się wielkim sejmie i rozmowa stała się zupełnie dyplomatyczną, którą przerwano, dając znać do stołu. Hrabina podała rękę Stefanowi:

— Wszak jesteś nasz domowy?

— Tak przynajmniej umówiliśmy się w Warszawie — dodał Fryderyk. Istotnie pułkownik stał się domowym, bo nawet w tym domu zamieszkał i przez to położenie wszystkich trojga stało się jakieś żenowane. Dwoje pięknych ludzi mających już skłonność wzajemną ku sobie, zbliżeni codziennem widywaniem się, żyjąc pod jednym dachem, nie mogli nie zbliżyć się i uczuciami. Rozalja poddawała się swojemu sercu. Stefan coraz więcej uwielbiał piękną kuzynkę. Rozalja nie miała przewagi nad wzrastającą namiętnością. Hrabina nie ulegała zalotom pięknego króla, Rozalja poddała się zupełnie uniesieniu pierwszej miłości. Hrabia niby nie zdawał się uważać zbliżenia się kochanków, w niczem nie ścieśniał swobody ukochanej małżonki, żadną najdelikatniejszą przymówką nie dał poznać, że stan jej serca zgaduje, rozumną tylko ostrożnością dalszym następstwom tego zbliżenia się stawił zawady. Przeszła Wielkanoc, piękna nastąpiła wiosna, otworzyły się spacery w pięknych okolicach Drezna. Fryderyk, lubo nie lubił baronowej, dla dobrego jednak tonu wymógł na żonie, że z nią razem odbywała przechadzki, ale pod koniec maja elektor wybrał się do Frejberga i za towarzysza podróży przybrał sobie hr. Fryderyka. Rozalji chciało się jechać w góry, ale nikt z dam nie towarzyszył księciu, z żalem więc i hr. Fryderyk żonie odmówił, Rozalja została w Dreznie. Złe położenie i najlepszego zepsuć może. Hrabina i Stefan pozostali sami, poddali się swoim uczuciom i powoli, powoli, daleko zaszli w tej niebezpiecznej wędrówce. Przywiązanie Rozalji do męża, była to przyjaźń oparta na szacunku, ale serce mało w niej udziału miało. Zaczęła więc rozpatrywać się w jego szpetności i dziwiła się sobie, jak te lat kilka z tak brzydkim człowiekiem przeżyć mogła. Les absents ont toujours tort, dobrze mówi francuskie przysłowie. Obecność pięknego i tak szczytnie ukształconego kochanka najniekorzystniej oczom Rozalji przedstawiała męża; w charakterze jego nawet znajdowała wady. Jego

delikatność wzięła za brak energji, w wymowie widziała przesadę, w rozumie i uczoności pedanterję. Słowem, wyrabiała w sercu swojem ku mężowi odrazę, mającą się stać dla obojga pasmem niezbędnych cierpień na całe życie. Ale Rozalja jeszcze była hrabiną, mimo ścisłość stosunków z kochankiem, potrafiła jeszcze panować nad sobą i przybrać wyraz twarzy, jakiego okoliczności wymagały.

Pobyt wędrowców we Frejburgu przeszło miesiąc się przedłużył, Rozalja pozbyła się towarzystwa baronowej, Stasia zdała na opiekę bony, a sama strojem tylko, przejażdżkami i przechadzkami w kompanji pułkownika zajęta była. Wrócił hrabia, żona okazała się dla niego niezmienną, położenie tylko Stefana stało się trudne i najczęściej odjeżdżał w różne piękne części górzystej Saksonji. Tak przeszło kilka miesięcy, ale już pożycie hrabiostwa nie było tym pięknym obrazem poczciwego stadła. Na Rozalji częstokroć znać było przymus, ale hrabia zdawał się nie postrzegać tej zmiany i swego postępowania nie zmieniał. W tym czasie sejm wzywał do Warszawy hrabiego, jako posła, potrzeba było wyjechać z Drezna, hrabina chciała koniecznie zostać, hrabia po raz pierwszy stanowczo oświadczył wolę swoją, że na to nie zezwala. Ale kiedy i użycie łez nie pomogło i uledz woli męża potrzeba było, oburzyła się Rozalja i uraza rozwinęła jeszcze więcej odrazę, ale zamilkła i przybrała pozór spokojny. Dawniej wola hrabiego byłaby przyjęta z rezygnacją, w obecnym stanie rzeczy ta wola rzuciła ziarno nienawiści w serce Rozalji, i ten mąż, z którym tak błogie lata przeżyła, do którego szpetności nawykła, którego mądremi i delikatnemi radami utrzymała się na wysokim szczeblu pierwszego towarzystwa, ten mąż stał się dla niej nieznośnym. Rozwinięta w całej sile namiętność nasuwała nieustanne porównania kochanka z mężem, na których mąż zawsze przegrywał, chociaż delikatnego postępowania swego z żoną nie zmienił. Mimo to wszystko, cośmy powiedzieli o pięknem prowadzeniu się

Rozalji na wielkim świecie, przyznać jednak potrzeba, że i wyjście jej za hrabiego i piękne z nim pożycie, było raczej działaniem ambicji i wyrachowania, niżeli popędem serca. Dlatego też obrażona miłość własna i namiętne przywiązanie do kuzynka przełamały tamę i niechęć przelała się w nienawiść, ale rozum nakazywał dysymulację i nikt istotnych uczuć serca hrabiny odgadnąć nie potrafił.

Hrabia Stefan pierwej opuścił Drezno, na samotnem pożegnaniu z Rozalją przyrzekli sobie wzajemną miłość i nadzieję rozwodu hrabiny i widoki dalsze przyszłości, ale w całej tej rozmowie nie było już wyrażeń namiętnych, i zdawało się, że tylko z nałogu wymykały się ustami słówka słodkie, miłosne, a serca drzemały. Hrabina nie okazała najmniejszego smutku z odjazdu pułkownika i spokojnie wybierała się w drogę. Na kilka dni przed wyjazdem Fryderyk odebrał list nieznajomej ręki: — „Nie moją jest rzeczą wtrącać się pomiędzy małżeństwo, ale wysoki szacunek dla hrabiego milczeć mi nie dozwala, ufność twoja w dostojnej małżonce i zacnym kuzynku zawiedzioną została. Wyjazd twój do Frejberga zbliżył ich do najściślejszych stosunków. Co się stało, tego już cofnąć niepodobna, może jednak złe nie jest takiem, jakiem się wydaje, z tem wszystkiem radzę ostrożność i radzę z najżyczliwszego serca“. Podpisu niema, charakter pisma niewieści i hrabiemu wpadła na myśl baronowa. Gniewny na starą Niemkinię za wyjawienie tego, co on sam przed sobą radby był ukryć, ciężko się biedził. Podejrzewał wprawdzie Rozalję, ale okazanie się zazdrosnym i szpiegowanie postępków żony sądził siebie niegodnem. Zmiął list i rzucił w komin. Zamyślił się, ciężko westchnął i rzekł: „Nie, nie chcę tak krzywdzącym sposobem posądzać matkę mojego syna“. I znowu westchnął i znów zamyślił się. Weszła hrabina po cichu, stanęła naprzeciw męża: — „Fryderyku!“ rzeknie z przymileniem. Hrabia ocknął się, spojrzał na żonę, ale w jej twarzy taki był wyraz spokojności, że hrabia list odebrany za po-

twarz osądził. „Patrz!—rzecze Rozalja—baronowa wyjechała z Drezna i w miejscu pożegnalnej wizyty, list od niej i krzak róży szenbruńskiej w wazonie".

Hrabia wziął list: — Ta sama ręka — pomyślał czytając.

— Cóż ty na to Fryderyku?

— Ta róża! jest prawdziwie une rose mystique, jak i list baronowej.

— Czy ty przywiązujesz do nich jakie znaczenie?

— Przywiązywałbym może, gdybym znał słowo zagadki.

— Ta baronowa, oryginał!

— Złośliwa kobieta. Jednak dar jej weź z sobą.

— Czy i ty lubisz różę szenbruńską?

— O tyle, o ile zasługuje, ażeby w niej sobie podobać.

Hrabina pocałowała męża w czoło, on jej rękę ucałował, ale to już była ostatnia scena dramatu ich małżeńskiego pożycia, ostatni oddźwięk wdzięczności w ostygłych dla męża uczuciach Rozalji. Dziwny też był stan jej duszy, omierziła sobie męża, nasyciła się miłością kochanka i czuła czczość serca. Nie zatarł się w niem jednak obraz Stefana i było uczucie, ale już nie ta piękna, energiczna pierwsza miłość, jaka ją napełniała do pobytu w Dreznie. O kobiety! kobiety! jakże silne jesteście w panowaniu nad sobą, kiedy tego widzicie potrzebę! Jak ta siła wyrabia w was dzielnie sztukę udawania! Hrabina w taką spokojność przyoblekła oblicze i tak je wesołością przystroiła, że hrabia zupełnie był spokojny. Ochotnie wybierała się z Drezna i ciągle Stasiem zajęta, mnóstwem zabawek dziecinnych zasposobiła się dla niego na drogę. Podróż wesoło nawet się odbyła i pod koniec jesieni stanęli w Warszawie.

Warszawa wrzała rozpoczęciem wielkiego sejmu i nigdy jeszcze tak świetną nie była. Hrabina za powrotem do stolicy swojego kraju, wróciła do dawnego sposobu

życia. Dobra Saksonka, bona, najwięcej Stasiem się zajmowała i Rozalja zupełnie na dobrą Niemkę spuściła się. Swobodniejsza więc, odnowiła też same znajomości, też zabawy, mniej nadskakiwaniem króla, który już w więzach p. Grabowskiej nie miał swobody składania hołdów wdziękom pięknych swoich rodaczek. Postrzegła to Rozalja, ale nad Rozalją wzięła górę dumna hrabina i hrabina zapragnęła mieć u nóg swoich panującego. Kibić jej wprawdzie nieco straciła ze swojej szczupłości, ale twarz więcej wypełniona, jeszcze delikatniejszą i świeższą się stała. Król, ile razy z nią się spotkał, zawsze okazywał jej więcej niż dworską grzeczność i zawsze szukał tego spotkania i hrabina, zadowolona postępem tych koronnych attencji, poddawała się wesołości z tak pięknym pozorem bezinteresowności, że nikt ani śmiał ją posądzać o jakie projekta na króla. Czasem przychodził na myśl i piękny kuzynek, ale to był fant odłożony na zapas w potrzebie. Serce może i ulatywało za Stefanem, ale serce hrabiny już tylko w panującym cel życzeń swoich widziało, a powszechne prawie naówczas prowadzenie się dam naszych, życzenia, projekta i postępowanie własne w oczach jej upoważniało. Przeszła zima na zabawach, hrabina wszędzie bywała, kilka nawet wieczorów świetnych okazałością własną i obecnością króla dawali hrabiostwo. Warszawa brała górę, Wiedeń szedł w zapomnienie. Znużona zabawami hrabina zaniemogła, a hrabiemu w tym czasie wypadła pilna potrzeba odwiedzić dobra wołyńskie i na Ukrainie. Wybierał się więc i na ten raz żądał, ażeby żona została w Warszawie. Hrabina napierała się jechać i, niby niezadowolona, zgodziła się z wolą hrabiego, którego niebytność może i całą wiosnę trwać miała. W parę dni po wyjeździe męża hrabina wyzdrowiała i tegoż dnia udała się do p. Krakowskiej, gdzie i króla zastała. Prosty, ale wykwintny strój Rozalji i trochę bladości, dodały wdziękom jej uroku i n. pan uczuł dawniej wzniecone uczucia.

— Ależ hrabina tak polubiła Saksonję, że ledwie

przypomniała sobie, że jest Polką i na ojczystą ziemię wróciła.

— Nietylko w Saksonji, ale i w Wiedniu czułam, że ziemia rodzinna jest najmilszą, a tem milszą, że pod panowaniem takiego monarchy.

— Który nie potrafił jednakże zjednać sobie względów pięknej współrodaczki.

— Czy w. k. mość tak długo dawne przewinienia pamiętasz?

— Serce zapomnieć ich nie daje.

— A jeśli winny za wykroczenie swoje żałuje?

— W takim razie przebaczenie! Bo jestże dla monarchy chwila szczęśliwsza, jak ta, w której przebaczać może!

— August tylko rzymski i August polski podobne uczucia mieć mogą.

— Więc z nami zgoda? — rzeknie król, podając rękę hrabinie.

— Zgoda! i przyjaźń, jeśli w. k. mość przyjąć ją raczy — odpowie hrabina z przymileniem, podając rękę królowi, którą z uniesieniem ucałował. Odtąd widywanie się Rozalji ze Stanisławem Augustem stało się coraz częstsze. W cóż się obrócił ów wstręt ku temu ukoronowanemu szlachcicowi? Zapytaj serca kobiety, kobiety rzuconej w odmęt wielkiego świata, kobiety, która już wyszła za granice surowej małżeńskiej przyzwoitości, w której próżność wzięła górę nad wszystkiemi innemi uczuciami. Moralnej budowy serca Rozalji podstawą była próżność. Ta wydała ją za bogacza, którego świetne zalety znała, ale więcej może ceniła w nim majątek i znaczenie, które i ją w oczach świata podniosły. Wychowana nie w ścisłych religijnej moralności prawidłach, rozumem tylko postępowanie swoje kierowała. Silniejsza od rozumu namiętność, rozwiązała okowy rozumu i przyzwoitości, a obyczaj powszechny, czy moda ówczesna, w oczach jej własnych prowadzenie się jej upoważniały. Rozalja nie kochała króla, ale hrabina chciała panować nad panują-

cym i tej żądzy wszystkie obowiązki poświęciła. Mało ją Staś zajmował, o mężu ledwie sobie wspomniała, a i to wyobrażając sobie, że jest wdową, dożywotniczką ogromnej jego fortuny i marzyła świetność swoją na wielkim świecie stolicy, w swobodzie zupełnej, nawet Stefan nie przemknął się przez myśl marzącej. Jednego ranka nazajutrz po wieczorze u pani Krakowskiej, leżąc na pysznej sofie w salonie, zanurzona była w podobnych marzeniach, gdy oznajmiono jej wizytę hr. Fredro. Znajome nazwisko, ale nikogo osobiście z tej pięknej rodziny nie znała. Ciekawość kazała przyjąć: — Prosić! — rzeknie, poprawiwszy się nieco z zaniedbanego negliżu, który wielce jej był do twarzy. Wchodzi mężczyzna, piękny, lat średnich, w okazałym polskim stroju i pełnym wdzięku ukłonem wita hrabinę. Hrabina oddaje ukłon za ukłon, twarz gościa zdaje się znajoma, ale gdzieby go widziała, nie przypomina sobie.

— Hrabina mnie nie poznaje? — ozwie się przychodzień dźwięcznym i pełnym wyrazu głosem. Rozalja pomięszana spuszcza oczy, i głos gościa wcale jej nie obcy. Tymczasem mniemany Fredro, zrzuca okrągło ostrzyżoną perukę, odejmuje przyprawione wąsy; hrabina podnosi oczy i w najwyższem zdziwieniu wykrzyknie: — Król!

— Tak jest hrabino! król, który dla służenia ci, wybrał strój wiele ci miłego przypominający.

— N. Panie! — rzecze dumnie hrabina — jeżeli wasza k. mość raczyłeś mię tak wysoko zaszczycić, na cóż to przebranie się?

— Czyż sądzisz hrabino, że król wolny jest od śledzących go na każdym kroku?

— Któżby z poddanych śmiał szpiegować swego monarchę?

— Podobne tobie hrabino stworzenia. Ale cóż mówię podobne? któż z tobą porównać się zdoła? — Dlatego też bytność tu moja musi być tajemną. Przybrałem nazwisko Fredra nieobecnego w stolicy, przestroiłem się w suknię niezwykłą i dla większego incognito przy-

szedłem piechotą z jednym tylko paziem, na którego dyskrecji polegać mogę. A to wszystko wiesz hrabino dlaczego?

— Mogęż śmieć odgadnąć?

— Możesz pani! Tak, przyszedłem podziwiać twoje wdzięki, nasycać się przyjemnością twej rozmowy i otrzymać choć jedno życzliwe wejrzenie, choć jedno przyjazne uściśnienie dłoni.

— Tyle zaszczytu n. panie nad moją wartość, ale serce moje niewdzięcznem być nie umie.

— Więc hrabina rada gościowi?

— Hr. Fredro umie czytać w sercach drugich, a osobliwie w sercach kobiet?

— Czy to przybrane nazwisko milsze hrabinie, niż moje własne?

— W. k. mość chcesz być incognito? Potrzebaż, ażeby w domu moim wiedziano, że król odwiedzić mię raczył?

— Słusznie! słusznie! Jak to w tem widać delikatność i takt właściwy wyższego ukształcenia damom.

— Więcej powiem, n. panie, z hrabią mogę być poufalszą, przytomność monarchy wraża uszanowanie należne ukoronowanej głowie, inne uczucia milczeć muszą.

— Znajdąż się dla mnie inne uczucia w sercu hrabiny?

— Byłabym prawdziwie szczęśliwą, gdyby hr. Fredro chciał wierzyć mojej dla niego najszczerszej przyjaźni.

— Czyż dla hr. Fredra zimna tylko ma istnieć przyjaźń?

— Jakież inne uczucia przynieść mu mogę? Mam męża...

— O! co w tem, to daruj hrabino, że ci nie wierzę. Stań obok Fryderyka przed lustrem, a wtenczas powiedz, czy go kochasz?

— Czyż jego umysłu i serca przymioty nie każą zapomnieć jego niepięknej postaci?

— Czy innej hrabina nie zna miłości?

— Nie!

— A maska ofiarująca jej róże?

— Tak, przystojny i miły w obcowaniu mężczyzna, mais c'est un cousin, i nic więcej.

Królowi, to „nic więcej" wielce przypadło do serca, więcej stał się przymilającym. Po chwili hrabina zapytała:

— Czy pozwolisz hrabio czem sobie służyć?

— W domu twym hrabino wszystko dla mnie przyjemnem będzie.

— Hrabina zadzwoniła, wszedł marszałek jej dworu, hrabina rzekła:

— Każ nam wm. pan dać śniadanie i fruktów! — w kilka minut strojna służba zastawiła stół przyborem owoców, świeżo nadesłanych z dóbr hr. Fryderyka. Król, zdziwiony i doborem ich i rzadkością i wczesnem dojrzeniem, zapytał:

— I to wszystko z waszych ogrodów hrabino?

— Fryderyk kocha się, że użyję tego wyrazu, w sadach i pod szkłem najwykwintniejsze i najrzadsze owoce starannie pielęgnuje. Ale panu hrabiemu to wszystko tak powszednie...

— Mylisz się hrabino! W tym względzie jestem ubogi i szczerze wyznam, że więcej, niż ze smakiem pożywam twoje dary.

Pogadanka i traktament trwały więcej dwuch godzin, czas szybko i mile upływał, a tymczasem deszcz rzęsisty padać zaczął. Król mocno tem się zakłopotał, ale hrabina nie dozwoliła mu i pomyśleć o kłopocie.

— Hrabia raczy łaskawie pozwolić, ażeby mój powóz odwiózł go do domu.

— Wszystkie twe rozkazy hrabino gotów jestem dopełnić — odpowiedział Stanisław, całując rękę hrabiny. W kilka chwil potem wsiadł do pięknej modnej karety, gdzie zastał wytworny koszyk wyborem fruktów

napełniony i odjechał do pani Krakowskiej. Odwiedziny te więcej niż zadowolniły hrabinę, jakie zamki budowała w umyśle, o czem marzyła, odgadnąć łatwo, znając próżność pięknej i powodzeniem na wielkim świecie popsutej kobiety. Odtąd widywanie się z królem częstszem się stało. Króla znajdowała u p. Krakowskiej, hr. Fredro nie szczędził odwiedzin w jej własnym domu. Stąd przyszło do zażyłości a zażyłość przywiodła do najściślejszych stosunków. Mijały miesiące, Fryderyk nie wracał, hrabina ani na to uwagi zwracała, byt obecny jej zamaskował, a przyszłość ani jej przez myśl się przesuwała. Hrabina opanować Stanisława Augusta umiała, ale panować nad nim nie potrafiła. Obca jej była dyplomatyka faworyt monarszych, mniemała, że wdziękami, miłą rozmową, namiętnem uściśnieniem wszystkiego dokaże, ale nie znała niestałości Stanisława Augusta, który, jak motyl, wyssawszy słodycz z jednego kwiatka na drugi przelatywał. Wizyty króla stały się coraz mniej częste i Rozalja postrzegła w nich mniej daleko tej zalotności, jaką jej zwykle okazywał. Przyszło na myśl i porównanie z hr. Stefanem i przeszłość się nasunęła i ciężar jakiś osiadł na sercu i sumienie przemawiać zaczęło. Niewierność mężowi, złamanie wiary kochankowi, objawiły się, jak dwa straszne widma, prześladujące ją nieodstępnie. Czuła, że jeszcze kocha Stefana, ale nie mogła zataić przed sobą, że jego miłości nie była godną. Nie mogła bez wzdrygnienia wspomnieć na stosunki z królem, których ślad pozostał. Czuła, że nie kocha Stanisława, a jednak odbierał on dowody prawdziwej miłości. Srogie wyrzuty zawrzały w jej sercu, i w tej walce okrutnej chodziła śpiesznie z załamanemi rękami, a w twarzy i w oczach ta walka żywo się objawiała; w tem oznajmiono hr. Fredra. Rozalja stała się znowu hrabiną, przybrała spokojność oblicza i postąpiła ku drzwiom salonu na powitanie dostojnego gościa, którego już od wielu dni nie widziała. Na ten raz nie był to król, ale piękny średniego wieku mężczyzna, w okazałym stroju narodowym i dziwnie miłego światowe-

go ukształcenia. Pozdrowiwszy hrabinę pełnym wdzięku ukłonem:

— Jestem Fredro — rzeknie — wróciwszy do stolicy, miałem sobie za obowiązek odwiedzić łaskawego sąsiada, hr. Fryderyka, i zaprezentować się szanownej jego małżonce.

— Miło mi poznać się z przyjaciółmi mojego męża — odrzeknie zmięszana nieco Rozalja zawiedzionem oczekiwaniem — i rada jestem tak zacnemu gościowi. — Ceremonjalna była i utrudzająca hrabinę rozmowa, ale umiejąca panować nad sobą, starała się być uprzejmą. Po niewielu chwilach Fredro zabierając się do wyjścia:

— Mam jeszcze do spełnienia polecenie — rzecze — oddano mi ten list i nie wiem dlaczego żądano, ażebym go sam do własnych rąk hrabiny oddał: — to wyrzekłszy, wręczył pismo i pięknym ukłonem pożegnał Rozalję. Po wyjściu gościa, obejrzała piękny list, ale go rozpieczętować nie śmiała. Od kogoż? — Czy może Stefan, spotkawszy Fredra w Wiedniu, pisał przez niego? ale pieczątka nie Stefana. Cyfra tylko S. A. R. — Waha się, namyśla, ale ręka, mimo wolę myśli, rozrywa pieczęć i kopertę. List krótki, podpis: Stanisław. To od króla! i hrabina wzięła się do czytania: — „Obecność hr. Fredra w Warszawie nie dozwala mi więcej pożyczać jego imienia. Dawno ci hrabino nie służyłem, niezmiennym przecież dla ciebie zostanę. Jeśli jednak prawdziwy Fredro podobać się hrabinie potrafi, na tej zamianie nie stracisz". — Wzburzyła się krew cała w sercu dumnej hrabiny, poznała, że była igraszką zalotnego monarchy. Zawrzała w sercu duma, poniżenie, w jakiem się znalazła, srodze przebodło serce, i przed oczyma odkryła się przepaść, nad którą próżność ją zawiodła. Stan jej duszy był okropny. Oszukany mąż, zdradzony kochanek, zapomniane dziecię własne, a jeszcze straszniejszy nad to wszystko stan, w jakim się znajdowała, przywiodły Rozalję do rozpaczy. Zajęta światem, zapomniała o Bogu! Bożyszczem jej była próżność, której wszystko poświęciła. Dzień

cały przeszedł okropnie, cienie nocy jeszcze okropność zwiększały, ledwie nade dniem sen gorączkowy skleił rozpalone powieki, na których ochłodę łzy przyjść nie mogły. Nazajutrz hrabina nie wstała z łóżka, czuła się udręczoną i osłabioną. Około południa po czteromiesięcznej niebytności nadjechał hr. Fryderyk, Rozalja zadrżała na tę nowinę, ale wnet jej przyszła myśl stanowcza i hrabina, przybrawszy zupełny pozór spokojności, z wypogodzonem obliczem męża witała.

— Ty cierpiąca jesteś Róziu — rzeknie troskliwie hrabia.

— Nic, to nic, mała niedyspozycja.

— Przecież, cóż ci jest? co cię dolega?

— Mówię ci, że to tak mała rzecz, że nie warta twojej uwagi.

— Nie mów tego, dla mnie najlżejsze twoje cierpienie jest ważnem.

— Jabym rad widzieć cię zawsze zdrową i szczęśliwą.

— Szczęśliwą! czyż nią z tobą nie jestem?

— A przecież cierpisz.

— Może to cierpienie dobry skutek nagrodzi.

— Nie rozumiem, co przez to chcesz mówić.

— A jeśliby to była nadzieja drugiego dziecięcia?

— Drugiego dziecięcia — rzekł hrabia z bolesnem zdziwieniem.

— Tak — rzeknie śmiało hrabina, — dziecięcia, które musi być twojem.

— Mojem być musi dziecię, do którego się nie poczuwam?

— A gdyby to był potomek ukoronowanej głowy?

— Hrabino! — rzeknie surowo Fryderyk — dość tych żartów! Pamiętam, jaką zapamiętałą odrazę miałaś do króla i wierzyłem ci.

— A gdyby ta odraza zamieniła się w miłość?

— Mogłażbyś się tak uniżyć?

— A twoja matka nie byłaż kochanką Augusta II-go?

Na te słowa hrabia stanął, jak wryty, poglądał na żonę wzrokiem, w którym walkę przywiązania z urazą wyczytać można było, hrabiny oblicze było spokojne. Po chwili Fryderyk rzeknie z powagą:

— Rozaljo! jeśli wyznanie twoje jest prawdziwe, to złamałaś wszystkie obowiązki twojego stanu, winną jesteś przed światem, przed Bogiem i przed własnem sumieniem.

— Tu nie o to idzie. Powiedz hrabio! to dziecię będzie twojem lub nie?

— Nigdy!

— I to ostatnie twoje słowo?

— Ostatnie i niecofnione!

— Słuchaj więc! Występek mój ukryć potrafię, ani będziesz tyle nieroztropnym, ażebyś hańbę twoją przed światem objawił. Ale drżyj! Doznasz, co może kobieta. Zemszczę się, a zemsta moja straszną będzie dla ciebie!

— Czy tak? mościa hrabino! chcesz wojny z mężem, który cię kochał, który cię uszczęśliwiał? — Ale już tych słów hrabina nie słyszała, odwróciła się do ściany i głowę w poduszkach ukryła. Hrabia z uciśnionem sercem udał się do swego pokoju, Rozalja cały dzień widzialną nie była. Nazajutrz Fryderyk taki list od żony odebrał. — „Panie hrabio, raz jeszcze prosząc zapytuję, czy moje dziecię przyjmujesz za twoje. Nie kochałam cię nigdy, odmówienie mej prośbie, bo się aż do prośby uniżam, wzbudzi nienawiść zawziętą, której skutków lękać się powinieneś, bo powtarzam ci, gniew kobiety obrażonej nieubłagany, i straszną prowadzi za sobą zemstę". Zadrżał z gniewu Fryderyk na to pismo żony, kochał on ją jeszcze, jako matkę drogiego mu dziecięcia, po długiem wahaniu się odpisał hrabinie: — „Rozaljo! dlaczegoż udręczasz biednego Fryderyka? Czyż nie doznałaś najczulszej jego miłości w ciągu naszego pożycia? Takaż ma być nagroda tego przywiązania? Widziałem skłonność twoją dla hr. Stefana i usprawiedliwiałem te uczucia dla tak godnego kochania człowieka i nie dałem ci poznać, że

wszystko widzę. Ale obecnie wyznanie twoje, czemże jest? — Rozaljo! Wszystko dla ciebie zrobię, ale powiedz sama, mogęż podzielać uczucia ojcowskie pomiędzy prawe moje dziecię i owoc twojego zapomnienia. Bo nie myśl, ażebym przykładał wiarę, a nawet żebym przypuszczał mniemanie, że zepsucie sprowadziło cię na drogę występku, że dobrowolnie zerwałaś wszystkie obowiązki, wiążące cię ze mną. Rozaljo! ja ci wszystko przebaczam, wszystko zapomnę, ale nie wymagaj ze mnie ofiary, której zrobić nie mogę i nie powinienem. Zapewnię los twojemu dziecięciu, ale mojem przyznać go, nie, nic mię do tego nie skłoni. Błagam cię Rozaljo! upamiętaj się, a twoim do zgonu i niezmiennym będzie Fryderyk". — Za całą odpowiedź odebrał hrabia tylko list swój, na którym wielkiemi literami napisano było: „Rozwód i zemsta!" W kilka godzin potem hrabina wyjechała do swojej ciotki i Stasia z sobą zabrała.

Rozalja szczerze się zawzięła około rozwodu, i rozpoczęła go pod szczęśliwą wróżbą. Król zainteresował ks. prymasa, co miało wpływ i na konsystorz, bo chociaż ks. prymas nie zasiadał w tem sądownictwie, wpływ atoli jego był przemożny, i ani officjał, ani zasiadający bratu królewskiemu narażać się nie poważyli. W całej Warszawie o niczem nie mówiono, jeno o rozwodzie hrabiostwa. Jedni, a tych może było wiele, co największą cenę i nawet szczęście do bogactw przywiązywali, naganiali hrabinie, że się z takim bogaczem rozłącza; inni dziwili się, że z mężem tak odrażającej postaci tyle lat przeżyć mogła i winszowali decyzji rozwodu; ale byli i tacy, co widząc jasno rzeczy i ze względu na postępowanie Rozalji, przed i po zamążpójściu, zgadywali cel rozwodu, nie tajne bowiem w całej Warszawie były wzajemne skłonności hrabiny i jej kuzynka, ale zdaje się, że przy rozpoczęciu rozwodu marzenia o tych uczuciach nie snuły się przed umysłem Rozalji. Sprawa tymczasem szła swoim torem. Hr. Fryderyk, biegły w znajomości wszelkiego prawa i w przyjaźni z oficjałem, używał wszelkich środ-

ków dla stawienia nieprzełamanych trudności. Prawo ma swoją siłę, którą pokonać aby czem trudno, officjał stał przy prawie i zadecydował, że, ponieważ hrabiostwo lat tyle wobec całego świata pięknie z sobą przeżyli, i że owocem tego pięknego pożycia było potomstwo, że ponieważ obie strony żądają rozwodu, a żadnych kanonicznych ważnych powodów niema, rozwód więc nastąpić nie może i tylko separację konsystorz nakazać może, separację najniedogodniejszą Rozalji, a na którą hrabia chętnie przystawał. Hrabina była w rozpaczy, czuła się winną, ale próżność jej rozdrażniona przeciwnościami, polubiła swoją winę, i dalej coraz brnąć nie wahała się. Potrzeba jej tylko było rady jakiego biegłego prawnika, a takiego w Warszawie znaleźć nie mogła.

Słynął naówczas w Lublinie p. Maleparta, pomiędzy biegłymi najbieglejszy jurysta. Znany był w całym kraju ze zręcznego zastosowania prawa do okoliczności w każdej sprawie. Umiał najniewinniejszego prawnie potępić i największego przestępcę uniewinnić, znajdując na wszystko dogodne bronienie takowego to, lub takowego artykułu z kodeksu, bądź cywilnego, bądź kryminalnego, a nawet kanonicznego. Ktoś hrabinie doradził szukać jego pomocy, leci więc do Lublina i natychmiast stawia się przed p. mecenasem. Skoro mu oznajmiono przybycie hrabiny, wyszedł naprzeciw niej i z uszanowaniem do gabinetu swego wprowadził. Długo w milczeniu wpatrywali się w oczy jedno drugiemu, nakoniec ozwie się jurysta:

— Pani hrabina chciałaby zapewnie poradzić się w swojej rozwodowej sprawie?

— Nie inaczej mości mecenasie, po to właśnie tu przyjechałam.

— Źleś p. hrabina trafiła. Jej sprawa w konsystorzu, a ja się w kanoniczne sprawy nie wdaję.

— Ale w mojej sprawie i sam król się interesuje.

— Wolno n. panu interesować się sprawami jego poddanych i wspierać je, ale p. hrabina wie, że u nas król jest władzą wykonawczą i, ulegając prawu, zmienić go nie

może, chyba za wolą sejmu, a chciałabyś pani, ażeby sprawa jej wytoczyła się przed ten straszny areopag?

— O! nie, ja pragnę ukończyć w konsystorzu a pełna zaufania w wysokiej mądrości p. mecenasa, dobrej jego rady upraszam.

— Jakież pani masz przyczyny rozwodu?

— Że młoda i niedoświadczona, za namową drugich oddałam rękę hrabiemu.

— Zdaje mi się jednak, że p. kasztelanka musiała mieć pełne lata, kiedy już i osobą swoją i fortuną władała.

— Ale mój mąż jest nieznośnie brzydki i odrażający.

— Czy był piękniejszym starając się o jej rękę? Czy postępowanie z żoną wyrównywało jego szpetności?

Hrabina milczała, Maleparta pilnie w nią wpatrując się mówił:

— Czy możesz mu pani zarzucić, że materjalnie, równie jak i moralnie był złym mężem? Czy mieliście potomstwo? Czy masz mu do zarzucenia niewierność i grube obchodzenie się z nią w pożyciu?

— Na nieszczęście, prócz mej nienawiści dla niego, innych nie mam powodów.

— Jakież były przyczyny tej nienawiści?

Hrabina spuściła oczy, prawnik dalej mówił: — Lekarz chce poznać chorobę, poznać musi dokładniej najdrobniejsze okoliczności, mogące dać powód do choroby. P. hrabina mię rozumie?

— Mogęż panu zaufać? Nie zdradziszże mojej tajemnicy?

— Sacro sancte dochowam jej sekretu, ale chciej mi się zupełnie powierzyć. Hrabina wahała się, potrzeba było wyspowiadać się z całego postępowania, potrzeba było wyznać to, co nawet przed sobą samą ukryćby chciała. Sroga walka toczyła się w jej duszy, sumienie odzywało się jeszcze, ale ambicja, próżność i chęć zemsty przemogły i hrabina i miłość swoją dla Stefana i intrygę z królem wyznała, nie tając nawet ostatniej z mężem rozmowy.

— W tem wszystkiem, co mi p. hrabina opowiadasz, widzę tylko złą stronę pani i najczystszy interes hrabiego. Pani rozwodu nie otrzymasz.

Hrabina wzdrygnęła się na te słowa, ale zbierając się w myślach, zręcznie położyła na kantorku sporą sakiewkę złota i poniosła chustkę do oczu, jakby dla otarcia łez, których może i nie było. Prawnik spojrzał na worek zważył w ręku i pełnym współczucia tonem ozwie się do płaczącej:

— Smutek pani hrabiny silnie przemawia do mego serca, czuję jej niedolę i radbym z całej duszy pomódz jej moją radą.

— O! ratuj nieszczęśliwą! W tobie jedyna moja nadzieja.

— Znajdą się jeszcze może sposoby, zobaczymy. Miałażbyś p. hrabino męstwo poświęcić własne dziecię dalszym widokom i pozbawić męża ulubionego mu potomka?

— Ta myśl i mnie przychodziła. Mogęż się tak osławić publicznie?

— A jeśli tego będzie potrzeba dla dzisiejszego jej położenia?

— Nie możnaż innym sposobem tej nieprawności dziecięcia dowodzić?

— W tem pani, jako kobieta, potrafisz sobie poradzić. Ja to tylko powiadam, że zniszczenie tego przedmiotu, wiążącego małżeństwo przed Bogiem i prawem, rozwiąże węzły od kościoła zatwierdzone i pani rozwód łatwo otrzymasz. Dam pani list do ojca Bernarda ex-jezuity w Warszawie, staraj się ująć mnicha, a on biegły znajomości praw kanonicznych, jako utrisque juris doctor, wynajdzie powody zdolne pokonać surowość konsystorza.

Hrabina chciała ucałować rękę zacnego mecenasa, ale ten uprzedził damę i jej rękę ucałował, potem siadł do kantorka dla napisania listu, hrabina utonęła w swoich marzeniach. Oddając pismo hrabinie, postrzegł na jej palcu pierścień z prześlicznym szmaragdem, upominek

hr. Stefana w chwilach szczęśliwych jego miłości; jął mu się przypatrywać i pyszny klejnot wychwalać. Rozalja uradowana i radą i pomocą prawnika, bez wahania się zdjęła pierścień z palca i podając mu go: „to — rzeknie — będzie pamiątka mojej dla p. mecenasa wdzięczności“ — prawnik ucałował rękę podającą mu pierścień i hrabinę aż do ganku odprowadził. Upominek prawdziwej miłości stał się nagrodą brudnej intrygi.

Wracając do Warszawy hrabina rozmyślała o swojem obecnem położeniu, a myśl, przenosząc się z przedmiotu na przedmiot, z okoliczności w okoliczność, uniosła się daleko w przeszłość i odezwała się w hrabinie Rozalji. Wywołane ubiegłe lata wywołały wspomnienia miłe, już prawie zatarte. Nie mogła zataić przed sobą, że była z Fryderykiem szczęśliwą, że ten nadmiar szczęścia spospolicial i nakoniec znudził ją. Żal jej było za przeszłością, a przyszłość nie w jasnych barwach marzeniom jej się przedstawiała. Jeśli potrafi ukryć swój stan obecny, to jeszcze połączenie się ze Stefanem wszystkie jej zabiegi uwieńczy. Ale możeż się to ukryć? Czyż to nie jest wiadome Fryderykowi? czyż nie odmówił jej wymaganiu? I ta myśl obudziła całą jej zawziętość i znowu Rozalja znikła w hrabini.—„Nie!—mówiła do siebie — kiedy nie chce przyjąć mojego dziecka, to i swojego mieć nie będzie“. I to postanowienie owładło wszystkiemi uczuciami i o rozwodzie tylko marzyła. Stanąwszy w Warszawie, posłała najpierwej do ś. Krzyża, gdzie mieszkał o. Bernard, zapraszając zakonnika na konferencję w ważnym interesie. Nie odmówił i w godzinę potem oznajmiono ks. ex-jezuitę. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, wysoki, chudy, rysów twarzy wydatnych, z czarnemi z pod brwi błyskającemi oczami i ściągniętemi ustami. Hrabina postąpiła ku niemu aż do drzwi salonu, zakonnik ze złożonemi na piersiach rękami, nizko się pokłonił. Hrabina prosiła, aby usiadł, i nie tracąc czasu:

— Oto jest list do waszej przewielebności, racz go przeczytać, a będziesz świadom o co chodzi. — Starzec

wziął pismo, dobył okularów i czytał; hrabina oczu z niego nie spuszczała i dopiero rozpatrzywszy się w rysach jego, dostrzegła, jak odrażającą była fizjognomja tego, który ma o jej przyszłości stanowić. Im dalej czytał list, tem więcej w twarzy jego malowała się chytra ironja i niemało cynizmu. Wzdrygnęła się Rozalja, wspomniawszy sobie, z jakiemi ludźmi położenie jej zmuszało ją mieć stosunki, ale karta rzucona, cofnąć się już niepodobna. Skończywszy czytanie, Bernard z uniżonością jezuicką skromnie zapytał:

— Czegóż jw. hrabina żąda ode mnie?

— Ażebyś ojcze pomagał w mojej sprawie.

— Z duszy radbym służyć p. hrabinie, ale to nie moja rzecz. Niegodnemi mojemi modlitwami jedynie pomoc nieść mogę.

— Ale tak głęboki teolog i tak biegły prawnik! — rzecze hrabina ściskając mu rękę, w którą wsunął się nieznacznie 50-dukatowy rulonik — czyż odmówić zechce prośbom żony znękanej i szukającej wsparcia w głębokiej jego mądrości?

— P. hrabina tak czule przemawiasz do serca, że niepodobna nie uczuć jej niedoli i nie nieść jej najtroskliwszej pomocy i usługi. Kogo pani masz adwokatem w konsystorzu?

— P. Augustowicz trudni się moją sprawą.

— O! to bardzo prawy człowiek i biegły prawnik, ale niedostaje mu energji w decydowaniu się na krok stanowczy.

— Mogęż zmienić patrona w ciągu rozpoczętej sprawy?

— I dziesięć razy, jeśli się pani podoba.

— Kogoż mam wybrać na jego miejsce?

— Jakiegoś duchownego, obznajomionego z prawami kanonicznemi.

— Któż tu znajdzie się w tem doskonalszy od wmpana dobrodzieja?

— I bardzo wielu! Mościa hrabino! — ale w tej od-

powiedzi zakonnika jawnie przebijało się „ja“ i hrabina go pojęła.

— Więc błagam! nie odmawiaj przyjęcia mej sprawy.

— Ale! mościa hrabino! ale!..

— Idzie o wynagrodzenie? proszę mię nieoszczędzać, czem mogę usłużyć?

— Tysiączek czatych na biednych rozproszonych synów Lojoli!

— Będziesz je mieć, ale działaj i doprowadź do pomyślnego końca mój interes. — W dalszej konferencji powtórzyło się to wszystko, o czem mowa była u Maleparty, ale kiedy rzecz doszła do pozbawienia syna i tytułów rodowych i ogromnej fortuny i serca ojcowskiego, Bernard pełnym czułości głosem zapytał: — I p. hrabinie nie żal dziecięcia?

— Sąż jakie inne sposoby ratowania się?

— W rzeczy samej, ten jest jedyny tylko i najpewniejszy, ale co na to mówi serce matki?

— On przez to nie przestanie być moim synem, a mój własny majątek jest dla niego dostateczny.

— Czy pani masz jakie zapisy od hrabiego?

— Gdybym go przeżyła, dożywocie na całym majątku.

— Przez rozwód pani od tego dożywocia odpadasz.

— Mniejsza o to. W powtórnych związkach znajdę i szczęście pożycia i prawie tak wielką fortunę.

— Więc rzecz skończona. Jutro p. hrabina podasz do konsystorza o zmienienie p. Augustynowicza. To rzekłszy skłonił się nizko i wyszedł.

— W kilka dni potem stanął o. Bernard w konsystorzu, wymownie i energicznie malując ucisk hrabiny i potrzebę rozłączenia jej z mężem.

— Ale ojcze Bernardzie! — rzecze oficjał — już to wszystko roztrząsaliśmy i okazało się, że pożycie hrabiostwa było dobre i uwieńczone potomstwem.

— A jeśli ten potomek nie jest synem hrabiego?

— To fałsz! Mamy w ręku literalne dowody prawości ojcostwa hrabiego.

— A jeśli dowody złożę i świadków postawię, że się rzecz ma inaczej?

— Ojcze Bernardzie! nie unoś się! To ci będzie przytrudno.

— Owszem illustrissime! Mały Stanisław jest podrzutkiem i prawdziwi rodzice jego żyją.

— Prawda! — ozwie się patron hrabiego — żyją i są tu w Warszawie, hr. Fryderyk i hrabina Rozalja.

— Korona hrabiowska nie wieńczy czoła chłopca wieśniaczego.

— Dość na tem — rzeknie oficjał — złóż waszeć dowody i postaw świadków, bo słowa same rzeczy nie stanowią.

— Na następnej sesji illustrissime! wszystko dopełnię.

— Kiedyż sesja? — zapytał oficjał sekretarza. Ten spojrzał w protokuł, potem w rubrycelę i rzekł: za dziesięć dni.

— Dobrze! teraz solwuję sesję — rzekł oficjał, powstał i wszyscy ruszyli się do wyjścia. Z sesji oficjał udał się do hrabiego. Hrabia mocno był zmartwiony postępowaniem Rozalji, kochał ją jeszcze, może nie jak żonę, z którą lat kilka pożycia mile mu upłynęło, ale jak matkę drogiego mu dziecięcia. Czuł, że gdyby mu przyszło znowu żyć z nią, pożycie to byłoby pasmem niesmaku i nieporozumień trujących spokój domowy. Separacja zdawała mu się najprzyzwoitszym środkiem rozłączenia, nie zrywając przyjaznych nawet stosunków jedynie dla syna. Pewny, że sprawa ukończy się odpowiednio jego życzeniu, układał sobie, jaki wyznaczy fundusz hrabinie do przyzwoitego jej utrzymania z synem, dopóki ten nie dojdzie lat potrzebnych do rozpoczęcia nauk i w tych miłych marzeniach zwiastowano mu przybycie oficjała. Wyszedł z uszanowaniem naprzeciw czcigodnego pasterza; starzec czule uściskał hrabiego, a gdy usiedli

tak się odezwał: — Nie miłej sercu twemu kochany Fryderyku jestem posłańcem nowiny, ale ją mężnie znieść potrzeba i jeszcze mężniej opierać się skutkom mogącym z niej nastąpić. Hrabina w sprawie swojej za patrona przybrała ojca Bernarda.

— Mówią, że jest nadzwyczaj biegłym w znajomości prawa, a szczególniej kanonicznego.

— I potrafi znaleźć środki do poparcia najgorszej sprawy.

— Tego się nie lękam, bo pani Rozalja niema ani jednego punktu mogącego popierać rozwód, wszystkie są na moją stronę.

— Tak, dotąd! — ale jeżeli hrabina zechce ci dowieść nieprawości twojego dziecięcia?

— Ona! miałażby tyle złości w swej duszy, ażeby i mnie i sobie wydrzeć jedyne szczęście?

— A jednak patron jej wniósł tę kategorję do konsystorza i za dziesięć dni ma złożyć dowody i świadkami je zatwierdzić.

— O! tego nie dokaże. Wszak sam byłem najpierwszym świadkiem urodzenia mojego Stasia, wszakże i ta żyje, która go odebrała i na to wszystko mam literalne dowody.

— Daj Boże! uweseliłoby się serce moje, bo i złość bezbożnej kobiety byłaby ukarana i mój przyjaciel zachowałby pociechę dalszego życia. Nie trać więc czasu i pośpieszaj z dostawieniem tego wszystkiego, co twoją sprawę wyjaśnić może. Ja potrafię zawiesić dalszy ciąg procesu pod pozorem rozpatrzenia sprawy w najdrobniejszych jej szczegółach. Działajmy silnie, a może jeszcze dobra sprawa tryumf odniesie. Żegnam cię przyjacielu! męstwo i działalność przy pomocy Boskiej niech cię nie odstępują. Uścisnęli się przyjaciele, hrabia odprowadził biskupa aż do karety. Ale co się w sercu biednego Fryderyka działo! Jak grom jaki, brzmiały w uszach jego słowa przyjaciela. Pojąć nie mógł zawziętości, z jaką Rozalja uwzięła się na jego szczęście. Rozpamiętywał całe

swoje z nią pożycie, ale wszędzie widział postępowanie swoje najuczciwsze. Rozbierając jednak wszystkie prawie chwile, z porządku przypominał sobie ostatnią z żoną rozmowę. Tu stanęły mu w myśli słowa Rozalji, „a zemsta moja straszną będzie“ — i padł na krzesło, jak piorunem rażony.

Hrabina wiedziała o sesji i niecierpliwie oczekiwała swego patrona. Nie opóźnił się o. Bernard i z uweselonem obliczem idącą naprzeciw niego powitał. — Dobra nasza, hrabino! Wniosłem straszną kategorję, przeraziła wszystkich. Oficjał kazał złożyć dowody, oświadczyłem, że i świadków dostawię. Masz-że pani kogo, coby przysięgą stwierdził zadaną dziecięcia nieprawość?

— O tem pomyślałam. Miałam służącę, córkę zasłużonych w domu naszym, wydałam ją zamąż i los jej zapewniłam. Mieszka niedaleko w moim majątku, za parę dni może być tu i pewna jestem, że na jej przywiązaniu i wierności polegać mogę.

— Skoro przyjedzie, niech ją hrabina przyszle do mnie dla dania instrukcji, co i jak ma mówić.

— Dobra to kobieta i prosta, potrzebaby silnie podziałać dla przełamania skrupułów, jakieby mieć mogła.

— Każ jej pani spowiadać się, a to będzie najlepszy środek.

Na tem skończyła się konferencja. Hrabina uradowana wsunęła znowu rulonik, zakonnik pokornie się skłonił i wsunął do kieszeni ofiarowane złoto dla wsparcia rozproszonych synów Lojoli. Takie to wówczas było rozprzężenie obyczajów na wielkim świecie, taka miłość złota! Hrabina, kupiwszy sobie w duchownym obrońcę najgorszej sprawy, cieszyła się już najprzód pomyślnem jej rozwiązaniem. Odzywało się czasem macierzyńskie uczucie, ale mówiła sobie: „Staś nie mniej przeto synem moim będzie, choć nie będzie hrabią“ i ubezpieczała sama siebie, że w postępowaniu jej nic nieprawego niema. Nadjechała oczekiwana Wiktorja, hrabina przyjęła ją ze łzami; dobra kobieta wzięła te łzy za tłumaczów cierpień

hrabiny i szczerze nad panią swoją zapłakała. Rozalja wyobraziła jej pożycie swoje najnieszczęśliwszem, Wiktorja wszystkiemu uwierzyła, bo po pobraniu się hrabiostwa rok tylko jeszcze była w służbie. Hrabina tak dalej mówiła:

— Musiałam pójść do rozwodu, sprawa zaczęta, zechcesz mi być w niej pomocą?

— O! pani moja! matko moja! Wszystko, co tylko w możności mojej! wszakżem ci szczęście moje winna.

— Ja cię jeszcze więcej uszczęśliwię moja Wiktosiu! Ale żebyś mogła być pomocą w mojej sprawie, potrzeba ci przysiądz, a przed przysięgą wyspowiadać się potrzeba. Mam tu znajomego bardzo pobożnego księdza, dam ci do niego bilet i jutro pójdziesz do ś. Krzyża, a tam go znajdziesz. Wiktorja bardzo kochała swoją panią, czuła dla niej wdzięczność za odebrane łaski i za te, których spodziewać się mogła, na wszystko więc łatwo przystała i nazajutrz raniutko udała się do kościoła. Górna świątynia jeszcze zamknięta była, w dolnej żałobna msza się odprawiała, przy wejściu przechadzał się poważny siwizną kapłan, odmawiając pacierze. Wiktorja z uszanowaniem przybliżywszy się, zapytała o ojca Bernarda.

— Ja jestem, czego potrzebujesz moje dziecię?

Wiktorja oddała mu list hrabiny, ksiądz przeczytał. — Dobrze moje dziecię, chcesz się spowiadać? Dokończę moich pacierzy, a tymczasem przygotuj się, uczyń intencję i zbierz myśli twoje, bo spowiedź jest Sakramentem, do którego lekkomyślnie przystępować nie można. Wiktorja uklękła przed bocznym ołtarzem i gorąco się na intencję pani swojej modliła. Skończyła się msza i kapłan wyszedł, ojciec Bernard dał znak modlącej się i zasiadł w konfesjonale. Krótka była spowiedź poczciwej niewiasty, Bernard dalej pytał:

— Czy starałaś się odwdzięczyć dobrej swej pani?

— Nie miałam dotąd okazji do tego.

— Wdzięczność za dobrodziejstwa jest obowiązkiem religji, mogłażbyś więc dla twej pani poświęcić się?

— Na wszystko!

— A gdyby żądała twojego świadectwa w ważnej okoliczności jej sprawy?

— Przyświadczę wszystko, com tylko widziała.

— A gdyby potrzeba było świadczyć rzecz niewidzianą?

— Jeśliby to było podobnem do prawdy i nie obciążyło mojego sumienia.

— Słuchaj! moja duszo! kłamstwo jest ciężkim grzechem przed Bogiem, ale jeżeli kłamstwo popełnia się dla ratowania w nieszczęściu bliźniego, to je Pan Bóg odpuszcza.

— Co mam czynić mój ojcze?

— Masz Stasia przyznać za twego syna.

— A Pan Bóg z jegomością! A gdzież takie jawne kłamstwo!

— Czy ty kochasz twoją panią?

— Jak matkę rodzoną.

— A przecież nie chcesz podać jej ręki w nieszczęściu.

— Ale pozbawiając państwa moich jedynego dziecięcia, mogęż kiedykolwiek mieć spokojne sumienie?

— Jakże ty mało masz religji! Czyż nie widzisz w postępku swoim najcnotliwszego poświęcenia twego dziecięcia na miejsce dziecięcia twojej pani, zmarłego w samej chwili urodzenia.

— Ale kiedy tak nie było, jak mi Bóg miły! nie było.

— Ale być mogło. I wiara ci nakazuje dla szczęścia twej dobrej pani wyznać przed sądem, że wzruszona jej łzami, oddałaś jej swoje dziecię. Takie kłamstwo Bóg ci odpuści, spokojność twojej pani będzie twoją duchowną nagrodą, a doczesnej spodziewać się możesz obficie od hrabiny.

— Ale pan hrabia! On taki dobry! jego lękam się obrazić.

— Dobry uczynek ma za sobą obronę Boską, a twój postępek więcej niż dobrym będzie.

— Jeżeli przyświadczę, któż słowom moim da wiarę?

— Stwierdzisz je przysięgą.

— Jakto? jeszcze i krzywoprzysięstwo? O! Boże mój, na to się nie poważę.

— I kłamstwo i krzywoprzysięstwo spełnione dla dobra bliźnich, odpuszczone będą.

— I znajdzież się ksiądz, któryby mię rozgrzeszył?

— Ja ci dam rozgrzeszenie; jako kapłan, mam władzę odpuszczenia, a co my odpuszczamy i Bóg odpuści. I cóż zezwalasz na twoje świadectwo? Wahasz się? Pomnij, że jeszcze straszniejszy grzech popełniasz, bo zabijasz twoją panią. Twe świadectwo zbawić ją może, bez niego zgryzota wpędzi ją do grobu i jej śmierć na twojem sumieniu będzie! Cóż?

— Niech się dzieje wola Boża! Pani moja kochana! dla ciebie!..

— I przyjmujesz Stanisława syna hrabiny za swego?

— Przyjmuję!

— I zaświadczysz to przed sądem?

— Zaświadczę.

— I stwierdzisz przysięgą?

— Stwierdzę!

— Ego te absolvo, mruczał Bernard pod nosem i uprzednią absolucją zdjął skrupuły z sumienia prostej duszy, i utwierdził w mniemaniu, że grzechu nie popełnia. Co się w sercu biednej Wiktorji działo! sumienie ją strofowało, ale słowa kapłana sumieniu milczeć kazały. Wychowana w pobożnej prostocie, słowa spowiednika uważała za swoją wyrocznię. Bo jakże, ksiądz, jeszcze i na spowiedzi mógłby ją do grzechu namawiać. Uspokojona więc wróciła do hrabiny i wszystko jej opowiedziała. Ze łzami Rozalja ściskała Wiktorję, czuła bowiem, że w istocie występek tej sługi był ciężki i że tylko intryga mogła proste serce tej dobrej kobiety omamić i sumienie zagłuszyć. Coś nakształt zgryzoty przemknęło się w sercu hrabiny, ale nadzieja dopięcia zamiaru i to zagłuszyła.

Ułożyły więc powieść o Stasiu, jaką miała zaświadczyć Wiktorja.

Hrabia, przyszedłszy do siebie ze swego bolesnego odurzenia, pojechał odwiedzić żonę, ale hrabina odwiedzin nie przyjęła i w rozpaczy prawie wrócił do siebie. Żadna myśl dobra nie przychodziła do głowy, wszystko czarno mu się w przyszłości malowało i upadał na duchu. I nie dziw, bo tu już nie szło o żonę, której szacować nie mógł, ale o jedyną pociechę, o jedyną nadzieję świetnej i szczęśliwej przyszłości, chodziło o syna! Sesja stanowcza zbliżała się, potrzeba działać i hrabia dałby był pół majątku za dobrą radę, ale tej rady znaleźć nie można było. Kobiety, będącej przy urodzeniu Stasia, śladu nawet gdzie się wyniosła nie znajdowano. W takim stanie duchowego upadku zastał go oficjał:

— Cóż mój Fryderyku? maszże czem obalić zarzut zrobiony przez patrona Rozalji?

— Nie, mój ojcze! nic nie mam na obronę. Kobieta nawet odbierająca dziecię moje zniknęła z tamtych stron, ani jej odszukać można.

— A doktór?

— Co chwila go wyglądam i na nim cała nadzieja moja.

— Słuchaj! na odparcie złośliwości kobiety, dla której nic świętego niema, wszystkie środki są pozwolone. Mnie kapłanowi nie należałoby może podawać podobnej rady, ale człowiekiem jestem i bliźniemu pomagać w dobrej sprawie za najświętszy mam obowiązek. Użyj twoich bogactw!

— Czyż ich żałuję? Połową majątku opłaciłbym dobrą radę.

— Tak wiele nie potrzeba, tańszych dostaniesz świadków.

— Ale czas już tak krótki!

— Tego się nie lękaj! Potrafię, pod pozorem wzięcia pod ścisłą rozwagę świadectw hrabiny, dać zwłokę

procesowi, ale potrzeba, ażebyś się z nią widział i raz jeszcze pomówił.

— Chciałem to zrobić, ale mię nie przyjęła.

— Więc ja sam do niej pojadę i użyję wszelkich sił duchownej wymowy dla obudzenia w niej wiary. Może tyle będę szczęśliwym, że wzruszę w niej uczucia natury i sumienie obudzę.

— Ojcze! Idź! w tobie nadzieja.

W pół godziny kareta oficjała była u bramy mieszkania hrabiny, zajętej konferencją z ojcem Bernardem. Oznajmiono gościa. Tak dostojnej osoby nie przyjąć, niepodobna było, Bernard polecił tylko hrabinie stałość w przedsięwzięciu i bocznemi drzwiami wysunął się z pokoju. Hrabina przyjęła biskupa z uszanowaniem i ze spokojnem obliczem. Długo biskup badawczym wzrokiem wpatrywał się w twarz Rozalji, ale to nieme wybadywanie nie wywołało na niej żadnej zmiany, nareszcie biskup tak się odezwał:

— Cóż mościa hrabino! czy trwasz upornie w twojem przedsięwzięciu?

— Dlaczegożbym miała je zmienić?

— Czy wspomnienie błogiej przeszłości, wysokiego socjalnego stanowiska, czy nakoniec miłość macierzyńska nie przemawiają do twego serca?

— Przeszłość się zapomniała, a dziecię! mamże ja dziecię?

— Jakto? a tenże syn, któregoście z taką troskliwością w takich pieszczotach wychowali?

— Staś? ani hrabiego, ani moim nie jest synem.

— Natura nie może przemawiać we mnie, nie za mojem dzieckiem.

— Kobieto! opamiętaj się! stoisz przed kapłanem, w obliczu Boga, który jednem skinieniem może cię zniszczyć i na wieczne skazać męczarnie! Czegoż żądasz od hrabiego? mów! wszystko on gotów poświęcić dla swego syna.

— Hrabia wie o co chodzi.

— Ale i ja wiedzieć powinienem.

— Wszakże nie jestem przy konfesjonale.

— I nie będziesz przy nim. Kościół zamknie się przed tobą i w ostatnich nawet chwilach żaden kapłan ostateczną pociechą nie ulży udręczeniom sumienia, nie dającym spokojnie skonać!

— To zostanę luteranką.

— O! czarne stworzenie niegodne imienia człowieka! W imię tego Boga, którego tak ciężko obrażasz, rzucam klątwę na ciebie!

Hrabina głośno się rozśmiała, ale w tym śmiechu było coś tak piekielnego, na twarzy wyraz był tak szatański, że oficjał wzdrygnął się, odwrócił oczy i śpiesznie opuścił jej mieszkanie. Ale i hrabinę samą strach objął i ruszyć się z miejsca nie mogła, wtem wszedł o. Bernard, oczekujący tylko w przyległym pokoju na odejście biskupa i swoją wymową potrafił uspokoić hrabinę, upewniając, że on, jako wiadomy jej tajemnic, rozgrzeszy ją i klątwę z niej zdejmie.

Tymczasem hrabia, nie mogąc uzyskać widzenia się z żoną, napisał do niej w te słowa: „Jeszcze raz Rozaljo! odzywam się do ciebie, do twojego serca, w którym tak piękne tlały uczucia, które żyło dla dobra drugich! Zlituj się nad nieszczęśliwym ojcem! powróć mu jego dziecię! Do rozwodu dopomogę, dwa miljony ci ofiaruję, zostaw mi mojego Stasia! zaklinam cię na miłość tego dziecięcia, na pamięć matki twojej!“ Hrabina odebrała list, przeczytała i na drugiej stronie napisała: „Nie o rozwód idzie, ani o bogactwo! albo dwuch masz synów, albo żadnego! Pomnij! że podskarbi względem przyjęcia ciebie nie robił tyle trudności“. Hrabia przeczytawszy te słowa zemdlał z boleści. Zbiegli się przyjaciele pocieszać cierpiącego z całem współczuciem przyjaźni, ale nikt prawdy nie wiedział. Hrabiego ostatni wyrzut ubodł srodze, że i nienawiść i wzgardę uczuł ku żonie. Bolał nad utratą swego ojcostwa, ale uraza przemogła i miłość dla dziecięcia. Jeszcze przecież nic ostatecznie nie postanowił,

zdawało mu się bowiem, że Rozalja nie zechce okryć się hańbą publicznie wyznając przed konsystorzem, że ojcem jej dziecka nie był jej mąż. Postanowił więc sobie być osobiście na tej sesji, mającej rozwiązać tak ważną dla niego okoliczność.

Minęło dziesięć dni, nadeszła stanowcza sesja, oficjał zezwolił, ażeby była publiczna, mnóstwo więc dystyngowanych osób napełniało salę. Sprawa rozwodowa hrabiny wiadoma była całej Warszawie, ale szczegółowych jej okoliczności nikt nie znał, ciekawość przeto powszechna sprowadziła licznych widzów. Hrabina stawiła się jako działająca; czarna szeroka suknia całą jej figurę okrywała, głowę otaczała czarna zasłona nie zakrywając twarzy. Rozalja jeszcze piękną była, a czy to niepewność sprawy, czy też może i wewnętrznie upominające sumienie działało, hrabina była blada i nie miała w obliczu tej spokojności, jaką w potrzebie przybrać umiała. Oficjał podniósł się, gdy weszła i wskazał jej miejsce, na którem usiadła. Fryderyk siedział smutny, ale twarz jego była spokojna. O. Bernard wymownie wprowadził sprawę, wyliczał przyczyny powodujące hrabinę do rozłączenia się z mężem i tak dalej rzecz swoją prowadził: — Niepodobna było hrabinie żyć z mężem, z którym tyle cierpiała, a z którym pożycie dalsze nie robiło jej nadziei, ażeby kiedy była matką, bo i ten chłopiec, którego z takim staraniem wychowywali, nie jest ich synem.

— Fałsz! — wykrzyknie razem hrabia i oficjał — oto jest obecny tu lekarz, w którego oczach urodziło się dziecię! — doktór przyświadczył najdowodniej.

— Nie zaprzeczysz doktorze, że to dziecię urodziło się słabe?

— Temu nie przeczę.

— I wkrótce po przyjściu na świat skonało.

— Jako żywo! nazajutrz już było silniejsze.

— Tak, w istocie, ale to było już inne dziecię podłożone na miejscu zmarłego.

— Jakież masz na to dowody?

— Oto jest niewiasta, która dotknięta boleścią swojej pani, nie wahała się poświęcić jej swojego dziecięcia, a tym sposobem hrabstwo zostali oszukani i dziecię tej kobiety przyjęli i wychowali za swoje.

Kazano przybliżyć się Wiktorji. Drżąca, pomięszana zbliżyła się do stołu, zachwiała się, ale spojrzawszy na hrabinę, zrozumiała jej wejrzenie i dość śmiało opowiedziała ułożoną wprzódy z Rozalją historję.

— I stwierdzisz to przysięgą? — zapytał oficjał.

— Stwierdzę! odrzekła drżącym głosem. Wszyscy obrócili oczy na mówiącą, oficjała oburzyła bezczelność, której był pewnym, a której jednak nie miał czem zwalić.

— Otóż jest prawdziwa matka syna hrabiego, ale nie hrabiny, a jeśli hrabia popiera swoje prawo ojcostwa, to chyba miał stosunki z obecną tu kobietą.

— Zobaczymy! ozwie się oficjał — potrzeba stawić tu dziecię. Natura powinna się odezwać, a naiwność dziecinna udawać nie potrafi.

— Zgoda! odpowie o. Bernard, ufny, że dziecię poprzedniczo rolę swą odegrać potrafi. Posłano Wiktorję po Stasia, wszyscy niecierpliwie oczekują przybycia jego. Bernard wstrzymał przysięgę. Hrabiego serce silnie bije, swobodnie odetchnąć nie może, Rozalji część twarzy zakrywa welum, trudno dostrzedz jakie w niej grają uczucia, ale lekkie drżenie ciała ukryć się nie zdoła. W sali głuche milczenie, oczy wszystkich ku drzwiom zwrócone. Nareszcie wprowadzają Stasia, hrabia wstał i przechylił się ku wchodzącemu dziecięciu. Staś, wyrwawszy się z rąk Wiktorji, biegnie do hrabiny i rzuca się jej na szyję. Rozalja odpycha go od siebie i oddając Wiktorji zawoła: — To jest twoja matka. — Odtrącone dziecię, postrzega hrabiego, bieży do niego i tuląc się do jego piersi krzyknie — „Tatu! prawda, że Wiktorja nie moja mama?“ — Hrabia rozrzewniony mówić nie może, przyciska tylko do łona tulące się dziecię, wszyscy już pewni wygranej hrabiego, a w tem Bernard przybliża się do Stasia i pełnym słodyczy i czułości tonem zawoła:

— Biedna dziecino! hrabia nie jest twym ojcem!

— Fałsz! ozwą się razem hrabia i oficjał — natura jasno przemówiła przez usta dziecięcia.

— To nie natura, to nawyknienie od urodzenia odzywa się w dziecku.

— Na to zabraknie ci dowodu.

— Mościa hrabino! zawoła Bernard, — szczerze chciałem ci dopomódz, chciałem temu dziecku dać prawych rodziców, ale wszystko się moim dobrym chęciom sprzeciwia. Niepodobna inaczej działać, jeno prawdę wobec publiczności wyznać.

— O! nigdy, nigdy! wykrzyknie hrabina.

— Potrzeba i hrabiego z błędu wywieść i świat przekonać.

— Raczej umrzeć! — W rzeczy samej hrabina niepojmowała do czego ściąga mowa jej patrona i lękała się, ażeby całej intrygi nie wydał.

— Sądzie prześwietny! wykrzyknął Bernard — wyznaję z pokorą, że cała rzecz była nastrojoną, że Wiktorja namówiona udała się za matkę tego małego. Wszystko zrobione było dla osłonienia honoru hrabiny. Ale na cóż łudzić hrabiego i świat cały uwodzić? Powiedz pani, mamże odkryć prawdę?

— Mów! rzeknie hrabina z głuchym jękiem.

— Staś jest prawdziwym synem hrabiny, ale nie hrabiego!

— To potwarz! zawoła boleśnie hrabia.

— Nie! jest to istotna prawda! hrabina przed ślubem z hrabią była już matką. Uderz się w piersi grzesznico! i wyznaj hańbę twoją przed światem. Czyim synem jest ten Staś?

— Moim! odpowie łkając hrabina.

— I hrabiego Fryderyka?

— Nie! — głośno zawoła Rozalja i padła zemdlona. Fryderyk przyciska dziecię do serca, składa pocałowanie na jego czole, odtrąca go od siebie i boleśnie zawoła: — „Nie mam już syna!“ — Hrabinę zemdloną wynie-

siono do karety i z nią Stasia, hrabiego otoczyli przyjaciele, pocieszając go ubolewaniem nad tak smutnym losem szczęśliwego dotąd ojca. Nikt nie mógł powątpiewać, hrabia nawet sam był przekonany o nieprawym rodzie Stasia, bo jakżeby mogła dama tak wysokiego rodu i tak świetnego wychowania wyznać publicznie swoją sromotę! — Stan obecny Rozalji, jeszcze go mocniej upewniał, że i przed ślubem dopuścić się mogła podobnego przestępstwa, dla pokrycia którego szpetnemu i niekochanemu oddała rękę. Hrabia był w rozpaczy, a ten stan bolesny serca o ciężką chorobę go przyprawił. Tymczasem, niegodziwością Rozalji oburzony oficjał uznał punkta jej ważnemi, zatwierdził dekret rozwodowy z usunięciem jej i jej dziecka od wszelkich praw do jakiejkolwiek cząstki mężowskiego majątku i po podpisaniu dekretu rzekł:

— To jest świadectwo hańby i sromoty, które Rozalję ścigać będą do zgonu. Amen, odpowiedzieli członkowie konsystorza jednogłośnie.

— Hrabina ocucona z mdłości, ujrzawszy przy łożu swoim o. Bernarda:

— Cożeś uczynił, ojcze! okryłeś mię hańbą przed światem!

— Mościa hrabino! żądania twoje ziściły się, masz rozwód i zemściłaś się.

— O! drogo mię ta zemsta kosztuje! dziecku mojemu wydarłam ród i fortunę.

— Bądź pani spokojną! hrabia chory i pewnie tego bolesnego ciosu nie przeżyje. Po jego zgonie, zamanifestujemy teraźniejsze czynności, znajdziemy świadectwa i świadków uprawnienia rodu Stasia i przywrócenia go do ojczystego majątku. Ja w tem, i z pomocą przyjaciela mego w Lublinie, wszystko na korzyść hrabiny obrócimy. Uspokojona słowami zapewniającemi patrona, podała się marzeniom o swobodzie i szczęściu swojej przyszłości. Marzyła o królu, ale ten obraz mimowolnie wywołał z pamięci inny obraz milszy sercu, cięższy dla sumie-

nia: w myśli jej stawił się hr. Stefan. Ale spełnienie gorącego żądania, nasycona zemsta, odurzyły Rozalję i wszelkie uczucia stępiły. Otrzymawszy dekret rozwodowy, jakby w tryumfie pojechała z wizytami do pierwszych domów stolicy; ks. generałowej w domu nie zastała, inne damy zimno ją przyjęły. Nie lepiej powiodło się u pani Krakowskiej. Tam zastała króla. P. Krakowska obojętnie ją powitała i wyszła. Hrabina została sam na sam z królem, ale Stanisław był zimny i rozmowa szła trudno, Rozalja ośmieliła się wspomnieć o hrabi Fredrze.

— Prawdziwie żałuję, — rzecze król ironicznie, — żem przybierał nazwisko tego zacnego obywatela. Pani hrabiny prowadzenie się na tyle względów panującego nie zasługiwało.

— Ale stosunki nasze n. panie.

— Stosunki?

Znam to wszystko, co nas dzieli,
Co łączyło w samej zmianie,
Ale cóż począć, jeżeli
Pamiątka szczęścia zostanie?

— Ale n. panie! raczysz sobie w. k. mość żartować, a moje położenie obecne?

— Jest takie, jakiem było idąc za hrabiego.

— Jako żywo! nie było takiem!

— A wszakże pani publicznie to w konsystorzu zeznała.

— Ach! tego wymagała sprawa mojego rozwodu.

— I otrzymałaś rozwód.

— Wszakże i w. k. mość raczyłeś mi w tem pomagać.

— Niezawodnie! póki droga, jakąś szła, miała jakikolwiek pozór przyzwoitości, ale kiedy tak haniebnie stargałaś wszystkie węzły natury, kiedy dla wydarcia czcigodnemu mężowi syna nie wahałaś się publicznie okryć sromotą, piętno tej sromoty na jej czole zostało i dziwię się śmiałości p. hrabiny, że tak się przed światem prezentować poważasz. Żegnam panią i spodziewam się,

że jak najśpieszniej stolicę naszą opuścisz. — To rzekłszy skłonił się zimno i odszedł i p. Krakowska się nie pokazała. Tknięta do żywego takiem przyjęciem, Rozalja poznała, że niema co na względy króla rachować, widziała się opuszczoną i wystawioną na poniżenie u całego towarzystwa stołecznego. Ale to uderzenie przemknęło się jak błyskawica, odzyskana swoboda kreśliła w jej wyobraźni szczęśliwą przyszłość. Stanął w myśli Wiedeń, Szenbrun i przeszłość, w mgnieniu oka stanął projekt udania się do Wiednia. Nie wspomniała na to, że róża szenbruńska przekwitła, obciążona owocem nie miała już żadnej ponęty! Suma wzięta za wydzierżawienie własnego majątku leżała nietknięta, a z dawnych zapasów, mimo koszta rozwodu, znaczne pieniądze zostały. Jęła się więc czynnie do wybierania w podróż i tak zastał ją paź królewski. Wszedłszy skłonił się nizko, oddał pakiet królewskim sygnetem opieczętowany i nie czekając odpowiedzi, skłonił się i wyszedł. Hrabina nic dobrego sobie ze strony króla obiecywać nie mogła, długo poglądała na pakiet, długo wahała się czy ma otworzyć i przeczytać, czy nierozpieczętowany zniszczyć. Niespokojna, kilkakroć podniosła pakiet i znowu go położyła, ale nakoniec, może przez ciekawość tylko wrodzoną jej płci, rozpieczętowała. Listu niema, paszport za granicę i dyplom na niewielkie starostwo, może in partibus, z miejscem próżnem na imię tego, komu było nadane, na wierzchu tylko ręką własną króla nakreślono: „dla mającego przyjść na świat starosty". W innych czasach odrzuciłaby była ze wzgardą podarek, w dzisiejszym stanie rzeczy, tenże podarek dał jej uczuć całe jej poniżenie, ale obrazić króla nie śmiała. Tu dopiero cała przeszłość przed oczami stanęła, ale nie ta, jaką świetniała w dwuch stolicach, ale czarna, okropna, udręczająca sumienie. Włosy na głowie powstały, robak zgryzoty wgryzł się w serce, głos wewnętrzny odzywał się słowy oficjała: „występna! wyklęta!" Na domiar udręczenia odbiera list baronowej, że szczęśliwie Wilhelmina oddała rękę hr. Stefanowi. Upadła zupełnie na du-

chu Rozalja, najczarniejsze marzenia sercem owładły, modlitwa nie przyszła złagodzić cierpienia duszy. Wyjechała z Warszawy, ale w majątku swoim obległa i w przedwczesnem rozwiązaniu życie skończyła. Hrabia, który mimo tak słuszną urazę, nie przestawał czuwać nad nią, żądał wymódz na umierającej odwołanie okropnego zeznania, ale ekshortacje najczulsze kapłana zaciętości przezwyciężyć nie mogły. Hrabia opiekował się Stasiem, ale i ten niedługo przeżył matkę. W lat wiele potem hrabia wszedł w powtórne małżeńskie związki z kasztelanką R., piękną i pełną cnót chrześcijańskich i zalet światowych damą, ale krótko się cieszył w pożyciu z tym aniołem. Wdowiec zeszedł bezpotomnie i ogromną fortunę imiennikom swoim przekazał.

Całą tę smutną historję opowiadał Czacki. Szczegóły o Wiedniu, o pobycie w Warszawie słyszałem z ust ś. p. hetmanowej Rzewuskiej, naocznego świadka powodzeń i prowadzenia się Rozalji. Okropną scenę w konsystorzu opowiadała taż sama Wiktorja, żyjąca jeszcze 1823 roku w dobrach ukraińskich hrabiego.

ROZDZIAŁ XI.

Z wielką trudnością Czacki zbierał fundusze na otworzenie gimnazjów; wielu obywateli chętnie dawali, zapisywali, wielu obietnicą zbywali, inni nawet obiecać nie chcieli. Czasami jednak przypadek nadarzał uzyskanie nieoczekiwanego zasobu. W r. 1810 liczny był zjazd obywatelstwa na publiczne egzaminy. Był i Ignacy Ledóchowski, mąż wielkiego rozumu, wysokiego oświecenia, przytem dziwnie miłego charakteru i dowcipnie żartobliwy. Na egzaminie z historji Czacki prosił Ledóchowskiego, ażeby kogo zechce zapytywał. Padło pytanie o wojnach krzyżowych na jakiegoś biedaka, który część wyuczył się co do słowa, a dalej uciął i zamilkł: Czacki, podtrzymując ucznia, jął od początku w krótkości z całą głę-

boką erudycją i płynną wymową opowiadać historję krucjat. Zachwycało się całe zgromadzenie, a gdy Czacki skończył, Ledóchowski dobył rubla i przykładając go do piersi Czackiemu:—„Warto ci dać medal"—rzeknie— „Daj!" — odpowie Czacki, — „daj! — choć tem dopełnij od lat czterech danej obietnicy na gimnazjum". — Nazajutrz Ledóchowski wręczył sam 500 dukatów i Czackiego za przypomnienie po przyjacielsku uściskał.

Czacki i u bogatych naszych zakonnych zgromadzeń często odbierał zasiłki pieniężne na potrzeby szkół i na bibljotekę. Dominikanie w Łucku, w Konstantynowie i Lubarze, piękną się hojnością odznaczyli. I w Niewirkowie pod Międzyrzeczem byli także Dominikanie. Czacki, rachując na doznane u innych przyjęcie, z Międzyrzecza od chor. kor. pojechał do Niewirkowa. Czas był popołudniowy, ledwie dwuch księży wyszło naprzeciw dostojnego gościa. Ks. przeor po obiedzie spoczywał, p. starostę wprowadzono do sali gościnnej, tymczasem zakłopotani zakonnicy pobiegli obudzić ojca przeora. Nie przetrawił jeszcze obfitego obiadu, ani miodowy dymek ulotnił się z głowy, ale wyjść trzeba na przyjęcie tak znakomitej osoby. Wtoczył się ojciec wielebny do sali, ale nie czując w nogach dość pewności, dla utrzymania w równowadze niepospolitej circumferencji ciała oparł się o stół i sapał. Niedozwolił Czackiemu krótki jego wzrok rozpatrzyć się w twarzy przełożonego i zbliżywszy się, pełnym ujmującej powagi tonem rzeknie:—„Zacny! czcigodny przeorze! światło tego zakonu!"—„Co się dotycze światła,—przerwie niepewnym głosem przeor — pani Strzemecka dała krąg wosku i jest..." — „Głupiś przeorze" — pomyślał Czacki i odjechał.

Wracając raz z Dombrowicy od Platerów, wstąpił do Bereźnicy, miasteczka w majętności stryjecznego brata swego, Dominika Czackiego, strażnikowicza kor., odwiedzić ks. Grylewicza, tamecznego proboszcza, którego wielce szacował. Proboszcz tylko co wrócił z pogrzebu w sąsiedztwie. Rad dostojnemu gościowi przyjmował

Czackiego z całą uprzejmością i prostotą, cechującą tego zacnego kapłana. W rozmowie Czacki opowiadał, z jaką trudnością zbierają się ofiary na wzniesienie świątyni nauk. Grylewicz dobył 50-ciorubliwą asygnatkę, zarobioną na pogrzebie, i prosił, ażeby i jego grosz wdowi Czacki przyjąć raczył. Czacki wiedział dobrze, że beneficjum poczciwego plebana nie było bogate, że utrzymywał przy sobie podeszłą wiekiem matkę i brata z żoną i liczną rodziną; nie przyjął ofiary i dobywając takąż samą, — „Nie — rzeknie — biorąc twoją ofiarę okradałbym ołtarz. Pozwól, że jej nie przyjmę i, że jeszcze tą bagatelą pomnożę twój dochód niewielki, którego tak poczciwie używasz. Westchnij tylko w twych modłach do Boga, aby mi raczył dopomagać w zamiarach, które oceniać umiesz". „I ażeby błogosławił dobroczyńcy przyszłych pokoleń"—odrzekł kapłan z czułością.—Ale p. starosta nie raczysz odmówić przyjęcia innej ofiary, która w ręku jego może mieć swoje znaczenie"; to mówiąc, wręczył Czackiemu plik spory papierów. Była to korespondencja Czackiego, strażnika kor. z ks. Sanguszkami, w czasie konkurencji jego o księżniczkę Kunegundę, siostrę ich, później strażnikową kor. Dla Czackiego był to dar drogocenny, i wielce się nim szczycił. Zbiór ten, razem z licznemi rękopismami, chowanemi w bibljotece Poryckiej, jak i całą bibljotekę, zakupił po zgonie Czackiego ks. Adam Czartoryski kurator.

Starostwo Czaccy oboje piękni byli i podobni do siebie. I dzieci ich piękne były. Józef i Wiktor mieli rysy matki, Marja zupełnie do ojca była podobna. Marja wyszła za Eugenjusza Lubomirskiego; nie była w pożyciu z nim szczęśliwa i młodo z tego świata zeszła. Józef w całej sile młodości, przy silnej budowie, zgasł nagle i żal powszechny po sobie zostawił. Wiktor pojął w małżeństwo Pelagję Sapieżankę, wzór cnót i żeńskiej mądrości, ale jej ocenić nie umiał. Umarł dość młodo od nikogo nie żałowany. Synowie jego żyją, ale Tadeusz Czacki już się nie odrodził.

ROZDZIAŁ XII.

Siedem lat pierwszych bytu szkoły Krzemienieckiej stanowią epokę utworzenia olbrzymiego wzrostu i świetnego jej rozkwitnienia. Czacki żył, czuwał nad nią, jak ojciec, cierpiał prześladowania i zawsze zwycięzko wychodząc szkole był błogi, sobie sławę i wdzięczność współziomków zapewnił. Zstępując do grobu, o gimnazjum równie, jak o dzieciach swoich myślał i ojcowskiej ks. kuratora opiece ich przekazał. Stosownie do żądań umierającego, książę naznaczył wizytatorem, a raczej kuratorem gimnazjum Filipa hr. Platera [1]), członka komisji sądowej edukacyjnej. Czacki znał Platera od jego dzieciństwa, bo z rodzicami hrabiego ścisła go przyjaźń łączyła. Wysoko cenił piękne przymioty serca i umysłu, i ufny w usposobienie i zdolności jego przyrodzone, powierzał mu się zupełnie i do ważnych interesów go używał, nazywając go prawą ręką swoją. Starosta miał córkę dorastającą i nie taił się z tem, że spełniłoby się serca jego życzenie, gdyby Plater był jego zięciem. Pierwszym członkiem komisji był Michał Sobański i nawet po zgonie Czackiego został jej prezesem, i ten oddawał sprawiedliwość Platerowi. Wielce w nim cenił pamięć faktów i trafność sądu o rzeczach, w czem mu nikt z komisarzy nie wyrównał. Ale w komisji interesa były wiadome wszystkim członkom, kiedy gimnazjalnych wiele bardzo, samemu Czackiemu znanych, jeden tylko prawie znał Plater. Wiedział o tem ks. kurator, a lubo mało znał osobiście Platera, sąd o nim Czackiego i Sobańskiego, zaszczytnem hrabiemu poczytał świadectwem i chętnie mu zastępstwo Czackiego powierzył. Odtąd zaczyna się epoka różna zu-

---

[1]) Filip hr. Plater po śmierci T. Czackiego objął urząd kuratora. Bartłomiej Giżycki, ówczesny gubernator Wołynia, mówił, że „Platerowi gimnazjum, jak fura siana zajechało do głowy — stąd inne obowiązki zaniedbuje". (Pamięt. Józefa Drzewieckiego. Wilno 1858, str. 316).

pełnie od pierwszej, trwa lat trzy i ustępuje innej niewiele świetniejszej i znowu znika, ażeby ustąpić miejsca ostatniej, która do pierwszej podobna zamknęła dzieje tej znakomitej szkoły. Ale idźmy porządkiem. Czacki chciał, ażeby obecne wojenne działania nie miały żadnego wpływu na szkoły i od nowego 1813 roku zaraz zjeżdżali się uczniowie, ale liczba ich ledwie do trzechset doszła. Mało

Wacław Rzewuski
(„Emir").
Według drzeworytu A. Regulskiego.

też zjechało się obywatelstwa i tylko dom starostwa Czackich, Skibicka, Zakrzewscy, Drzewiecki szef świeżo owdowiały, z dawniej zamieszkałych zostali, na nowo zaś osiadł hr. Wacław Rzewuski, od wyjazdu z Tarnorudy nieodstępny Czackiego towarzysz. Otworzyły się kursa, lekcje szły swoim porządkiem, a choć audytorja mniej liczne były, profesorom na energji nie zbywało, bo jesz-

cze obecność założyciela szkoły ożywiała ich gorliwość, dodawała ducha. Czacki żył jeszcze. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności, kilku znakomitych mężów w ciągu prawie jednego miesiąca nagle ten świat opuścili. Czackiego najsilniej dotknęła strata blizkich sercu jego, pojmujących jego uczucia i zamiary, ks. Kazimierza Lubomirskiego z Dubna, generała Karwickiego i podkomorzego Józefa Pinińskiego. Nie podołał tylu cierpieniom mąż duchem silny. Obległ, ani starania najznakomitszych lekarzy polepszenia przywołać nie mogły, a zgon jego smutnie rozległ się po całym Wołyniu. A osierocony Krzemieniec więcej jeszcze zabolał. Nie było jednego zakątka, od pysznych gmachów gimnazjalnych aż do najlichszej chatki, gdzieby nie opłakiwano dobroczyńcy obecnych i przyszłych pokoleń! Nie byłem świadkiem, kiedy wieść przyniosła żałosną nowinę do Krzemieńca, ani umiem odgadnąć bolesnego w tej chwili na wszystkich wrażenia, pomnę tylko konwulsyjne osłupienie moje, kiedy mi pp. Malczewscy tę gorzką nowinę oznajmili. A takich, jak ja obowiązanych Czackiemu, ileż to było w Krzemieńcu, w każdym stanie, w każdem wyznaniu! Po całym Wołyniu obchody żałobne biskup nakazał, w Krzemieńcu obchód ten odłożonym był na koniec roku szkolnego.

Komisja rozpoczęła swoje działania. Plater czynnym był komisarzem, ale nie mniej go i gimnazjum zajmowało. Znosił się we wszystkiem z dyrektorem i prefektem i prześliczny był początek jego urzędowania. Wacława Rzewuskiego Czacki jeszcze poznajomił z Platerem. Ale dwaj ci znakomici ludzie, żadnego do siebie nie mieli pociągu. Oba z najszlachetniejszemi uczuciami, z wyższemi zdolnościami i z najstaranniejszą oświatą, nie znajdowali w sobie żywiołów wzbudzających wzajemną sympatję. Każdy z nich miał swoje a l e, a każdy ścisły postrzegacz, porównywał bliźniego z sobą i chciał go podług swego systemu prowadzić. Obaj byli ekscentryczni! Hr. Wacław czuł osobistą swoją godność, ale skromny, chciał swojem postępowaniem zatrzeć skazę, ciężącą na

pięknem rodowem imieniu. Poznajomienie się z Czackim, jeszcze więcej rozwinęło to czcigodne przedsięwzięcie; hr. Wacław najgorliwszych starań dokładał, ażeby przejąwszy się duchem Czackiego, dobru ludzkości i usłudze współziomków i życie i majątek poświęcić, ale działał prywatnie i prawie skrycie. Mało kto znał piękne jego zamiary. Ale kto je poznał wielką cenę do charakteru jego przykładał. Nie był jednak bez ale. Orjentalizm był jego manją. Ubiór arabski, arabskie do koni przywiązanie, arabskie ćwiczenia, twardy sposób życia, były dziwactwem nawet rozśmieszającem; ale przy tylu świetnych przymiotach, przy wielkiem bogactwie umysłowem dziwactwo to nikło w oczach ludzi mających serce i patrzących w serce. Ogłada obyczajowa, wysoki talent muzyki, dar piękny tłómaczenia się ojczystym i obcemi językami robiły hrabiego miłym i pożądanym w każdem towarzystwie. Chwalono i krytykowano hrabiego w świecie salonowym, ale uwielbiali biedni i uciśnieni, szanowali uczeni i dobrze myślący.

Hr. Plater, powołany od Czackiego, świetnie rozwinął wysokie swoje zdolności, zajaśniał nauką, a szlachetnością uczuć i darem pięknej wymowy wszystkich serca ku sobie przyciągał. Plater stał już na wysokim szczeblu w powszechnej opinji, kiedy Rzewuski nieznany jeszcze zjawił się w społeczeństwie obywatelskiem Wołynia, i Plater uczuł się wyższym. Gdyby Czacki żył dłużej, oba ci młodzi hrabiowie wznieśliby się byli zarówno i, poznawszy bliżej jeden drugiego, zbliżyliby się byli i wzajemny szacunek złączyłby był dwuch tych znakomitych ludzi, blizkich już i tak pięknemi celami, do których dążyli. Ale Plater, zostawszy sam sobie, ufny w osobistą swą godność, zabłąkał się na wielkiej drodze życia. Świetne jego serca i umysłu przymioty jedna mała na pozór wada skaziła. Wymowny i dowcipny, z dowcipu wywiązał w sobie ostrość, narażającą go częstokroć na ważne nieprzyjemności. Un bon mot, było jego namiętnością, a ostrość tego bon mot robiła mu nieprzy-

jaciół z tych nawet, którzy przymiotom jego należną sprawiedliwość oddawali.

Wiosną 1813 r. zaczęli powracać wszyscy zamieszkali z lat przeszłych. Wrócili i Malczewscy i zamieszkali w domu nowo przez siebie zakupionym. I podczaszyna Czacka z dziećmi wróciła z Galicji i znowuż toż samo, co i dawniej utworzyło się towarzystwo. Hr. Rzewuski, wszędzie mile przyjmowany, utrzymał się zawsze w granicach dostojnej godności. Żonaty, nie był celem marzeń dla matek, mających córki na wydaniu i tem swobodniejszym był w stosunkach z domami, do których uczęszczał. Ale hrabia nie w samem tylko arystokratycznem żył kole, i domy kilku profesorów miłym dla niego były pobytem. Uczniów serca do siebie popularnością swoją pociągał, ale umiał ich utrzymać w granicach przyzwoitych. Lubił widzieć ich na lekcjach konnych i sam biegły jeździec uczącemu nie jedno ważne prawidło ekwitacji pokazał, a w wolnych czasach, za zezwoleniem zwierzchności szkolnej, z uczniami konne przejażdżki daleko za miasto odbywał. Tam dopiero rozwijał całą swoją umiejętność i zręcznością zadziwiał. Zachęconych przykładem swoim przyuczał do śmiałości i zręczności w obejściu się z koniem i użyciu go w zamierzonych gonitwach i sztukach. Młodzież pokochała hr. Wacława, ale do tego przywiązania łączyło się uszanowanie, które wesoła, ale poważna uprzejmość hrabiego natchnąć umiała. Hrabia żył w domu skromnie, rzadko dawał wystawne obiady, u stołu jednak jego codzień żywiło się 12—15 osób, chociaż dwór jego stanowił jeden tylko sekretarz Rodakowski. Jacyż to byli ci współbiesiadnicy? Oto najbiedniejsi uczniowie, wskazani przez prefekta. Nie dość, że mieli chleb powszedni, ale i garderobą ich, z polecenia hrabiego, zajmował się Rodakowski. Rzewuski był hojnym dla drugich, ale nikt nie znał uczniów lub innych potrzebujących, którzy od niego mieli wsparcie. Jeden tylko Jarkowski prefekt wiedział o tych uczynkach szlachetnych, milczał, bo dał słowo hrabiemu, ale nie szczędził

należnych mu pochwał i starzec unosił się młodzieńczym zapałem, oddając sprawiedliwość wielkim zaletom Rzewuskiego. Rzewuski często bardzo niewidzialnym by-

Józef Drzewiecki
uczestnik kampanji 1794 r., oficer w legjonach i marszałek krzemieniecki.
(Według portretu współczesnego).

wał w domach, do których uczęszczał. Wszyscy podziwiali to osamotnienie człowieka młodego, poszukiwanego w towarzystwach. Raz zdarzyło się, że po kilkodniowem

takiem zniknieniu, szef Drzewiecki, Plater i Malczewski, obawiając się, czy nie słabość p. Wacława w domu zatrzymuje, poszli go odwiedzić. Dochodząc do ganku słyszą dziwnie rzewną harmonję instrumentów i głosów ludzkich. Wszedłszy do sali, zastają hrabiego w towarzystwie Lenzego, Sztejna, Dobrowolskiego, Taborowskiego, Stefańskiego, śpiewających. Zatrzymali się przychodnie we drzwiach, ale Rzewuski przerwał muzykę i uprzejmie witając wchodzących: — „Kiedyście panowie zeszli nas na uczynku, to siadajcie, słuchajcie i sądźcie“.— Nowa i pełna wspaniałości i smutku zabrzmiała muzyka, podziwiali słuchacze rozrzewnieni, a kiedy skończono, Drzewiecki zapytał hrabiego o tytuł i autora; Lenzi pośpieszył z odpowiedzią, że to jest „Requiem“ kompozycji hrabiego, naumyślnie na obchód pogrzebowy ś. p. Czackiego, tylko co ukończone i pierwszy raz pełną jego repetycję robiono. Wtedy przyczyna częstego absentowania się w towarzystwach i osamotnienia w pośród życia społecznego nie była już tajna. W najczulszych wyrazach dziękowali hrabiemu i z pomocą ofiarowali się. Hrabia kłopotał się o muzykę, Drzewiecki podjął się sprowadzenia znanej już Międzyrzeckiej chor. kor. orkiestry.

Szło jakoś ładem w Krzemieńcu. Plater gorliwie zajmował się szkołą, Rzewuski uprzejmością swoją dodawał energji uczącym się i uczącym, Drzewiecki utrzymywał ducha jedności społecznej mieszkańców Krzemieńca. Nie mogę nie wspomnieć tu szczegółowo o tym zacnym obywatelu. Rys jego życia czytać można w jego pamiętniku. Ja poznałem go dopiero w Krzemieńcu w r. 1811, kiedy z żoną i malutkiemi dziatkami osiadł w Krzemieńcu i przez lat dziesięć patrzałem na jego życie. Miło mi nader, że zaszczycony jego względami, mogę tu z uczuciami się mojej wdzięczności wynurzyć i skreślić niektóre szczegóły życia tego czcigodnego męża, mało znane, lub zupełnie nie znajome, które, poczciwe z siebie, drugim pomocne, za przesadzone do śmieszności przywiązanie do Krzemieńca uważane były. P. szef Drze-

wiecki w początku 1812 r. utracił żonę, wzniosłych uczuć serca i wysokiego ukształcenia [1]). Zdaje się, że zgon p. szefowej w Krzemieńcu jeszcze więcej przywiązał p. szefa do tego miasta, a przyjaźń Czackiego przekazała mu wpływ na gimnazjum Wołyńskie i czułą o nim troskliwość. Zamieszkał w domu własnym z dwojgiem miłych dziatek, pięcioletnią Helenką i trzyletnim Karolkiem. Ale rok 1812 więcej mu jeszcze cierpień zgotował. Brat szefa, p. szambelan Ksawery Drzewiecki, za korespondencję z hr. Marcinem Tarnowskim, pułkownikiem działającego wojska polskiego pod Napoleonem, wywieziony został w głąb Rosji, a majątek jego zasekwestrowany. Pozostała żona, sześciu synów i córka znaleźli bratni przytułek pod strzechą zacnego szefa. Dwuch tylko szambelaniców kończyli nauki, trzeci zaczął kursa, czwarty ledwie był w czwartej klasie, dwaj malce w niższych się klasach trzymali. O wszystkich ich potrzebach wiedział p. szef i żadnemu na niczem nie zbywało, a kto ich widział w domu p. szefa, sądził, że to wszyscy jego synowie. Ale nikt na twarzy p. szefa nie widział śladu niechęci, nikt nie słyszał utyskiwania na ciężar wydatków z przyczyny utrzymywania na swoim koszcie tylu osób, owszem, p. szef jeszcze i brata na wygnaniu pieniędzmi swemi zasilał. Złote to serce było w tym człowieku. Szef znał niesympatyczne ku sobie uczucia dwuch wspomnianych hrabiów i zawsze stawał między nimi, jako przegroda nie dająca żadnemu wybuchnąć z jakąś jawną niechęcią. Ale Rzewuski widział jasno, że najlepsze chęci jego nie były widziane z takiem współczuciem, z jakiem je Czacki

---

[1]) Józef Drzewiecki urodził się w r. 1772 w Juśkowcach na Wołyniu, w pow. Krzemienieckim. Był w bitwie pod Maciejowicami. Wyszedł z kraju do legjonów. Po długiej wędrówce osiadł w Krzemieńcu dla edukacji syna Karola. W r. 1812 utracił żonę. Ożenił się powtórnie z Konstancją Jaroszyńską i (1823) przeniósł się na Podole, zamieszkał w Kunce. Był marszałkiem pow. Hajsyńskiego. Umarł 1857 r. Zostawił P a m i ę t n i k i (tytuł opuszczam), wydane w Wilnie. 1858 r.

przyjmował. Nie ustawał jednak w zamiarach swoich i, co tylko mógł dobrego robił dla gimnazjum, oczekując sposobnej pory zrobienia jeszcze więcej.

Nadeszły roczne egzaminy, zjechało się mnóstwo obywateli, jedni aby być świadkami postępu swych dzieci w naukach, drudzy, a tych było najwięcej, dla oddania ostatniej posługi zwłokom założyciela gimnazjum. Obchód ten żałobny, opisany obszernie w „Życiu Czackiego“ [1]) przez ks. Osińskiego, prof. literatury w gimnazjum Woł., znajomy współziomkom, których tak wielu naocznymi byli świadkami tej smutnej uroczystości. Niektóre więc tylko okoliczności tu przytoczę. Ks. biskup Cieciszowski z żalem wymówił się słabością od tego żałobnego obrzędu, bo stratę wielkiego męża uczuł, jako współrodak, jako najściślejszy przyjaciel, jako wielbiciel cnotliwego życia i poświęcenia się dobru krajowemu Czackiego. Ks. biskup Podhorodeński zastępował jego miejsce. Krzemieńcowi w spuściźnie dostało się serce Czackiego: Ubi thesaurus tuus, ibi et cor tuum! W kościele gimnazjalnym wzniesiono pyszny katafalk, tysiące świec i lamp oświecały tę wspaniałą świątynię. Portret Czackiego w najokazalszem miejscu ustawiono, ale zwłok jego jeszcze tam nie było. Serce Czackiego w pięknej alabastrowej urnie na wspaniałej i rzęsisto oświeconej podstawie stało w kościele Franciszkańskim. 14 lipca, o 7-ej wieczorem znakomitsi urzędnicy gubernji i komisji w mundurach, w znakach zaszczytnych, krepą czarną pokrytych, zebrali się u Franciszkanów; gwardjan w żałobnej kapie, w asystencji wszystkich zakonników, zdjął urnę z podstawy, umieścił ją na przygotowanych noszach i, okrywszy czarną krepą, ze łzami wdzięczności i uszanowaniem winnem tym ostatkom dobroczyńcy przyszłych pokoleń, w milczeniu wręczył obywatelom.

[1]) X. A. Osiński: O życiu i pismach Tad. Czackiego. (Tytuł dłuższy opuszczam). Krzemieniec, 1816. Piękny portret, ciekawe przypisy.

Dwunastu z nich wzięło na ramiona ten drogi ciężar, duchowieństwo ich poprzedzało; żaden śpiew, żadna muzyka nie towarzyszyły temu smutnemu pochodowi, dzwony tylko wszystkich kościołów i cerkwi smutnym jękiem zwiastowały przeniesienie serca do gimnazjalnej świątyni. Ks. biskup powitał je na galerji i do kościoła wprowadził. Nazajutrz okazałe nabożeństwo odprawiało się za duszę założyciela szkoły, który rok temu w tejże samej świątyni rychły swój zgon przepowiedział.

Ale jakże często w pośród najsmutniejszego obrzędu wciśnie się jakaś okoliczność rozśmieszająca! Po skończonem nabożeństwie rozpoczęły się mowy. Ks. Prokop ze zwykłą sobie wymową wyobraził wielkość straty, jaką gimnazjum i obywatelstwo ponieśli i wszystkim słuchaczom łzy wycisnął. Obok katafalku przygotowane było podwyższenie czarnym kirem okryte, wstąpił na nie brat zmarłego podczaszy Czacki, synowie jego i synowie starosty, grubą okryci żałobą, otoczyli podczaszego. Wszyscy zwrócili uwagę na mówcę, ten zaczyna: „Bracie ukochany! o tak wiele lat młodszy ode mnie! mnież to przychodzi w tem miejscu smutny głos mój podnosić, o czemuż raczej nie przyszło mi na moim własnym pogrzebie zapłakać!“ Te słowa osuszyły łzy, wywołane tkliwemi ks. Prokopa słowami, szmer się zrobił w kościele, zniknął urok religijnej żałości! Na szczęście odezwa Jana hr. Tarnowskiego, rodzonego Czackich siostrzeńca, odezwa pełna najszlachetnieszych czułości, wzór wymowy, pokryła omyłkę podczaszego, a wybornie wykonane Requiem hr. Wacława powszechnego rozrzewnienia dopełniło. Ale co jeszcze więcej rozrzewniło wszystkich; uczniowie celujący przyznane sobie medale złożyli na katafalku przed portretem Czackiego! Tego uniesienia wdzięczności i żalu nikt im nie podał, serca ich własne natchnęły. Z kościoła przeszli wszyscy do sali bibljotecznej, gdzie obok popiersia Czackiego, ks. Osiński z synowską czułością, wymową Skargi, o życiu tego nieodżałowanego męża rozprawiał. Przeszło dwieście oby-

watelek obecnych na tym obchodzie, jakby się zmówiły, wszystkie żałobne suknie przywdziały. Ks. biskup, obywatele i obywatelki dziękowali hr. Wacławowi za muzykę, w której tak wymownie i żal powszechny i uczucia swoje wyraził, ale hrabia partytury nikomu dać nie chciał. W kilka lat potem wydał swoje Requiem w Wiedniu i egzemplarz jeden do bibljoteki gimnazjalnej przysłał. Była ta muzyka w ręku Lenzego i co się z nią później stało, niewiadomo. (Gimnazjum a później liceum Wołyńskie corocznie po ukończeniu egzaminów rocznych obchód takowy odprawiało). Po ukończeniu tej smutnej uroczystości hr. Rzewuski opuścił Krzemieniec bez powrotu, długo jednak z dobrych jego chęci ta szkoła korzystała. W następnym roku na kilka dni odwiedził Krzemieniec. Upominki szacowane dla gimnazjum, ciche wsparcie uczniów, wskazane pilnie sposobiącym się w naukach dalsze pomoce, to były piękne ślady kilkodniowej w Krzemieńcu bytności hrabiego. P. hetmanowa Rzewuska, matka hr. Wacława, objęła cały majątek, z dochodów którego część znaczna szła na konie, które lubił i miał piękne i na wsparcie nieumiejących wyciągnąć ręki po wsparcie. Na długo potem zniknął hrabia z widowni Wołyńskiego świata, w 1829 roku tylko jeszcze raz zdarzyło mi się zjechać z nim w Humaniu, na egzaminach tamtejszej szkoły.

Rok 1813 jeszcze więcej mieszkańców do Krzemieńca sprowadził. Księstwo Dymitrostwo Czetwertyńscy z dwiema córkami i synem. Prześliczna księżniczka Eleonora zajaśniała cudną urodą swoją, a miłem ułożeniem wszystkich serca zjednać sobie umiała; młodsza jej siostra Karolina, milutka dziewczynka, nie wyrównywała wdziękami Eleonorze, ale młodego księcia bogato uposażyła natura. Wielkich nadziei młodzieniec świetniał urodą, słodyczą charakteru i wysokiemi zdolnościami. Podziwiali nauczyciele łatwość, z jaką 14-letni młodzieniec przyjmował nauki i z nich się tłómaczył, a miła układność jego zrobiła go ulubieńcem nauczycieli i na-

czelników. Ale przeznaczono było księstwu nie cieszyć się tem świetnem zjawiskiem. Po roku bytności w gimnazjum, w domu śmierć wydarła go nieutulonym w żalu rodzicom. Tegoż roku zamieszkali w Krzemieńcu p.p. Antoniostwo Jaroszyńscy z jedynakiem synem. Bliższe z tą rodziną stosunki dały mi ją bliżej poznać i kilka kart w moich ramotach szczegółom tego domu poświęcę. P. generałowa Karwicka, owdowiawszy, z piękną córką Anną i synem Kazimierzem osiadła także w Krzemieńcu. Miłeż to były dzieci! Anusia wdziękami dorównywała Eleonorze, ale słodyczą charakteru, pełnem uroku ułożeniem nikt jej nie wyrównał. Dość było raz ją widzieć, ażeby ją pokochać. Kazio nie był tak pięknym, jak jego siostra, ale jedna dusza ożywiała i brata i siostrę. Kazio i władz szkolnych i współuczniów i mieszkających obywateli serca pozyskał od wstępu swego do gimnazjum, i tę dla siebie życzliwość i szacunek do zgonu życia zachował. Nigdy Krzemieniec nie posiadał tyle pięknych, młodych dziewic, jak w tym roku. Marja, Julja i Barbara Czackie, Eleonora Czetwertyńska, Michalina i Antonina Sobańskie, Anna Karwicka, Anna Malczewska, Justyna Garbowska, Aniela Błędowska, Marja Zakrzewska, każda z nich mogła być pierwszą pięknością, gdyby nie były wszystkie razem, bo w takiem świetnem gronie wybór nader był trudny. Wokoło tego prześlicznego bukietu krążył jeden motyl, zbliżał się, zalecał, ale statecznie, przy żadnym z kwiatów nie przysiadł. Był to jednak motyl pożądany; czy od wszystkich kwiatów, tego nie wiem, ale matek wszystkich na niego oczy były zwrócone i każda radaby była mieć go swym zięciem. Motylem tym był hr. Filip Plater, nie dla niestałości swojej, bo jawnie żadnej z tych piękności nie hołdował. Dla wszystkich był równie grzecznym, nawet prawie nadskakującym, ale co w sercu było? tego nikt nie odgadł, bo hrabia uczucia swoje na wodzy i w tajni utrzymać umiał.

Rok 1814 pięknie się zaczął. Wizytator łącznie z władzą szkolną gorliwie zajmowali się zarządem gimnazjum,

ład był we wszystkiem, nauczyciele gorliwie pracowali, młodzież przykładała się do nauk i zdawało się, że duch Czackiego, unosząc się ponad gmachami gimnazjalnymi, czuwać nad tą szkołą nie przestaje. Nadszedł karnawał, a z nim kasyna i młodzież uczęszczająca na te zebrania, ale prawidła przez Czackiego ustanowione najściślej zachowano. Ale, gdzie jest tyle mieszkańców, niepodobna, ażeby się jakieś niesnaski nie wcisnęły. Piękna księżniczka, przy wszystkich pięknych przymiotach duszy, wiedziała, że była piękną i znajomość siebie wyrobiła w niej znakomitą dozę zalotności. Mnóstwo wielbicieli wóz jej otaczało, każdy pełen nadziei, każdy szczęśliwy łaskawem wejrzeniem lub uprzejmem słówkiem. Księstwa oczy zwrócone były na Platera i na syna Jaroszyńskich Mikołaja, księżniczka dla obu uprzejmą była, ale nic więcej. Plater miał w szkołach rodzonego siostrzeńca Leona Krasickiego. Szesnastoletni młodzieniec wzorowej piękności był obrazem. Najregularniejsze rysy twarzy świeżej, młodzieńczej, ożywiały dziwnego uroku czarne oczy, czarne brwi i takież zasiewające się wąsiki jeszcze wyrazistszą tę piękność męską robiły; do tego kształtna i giętka kibić, zręczność w tańcu, łatwość wysłowienia się i piękne ułożenie stawiały Leona wyżej wielu znakomitych współuczniów. Leoś, wielce lubiony od księstwa, codziennym w domu ich był gościem. Piękna Leosia i piękny Leoś, obcemi dla siebie być nie mogli, ale poufałość ich nie ściągała na siebie uwagi, bo księstwo Leosię za dziecko uważali, a do tego jakieś jeszcze podobno między nimi pokrewieństwo zachodziło, i dzieci lubiły się bardzo.

Jak daleko spoufaleni byli z sobą, dowodzi to, że bukiety, pomarańcze, frukta, cukierki od Leosia mile księżniczka przyjmowała i księstwo za złe tych dziecinnych upominków nie mieli. Szef Drzewiecki jednak, jakby co niedobrego przewidując, Leonka o zbytnią dla damy poufałość kilkakrotnie upominał. Plater zaś na to uwagi nie zwracał. Dnia jednego Leoś o 10-tej wyszedłszy z lekcji,

kupił w ogrodzie botanicznym piękny bukiet, jak na porę styczniową bardzo kwiecisty, i poniósł go pani swojego serca. Księżniczka sama była w salonie, mile przyjęła upominek młodego hrabiego, wyjęła kilka kwiatów i, stanąwszy przed ogromnem zwierciadłem, głowę niemi stroiła. Leoś stał obok niej, objąwszy jej kibić, i z zachwyceniem przyglądał się odbitemu w zwierciadle obrazowi piękności. Księżniczka z lubością patrzyła na urodziwego młodzieńca, to w lustrze, to w istocie, a zachwycony Leon na ramieniu pięknej Eleonory nieśmiały, ale gorący złożył pocałunek. Nie byli bez świadka! W tej samej chwili otworzyły się drzwi od drugiego pokoju, stała w nich księżna, niewczesny i nie żądany świadek niewinnej miłośnej sceny. Gniew księżnej był gwałtowny, ale wywarł się tylko na biednym Leonie, któremu księżna dom swój wymówiła. Zmieszany młodzieniec z żalem opuszczał strzechę, pod którą żyła droga sercu jego Eleonora. Księżna nie przestała na surowem, może nawet niedelikatnem upomnieniu Leona, ale napisała do Platera list z najniegrzeczniejszemi wyrzutami niemoralnego postępowania w ich domu p. Leona. Nie mógł hrabia pojąć znaczenia listu księżnej, Leona badać wprzódy nie sądził przyzwoitem, tak więc, jak czytał, z listem w ręku szedł do księżnej. Księżna, nie czekając zapytania, z całą przesadą wyrażeń odmalowała w strasznych kolorach pocałunek złożony na ramieniu księżniczki. Plater z najzimniejszą krwią zapytał: „I księżniczka przyjęła tę poufałość i nie skarciła młodzieńca?“ Temi słowy księżnie zamknął usta, ale po niejakiej chwili ozwie się dama: „jakkolwiekbądź, oświadczam hrabiemu, że odtąd drzwi naszego domu dla p. Leona zamknięte“. „Słusznie mościa księżno! i dla Leosia i dla jego wuja“, to rzekłszy, skłonił się ceremonjalnie i wyszedł. Księżniczka, słysząc w drugim pokoju tę krótką rozmowę, wbiegła do salonu: „Mamo! zawoła, co mama zrobiła, jakże można hrabiemu dom wymawiać?“ „Ja nie wymawiałem p. Platerowi mojego domu, ale jeśli jego hrabiowskiej mości nie podo-

ba się bywać u nas, to jak zechce". „Żeby to tylko mamo nie miało przykrego dla nas następstwa". „Już to w tem nie wmpanny rzecz" — odrzekła księżna, na której wyrazy córki przykre zrobiły wrażenie, ale nie dała poznać tego po sobie. Eleonora jednak myśl matki odgadła.

Zabawy karnawałowe szły swoim torem. Zbierało się towarzystwo i po domach, księstwo dawali wieczory, ale liczne zgromadzenie dam nie miało tancerzów. Plater u księstwa nie bywał, uczniowie za swoim naczelnikiem ciągnęli, ani prefekt mógł w tem co poradzić. A karnawał się posuwał. Gdziekolwiek księstwo bywali na wieczorach wszędzie bawiono się wybornie, bo młodzieży bywało dostatkiem i damy za tańcem nie tęskniły. Nigdzie jednak czas tak wesoło nie schodził jak u Malczewskich. Ze wszystkiemi w dobrych stosunkach, uprzejmi w domu własnym, to też zebrania u nich i najliczniejsze były i najweselsze. P. Malczewska utrzymała stosunki z księżną, ale w duszy miała nieco żalu za kuzynka, matka bowiem p. Malczewskiej z domu była Krasicka. Śmiesznie było patrzeć, jak dąsające się osoby z ukosa na siebie poglądały. Księżna wprawdzie radaby już była z Platerem być na stopie dawnych stosunków, ale jakże tu zrobić pierwszy krok do pojednania damie, a do tego księżnie. Niby niechcący, wymówiła się przed p. Malczewską ze swoim kłopotem. Drzewiecki wszystko to zauważył i przemyślwał o sposobach pojednania poróżnionych, księżniczka odgadła zamysł p. szefa i z całą swoją miłą układnością skarżyła mu się, że wszędzie tak się bawią dobrze, tylko u nich samych dam towarzystwo się zbiera, ledwie jednego biednego kadryla we cztery pary zebrać można. „Jakoś to będzie" — rzekł szef, całując podaną sobie rękę pięknej księżniczki. Jakoż, gdy się zbierano do wyjazdu od Malczewskich, szef zabrał głos: „We środę mamy święto, dzień wolny od zatrudnień szkolnych, nie zechcecie więc panie odrzucić mojej uniżonej prośby i raczycie zaszczycić mój wdowieński domek bytnością swoją na wtorkowy wieczór. Kochana kuzynka (p. Skibicka) bę-

dzie gospodynią". Mile przyjęto zaproszenie, bo szef wszystkich życzliwość i szacunek posiadał, bo młodzież płci obojej wiedziała, że tam wybornie bawić się będą. Pomiędzy zaproszoną młodzieżą szkolną niepoślednie miejsce miał Leon Krasicki. Plater opierał się temu z początku, ale szef potrafił mu wyperswadować. Nadszedł więc wtorek, pamiętam dokładnie cały ten wieczór. Księstwo mieszkali w większym domu pana szefa i na jednym z nim dziedzińcu. Skoro więc gospodyni przyjechała, a za nią zaraz pp. Malczewscy i p. Karwicka, księżna także przybyła, czegoś trochę zakłopotana. Otoczyły ją damy, szła żywo pogadanka, ale dziwnem zdarzeniem, cała była o Platerze, bo go się nie spodziewano na wieczór dla jakiejś niedyspozycji zdrowia. Zjeżdżali się i schodzili inni goście, a w pośród nich hrabia ze swoim siostrzeńcem. Pan szef poszepnął mu kilka słów, hrabia się wzbraniał, ale szef przemógł, Plater uśmiechnął się i rzekł: „niech tak będzie, kiedy tego chce kochany gospodarz". Drzewiecki wziął Leona za rękę i przyprowadziwszy przed księżnę: „Oto jest winowajca, który w pokorze błaga łaskawego przebaczenia". Czy Leon miał te przeprosiny w myśli, niewiadomo; ale przybrał stosowną do słów szefa postawę i dziwnie mu pięknie z nią było. Rozbrojona księżna podała mu rękę, którą piękny winowajca szczerze ucałował. Natenczas przybliżył się hrabia i z pełnym uprzejmości uśmiechem: „Zgoda między pany chrześcijańskiemi?" — zapytał księżnej. „Zgoda panie hrabio, ale..." „Żadnego ale" — przerwie szef — „prawdziwa zgoda żadnych wymówek, żadnych a l e nie przyjmuję. Dozwólcie mi państwo tej pociechy, że w moim domu nastąpiło pojednanie ludzi, których kocham, i, że odtąd pojednanie to jeszcze ściślejsze między domami waszemi zawrze stosunki". I w samej rzeczy księżna i książe wiele prawdziwej przyjaźni okazywali hrabiemu i on im się wzajemnością wypłacał. Co do Leosia i Leosi, czy uczucia ich się nie zmieniły, trudno wiedzieć, bo księżniczka, może z natchnienia rodziców, może z woli

serca, więcej życzliwości okazywać zaczęła p. Mikołajowi, synowi pp. Antoniostwa Jaroszyńskich, bogatemu i pełnemu zalet osobistych jedynakowi.

Wkrótce był wieczór u księstwa, towarzystwo było liczne i wesołe, a to wszystko staraniem szefa, ażeby dać księżnie zapomnieć kilkotygodniowe osamotnienie jej domu. Zbliżał się i 21 lutego, imieniny księżniczki. Ale i p. Malczewska była Eleonora i jej siostrzenica z Anusią wychowana także Eleonora. Interesa się skrzyżowały, p. Malczewski ani chce zezwolić, ażeby imieniny żony nie miały być obchodzone uroczyście w ich domu, a nie radby księstwu uchybić. Co tu robić? Kogoż tu się poradzić? Na szczęście przyjeżdża p. szef. Pp. Malczewscy objawiają mu swoje zakłopotanie. P. szef nieradby rozdzielać towarzystwo na dwa domy jednego wieczoru, słyszał księstwa zamyślających ufetować ukochaną córkę, ale widzi i u Malczewskich przygotowania do uroczystych imienin. Pomyślał trochę, a potem rzeknie do p. Malczewskiego. „Ubieraj się marszałku, pojedziemy do księstwa". „Ależ pocóż ja mam jechać?" „Tam na miejscu okoliczności to pokażą". Pojechał i w godzinę wrócił p. Malczewski i z jaśniejącem radością obliczem. — „Leosiu! — rzeknie do żony — wybornie urządziło się wszystko, imieniny księżniczki wraz z twojemi w domu naszym obchodzić będziemy". I tak się stało. Okazale wystąpili p.p. Malczewscy, trzy solenizantki świetnie ufetowane były, bawiono się wybornie i bal do dnia się przeciągnął. Na tym to balu jeden z dawnych przyjaciół domu Malczewskich, major czy rotmistrz wojsk polskich, nie pamiętam, człowiek zacny poczciwością, wesołego humoru, Wąsowicz, kiedy w najlepsze brzmi muzyka, szumi taniec, on siedząc z boku, udając rękami jakby grał na basetli: „Już po Tarnorudzie, już po Tarnorudzie" z cicha zaśpiewał. Malczewscy przeżyli wprawdzie wielką część majątku, ale zostawili jednak jeszcze tyle, że syn miałby się był z czego uczciwie utrzymać, gdyby na pana nie chorował i państwa procesem dorabiać się nie

pragnął. Ale wróćmy do balu. Tańce ówczesne więcej były rozmaite od dzisiejszych. Ten sam kadryl, czyli kontredans, zdobiący figury lekkiemi i wyuczonemi krokami, jakże był różny od dzisiejszego, w którym tancerze stają jak do pańszczyzny, chodzą jak za pańszczyznę, a odbywszy tę powinność, po kątach się rozchodzą. Anglez, czyż nie miał więcej powabu w swoich figurach od dzisiejszych z szałem kręcących się polek? Możnaż teraźniejszy mazur równać z owoczesnym? Dziś staje 10, 12, 15 par i ni z tego, ni z owego, wyrywa się jedna para, obiega raz, drugi, salę i walcowym wirem okręciwszy się razy kilka, gdzieś znika, a drudzy pytają, co teraz robić? Dawniej w mazurze była pewna metoda, 4 lub 8 par stawało do koła, wymyślano figury jedne od drugich piękniejsze, w których wdzięk zwinności, lekkości i biegłości tancerzów, zachwycał całe towarzystwo i w wiekowych nawet widzach ducha wesołości obudzał! A nasz narodowy polski taniec! O! dziś go mało już kto zna! A może niezadługo! jak strój naszych praojców, tak i taniec, ledwie z opowiadania lub z rysunku znajome będą! Polonez, wyłącznie poważnym osobom płci obojej właściwy, w chodzie swoim, w przemianie rąk, w rozmaitem zawracaniu się poważnym krokiem, jakże był do twarzy szanownym naszym matronom i ojcom familji! Znika coraz więcej narodowość nasza nietylko w tańcach, stroju i zwyczajach, ale w obyczajach, mniemaniach i wierze! a przecież rozprawiamy o tej narodowości i zdaje się nam, że jej wzorem jesteśmy! i nieraz śmiejemy się ze starców, rozprawiających o dawnych lepszych czasach!

Na okazałym balu u Malczewskich część wieczoru zajęły popisujące się tańce. Anusia Malczewska z bratem swoim Piusem popisywali się gawotem. Cóż to jest za taniec pełen wdzięku i życia, a jednak skromny! Możnaż go porównać z dzisiejszą kaczuczą, gdzie cała doskonałość tancerki w tem celuje, ażeby kręcąc się na jednej nodze, drugą w horyzontalnem położeniu utrzymać? W kozaku panna Aniela Błędowska z Piusem zachwycali

widzów, bo rubaszność naturalną ukraińskiego tańca ogładzały wyuczone skoki, nie odbiegając form wieśniaczych. Pannę Antoninę Sobańską uproszono, żeby tańcowała z bukietem. Z uroczym wdziękiem wykonała to solo. Bukiet był piękny, ale ta co z nim tańcowała stokroć piękniejsza. Księżniczka solenizantka wybrała sobie tamburino, taniec żywością swoją tak zgodny z żywością tancerki wszystkich oczarowała! Marja Zakrzewska, pięknemi figurami w szalu jeszcze podwyższyła swoje wdzięki. Zakończył taniec prześliczny girlanda, którą Anusia Malczewska z Leosią Chrząszczewską we dwie z cudnym wdziękiem wykonały. Więcej jak pewne, że piękne z siebie tańce, piękniejszemi jeszcze sprawiła uroda tancerek i, że patrzący na nie mogli nie przejąć się uczuciem istotnego piękna, wzbudzeniem ducha poezji, wykształceniem gustu. Zapewne, że świadkowie tych czasów zestarzeli, od dzisiejszego pokolenia za stworzenia bez uczuć, bez smaku miani, nie wpłyną swem opowiadaniem na duch teraźniejszy; ale przynajmniej sobie samym miłe wznawiając wspomnienia, osłodzą nie jedną chwilę życia, wpośród nieupowszechnionego za ich czasów, a dziś pełnowładnie panującego egoizmu.

Przeszedł karnawał wesoło i przyzwoicie. Szanowny prefekt nie miał powodu żalić się na uczniów, uczniowie z całem życiem młodości spełniali swe obowiązki, rodzice radowali się z postępu naukowego i obyczajowego swych dzieci. I był to rok, należący jeszcze do szeregu lat pierwszych gimnazjum.

* * *

Nadeszła wiosna, wiosna urocza w pięknych Krzemieńca okolicach, ale ta wiosna zasiała ziarno zamieszania w cichym nauk przybytku. Wyżej już mówiłem o energicznej działalności Antoniego Jarkowskiego w jego urzędzie; gdyby i dyrektor Sciborski podobnym był prefektowi, ileżby to oszczędziło się nieprzyjemności szkole,

ile krytyk, a nawet potwarzy na jej czynności! Dyrektor miał tę nieszczęśliwą, a wielu poczciwym ludziom właściwą wadę, niedecydowania się na co bądź stanowczo i odkładania czynności na czas dalszy. Wizytator przypisywał sobie władzę wyższą i częstokroć decydował rzecz, bez znoszenia się z władzą szkolną. Mała rzecz dała początek złemu. Kilka młodych paniczów, nie otrzymawszy od prefekta pozwolenia wyjazdu na miasto, udali się do wizytatora. Plater nie wybadawszy uczniów, czy u prefekta oznajmili swój wyjazd, pozwolił, nie komunikując się z prefektem. Nazajutrz prefekt nieposłusznych oddał pod sąd szkolny. Stąd przyszło do nieprzyjemnego tłumaczenia się między wizytatorem i prefektem. Szef Drzewiecki, obecny tej sprawie, przyznał słuszność Jarkowskiemu, ale wymógł na nim przebaczenie na ten raz nieposłuszeństwa uczniom i rzecz cała cicho się skończyła. Ale niechęć zawiązała się pomiędzy naczelnikami, a stąd rozdwojenie w uczniach. Młodym ostra niekiedy Jarkowskiego powaga, jak zwykle młodym, uciążliwą się zdawała. Delikatność wizytatora aż do pobłażania posunięta, podobała się uczniom i przy wizytatorze stanęła przeważna ilość młodzieży. Rodziła się stąd powoli nieregularność w spełnianiu szkolnych obowiązków, którą karcąc prefekt, jeszcze więcej ściągał na siebie niechęć uczniów. Gdyby Sciborski więcej miał był energji, więcej działalności, mógłby był wszystkiemu zaradzić, ale wszystko szło na delatę i złe rosło. Skończył się jednak rok szkolny dość pomyślnie, i zdawało się, że z następnym znowu ład dobry zawita. Rozjeżdżali się obywatele, a ja z pp. Jaroszyńskimi dla dawania lekcji botaniki Mikołajowi na wakacje wyjechałem. Ale mój uczeń unosił do domu głęboko w sercu wyryty obraz pięknej Eleonory!

Wyjechaliśmy w licznem towarzystwie. Siostrzenica p. Jaroszyńskiego, p. Antonina Iwaszkiewiczówna, i brat jej Tadeusz, piękni i pięknych serca i umysłu przymiotów, duszą byli towarzystwa. P. Antonina wesołego charakteru i z bystrym rozumem pozyskała sobie w Krze-

mieńcu wszystkich życzliwość, a u wujostwa w wysokiem była uważeniu. Miły Tadeusz był jednym z celujących uczniów gimnazjum. Jechał z nami także p. Wysocki, młody muzyk, skrzypek nie bez talentu. O nim było zdanie Lenzego: „że gdyby nie zarozumiałość, wyszedłby na znakomitego artystę". Został więc tylko miernym skrzypakiem. Całą taką gromadą zajechaliśmy na noc do Napadówki do p. Bejnerowej, godnej siostry szefa Drzewieckiego. Zastaliśmy tam p. Ksawerową Drzewiecką z córką i synami Janem i Władysławem. Jan wielkich zdolności, ale ostry w sądzie o ludziach i w mowie, Władyś ładny chłopczyk układny, ale przy najlepszem sercu, także wiele ostrości posiadał. Na noclegu w St. Konstantynowie pożar, wszczęty blizko naszej kwatery, wypędził nas za miasto i dziwnie komiczne zrobił z nas kostiumowe widowisko. P. Jaroszyński, zamiast szkatułki z ważnemi pieniężnemi papierami, chwycił tualetkę żony i z nią szybko się z kwatery wynosił. P. Jaroszyńska, unosząc pieska głaskała go, mówiąc: „nie bój się serce". Wszyscyśmy, wpółubrani, chwytali co kto podał i wynosili, jeden Mikołaj z zimną przytomnością zupełnie ubrany, wszystko do ładu, wszystkich do opamiętania się przyprowadzał. Po drodze wstępowaliśmy w Winnicy do prezesostwa Szczeniowskich, pokrewnych Jaroszyńskim, w Woronowicy do prezesostwa Grocholskich, ścisłą przyjaźnią z Jaroszyńskimi związanych. Nakoniec po całotygodniowej podróży stanęliśmy w Kunie. Mając zamiar cały rozdział poświęcić wspomnieniom tego domu, tu jedną tylko wspomnę okoliczność. Mikołaj za powrotem do domu był smutny, roztargniony, jak zwyczajnie zakochany pierwszą miłością. Trapiło to matkę, niecierpliwiło ojca i psuło harmonję towarzystwa. P. Antonina, mimo całą przyjaźń dla księżniczki, widziała całą niestosowność tych miłostek.

Nieraz rozmawialiśmy z sobą o tem i przemyśliwaliśmy nad sposobami uleczenia Mikołaja, który dla p. Antoniny i dla mnie z braterską był przyjaźnią i z całą uf-

nością. Okoliczność podała nam środek, szczęśliwym uwieńczony skutkiem. Pani Michałowa Sobańska wezwała mię dla uporządkowania plant oranżerji poryckiej, którą nabyła. Pan Jaroszyński nie przeciwił się mojemu wyjazdowi. Po tygodniu bawienia w Obodówce wróciłem do Kuny. „No! cożeś tam słyszał p. Antoni“ — zapyta mię p. Jaroszyński. „Przywiozłem — szepnę mu do ucha — lekarstwo dla Mikołaja“. „No cóż tam?“ „Oto ciekawą powiem nowinę. Ks. Eleonora wychodzi zamąż“. „Żartujesz?“ — rzeknie uśmiechając się p. Jaroszyński. „Nie, wcale nie żartuję, już po przyrzeczeniu, podobno nawet po zaręczynach“. „Za kogoż idzie?“ „Za ks. Konstantego Czetwertyńskiego, kuzyna dalekiego“. „Cała ta powieść usnuta w mojej głowie, dziwne wywarła działanie. Tymczasem ktoś z gości nadjechał, Mikołaj, korzystając z zamieszania, wyciągnął mię do naszej stancji“. „Czy to istotna prawda, co mówisz?“ — zapytał. „Cóżbym miał za potrzebę zmyślać? powtarzam, co słyszałem tam, gdzie mogą wiedzieć najwierniej całą okoliczność“. „O! niegodziwa! — zawołał — tak mię oszukiwać? Patrz, oto jest pierścionek, dany mi od niej przy pożegnaniu! To miał być zakład jej stałości choćby i na lat dziesięć! Ale kiedy ona mnie tak zawiodła, niechże i ten zakład przepadnie“, to mówiąc połamał pierścionek i rzucił przez okno, a łzy były na jego oczach. „Mikołaju! — rzekłem natenczas — nie śmiałem ci robić uwag moich względem niestałości księżniczki, ale przypomnij sobie Leona Krasickiego, miałżebyś szczęśliwszym być od niego? Ja nie ręczę, ażeby jeszcze i z narzeczonym rozbrat nie nastąpił. Księżniczka wieloma świetnemi płci swojej szczyci się zaletami, ale i wady płci swojej posiada. A stałość jestże powszechną kobiet zaletą?“ — „Masz słuszność! — odpowie—ściskając mię przyjaźnie—stało się! ani mowy więcej o tem“. W istocie uczucie silne osłabło po zrzuceniu pierścionka, talizman ten magnetyczną siłą utrzymywał sympatję Mikołaja, związek ten przerwany przerwał i uczucia i młode serce ostudził. Mikołaj stał się innym, od-

zyskał wesołość i oddał się zajęciom użytecznym i rozrywkom. Wszyscy w domu wiedzieli, że powieść była zmyślona, ale była lekarstwem skutecznem i zjednała mi życzliwość pp. Jaroszyńskich i przyjaźń p. Antoniny. Mikołaj w rok dopiero dowiedział się o podstępie użytym na uleczenie jego moralnego cierpienia. Miłosna ta awanturka zraziła pp. Jaroszyńskich od Krzemieńca, Mikołaj pozostał w domu, ja sam tylko wróciłem. Ale nie samo zakochanie się syna zniechęciło p. Jaroszyńskiego; jako człowiek rozumny i roztropny postrzegacz, zauważył on nieład, wkradający się w szkołę. Umiał ocenić gorliwość i znajomość rzeczy w prowadzeniu młodzieży prefekta Jarkowskiego i nie wymknęły się z pod jego uwagi uchybienia wizytatora w nadaniu zbytniej swobody młodym i lekceważenia rozsądku, wieloletniego doświadczenia i taktu prefekta. Żegnając mię, te mi powiedział słowa: — „Daj Boże! ażebym się omylił, ale przewiduję w waszem gimnazjum jakiś zbieg okoliczności, mający wpływ na zdemoralizowanie młodzieży, którego unikając zostawiam w domu Mikołaja. Szanuję waszych nauczycieli, oddaję sprawiedliwość ich wyższym usposobieniom i żałuję, że mój syn nie będzie dalej z szanownych ich trudów i gorliwości korzystać, ale niepodobna nam zamieszkać w Krzemieńcu, a mego syna jednemu tylko Jarkowskiemu bym powierzył, ale w składzie rzeczy, jak dziś u was są, zacnemu starcowi przymnożyłbym kłopotu.

Wracając od p. Jaroszyńskich, drogę obróciłem na Tuczyn, dla odwiedzenia mej matki i zastałem Tuczyn okryty żałobą. P. Józef Walewski już nie żył! Świeżą jego stratę Wołyń opłakiwał, a żalu rodziny nic ukoić nie mogło. O! bo też to był mąż, jakiemu równych niewiele! Nie zaświetniał on jakąś nadzwyczajną podziwiającą karjerą, ale cnót domowych i obywatelskich prawdziwym był wzorem. Podobny ojcu swemu sercem i umysłem, przewyższał go, jednostajną słodyczą charakteru, mimo panującą siłę woli, nie podlegając silnym uniesieniom, od których p. wojewoda nie był wolnym. P. Józef kochał lu-

dzi i miłość ludzi posiadał, poświęcał się dobru bliźnich, pobłażał ich wadom, przebaczał urazy i od lat najmłodszych dla siebie tylko był surowym, niekiedy nawet do egzaltacji. Kiedy w Warszawie dla stosunków z jedną z dam naszych ze Stanisłowowskiej epoki ożenienie jego z panną Kicką nie doszło; kiedy, szumiąc wystawnem życiem, jak i wszyscy owych czasów nasi panicze, odłużony wyjechać z Warszawy nie mógł, zgryzotę zdrowiem przypłacił. Major Telatycki, koligat Walewskich i prawdziwy od serca p. Józefa przyjaciel, nie odstępował chorego, pocieszał jak mógł i ciągle nastawał, ażeby p. rotmistrz do p. wojewody napisał, ale wygórowana delikatność p. Józefa dręczyła go i przenieść na sobie nie mógł, ażeby ukochanemu ojcu tyle przyczynić zmartwienia. Telatycki ze względu na obecnie uciskające okoliczności, nalegał jeszcze silniej i nakoniec p. Józef skłonił się, ażeby napisać do p. Detiuka i odłożono na jutro wyprawienie listu. Ale nazajutrz p. rotmistrz czuł się gorzej i niezdolnym do napisania słów kilku, polecił Telatyckiemu tę korespondencję. Uskutecznił wolę przyjaciela i, korzystając ze słabości jego, napisał list (nam już znany w t. I), i natychmiast go wysłał sztafetą. Major Telatycki, człowiek ze wszech miar zacny, prawy, mąż czynu, ale trochę poeta, puścił wodze myślom i pióru i skreślił jeremiadę, jakiejby pewnie sam p. Józef nie napisał, ani nawet i tej napisanej posłać możeby nie pozwolił, tymczasem gorliwość przyjacielska nie odnosząc się do głównego działacza w tej rzeczy, wyprawienie pisma przyśpieszyła. Ojciec mój znał osobiście p. rotmistrza, ze wszystkich synów p. wojewody kochał go najwięcej, ale korespondencji z nim nie prowadził, pismo więc tak pilne przyjął za autograf, i bez namysłu spełnił to, co mu jego poczciwe serce i prawdziwe przywiązanie do p. rotmistrza nakazywało i skutek był pomyślny. Nie prędko po powrocie p. rotmistrza w ojczyste progi, może w rok, zebrani w stancji mego ojca wojewodzice i ich rezydenci rozpowiadali o swojej przeszłości. P. Józef najwierniej z figlów młodości

swojej spowiadał się. Major Telatycki był obecnym i kiedy z powieści wypadło wspomnienie o liście pisanym do mego ojca z Warszawy, ojciec mój dobył to pismo z kantorka i głośno przeczytał. Natenczas powstał okrzyk na poetę, wykrytykowano i myśli i wyrażenia i styl, wykazując autorowi przesadę, aż do zmyślenia, major bronił się, jak mógł, ale musiał uledz.—Dajcie mu pokój—ozwie się p. Józef — nie przeciwię się wam, co do egzageracji w tym liście, może nawet ubliżającej mi w wielu okolicznościach, ale mogęż mieć mu to za złe, wspomniawszy, że w tak krytycznym stanie on jeden w mojem opuszczeniu dowiódł mi swojej bezinteresownej przyjaźni, że on stał mi się bratem i że tem, acz może przesadzonem pismem, podał mi bratnią dłoń i z niewoli ratował. To powiedziawszy, z rozrzewnieniem po bratersku uściskał poczciwego majora i oba przyjaciele łzami uczucia swoje najwymowniej tłumaczyli. Poetyczny ten list p. rotmistrz na pamiątkę ojcu memu zostawił, chowałem go długo, ale pożar, który mię w r. 1845 nawiedził, zniszczył i mnóstwo ważnych a potrzebnych papierów.

P. rotmistrz nie był dumnym, owszem przystępność i narodowa uprzejmość charakter jego cechowały, ale czuł i wysoko cenił godność osobistą i rodu swojego, ani jej podwyższenia jakimś tytułem nie szukał. Była taka okoliczność. Horyń rzekę uznano za spławną z małemi zawadami i rząd pozwolił w niektórych punktach budować szluzy. W jednym roku stanęły one: u p. rotmistrza pod Tuczynem, u chorążego kor. pod Kozlinem i pod Aleksandrją u ks. Józefa Lubomirskiego. Budowy te, ze wszech miar odpowiedziały swojemu celowi, naczelnik wodnej komunikacji przedstawił tę sprawę monarsze cesarz raczył najłaskawiej polecić oświadczenie podziękowania hrabi Józefowi Walewskiemu, ks. Józefowi Lubomirskiemu i obywatelowi Józefowi Steckiemu. Sąsiedzi winszowali p. rotmistrzowi otrzymanego tytułu, ale p. Józef odpowiedział: — „Nie mam zupełnie pretensji do tego

tytułu, ojciec mój nie był hrabią, ale był więcej, był senatorem polskim".

Mimo piękną i okazałą postawę, p. Józef nie był silnego zdrowia, od zgonu p. wojewody zdrowie jego chylić się do upadku zaczęło, w roku jednak 1807 jeszczem go czerstwym widział w Krzemieńcu, lubo zaród wody w piersiach już się objawiać zaczynał. Ale nikt tego nie dostrzegał, bo p. rotmistrz w sobie zamknął swoje cierpienia, był czynnym, był wzorowym urzędnikiem, marszałkiem ukochanym od całego powiatu, wzywanym na urząd ten dożywotnio. Lecz stan zdrowia urzędu dalej piastować nie dozwolił.

Upadające coraz zdrowie nie przeszkadzało p. Józefowi działać dla wspólnego dobra, ani mniej być czynnym w 1812 r. jak w 1809. Ale na czynności dostojnego obywatela tygrysie oczy Komburleya zwrócone były. Oskarżył p. rotmistrza i otrzymał ukaz, skazujący oskarżonego na wywiezienie do Penzy. Niespełna rok przecierpiał na wygnaniu p. rotmistrz, nie mógł podołać ucisku serca, utrapień wygnania i rozwiniętej w całej sile niebezpiecznej chorobie, i kiedy w 1813 roku, w styczniu, gubernator Penzeński uwiadomił go o wyjednanem pozwoleniu powrotu pod ojczystą strzechę, zaledwie w lutym dopiero mógł dość sił znaleźć do wyjazdu. Choroba gwałtownie wzmagała się, a w podróży potrzebnych wygód i starań doznać niepodobna było. A tak daleko od domu, od swoich, od ukochanego jedynaka, myślą im tylko uczucia swoje posyłał i w Tambowskiej gub. w miasteczku Lipecku, wobec wracającej także współ-wygnanki kasztelanowej Rzyszczewskiej, na ręku siostrzana jej ks. Konstantego Czetwertyńskiego dnia 13 marca piękne swe życie zakończył.

Wiele lat już upłynęło od jego zgonu, niewielu zostało, którzy go osobiście znali, ale pamięć jego dobrodziejstw i w następnych pokoleniach nie wygasła, bo tych dobrodziejstw niemało śladów i dziś widzieć moż-

na w Tuczynie. Ale ta ręka, niosąca wsparcie ludzkości, z darami swojemi i dalej sięgała. W Krzemieńcu porucznikowa Puziewiczowa, staruszka i kaleka, póki żył p. rotmistrz od zaboru kraju corocznie po sto złotych pensji pobierała i, o wiele lat przeżywszy swego dobroczyńcę, ze łzami wdzięczności pamięci jego modły swe poświęcała. Po p. Józefie Walewskim jeden tylko syn pozostał, i serce i umysł piękne dostał w udziale. Daj Boże! ażeby, idąc w ślady czcigodnego ojca swego, tak jak ojciec, przywiązanie i cześć współobywateli sobie pozyskał.

Za powrotem z wakacji zastałem okoliczności w takim stanie, jak je przewidział p. Jaroszyński. Protekcja wizytatora ułatwiała wstęp do gimnazjum, choć nawet i egzamina były niedostateczne. Prefekt opierał się temu i stąd przyszło do przemówień z wizytatorem, a te przywiodły do niechęci wzajemnych. Sciborski, ani z Jarkowskim nie trzymał, ani sam nic nie stanowił. Coraz więc silniejszy bezład wkradał się we wszystko. Nastąpił karnawał, i o tym to karnawale możnaby powiedzieć to, co chcą w ogólności zarzucić Krzemieńcowi. Ustawy kasynowe tak zwolnione były, że wizytator od mundurów nawet uwolnił, i jeśli uczeń nie otrzymał od prefekta pozwolenia na kasyno, pewnym był, że je od wizytatora otrzyma. Krzemieńczanin jestem, drogie mi tej szkoły wspomnienie, ale nie mogę zataić, że byliśmy w upadku! Zawiązały się schadzki wieczorne pod nazwaniem wieczorów literackich i powagą Platera były uświęcone. Czytywano tam wprawdzie; Zaborowskiego Tymona [1]) pierwsze prace tam się okazały, Sienkiewicz [2]) był ozdo-

---

[1]) Tymon Zaborowski (1799—1828) urodził się w Liczkowcach (w Galicji, pow. Husiatyn). Jako poeta dał się poznać już w Krzemieńcu. Drukował ustęp z poematu Bolesław Chrobry w „Ćwiczeniach naukowych“ (t. 1818). Dumy podolskie za czasów panowania tureckiego. Puławy, 1830, wydał Karol Sienkiewicz. Życie zakończył samobójstwem, rzucając się w fale Dniestru.

[2]) Karol Sienkiewicz (1792—1860). Urodził się w Kalinów-

bą towarzystwa, ale wielu pisało żółcią i nieraz szanownym osobom niepospolitą przypięto łatkę. I tu można zarzut zrobić Platerowi, że tych zoilskich pism nie zganił; na nieszczęście, złośliwe, ale sprytne bon mot, zawsze miało u niego dobre przyjęcie, ale nie wszyscy członkowie tego klubu byli Sienkiewicze lub Zaborowscy, byli i próżniacy i często bardzo karty ich ksiąg były asy, piątki, króle, kałamarzami butelki a atramentem rum i wino. Ile razy Plater obecnym był na tych czytających wieczorach, odbywały się one z całą przyzwoitością, nic im zarzucić nie można było. Ale były nieczyste owieczki w tej trzodzie, które i surowego prefekta i pobłażliwego wizytatora ostrożność przed mieszkańcami miasta wyśmiewali i ze swych figlów chełpili się. Dręczył się tem prefekt, ale nie miał chęci przemawiać się o to z wizytatorem. Prof. Choński podjął się tej misji. Kilku młodych ludzi obecnych było tym odwiedzinom. Nie wiem ich nazwisk, boleśnie byłoby mi wymienić je! Ale nie znać w nich było na tę chwilę uczniów szkoły Czackiego! Choński [1]) z całym taktem zdrowego rozsądku i delikatnością, należną starszemu urzędnikowi, mówił, opisując nadużycia, jakie się wkradły do szkoły, Plater odpowiadał mu zimno i z ironją. Ale obecny pan Teodozy, po ukończeniu gimnazjum przypisany do komisji, pozwolił sobie wmie-

---

ce gub. Kijowskiej, powiat Taraszczański. Początkowe szkoły w Humaniu i Winnicy, ukończył liceum Krzemienieckie. Był bibljotekarzem w Puławach. W r. 1831 emigrował do Francji. Osiadł w Paryżu. Od roku 1834 redagował Kronikę emigracji. Założył w Paryżu Towarz. histor. polskie (1838). Pisał liczne dzieła historyczne i polityczne, z których po śmierci niektóre dopiero wyszły. Jako sekretarz towarzystwa był faktycznym założycielem Bibljoteki polskiej w Paryżu, istniejącej dotychczas. Uprawiał poezję pod pseudonimem Karola z Kalinówki. Wydał w przekładzie poemat Walter-Scotta p. t. Pani jeziora. Życie zakończył w Paryżu.

[1]) Michał Choiński (1779—1855). Przełożył L. H. Jakebiego Zasady ekonomji narodowej t. t. 2. Krzemieniec 1820.

szać się do rozmowy, zapominając nawet przyzwoitości w okazaniu względów dla znakomitego nauczyciela. Choński nic mu nie odpowiedział, spojrzał nań tylko z pogardą, hrabiego poważnym ukłonem pożegnał. „P. Choński! — zawołał Plater — pan zdaje się wychodzisz ode mnie obrażony, a ja pana tyle szacuję, że nie chciałbym pana mieć sobie niechętnym". „Panie hrabio, szacunek szacunkiem się nabywa, Bóg zlał tyle pięknych darów swoich na p. hrabiego, że tylko używać ich w każdej życia okoliczności należy, a kwiatami usłana będzie droga życia twojego. Ale na nieszczęście, tę dobrą stronę swoją zakrywasz od nas! Pan nie lubisz mieć życzliwych sobie między poważnymi wiekiem i zasługą. A ja szanuję starość. Ale starość bogata jest doświadczeniem, któremu więcej zaufać należy. Żegnam p. hrabiego! P. Teodozemu przebaczam jako młodemu!" Wyszedł profesor, młodzi odezwali się:—„Pedant!"—„Życzyłbym jednak każdemu z panów, ażeby się podobną Chońskiemu pedanterją poszczycił!" — rzekł Plater.

Zasiana niechęć i nieufność pomiędzy wizytatorem a władzami gimnazjum bujnie wzrastała. Czacki na swoim urzędzie zależał tylko od ministra i od kuratora. Plater i uniwersytetowi wileń. podlegał. Czy były jakie znoszenia się gimnazjum z Wilnem względem wizytatora, to trudno powiedzieć, bo stosunki uniwersytetu z wizytatorem były wielce delikatne. Ale Wilno nie mogło przebaczyć Krzemieńcowi wzrostu i sławy. Wizytatorowi nakazano otworzyć gimnazjum w Winnicy. Zjechał Plater na ten akt, ale życzliwości dla siebie nie wzbudził, a nawet podanych przez niego na nauczycieli kandydatów nie przyjęto. Wrócił do Krzemieńca niezadowolony i zastał jeszcze większe rozstrojenie szkoły. Nie mógł nie przyznać sobie, że po większej części jego w tem była wina. Chcąc jakkolwiek wynagrodzić swoje uchybienie, podał pod sąd trzech uczniów. Prefekt nie dopuścił sądu, udał się urzędownie osobiście do Platera. Co mówili między sobą ci dwaj czcigodni urzędnicy, to zostało między

nimi. Szef Drzewiecki wpłynął na ich pojednanie, uczniom podanym pod sąd kazano wziąć uwolnienie i ucichło wszystko. Tymczasem gubernator Giżycki, szczególniejszy przyjaciel hrabiego, nalegał na niego, ażeby się uwolnił od obowiązku urzędowania w wydziale naukowym, a przeniósł się do służby cywilnej, ofiarował mu urząd wicegubernatora i podczas bytności swojej w Krzemieńcu, na balu u Platera, wziął od niego słowo. Otwarcie Podolskiego gimnazjum ujęło wiele Krzemieńcowi. Z początkiem roku szkolnego z 1815 na 1816 rok, zaledwie 400 uczniów było w szkole Czackiego, ale ubyło wielu z antiprefektowskiej partji. Plater mieszkał jeszcze w Krzemieńcu, ale już zupełnie do rządu szkoły się nie wtrącał, nawet uczniowie mniej mieli wstępu do jego domu. Natomiast prefekt, zapomniawszy urazy za doznane nieraz od wizytatora nieprzyjemności, często odwiedzał Platera sam, lub z szefem Drzewieckim, i dopiero to zbliżenie dało hrabiemu poznać całą zacność starca, którego wprzódy ocenić nie potrafił. Rozstali się najprzyjaźniej i Jarkowski powiadał zawsze, że Plater, jak i wszyscy znakomici ludzie, zszedł ze swojej drogi i błąd jego nie mógł być błędem małych ludzi.

Rok 1816 był nieco lepszy. Prefekta władza wzrosła, szef Drzewiecki potrafił przekonać Sciborskiego, że może powodować się radom mądrego wieloletniem doświadczeniem Jarkowskiego i Jarkowski wziął przewagę w zarządzie szkoły i szkoła do ładu przychodzić zaczęła. Na ten rok wizytatorem naznaczony został profes. wysłużony uniw. Wileń. p. Malewski i zjechał na egzaminy roczne prywatne.

Wspomniałem wyżej, że p. Jaroszyński powziął prawdziwą przyjaźń dla domu Malczewskich. W duszy życzył sobie piękną ich córkę mieć synową, ale Mikołaj ledwie lat 19 liczył, Anusi było lat szesnaście, a do tego w młodych nie pokazał się ten wzajemny pociąg, prowadzący do silniejszych uczuć. Wyjeżdżając z Krzemieńca p. Jaroszyński zaprosił pp. Malczewskich do Kuny, za-

proszenie najmilej przyjęte i pp. Malczewscy w maju wybrali się na Ukrainę. Z uprzejmością i hojnie podejmowali gości p. Jaroszyńscy i cała prawie ich rodzina zebrała się w Kunie. P. Franciszkowa Jaroszyńska z domu Drzewiecka, córka szambelana, oddawna Malczewskim znajoma, wiele im była pomocną w czasie całego ich pobytu. P. Jan Jaroszyński od dwuch lat wdowiec, zjechał także do stryja. Nie piękny i w manierach swoich kozakowaty, tą ekscentrycznością potrafił się podobać pięknej Anusi. P. Antoni i p. Franciszkowa usnuli projekt pożenienia Anusi z Janem. Podróż do Odesy posłużyła temu zamiarowi. P. Jan z całą galanterją starającego się kawalera po drodze fetował bohdanki rodzinę. Wypadł popas na stepie, a już kilka pięknych namiotów z okazałym obiadem czekało na podróżnych. Karczmy noclegowe zamieniały się na ozdobne i wygodne komnaty, zręczna i strojna usługa oczekiwała rozkazów i uprzedzała je nawet, p. Anna była wyrocznią, bo proszono, ażeby jej wola wszystkim rządziła. Nie mogła nie podobać się młodej panience taka samowładność, wyobrażała sobie taką i w pożyciu z p. Janem i do niepięknej twarzy jego nawykła i powiedziała sobie: — „będę Jaroszyńską! — Pp. Malczewscy zupełnie inaczej myśleli, inne mieli zamiary. Czy Plater dał jaki powód, upewniający rodziców o jego zamiarach względem Anusi, czy tylko ze szczególniejszych atencji, jakie Anusia od hrabiego odbierała pp. Malczewscy szczerze przekonani byli, że córka ich będzie hrabiną Platerową. Okoliczności inny obrót wzięły. Po powrocie z Odesy p. Jan przez stryja oświadczył się rodzicom, rodzice odwołali się do panny, i z podziwieniem wielkiem rodziców, panna oddała rękę wdowcowi. Jan Jaroszyński nie był tak bogatym, jak Plater, jednak dwa tysiące z górą dusz posiadał i stanowił dom zamożny szlachecki. P. Antoni zupełnie był zadowolony i jeszcze więcej wylany dla Malczewskich. Wesele naznaczono na 8 września w Tarnorudzie.

Tego roku wysłany zostałem na ekskursję botaniczną kosztem hr. Platera i Wacława Rzewuskiego i końmi ks.

Maksymiljana Jabłonowskiego, który, po wstąpieniu na prezydencję komisji fund. eduk. p. Michała Sobańskiego, komisarzem obrany został. Objechawszy Tarnopolszczyznę, Podole, część Ukrainy, wstąpiłem do Kuny i tam dowiedziałem się o upewnionem pobraniu się p. Malczewskiej z p. Janem Jaroszyńskim, zadziwiło mię to nieco, ale ucieszyłem się wspomniawszy, że Anusia będzie pod opieką stryja, który ją tak kocha. W istocie wesele pp. Janostwa Jaroszyńskich odbyło się 8 września. Ale razem z ich weselem, nazajutrz, w dzień po ich ślubie, odbył się akt, jaki rzadko oglądać można. Był to ślub złoty pp. Wolskich po 50 latach najpiękniejszego małżeńskiego pożycia. Więcej 40 osób składało tę szanowną rodzinę. Dwaj wnukowie prowadzili p. Wolską do ołtarza, p. Wolskiemu asystowały wnuczka i szesnastoletnia prawnuczka; cała ta uroczystość odbyła się u pp. Malczewskich pięknym balem. P. Wolski służył jeszcze u rejenta koronnego Malczewskiego, ojca p. marszałka, dorobił się grosza, szedł po posesjach, Bóg mu dopomagał, synów dobrze pożenił, córki dobrze powydawał i, dając im pomoc z poczciwie zapracowanego grosza, dał im i błogosławieństwo Boskie. Syn jeden był sędzią, drugi chorążym powiatowym. Wnukowie pięknie odznaczali się w gimnazjum Krzemienieckiem przykładaniem się do nauki i moralnem prowadzeniem.

Na weselu p. Anny był hr. Plater. Winszował pannie młodej, pił jej zdrowie, ale mimo siłę woli właściwą sobie, widać jednak było, że na p. Jana z ukosa poglądał. Ja na tem weselu istotnie byłem mistrzem obrzędów i wszystko szło podług mojego programu.

ROZDZIAŁ XIII.

Niezmiernie wdzięczni byli pp. Malczewscy za zrobioną im w tak ważnym dniu usługę, dziękowali pp. młodzi a p. Antoni Jaroszyński zamówił mię na rok cały do

kompanji p. Mikołaja. Trudność uwolnienia na ten czasu przeciąg od obowiązku w gimnazjum wziął na siebie obecny na weselu p. szef Drzewiecki i wyjednał mi je. Wróciwszy więc do Krzemieńca, pobiegłem do Tuczyna odwiedzić moją matkę. P. Józef Walewski już nie żył, wdowa mieszkała w swojej majętności, a syn p. Józefa małoletni Michaś wzrastał pod opieką stryjostwa, zacnych Hieronimostwa Walewskich. Braterskie u nich znalazłem przyjęcie i miłą nader o dawnych czasach wypraliśmy pogadankę — nie pozwolili mi nawet pojechać do ciotki Skirmuntowej, ale całe trzy dni bawienia mego w Tuczynie i matka moja, i ja i Skirmuntostwo u pp. Walewskich przebyliśmy. Czcigodna to była rodzina, ta rodzina Walewskich. Hieronim, najmniej piękny z braci i upośledzony w mowie, nie sadził się nigdy na długie, a tembardziej ozdobne opowiadania, ale był człowiek czynu. Dobry sąsiad, wierny przyjaciel, pan łagodny i sprawiedliwy, mąż najlepszy, jednego mu tylko tytułu nie dostawało, dobrego ojca. Bóg nie pobłogosławił go potomstwem. Sama p. Walewska niegdyś owa milutka Cesia, wzór pobożności, słodyczy charakteru i rozumu. Żyje dotąd ta czcigodna matrona i całego sąsiedztwa i serca i szacunek posiada. Mimo całą jednak uprzejmość pp. Walewskich, Tuczyn smutnym był dla mnie. Ileż to wspomnień błogiej przeszłości odzywało się w sercu! ileż i smutnych pamiątek wywołało. I mnie już lat trzydzieści było. W sercu przecie było młodo i świeżo. Oddawszy tedy należny hołd miłym choć smutnym wspomnieniom, znowu było weselej. Ledwie czwartego dnia puścili mię pp. Hieronimostwo na noc do Skirmuntów. Ustronie ich nazywało się Karłowszczyzna, milutki schludny domek pod pięknym laskiem brzozowym, był ich mieszkaniem i strzechą przytułku dla całej rodziny. Ileż tu ja miłych chwil przeżyłem, ileż razy zbiegałem te laski i te śliczne łąki! Te kwiaty i dziś, gdy je w jakiej okolicy obaczę, przypominają mi i miłą Karłowszczyznę i nieocenioną ciotkę moją i błogie lata rozwijającej się pierwszej mło-

dości mojej. Dziś to ustronie przeszło w inne ręce, ale dla mnie nieobce, nie miałem jednak powodu odwiedzenia tych dla mnie miłych okolic i nie wiem, czy już w pozostałych dniach życia mojego ta przyjemność zdarzyć się może. Jadąc do Jaroszyńskich zboczyłem na Berdyczów i z okoliczności wypadło i Kijów odwiedzić. W kijowskiem odwiedziłem Stanisława Proskurę a z nim prezesostwa Kajetanostwa Proskurów w Rozalówce. Do końca życia mojego przyjaznej uprzejmości, z jaką po tylu latach niewidzenia się w tej zacnej rodzinie przyjęty byłem. Kilka dni bawienia u prezesostwa dało mi poznać, ile uczonym był prezes. Prezes ubierał się po polsku, polskie w domu zachowywały się obyczaje, ale umysł tego czcigodnego obywatela szedł z postępem czasu. Lubił czytać i wiedzieć co się dzieje na świecie i politycznym i naukowym. Ani matematyczne, ani przyrodzone nauki nie były mu obce, historja i ekonomja polityczna były jego żywiołem. Czacki w ścisłej z prezesem żył przyjaźni, chciał go mieć w komisji fund. eduk., ale Proskura nie chciał opuścić powierzonej mu z pełną ufnością całej gubernji opieki nad jej cywilnemi interesami i w tem urzędowaniu lat kilkanaście przeżył. Stanisław Proskura ostatkami życia gonił. Przeziębienie otworzyło mu reumatyzm w piersiach, doktorowie omylili się i w piersiach rozwinęła się istotnie choroba nieuleczalna — suchoty. Stanisław i w kraju i w obczyźnie szukał ratunku, wrócił do domu bez nadziei wyzdrowienia i powoli dogorywał. Ale umysł jego i serce były zdrowe. Stanisław był dla mnie ten sam, którego w r. 1806 w Krzemieńcu poznałem! Udarowany futrem i bielizną od przyjaciela, ze łzami rozstałem się z nim, nie spodziewając się więcej go zobaczyć. I prezesostwo z domu swego bez upominku mię nie wypuścili.

Wróciwszy od pp. Jaroszyńskich wiele odmian zastałem w Krzemieńcu. Zamieszkali jeneralstwo Rzyszczewscy, ks. Mikołajostwo Sapiehowie, hrabina Ożarowska z dziećmi. Szef Drzewiecki, obrany marszałkiem pow. Krzemienieckiego, już i z obowiązku w tem mieście miesz-

kać powinien, z całego serca tej powinności ulegał, a jego urzędowanie dzielnie wpłynęło na przywrócenie do ładu szkoły Krzemienieckiej. Jako urzędnik państwa, jako naczelnik szlachty powiatu, jako poufny przyjaciel Czackiego, a tej przyjaźni i po zgonie jego wierny p. szef jeszcze więcej wtrącał się w interesa gimnazjalne. Jarkowski zawsze wielbiciel zacnych serca i umysłu Drzewieckiego przymiotów, znosił się z nim we wszystkiem, Sciborski, obojętny na wszystko, dopełniał już lat swojej służby i więcej o emeryturze, niż o gimnazjum myślał, ani Jarkowskiemu w działaniach nie zawadzał. Sciborski na egzaminach tylko zdobywał się na energję, bo żadna nauka obcą mu nie była, bo w matematyce był jednym z pierwszych uczniów krakowskiej szkoły. Od wstąpienia jednak pana szefa w urzędowanie, Sciborski częściej jeszcze dawał się przekonać radami marszałka, bo jego znajomość rzeczy, dar miłego wysłowienia, logiczne zdania i delikatność w przedstawieniu uwag, przemawiały do ostygłego umysłu dyrektora i obudzały w nim energję życia i jaką taką działalność. O! potrzeba było być świadkiem bezstronnym pobytu i urzędowania p. szefa, ażeby go dostojnie ocenić. Dziś mię jeszcze serce boli, słysząc ironiczne obserwacje o tym czcigodnym mężu; w młodszych latach moich, otwartą o niego z krytykami jego postępowania, toczyłem wojnę. Zapytajmy dziś jeszcze mieszkańców właściwych Krzemieńca, pamiętających urzędowanie szefa Drzewieckiego, a ze łzą w oku odpowiedzą: „to był nasz opiekun, to był nasz dobroczyńca". I to będzie odgłos najniższej części społeczeństwa, a głos ludu nie jestże głosem prawdy, głosem Boga! Wszystko co o nim wylał z serca nieodżałowany ks. Brudzyński, wycisnęło łzy z moich oczu, ale ks. Brudzyński znał go dopiero w podeszłym wieku! Jakże mię serce bolało, że mi nie było wolno odezwać się wówczas publicznie i, zraszając łzami grobowiec czcigodnego męża, ogłosić wiele czynów, malujących wielką jego duszę! i oddać hołd mężowi, jakich mało, a może i zupełnie już niema. Pięknie go

wspomina p. Kraszewski w dodatkach do Pamiętników, ale mnie, który tak blizko znałem p. szefa, wspomnienia te zdały się niedostateczne, a nawet zimne.

Czynne interesowanie się p. szefa, gorliwość nieoziębiona wiekiem prefekta, wróciły działalność szkole krzemienieckiej, ożywiły stygnący zapał do nauki i wprowadziły młodzież na drogę prawem jej przepisaną, liczba nawet uczniów znacznie się powiększyła. Nauczyciele również wpływ tych dwuch mężów uczuli i usiłowaniami swojemi ich usiłowania wspierali. Wyznajmy tu, że wielce na nas działa obchodzenie się z nami zwierzchników. P. szef znał to dobrze i dla nauczycieli dom jego był jakby rodzinną strzechą. Delikatność, uprzejmość i oddanie każdemu sprawiedliwości, były cechą p. szefa w obchodzeniu się z nauczycielami i więcej dawały zachęty w ich trudach, niż przemówienia, wymowne nawet, dyrektora Sciborskiego. Nikt mi z obecnych naówczas w Krzemieńcu nie zaprzeczy, że mimo to, iż ustronne od zarządu szkół było urzędowanie p. szefa, najsilniej jednak wpłynęło na przywrócenie do ładu gimnazjum wołyńskiego. Krzemieńczanin to wyznaje!

Na zimę zjechało się jeszcze więcej obywatelstwa. Ks. Franciszek Sapieha z córką Anielą, prawdziwym aniołem. Księstwo Pawłostwo Sapiehowie, hr. Adamowa Potocka z córką, prześliczną panią Starzyńską i wiele, wiele innych znakomitych domów. Nastąpił karnawał i znowu kasyna, ale te wróciły do pierwiastkowych form swoich. Znowu mundur stał się godową szatą dla uczniów, a dla większego ich w tym względzie zachęcenia, p. szef, jako niegdyś uczeń szkoły i uczeń celujący medalowy, przywdziewał na kasyna mundur uczniowski. Mnóstwo balów, świetniejszych jedne od drugich, dawali obywatele. Pyszny był wieczór u pięknego hr. Mieczysława Potockiego, ale wszystkie okazałością przewyższał bal ks. Franciszka Sapiehy. Książę 1000 dukatów odłożył na to, hr. Jarosława Potockiego zrobił gospodarzem i cały program hrabia ułożył. P. Drzewiecki należał do rady i do

wszelkich udekorowań mnie wezwano. Narysowałem projekt i ten się podobał. Ale książę chciał, ażeby zrobić jaki szczególny rodzaj iluminacji miasta, doradzałem ubranie ogniem góry zamkowej, i to przyjęto. Góra ta, jak wiadomo, oddzielona od innych, panuje nad sąsiadkami i nad miastem, wieńczą ją pozostałe mury zamku znanego pospolicie pod nazwiskiem królowej Bony, istotnie zbudowanego przez książąt litewskich. Na tych murach rozstawione beczki smolne wysokim płonęły ogniem, a w miejscu otoczonem murami przygotowane wiązki rac, wyrzucały z pomiędzy otaczających je płomieni wysoko unoszące się ogniste snopy, smoła paląca się, jak lawa po górze spływała. Udało się to oświecenie i w pośród ciemnej zimowej nocy pożądane wrażenie sprawiło. Oklask był powszechny i książę był zadowolony. Ale i ubranie sali było niepospolite. Cała wybita była perkalem białym, od sufitu, ściany zdobiły girlandy lekkie z jedliny, z białemi muślinowemi draperjami, a pod nad niemi, w ich kierunku, rzędy świec jarzących. Sofy wokoło sali obite lustrowym perkalem ze srebrną frędzlą i takiż bufet pod jedną ze ścian, ozdobiony pysznemi bronzowemi i srebrnemi świecznikami, porcelanowemi i kryształowemi naczyniami, pełnemi najpiękniejszych sztucznych kwiatów, zastawiony owocami, cukrami, ciastami najwytworniejszemi, i wzrok zachwycał i wykwintnemu podniebieniu było się czem nasycić. Od soboty, po odbytem kasyno, do poniedziałkowego wieczora, wszystko urządzić się musiało i wyszło jakby czarnoksięską laską z ziemi wywiedzione. Cały ten czas nie wychodziłem z sali, chyba dla pojechania na górę, aby tam iluminację urządzić. Karmił mię tam gospodarz balu, a na sofie jakie godzin parę się przedrzemałem. Książę w ciągu tych robót ani razu do sali nie zajrzał, i dopiero, kiedy już wszystko gotowe było i oświecone, przyszedł i z prawdziwem zadowoleniem podał mi rękę, pocałował w czoło i wyrzekł: „Vous avez surpassé mon attente". Piękna i okazała była sala, ale znikła przy piękności dam i okazałości ich strojów. Go-

spodyni balu księżna Pelagja Sapieżyna dziękowała mi uprzejmie za moje trudy, ja przypomniałem księżnie bal dawany w Wilnie dla cesarza Aleksandra, na którym była gospodynią i miłe wspomnienie wywołałem. Księżna była pierwej małżonką ks. Franciszka, a rozwiódłszy się z nim wyszła za synowca jego ks. Pawła. Pyszny to był bal i wesoły, trwał do 8 godziny zrana we wtorek. Po obrachowaniu wszystkich kosztów, 300 dukatów jeszcze zostało z przeznaczonej na ten bal sumy. Książę zdziwił się, że tysiąca dukatów wydać nie mógł i ze 300 pozostałych 100 ofiarowawszy dekoratorowi, 200 oddał do rozporządzenia hr. Ożarowskiej, a ta obróciła je na ulepszenie bytu niewolników w więzieniu rządowem.

Po karnawale przyszło pozwolenie od rządu sprawienia pogrzebowego obrzędu za ś. p. naczelnika Kościuszkę. Sumę na koszta tego obrzędu złożyli obywatele. Wszyscy chcieli, ażeby ten odbył się w kościele gimnazjalnym okazałym i obszernym, ale niewiedzieć dlaczego dyrektor Sciborski i kapelan szkolny uparli się i, mimo najusilniejsze przedstawienia obywateli i marszałka Drzewieckiego, kościoła nie pozwolili. Potrzeba więc było przestać na mniejszym o połowę Franciszkańskim. Wezwano mnie dla ubrania kościoła i wzniesienia katafalku. Narysowałem projekt wojennego, ten zyskał potwierdzenie i wykonanym został.

W środku kościoła na trzech dość wysokich stopniach, wznosił się portyk o czterech 5 łokciowych kolumnach doryckich z takimże architrabem; na architrabie sklepienie z karabinów utrzymywało trumnę, po czterech rogach w ozdobnych bronzowych urnach paliły się kadzidła. Na czterech kolumnach zawieszone były pancerze, hełmy i tarcze z mieczami, szablami i spisami malowniczo ułożone i czarną krepą przepasane. Pod sklepieniem, wpośrodku portyku na arenie, otoczonej strzelbami różnych epok, bębnami, kotłami i trąbami, umieszczony portret Kościuszki, opierał się na dwuch chorągwiach polskich. Przed kolumnami na najniższym stop-

niu, zamiast lichtarzów, było sześć kup bomb, po cztery w każdej piramidalnie ułożonych, a w każdej bombie tkwiła świeca jarząca. Po dwuch bokach katafalku wznosiły się piramidy z karabinów w pięć kondygnacji ułożone, na każdym karabinie świeca odbijała się w jasno oczyszczonym bagnecie. Okna wszystkie czarnem suknem zakryte nie przepuszczały dziennego światła. Gzyms kościoła i sklepienia oświecały obfite lampy. Szczegóły katafalku w niewielkich były rozmiarach, ale musiały się stosować do przestrzeni kościoła i dość pięknie się wydawały. Zbroje, broń i chorągwie otrzymaliśmy ze skarbców Wiśniowieckiego i Teofilpolskiego i od szefa Drzewieckiego i te zbroje, okrywające niegdyś piersi dzielnych naszych Zygmuntowskich bohaterów, zdobiły grobowiec bohatera naszych nieszczęśliwych czasów. Biskup celebrował, muzyka i śpiewacy z amatorów cudnie wykonali Requiem Kozłowskiego na pogrzeb króla Stanisława Augusta skomponowane. Ks. profesor Osiński z wymową Skargi, z uczuciami współziomka, wystawił obraz życia i czynów zmarłego i oddał hołd winny pamięci nieodżałowanego męża. W czasie offertorium księżniczka Aniela i hr. Rzyszczewska kwestowały na nieszczęśliwych. Pierwszej asystował marszałek Drzewiecki, drugiej ks. Mikołaj Sapieha. Sypały się obficie dukaty i ruble, nikt się nie wymawiał od tej pobożnej i tchnącej narodową wdzięcznością składki, czterej nawet inwalidzi, Kościuszkowskich wypraw towarzysze, otaczający grobowiec swego naczelnika, swoim wdowim groszem składkę wzbogacili. Zebrana suma wynosiła około 700 rubli. Połowę posłano instytutowi biednych starościanki Polanowskiej w Łucku, resztę rozrządziła hr. Ożarowska i wielu biednych nieznanych piękne wsparcie otrzymało. Nazajutrz w sali kasynowej bogata ciągnęła się loterja, mało w niej znajdowało się kupionych fantów, większą cześć stanowiły dary obywatelskie, często nawet wysokiego szacunku. N-rów było 500, biletów 700, bilet po pół rubla srebrnego, możniejsi wszyscy po trój-

nasób płacili. Nietylko obywatele, urzędnicy gimnazjalni i uczniowie brali bilety; brali je żydzi, mieszczanie, rzemieślnicy i wyrobnicy, choć często, jak zwykle w loterji bywa, wygrany fant oczekiwaniu wygrywającego nie odpowiadał. Piękna zebrała się suma, a z tej i biedni ubodzy uczniowie korzyść odnieśli. Moralna ta zabawa, bo prawdziwie i loterja jest zabawna, o ile rozrywała młodzież, tyle i na ich obyczaje wpływała. Na loterji, równie jak i na kasyno uczniowie być musieli w mundurach, a że nie było tańców, w których młodzi najwięcej sobie swobody pozwalali, więcej przeto mieli się na straży, jak najprzyzwoitszego znajdowania się w towarzystwie. I cel loterji nie bez wpływu był na uczucia młodzieży. Wielu pięknie wypracowane rysunki swoje przyniosło; poczynający smakować w rzeźbiarstwie 8-letni Sosnowski, ofiarował z gustem i misternie rzniętą, z czarnego marmuru swojej roboty pieczątkę. Była to wczesna przepowiednia dzisiejszej jego sławy i wysoko rozwiniętego talentu; mile ją przyjęto. Pieczątkę wygrał ks. Fr. Sapieha. Między innemi był poszyt ślicznym charakterem spisanych najpiękniejszych śpiewów naszych, przez ucznia ubogiego z czwartej klasy; przyjęto poszyt, ks. Franciszek wygrał go, uczniowi wypadł z loterji piękny zegarek, a książę zabezpieczył mu dalsze utrzymanie w gimnazjum. Książę Franciszek był nieco oryginał. Wchodząc do kogo w odwiedziny, ledwie że podaniem ręki powitał gospodynię, lub nie witając nawet zasiadał obok niej na pogadankę. Ubrany w długi surdut, w kapelusz z szerokiemi skrzydłami, brał pod rękę córkę, skromnie, w czarną salopkę i takąż czapeczkę odzianą, szedł na daleką za miasto, na góry, przechadzkę. Z początku dziwiono się tym zimowym wycieczkom, krytykowano je, a nareszcie uwagi na nie nie zwracano. Książę znudzony już był użyciem świata, szukał rozerwania się na świecie i znajdował go w zabawach domów szlacheckich mniej arystokratycznych. Ale gdzie prawdziwą znajdował rozrywkę, pokazało się dopiero po wyjeździe księcia. Podu-

padli w gospodarstwie przedmieszczanie; wdowy z licznem potomstwem uciśnione niedostatkiem; zbłąkane w drodze młodości, ukrywające między górami wstyd swój dziewice; ubogie matki zabranych do wojska młodych mieszczan; pracujące dniem i nocą dla utrzymania schorzałych matek lub ojców panienki, wszystko to cierpiące, a nieumiejące wyciągnąć ręki o wsparcie, były to domy nawiedzane przez dobroczynnego magnata i nieodrodną ojcowskich cnót córkę. Księżniczka wszystkich serca sobie pozyskała, nieobecną z uwielbieniem wspominano. I książę i córka jego nie rozsiewali dobrodziejstw swoich dla ostentacji, dla pozyskania oklasków; robili z serca i w sercu znajdowali najpiękniejszą czynności swoich nagrodę!

Koniec tomu II.

Tadeusz Czacki.

(Według portretu współczesnego, malowanego przez bratowę Tadeusza, Beatę z Potockich Michałową Czacką. Oryginał w posiadaniu rodziny).

RAMOTY STAREGO DETIUKA O WOŁYNIU

WYDAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
FR. RAWITA GAWROŃSKI

TOM III.

WILNO.
Bibljoteka Pamiętników. 1914.
Nakładem Tow. Udz. „Kurjer Litewski".

Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

ROZDZIAŁ I.

W czasie tych uroczystości wesołych i smutnych, obecny w Krzemieńcu p. prezes Romuald Stecki oświadczył mi, że p. hetmanowa Rzewuska [1]) życzy sobie, abym jej zrobił rys statystyczny licznych, posiadanych przez nią majętności, że wszelkie koszta będą z jej kasy i w nagrodę za moje trudy każdego lata sto dukatów otrzymam. Nie wahałem się bynajmniej przyjąć korzystnej i naukowo i materjalnie propozycji, bo położenie moje w gimnazjum nie przynosiło mi dostatniego przychodu, a coś lepszego w perspektywie dopiero było. Przyjąłem, a że wiosna była wczesna i dziwnie piękna, 20 marca opuściłem Krzemieniec. P. hetmanowa mieszkała w Hrehorówce, wsi blizkiej St. Konstantynowa, tam wstąpiłem, prezentowałem się p. hrabinie i kazała mi dni kilka w Hrehorówce zabawić, pomimo chęci mojej dostania się w Sawrańszczyznę, nową ziemię dla badań botanicznych. 27 opuściłem Hrehorówkę i żal mi było, że pobyt mój tam był tak krótki. Mnóstwo dam wysokiego rodu i wychowania napatrzałem się od mojego dzieciństwa, ale żadnej z p. Rzewuską zrównać nie mogę. Ród z siebie wysoki, wysoka dostojność, blizkie z panującym spokrewnienie, ogromna fortuna, dawały p. hetmanowej prawo do arystokracji. I była też arystokratką. Ale któż nie miał sobie

---

[1]) Hetmanowa Rzewuska b. wdową po ostatnim hetmanie Sewerynie, a matką Wacława Rzewuskiego, Emira.

za prawdziwą przyjemność, za zaszczyt, za szczęście przebywać w Hrehorówce w towarzystwie tej wielkiej damy. O jej wychowaniu czyż mówić trzeba? Księżniczki marszałkówny Lubomirskie słynęły w kraju najświetniejszemi płci swojej zaletami. Pani hetmanowa nie była tak piękną, jak siostra jej Julja, bo też trudno, aby kraj mógł posiadać wiele takich wzorowych piękności. P. Julji Potockiej wyrównać tylko mogła księżna Aleksandrowa Lubomirska z domu Chodkiewiczówna i Barbara z Bielińskich Kossowska. Jabym położył jeszcze w tym szeregu p. Protowę Potocką, ks. Lubomirskiego Kaspra córkę, ale ta wzrostem mniej niż miernym i kibicią nie regularną, nie mogła tamtym pięknościom dorównać. P. hetmanowa lubiła mówić o dawnych czasach, a jako blizki świadek historji panowania ostatniego króla, znała wszystkie okoliczności, wszystkie intrygi dworu polskiego polityczne i prywatne. Oddawała sprawiedliwość zaletom Stanisława Augusta, ale i wady jego wiernie zauważone bez ogródki opowiadała. Nie przepuściła i wujowi swemu ks. generałowi ziem Podolskich, ale o księżnie ze czcią winną jej mówiła. O p. hetmanie, często wyrażała się ironicznie, nazywała go bon homme, p. hetman powiadała: „był człowiek wielkiego rozumu, ale słabego umysłu i zmiennego charakteru, posiadał upór i obraźliwość do wysokiego stopnia, a biada była temu, kto go obraził. Króla nie lubił i korzystał z okoliczności, w której mógł mu na przekor zrobić. P. hetman, z początku sejmu wielkiego, wielce sprzyjał zamiarom Ignacego Potockiego, Małachowskiego i ich zdania względem projektowanych ustaw podzielał. Prywatne zajścia z tymi znakomitymi mężami i z królem zmieniły jego opinję. Ale p. hetman nie miał nigdy widoków własnych w działaniach swoich przeciw ustawom trzeciego maja. Widział on złą i dobrą ich stronę. Ale zła, podług niego, ich strona może istotnie była najlepszą stroną. Widziałam to i nieraz moje zdanie wynurzyłam, ale gdzież można było dać ucho gadaniom niewieścim, w interesach zawikła-

nych kraju. Potrzebaż było na nieszczęście Polski, ażeby koalicja wewnętrzna przeciw niej zawiązała się między trzema ludźmi najsłabszego charakteru, bo i Szczęsny i Branicki nie mieli energji, a głowę miał tylko jeden p. Rzewuski. Konfederacja Targowicka nigdyby była nie wzrosła tak wysoko, ani tak silnie działała, gdyby król miał był więcej ducha i nie przerzucał się od jednych doradców do drugich, gdyby nie usypiał w nieczynności na łonie naszej Dubarry [1]). Król nie potrafił ani trzymać się z dworem Petersburskim, ani się jemu dzielnie opierać. Konfederacja temu dworowi podległa była, ale obałamuciła się tak, że w końcu nie wiedziała o co jej chodzi. P. Rzewuski żałował później, że do niej należał, ale zapóźno rady żony na myśl mu przyszły i cofnąć nie było dokąd. Najszczęśliwsi byli ci, co i na wielkim sejmie nie zasiadali, i z królem się nie trzymali i do związku targowickiego nie należeli". Opowiadała różne anegdoty dworu polskiego, a między innemi historję hrabi Fryderyka, wyżej od nas wspomnianą. Smutno mi było opuszczać Hrehorówkę, ale pocieszałem się nadzieją bytności p. hetmanowej w Sawraniu, dokąd się udałem z Hrehorówki. Robiły się już w Hrehorówce przygotowania na uroczyste przyjęcie cesarza Aleksandra. Sala już była zbudowana, przyozdobieniem jej zajmował się hr. Jarosław Potocki, zięć p. hetmanowej, i chciał mię do pomocy sobie zatrzymać, ale p. hetmanowa nie zezwoliła na to i nie chciała, ażebym utracił wiosnę, tak ważną dla Flory krain stepowych. Wyjechałem tedy do Sawrania, majętności Rzewuskich w powiecie Bałtskim, i tam w ekskursjach botanicznych aż do późnej jesieni przemieszkałem. Bolesny dla serca jej wypadek zmienił jej zamiary i całe jej

---

[1]) Kogo miał tu na myśli pamiętnikarz? Trudno odgadnąć. Może Grabowską. Dubarry Marja urodz. 1746 r. kochanka Ludwika XV, którą król wydał za wice-hrabiego Dubarry, zginęła pod gilotyną w r. 1793. Wydane jej pamiętniki (Memoires, 6 t. t. Paris 1829—1830) mają być podrobione, raczej z pozostałych po niej papierów ułożone.

położenie. Córka jej hrabina Waldstein, zjechawszy do Hrehorówki, po niedługiej chorobie, opuściła ten świat i nieutuloną w żalu matkę. Ale strata córki otworzyła p. hetmanowej oczy na najgorszy stan jej interesów. Opuszczając smutną Hrehorówkę, wyjechała do swego majątku w Galicji, zostawując hr. Waldsteinowi pełnomocny zarząd wszystkich dóbr w państwie rosyjskiem leżących. Hrabia cudzoziemiec, obcy i zwyczajom naszym i mniemaniom, i na własnym majątku nie gospodarz, nie umiał dać sobie rady w rządzeniu tak ogromnym i tak po różnych częściach kraju rozrzuconym majątkiem; interesa pani hetmanowej najgorszy wzięły obrót, tak, że była zmuszona prosić u cesarza o komisję dla likwidowania długów i zaspokojenia wierzycieli, wyznaczając sobie bardzo szczupły dochód na utrzymanie. Ta klęska majątkowa nie zachwiała tęgości duszy tej dostojnej matrony. P. hetmanowa w ucisku swoim zachowała całą moc umysłu i całą słodycz charakteru. Wracając złożyłem jej moje winne uszanowanie w zamku w Starym Konstantynowie, bo w Hrehorówce już mieszkać nie chciała, i zdałem jej na pismie sprawę z obserwacji moich nad Sawrańszczyzną. Mile pracę moją przyjęła i udarowała mię arcyważnem dziełem: „Dictionnaire d'Histoire Nat." w 24 tomach. Honorarjum moje doszło mię zupełnie w Sawraniu i kosztem hrabiny wróciłem do Krzemieńca. Przy pożegnaniu p. hetmanowa wzięła ode mnie słowo, że skoro interesa jej przyjdą do ładu, dalsze moje obserwacje w innych coraz dobrach robić będę. Ostatni to raz widziałem tę czcigodną, prawdziwą panią, i uwielbienie i cześć dla niej każdemu wspomnieniu o niej do zgonu mego towarzyszyć będą. P. hetmanowej starość prawie w biedzie przeszła, ale w tem winy niczyjej nie było. Miała wadę powszechną magnatom, a jeszcze więcej magnatkom, słuchania łaszczących się interesowanych dworaków. Ci potrafili zobojętnić ją dla syna, najlepszego jedynego jej przyjaciela, i usunąć go od boku matki, z którą znosząc się po synowsku, wpłynąłby był wiele na okoliczności, nie skła-

dające się pomyślnie dla matki. I pani hetmanowej i hrabiego Wacława koniec może byłby zupełnie inny.

1818 rok ważnym był dla szkoły Krzemienieckiej. Ks. kurator zjechał, chcąc się osobiście przekonać, jak daleko prawdziwemi były wieści rozsiewane po kraju o zdemoralizowaniu uczniów. Cztery tygodnie książę bawił w Krzemieńcu i właśnie przy nim odbywały się egzamina prywatne z całego roku. Książę nie oszczędzał młodych, egzaminy były ścisłe i surowe i poszły szczęśliwie. Zaszczytnie okazały się i gorliwość uczących i uczących się pilność, i kurator zupełnie był zadowolony. Wiadomo, że Czacki zamyślał o podniesieniu gimnazjum Wołyńskiego na stopień wyższy, ale Jan Śniadecki opierał się temu zamiarowi i stąd między nim a Czackim zrodziła się niechęć i byłaby zerwała zupełnie przyjazne stosunki, jakie tych dwuch dostojnych mężów łączyły, gdyby był kurator nie uspakajał Czackiego, ukazując mu w przyszłości wywyższenie ulubionej szkoły, a Śniadeckiemu perswadując zwolna, że otworzenie uniwersytetu w prowincjach południowych zabranego kraju z czasem nastąpić musi. Ze zgonem Czackiego nie było już komu popierać zamiarów jego, chociaż po usunieniu się z rektorstwa Śniadeckiego Wilno silnie temu zamiarowi opierać by się nie zdołało. Ale naszemu zgromadzeniu tkwiły w pamięci wskazane przez Czackiego nadzieje, czuli swoją dostojność, a szczęśliwie corocznie dojrzewające ich prac gorliwych owoce żywiły w sercach szlachetną żądzę wzniesienia się wyżej i rozwinięcia w większych rozmiarach pięknych zdolności i wysokiego usposobienia w pracach, dążących do rozszerzenia światła w tych prowincjach. Obywatele Wołynia, Podola i Ukrainy podzielali uczucia zacnych nauczycieli. Ks. kurator podobnież myślał, tembardziej, że przekonał się bezstronnie z korzyścią i postępem uczniów o biegłości i gorliwości uczących. Mógł książę w 1818 roku pomyślić o otwarciu uniwersytetu w Krzemieńcu, bo i fundusze przez komisję wydobyte pozwalały łożyć potrzebne koszta i monarcha

łaskawie sprzyjał księciu. Książę jednak, powoli robiąc rzeczy, tymczasowo gimnazjum zamienił w Liceum i polecił ułożenie planu nauk. Trzy projekty tworzyły się jednocześnie; obywatele, władze gimnazjalne i uniwersytet wileński układali programaty osobne. Z komisji p. Michał Sobański, p. Borejko, p. szef Drzewiecki, ks. Maksymiljan Jabłonowski; z obywateli hr. Jan Tarnowski, generał Kropiński, p. Bystry, ks. Dymitr Czetwertyński i wielu, których nie pomnę, stanowili komitet obywatelski. Najczynniejszym i najdzielniejszym z nich był szef Drzewiecki, bo nikt tak, jak on, zblizka nie znał stanu interesów, niedostatków i potrzeb gimnazjum i nikt nie był tak świadomy zamiarów Czackiego. W zgromadzeniu nauczycielskiem dzielne były pomysły prefekta Jarkowskiego, Chońskiego i Łuczyckiego, a że szef Drzewiecki szanował wielce zdanie starego prefekta i na nim szczególnie polegał, wypadło więc, że i obywatelskie i nauczycielskie projekty z małą różnicą podobne sobie były. To się układało powoli, tymczasem obywatele żądali, ażeby dyrektor tej szkoły wybranym był z obywateli, Drzewiecki tę myśl podał a gimnazjum dość chętnie przystało na to. Sciborski kończył lata swej służby i nie życzył sobie dłużej dźwigać ciężar nad wiek i siły. Nikt też i nie żądał nadal go utrzymać. Dla zobowiązania jednak emeryta, szef Drzewiecki proponował mu dalsze urzędowanie, ale Sciborski już i tak czuł się nie na swojem miejscu i odmówił, ale rok jeszcze jednak, jak niema w komedji osoba, lat swoich dosługiwał. Lubo książę nie ogłosił jeszcze w 1818 r. liceum, zrobił jednak wiele odmian, pomnożył liczbę nauczycieli i dawnych do nagród przedstawił. Bytność księcia kuratora wiele dobrego dla szkoły zrobiła, wielu zdatnym i pięknie usposobionym kończącym szkoły, wstęp na świat otworzyła. Pamiętny to rok kuratorstwa księcia! Czemuż on częściej nie odwiedzał Krzemieńca! Ale okoliczności się zmieniały! Przed przyjazdem do Krzemieńca ks. kuratora wypadło jedno tragikomiczne wydarzenie. W ogrodzie botanicznym był ogrod-

nik Niemiec, nazwiskiem Witzell. Ogrodnik z profesji, biegły w swej sztuce jak na owe czasy i dość ogładzony, ale młody, żywy i łatwo unoszący się w gniewie. Wydarzyło się raz, że uczeń z 4-tej klasy i celujący, przechodząc się po ogrodzie, zwabiony jakimś pięknym kwiatem, wszedł w zagrodę, obejmującą systematyczny zbiór roślin. Witzell nakrzyczał na niego po niemiecku. Młody zaczął się tłumaczyć, ale ogrodnik nieobeznany z językiem, nie rozumiejąc mowy ucznia, w uniesieniu złości ucznia w twarz uderzył. Zniewaga, wyrządzona jednemu, obruszyła wszystkich uczniów. Zanieśli skargę do prefekta, prefekt odniósł się do profesora Bessera, jako dyrektora ogrodu, żądając satysfakcji dla ucznia, którego i moralne postępowanie i pilność w naukach szacowane były przez władze szkolne i nauczycieli. I profesor i ogrodnik, obaj Niemcy, porozumieli się z sobą i uczniowi jeszcze winę przypisali. Nie podzielał ich zdania prefekt, bo znał dobrze młodzieńca piękne postępowanie, rzecz jednak poszła w odwłokę przez dyrektora niedecydowanie się. Powtórzyły się skargi uczniów, zawsze bezskutecznie, postanowili więc młodzi sami pomścić zniewagi wyrządzonej koledze. Kisiel i Rykaczewski, obaj uczniowie kursowi i znakomici, weszli do ogrodu, ażeby wziąwszy Witzella, zaprowadzić go do dyrektora i domagać się satysfakcji. Ogrodnik broniąc się nożem, dość mocno pokaleczył obydwu. Ranni stawili się przed dyrektorem, który na ten raz obiecał im, że upomni się ich krzywdy, ale zwyczajem swoim puścił sprawę na delatę. Tu już nie o jednego chodziło czwartoklasistę, już i kursa znieważone, nie znajdując protekcji u swoich naczelników, chociaż prefekt nastawał o usunięcie ogrodnika, postanowiły zemścić się same. Jakoż o 10-tej godzinie i kursa i klasy runęły hurmem na ogród. Zamknięta furtka padła pod silnym szturmem i pana ogrodnika schwycili i, położywszy na ławce, czem kto popadł bili, a w tem niewiedzieć skąd wziął się w ogrodzie kozak któregoś z mieszkających obywateli i podsunął młodym dwie nahajki. Uwiadomiony prefekt wbiega na

miejsce kaźni i odrzuciwszy całą surowość: „Dzieci!“ — zawoła: „któż tak robi jak wy? jeśli bijecie, to batogami lub rózgami ćwiczcie niemca, niech zna mores i nie krzywdzi uczniów“. Te kilka słów uhamowały zapęd młodych, starsi odegnali młodszych i odprowadzili zbitego ogrodnika do jego stancji. Sprawa zrobiła się ważną, prefekt zgadzał się na ekskluzję ze szkół naczelników, ale żądał wydalenia ogrodnika. W tem nadjechał kurator. Wytoczyła się rzecz cała przed księcia, prefekt nastawał o usunięcie Witzella, ale ten znalazł silną protekcję. Besser [1]) zainteresował doktora Sedlmajera, a ten wyjednał wstawienie się za ogrodnikiem u księcia starościny Czackiej i Witzell został na miejscu, ale książę zachował niechęć i dla niego i dla Bessera. Wypadek ten pamiętny, w następstwie czasu nadał się za przykład przestrzegający przyzwoitego obejścia się z uczniami.

ROZDZIAŁ II.

Wróciwszy do Krzemieńca, zastałem i matkę moją u siostry mojej, która pod protekcją ks. kuratora otworzyła pensję obywatelskich córek i już miała trzynaście panienek dobrze płatnych. Siostra dała mi u siebie stół, a ja za to wziąłem obowiązek nauczyciela geografji i języka polskiego w jej szkółce, byliśmy razem z matką i było nam dobrze. Rok ten pięknie się ukończył, ład wrócił do gimnazjum a lubo Sciborski mało działał, energja czcigodnego prefekta potrafiła ująć wszystko w należyte karby. Gimnazjum zmieniło nazwisko i stało się Liceum Wołyńskiem. Nie rozwiązane jeszcze było właściwe jego urządzenie, bo plany uniwersytetu nie zgadzały się z pla-

[1]) Willibald Besser ur w Innsbrucku (1784). Czacki sprowadził go do Krzemieńca, gdzie ogród botaniczny założył. Po zamknięciu szkoły przeniesiony do Kijowa, gdzie także ogród założył i botanikę w nowym uniwersytecie wykładał. Jako emeryt umarł w Krzemieńcu w r. 1841.

nami obywatelskiemi i nauczycielów, i jak zwykle bywało u nas, deliberowano, rozważano, rozbierano, a nic nie stanowiono. Jedno tylko utrzymało się i do skutku przyszło, że dyrektor Liceum obrany z łona obywateli i Aloizy Feliński [1]) mianowany został. Autor Barbary posiadał wszystkie zalety, jakich ta posada wymagała. Wysoce uczony, wymowny, energiczny, czynny, łączył w sobie dziwną słodycz charakteru z powagą urzędu, rozwagę z bystrością objęcia, tęgość charakteru z delikatnością moralnego człowieka. Feliński, umiał oceniać ludzi i ich zasługi i od pierwszego poznania z Jarkowskim uczuł dla niego wysoki szacunek i ocenił zacność charakteru i mądrość zdania tego czcigodnego starca. Wstąpienie na dyrekcję Liceum Felińskiego świetną nam przyszłość rokowało. Niestety! czemuż ta błoga epoka tak krótką była!

Instalacja dyrektora była uroczysta i okazała. Oprócz mieszkających w Krzemieńcu obywateli, zjechało się mnóstwo gości, marszałek gubernjalny i prawie wszyscy powiatowi, hr. Jan Tarnowski [2]), senator Królestwa Pol-

---

[1]) Alojzy Feliński, dyrektor liceum. Urodzony w 1771 r. w Łucku. Odbył kampanję Kościuszkowską. Po ukończeniu wrócił do rodzinnego majątku Wojutyna. W r. 1819 został mianowany dyrektorem. Umarł nagle 1820 r. w Krzemieńcu. Wykładał literaturę polską. Łatwy i przyjemny wykład ściągał na jego lekcje wiele pań z wyższego towarzystwa. Był autorem bardzo wysoko w swoim czasie cenionej tragedji p. t. Barbara Radziwiłłówna (Kraków 1820). Pisał modne w owym czasie listy rymowane do Czackiego, Kościuszki, Trembeckiego. Kompletne wydanie: Warszawa 1816—1821; Wrocław, 1840.

[2]) Jan Amor Tarnowski, urodz. w Dzikowie 1779 r. w Galicji, w pow. Cieszanowskim. Od Czackiego, z którym był spowinowacony, nabrał zamiłowania do nauk. Do służby publicznej stawał często i chętnie. W r. 1830 osiadł w Dzikowie. Umarł 1842 r. Wydał: Opisanie bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta i panowanie Henryka Walezego; Badania historyczne etc. (Warszawa 1819). W Dzikowie zgromadził bogatą bibljotekę i zbiory.

skiego, Niemcewicz Juljan i ojciec sceny polskiej Bogusławski. Zjechał i nasz patrjarcha, biskup Cieciszowski, od zgonu Czackiego raz pierwszy. W kościele licealnym odbywała się ceremonja. Po ukończonej celebrze pasterz zasiadł swój tron i zaczęły się mowy. W pięknem wymownem przemówieniu Sciborski zdawał urząd swojemu następcy. Feliński wspomnieniem Czackiego i Czecha i przysiągą być pierwszemu dyrektorowi podobnym, całe zgromadzenie rozrzewnił, a przyklęknąwszy przed biskupem: „błogosław jw. Pasterzu! — rzeknie — na tej nowej drodze życia mojego, w obowiązku wielkim i świętym, którego ważność czuje serce moje i jak najściślej wykonywać pragnie i ślubuje, w obliczu twojem, wobec przezacnych współobywateli moich, wobec tego młodego pokolenia, które za synów moich ojcowskiem sercem przybieram". Powstał pasterz, wzniósł głośną modlitwę, wszyscy ugięli kolana i błogosławieństwo pasterza zlało się na głowę wybranej owieczki. Po odśpiewanym dziękczynnym hymnie, szef Drzewiecki zaprosił na obiad biskupa, urzędników cywilnych i licealnych i obywateli. W sali kasynowej, przystrojonej dębowemi festonami, stół na 150 osób był zastawiony: na pierwszem miejscu siedział biskup, a po obu stronach biskupa dwaj dyrektorowie, obiad był pyszny. Weszły toasty: zdrowie monarchy, kuratora, dwuch dyrektorów, członków liceum, obywateli Wołyńskich, szczególnych gości. Wniósł Drzewiecki zdrowie Bogusławskiego, podbiegłem do muzyki i, kiedy szef podniósł kielich, w rzewnej harmonji zabrzmiał śpiew: „Świat srogi, świat przewrotny". Łzy pociechy oblały szanowne lice osiwiałego na ojczystej scenie starca, wszyscy powstali i dwieście głosów powtórzyło: „Niech żyje! niech żyje!"

„Ten co pierwszy w narodzie przesądy umorzył,
Grał, pisał i grających na czas przyszły stworzył".

Wieczorem, w tejże samej sali, rzęsisto oświetlonej, był bal, kosztem obywatelskim dany, dla uczczenia nowego dyrektora. Pani Czacka, starościna, przez pamięć

dostojeństwa i zasług męża i dla jej osobistej godności, pierwszeństwo przed wszystkiemi damami miała sobie przyznane. Kiedy już zebrało się całe zgromadzenie, wyborna muzyka generała Bobra zabrzmiała ulubionym narodowym tańcem, p. starościna podała rękę Felińskiemu i z nim bal otworzyła. Feliński słynął jako uczony, ale był obywatelem, a ton wyższego towarzystwa również jak i taniec nie był mu obcy i nie miły, pięknie więc wywijał się w narodowym tańcu, bo co tylko narodowe, to ukochanem i drogiem było dla jego serca.

Rządy Felińskiego od wstąpienia jego na urząd odrodziły w nas wszystkich pobyt pod rządem Czecha. Feliński był wszędzie, we wszystko wglądał, pracujących trudy osładzał, opieszałym energji dodawał, upadłych na duchu ożywiał, zasłudze winną sprawiedliwość oddawał. Dla utrzymania ducha społecznego między członkami liceum dawał u siebie wieczory, na które profesorów z żonami zapraszał. Na samych męskich wieczorach czytywano utwory miejscowych autorów. Pamiętam, na jednym z takich, po odczytanym pięknym wstępie do historji Krzemieńca przez szambelana Radzimińskiego, ks. Osiński czytał historję prof. mechaniki Zaliwskiego. Pr. Zaliwski rzadkiej biegłości w swojej nauce, obrany był przez Czackiego na nauczyciela i rządcę szkoły mechaniki przy gimnazjum, ale, o ile był wzorowym praktykiem, o tyle miał trudności w wytłumaczeniu się ze swojej nauki. Czacki mawiał o nim: „mój Zaliwski, jak się odezwie, to niema co słuchać, ale kiedy co zrobi, to i napatrzeć się zadość i nachwalić nie można“. Ale ten Zaliwski, niewymowny, na karcie dziejów naszych na piękne wspomnienie zasłużył. Mnóstwo w swem życiu miał przygód, często nawet śmiesznych. Mieszkając w jednych murach z ks. Osińskim, często zabawiał go opowiadaniem swojego życia, a uczony nasz profesor zebrał te wszystkie przygody i pod tytułem „Żywot Franciszka Zaliwskiego“ opisał. Powieść ta pięknym językiem napisana miała humorystyczny charakter powieści Pigaulta le Brun, ale w

niej błyszczały wzniosłe uczucia naśladowcy Skargi. Trzy wieczory zajęło czytanie żywota Zaliwskiego, trzy wieczory może najprzyjemniejsze ze wszystkich. Dziękował czule Feliński ks. profesorowi po ukończeniu zupełnem powieści i całe towarzystwo spełniło kielich węgrzyna za zdrowie i opisanego i opisującego. Miło wspominać te błogie chwile! Miło rozmarzać się wspomnieniem pokoju i pomyślności, niestety! tak szybko ubiegłych. Feliński był razem profesorem wymowy i literatury polskiej i nie samych uczniów miał słuchaczami. Prelekcje jego prawdziwie były publiczne, damy nawet na nie uczęszczały i wszyscy z rozkoszą słuchali wymownego wykładu. Feliński mówił pięknie po francusku, ale mowa ojczysta najulubieńszym była językiem i to upodobanie jego wpłynęło na całe społeczeństwo Krzemienieckie. Mało gdzie mówiono po francusku, a mieszanina wyrazów francuskich zupełnie z domów towarzyskich wygnaną została. Taki był piękny początek urzędowania, wszyscy mieszkańcy Krzemieńca uczuli wpływ Felińskiego, nowe jakieś swobodne, błogie, wesołe życie ożywiało społeczeństwo. Smutny wypadek nagłego zgonu profesora Łuczyńskiego zachmurzył na czas jakiś szkołę i znajomych, żałowano znakomitego nauczyciela, najzacniejszego człowieka, ale każdy życzył sobie dożyć lat jego z takiem zdrowiem umysłu, z takiem życiem ducha. Czas żale złagodził, pamięć zasługi tylko została. Nadszedł karnawał, wróciły kasyna, Feliński lubił widzieć na tych zebraniach swoje przybrane dzieci, ale surowo trzymał się przepisanych dla młodzieży prawideł. Młodzi byli w obecności jego weseli, ale skromni i uważający na względy, jakie dla starszych i dla dam mieć należało. Felińskiego urzędowanie dowiodło, jak duch obywatelski dyrektora silnie działał na ukształcenie obyczajów młodzieży.

Przeszedł karnawał, grono obywatelskie zwróciło całą uwagę swoją na biednych. Na sali kasynowej wzniósł się schludny teatrzyk, na którym damy nasze grały ko-

medje za biletami, a dochód z tego, bez potrącania kosztów wystawy, bo te były dobrowolne obywatelskie, obracano na wsparcie potrzebujących. W dni wolne od teatru ciągnęła się loterja, i ta większy jeszcze niż teatr dochód przynosiła. Po jednej z takowych Feliński z dru-

Angelika Catalani.

Według rysunku, wykonanego przez M. Frémy w Petersburgu, w r. 1820.
(Ze zbiorów archiwum m. Lwowa).

gim członkiem dobroczynnego towarzystwa, nie noszącego nawet tytułu „Dobroczynności", obrachowali ogólny przychód i około północy dopiero się rozeszli. Nazajutrz rano, nieocenionego naszego dyrektora znaleziono

w łóżku bez życia! Jaki to przestrach, jaki żal na cały Krzemieniec wywarło, wysłowić niepodobna. Biegliśmy wszyscy naocznie o naszej się stracie przekonać i oczom naszym wierzyć nie mogliśmy. O! to była ciężka plaga, srogi cios dla naszego Liceum. Ze łzami najszczerszemi oddaliśmy ostatnią posługę zwłokom wzorowego urzędnika, znakomitego autora, prawego obywatela, ojca licznej rodziny i siedmiuset przybranych synów. Żałoba okryła szkoły, obywatele na dni kilkanaście zamknęli swoje domy, całe miasto posmutniało, i pewnie ta żałoba rozciągnęłaby się była na rok cały, gdyby jej pojawienie się Katalani nie przerwało. O jej przyjęciu w Krzemieńcu rozgłos po całym Wołyniu, Podolu i Ukrainie uderzył. Krytykowano, wyśmiewano nawet to przyjęcie. Stanisław Worcell w pisemku swoim „Katalani w Rispie na Eldorado" dowcipnie, ale złośliwie opisał, wiele nawet nieprawdziwie improwizując. Któż była Katalani? Śpiewaczka, artystka, całej Europy uwielbieniem i czcią zaszczycona. Monarchowie, pierwszych miast towarzystwa talentowi jej hołd składały, dlaczegóż Krzemieńcowi uroczyste jej przyjęcie zarzucono? Czyż domy znakomite, mieszkające w Krzemieńcu, nie stanowiły towarzystwa w niczem nie ustępującego koterjom wyższym Petersburga, Wiednia, Londynu i Paryża? Czyż obce im były nauki i talenta? Czyż te same domy i w stolicach Europy w mniejszem, niż u nas, były poważaniu? Czyż dlatego, że Krzemieniec małem był miastem, nie mógł posiadać ludzi, mających prawdziwe pojęcie talentu i sztuki? Wiele atencji robiono artystce, to prawda, ale w tem nic przesadnego nie było. Katalani pierwszych dni marca była w Krzemieńcu w porze przejścia zimy w wiosnę i czas był błotnisty. Koncert był w sali fizycznej licealnej; do ganku o kilka wschodów podniesionego kareta dojść nie mogła i to przejście dywanami okryte było, pod samym progiem lód utajony między płytami kamienia roztajał i dywan przemoczył; prowadzący panią Katalani, marszałek szef Drzewiecki i ks. Mikołaj Sapieha rzucili na to miejsce swoje płaszcze i nic w tem nie było

przesadzonego, bo wody na dywanie już było tyle, że nietylko artystka, ale i wszyscy przechodzący byliby sobie nogi zamoczyć mogli. Że damy podeszły ku drzwiom na jej powitanie i w tem nie było przesady, bo wiele z dam naszych dawniej już znajome z nią były, i z takiemi atencjami magnatów oswojona już była w swoich po Europie przejażdżkach. Śpiewanie Katalani mogłoż nie podobać się, mogłoż nie zachwycić słuchaczów, mogłoż nie wywołać okrzyków zadowolenia i podziwu? Miano za przesadzone huczne oklaski nasze, ale te ledwie słabym odbiciem się oklasków europejskich były. Próżne więc były zarzuty, czynione za sprowadzenie Katalani do Krzemieńca. Miasto błogosławiło marszałka, który starał się o bytność artystki, bo przez ośm dni jej bawienia niemało gotówki do miasta wpłynęło. Katalani nie przyjęła ofiary podejmowania jej kosztem obywatelskim i za wszystko hojnie płaciła. Mówiono, że 50 dukatów zostawiła dla biednych [1]).

---

[1]) Catalani, zamężna Valabreque. Z powodu jej zjawienia się w Polsce różne krążyły anegdoty. Pan Valabreque występował zawsze ze słowami:

— Je suis l'époux de Madame Catalani, la syrène de l'Europe.

Zajechawszy w Warszawie do hoteliku p. Rozengartowej, zamężnej za Obuchem, a posiadającej w swoim kulinarnym repertuarze słynne „pierogi rozengartowskie", p. Valabreque przedstawił się jak zwykle, na co mu p. Obuch odpalił:

— Et moi, je suis le comte Obuch, époux de madame la comtesse Rozengart.

Pani Catalani kazała sobie hojnie płacić.

Żółkowski wystosował do niej dowcipny wierszyk.

Mościa pani Catalani
Czy nie można trochę taniej?
Za te włoskie tra-ra-ra
Dosyć będzie talara.

Stanisław Worcell, zniecierpliwiony niezwykłemi honorami, oddawanemi pani Catalani, napisał w W i a d o m o ś c i a c h b r u k o w y c h satyryczny artykuł, zaczynający się od słów, parafrazujących mowę cycerońską:

Quousque tandem Catalani abutere patientia nostra?

ROZDZIAŁ III.

Od dawnych czasów był zwyczaj po szkołach dawać rekreację w pierwszych dniach maja, zwało się to majówką, i w Krzemieńcu ten zwyczaj zachowywano. W tym roku szef Drzewiecki chciał ją mieć uroczystą, jako w pierwszem roku zatwierdzonego Liceum. Jarkowski zastępował dyrektora i rządy jego godne były rządów jego poprzednika. Szef Drzewiecki zawsze miał wpływ na Liceum i wielką pomocą był prefektowi. Wielu zmieniło się marszałków w ciągu istnienia Liceum Wołyńskiego, jeden tylko Drzewiecki interesował się szkołą Krzemieniecką, bo on jeden tylko tchnął duchem Czackiego, bo był ojcem, bo przyszłość obecnego młodego pokolenia zajmowała jego umysł i serce. Uprzejmością swoją uczniów przywiązanie i poważanie pozyskał i z nich korzystając, nie jednemu ojcowskiemi słowy ojcowskich upomnień nie szczędził. Ale o ile wpływał na ich moralność i pilność w naukach, o tyle i o ich rozrywkach pamiętał. Właśnie i majówka 1820 roku była jego dziełem.

O godzinie 7-mej, jak zwykle, była msza, po której uczniowie zebrali się na galerji. Przyszedł prefekt, rozdano chorągwie i klasy uszykowały się w porządek, przy każdej nauczyciel, wszyscy w mundurach. Naprzód szła szkoła mechaników, Zaliwski przybrał ich jak saperów i sam ich prowadził. I, II, III i IV klasy szły swojem następstwem, kurs pierwszy następował za niemi. Wyższych kursów uczniowie jechali konno pod dowództwem nauczyciela ekwitacji, za nimi szli nauczyciele, na końcu prefekt i wielu z obywateli. Cały ten piękny orszak przyszłych nadziei kraju ciągnął przez całe miasto, i całe miasto wysypało się z domów dla widzenia tego okazałego pochodu. Muzyka gen. Bobra, sprowadzona staraniem p. szefa, przygrywała maszerującej młodzieży. Za miastem poważniejsi siedli do powozów i całe to zgromadzenie ciągnęło do pięknego lasu za królewskim mostem. Po po-

łudniu wszyscy obywatele mieszkający w Krzemieńcu wyjechali widzieć i podziwiać rozrywki młodych. Nie byłem obecny tym wesołym zabawom, dalsze przygotowania cały dzień mię w mieście zatrzymały. Rekreacja przeciągnęła się do zachodu słońca i, kiedy uczniowie podeszli pod miasto, piękny zmrok majowy wszystko okrywał. Tuż pod murami Bazyljańskiemi idzie wielka do miasta droga, na najwyższym jej punkcie wzniosła się wspaniała brama z gałęzi drzew wystawiona, na jej szczycie cyfra L. W. — Liceum Wołyńskie, rzęsisto kolorowemi lampami oświecona, zdaleka postrzedz się dawała. Na bocznym wzgórku przygotowano siedzenia dla dam i poważnych obywateli, których część większa z marszałkiem Drzewieckim na powracających u bramy oczekiwała. Przeszły szeregi swoim porządkiem przez bramę i na wzgórku za siedzeniami uszykowały się. Za zbliżeniem się Jarkowskiego, zastąpili go w bramie obywatele i marszałek w imieniu ich piękną mową powitał czcigodnego starca i w najczulszych wyrazach dziękował mu za tyloletnie trudy w wychowaniu ich dzieci. Rozrzewniony weteran ledwie w niewielu słowach odpowiedzieć zdołał, ale te słów niewiele płynęły z serca i były wiernym obrazem wzniosłych uczuć mówiącego, uściskali go ojcowie, a damy zabrały go do swego grona. Zabrzmiała huczno muzyka i kilka buraków hucznym wystrzałem oznajmiło zapalony fajerwerk. W pośród dwóch kręcących się wysokich piramid zajaśniała brylantowym ogniem cyfra Liceum, 12 fontann i tyleż młynków otaczały cyfrę, za którą wznosiły się snopy rac trzystu, brylantowe rozrzucających gwiazdy. Fajerwerk trwał godzinę i nad podziw pięknie się udał. Zachwyceni widzowie oklaskiem okazali swoje zadowolenie i dziękowali wykonawcy, którym był uczeń Liceum Rosiękiewicz. Całe to przyjęcie moim było pomysłem, p. szef przyjął myśl moją i na wykonanie jej kosztu nie żałował. Mało obywateli wiedziało o zamiarze, dla dam i dla Jarkowskiego była to niespodzianka zupełna. Nazajutrz pre-

fekt darował lekcje uczniom i drugi dzień był rekreacji, ale już na galerji licealnej.

Okoliczność ta jeszcze jaśniej okazała zacny charakter Jarkowskiego. Nie publicznie, nie przed obywatelami, ale w rodzinnem swojem kółku ze łzami wyznawał, że order za zasługi nie tyleby sercu jego przyniósł pociechy, ile ta życzliwość i ta uprzejmość obywateli w objawieniu powszechnej wdzięczności za jego wieloletnie trudy, za jego zasługi. Jarkowski wiedział, że cała ta niespodzianka dziełem była p. szefa Drzewieckiego, wiedział jakiego w nim przyjaciela posiadał, i czuł, że obecność w Krzemieńcu pana szefa dla szkoły równie, jak i dla miasta, konieczną była. Ale Jarkowski ani się spodziewał, że chwila utracenia pobytu tego czcigodnego obywatela w Krzemieńcu nader już była blizka. P. szef w 1822 mało już przemieszkiwał z nami. W 1823, przeniósł się do majątku swego w Ukrainie, tam się powtórnie ożenił i rzadkim tylko dla Krzemieńca stał się gościem. I my licealni, i obywatele i całe miasto tak nawykło do błogiego bytu za urzędowania Drzewieckiego, że kiedy p. szef wybrał się już na Ukrainę, miasto wierzyć nie chciało w jego wyjazd i opuszczenie Krzemieńca miało za fakt do wiary niepodobny. A jednak opuścił nas ten mąż czcigodny, opiekun młodych, ojciec nieszczęśliwych, duch zgody i jedności obywatelskiej, jeden tylko z naszych Wołynianów przypominający nam Czackiego.

Smutna jest starość! Niedołężność, upadek na siłach, niecierpliwość, towarzysząca zwykle tym sześciu, siedmiu i ośmiu dziesiątkom, czyli jak zwykle mówią krzyżakom. Szczęśliwy, komu w tych późnych latach służą jeszcze czerstwe zdrowie, czerstwy umysł, czyste sumienie. Szczęśliwy, kto przeszłość bogatą w smutne pamiątki mężnie przeżyć umiał, kto klęski i troski życia z pokorą religijną, z duchem wiary znosić potrafił, i z tych cierpień moralnych uniósł jeszcze cokolwiek sił do dalszych cierpień, do ostatnich walk z przeciwnościami, to-

warzyszkami nieodstępnemi naszego życia na tym padole płaczu. Gonimy za szczęściem! od kolebki do mogiły szukamy tego szczęścia, każdy podług wyobrażeń swoich; któż się pochwali, że się marzenia jego spełniły? Mojem zdaniem, ten jeszcze szczęśliwym nazwać się może, kto, nie marząc o żadnej świetnej przyszłości, pracuje poczciwie, resztę zdając na wolę Opatrzności. Ta religijna rezygnacja, ta wytrwałość w pracy, to niezrażanie się przeciwnościami, ten hart ducha ułatwiają trudności, osładzają troski i doprowadzają częstokroć szczęśliwie do niewymarzonego celu. Najszczytniejszym celem, celem jedynym może człowieka na tym świecie jest zapewnienie sobie i potomstwu swemu niezależnego kawałka chleba. Jednym trudno idzie całe życie, drudzy na mierności przestają, innym udało się przyjść do ogromnych majątków, ale ostatni i pierwsi znaleźliż szczęście? Cóż jest ogromny majątek? Znikomość! — W ciągu niniejszego stulecia, ileż olbrzymich fortun upadło? Ileż magnackich rodów zniknęło? Wzniosło się wprawdzie wiele niehistorycznych imion po szczeblach złotych i srebrnych, już to pracą, już szczęściem nabytych, ale jestże i tam szczęście? Ojczysta strzecha dla nich za nizka, komnaty za ciasne, skromną spokojność, pobożne obyczaje, prostotą, nieogładzeniem zowią. Stawią pyszne pałace, wspaniale je przystrajają, zaprowadzają wysoką etykietę, bawią się, a wpośród tego sybaryckiego życia nudzą się, ziewają! Strudzeni życiem, przesyceni dostatkiem, żądają czegoś jeszcze, marzą, a czas ulatuje i sprowadza starość, samą z siebie ciężką i nudną, a użyciem przesyconą i nieznośną. Wygórowany egoizm, próżność, zarozumiałość nie dają ani poświęcić się jakiejś użytecznej pracy, ani znaleźć odpowiedniego ich godności towarzystwa. Samotni w pośród ludzi, wszędzie nie są na swojem miejscu, nigdzie nawet z kim pomówić nie mają, a cóż dopiero poradzić się, lub szukać ulgi w wylaniu trosk swoich i cierpień! Smutny to obraz, ale niestety! wyznajmy, że często prawdziwy! A jednak w wieku

oświecenia, w wieku postępu zbyt często przed oczami naszemi się przesuwa.

Skreślone w powyższych ramotach moich pół stulecia stawi nam rys, może jeszcze nie zupełnie wykończony, przemian w obyczajach, zwyczajach, sposobach myślenia, w opinjach, może nawet w uczuciach. Prawidłem życia było dla nas zdanie Jana z Czarnolesia.

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku wspólnemu dobru ojczyzny pomoże.

Dziś to zdanie tak się wyraża:

Służmy własnej miłości, a jako kto może,
Niechaj ku dobru tylko własnemu pomoże.

Ale nie to miałem mówić. Przepraszam! Starość jest gadatliwa i, jak dziecinny wiek, nieuważna. Pierwsze i ostatnie lata życia naszego wiele mają podobieństwa, ale młodość wzrasta i kształci się, starość się zniża i kryje w mogile. Smutna kolej! Człowiek przychodząc na świat jest niczem, schodząc z niego w podeszłym wieku równie jest niczem! I znowu gawęda! I znowu przepraszam! Zaczynam więc. Ale cóż ja miałem mówić? Taki natłok okoliczności i wydarzeń skupił się w pamięci, że nie wiem od czego zacząć. Niech będzie znowu o Krzemieńcu, wszak to niewyczerpane źródło opowiadań. Nie czuję się zdolnym być dziejopisem tego miasta, ale gdybym pisał historję Krzemieńca, mówiłbym prawdę bez ogródki, jak ją piszę w tych moich Ramotach.

ROZDZIAŁ IV.

Liceum rzeczywiście już istniało i pomyślny byt dalszy obiecywało. Pracowano nad urządzeniami nowemi, układano program. Nauki szły swoim porządkiem i nauczyciele, podniesieni do stopnia profesorów, jeszcze z większą gorliwością trudom się swoim oddawali. Ale w

tych przemianach nikt gorliwszym, nikt działalniejszym nie był nad szefa Drzewieckiego. Duch Czackiego napełniał piersi jego i w nim odżył na nowo. Dobro ogólne szkoły, dobro szczególne w niej pracujących, zajmowały go tyle, ile los własnych dzieci, a może i więcej. On wniósł tę myśl wielką, ten nieoceniony pomysł ustanowienia komisji obywatelskiej dla administrowania dochodami i majętnościami licealnemi, co dotąd było w ręku zgromadzenia nauczycielskiego, uczonego wprawdzie, ale słabe mającego wyobrażenia gospodarstwa i potrzebnej w niem rachunkowości. Obywatele w ręku p. szefa złożyli swoje żądania, polecając jego wzniosłym uczuciom, jego wielkiej znajomości rzeczy, jego dzielnemu charakterowi, uwieńczenie ich żądania pomyślnym skutkiem. Powiedziałem wyżej, że Drzewiecki jeden między obywatelami przypominał nam Czackiego. I prawda. Czacki ponosił trudy, przykrości, prześladowania dla nadania bytu gimnazjum Wołyńskiemu, Drzewiecki na wszystko się narażał, aby liceum wznieść do należnej mu sfery. Wśród najprzykrzejszej pory roku udał się do Wilna. Uniwersytet, obywatele litewscy, umieli ocenić poświęcenie się czcigodnego obywatela. P. szef przyjęty był w Wilnie, jak drogi sercom poczciwych Litwinów współrodak, jako mąż czynu i zasługi. Ks. kurator czule powitał tego prawdziwego przyjaciela, współpracownika i naśladowcę Czackiego. Książę przejął się zapałem i gorliwością p. szefa, wszystkie pomysły jego aprobował i szczerze wziął się do ukończenia programu urządzenia Liceum. Szef Drzewiecki wskrzesił myśl Czackiego względem szkół parafjalnych, przedstawił ją kuratorowi i radzie uniwersytetu w obszernym planie, i nietylko że potwierdzenie znalazła, ale ją przyjęto z winną tak ważnej, tak szlachetnej myśli, czcią i wdzięcznością. Sam słyszałem później z ust b. rektora uniwersytetu Malewskiego sprawiedliwość oddaną zasłudze szefa Drzewieckiego. „To, Mopodzieju, wasz drugi Czacki, to gorliwość, to poświęcenie się!“ — mówił szanowny emeryt. — „A przy

tem, co za skromność, co za uprzejmość! Jegoście powinni byli ubłagać, ażeby przyjął dyrekcję Liceum. Nikt, jak on nie czuł ważności tego urzędu, nikt nie znał dokładniej waszych potrzeb i interesów oraz sposobów zaradzenia wszystkiemu, ani kto zdolniejszym był spełniać ten ciężki, ale tak ważny, tak dla kraju korzystny obowiązek". I w samej rzeczy, któż z naszych Wołynianów tak pojął zamiary Czackiego? Któż tak ukochał ten utwór wielkiego męża? Któż uczuł w sobie ojcowskie uczucia dla pokolenia, biorącego wychowanie w szkole krzemienieckiej. Drzewiecki znał ludzi, znał świat. Jego wzniosłe uczucia, jego piękne zdolności, jego wyższe ukształcenie, nauki, doświadczenie, zdrowy sąd o wszystkiem, cechowały męża, godnego zająć posadę, na której Czacki sławę w potomności i wdzięczność kraju pozyskał. Ale czyż wszyscy zarówno zasługę cenić umieją. Czackiego potwarzano, Drzewiecki znosić musiał krytykę i wyśmiewania swojej gorliwości. Czackiego wielkość po jego zgonie dopiero uznano, na Drzewieckiego pogrzebie dopiero uznanie zasługi jego okazało się. Wrócił Drzewiecki z Wilna i przyniósł nam świetne na przyszłość widoki. Gen. Kropiński na ten rok naznaczony był wizytatorem. I w nim żył duch Czackiego i w nim było serce podobne sercu Drzewieckiego. Ale okoliczności mniej przyjazny dla nas obrót brać zaczęły!..

W tym roku Jan hr. Tarnowski, senator Król. Polskiego, zabrał mię ze sobą do Horochowa [1]) na wakacje i stamtąd zawiózł do Warszawy. Dom Horochowski, było to istne muzeum, muzeum bogate i gustowne. Mnóstwo malowideł znakomitych mistrzów pędzla, rzeźby rzadkie i okazałe i obfity zbiór starożytności z Herkulanum i Pompei. Liczna bibljoteka, kolekcja rycin od wynalazku sztycharstwa aż do naszych czasów, toż miniatur wybranych, między któremi odznaczały się delikatnoś-

[1]) Na Wołyniu, pow. Włodzimierski. Większość zbiorów Horochowskich przeniesioną została do Dzikowa w Galicji.

cią pędzla i wybornem wykończeniem kopje i własne utwory ręki samej hrabiny. Zbiór rozmaitej broni istotnie tylko kolekcyjnej, zbroje i rzędy na konie i inne podobne sprzęty, których i nie zapamiętam wszystkich. Posąg Perseusza, dzieło nieśmiertelnego Kanowy, nie zrobił za mnie wielkiego wrażenia. Postawa i ruch zupełnie Apolina Belwederskiego, ale niema tego życia. Może dlatego, że Apollo był bożkiem, a Perseusz tylko półbogiem. Zawsze to jednak jedno z arcydzieł sztuki naszych wieków. W tejże samej sali stoi grupa: amorek uśpiony, a u głowy jego siedząca Psyche z zamiarem spłatania jakiegoś figielka kochankowi. Może w artystycznym rozbiorze wieleby się znalazło do poprawienia, ale wdzięk rozlany w obu postaciach, ale lekkość bogini ledwie przysiadłej na łożu, ale piękność twarzy obydwuch dziwnie zachwycające. Z patrzaniem na Perseusza przez kilka dni oswoiłem się zupełnie, a przez dwa miesiące, codzień, nie mogłem się dość nasycić przyglądaniem się pięknej grupie. W Perseuszu wydoskonalona sztuka, w amorkach natura i życie w całej swej niedoskonałej prostocie. Niewielkie popiersie kobiety z Herkulanum zachwycającej piękności! Wspominam tu tak mało przedmiotów, bo chcieć wszystkie wyliczyć, tomik z tego nie małyby się utworzył. Pobyt w Horochowie arcy był mi przyjemny. Hrabstwo oboje mili i uprzejmi, nie znać było w ich obchodzeniu się ze wszystkimi, ani tego wysokiego ich dostojeństwa, ani tej wyższości naukowej, jaką oboje posiadali, widać było tylko serca nasze staropolskie. Hrabia nie dał mi próżnować. Spisałem mu krótki rys wycieczek moich botanicznych po naszym kraju, skopjowałem akwarelą obraz Lisowczyka przez Rembrandta do albumu hrabiny i pod opieką niewypowiedzianej dobroci ks. Antonowicza, przewodnika młodości hrabiego i Felińskiego, przeczytałem całego Alfierego i kilka pieśni „Jerozolimy wyzwolonej“ i codzień godzinę lekcji botaniki odbywałem z synem starszym hrabstwa Janem, dziwnej słodyczy charakteru i niepospolitych zdolności umysłowych młodzień-

cem, uczniem naszego liceum. Dwa miesiące szybko upłynęły. Smutno mi było opuszczać Horochów, nadzieja tylko ujrzenia Warszawy rozweselała myśli, zajęte miłym w domu hrabstwa pobytem. Tamże miałem zaszczyt być prezentowanym hr. Mierowi, sławnemu pięknemi poezjami i mnóstwem pojedynków, oraz ostrością krytyki. Raz zastawszy mię w bibljotece przepatrującego śpiewy historyczne Niemcewicza, zapytał co czytam. „Śpiewy Historyczne“ odpowiedziałem. „Omyłka w druku — rzeknie hrabia z uśmiechem — powinno być: „Ryki historyczne“. Zwykle towarzystwo Horochowskie domowe nader było miłe. P. senator Strojnowski, ojciec hrabiny Tarnowskiej, człowiek wielkiego rozumu i niepospolitej nauki, był w młodości swojej bardzo pięknym mężczyzną i w podeszłym wieku jeszcze ślady tej piękności zostały. P. Strojnowski był wielkim, uczonym prawnikiem i biegłości swojej świetne dawał dowody; tej znajomości doskonałej prawa winien był godność swoją senatora. Jedna przecież sprawa skaziła tę wielką sławę. P. Walerjan miał trzech braci: Hieronim, dygnitarz duchowny, był rektorem uniwersytetu Wileń. i zostawił po sobie pamięć czcigodnego urzędnika. P. Józef, szambelan dworu polskiego, najpoczciwszy człowiek, ale nie świetniał nauką, jak starsi jego bracia. Najmłodszy, Jan zdaje mi się, pięknej urody, żywych namiętności i niepohamowanie porywczy, broił wiele, jak wiele podówczas szlachty broiło. Jakaś kryminalna awantura pod sąd go poddała. Zasiadał w niej głównie p. Walerjan; członkowie sądu, o ile możności, starali się o sąd łagodny, p. Walerjan na gardło go osądził. Odwołano się do króla, prośba poszła sztafetą do Warszawy. W Łucku sądziła się sprawa. Po upłynieniu terminu, oznaczonego na przyjście z Warszawy listu żelaznego, głowa p. Jana padła pod mieczem katowskim, a list żelazny od wczoraj był za Krasnem i z rozkazu p. Walerjana przyszedł do Łucka po egzekucji. Wspaniały pogrzeb sprawił bratu jego nieubłagany sędzia i płakał, idąc za zwłokami jego do grobu. Cóż w

tych łzach było? Co je wycisnęło? Jedni mówili, że to były łzy hipokryty, inni, że sumienie je wycisnęło! Długo ta powieść po Wołyniu krążyła i może sto razy ją w dzieciństwie mojem słyszałem. Pan Walerjan utrzymywał interesa p. starościny Jełowickiej z domu hrabianki Tarnowskiej, pozyskał jej ufność i przywiązanie, i wdowa po dwuch mężach p. podkomorzyna rękę swą oddała. Pierwszym jej mężem był wojewoda Mier, ojciec wyżej wspomnianego poety. Ze starostą Jełowickim miała dwuch synów zeszłych bezpotomnie i córkę poślubioną szambelanowi Romanowskiemu, z którym rozwiodłszy się, wyszła za hr. Krasickiego z Morawicy. P. starościna, owdowiawszy po Jełowickim, wyszła za p. Strojnowskiego i miała z nim córkę Walerję, obecnie hrabinę Tarnowską. P. senator ożenił się po raz drugi z córką generała rosyjskiego w Petersburgu, piękną i pięknie wychowaną osobą. P. senatorowa szczerze pokochała pasierbicę, jej radom się powodowała i miłą była całej rodzinie. P. senator żeniąc się, oddał majątek cały zięciowi, warując sobie pewną sumę corocznie, kapitały uzbierane i remanenta, jakie z nim były w Petersburgu. W czasie mojej bytności w Horochowie akt zdania majątku odbywał się pod prezydencją podczaszego kor. Czackiego, wobec wielu innych czcigodnych obywateli. Marszałkiem dworu senatora był niejaki p. Waniurski, spełniający ten urząd jeszcze za starosty Jełowickiego, całem sercem przywiązany do swoich dawnych panów i ich potomstwa. Wybierając się z Petersburga zabrał do Horochowa wszystkie precjosa, należące niegdyś do p. sarościny, dziś spadkiem będące własnością jej córki. Oddawanie ruchomości spadkobiercom odbywało się publicznie. Mnóstwo nas świadków wprowadzono do skarbca. Pierwsze, co uderzyło w oczy senatora, były srebra familijne cenione trzykroć sto tysięcy złotych, których nie spodziewał się ujrzeć w Horochowie. Domyślał się czyja to była robota i piorunujący wzrok rzucił na Waniurskiego. Ale starzec, mężny poczciwością i wiernością dla swoich pa-

nów, srogie wejrzenie senatora odparł wejrzeniem zadowolonego czystością swoją sumienia. Wynikły stąd jednak kwasy. Hrabina radaby była i ojcu się nie narazić i najlepszemu mężowi troski osłodzić. Hrabia rzecz mocno wziął do serca i kilka dni cierpiący z pokoju swego nie wychodził. W tem odosobnieniu towarzystwo jego składało się z ks. Antonowicza, pułkownika Mikułowskiego i jego brata, kuzynów hrabiny i mnie hrabia zaszczycił przypuszczeniem do tego grona. Jakże to miłe spędzały się chwile w tak światłem społeczeństwie! Ile możność pozwalała, jako gospodyni domu, odwiedzała męża hrabina z panią Łazowską, siotrą Mikułowskich. Sądził się tam jeszcze i kompromis jakiś między senatorem i p. Majewskim, sąsiadem Horochowskim, niewiem o co, bo wyznam szczerze, że wypytywać się o cudze interesa nie lubię. Ukończył się nareszcie zjazd i my zaczęliśmy się wybierać do Warszawy. Rzeczy kazał hrabia wyprawić wprzódy, my jechaliśmy jednym tylko powozem i z jednym lokajem. Nie nudziła mi się wcale podróż. Kraj dla mnie nowy, historyczny, podawał hrabiemu materję do opowiadań z dziejów naszych, a opowiadał je z wysoką erudycją i nadzwyczajnym wdziękiem wymowy. Od Lublina jechaliśmy już pocztą, ale to nie przeszkodziło podziwiać piękności Puław i oddać hołd popiołom Piramiwicza. Wilanów przejechaliśmy tylko, odkładając na swobodniejsze chwile zwiedzenie przybytków wzniesionych ręką obrońcy Wiednia. Przyznam się, że widok Warszawy od strony Wilanowa żadnego na mnie nie zrobił wrażenia, a wjechawszy do miasta, tyle razem przedmiotów było do widzenia, że nic nie widziałem i w mojej wyobraźni powstał zamęt.

Mieszkanie hrabiego było w pałacu hr. Urszuli Tarnowskiej na Krakowskiem Przedmieściu, i tam hrabia kazał mi dać schludny pokoik obok swego salonu. Miałem i mego służącego, wysłanego wprzódy z kamerdynerem hrabiego. Hrabia ubrał się zaraz i pojechał z wizytami, ja porządkowałem się w moim pokoiku. Kiedy, zakoń-

czywszy moje zatrudnienia, usiadłem w oknie dla przypatrywania się ruchowi stołecznego miasta, wchodzi kamerdyner hrabiego i zapytuje mię: „Masz pan pieniądze?“ „Mam kilkanaście dukatów“. „P. hrabia kazał mi oświadczyć panu, ażebyś to, co masz, oszczędził na drogę z Warszawy do Krzemieńca, a tu, co tydzień kazał mi wypłacać panu po 5 dukatów na jego potrzeby, i kiedy hrabia w domu będzie, ażebyś o obiedzie dla siebie nie myślał. Jeśliby miał co kupić potrzebnego, lub co sobie sprawić, proszę udać się do mnie, bo mam polecenie wszystko to ułatwić“. Uściskałem poczciwego starca i westchnieniem wdzięczności wzniosłem się do Boga. Szczodrobliwość względem mnie hrabiego była delikatnem wynagrodzeniem za lekcje botaniki dawane jego synowi, za które nic wziąć nie chciałem, mając za łaskę, przewyższającą moją usługę, zabranie mię do stolicy. Nigdzie już tego dnia nie wychodziłem, oczekując powrotu hrabiego, a on, odbywszy kilka koniecznych wizyt, był w tym samym pałacu u pp. Tomaszostwa Grabowskich, kuzynów swoich, bo pani Grabowska była córką hr. Urszuli Tarnowskiej, a siostra jej Zofja była za hr. Marcinem Tarnowskim, blizkim sąsiadem Krzemieńca. Nie doczekałem się hrabiego, nazajutrz rano poszedłem do najbliższego kościoła Bernardynów i tam w gorącej modlitwie prosiłem Boga o zdrowie dla moich i pomyślny pobyt w Warszawie. Wróciwszy, chciałem służyć hrabiemu, ale był mocno zajęty, kazał mi tylko powiedzieć, żebym na drugą godzinę był na obiad. Korzystając z tych kilku godzin, poszedłem naprzód odwiedzić kościoły najbliższe, Karmelitów, Wizytek, ś. Krzyża i ś. Jana Katedralny. Kościół ś. Krzyża obszerny i okazały, ale djecezalny nasz okazalszy. Katedra! to świątynia modlitwy, prawdziwy dom Boży! Jaka w niej uroczysta samotność, jak uspakajające burze życia ustronie, jaka smętna a zachwycająca okazałość! W dwuch tylko warszawskich kościołach urządzenie wewnętrzne świątyni do rzewnej modlitwy mię przyprowadzało, u ś. Jana i u Kapucynów. W innych, jas-

no, wesoło, ludno, nawet elegancko, ale dla modlitwy spokojnej niema kątka na przytułek. W katedrze groby książąt lepiej zachowane, niż Izasława w sofijskiej cerkwi w Kijowie i w lepszym smaku, z czerwonego marmuru krakowskiego wyrobione, miłe uczucia czci dla rodu Piastów w sercu mojem wywołały. Chorągiew, zdobyta na Turkach przez Jana III, niedość starannie zachowana; takie zabytki szacowne warto, aby tylko w uroczystości kościoła były odkrywane. Zdaje się, że kościół cały, nie tykając uroczystej jego posępności, potrzebuje jakiegoś odnowienia. Wracając z katedry, pochodziłem około posągu Zygmunta III. Całe lat czterdzieści panowania tego króla przesunęły się w myśli mojej i nie widziałem ani jednego czynu zasługującego na tak zaszczytny dowód wdzięczności narodu, i pusta myśl mi przyszła, że, gdyby Zygmunt ożył i widział swój posąg, śmiałby się z potomków, którzy go tak drogo ocenili. Że jeszcze w czas było wracać do stancji, poszedłem na Saski plac, gdzie pod okiem wielkiego księcia Konstantego odbywała się wojenna parada i byłem świadkiem pociesznej, ale i pięknej sceny. Uczniowie, wychodząc z klas hurmem runęli na plac i obstąpili wojsko. Cesarzewicz, chcąc sobie zrobić zabawkę, zajął malców i uszykowawszy w szeregi kazał im maszerować, zmieniając rozmaicie kierunek marszu. W kwadrans czasu malce tak pojęli komenderówkę i tak się zręcznie zwijali, że powszechny podziw wzbudzili i w. książę wielce był zadowolony. Piękne to były manewry za księcia i żołnierz piękny i dzielny!

Wróciwszy do stancji, zastałem hrabiego swobodnym, a gdym mu dziękował za udzieloną pomoc, temi słowy powiedział: „Czy zapomniałeś, żem tak blizki krewny Czackiego (rodzony siostrzeniec), że ci, których on kochał i sercu memu są miłymi?“ Po obiedzie zapytał mię hrabia, czy chcę być w teatrze? „Dziś grają komedję Fredra Gelbhab i Asmodeuszka, ja będę z Grabowskimi w ich loży, moją ci ustępuję“. Podziękowałem, ale byłem w kłopocie, jak samemu jednemu być w loży. Mia-

łem znajomych prof. Jarockich, spotkałem samego zrana, wiedziałem, gdzie mieszka i pobiegłem prosić, ażeby mi zrobili przyjemność być ze mną na teatrze, ale po pierwszem, wielce uprzejmem powitaniu, zaproponowali, ażebym z nimi był w ich loży. „Mam i ja lożę“ — smutnie odpowiedziałem i po niedługiej wizycie zakłopotany wróciłem do stancji. Hrabia zmiarkował, że mam trudność w dobraniu kompanji do loży, a sam żenuję się zająć znane stanowisko wysokiego dygnitarza, uwolnił mię od kłopotu i zastałem bilet na krzesło w drugim rzędzie. Z mocnem wzruszeniem oczekiwałem podniesienia zasłony. Nieobcy mi był teatr. Widziałem niegdyś w Wilnie Każyńskiego, Morawską, Malinowskiego, Jędrzeja Rutkowskiego. W koczujących towarzystwach aktorów znałem Berezę, Malinowskiego, Kamińskiego i Zielińskiego. Na amatorskim teatrze w Pekałowie u hr. Aleksandra Chodkiewicza grywaliśmy i nie można było miernie odegrać swoją rolę. Zbierałem w myśli mojej talenty wszystkich widzianych artystów i tworzyłem sobie ideał artystów warszawskich. Nie zadziwiło mię przedstawienie Geldhaba. Lubo wszyscy aktorowie dzielnie swe role wykonali, ale w Asmodeuszku p. Kurpińska oczarowała mię zupełnie. Jej piękna, nadpowietrzna postać, jej żywość, jej dźwięczny, słodki śpiew, jej dzielna gra całą moją wyobraźnią opanowały, we śnie nawet pięknego Asmodeuszka widziałem. Między aktami nie ruszałem się z mego miejsca i marzyłem o sztuce dramatycznej i cały szereg znanych mi artystów snuł się przed mojemi oczami. Wtem słyszę za sobą rozmowę: „to on, powiadam ci, że on“. „Ale skądżeby on się tu wziął?“ „Rzecz prosta iż przyjechał“. „Spróbuję, zaczepię go“. „Daj pokój, może kto zupełnie nieznany, obrazi się jeszcze“. „Co ci to szkodzi? ty będziesz na boku“. Po tych słowach uczułem lekkie dotknięcie mojego ramienia i obróciłem się. Dwuch oficerów stało za mną i obu poznałem odrazu, byli to Porembiński i Norbert Izbicki Krzemieńczanie. Powitaliśmy się jak współuczniowie i miła rozpoczęła się pogadanka,

ale ją przerwał akt ostatni Geldhaba. Z teatru odprowadzili mię do stancji i odwiedzić obiecali.

Nazajutrz hrabia wezwał mię rano do siebie, piliśmy razem kawę i oświadczył mi, że powinien zaprezentować się gdzie potrzeba. „Profesorów wielu już znasz, do Osińskiego masz list od brata, bez reszty się obejdziesz, a do rektora i do Bentkowskiego sam cię zawiozę. Będziemy później u Nowosilcowa, u Krasińskiego, a za kilka dni przyjedzie ks. Adam i do niego ze mną pojedziesz i Staszicowi cię zaprezentuję, bo także mistrz waszego cechu. Rozporządzaj więc sobie dniem dzisiejszym, a jutro do mnie należysz". Podziękowałem hrabiemu i wybrałem się na wędrówkę wizytową. Prof. fizyki Skrocki ex-pijar, znany mi jeszcze z Międzyrzecza, zrzucił sukienkę, ożenił się i oddał się całkiem nauce, którą wykładał. Pięknie się tłumaczył i na katedrze i w salonach, a do tego piękna i ukształcona powierzchowność, miłym go w każdem społeczeństwie robiły. Wizyta moja u nich nie była ceremonjalna, znajomość się odnowiła i koleżeńska zaszła poufałość. Z Szubertem jeszcze mniej ceremonji. Znamienity ten naturalista, głęboko uczony i wymowny profesor, najskromniejszą zalecał się powierzchownością. Żadnej w nim nie było etykietalności, chociaż mu i świat wielki i jego ton obce nie były. Dom Szubertów, przy miejskiej rachunkowości, na wyższą skalę prowadzony. Ale to nie przeszkadzało, aby piękna pani profesorowa, pięknie ubrana, zapiąwszy się czyściutkim fartuszkiem, nie miała zaprawić zupkę i jakąś elegancką i smaczną zrobić leguminkę. Wzorowy to był dom, jakie uszanowanie dla rodziców, jakie piękne pożycie małżeńskie, jakie serca braterskie dla rodziny, jaka uprzejma gościnność w domu dla wszystkich! Z prawdziwą przyjemnością uczęszczałem do Szubertów, bo i miłe znajdowałem przyjęcie i z wysokiej nauki profesora korzystałem, a będąc u nich, zdawało mi się, że jestem u kogoś z mojej rodziny. Trzy domy Szubertów, Skrockich i Jarockich przez cały pobyt w Warszawie miłym dla mnie były przytułkiem. Wizyty

u profes. Skarbka-Armińskiego, Kitajewskiego i Pawłowicza, odbyły się biletami, profesora Pusza nie było w Warszawie. Wróciwszy do stancji, naciągnąłem na siebie mundur licealny i hrabia zabrał mię z sobą. U Nowosilcowa krótka była prezentacja, gen. Krasińskiego jużeśmy w domu nie zastali, u profesora Bentkowskiego [1]) całą godzinę bawiliśmy. Miałem wyobrażenie o tym znakomitym uczonym, że pedant, ale jakże się zawiodłem! Bentkowski lubi mówić o swoim przedmiocie, w mowie jego widać wielką znajomość historji i literatury naszej, ale żadnej zarozumiałości, a że ks. Osińskiego i jego pracę wysoko cenił, jako uczeń Osińskiego nader łaskawie u niego przyjęcie zyskałem. U p. Lindego bardzo krótką zrobiliśmy wizytę, ale hrabia zamówił u niego wolną chwilę dla pokazania mi bibljoteki uniwersyteckiej. Zostały jeszcze na inny dzień odwiedziny ks. Staszica i Ludwika Osińskiego [2]). Resztę dnia obróciłem na obeznanie się z miastem i gawroniłem po parafjańsku, oglądając powierzchownie gmachy, znajome mi z rysunku w atlasie Zanoniego.

Następnego dnia był piątek, na obiad więc poszedłem do Rożengarta na sławne pierogi. Stół w tej restauracji wyborny, ale i towarzystwo zbierające się w niej wyborne, i nie żal było pięć złotych za obiad zapłacić. Odtąd co piątek bywałem u Rożengarta, w inne dni stołowałem się pod „Białym łabędziem“ na Nowym Świecie. W tenże

---

[1]) Bentkowski Feliks, ur. w Lubartowie na Wołyniu w r. 1781. Kształcił się w Niemczech. Był prof. w liceum warszawskiem, później na uniwer. warszawskim wykładał historję powszechną. Napisał pierwszą Historję literatury polskiej, traktując ją bibljograficznie. Umarł w Warszawie w r. 1852.

[2]) Osiński Ludwik, brat Alojzego, urodził się w Kocku r. 1775. Kończył szkoły pijarskie w Radomiu. Początkowo ksiądz, zakon opuścił. Ożenił się z córką Wojciecha Bogusławskiego i po nim zarząd teatrów objął. Od r. 1813 do 1825 wykładał literaturę polską w uniwersytecie warsz. Umarł 1838 r. Poeta i tłumacz klasyków francuskich.

piątek oddałem ceremonjalne odwiedziny p. Ludwikowi Osińskiemu i list od brata. „O! ja mam już późniejszy, w którym mię o pana zapytuje"—rzekł mi profesor. Wypytywał mięło ks. Osińskim i długą była moja wizyta, długą była, jak na pierwszą. Przy pożegnaniu oświadczył mi p. Ludwik, że przez cały czas pobytu mojego w Warszawie mam krzesło obok niego w teatrze i dziś zaraz czekać mię będzie u siebie o szóstej godzinie, ażebyśmy razem udali się na teatr. Wymawiałem się ceremonjalnie od tej daremszczyzny, w duszy jednak rad zdarzeniu, niby po długiem opieraniu się przyjąłem. Wygrałem komedją z p. Osińskim, na której on się poznał. Tego dnia grano operę „Jadwiga", jak zwykle pięknie przedstawioną. Ale królowa dziewica trochę za wiele miała ciała i niedość młode oblicze. Pani Dmuszewska śpiewała jeszcze pięknie i w duecie z Wilhelmem „jedne nas chwile jednoczą" odśpiewała z czarującym wdziękiem, i była Jadwigą! Wejście Jagiełły, przedstawione z całą znajomością głęboką i historyczną obyczajów litewskich, wielkie na umysłach Polaków sprawiało zawsze wrażenie, ja zachwycony niem byłem. W ciągu mojego pobytu w Warszawie 22 było reprezentacji, ja jedną tylko opuściłem, wiele między niemi należało do pierwszego rzędu sztuk dramatycznych, jeśli nie utworem, to pysznem przedstawieniem. Z oper widziałem tylko: „Jadwigę", „Wisliczanki", „Asmodeuszka", „Aladyn czyli Dzwonek" i wielce komiczną „Aktorowie w podróży", ale byłem na przedstawieniu „Hamleta", „Dziewicy orleańskiej", „Machabeuszów", „Mojżesza" i „Rozbójników czeskich". W „Hamlecie" widziałem niegdyś Każyńskiego i Malinowskiego w Wilnie. Z koczujących artystów na Wołyniu, Zielińskiego i sławnego Malinowskiego. Umieli się ci artyści przejąć wielkością roli królewicza duńskiego, znawcy nawet oddawali im sprawiedliwość. Ale możnaż któregokolwiek z nich zrównać z Werowskim? Werowski w tej roli był więcej, niż wielkim artystą. Jego mimika, zastosowanie głosu do

uczuć, sam nawet wyraz twarzy podziwem, przerażeniem i niewypowiedzianem zadowoleniem serca widzów przejmowały. Widząc Werowskiego w roli Hamleta, powziąłem wyobrażenie, co to jest prawdziwy dramatyczny artysta. A Ofelja! Panna Nacewiczówna w tej roli raz pierwszy występowała. Młoda, kształtna i dziwnie piękna, do głosu wdzięcznego i wyrazistego łączyła akcję tak naturalną i tak wyrażeniom słów odpowiednią, że zachwycała widzów, i obecni Anglicy oddawali jej sprawiedliwość. Siedziałem obok p. Ludwika Osińskiego (który był dyrektorem teatru), gdy weszła Ofelja obłąkana, śpiewając i rozdawała bukiety, na te słowa — „a mnie ziółko goryczy, ruta“ — wstrząsł się teatr hucznym oklaskiem. Ja nie słyszałem oklasku, zachwycony patrzałem na scenę, łzy z moich oczu płynęły. Sąsiad mój, patrząc na mnie, szepnął mi do ucha! — „Twoja niema pochwała więcej warta, niż te huczno-brzmiące brawo“. — Ocknąłem się i postrzegłem, że jestem w teatrze!

W „Dziewicy Orleańskiej“ zwykle występowała pani Ledochowska, w czasie mego pobytu zastąpiła ją p. Nacewiczówna w roli Joanny. Jeżeli Ofelja łzy wycisnęła, to bohaterka Francji oczarowała. Co za naiwność, co za wdzięk uroczy w opowiadaniu powodu wzięcia miecza do słabej ręki! Co za walka uczuć w czasie tryumfu, co za bohaterskie uniesienie się i wiara silna, gdy otrząsnąwszy kajdany, wydziera miecz strzegącemu ją w więzieniu żołnierzowi i bieży bronić Francji, zwyciężyć i umrzeć! Porównywano grę jej z grą p. Ledóchowskiej, wyższość zjednały Nacewiczównie młodość i piękność, mnie się zdawało niepodobnem doskonalej oddać tę rolę, że sam Schiller nawet byłby zadowolniony. W „Machabeuszach“, który to dramat dwa razy widziałem, dwie aktorki w roli matki Machabeuczów występowały. Pani Żółkowska dobrze grała, w scenie nawet ciągnienia losu synów mimika jej była zachwycająca. Ale pani Ledóchowska była prawdziwą matką bohaterów, poświęcających się za świętą sprawę ojczyzny, była bohaterką, była księżną ludu wy-

branego! Gra jej nie da się dostatecznie oddać pochwałą, ona wszystkie pochlebne nawet pochwały przewyższyła. Wielką sławę posiadała na naszym teatrze pani Truskólawska, Morawskiej przyznawano i talent i dar szczęśliwy wykonania każdej roli, p. Ledóchowska i matkę i Morawską daleko za sobą zostawiła. Kudlicz w roli Azarjusza, Werowski w roli Mizaela, ostatni już z Machabeuszów, godni byli swej matki. Córkę Antyocha grała Nacewiczówna, a scena jej z Mizaelem, scena pożegnania, powszechne rozrzewnienie wywołała. Ale, jeżeli zachwycił mię cały dramat i wykonanie jego, to apoteoza Machabeuszów przeniosła mię w sferę jakąś marzeń nadnaturalną. Kiedy już matkę Machabeuszów, osieroconą z synów i ojczyzny, postawiono na stosie, ciemne chmury napełniły scenę i stos osłoniły. Głuche milczenie całą widownię ogarnęło. Zwolna zaczęło się rozjaśniać i coraz lżejsze i przezroczyste obłoki lekko się rozpływały. Żywa jasność uderzyła z góry, jasność niebieska. Siedmiu Machabeuszów w białych szatach z męczeńskiemi w ręku palmami, w lekkim ukazali się obłoku, najwyżej jaśniała świątynia, przybytek Boży, od którego schodząc ojciec i matka Machabeuszów, wyciągali ręce do synów męczenników. Nie obca mi była maszynerja teatru, wiedziałem, że wszystko jest płótno malowane, że sznury i koła wszystkiemu ruch nadają; ale ruch niemy dekoracji, ale koloryt gwaszu i przezroczy, ale perspektywa linjowa i powietrzna, ale czarowne oświecenie ogniem bengalskim i dekoracją i osoby i scenę całą, zmieniły w jakieś nadpowietrzne zjawisko. „Cóż na to mówisz?“ — zapytał mię p. Osiński. „Ani tego, co się przede mną dzieje, ani siebie nie pojmuję — odpowiedziałem — radbym raz drugi widzieć Machabeuszów“, ale i za drugim razem to samo było osłupienie, zwiększone grą pani Ledóchowskiej.

„Mojżesz, czyli wyzwolenie z Egiptu“, w mojem wyobrażeniu i treścią swoją i układem i przedstawieniem, do najznakomitszych dramatów należy. Kudlicz występował

w roli Mojżesza, wszędzie i zawsze wielki; ale w scenie, kiedy wzniosłszy oczy i ręce do Boga, zawołał: „O! czemuż panie nie spuścisz ognistych potoków, na ciemiężycieli ludu twojego!“ i kiedy deszcz ognisty rozproszywszy Egipcją spada po szacie Mojżesza nie paląc, a on stoi w proroczem zachwyceniu. O! wtedy to był nie artysta, nie Kudlicz, to nie była scena, to był istotny mąż Boży, to był wyzwoliciel ludu wybranego, patrzący w oblicze swojego Stwórcy! Scena wężów, scena krwi, scena śmierci pierworodnych, nieporównanej piękności i wszystkie wybornie przedstawione. Szymanowski w roli Faraona istotnie był królem z całą dumą i despotyzmem monarchów Wschodnich, z całym fanatyzmem ciemnych bałwochwalców, z całem gorącem uczuciem miłości dla swego pierworodnego. Kiedy błagającym głosem przemawia do Mojżesza: „Idź! wyprowadź lud twój, ale powróć mi syna!“ Szymanowski siebie samego przewyższył i dowiódł, że nie zmyślone oklaski, przez ćwierć stulecia sławę wielkiego artysty Szymanowskiemu ustaliły!

W wymienionych dramatach wszyscy artyści godni byli odbieranych pochwał, w każdym jednak celowała jedna główna osoba. W „Rozbójnikach Czeskich“ trzech było bohaterów dramatycznej sztuki. Werowski był Karolem Moor, Franciszkiem Moor Kudlicz, hrabię, ojca ich przedstawiał Bogusławski. Na zwiędłem starością czole tego ojca sceny naszej świeżo zieleniały laury tyloletniej zasługi, Bogusławski jeszcze był wielkim, był ojcem godnym takich synów! Werowski w roli Karola nie był naczelnikiem bandy rozbójników, nie; był on wielkim wodzem, z całem męstwem, z całą wspaniałością umysłu wojownika bohatera! W scenie pierścieni, w widzeniu się z kochanką, z ostatniem widzeniem ojca, albo oddając się w ręce sprawiedliwości, powszechnie dla siebie wzbudził współczucie, każdy z widzów wyrzekał w myśli na los, który tak wielkiego umysłu męża strącił na herszta bandytów! Kudlicz! Franciszek Moor, w całej roli swej nieporównany,chyba z sobą samym, w scenie nocnej, gdy

widma zbrodnią skalanego sumienia i we śnie go udręczyły, wypada w nieładzie na scenę. Włosy najeżone, oczy obłąkane, w całej twarzy wyryta rozpacz i zgryzota, zgrozą przejęły widzów, uczucia zbrodniarza przelały się w serca patrzących, przestrach mimowolny, dreszczem zimnym przejmował, a głuche słowa, wydobywające się z uciśnionej zgryzotą piersi ojcobójcy, wywołały z piersi naszych ciężkie westchnienie! Widziałem przed wielą laty w Wilnie w tejże samej scenie Malinowskiego; oklaskano i obsypano pochwałami artystę. W mojéj pamięci stanęło to przedstawienie i Malinowski nizko upadał przed Kudliczem. Wdzięczność dla hrabiego Tarnowskiego za pokazanie mi Warszawy, nigdy się w mem sercu nie zatrze. Wiele zyskałem z tego niedługiego pobytu, ale do ważniejszych okoliczności, działających na moje oświecenie, liczę widzenie teatru warszawskiego, który podówczas szczycił się wyborem najznakomitszych talentów na scenie naszej. Nie wiem na czyje żądanie grano komedję Bogusławskiego „Henryk szósty na łowach". Królem był znowu dzielny Szymanowski, Betsy Nacewiczówna, Ferdynand Kokl — sam autor. I tu Bogusławski jeszcze był Bogusławskim. Jego nocny monolog z fajeczką przy kominku nie dymiącym, wybornym, „choć do niego architekta nie potrzebował", jego śpiew: „Kto żąda szczęścia od świata" wywołały w widzach wspomnienia lat dawno upłynionych, lepszych czasów, niestety! bezpowrotnych! Oklaski i okrzyki wzniosły się ze wszystkich stron widowni, z lóż leciały wieńce na odmłodzonego starca. Ojciec sceny naszej jeszcze tryumfował. Komedja weszła w modę, żądano drugiego przedstawienia zaraz, ale nie wiem co przeszkodziło, w czasie mego pobytu już jej drugi raz nie grano. Ulubioną warszawskiej publiczności operę „Wiśliczanki", okazale zawsze przedstawiano. W niej pani Dmuszewska w całej świetności celowała. „Sen Hinkona" należy do czarodziejskich reprezentacji, balet w nim piękny, panna Mierzyńska i młody Maurice, słusznie za wzorowych baletników

okrzyczani, taniec ich zachwycający. Baletniczki zgrabne i w skokach wyćwiczone, ale chłopcy choć zwinni, ale ciężcy. „Jak ci się balet wydaje?“ — zapytał mię p. Osiński. „Wyborny, kobiety dzielnie się wywijają“. „A chłopcy? prawda że nie zgrabni, grubemi nogami niby błoto mieszą, ale daj mu konia, daj szablę, to bez długiego znoju masz w nim dzielnego jeźdźca, wojaka“. Cały sen Hinkona nienużącem patrzącego zadowolnieniem napełniał. Czemuż to czarodziejskie widowisko, smutny obraz teraźniejszości zakończył!

Pozwoliłem tu sobie rzucić kilka myśli względem naszych ówczesnych artystów dramatycznych, nie jako judex competens, bo do tego nie mam pretensji, ale sądziłem podług wrażeń, jakie na mnie gra ich zdziałała. Scena polska pod zarządem jeszcze Bogusławskiego oczyściła się z brudów, jakie jej przedtem przypisywano. Obyczaje aktorów stały się więcej towarzyskie, gra przybrała charakter sztuki i przestała być rzemiosłem ledwie wyższem od szewstwa. Zaczęły się okazywać piękne talenty, czcigodny rządca ośmielał trwożliwe, leniwych ożywiał i wszędzie przykładem swoim udoskonalał. Pod dyrekcją Ludwika Osińskiego jeszcze wyżej podnieśli się artyści. Ambicja natchnęła im ducha celowania, zachęciła do pracy, praca usposobiła nietylko w tem, co umieć aktorowi potrzeba było, ale dała popęd na drodze naukowej. Aktorowie i aktorki przypuszczonymi byli do lepszych towarzystw i byli na swojem miejscu. I obyczaje ich oczyściły się z dawnego zaniedbania. Dla dania mi wyobrażenia, co są artyści Warszawscy za sceną, p. Osiński wezwał mię raz na wieczór aktorski do siebie. Nie umiem wypowiedzieć, jak przyjemne było społeczeństwo. Otwarta, szczera, ale skromna wesołość, towarzyszyła mowom i grom kompanji. Żółkowski ożywiał wszystko. Dostała się łatka i naszemu Krzemieńcowi, ale tak zgrabna, tak dowcipna, żem szczerze gadułę uściskał. Dmuszewski miał pretensję do uczoności, Szymanowski skromnie, ale gruntownie się odzywał, Kudlicz był praw-

dziwie uczony. P. Ledóchowska była w towarzystwie tem, co nazywają grande dame; prześliczne maniery, piękne wysłowienie się, ale ogromny zapas pretensji, własnej miłości i kaprysów. P. Żółkowska wierna jej naśladowniczka we wszystkiem. P. Dmuszewska wesoła, miła w towarzystwie, przypominała wiele naszych szlachcianek, którym maniery wyższego świata nieobce, ale szlachecka ogładzona rubaszność właściwa.

Pani Kurpińska jest toż samo za sceną, co i na scenie. Piękna, zgrabna, żywa, łagodna, dowcipna, prawdziwie była Asmodeuszkiem. Zdaje się, że nie masz towarzystwa, w któremby miłej nie wzbudziła wesołości. Mąż jej, dyrektor orkiestry teatralnej, człowiek z nauką i znajomościami wyższemi europejskiemi, do gustu wykształconego w obczyźnie, łączył przywiązanie do tego wszystkiego, co było narodowem. Jego polonezy są prawdziwie polskie i duchem i harmonją i taktem, i za sto lat jeszcze pięknemi będą. Kurpiński w kompozycjach swoich nic naśladowniczego niema. Panna Nacewiczówna w towarzystwie skromna, milcząca, nieco roztargniona, nie ożywia towarzystwa, ale je zdobi. Werowski smutny, roztargniony, mało się daje słyszeć, ale kiedy się odezwie, to jest co posłuchać. Zbliżył się ze mną i rozmawialiśmy o Krzemieńcu, opowiadałem mu o pierwszych latach gimnazjum. „Mogłem już wtedy wstąpić do szkół— rzekł smutnie — czemuż nie uczyłem się w Krzemieńcu!“ — i ciężko westchnął. Wielką miałem chętkę pociągnąć go za język, ale obcemu wypadałoż przy pierwszem widzeniu wybadywać cudze skrytości? Jeśli kto u nas pisze dzieje teatru polskiego, to tam zapewne pomiędzy biografjami artystów i historja Werowskiego znajdować się będzie. Powoli, powoli, cała kompanja się ożywiła. Pani Osińska znakomita swem pięknem ukształceniem, arcymiłą, uprzejmą była gospodynią. Zaproponowała gry. P. Żółkowski był wojażerem i wszyscy uśmieliśmy się do syta. Wniosłem „sąsiada“ grę mało jeszcze znaną u Warszawiaków, damy chętnie ją przyjęły. P. Ledóchowskiej

gra podobała się, ale ciągle nie była zadowolnioną i mieniała sąsiadów; którejś z dam, mającej sąsiadem p. Werowskiego, przyszło zażądać sąsiada p. Ledóchowskiej i dwaj kawalerowie tak szybko się przemienili, że stojący w pośrodku koła Zdanowicz, podobnie jak w teatrze, gapiowatą miną wszystkich uśmieszył, ale p. Ledóchowska sąsiada już nie zmieniała, a Werowskiego nikt się nie pytał, choć może sąsiedztwo p. Nacewiczówny nie mniejby mu było przyjemne. I ja się nabiegałem, byłem nowością, a łatwy do wesołości, nie byłem odrzucony przez nasze artystki. Wesoło przeszedł przyjacielski wieczór, ale o północy potrzeba się było rozłączyć. P. Ledóchowska uczuła silną migrenę i oświadczyła, że jutro grać nie może, a miano przedstawić „Ludgardę“ Kropińskiego. Zgryzł cierpliwie ten gorzki orzech dyrektor teatru i inną sztukę na jutro naznaczono. Prawda, że p. Osiński mógł się poszczycić zebraniem pierwszych w kraju utalentowanych artystów, że publiczność umiała cenić jego starania w utrzymaniu tej świetnej kompanji, ale ile miał do znoszenia chimer, kaprysów nagrodzićby nie zdołały. Po odjeździe p. Ledóchowskiej powiedział mi p. Osiński: „powiedz tam ks. bratu, jakie tu nasza primadonna daje mi do gryzienia cukierki“. Ledóchowska i Werowski nieraz rzucali kompanję warszawską; czasem, na żądanie publiczności wzywał ich dyrektor, częściej jednak znudzeni Poznaniem, Kaliszem, Lwowem, stęsknieni do znajomej im dobrze publiczności, sami do Warszawy wracali. I ja właśnie trafiłem na taki ich powrót i miałem chlubną pociechę widzenia gry tych pierwszych na scenie polskiej artystów.

ROZDZIAŁ V.

Wyszedłem z porządku opowiadania pobytu mego w Warszaiwe, bo z mego dziennika, pisanego w tem mieście, mało od pożaru w 1845 r. zostało, a pamięcią trudno zdać sprawę z każdego dnia po upływie lat trzydziestu

kilku. Żaden jednak dzień próżno nie przeszedł. Zaprezentowany ks. Staszicowi [1]), zyskałem od niego pozwolenie znajdowania się na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Szubert, z którym najwięcej czasu przepędzałem i na prelekcję swoją i na sesję towarzystwa mię wprowadził. Posiedzenia, równie jak i wszelkie zbiory towarzystwa, były w murach ś-to Jańskich. Przyszliśmy zawczasu, i tylko sekretarza towarzystwa ks. Czarneckiego zastaliśmy. Uczony ten i miły w obcowaniu kapłan łaskawie mię przyjął i żebyśmy się nie nudzili, wprowadził nas do bibljoteki, gdzie Szubert pokazał mi wszystkie nowości dzieł botanicznych. Prezes towarzystwa ks. Staszic zastał nas tak zajętych i egzaminował mię grzecznie z tego, co z nauk przyrodzonych posiadam, i zdaje się, że moje odpowiedzi zadowolniły czcigodnego mędrca. Otworzyło się posiedzenie, wielką salę wokoło obsiedli członkowie. Każdego wychodzącego uprzejmie witał prezes. Mnie wzięli pomiędzy siebie pp. Osiński i Szubert, a obok nich blizko Skrocki i Jarocki zasiedli, byłem więc w kółku znajomem niepoślednich członków. Po zagajeniu ks. Czarnecki zdawał sprawę z funduszów i wydatków na budujący się dom towarzystwa. Okazał się deficyt 20,000 złotych na potrzeby zakończenia budowy. Składkowe sumy się wyczerpały, nowych ofiar mało przybywało,

---

[1]) Staszic Stanisław, ur. 1755 r. w Pile w Wielkopolsce. Kształcił się w Niemczech i Francji z umiłowaniem w naukach przyrodniczych. Przyjął święcenie kapłańskie. Poświęcił się literaturze i naukom. 1801 r. został członkiem Towarz. Przyjaciół Nauk. 1808 r. został prezesem. Po otwarciu Król. Kongresowego został członkiem komisji oświecenia. Urządził szkoły wojewódzkie, wydziałowe i elementarne, stworzył szkołę rolniczo-politechniczną, instytut głuchoniemych. Fundacją Hrubieszowską wyprzedził usamowolnienie włościan i stworzył instytucję ekonomiczno-społeczną wielkiej doniosłości. Umarł 1826 r. w Warszawie. Wydał: Przestrogi dla Polski (2 t. t. Warszawa 1790); O ziemiorodztwie gór (Warsz. 1805); O ziemiorodztwie Karpatów (Warsz. 1815). Dzieła: t.t. 9, Warsz. 1815—21.

prezes ozwał się: „jeżeli pozwolicie szanowni koledzy sumę tę niech dołoży skąpiec Staszic". Wszyscy powstali dla podziękowania czcigodnemu naczelnikowi, który oszczędny dla siebie nie szczędził ofiar na podniesienie nauk i ulgi cierpiącej ludzkości. Wtem wszedł żyd wysoki w jarmułce, z długą brodą, w dość brudnym kaftanie, na wierzch którego ogromny płaszcz grodeturowy czarny i suknię spodnią i całą postać żyda okrywał. „To Stern" [1]) rzeknie mi zcicha Szubert, wynalazca nowej machiny liczenia, wielce użytecznej, człowiek wysoko uczony, ale strojem zaniedbany żyd". Prezes powstał, i wszyscy na powitanie zasłużonego kolegi. Przy wyliczeniu nowych ofiar, prezes wymienił dary w starych książkach p. Skorochoda Majewskiego. Powstał z miejsca swego niemłody, słusznego wzrostu, po polsku ubrany mężczyzna, wydobywając z zanadrza niewielką drukowaną broszurkę: „i to, rzecze, zdać się może do zbioru naszego"; było to rzadkie już pisemko z czasów rozpoczęcia wielkiego sejmu z roku 1788: „Dzwon staropolskiej fabryki w Warszawie ulany", bez imienia autora. Ofiarujący broszurkę był p. Majewski Skorochód. Po wyliczeniu wielu jeszcze ofiar, postrzegłem w ręku ks. Czarneckiego [2]) paczkę roślin zasuszonych w moich ekskursjach podolskich, posłaną przed trzema miesiącami z namowy ks. Osińskiego. Gorąco mi się stało. Prezes się odezwał: „Obecny tu, nasz botanik wołyński, przysłał nam owoce swych trudów": powstałem, a gen. Krasiński ze swego wysokiego

---

[1]) Abraham Stern (ur. 1769 um. 1842 r.). Staszic, dostrzegłszy w nim zdolności, wydobył z ubóstwa i wykształcił. Mechanik. Matematyk. Wynalazł trianguł ruchomy o dwóch celownikach, zastępujący stolik mierniczy. Przełożył z języka hebrajskiego Opis buntów ukraińskich z dzieła Natana Hannowera (Pamięt. Warsz. 1823).

[2]) Jest tu mowa zapewne o księdzu Edwardzie Czarneckim. Urodził się w 1774 r. w Szczuczynie. Był członkiem Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie. Między innemi wydał: Krótki rys wzrostu Warszawskiego Tow. Przyjaciół Nauk (1818). Umarł około r. 1830.

miejsca uprzejmie spojrzawszy na mnie: „to jego pan Jan tu przywiózł“ — rzeknie, a pan Osiński do nas zcicha: „p. generał już po śniadaniu“. Ks. Czarnecki czytał list o mnie ks. Osińskiego, wielce łaskawie mię polecający, a potem moje pismo. Oto potniałem, stojąc w pośród tego uczonego Areopagu, aż strach! Uprzejmie podziękował mi prezes i między kandydatów sekretarzowi zapisać polecił. Po wyjściu z posiedzenia znajomi winszowali mi uprzejmie. „Ale kandydat nie jest jeszcze członkiem“ mówiłem: „Kandydatów u nas nie wymazują“ — rzekł mi ks. Czarnecki — „zaczekać musisz na dyplom, bo inaczej przed tobą wielu jest kandydatów, a i z waszym Besserem uwinąć się wprzód trzeba“. „Nam iwęcej chodzi o rodaka“ ozwie się Skrocki „Niemiec może zaczekać“. „Tak, rzeknie sekretarz, „gdyby od roku nie był na liście kandydatów“. „Jednak my odtąd naszego botanika uważamy jako kolegę“, dodał obróciwszy się do mnie. Prof. Szubert i księdza sekretarza i kolegów zaprosił do siebie na wieczór, gdzieśmy nader mile godzin kilka przepędzili.

Kapitan artylerji Orlikowski znajomy mi był, jako uczeń krzemieniecki, żonie jego Rokickiej z domu dawałem przed kilką latami lekcje botaniki. Kapitana spotkałem w teatrze, miłe było nasze powitanie się, Orlikowski prosił, żebym ich odwiedził i dał mi swój adres. Nazajutrz wybrałem się do nich. Ale Warszawa była dla mnie lasem, gdzie mimo wskazaną drogę łatwo zabłądzić mogłem. Przechodząc mimo koszar konnej gwardji, ujrzałem w oknie podchorążego, który bardzo uprzejmie naprowadził błąkającego się na drogę. Ledwie że podziękowawszy zabierałem się w dalszą wędrówkę, nadjechał w. książę z księżną Łowicką, zdjąłem kapelusz i nie szedłem. Skoro mnie minął ruszyłem dalej, turkot powozu za mną zwrócił moją uwagę. W. książę zawrócił się i stał pod tem samem oknem, domyśliłem się, że o mnie się wypytywał. Przyszedłszy do Orlikowskich, po miłem powitaniu, opowiedziałem moje wydarzenie. Najprzyjemniej

parę godzin przepędziłem u tak dobrze znajomych i wesoła pogadanka szła o Krzemieńcu. Dziwne było ożenienie się Orlikowskiego. O pannę Rokicką starał się pułkownik Sierzputowski, rodziców pozwolenie otrzymał, chodziło o pannę, bawiącą u ciotki swej w Warszawie. Pułkownikowi ważny jakiś interes służby nie dozwolił zaraz jechać do Warszawy, obecnemu więc przyjacielowi Orlikowskiemu interes serca polecił. Pan Rokicki kilka tylko słów na pół ćwiartce papieru do córki napisał. Orlikowski, stanąwszy w stolicy, spełnił swoją misję, ale panna z ironicznym śmiechem odrzekła: „Mój ojciec napisał kwitek na wydanie córki zamąż jak do arendarza na jaki produkt. P. Sierzputowski nigdy mi nawet przez myśl nie przeszedł". „Ale pani — ozwie się Orlikowski — pułkownik nie jest partją do odrzucenia". „Może dla kogo, ale nie dla mnie". „Więc pani nie myślisz iść za mąż?" „Dlaczego? Za pana, naprzykład, chętniebym wyszła". „Pani żartuje ze mnie", — rzeknie pomięszany kapitan. „Nie nie żartuję i oto wobec ciotki mojej masz pan moją rękę". I wyszło na bajeczkę Krasickiego.

Jakoż przyjaciel pomódz się nie lenił,
Poszedł, poznał Irenę i sam się ożenił.

Wróciwszy do stancji, zastałem hrabiego swobodnym i z największą przyjemnością słuchałem mądrych jego i miłych opowiadań. Wpośród tak miłej pogadanki, dano mi znać, że podchorąży jakiś młody żąda widzieć się ze mną. „Niech tu wejdzie" — rzeknie hrabia. Wszedł Karol Rokicki, brat pani Orlikowskiej, i uwiadomił mię, że w. książę zapytywał o mnie Orlikowskiego i że ten powiedział, że jestem nauczyciel z Krzemieńca. Dziękowałem Karolowi i hrabia mu podziękował. Miałem paszport od gubernatora Giżyckiego, ale przez roztargnienie ze szkatułką wysłałem go do Warszawy i na komorach prezentowałem się jako sekretarz hrabiego wyrażony w jego paszporcie, byłem więc jak bez paszportu. Po wyjściu Rokickiego zaturbowałem się mocno, ale hrabia pro-

tekcją swoją mię uspokoił. Nazajutrz zawiózł mię do Nowosilcowa i o moim kłopocie opowiedział. Śmiał się p. senator i rzekł mi: „soyez tranquille monsieur le Botaniste, je sais, que vous êtes à Varsovie". Spokojny, dziękowałem najczulej mojemu czcigodnemu protektorowi. W kilka dni potem chodząc po Łazienkowskim ogrodzie z Szubertem, zaszliśmy na Belweder, mieszkanie cesarzewicza, i spotkaliśmy go przechadzającego się, uprzejmie powitał Szuberta i o mnie zapytał. „Nauczyciel botaniki z Krzemieńca". „A wiem, bez paszportu. Jakże ci się wydaje Warszawa?" „Prześlicznie — odpowiedziałem. „Pokaż mu profesorze i Belweder" — rzeknie z uśmiechem — i skłoniwszy się nam grzecznie, siadł do karjolki i pojechał do miasta, a my zwiedziliśmy ogród i mieszkanie książęce.

Dnia jednego zrana hrabia egzaminował mię z tego, com widział już w Warszawie. Znajome mi były już gabinety: zoologiczny, mineralogiczny i fizyczny, byłem na prelekcjach Szuberta, Jarockiego, Skrockiego i Kitajewskiego, udało mi się nawet uchwycić jedną lekcję p. Ludwika Osińskiego, mówię uchwycić, bo profesor był skąpy w udzielaniu swej nauki, a mówiąc między nami, trochę był leniwy, do nudzenia się półtoragodzinnym wykładem wobec nieprzeliczonych słuchaczów i gości, których, że użyję tego wyrażenia, miodopłynne tłómaczenie się p. Osińskiego sprowadzało. Zostawały jeszcze bibljoteka uniwersytecka i obserwatorjum. Hrabia na jutro odłożył te odwiedziny. Wpośród mojego sprawozdania oznajmiono porucznika artylerji konnej gwardji p. Gruszeckiego, hrabia kazał prosić. Władysław Gruszecki, uczeń niegdyś gimnazjum krzemienieckiego, oddawna mi znajomy, nie był obcym i hrabiemu, jako jeden z największych i pięknie ukształconych oficerów polskiego wojska. Po śmiałem ale skromnem powitaniu, prosił hrabiego o pozwolenie zabrania mnie dla pokazania mi wojennych instytutów. Uprzejmie hrabia podziękował mu za życzliwość i dobre chęci dla swego klienta i wybrałem

się na tę wędrówkę. Najpierwiej zwiedziliśmy szkołę aplikacyjną. Gruszecki w przyjemnych był stosunkach z dyrektorem instytutu, pułkownikiem, szanownym latami i zasługą, i prezentował mię jako profesora liceum zacnemu weteranowi, co mi wiele u niego zrobiło uważenia. Sam dyrektor wszędzie nas oprowadzał. Trudno jest widzieć instytut w takim porządku i, że powiem, elegancji utrzymany. Wychowańcy szkoły aplikacyjnej byli to dzieci możniejszych domów; prowadzeni jako wojskowi, brali nauki wykładane im przez profesorów uniwersytetu i służbę wojskową pełnili. Śliczna młodzież, kwitnąca zdrowiem ciała i umysłu, obyczajna, uprzejma, nie można było się napatrzeć na te piękne latorośle, pełne świetnych nadziei. Kilku starszych towarzyszyli naszym odwiedzinom i często wezwani przez swego naczelnika. Przeszedłszy sypialnię, salę stołową, gdzie we wszystkiem wytworny porządek panował, zwiedziliśmy audytorja, w których każdy z będących z nami młodych objaśniał nam przedmiot dawany. Piękne tłumaczenie się tych młodzieńców dało mi myśl, że musieli być celującymi uczniami. Oprócz matematyki w całej obszerności, uczą się fizyki, chemji, technologji, architektury cywilnej i wojennej, rysunków zwyczajnych i topograficznych, historji, literatury, języków, fechtowania, tańca i jeżdżenia na koniu. Ukończywszy nauki, wchodzą w służbę wojskową aktualną, do której ćwiczenia wojenne w szkole usposobiły wielu na wzorowych oficerów. Z prawdziwą serca pociechą i z wdzięcznością dziękowałem szanownemu dyrektorowi instytutu za jego trud łaskawie dla mnie podjęty, a jeszcze więcej kochanemu Gruszeckiemu, który mię wprowadził. Dziś więc nawet z wdzięcznością wspominam tę przyjacielską usługę zacnego Władysława. W lat pięć później spotkałem go na Ukrainie jako zamożnego obywatela i też same w nim dla mnie uczucia znalazłem.

Szkoła podchorążych nie była na tym stopniu wytwornego porządku; porządnie jednak utrzymaną była.

Więcej tu już było żołnierskiej swobody, mniej wysokiej nauki i, mówiąc szczerze, mniej ogładzenia obyczajowego. Wielu tam znajomych Krzemieńczanów znalazłem, tych koledzy nazywali paniczami dla ich manier więcej uobyczajonych i tego ducha celowania w spełnianiu swych obowiązków, jakim wszędzie się uczniowie krzemienieccy odznazali. Między innymi zastałem Franciszka Skomorowskiego, z pięknemi i wykształconemi zdolnościami, ale zawsze marzyciela, poetę. W tym roku kończył zawód szkolny i miał wejść w czynną służbę oficerem. Szkoła podchorążych o wiele liczniejszą była od szkoły aplikacyjnej, bo tu już wchodzili i uboga szlachta i nawet z innych stanów młodzi. Stąd też więcej rubaszności było w uczniach. Czy nauki szły wysoko, czy z nich taką korzyść odnoszono jak w szkole aplikacyjnej, nie wiem. To tylko zdawało mi się, że dyscyplina wojskowa mniej tu zachowaną była. Takie mniemanie było i Gruszeckiego, i hrabia Tarnowski tę mi uwagę zrobił.

Miło mi czas upływał w Warszawie. Prawie każdego dnia było coś nowego do widzenia, ktoś nowy do poznania. Dnia jednego zrana zapowiedział mi hrabia, ażebym nigdzie się na wieczór nie angażował, bo mieć będzie na herbacie kilka osób, które chciał ażebym poznał. Że dzień był bardzo piękny, cały ranek obchodziłem kościoły, po obiedzie pod „Białym Łabędziem", zwiedziłem nadbrzeże Wisły, aż do Żoliborza, pośpiesznie jednak, ażeby nie opóźnić się na wieczór do hr. senatora. Na Żoliborz zaszedłem niespodzianie i nie miałem łaskawego cicerone dla pokazania mi tego pięknego instytutu. Wróciwszy do stancji, dowiedziałem się, że jeszcze nikogo z zaproszonych nie było, siadłem więc do zapisania sobie w dzienniku tego, com widział. W pół godziny zawołano mię do salonu. Kogoż tam zastałem? Niemcewicza, Koźmiana, Ludwika Osińskiego, Skarbka, gen. Krasińskiego, p. Tomasza Grabowskiego i Żółkowskiego. Z początku toczyły się rozmowy poważne, dyplomatyczne, polityczno-ekonomiczne, przyszła potem kolej literatury i

rozmowa ożywiła się. Wesołość Osińskiego, dowcipne żarty Żółkowskiego jeszcze więcej dodały życia biesiadzie. Skarbka cała humorystyczność malowała się w jego pomysłach, Koźmian [1]) słodką wymową, żarty pełne dowcipu oddawał, Niemcewicz nawet się rozweselił, generał wyborny miał humor i wiele dowcipu, hrabia i Grabowski zręcznie podtrzymywali rozmowę i dodawali ducha wesołości gościom. Jakiem weselem przejęta była dusza moja w tym szanownych mężów towarzystwie, wypowiedzieć nie potrafię. Wszystko, com słyszał, bawiło i nauczało, na ten raz usta nie były mi potrzebne; bo, mówiąc francuskiem wyrażeniem, cały byłem uchem i jeszcze nasłuchać się nie mogłem. Wszyscy mi byli znajomi prócz p. Koźmiana, hrabia mię zaprezentował jemu i znalazła się sposobność powiedzenia, że miałem zaszczyt znać czcigodną jego małżonkę. P. Koźmian polecił mi odwiedzić ich i dał mi swój adres. Niemcewicz wypytywał się o Krzemieńcu, starałem się odpowiadać godnie na zapytania tego znakomitego męża. Nie mogę pominąć mojego może nieuważnego, ale dość jednak trafnego, zdania. P. Niemcewicz zapytał mię: „czy znam jego śpiewy historyczne?“ „Znam — odpowiedziałem — któryż Polak ich nie zna? „Jakże ci się podobają?“ „Nie można ich czytać bez uczucia naszej narodowości, ale nad wszystkie przenoszą Dumę o Żółkiewskim“. „Dlaczegóż?“ „Bo w niej jest życie, jest duch polski, przemawiające do serca każdego Polaka!“ „A Duma o Glińskim?“ zapyta z boku p. Osiński. Odpowiedziałem:

Tak zginął Gliński, odważny i śmiały.
Gdyby nie d u m a godzien lepszej chwały.

---

[1]) Koźmian Kajetan (ur. 1771 r.). Był członkiem Tow Przyj. Nauk. Wybitny reprezentant obozu klasycznego. Poeta miernego talentu, ale szerokich zamiarów. Próbował tworzyć epopeje: Z i e m i a ń s t w o p o l s k i e w 4-ch pieśniach, Wrocław 1839; S t e f a n C z a r n i e c k i w 12-u pieśniach, Poznań 1858. Zostawił P a m i ę t n i k i, Poznań i Kraków 1859—1865.

„Brawo!“ zawołał Żółkowski. „Duma, a w niej niewiele dumania!“ Niemcewicz nie obraził się ani moją odpowiedzią, ani konceptem Żółkowskiego. Dwuznaczny wyraz d u m a w istocie, w ostatnim wierszu śpiewu o Glińskim, nie jednemu podał myśl: że ta pieśń wielkiej potrzebowałaby poprawy! Nad moje spodziewanie ta okoliczność dodała wesołość rozmowie. Żółkowski parodjował wszystkie dwuwierszówki, kończące strofy tego śpiewu, i sam nawet autor śmiał się do rozpuku. Pytał mię potem p. Niemcewicz, jak dawno znam jego śpiewy. „Od mojego dzieciństwa znam śpiew o Żółkiewskim“. „I umiesz go na pamięć?“ „Umiem“ — odpowiedziałem. „Więc pozwólcie panowie—rzeknie—ażebyśmy słyszeli Krzemieńczanina deklamującego śpiew, który mu od dzieciństwa znajomy“. Spojrzałem na hrabiego, dał mi znak, żebym się powodował wolą czcigodnego weterana naszego parnasu. Uprosiłem sobie tyle przynajmniej, że drugą tylko połowę odmówiłem. Co to jest! stanąć przed takim areopagiem, stanąć przed Ludwikiem Osińskim, któremu w deklamacji wiersza nikt nie wyrównał! Serce biło gwałtownie i czułem pałające moje policzki. Zacząłem od tej strofy:

Rycerzu! pełen nieśmiertelnej sławy!

zacząłem z cicha, ale z uczuciem, które z następnemi strofami wzrastało i dało dźwięk i wyraz głosowi i udało się! P. Niemcewicz uściskał mię i udarował „Śpiewami historycznemi“. Ośmielony, szepnąłem zcicha p. Ludwikowi Osińskiemu, że jeszcze jedną z nowszych poezji p. Koźmiana umiem. „A to nam deklamuj!“ — ozwie się głośno p. Ludwik, podając mi uprzejmie rękę, i o głos dla mnie prosi. „Słuchamy“ — ozwią się wszyscy i deklamowałem, świeżo w Horochowie wyuczoną Odę:

Pierwsi w śmiertelników rzędzie i t. d.

I to się udało, ale p. Koźmian znalazł, że egzemplarz, z którego się nauczyłem, niewiernie był przepisany i obiecał mi własnoręczny. Stąd wszczęła się mowa o

Krzemieńcu. Hrabia przyjazny utworowi swego wuja; Niemcewicz świadek sposobu uczenia i korzyści z niego, w czasie pobytu swego w Krzemieńcu; Osiński, znający przez brata i skład gimnazjum i co jak wykładano w tej szkole; nie mogła więc być ta rozmowa niesprzyjająca instytutowi Czackiego i nie wywołać pełnego czci wspomnienia i żalu ze straty tego wielkiego męża. Płynęły pochwały z wymownych ust tylu dostojnych mężów, Żołkowski tylko parodjował wszystko, ale i w tem parodjowaniu odbijało się uwielbienie Czackiego. Ten wieczór nigdy z pamięci mojej nie wyjdzie i nie oddałbym go za wiele i wiele okazałych balów. Zapisałem go sobie ze szczegółami, ale te karty mojego dziennika zaginęły, a pamięć uczniów nauczających nie dochowała!

Nazajutrz było uroczyste otwarcie nauk uniwersytetu warszawskiego, uroczystość odbywała się w kościele pp. Wizytek. Ks. Prymas Hołowczyc, czterech biskupów, ministrowie: Grabowski narodowego oświecenia, ks. Lubecki skarbu, kilkunastu senatorów i mnóstwo dystyngowanych osób zasiedli krzesła pryncypalne. Rektor uniwersytetu ks. Szwejkowski zagaił piękną przemową. Jeden z dziekanów zdawał sprawę z całorocznych działań uniwersytetu; pr. astronomji Armiński czytał wielce uczoną rozprawę w swoim przedmiocie; pr. Brodziński rozprawiał o potrzebie doskonalenia języka ojczystego, zamieniem wyrazów, z cudzoziemczyzny przyswojonych, na wywiedzione ze źródła słowiańskiego, z takim wdziękiem wymowy i z tak wysoką erudycją, że wszyscy byli zachwyceni, jeden tylko minister oświecenia, złożywszy rączki na okrągłości swojego brzuszka, słodko usypiał. Mnie pan Szubert zrobił miejsce zaraz za swojem krzesłem, skąd wszystko wybornie widzieć i słyszeć mogłem. Profesorowie byli w togach granatowych sukiennych, podbitych białym atłasem, birety granatowe aksamitne, rektora toga z granatowego aksamitu. Piękna i okazała była postać księdza Szwejkowskiego, głos donośny, ale dźwięczny i miły. Całe zebranie uniwersytetu, poważne,

ale nie pedanckie. Byli to ludzie, znający i umiejący cenić własną godność, a nie zarozumiali. Zasługa ich latami się nie liczy, ale ich prace w oczach świata znakomitą mają zasługę. Za błahy jest głos mój na oddanie sprawiedliwości tym znakomitym naszym uczonym, powtarzam tylko zdanie o nich powszechne i sąd mego własnego przekonania. Nie wiem jakim sposobem obok mnie znalazł się Żółkowski. Sparodjował całe to poważne i uroczyste posiedzenie i zakończył epigramacikiem, dziwnie gładkim i rozśmieszającym, na cześć drzemiącego ministra. Między innymi gośćmi znajdował się na tej uroczystości i hr. Narcyz Olizar [1]), dostrzegł mię zdaleka i przy wyjściu z kościoła uprzejmie mię powitał. I to był współuczeń szkoły krzemienieckiej. Hr. wręczył mi swój adres na Lesznie.

Nazajutrz rano odwiedziłem miłego współucznia i cały dzień u niego przepędziłem. Na obiad zeszli się do niego: generał Kopeć, znajomy mi oddawna z domu hrabiostwa Chodkiewiczów, gdzie natenczas przemieszkiwał, gen. Sierawski, pułkownik Izydor Krasiński, Lud. Osiński i kilku jeszcze, których nazwiska przepomniałem. Miłe, wesołe było towarzystwo, ale w rozmowach ich były wyrażenia, których zrozumieć nie mogłem, jeszcze mniej zrozumiałą była dla mnie oda L. Osińskiego do Olizara w której znaki z kropek ułożone zastępowały wyrazy, drukowana na pięknym papierze. I do mnie obracano mowę w takich mistycznych wyrażeniach, oskarżano mię o różne przestępstwa, zarzucano mi egoizm i charakter niezdolny do żadnych poświęceń. Broniłem się, jak mogłem, a choć nie ich wyrażeniami, przecież do przekonania trafiłem. Kiedy tak przy obiedzie objadam się z moimi napastnikami, wchodzi policjant i wymieniwszy

---

[1]) Narcyz Olizar, Krzemieńczaninu. Ur. 1794 r. na Wołyniu, um. 1862 r. w Sadach pod Poznaniem. Poeta i pisarz małego znaczenia. Zostawił: Mémoires, Paryż 1845; Pamiętniki oryginała, Lipsk 1853 r.

moje nazwisko, prosi z sobą do komisarza. Zaraz mi przyszło na myśl, że to musi o paszport chodzić i bezpieczny słowami Nowosilcowa, protekcją hr. Tarnowskiego i obecnością w Warszawie naszego kuratora, nie zmięszany wstałem od stołu i zabierałem się wyjść, ale ci wszyscy panowie pod tak strasznym obrazem wystawiali winę znajdowania się bez paszportu w stolicy, że i mnie się trochę zimno zrobiło, nie tracąc jednak rezonu, pożegnałem kompanję, prosząc, ażeby mię w kozie odwiedzili. Olizar ozwał się do policjanta, że ręczy za mnie, i żądał, aby mię pozostawił, ale surowy wykonawca sprawiedliwości porządkowej nie dozwolił zachwiać się swojej stałości w wykonaniu żelaznej woli swojego naczelnika. Poszedłem więc, ale zaledwie do połowy wschodów zeszedłem, wołają na mnie z góry: „Wróć się, wróć, to farsa“, i Olizar zbiegł za mną, przepraszając za zrobioną mi niespokojność, ale to było żądaniem całego towarzystwa. Dziwne zdawało mi się żądanie i pojąć nie mogłem celu zebranych gości w prześladowaniu mię i tym przestrachem i dalej jeszcze różnemi przykrościami. Nie przyjemne mi były niespodziewane i niezasłużone zarzuty i to się przeciągało godzin parę po obiedzie, nareszcie generał Kopeć zbliżywszy się i objąwszy mię przyjaźnie: „Dość tej mistyfikacji, nie dokuczajcie biednemu, odbył on próbę należytą. Trzeba ci wiedzieć bracie, że jesteś w pośród samych Masonów, że twój przyjaciel Narcyz jest mistrzem loży Wołyńskiej, że my wszyscy, jak tu nas widzisz, jesteśmy stopniowi. Hrabia chciał cię wypróbować, bo oddawna chce cię mieć w naszem zgromadzeniu. Chcesz być Masonem?“ Milczałem. „Na nic się nie narażasz — ozwie się Olizar — i nasz monarcha jest Masonem? Możesz być i tu przyjętym, albo jeśli wolisz, to cię czekam w Rafałówce“. „Wielce zaszczytnem byłoby dla mnie mieścić się w gronie tak zacnych mężów, ale potrzebuję zastanowić się jeszcze nad obowiązkami, jakie mię czekają, a ustaw wskazujących te obowiązki zupełnie nie znam“. „Mądra odpowiedź — rzeknie p.

Osiński — i jeszcze godniejszym cię czyni liczenia się w naszem gronie. Bądź w Rafałówce! tam przywdziejesz naszą szatę godową i w całym świecie mieć będziesz braci niosących ci najżyczliwsze uczucia". Podał mi rękę i palcem wielkim o mój palec oparłszy, rzekł: „Pozdrawiam cię bracie!" Przystąpił Olizar i uradował mię całą wiązką narzędzi niby mularskich, stalowych, drobno misternie wyrobionych: „Przyjmij"—rzeknie—„te znaki na pamiątkę dnia dzisiejszego, dnia, w którym już imię twoje zapisane na liście sług ludzkości, której odtąd jeszcze gorliwiej służyć powinieneś". To rzekłszy, czule mię uściskał i następnie wszystkich uściśnienia odebrałem. Czy zostałem Masonem? Nie wiem. Zbieg rozmaitych okoliczności być w Rafałówce nie dozwolił, potem związek ten zupełnie rozerwany i zaniedbany został. Odę Osińskiego do Olizara i stalowe narzędzia w pożarze dopiero utraciłem.

Smutnego dla kraju pogrzebu w Warszawie byłem uczestnikiem. Generał Mokronowski [1]) wśród ciężkich cierpień ciała, z pokojem pięknej duszy, w laurowym wieńcu na skroni zakończył życie, złotemi głoskami w dziejach naszych zapisane. Piękna to była okazałość tego pogrzebu! Ile tylko było zakonów, z każdego po kilkunastu księży, szli, każdy pod swoją chorągwią i ze swoim krzyżem. Poprzedzali cały pochód wychowańcy instytutu Dzieciątka Jezus, płci obojej, prowadzeni gromadami przez swoje czcigodne opiekunki i nauczycielki. Za zgromadzeniami zakonnemi szło grono dygnitarzów Kościoła na końcu biskup poprzedzał karawan, na którym, wyniesione z domu przez generałów, zwłoki tego męża umieszczono. Po obu stronach szli dygnitarze wojenni ze świecami, lub niosąc na poduszkach liczne oznaki dostojeństwa i zasług zmarłego. Za karawanem szedł ce-

[1]) Mokronowski Stanisław (1761—1821). Ukończył korpus kadetów. Służył w wojsku francuskim. W r. 1794 był komendantem Warszawy.

sarzewicz otoczony ministrami, senatorami i pierwszej dystynkcji osobami. Cała parada ciągnęła się od domu generała na Nowym Świecie do Kapucynów na Miodowej ulicy. Wdowa generała i córka grubą okryte żałobą, nieodstępowały do grobu zasłużonego w kraju męża, naj-

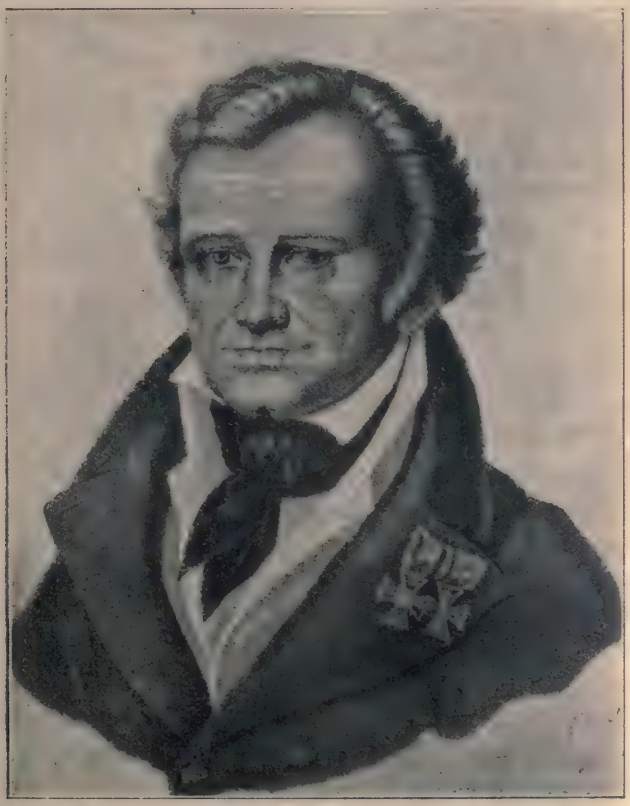

Generał Stanisław Mokronowski.
(Według litografji T. F. Piwarskiego).

lepszego ojca i małżonka, człowieka serca, umysłu i czynu. Nie docisnąłem się do kościoła i nie widziałem katafalku przy świetle, ani słyszałem odezw wymownych i wzorowych, któremi się świątynia Pańska rozlegała,

oddając hołd świetnym przymiotom generała. Nazajutrz byłem u Kapucynów, nacisk był wielki, niewiele słyszałem, co jednak nie uszło uwagi, w dzienniku moim zapisałem, ale i to przepadło, a w pamięci ledwie ten rys ogólny pozostał.

Nazajutrz po pogrzebie udałem się do państwa Koźmianów, nie zastałem samego, p. Koźmianowa wiedziała o mojej bytności w Warszawie od męża i bardzo pragnęła widzieć się ze mną. Jakże miłe, jak uprzejme było powitanie jej ze mną! Panią Koźmianową znalazłem tąż samą, ani jej lat kilkanaście nie zmieniło. Pięknej tej duszy, ani wysokie dostojeństwo, ani pobyt długi w stolicy wśród najdystyngowańszego społeczeństwa zmienić nie potrafiły. Nawykła w Tuczynie i w Bystrzycy nazywać mię po imieniu, i w Warszawie tak mię nazywała. Dwie godziny wizyty przegadaliśmy o Tuczynie i nieraz łzami oddaliśmy hołd drogim wspomnieniom. Musiałem opowiadać wszystko, co tylko wiedziałem o czcigodnej rodzinie Walewskich. „Ale, ma tu p. Antoni“ — rzeknie p. Koźmianowa: „jeszcze jedną dawną znajomą, u której byłam wczoraj, i mówiliśmy o panu i pragnie pana widzieć. Jest to księżna Stanisławowa Jabłonowska! Proszę jutro przyjść do nas, sama pana zawiozę do księżnej, bo to da mi jeszcze sposobność rozpamiętywania szczęśliwych chwil mojej młodości i osób zawsze drogich mojemu sercu“. Prezentowała mi potem siostrzeńca, wychowańca swego. Młody Koźmian piękny był młodzieniec i prześlicznie ukształcony, był dziełem przybranej swej matki, i sercem przez usta matką ją nazywał. Z zajęciem słuchał naszej rozmowy, czasem do niej się wmięszał i odezwania się młodzieńca pełne były rozsądku i młodzieńczego życia. Wychowanie syna p. Koźmian zostawił zupełnie czcigodnej swej małżonce , bo znał i jej piękną duszę i wysokie umysłowe usposobienie i nie zawiódł się. Z żalem żegnałem zacną damę i jej miłego wychowańca i wymawiałem sobie, czemu nie korzystałem dawniej z pobytu mego w Warszawie i nie starałem się odwiedzić

łaskawych dawnych znajomych! Wróciwszy do stancji zastałem hrabiego wybierającego się z wizytą do ks. kuratora i czekał tylko na mnie. Bytność moja u księcia była prawdziwą wizytą prezentacyjną. Książę poważnego ułożenia, surowego wejrzenia, zdał mi się zimnym i dumnym, jakby nie ten, któremu w r. 1809 przez Czackiego prezentowany byłem. Mało ze mną mówił, o Krzemieńcu ani zapytał. Po kwadransie wizyty hrabia został, mnie kazał swoim powozem odjechać; książę powiedział mi, że mogę odwiedzić go we czwartek przed południem. Był to dopiero poniedziałek, miałem więc jeszcze dosyć czasu i na odwiedzenie łaskawych i do przygotowania się co mam mówić z księciem.

Następnego dnia o 10-tej wybrałem się do pp. Koźmianów, zastałem i samego i nader uprzejme powitanie. Mówił ze mną wiele o Krzemieńcu i błogo mi było słyszeć tak znakomitego męża, odzywającego się najprzyjaźniej o szkole naszej i oddającego hołd winny pamięci Czackiego. P. Koźmian znał osobiście p. starostę, kochał go i z uwielbieniem trudy jego i czyny wspominał. Mówiliśmy o Felińskim. Oddawał p. Koźmian sprawiedliwość autorowi „Barbary“, ale tego dramatu nie uznawał za tragedję. Sceny bohaterskie, a szczególniej gdzie Boratyński błaga króla o zerwanie ślubów małżeńskich z Radziwiłłówną, podług sądu p. Koźmiana, należą do wzniosłości dramatycznych. Piękna kłótnia Tarnowskiego z Kmitą przewyższa o wiele podobną scenę z Cyda. Rozmowa Bony z synem przypomina podobnąż Rasyna, Agryppiny z Neronem, ale piękna i charakterystyczna; ale sceny miłośne są zimne, chociaż w nich wiersz wszędzie po mistrzowsku obrobiony i język prześliczny. Ludgarda ma wiele do poprawienia, charaktery nie dość utrzymane, wiersz często zaniedbany, działanie nawet jakoś nierozwinione, ale język, ale pozycje dramatyczne, ale miłość Ludgardy obok miłości Ryxy, ale wyrażenia uczuć Przemysława i dwóch niewiast walczących o jego serce, są wzniosłości, okazujące w Krópińskim praw-

dziwe natchnienie poety, prawdziwy talent! Uczucia w nim zawsze wielkie, smak wyborny, łatwość wierszowania szczęśliwa, obrazy malownicze, a przy tem wszystkiem zaniedbanie, lenistwo wypracowania, właściwe wielkim talentom. I gdyby Kropiński miał choć połowę pracowitości Felińskiego i tak, jak ten swoją Barbarę, Ludgardę przez lat piętnaście poprawiał i przerabiał, Ludgarda byłaby arcydziełem naszej dramatycznej poezji, bo i tak dziś jest najlepszą naszą tragedją. P. Koźmian oddawał sprawiedliwość naszym młodym pisarzom. Sieńkiewicza poezje tak lubił, że wiele z nich wyjątków na pamięć umiał. Korzeniowskiego sławę autorską przepowiedział. „Niech pracują Krzemieńczanie! niech pomnażają krajowe zaszczyty. Nauki matematyczne wysoko stoją w waszej szkole, wychodzących z niej, cesarzewicz, przekonany o biegłości skończonych uczniów, bez egzaminu do wojska przyjmuje. Z nauk przyrodzonych niepospolitą szczycicie się sławą. Ale nie zaniedbujcie literatury, a osobliwie poezji. Poezja jest życiem, jest duszą ludzkości. Młodość się nią rozwija, wzrasta, świetnieje; starość znajduje w niej osłodę trosk swoich, znajduje odmłodzenie uczuć, odświeżenie ducha. Piszcie, piszcie, pracujcie, nie wyrywajcie się do druku tylko zawczasu, nonun prematur in annum powiedział Horacy. Znajdzie się u was i więcej Sieńkiewiczów, a może jaki Mickiewicz lub Brodziński się wyrodzi", „albo Koźmian" dodałem. Wtem weszła p. Marja już ubrana i z żalem szczerym musiałem oderwać się od rozmowy zachwycającej wdziękiem, oświecającej nauką.

Zdziwiłem się ujrzawszy księżnę, w której ani choroba, ani tyle lat (od 1809 r.) żadnej zmiany nie zrobiły. Zawsze ta sama żywość charakteru, taż egzaltacja w mowie, taż sama czułość serca. Uprzejmość z jaką mię powitała, przeszła moje oczekiwanie. Łzy wspomnień skropiły lice szanownej damy i nie przeliczonemi obsypała mię pytaniami, a wszystko było o Tuczynie! Ale rozmowa nasza smutno się toczyła! Ileż to mogił nas ota-

czało! ileż miłych osób wspomnienia tylko zostały! Zapytała mię księżna o moją ciotkę Skirmuntową i nic pocieszającego o niej powiedzieć nie mogłem, jej życie dążyło do końca ziemskiej wędrówki. I księżna i p. Koźmianowa z czułością tę smutną nowinę przyjęły. „O! bo nie uwierzysz, chère Marie“ — mówiła księżna — „jak ona wielką rolę odegrała między nami po śmierci p. wojewody, naszego ojca“ i tu księżna opowiedziała całą historję poróżnienia się i pogodzenia z bratem. Wiele przemilczała okoliczności, nie uniewinniając jednak siebie, najwięcej intrygi przypisywała pani Józefowej Steckiej. O Skirmuntowej ze łzami mówiła. „Szczerze ci wyznam chère Marie, bo stojąc nad grobem, prawdy w bawełnę obwijać nie mam potrzeby. Baura kochałam, ale kochałam po bratersku i wyjścia za niego ani mi kiedy myśl przyszła. Pamiętasz—rzekła do mnie—maskaradę w Pekałowie u Aleksandrostwa (Chodkiewiczów) byłeś ze mną w motji, byliśmy przebrani za indyjskich księży. Moje pierścionki na twoim ręku oszukały Baura, i ani myśląc o tem, zostałeś naszym powiernikiem. Cóż ci tam plotł ten miły bałamut?“ „Mościa księżno!“ — odpowiedziałem — „to tak dawno, czyż mogę spamiętać co było mówiono?“ „Vous êtes honnète et raisonnable comme vître mère, et comme ta chère Skirmunt, ale twoja dyskrecja już nie potrzebna. Nie taję słabości mojej dla Baura, ale wkrótce mając stanąć przed Bogiem, śmiało powiedzieć mogę, że w mojem dla niego przywiązaniu żadnej płochości, żadnego skandalu nie było. Kochałam Baura, ale pamiętałam, że mam córkę dorosłą, i gdyby nawet miłość moja była namiętnością, umałabym nawet milczenie jej nakazać. Wszystko wiem teraz, w Międzyrzeczu utkano tę całą powieść, rozrzucono wszędze i na biednego Feliksa zwalono. Wierzcie mi, że szczerze opłakałam tego dobrego Feliksa“. „Jakże księżna Dorota“ — zapytała p. Koźmianowa — „szczęśliwa z mężem?“ „Tak mówi przede mną“ — rzeknie księżna — „ale ja z nimi nie mieszkam i o pożyciu ich sądzić nie mogę. Co tam o tem mówią?“ — zapytała

księżna. „Nie wiem mościa księżno, nie miałem zaszczytu służyć księstwu w Niewirkowie". „Cóż mówi p. Skirmuntowa? mów szczerze, jak twoją matkę kochasz!" „Ciotka moja zawsze powtarza, że mitra szczęścia nie przynosi; księżna pani to wiesz najlepiej". „Prawda!" — ozwie się smutnie księżna — „pożycie moje z księciem Stanisławem było najprzykrzejsze; wyobraź sobie, chère Marie! że kiedy przyjąłam służącą, kazał ją rewidować czy to nie jaki mój amant przebrany! Tyle podejrzenia dla żony, która z miłości dla niego z najlepszym, lubo już nie młodym mężem rozwiodła się i dla niego zamknęła się w smutnych murach Annopolskiego pałacu. Nie zaprzeczam, że mój żywy charakter mógł księciu uważne ze mną postępowanie nakazywać, ale zazdrość i podejrzliwość najniedelikatniejsza mogąż podziałać na żywość kobiety, tak szczęśliwej, tak swobodnej, jak ja byłam w pożyciu mojem z chor. Steckim? Wszystko już minęło! Na ostatniej kwadrze dni moich kłamać się nie godzi, na wszystko, co jest świętem tylko, powiadam wam, że najniewinniej mię ks. Stanisław prześladował! P. Antoni! powiedz prawdę, wszak coś podobne jest pożycie i moich dzieci?" „Mościa księżno! ks. Józef, nie słychać jeszcze, ażeby rewizje sług księżnej robił" — rzekłem śmiejąc się. „Zapewne! ale czy jest delikatnym w obchodzeniu się z moją biedną Dosią?" To wyrzekłszy, zakryła oczy łzami zalane. P. Koźmianowa ruszyła się do wyjścia: „O! vous n'irez pas chère Marie! napiszę do Koźmiana, żeś u mnie została na obiedzie". Nie wzbraniała się pani Marja, księżna napisała kilka liter do p. Koźmiana i powóz odjechał. „Nie uwierzysz, chère Marie, jakem ci wdzięczna za Antosia, ah! pardon monsieur Antoine, daruj, ale my całą rodziną naszą długo, tak poufale nazywaliśmy ciebie, a potem twoi poczciwi rodzice byli prawdziwymi naszemi przyjaciółmi". „Mój ojciec, mościa księżno, służył u p. wojewody". „Tak, ale taki sługa, to przyjaciel, to brat. Cała wasza poczciwa rodzina, to nasza rodzina, i miło mi powtórzyć te, często przez nieocenionego ojca

mojego powiedziane, słowa. „Teraz“ — mówiła dalej księżna — „chèr Marie! Nous sommes à Tuczyn i możemy się do woli nagadać o tem najdroższem dla wspomnień moich miejscu. „Jakże jest Michaś?“ — zapytała mię znowu księżna—„czy do Józefa, czy do matki podobny?“ „Michaś“, odpowiedziałem, „portret ojca, p. Hieronimostwo ślicznie go wychowali, pani Cecylja zdaje się, że jest jego matką, bo prawdziwa rodzicielka zimna, jak zawsze, ani przywiązania swego synowi okazać, ani prowadzić go nie umie. Michaś ma serce i wszystkie szlachetne uczucia ojca, ale tęgości charakteru p. Józefa mu nie dostaje, a do tego kochana, zacna p. Cecylja dobrocią swoją trochę go psuje“. „O! już to moja Cesia, widziałam to sama, że jest słabą dla swego wychowańca“. „Michaś — mówiłem dalej — jest w Krzemieńcu, umieszczony u p. Lisieckiego“. „Czy u tego, co Michała Czackiego wychowywał?“ „Tak jest, mościa księżno! Ale nasz Michaś, ma wyższe zdolności, i więcej się do nauk przykłada, chociaż i p. Michałowi Czackiemu nic zarzucić nie można“. „No! no, już to dla was każdy Czacki jest skarbem, ale wyznaj, że jeden tylko starosta był wzorowym mędrcem, i ma prawo do waszych adoracji“. „Cóż można ująć p. Feliksowi?“ „Prawda! ale p. Feliks z całym rozumem, z całą nauką nie jest to p. Tadeusz Czacki, tak, jak żaden z moich braci nie jest tem, czem był nasz ojciec. A propos moich braci, czy widziałeś kiedy Wojciechostwo?“ „Lat temu trzy byłem u nich w Pedynkach“. „I Wojciech pewnie był ci rad szczerze. A pani bratowa?“ „P. Walewska! jak zawsze, uprzejma i miła w obcowaniu! równie jak i dzieciaki u niej miłe, kochane! Parę dni w Pedynkach najprzyjemniej mi upłynęły“. „Dziękuję ci za tę o nich wiadomość! Im starsza jestem, tem więcej kocham moją rodzinę, a żyć z niemi nie mogę!“ To mówiąc księżna zapłakała i p. Koźmianowa i ja rozrzewnienie jej podzielaliśmy, bo nam wszystkim jedna się przeszłość przypominała. Czyż podobna dziś spamiętać o czem mówiliśmy? Było to w moim dzienniku ze szcze-

gółami, ale mi te karty zaginęły! Wieczorem dopiero pożegnaliśmy księżnę, a kiedy żegnając mię pobłogosławiła, ugiąłem kolano i ze łzami ręce jej ucałowałem. Pani Koźmianowa zabrała mię ze sobą i wróciwszy zastaliśmy w domu samego. Chciałam odejść, ale kazali mi z sobą być w teatrze, a było to drugie przedstawienie „Mahabeuszów". Z radością posłuszny byłem, bo to niepospolicie głaskało moją własną miłość, że z tak dostojnemi osobami byłem w towarzystwie w loży. P. Koźmian zaszczycił mię udzieleniem ody na upadek Napoleona, własną swą ręką pisanej. Autograf ten ofiarowałem do bibljoteki naszego Liceum, i w Kijowie jeszcze w 1836 r. ś. p. Paweł Jarkowski pokazywał mi go.

ROZDZIAŁ VI.

Nadszedł czwartek, potrzeba było prezentować się księciu kuratorowi. Wspomniałem wyżej, że książę, będąc w Krzemieńcu w 1818 r., kilku z młodzieży po ukończeniu szkół na świat wysłał. Karol Sienkiewicz, Hipolit Błotnicki, Ignacy Kozaczyński, Adolf Dobrowolski, Józef Żochowski otrzymali posady w Puławach. Józef Korzeniowski i Antoni Tylman u p. Zamojskiego w Warszawie, pierwszy przy bibljotece, drugi przy synach p. ordynata których był już dozorcą w Krzemieńcu. Błotnicki i Dobrowolski zostali sekretarzami księcia, Sienkiewicz i Żochowski naznaczeni byli w pomoc p. Gołębiowskiemu bibljotekarzowi, Kozaczyńskiemu oddał książę zarząd archiwum administracyjnej kancelarji swego majątku. Wszystko to znajomi i życzliwi, ale z księciem w Warszawie był tylko Błotnicki. Do niego więc naprzód poszedłem dla powzięcia intrukcji, jak się prezentować, jak mówić z księciem. „Nie potrzeba cię uczyć" — rzeknie mi Błotnicki — „jakie uszanowanie należy tak wysokiego dostojeństwa magnatowi i twojemu naczelnikowi, a mówić? śmiało odpowiadaj na zapytania, jakie ci

dawać będzie. Hrabia Tarnowski wiele z księciem mówił o tobie". Poszedł Błotnicki oznajmić o mnie i w kwadrans stanąłem przed arbitrem naszej szkoły. Nadspodziewanie łaskawe znalazłem przyjęcie, książę podał mi rękę, którą po parafjańsku ucałowałem. Uśmiechnął się książę, ja spojrzałem na Błotnickiego, ale z oczu jego wyczytałem, że prostota moja księcia nie obraziła. Pani hetmanowa Rzewuska łaskawie zarekomendowała mię kuzynowi, a mój czcigodny protektor chlubną dla mnie swoją opinję i w księcia przelał. Naprzód, wytrzymałem egzamin z tego, co umiem i jakoś szczęśliwie z każdej kwestji wytłómaczyć się potrafiłem. Potem kazał mi ks. kurator opowiadać sobie ze szczegółami o potrzebach i niedostatkach szkoły naszej. Prawie może temi słowami, jakiemi powyżej opisałem liceum, opowiadałem o Krzemieńcu. Między innemi szczegółami, pamiętam, odezwałem się względem dyrektora: „Mości książę!" — mówiłem — „my nie mamy rządcy". „A Jarkowski?" — zapytał. „Daj Boże! ażeby on został naszym dyrektorem!" — odpowiedziałem. „Od zgonu nieodżałowanego Felińskiego i nauczyciele i uczniowie z weselem pracujemy pod mądrym i ojcowskim zarządem czcigodnego starca, odmłodzonego miłością nauk, uczących i uczących się. Cóż to za życie, co za energja w tym zacnym mężu! Jaki ład we wszystkiem! jaka powaga, złączona ze słodyczą w zarządzeniu!" „To życzylibyście sobie mieć go swym dyrektorem?" „W. ks. mość uszczęśliwiłbyś nas tym wyborem". „A gdyby kto z obywateli zajął tę posadę?" „Gdyby p. szef Drzewiecki chciał objąć rządy liceum, bylibyśmy najszczęśliwszymi. On i nas wszystkich zna dokładnie, i trudom naszym sprawiedliwość oddaje. On zna potrzeby szkoły, wie co jeszcze można zrobić dla podwyższenia jej, on ma serce ojcowskie dla uczniów i w nim jednym żyje jeszcze duch naszego nieodżałowanego założyciela". „Wszystko to, co wmpan mówisz, jest prawdą i podzielam wasze przekonanie. Wysoko cenię p. szefa, ale ta posada dla tak znakomitego człowieka jest za

mała. Na kogo innego myśl moja zwrócona. Znasz wmpan dyrektora gimnazjum Podolskiego?“ „Ks. Maciejowskiego? [1]) znam mości książę, i nie mogę nie przyznać mu sprawiedliwie przyznanych zalet. Ale ks. Maciejowski nie zna naszego instytutu, obce mu są zupełnie indywidua nasze, obce interesy i potrzeby naszej szkoły, musiałby jaki rok uczyć się tego wszystkiego, a przychylność dla szkoły, którą lat już kilka rządził, ciągnęłaby jego uczucia za Winnicą i zrodziłby się chaos, nienajpomyślniejszy dla naszego liceum, a dla nas, przywykłych już do rządów Jarkowskiego, trudnoby może było obywać się z dyrektorem, nie mającym dla nas ani przychylności, ani zaufania“. „Czy taki jest sąd i całego zgromadzenia?“ „Tak mi się zdaje“ — rzekłem. Po chwili milczenia zapytał książę: „Cóż wmpan z sobą myślisz zrobić?“ „Mości książę!“ — odpowiedziałem — „los mój dalszy w ręku waszej książęcej mości! może z przeniesieniem prof. Bessera do Wilna, mógłbym zająć jego katedrę“. „Toby się mogło zrobić — odrzekł książę — pracuj i doskonal się jeszcze więcej w naukach przyrodniczych, a z czasem... miej nadzieję! Tymczasem polecę, ażebyś dawał uczniom początki botaniki, jako aktualny nauczyciel“. Ze łzami dziękowałem księciu za promocję i ośmieliłem się prosić o fundusz na rok przyszły na ekskursję w południowe strony naszych prowincji. Przyrzekł łaskawie spełnić moje żądanie i polecił Błotnickiemu zapisać o mnie notatkę. „Ale — mówił dalej — słyszałem od pana Tarnowskiego, że jesteś bez paszportu?“ „Tak jest, mości książę, przez moją nieuwagę“. „To niedobrze — rzekł

---

[1]) Michał Maciejowski (1770—1832). Został pijarem. Dla ożenienia się przeszedł na protestantyzm. Po stracie żony wrócił do religji katolickiej i został przykładnym księdzem. Po przekształceniu szkoły w Winnicy, (1814) został dyrektorem gimnazjum aż do zamknięcia (1832). (D-r Antoni I. Szkice i opowiad. Ser. V); wydał: Wykład nauk i sposobu tychże dawania w gimnazjum Podolskiem. Berdyczów 1816 r.

książę z uśmiechem — miałeś stąd nieco ambarasu. Ale teraz pojedziesz do Puław, bo zapewne masz ochotę odwiedzić nasze siedlisko, dam więc polecenie, aby ci wyrobiono paszport, jako memu oficjaliście, jadącemu do dóbr moich w Rosji, i spokojnie wrócisz do Krzemieńca. Zapewnie coś i do waszego ogrodu od Szuberta weźmiesz? Powiem mu o tem". Pytał książę potem, co widziałem w Warszawie więc jeszcze się nasza rozmowa przedłużyła. Opowiadałem wszystko, a kiedy wspomniałem o Towarzystwie Przyjaciół Nauk, książę mi powiedział, że bardzo będzie zadowolnionym z mojego przyjęcia, bo się spodziewa, że w mojem poświęceniu się naukom przyrodzonym nie ostygnę. Zapytywał książę o zasoby pomocnicze naukowe. Odpowiedziałem, że gabinet fizyczny wzbogacił się wielu aparatami za staraniem prof. Jentza, który po Łuczyńskim katedrę fizyki objął i godnie poprzednika swego zastąpił. Karol Jentz, skończywszy nauki w gimnazjum Wołyńskiem, udał się do Wilna i tam kurs fizyczno-matematyczny odbywszy korzystnie, na nauczyciela do Krzemieńca naznaczony został. Ale Jentz nie wiele z prelekcji fizyki w Wilnie mógł korzystać, wykład pięknej tej i tak ważnej nauki w ustach prof. Drzewińskiego tracił cały swój urok, bo ze wszechmiar szanowny i uczony profesor nie miał daru słowa; cokolwiek przeto Jentz umiał, winien był prelekcjom Andrzeja Śniadeckiego i swojej własnej, nieutrudzonej pracy. Pięknie się tłumaczył, biegły w rachunkach wyższych i zawsze dzielnie przygotowany, wykład swój licznemi i to najnówszemi doświadczeniami popierał. Książę wiedział o zaletach Jentza i wielce mu sprzyjał. Dalej wyliczałem księciu nasze zoologiczne ubóstwo, bo w istocie, oprócz bogatego zbioru owadów, staraniem Bessera i zbioru muszel po Królu zakupionych, zresztą nasz gabinet był bardzo ubogi. Książę oświadczył, że jeżeli tylko znajdziemy jaki zbiór zwierząt do nabycia, zaasygnuje nam sumę potrzebną na opłacenie zbioru i na dzieła większe zoologiczne i t. p. Bytność moja trwała więcej dwuch godzin

i książę tak łaskawie usposobiony był do słuchania mnie, że rozmowa nasza byłaby się i dłużej pociągnęła, gdyby jej nie przerwała wizyta któregoś z senatorów, pożegnałem więc księcia i znowu rękę jego ucałowałem, ale tą razą otrzymałem ojcowski pocałunek i wyrażenie ujmujące, w którem nie było już wmpan, ale, ty, mój botaniku. To był mąż, nasz książę kurator, jedno tylko, co mu zarzucić można było, że nazbyt trzymał się łacińskiego festina lente. Może przez to opuścił porę zrobienia dobrze dla wydziału Wileńskiego, a szczególniej dla naszego liceum, a może też i okoliczności zmieniające się nie sprzyjały mu działać podług natchnienia jego szlachetnego serca.

Wracając od księcia, zaszedłem do pałacu Zamojskich odwiedzić Korzeniowskiego i Tylmana. Miłe zawsze było dla mnie tych dwuch ludzi młodych towarzystwo, bo to i dusze były piękne i umysły dziwnie ukształcone, ale na ten raz i korzystne. Korzeniowski wprowadził mię do bibljoteki p. ordynata. Podziwiałem piękności starożytne, Apolina, Laokoona i Westalki, odlane z gipsu na oryginałach starożytnych i przyszła mi na myśl praca Kanowy i zdało mi się, że Perseusz wieleby tracił obok tych arcydzieł snycerstwa. Czy i sąd znawców, artystów, był podobny mojemu, nie wiem, ale widok tych posągów za zawsze utkwił w mojej pamięci. Miał mi Korzeniowski pokazać jeszcze niektóre, nowe, ważne, ilustrowane dzieła, ale przeszkodziło nadejście p. ordynata. Zaprezentowany przez moich przyjaciół, łaskawe przyjęcie zyskałem i pozwolenie przejrzenia dzieł do mojej nauki należących. Nie mogłem przecież na ten raz z łaskawego pozwolenia korzystać, bo nadeszła pora obiadowa, musiałem więc i ten bogaty zbiór i moich poczciwych przyjaciół pożegnać. Zdałem sprawę z całego mojego ranku hrabiemu i widziałem w oczach jego zadowolenie. Pobyt w Warszawie wielce był dla mnie korzystnym, tak na drodze naukowej, jak i na obyczajowej. Rozmaitość towarzystw i w nich rozmów, teatr na-

rodowy, zbiory ksiąg i rzeczy naturalnych, wiele mię oświeciły, bo szczerze wyznam, że nietylko wówczas, ale i dziś w starości uczę się i lubię się uczyć. Czyż człowiek może kiedy wyrzec stanowczo: umiem? Dobrze starzy powiedzieli: Ars longa, vita brevis.

Już się kończyły dwa miesiące pobytu mojego w Warszawie i potrzeba było myśleć o powrocie, nie dla braku funduszu, bo z łaski mojego dobroczynnego protektora miałem się z czego trzymać, ale jedna okoliczność ułatwiająca mi powrót, zmusiła mię do opuszczenia stolicy. Jeden z uczniów naszego liceum Kończewski, ukończywszy zaszczytnie nauki, przyjechał do Warszawy, ażeby wejść w służbę wojskową do artylerji. W Horochowie wywiedział się o mojem mieszkaniu i, przybywszy do Warszawy, natychmiast mię odwiedził i o swoim zamiarze uwiadomił. Zaprezentowałem hrabiemu współucznia jego syna i w jakim celu przybył do Warszawy, hrabia polecił mu przyjść nazajutrz i sam go zawiózł do gen. Krasińskiego. Żadnej nie było trudności i trzeciego dnia medalowy uczeń liceum Woł. bez egzaminu przyjęty został. Ale Kończewski przyjechał swojemi końmi, które ojcu odesłać było potrzeba; zakłopotany przychodzi do mnie, jako do blizko znajomego i nauczyciela, o radę, co z tym ciężkim fantem zrobić? Tyle mil kraju, któż może za poczciwość woźnicy zaręczyć? „Nie turbuj się — rzekłem — „mnie potrzeba wyjechać z Warszawy, twojemi więc końmi aż do Krzemieńca dojadę i stamtąd ojcu je odeszlę". Dziękował mi Kończewski serdecznie, chciał nawet dać pieniądze na utrzymanie koni i człowieka, ale tych nie potrzebowałem, bo i swój dawny grosz miałem i z wypłacanych mi od hrabiego kilkanaście dukatów oszczędziłem. Wziąłem więc zaraz konie z bryczką do siebie i w należącej do hrabiego stajni pałacu, w którym mieszkaliśmy, umieściłem. Tydzień jeszcze trwały pożegnalne odwiedziny i wybieranie się w drogę, a w tych wizytach, ileż doznałem uprzejmości, ile mi na pamiątkę nadawano upominków! Szubert chciał

mię bardzo zatrzymać przy sobie i miał wyrobić dla mnie lekcje botaniki w jakiejś szkole na jego miejsce, ale hrabia sprzeciwił się temu, bo upewniony obietnicą ks. kuratora, chciał mię widzieć na miejscu Bessera. Nareszcie, opatrzony listami ks. kuratora do Puław, opakowany bogactwami zoologicznemi i botanicznemi dla naszego liceum, po najczulszem pożegnaniu i podziękowaniu mojemu dobroczyńcy, 27 października opuściłem nie bez żalu stolicę.

Dziwnie pogodna była jesień, jakiej oddawna w Polsce nie pamiętano, i droga moja szła szczęśliwie. Do Puław jechałem powoli i po drodze zatrzymywałem się, gdzie tylko położenie piękne miejsca, albo co godnego widzenia zatrzymywać się kazało. Wszystkich tych szczegółów na miejscu zapisanych, pamięć nie dochowała, a notatki zaginęły! Od przewozu na Wiśle, szedłem już piechotą do pałacu. Na drodze był kościół otwarty i to pierwsza była moja stacja w Puławach, i pobyt tam mój zaczął się od modlitwy. Śliczny kościołek Puławski! nad architrabem wznosi się galerja, na której lud zgromadzony jednogłośnym pieniem Boga chwali. Wejście okazałe po kilkadziesięciu wschodach z ciosowego kamienia, jeszcze więcej okazałości kościołowi dodaje. Wszedłem na dziedziniec pałacowy i pierwsze, com postrzegł, była akacja, pramatka wszystkich w Polsce akacji, sprowadzona przez księżnę wojewodzinę ruską, matkę księcia generała. Ale to drzewo, jak i nasze cnotliwe prababki, przy mnogich latach całą czerstwość zdrowia zachowało. Cóż mam ze szczegółami opisywać to, co już tyle razy wierszem i prozą opisywane było? Puławy komuż nie znajome były? Tu otworzyli się najznakomitsi nasi ośmnastego stulecia pisarze, tu się rozwijał pędzel Peszki, Mańkowskiego i Vogela. Tu nieśmiertelny wieszcz nasz ówczesny opiewał świątynię Sybilli i dzieje nasze. Tu nieszczęśliwy Kniaźnin utratą rozumu, zbyt śmiałą miłość opłacił. Tu się zrodziła i wzrosła prześliczna Zosia, której wdziękom pierwsi nasi poeci pióra

swoje poświęcali, — Zosi, dziś wzorowej żony, matki, pani i obywatelki. Dziś! niestety! już to dziś, od wielu lat minęło i tylko pamięć jej w sercach rodziny i współziomków została. Raz tylko miałem szczęście widzieć tę czcigodną damę polską. Przez ciekawość wszedłem do magazynu zależącego od Towarzystwa Dobroczynności i jakąś bagatelkę targowałem; w tem wchodzi dama skromnie ubrana dla przejrzenia przychodu z sprzedaży. Przegląda księgi, a ja cały ten czas zachwycony jej dostojną powagą, urokiem niepodobnego do opisania wejrzenia i wdzięku całego oblicza, oczu moich od tej anielskiej pstaci odwrócić nie mogłem. Po wyjściu damy zapytałem zarządzającej magazynem, kto jest ta dama? „Prezydentka Towarzystwa Dobroczynności, pani ordynatowa Zamojska". Zdumiałem się. Matka tylu i takich dzieci, a jeszcze tak piękna! Cóż dziwnego? że ta róża rozwijając się, kraj nasz cały oczarowała, kiedy dziś jeszcze jest tak piękną i świeżą! W ciągu całego pobytu mojego w Puławach, obraz jej wyobraźni mej nie odstępował, i wszystko co o niej pisano obecnem było w mej myśli. Zdawało mi się, że widzę tę malutką Zosię, biegającą za kwiatkami po pięknym parterze ogrodu puławskiego; to znowu prześliczną Zofję, idącą do ślubu w kwiatach gasnących przy jej urodzie; nakoniec matkę prześlicznego potomstwa i tysiąca nieszczęśliwych, taką, jak ją w Warszawie widzieć miałem szczęście, w magazynie wspomnianym.

W Puławach zastałem: Adolfa Dobrowolskiego, Sienkiewicza i Kozaczyńskiego i znalazłem w nich braci. Nie zmyślona, ani dworactwem skażona, szczera ich uprzejmość, rozrzewniła mię przy powitaniu. Bo to ludzie serca i czynu! Pierwszego dnia oprowadzali mię po całym ogrodzie, ale wszystko co oglądałem chaos w moim umyśle sprawiło i nic nie widziałem. Zwolna dopiero dni następnych, cząstkowo w ogrodzie się rozpatrywałem i każdego dnia więcej zachwycony byłem pięknością położenia, gustem wybornym urządzenia i ozdobami ogro-

du. Trudno opisać wszystko; opisanie to tom całyby zajęło, niektóre więc tylko wspomnę uderzające mię rzeczy. Pałac stoi na wzgórzu nad brzegiem wiślanej odnogi, Łachą tu zwanej, i daje widok, na lewo na wzniosłe nadbrzeża aż pod Kazimierz, na prawo wspaniałą widać Wisłę, w daleko rozciągającem się korycie, z porozrzucanemi po spadzistych nadbrzeżach jej osadami. Po nad Łachę idzie droga cienista i na rozszerzeniu jej stoi wiekowy kasztan, sadzony ręką ks. wojewody ruskiego, mogący cieniem swoim zakryć od słońca w południe pięćdziesiąt osób wygodnie umieszczonych. Ogromny, w arkadę jedną z drzewa zbudowany most przez Łachę, śmiałością swego rzutu zaszczyt robi budowniczemu, który go postawił, za Łachą śliczny las. Od pałacu w połączeniu z pawilonem jest otwór z marmurową kolumnadą, tworzący pyszne wejście do ogrodu. Naprawo zaraz ogródek kwiatowy księżnej generałowej z klombem od lat wielu zimującej tam w okazałych krzakach hortensji. Tu, już nie wiedzieć gdzie iść pierwej: naprawo droga do świątyni Sybilli, nalewo na prześliczną dolinę, gdzie jest pomnik, wzniesiony ręką księżnej generałowej dla rodziców księcia, z białego marmuru, na podobieństwo nie pomnę jakiego nagrobku z okolic Rzymu. Wszędzie masy drzew i klomby naturalnie i z wysokim smakiem rzucone i po mistrzowsku prowadzone drogi. W ogrodzie Puławskim niema tego nudnego mnóstwa posągów, straszących dzieci po wielu naszych ogrodach, nie wyjmując nawet tak sławnej Sofjówki. Grupa Tankreda, piękny Herkules i piękniejsza jeszcze Flora, czyli Muza, to są wszystkie statuy, i wszystkie pięknego mistrzowskiego dłuta. Spoczynki szczęśliwie umieszczone, zasłonione od skwaru słońca i zawsze jakiś miły oczom widok wskazują. Ogrodu Puławskiego z żadnym w kraju porównać nie można. Sofjówka ma kilka punktów dziwnie pięknych, skały okazałe, ale z resztą jest to wąwoz, który tylko sztuka Metzla i miljonowe sumy mogły na coś pięknego przerobić. W Puławach i całość i szczegóły są zachwycające,

chociaż ani skał, ani wód tyle niema. W Sofiówce widać magnata, który mógł dumie swojej zadość uczynić i uczynił. W Puławach widzisz najpiękniejszą naturę prostą, wierny obraz duszy jej twórców. Z pięknościami Sofjówki prędko się można oswoić, wdzięki Puław nigdy nie spowszechnieją, ani ich zapomnieć można.

Zwiedziłem pałac. Nic prostszego nad apartament ks. generała. Meble z krajowego drzewa, kilka dobrych malowideł, ogromne lustro między oknami, a pod niem, nad biurem, droższy nad najdroższe meble, rysunek księcia humorystyczny, wyobrażający oryginały pocieszne dam i mężczyzn w strojach z rozmaitych epok mody. Trudno wypowiedzieć, jakie wrażenie wesołości widok tego rysunku sprawia, bo do tego i podpisy pod figurami stosowne; jest to rysowana komedja, pełna życia i działania. Górne pokoje wspanałe, prawdziwie książęce! Sala szczególniej odznacza się wspaniałym sufitem, belkami w kazy ułożonemi, ozdobnemi snycerską rzeźbą i złoceniem, a między niemi piękne olejne maloiwdła. Znam wiele pałaców dawnych, okazałych nawet, nigdzie tak pięknej sali nie widziałem. Apartamenta księżnej, więcej od pokojów samego księcia okazałe, nie zbytkowne jednak; w każdym obrazie, w każdym meblu, w każdym sprzęcie widać i gust wyborny i wysokie artystyczne pojęcie; gdyby nie roboty kobiece, których mnóstwo, od haftów aż do pończoszki, znaleźć tam można, apartament księżnej możnaby wziąć za mieszkanie wszelkim naukom oddającego się mędrca. Ale bo też księżna mogłaby była walczyć o palmę z wielu naszymi pierwszego rzędu uczonymi! W domku gotyckim zebrała ta pani pamiątki miejsc i ludzi znakomitych całego świata. Dla przejrzenia tych ciekawości szczegółowo rok cały ledwieby wystarczył; ja nie mogę się pochwalić, żem to widział, chociaż parę dni po godzin kilka w domku gotyckim przesiedziałem. Ale wszystkie ciekawe osobliwości, jakich w Puławach napatrzeć się można było, ustępują skarbom w świątyni Sybilli zebranym. Okazała piękność tego budynku, zna-

jema w świecie z opisów i z obrazów. Jest to Tybur nad Wisłą. Na dolnem piętrze na podpierających sklepienie filarach zawieszone zbroje naszych dawnych bohaterów, w środku grobowca ks. Józefa Poniatowskiego, na którym złożone suknie i broń, w których ten ostatni nasz bohater piękne swe życie w nurtach Elstery zakończył.

Świątynia Sybilli w Puławach.
Według sztychu w „Pologne pittoresque" Chodźki.

Ale sama świątynia; Wszedłszy w ten przybytek, poświęcony pamiątkom ojczystym, nie można nie uczuć silnego wzruszenia! Szczęśliwy wieszcz, który w wyższem natchnieniu opiewał te wszystkie bogactwa, te wszystkie upominki dziejów naszych, i rymy jego i cel tych rymów, wzniosły go nad poziom świata, umieściły

obok przodków, w opiewanej przez niego świątyni. Przez trzy dni poczciwy staruszek, strzegący tych skarbów, nie mógł się mnie pozbyć. Niezmordowany cicerone oprowadzał mię od przedmiotu do przedmiotu, ażeby nic nie opuścić i opowiadał wszystko w miły sposób. Ze czcią winną opatrywałem te pamiątki, unosiłem się w przeszłość i zdawało mi się, że cienie tych wielkich ludzi, których tu szacowne szczątki, lub należące do nich przedmioty, widziałem, przesuwały się przede mną. Jakże smutne i chlubne wrażenie sprawia na sercu hełm i miecz Żołkiewskiego i pod niemi napis: „On piersi swemi ojczyznę osłonił". Jaka prostota tego napisu! Jaka myśl wielka, myśl, godna i bohatera i opiewającego zgon jego wieszcza! Mimowolnie cały śpiew o Żołkiewskim przesunął się w mojej wyobraźni, marzyłem tryumf tego wielkiego wodza, a wieszcz malujący go mówił do mnie: „patrz i uwielbiaj!" Klejnoty rozmaite i różne części ubioru naszych dawnych monarchów, złożone w bogatej skrzyni, i sercu drogie dają wspomnienia i dziejopisowi drogim są zabytkiem. Ale czyż podobna wszystkie spamiętać? A i wyliczać ich niema potrzeby. Wspomniał je Woronicz wdzięcznym swym rymem, a spis ich szczegółowy, niepodobna, ażeby nie miał się jeszcze gdzie znajdować; ale tych, co widzieli te skarby, jakże już mało i Bóg wie, gdzie się obracają!

Przez cały czas pobytu mego w Puławach, tak miałem czas zajęty opatrywaniem ciekawości zbiorów tamecznych, że tylko w obiadową godzinę i wieczorami w miłem towarzystwie mieszkańców zabawić mogłem. Miłeż bo to w istocie było towarzystwo! Sienkiewicz, nietylko pióru swojemu wdzięk nadać umiał, i rozmowa z nim nie ustępowała jego wieszczym utworom, Adolf Dobrowolski, do wysokich zdolności umysłowych łączył prawość i słodycz charakteru, pięknie się tłómaczył i pisał i posiadał to ogładzenie światowe, które miłym go czyniło w każdem towarzystwie, a które wyniósł z pod strzechy rodzinnej w świat obszerniejszy. Jedno, co mu

miałem do zarzucenia, to, że miał jakąś niechęć do prefekta Jarkowskiego, i przez to posada dyrektora liceum po dwakroć czcigodnego starca minęła, chociaż mu Dobrowolski sprawiedliwie należnych pochwał nie ujmował. Kozaczyński, głowa prawdziwie administracyjna, piękny w niej magazyn nauk, dar czystego i płynnego tłómaczenia się i piórem i ustnie, a nadewszystko, serce, żadnem nizkiem uczuciem nieskalane. P. Łukasz Gołębiowski [1]), znany ze swoich nauk, z wysokiej erudycji, filolog, historyk, filozof, nietylko na bibljotekarza, ale i na profesora ukształcony, mało, ale gruntownie mówiący, w towarzystwie jednak wielce miły, wielce korzystną dla mnie był znajomością. W okazywaniu mi bibljoteki puławskiej, nie sam układ, albo formaty księgi dał mi poznawać, wartość dzieł i stanowisko na arenie naukowej autorów wskazał mi z całą szczerością i prostotą naszą narodową. Przy tak obszernych naukowych bogactwach, żadnej w nim zarozumiałości, żadnej pedanterji, a zdanie o wszystkiem zdrowe, gruntowne i stanowcze. Tych czterech tu wymieniłem, bo to byli bliżsi znajomi, ale potrzeba wyznać, że i cały skład urzędników administracji dóbr książęcych byli to ludzie, którymi poszczycić się można było. W Tulczynie jeden Trembecki dowcipny, ale niezbyt ogładzony, i niestatek Jukowski błyszczą jak meteory, a cały firmament puławski świetne nasze gwiazdy i słońca okrywały i w potomności świecą i świecić będą. Być może, że w odleglejszej przeszłości i więcej domów polskich podobnie, jak Puławy, świetniało, ale współcześnie z epoką księstwa generalstwa, ledwie Ogińskich na Litwie wspomnieć można. Pokój i cześć popiołom twoim hrabio Janie Tarnowski! Tyś mię raczył wpro-

---

[1]) Łukasz Gołębiowski (1773—1849) bibljotekarz w Puławach, żołnierz Kościuszkowski, od r. 1823 bibljotekarz bibl. publicznej w Warszawie. Historyk nadzwyczajnej płodności i pracowitości. Był sekretarzem Tow. Przyj. Nauk w Warszawie.

wadzić na ten świat ojczysty, na tę ziemię najdroższych pamiątek, dzięki ci do ostatniego tchu życia mojego, błogosławieństwo zacnemu potomstwu twemu!

Opatrzony paszportem, jako oficjalista księcia jadący do Rosji, i jako taki funduszem na drogę, z żalem pożegnałem zacnych kolegów, z sercem uciśnionem i religijną czcią przejętem opuściłem Puławy. Ośm dni! jakże to mało! ośm miesięcy, i to za krótko, ośm lat ledwieby wystarczyło na obeznanie się ze wszystkiem, co tu jest do widzenia, a w miłem towarzystwie puławskiem, na tej naszej klasycznej ziemi, i ośm lat szybkoby, jak moich ośm dni uleciało.

ROZDZIAŁ VII.

Któż nie zna tej sławnej epoki w kraju naszym? Któż nie stara się choć raz w życiu być na kontraktach [1]), a zasmakowawszy w tym chaosie różnorodnych elementów, nie powtórzy znowu swojej bytności? Nie jeden z naszych znakomitych pisarzów kilka kart dowcipnym opisom tych tak rozmaitych i tak ciekawych obrazków poświęcił. Mnie, możeby nienależało, chcieć z nimi jedną traktować materją, bo ich opisom nie dorównam, ale kilkoletni pobyt w Kijowie, wychowanie z lat dziecinnych w Dubnie oznajmiły mię z tego rodzaju zebraniami i to mię zachęciło skreślić jaki taki szkic tego, na co się napatrzyłem w dwuch różnych miejscowościach.

Dubno było środkowym prawie punktem między stolicą Królestwa a prowincjami jego wschodniemi, było punktem przecięcia się dróg w stosunkach handlowych Polski z ościennemi państwami. Niewielkie to miasteczko

---

[1]) Do historyczno-ekonomicznego rozwoju kontraktów broszura Henryka Ułaszyna: Kontrakty Kijowskie od 1798—1898, Petersburg 1900; kontrakty dostarczyły materjału literackiego wielu pisarzom. Szczegóły w przedmowie do broszury Henryka Ułaszyna.

prywatne, spadłe na ks. Michała Lubomirskiego w spuściźnie po ks. ordynacie Ostrogskim Sanguszce, w niewiele lat po zaprowadzeniu kontraktów, podniosło się nagle i stanęło na czele miast wołyńskich. W pięknem położeniu nad rzeką Ikwą, pięknie się zabudowało i ludność w niem różnonarodowych mieszkańców do 16,000 dochodziła. Było to jednak miasto polskie ze wszystkiemi przymiotami i wadami miast naszych, to też i zjazdy kontraktowe były zupełnie polskie. Zbiegali się obywatele z Korony i Litwy, z Galicji i z Ukrainy, z za Dniepru i z za Dniestru. Napatrzeć się tam można było i dumnej wystawy ubożejącego magnata i pozornego ubóstwa pracowitej szlachty. Za Danglowską modną karetą o pustej szkatule, toczył się skromny skarbniczek, z ciężką okutą skrzynką pełną talarów i czerwonych złotych. W Dubnie o Trzech Królach zjazd się zaczynał i trwał więcej dwuch tygodni. Tam zbierali się kupcy z Wiednia, Lipska, Królewca, ze Stambułu i Moskwy. Bogate magazyny Hampla, Herynga, Lazarewiczów, Radiosa, Bessona, Hungiera, Paschalisa i Manuguwicza, i starających się dorównać im, miejscowych starozakonnych, rozwijały przed kupującymi bogactwa strojów, sprzętów, powozów, ksiąg, narzędzi muzycznych, malarskich przyborów i wszelkich do wygody, a nawet do zbytku służących przedmiotów. Ogromne sumy pieniężne dziwne robiły obróty, a banki Prota Potockiego i Teppera dostarczały potrzebującym pieniędzy, lub brały je na procenta a taka była rzetelność w nich, taka wiara, że nikt nie narzekał na nich, ani o stratę, ani o ucisk, i to może nie mało się do ich upadku przyczyniło. W ratuszu odbywały się narady i targi, wypłaty i pożyczki, kupna i przedaże, a to wszystko odbywało się z takim ładem, tak pięknie i spokojnie, że aż miło było przejść się po salach. A jeśli czasem jaki odłużony hrabia lub senatorowicz nie radby był spotkać się z jakim p. skarbnikiem lub p. cześnikiem, a ci go w kącie dopadli, to taka była delikatność wierzycieli i ufność starosty w słowie szlacheckiem magnata, a wzajem ta-

kie honorowe ośmielenie dłużnika, że jedno takie słowo z ust panów, było rękojmią, było zabezpieczeniem funduszów szlacheckich. O! bo też ta szlachta mniej zamożna, mniej oświecona, nie uboga jednak, ani ciemna, dochowała jedynie jeszcze typ tej poczciwości, tego szlachetnego charakteru, cechujących dostojne naddziady nasze.

Właściciel Dubna utrzymywał dom swój na stopie, odpowiedniej i rodowi swemu i wielkiej fortunie. Sam muzyk, wyborną trzymał orkiestrę. W czasie kontraktów codziennie obiady dla obywateli i dwa bale na tydzień dawał i koncerta w salach jego zamkowych odbywały się. Wielu z magnatów naszych i zamożniejszej szlachty pobudowali piękne domy w Dubnie, a dla dotrzymania kompanji księciu i podtrzymania wesołości sześcioniedzielnego zjazdu, bo kontrakty łączyły się z karnawałem, u siebie także okazałe wieczory wydawali. Były więc kontrakty Dubieńskie punktem, w którym zgromadzały się wszelkie działania interesów obywatelskich, przemysłu, handlu i zabaw i nikt nie pamiętał od otwarcia kontraktów aż do zamknięcia ich w 1796, ażeby kiedy jaka ważna zwada, kłótnie, lub burda jaka zaszła pomiędzy szlachtą. Owszem, taka była zgodność, taka wspólność interesów, takie przyjaźne stosunki, taka gotowość udzielenia się drugim i radą i workiem, że patrząc na to, rzekłbyś, że to jakaś jedna ogromna szlachecka rodzina na ten jarmark się zjechała. Miasto już i wtedy w znacznej części zaludnione było żydami. Sprytni Izraelici cisnęli się na usługi obywatelskie, ale jeszcze nie wpływali tyle na ich interesy, ani tak wielkich obrotów pieniężnych, jak dzisiaj, nie mieli w ręku. Najważniejszem i prawie jedynem ich działaniem było faktorstwo i handel, i mniej też uciążliwymi byli dla szlachty. Arendarze tylko po wioskach wielką już grali rolę.

Inna jest zupełnie postać kontraktów kijowskich. Miasto ruskie, rozlegle rozrzucone, w pośród którego sale kontraktowe są punktem środkowym krążenia wszel-

kich działań i spraw obywatelskich, przemysłu i handlu. Na salach tych zbierają się: szlachta dla kupna lub przedaży dóbr, zastawy lub zadzierżawienia wiosek, dla podniesienia lub umieszczenia kapitałów, dla pożyczek lub dla skontraktowania kupna pszenicy, kupcy z rozmaitemi towarami, artyści dla wystawy swoich utworów, lub dania się słyszeć z pięknym swoim talentem. Od 9-tej zrana, aż daleko za północ, gwar i ruch wielki nie ustają w tym gmachu i, kiedy na górze Lipiński smyczkiem, pani Dangeville lub Tarquinio głosem niebiańskie wywodząc melodje, słuchaczów czarownym przejmują urokiem, na dole usłyszysz brzęk przez cały dzień uzyskanych pieniędzy, kłótnie rozrachunkowe wspólników handlu, lub przy lampeczce pończyku z cicha gwarzących pomiędzy sobą o obecnych interesach, o złych czasach, szlachtę. Dni całe i długie wieczory schodzą na traktowaniu o interesach, ale coś to idzie nie łatwo, nie składnie, jakoś bez życia! bo niema już tej wspólności braterskiej, tego współczucia, tej bezinteresowności, jak przedtem; ledwie rzadki ich przykład się okaże. Postęp XIX wieku już się rozwijać zaczynał, a z nim egoizm zaczął przed innemi uczuciami brać górę i każdy o własnym tylko zysku pamięta, to też i sprawy pomiędzy działającymi nie zawsze spokojne. Przechadzając się po salach, wiele zdarzyło mi się zauważyć faktów, niektórych obrazki tu skreślę.

Dwuch rozmawiają wesoło, to dwuch robiących dobry interes. P. hrabia potrzebuje gotówki, nie na opłacenie długów, których ma dosyć, nie na zapomogę włościan potrzebujących zapomogi, ale na utrzymanie wystawy i na podróż konieczną za granicę p. hrabinej dla poprawy zdrowia, wypada koniecznie coś sprzedać. P. sędzia, który z owocem wieloletnich trudów i mozoły z piękną gotówką przyjechał na kontrakty w celu nabycia jakiego dobrego kawałka ziemi i taki mu się u hrabiego nadarza. Hrabia trzyma się w cenie, sędzia zwolna postępuje, ale panu potrzeba pieniędzy, szlachcicowi posady; nieradby

korzystnego kupna opuścić, więc zgoda i oba zadowoleni rękę o rękę uderzyli. I hrabia rzeknie:

— Sędzio kochany! jutro do mnie na obiadek, tam i tranzakcję...

— Będę służył jw-mu hrabiemu. — I znowu ręka rękę uścisnęła i wesoło się rozchodzą.

— Czy wiesz? czy wiesz? — mówił jakiś nieznajomy mi zupełnie jegomość gburowatej fizjognomji do drugiego zawiędłego może trzydziestoletniego starca. Marszałek winien mi do 100,000 rubli as. i nie oddaje, co to on, rozumie, że marszałek, to już może krzywdzić szlachcica? Ja mu z gardła wydrę moje pieniądze. Rewers mój zabalotowany to i sprocesuję go, choćby dziś jeszcze.

— A kiedyż termin?

— 21 t. m.

— A dziś dopiero 18. Awizowałżeś go?

— Co ja mam go awizować, kiedy winien, to niech się sam pilnuje.

— A to ty chcesz, mój panie, przewrócić odwieczne zwyczaje. Ja przynajmniej nie pamiętam, ażebym słyszał nawet, żeby dłużnik przychodził do wierzyciela, prosząc, aby swoje pieniądze odebrał. Dość nawet wysokiej czci godni, którzy ogólną awizacją wzywają wierzycieli do odebrania należytości, chociaż niektórzy na tej tylko ostentacji kończą.

— Czemuż p. marszałek choć nie awizuje? Boi się, bo wie, że chuda fara, de quibus hołyszowi niedostaje i chce się sznurkiem od kredytów wykręcić. — Te ostatnie domawiając słowa podnosi oczy i postrzega przed sobą tegoż samego p. marszałka, o którym mówił.

Dobry wieczór panie stolniku! rzecze marszałek, wracam tylko z pańskiej kwatery, gdziem go nie zastał.

— Ach jw-ny marszałek tak łaskaw, fatygował się do mnie, czy ja tego wart jestem?

— Czyś pan wart? konkluduj z tego, coś o mnie dopiero panu komornikowi mówił; ale mniejsza o to, oto

w tych papierach masz pan należne mu u mnie de quibus, a choć fara chuda, jednakże przed terminem uiścić się panu pozwala. Urazy do pana nie mam, bo za próżne słowa obrażać się nie należy, i nawet proszę pana jutro do mnie na obiad, i rozeszli się. Ale p. stolnik na obiad nie przyszedł, czy z radości odebrania kapitału, czy z innej jakiej przyczyny, niewiadomo.

— Panie Janie! czy wiesz? — ozwie się w innym kącie chorąży do podsędka idącego z nim — Ten pan pułkownik kręci ze mną, a to karystja! Wczoraj rano wyszedł termin wypłaty, dziesięć razy byłem u niego, a on się przede mną, jak pies przed muchami, kryje. A tu rozprzedają dobra księżnej podzielone na folwarki, jeden z takich zatargowałem, dałem nawet zadatek, jutro płacić potrzeba, a on tak ze mną kręci.

— No! pójdźmy tylko do niego — rzecze z flegmą podsędek. — Teraz u niego obiadowa pora, to się nam nie wymknie, a potem, uważasz, to nie jest wcale zły człowiek i ja z nim miałem interes, myślałem tak, jak chorąży, a tymczasem najpiękniej ze mną skończył — i poszli.

— Panie Grosberg! P. Grosberg!—woła zcicha p. sędzia na unikającego Izraelitę, a co moje 500 rubli? termin już przeszedł.

— Jw-ny panie sędzio! niech jasny pan cokolwiek będzie cierpliwy, ja nic jeszcze nie targowałem.

— A mnie co do tego? Winieneś, ja potrzebuję, ja mam interesa, ja biedny!

— P. sędzia biedny! prawda! bo na panu surdut biedny, ale w kieszeni tego wyszarzanego surduta miljony tylko w papierach i p. sędzia biedny?

— Co tobie Żydzie do tego? Czyś ty liczył moje kapitały?

— Nie! a na co mnie ich liczyć? czy świat nie wie, ile i jak pan zebrał, jakie ciągniesz z nas procenty?

— Świat wie? niech wie! niech wie i to, że ty szachraju winieneś mi, że kręcisz i, że cię tak nacisnę, że dziś jeszcze z ciebie moje pieniądze wyduszę. Co Żyd miał

odpowiedzieć na to, niewiadomo, bo nawała przechodzących odcięła kupca od sędziego.

W pięknym domu na Peczerskiem, w ozdobnym salonie, siedzi nad podziw piękna dama, czarno ubrana, bo jej ten kolor wielce do twarzy, bo do niego i twarz w smutek się przystroiła, bo i myśli nie wesołe ją trapią. Dzwoni, wszedł lokaj.

— Oddałeś bilecik memu mężowi?

— Pan prezes o 11-tej będzie sam służyć.

Trzeba wiedzieć, że prezesowa nie z serca szła za mąż, ale prezes wielce bogaty obywatel, choć nie młody, a jeszcze piękny. Prezesowa od trzech miesięcy opuściła męża, którego nie kochała, a który za nią przepada. Ale pani, wróciwszy pod rodzinną strzechę choć magnacką, niebardzo może dogadzać wymysłom, do jakich w domu bogatego męża nawykła. Potrzebaby jakoś do tego niekochanego męża powrócić. Prezesowa pewna, że mąż odjazdem jej mocno obrażony, bo od jej wyjazdu, żadnego o jej powrót kroku nie zrobił, posłała z grzecznym i prawie pokornym bilecikiem, prosząc, aby ją odwiedzić raczył, i niespokojnie przybycia jego oczekuje. Bije jedenasta godzina, lokaj anonsuje p. prezesa. Drzwi się otwierają, ledwie próg przestąpił, pani zrywa się z kanapy, biegnie naprzeciw przychodzącemu i wśród salonu rzuca na kolana i ze łzami zawoła: „O najczcigodniejszy mężu! i ty mię niegodną przychodzisz odwiedzić i tyż mi przebaczasz?“ — Łkanie domówić jej nie daje piękne warkocze rozrzuciły się po śnieżnych ramionach, prześliczne ręce wyciągnięte do męża opadły, głowa się na piersi pochyliła. Prezes podchwycił upadającą i zaniósł na kanapę i sam u jej nóg przyklęknął.

— O droższa mi nad życie! mógłżebym w sercu mojem chować jaką do ciebie urazę, ja co ciebie tak kocham, co cię uwielbiam, u nóg twoich czekam łaskawego dla mnie wyroku. Powróć do mnie! Ożyw dom, który bez ciebie grobem mi się wydawał, wróć! rządź i mną i mojem wszystkiem.

Objęła pięknemi rękami szyję niepięknego starca i na jego ospą zoranem czole złożyła pocałowanie. Uszczęśliwiony prezes 200,000 rb. as. gotówką ofiarował żonie, po kontraktach zabrał ją do siebie z wielką pociechą całej jej rodziny. Ale niedługo szczęściem się swojem cieszył. We dwa lata potem prezesowa, powiwszy mu córkę, opuściła męża i opuściła na zawsze.

P. starościc, młodzieniec bogaty najpiękniejszemi umysłu i serca zaletami, ma się tego lata żenić, zjechał więc na kontrakty, ażeby się załatwić w interesach i powoli na wesele ekwipować. Majątek niemały i ładny, ale długie wędrówki w Paryżu, Rzymie i Londynie obciążyły fortunę jeszcze ładniejszemi długami. Kocha pannę Klarę, jej wzajemność posiada, już nawet zaręczeni. Panna piękna, pięknie wychowana i krociowa, wszystko zdaje się sprzyjać starościcowi, interesa tylko finansowe coś nie dopisują. Wróciwszy po sześciu latach wędrówki po obczyźnie, gdzie się z p. Klarą poznał, pokochał i zaręczył, wróciwszy świeżo, nie miał jeszcze czasu rozpatrzyć się w swoich interesach i dopiero tu w Kijowie zajął się zupełnem rozpatrzeniem i postrzegł, że na uspokojenie długów potrzeba mu coś niemało z tej drogiej mu ojcowizny odprzedać. Żal mu pozbywać się poczciwej ojcowskiej fortuny, ale dłużnicy naciskają, a starościc ma szlachetną dumę i załatwienia swoich interesów na sumach posagu narzeczonej ubezpieczać nie chce, sum jednak należnych wierzycielom ani przegrał, ani przehulał. Serce, umiejące czuć drugich niedolę, cenić talenta i nauki, wzięło górę nad rachunkowością, mówiącą: „oszczędzaj!“ Starościc widział wszędzie wszystko godne widzenia i uczył się wszystkiego, co z korzyścią zastosować mógł do swego kraju. Wspomagał za granicą prawdziwie biednych rodaków, dopomagał ubogim artystom, wspierał hojnie ich talenta i rachując na liczbę dusz majątku w rachunkach mylił się i o sobie zapomniał. Co najgorzej interesa jego popsuło, to ta chęć pomocy mało funduszowej szlachcie, biorąc ich niewielkie kapitały na

ogromne procenta. Rozpatrując swoje interesa, był zakłopotany, ale nie uciśniony, chce się ratować, ale nowego długu nie rad zaciągać, ani mającym się wziąć po żonie posagiem bronić, a jak w czasie pobytu zagranicą, nie stosował majątku swego do wydatków, tak teraz na tej masie nic oszczędzić dla siebie nie chce.

— Ja mówiłem jwpanu — rzeknie mu rządca dóbr jego — jeszcze w listopadzie zeszłego roku, niech pan idzie do pana rotmistrza, albo niech przynajmniej do niego napisze, dziś mielibyśmy pewnie pieniądze". „Ale cóżbo ty pleciesz? Ja mego stryja zaledwie parę razy za życia mego ojca jeszcze widziałem w mojem dzieciństwie i to już tak dawno, że nawet fizjognomja jego z pamięci mi wypadła. Mogę powiedzieć, że go nie znam. Miałżebym jechać do niego, lub pisać o pomoc pieniężną, kiedy on wie pewnie, jak piękny i czysty majątek ukochany ojciec mi zostawił? O! nie. Jak się z długów oczyszczę, wtenczas z jasnem okiem, nie potrzebując wsparcia, zaprezentuję się stryjowi, i, albo się rzucę w jego objęcia i jak ojca uściskam, albo te odwiedziny moje będą pierwsze i ostatnie.

— Dobrze! jw. panie! to w takim razie musimy coś nie mało odprzedać z pańskiej fortuny.

— Choćby i wszystko, byleby wierzyciele moi krzywdy nie ponieśli. Chciałbym jednak, ażeby mi jedna wioska pozostała.

— Któraż to jw. panie?

— Ulubiona moja Brzezinka! Tu tyle lat przeżyli kochani rodzice, tu się urodziłem, tu przeskakałem lata moje dziecinne! Dom, ogród, obejście gospodarskie, cała posada wsi, a wszystko tak piękne, wszystko to było dziełem nieocenionego mojego ojca! Rozstać się z tą wioską, byłaby dla serca mojego niewypowiedziana boleść.

— Więc jw. pan każe dziś ogłosić sprzedaż swojego majątku?

— Może jeszcze nie całego! Może jeszcze stan interesów moich nie tak zdesperowany?

— Długu mamy do 400,000 rubli as.

— Okropne! więc ogłoś! — dodał starościc z ciężkiem westchnieniem.

Wieczorem komisarz spotkawszy pryncypała swego na sali kontraktowej,

— Mamy — rzecze — kupca.

— Któż taki?

— Nie wiem jeszcze, ale wiem, że dziś odebrał w prykazie 200,000 r. as. i że, widząc nasze ogłoszenie, mówił do idącego z nim pana: „to trzeba kupić". Wtedy podszedłszy ku niemu, oświadczyłem, że jestem rządcą tego majątku i że mogę o przedaż traktować. A pryncypał wm. pana jest w Kijowie? — zapytał. Jest mości dobrodzieju. Gdzie kwateruje? — Dałem bilet z adresem pańskim, przeczytał, pokiwał głową i na jutro na ósmą godzinę bytność swoją zapowiedział?

— Jakże się nazywa?

— Właśnie pytałem, ale ni to, ni owo odpowiedział.

— Cóż przecie?

— Że się nazywa Niewiadomski.

— Cóż dziwnego? W Ukrainie są Niewiadomscy, rodzina zacna, ale nie tyle zamożna. No! obaczymy jutro! — rzekł starościc z taką jakąś spokojnością i zapewnieniem, jakby żaden zły cios fortunie jego nie zagrażał. Był wieczorem na koncercie, potem na wieczerzy u kuzynów swoich Jezierskich i dopiero po północy wrócił do siebie i zaspał długo na dzień. Tymczasem o naznaczonej godzinie przybył pan Niewiadomski sam, pięknie po polsku ubrany zastał już rządcę, który mu oświadczył, że zaraz pana obudzi.

— Nie potrzeba, niech się wywczasuje biedny chłopak, my tymczasem przejrzymy inwentarze, mapy i bilans długów. — Rządca rozłożył żądane papiery, gość jął je rozpatrywać.

— Proszę wm. pana, podług tych inwentarzów stan poddanych wcale nie biedny.

— O! i bardzo nie biedny! P. starościc nawet jadąc

na wojaż wiosek swoich w posesję nie puszczał, poddanych jak dzieci własne kocha i o ich byt dobry dbał i kiedy szarańcza zniszczyła i jego i poddanych plony, p. starościc na wykarmienie ich zapożyczył się grubo, a to był już dług ostatni i najcięższy.

— To poczciwie! Dobry chłopiec, szkoda go — rzekł gość z uczuciem. Tymczasem starościc się obudził i powiadają mu, że jakiś pan siwy, pięknie ubrany, więcej godziny już w bawialnym pokoju z rządcą przeglądają papiery.

— Dawaj mi Janie prędzej ubierać się!

— Czyż pan i w szlafroku wyjść nie może?

— Gdzież tam! Jakiś szanowny obywatel, uczciwie ubrany przyszedł do mnie w moim interesie, a ja miałbym go przyjmować w rannym negliżu? Tak być niepowinno. W kwadrans ubrany wyszedł ze swego pokoju: „Przepraszam wm. pana dobrodz. najserdeczniej przepraszam, że zaspałem“ — rzekł z pełnym wdzięku ukłonem.

— Nic to, kochany starościcu, odpowie gość obejmując młodzieńca w uprzejme uściśnienie — my starzy znajomi, ty tego chłopcze nie pamiętasz, ale z twoim poczciwym ojcem znaliśmy się i kochali po bratersku. Zdziwiła starościca ta rubaszna poufałość, ale mu się i podobała, a do tego strój narodowy i piękne narodowe rysy czerstwego starca, pociągnęły ku sobie poczciwe serce młodzieńca, oddał więc uścisk za uścisk i usiadł obok gościa.

— Więc chcesz starościcu wyzuć się z całej ojczystej fortuny?

— Jeśli tego wymagać będą moje interesa.

— Czyż tak wielkie są twoje długi?

— O! bardzo wielkie!

— Czy nie lepiejby było może rozbiór podnieść?

— Co? rozbiór — zawołał starościc, zrywając się z krzesła — z krzywdą tych, co mojemu charakterowi zaufali, co mię w potrzebie wsparli, z których może nie jeden ostatni może swój fundusz mi powierzył? O! nie. Kocham ziemię, którą mi drogi mój ojciec zostawił, ale ani

sążnia jej sobie nie zostawię, jeżeli ktokolwiek z moich wierzycieli ma na tem co utracić.

— To ślicznie! — mówił gość ze łzą w oku; — ale na co to panicz przeszastał tak piękną fortunę?

— Nie przehulałem jej i ani 100 dukatów z niej nie przegrałem.

— Na cóż straciłeś? Wojaże to, po zagranicą, a po pańsku. Hę?

Starościc patrzył w oczy starcowi dziwił go taki egzamin, ale uczuł w sobie dość siły, aby się oprzeć działaniu, jakie na niego wejrzenia nieznajomego wywierały.

— Na cóż się to przyda wiedzieć wm. panu dobrodziejowi?

— Prawda! Nie w swoje rzeczy się wdałem. Co do mnie należy słuchać cię rachunku z twojej własności. Powiem ci jednak, że wiem nieco, jak i na co straciłeś. Ale to do rzeczy nie należy. Wieleż potrzebujesz gotówki na oczyszczenie się zupełnie z długów?

— Około 500,000 r. ass.

— To suma! wieleż dusz w całym majątku?

— Bez mała tysiąc.

— Hm, teraz dobra w nizkiej cenie, ledwie po 40 dukatów dają, a i tak przedać trudno. Kapitaliści drożą się ze swoją gotówką, zbywających jest wielu, kupujący mają w czem wybierać, widzisz więc starościcu, że interesa twoje wymagają ofiary. Ot tak, dam ci hurt na hurt za wszystko po 40 dukatów za duszę.

— Ale ja całego majątku zbyć nie chcę, ekscypuję sobie Brzezinkę.

— A to dlaczego?

— Bo to była wieś ulubiona drogiego ojca mojego! On się w niej urodził i wychował, on ją tak przyozdobił i wzbogacił; tam i ja się rodziłem, tam pod okiem czcigodnych rodziców młodość się moja ukształciła, tam ich pieszczot kosztowałem, tam otrzymałem ich błogosławieństwo i tam ich zwłoki spoczywają. Gdy to mówił, łzy mimowolne płynęły po pięknem jego obliczu. Starzec

odwrócił się, kaszlał, chrząkał, nos ucierał, a potem obróciwszy się do starościca rzeknie.

— To pięknie! piękne sentymenta! ale właśnie Brzezinka najwięcej mię zachęca do nabycia przy niej całej fortuny i dlatego za nią gotów jestem dać więcej i odrazu na 60 dukatów postępuję.

— Ani za sto nawet.

— To ja bez Brzezinki nic nie nabywam.

— Jak się wm. panu dobr. podoba. Dusz 500 jeśli po 40 dukatów przedam wyniesie 20,000 dukatów temi, co będę mógł, wypłacę, a resztę przy oszczędności może Bóg mi wypłacić pozwoli. Może też i między wierzycielami moimi znajdą się wyrozumiali, którzy naciskać mię nie będą, ażebym się pozbył tej jedynej pozostałości po nieodżałowanych rodzicach moich.

— Ale ś. p. starosta, zdaje się miał brata?

— Mój stryj, mówiono mi, mieszka na Poberežu, mam nawet zanotowaną jego majętność.

— Czemuż się do niego nie udasz?

— Stryja mego nie znam i nieznany jemu, obarczony interesami, mamże prezentować się szanownemu krewnemu i przy pierwszem poznaniu z wyciągniętą ręką, jakby po jałmużnę prosić o swparcie, którego, jako nieznajomemu, mógłby najsłuszniej odmówić.

— To masz rację. Ten stryjaszek, o! przypominam sobie, był to szaławiła, hulaka, wielkie ladaco!

— Mości dobrodzieju! daruj pan! o nieobecnym odzywasz się z urąganiem, a mówisz do krewnego! Nieodżałowany ojciec mój nigdy mi w tak niegodnych rysach brata swego nie wystawiał. P. rotmistrz służył wiernie i poczciwie swojemu krajowi i blizny na piersiach z ran odniesionych pod Maciejowicami najświetniejszym są dowodem jego męstwa i miłości ojczyzny. Sąd ojca mojego o nim, jako o obywatelu, nauczył mię czcić tego dostojnego męża. Daruj więc wm. pan dobrodziej że choć za nieznajomym serce jednak moje ująć się każe, bo choć nieznajomego kocham go i szacuję.

— A jeśli ten pan stryj istotnie nie godzien twojego szacunku?

— Natenczas zostaną mi jeszcze stosunki krwi i uszanowanie, jako dla brata mojego ojca.

— Ślicznie! ślicznie! ale co do interesu, Brzezinka po 75.

— Powiedziałem już, że ani po sto.

— A inne wioski?

— Tak, jak wm. pan dobr. powiedziałeś.

— Po 75?

— Nie, zdaje się po 45.

— A tak, tak, zapomniałem. No kupiłbym, mam gotówkę i znaczną sumę do odebrania dziś u Alperyna.

W tem oznajmiono, że buchalter Alperyna w interesie przyszedł.

— Proś go tu, Alperynowi winien jestem z zagranicznych rachunków.

Wszedł żydek porządnie ubrany, skłonił się podając arkuszową notatę: — Dziś termin — rzecze.

— Wiem o tem! traktuję w tym interesie i nim słońce zajdzie zaspokoję p. Alperyna.

— Ufamy zupełnie pańskiemu słowu — rzekł buchalter, skłonił się i wyszedł.

Ledwie ten wyszedł, weszła czerstwa staruszka ubogo, ale schludnie ubrana i po chrześcijańsku gospodarzy pozdrowiła:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków, — odpowiedzieli wszyscy, a staroście rzucił się w objęcia staruszki, i obracając się do swego gościa, rzeknie:

— To jest pani Kłosowska, przyjaciółka domu naszego, która mi od lat siedmiu drugą matką była. Cóż tu porabiasz poczciwa, kochana Kłososiu! Za pozwoleniem wm. pana dobrodz. siadaj tu koło nas.

— Ot! kochany panie Henryku! Niedaleko stąd z dziećmi mojemi osiadłam. Syn wziął posesję za 6000 zł. rocznej tenuty i dzięki Bogu jakoś mu idzie. Ale nadal

nasz juryzdator żąda z góry sześcioletnich pieniędzy, termin na jutro, kontrahentów kilku, nie chciałabym, aby dziatki moje od tak dogodnej posesji odpadły. W łasce kochanego Henrysia mojego cała nasza nadzieja.

— I bardzo słusznie, wszak macie u mnie 30,000 zł. Dziś kończę o przedaż mojego majątku i jutro macie wasze pieniądze.

— Jakto? przedaż majątku? O Jezu Chryste! Cóż pana do tego zmusza?

— Interesa?

— O! jeśli tak, to pan nam nic nie winieneś, żadnego twego skryptu nie mamy, ani był kto świadkiem, czy kiedy te pieniądze brałeś u nas.

— Mylisz się kochana matko, są świadkowie i ważni.

— Jako żywo, nie było. Któż taki?

— Bóg i ja!

— Prześlicznie! — ozwie się uradowany gość. — Pani Kłosowska! ja z twoim wychowańcem wchodzę w interes, upewniam cię, że krzywdy mieć nie będzie, ale i wy szkodować nie powinniście. Oto masz, zacna staruszko, wasze 30,000 zł., odnieś je synowi twemu i kończcie o waszą posesję, niech wam Bóg dopomaga! — Kłosowska nic odpowiedzieć nie mogła, pochyliła się tylko do nóg dostojnego pana, ale on: „Nie — rzeknie, — uściśnij mię poczciwa szlachcianko, tak przystoi, bo i ja, tak jak ty kocham tego waszego Henrysia!“ te ostatnie słowa szepnął jej do ucha i coś dłużej szeptał, staruszka wzniosła ręce ze łzami i błogosławiła obydwu. Całej tej ostatniej sceny nie słyszał p. Henryk, bo zajęty był wizytą dwuch wierzycieli, których zwyczajnej w takich okolicznościach rozmowy powtarzać nie mamy potrzeby. Oznajmiono p. deputata.

— A Henrysiu! — zawoła wchodząc szumnie, — ty mię zgubisz! a ja biedny, cały mój grosz krwawo zapracowany oddałem tobie, a ty, obiecawszy mi na wczoraj oddać, dziś jeszcze nie wypłaciłeś.

— Proszę deputata być cierpliwym do wieczora,

właśnie robię tu interes o przedaż moich wiosek i dziś spodziewam się ukończyć.

— To mizerja tych parę set dusz, dadzą ci po 40 dukatów za duszę, to zero!

— I tem zerem dług p. deputata najpierw spłacony będzie.

— Będzie, będzie! to futurum, a mnie należy praesens, to jest dziś i gotówką. Ja ci oddałem na 10 procent, Żydzi daliby mi byli po 20.

— Deputacie! to nieszlachetnie. Proszę o cierpliwość do wieczora, honorem panu ręczę, że ze stratą moją interes przedaży ukończę, a panu dziś się wypłacę.

— Co tam słowo, to słowo, a ja potrzebuję faktu, ja czekać nie mogę.

— Jeśli moje wdanie się może mieć jaki walor, to ja za starościca kaucjonuję. Wchodzę z nim w interes nabycia jego majątku, i oto jest kaucja! — mówił dalej p. Niewiadomski otwierając pugilares, gdzie więcej, niż na 100,000 r. sr. było rewersów i biletów bankowych. Zaiskrzyły się ołowiane oczki deputata, skłonił się staremu panu i oświadczywszy swoje zadowolenie wyszedł.

— Ja mieszkam na Podole u Bałabuchy, dopytaj się pan o Podstolego Bracławskiego! Ale tego długu p. Henryku nie znajduję zapisanego w bilansie.

— Nie wiem nawet jak go przepuściłem. Jest to dług nie pożyczony, bo na wielkie i usilne prośby i nalegania deputata przyjąłem te 15,000 rb. i sam procent naznaczyłem.

— A jeszcze i to wiedzieć trzeba — wtrącił komisarz, — że ten kapitał krwawo zapracowany na zielonym stoliku.

— Co nam do tego, dość, że go przyjąłem i dłużny jestem.

— Cóż bo to za nieroztropność, samemu tak się wikłać? Ale cóż mi do tego? No cóż będzie z naszym interesem?

Henryk stał z twarzą w ręku zakrytą, ciężko oddy-

chał, srodze uciśnione serce mało mu z piersi nie wyskoczyło, nakoniec odsłoniwszy oczy z łez jeszcze nie oschłe: „Ojcze! Matko! — zawołał — i wybyście nie inaczej zrobić mi kazali! Panie Podstoli! przedaję cały mój majątek, co mi od opłacenia długów zostanie, za to na Podolu kupię sobie kawałek ziemi, albo wieś jaką zadzierżawię, ale będę spokojny na sumieniu, bo niczyja krzywda ciężyć na niem nie będzie. Jedno sobie waruję, oto człowiek! który na rządzie tego majątku lat 20 najpoczciwiej przesłużył i nic niema, mogęż prosić, ażeby na miejscu pozostał?

— Pozostanie. Cóż więcej?

— Mnie wolno będzie mieszkać w Brzezince do wiosny.

— Choćby i zawsze, cóż więcej?

— Nic, bo spodziewam się, że remanenta przy mnie zostają?

— Ani słowa przeciw temu. Więc skończono?

— Skończono! — rzekł ze smutnem, ale spokojnem obliczem, podając rękę Podstolemu i wyszedł. Podstoli odwrócony chrząkał znowu i dobywał pieniądze, rządca rachował po 45.

— Co wm. pan piszesz?—zawołał Podstoli—po 75, a Brzezinka po sto. Wymówiłem się i cofać się nie powinienem.

— To wszystko jw. panie wynosi około 60,000 dukatów.

— Ciszej no wm. pan! pamiętaj, że teraz moim już jesteś oficjalistą i do mojej stosuj się strony. Oto są pieniądze! Poproś tu starościca! ale z nim o mnie ani słowa, rozumiesz mię?

Rządca udał się do Henryka, a idąc mówił sobie: „Boże! dzięki Tobie! memu dobremu panu jeszcze niezły fundusz zostaje.“

U starościca było jeszcze dwuch wierzycieli na dzisiejszy termin, a tych rządca uspokoił zapewnieniem, że dziś pieniądze odbiorą. Henryk wszedł do salonu, na stole

rozłożone były bilety bankowe, asygnaty, weksle Alperyna i równie ważne jak Alperyna bilety, rewersa znakomitych podolskich obywateli. Podstoli stał koło stołu zamyślony, ale skoro spostrzegł Henryka, postąpił ku niemu i z uśmiechem podając rękę:

— Za 700 dusz z górą 53,000 dukatów.

— A to zdaje się coś więcej, niż mi się należy.

— Brzezinka mówiłeś po sto.

— Ale reszta po 45.

— Nie, panie Henryku! nie chcę korzystać z twojego położenia, twoja majętność w tak pięknym stanie, że nie napróżno odezwałem się po 75. Daję co warte.

Starościc podał rękę podstolemu, podstoli objął go za szyję, całował, a Henryk uczuł na twarzy swojej ciepłe łzy starca i w uściśnieniu jego takiego doznawał zadowolnienia, że mu już Brzezinki nietyle żal było.

— No, bądź zdrów chłopcze! rozpłacaj się! o 5-tej czekam cię z obiadkiem.

— Ale może podstoli pozwoli sobie służyć jaką przekąską, już południe.

— Nie, mój Henryku! dziękuję ci! syty jestem, jestem szczęśliwy, bądź zdrów! o piątej czekam — i Podstoli wyszedł śpiesznie, Henryk wybiegł za nim, pomógł mu wsiąść do sanek, starzec raz go jeszcze uściskał i odjechał.

Zajęty rozpłacaniem się, Henryk nic nie myślał. Obrachowane porządnie długi niespełna 500,000 rub. as. wynosiły, wypłacał się więc wszystkim najrzetelniej, a zadowoleni wierzyciele, odchodząc, unosili w sercach swoich szacunek i życzliwość dla tak honorowego dłużnika. Uspokoiwszy się z wierzycielami usiadł odpocząć, na stole leżało pozostałych mu z całego miljonowego majątku 18,000 r. sr., na ziemi nie miał już ani kątka własnego. Wieś, która i ojca jego i jego urodzenia była świadkiem, przeszła pod obce imię, a przeszła z jego przyczyny, ale utrata majątku nie wyrzucała mu niczyjej krzywdy, ani żadnego hańbiącego postępku, może nawet w du-

szy odzywało się zadowolenie, że w tej stracie była jakaś zasługa. Siedział zadumany smutny, na licu łzy jeszcze nie oschły, ale ani wyrzekał, ani się użalał. Po godzinie wstał z krzesła, wzniósł ręce i oczy ku niebu i rzekł z rezygnacją: „Bądź Panie wola Twoja!“, zebrał potem resztę biletów i, zawinąwszy w papier cały ten fundusz, schował do szkatułki. Smutny był, ale spokojny na twarzy, jak i w duszy. O piątej, przebrawszy się, zajechał do podstolego, zastał dość gości, między którymi była i Kłosowska i prezes Suszczański Henrykowi dobrze znajomy i życzliwy. Po przywitaniu przyjaznem z podstolim obrócił się do prezesa, który go temi słowy powitał:

— Więc wyprzedawszy się z swojej fortuny, opuścisz nasze okolice?

— Nie wiem jeszcze co zrobię — rzekł Henryk ze smutnym uśmiechem — może tylko większą dzierżawę wezmę w tych stronach.

— Ale ci żal za ojczystą strzechą?

— Nie mówmy o tem, mości prezesie, to już nie powrócone!

— Czemuż jednak mnie się nie powierzyłeś, byłbym sam z tobą do stryja pojechał.

— P. podstoli wie przyczynę, dla której tego kroku dotąd nie zrobiłem.

— No, to teraz możesz już śmiało odwiedzić go i rzucić się w jego ojcowskie objęcie.

— Po kontraktach zaraz do niego pojadę.

— Tak daleko odkładać nie potrzeba, możesz i prędzej go zobaczyć.

Henryk poglądał po wszystkich, na wszystkich obliczach wesołość, na twarzy poczciwej Kłosowskiej łzy, tymczasem prezes, wyjąwszy z papierów na stole pięknie oprawny akwarel, podał go Henrykowi mówiąc:—„Otóż! to jest ten stryjaszek!“ — Na portrecie podstoli oddany był młodszym i w mundurze kawalerji narodowej. Ledwie Henryk spojrzał na portret, krzyknął: — „mój stryj! stryj mój kochany!“ i rzucił się w objęcia czekającego tej

chwili starca: „Synu mój! i zacnego nieodżałowanego brata mojego godne dziecię! Daruj mi! daruj próbie, przez którą chciałem cię poznać. Martwiłem cię, ale i sam bolałem, potrzeba mi jednak było zbadać twoje uczucia i poznać charakter. Chciałem się przekonać, czy łaskawy na nas prezes nie nadto był pobłażającym na wady młodzieńca. Nie wiele chwil, przepędzonych z tobą w interesie, dało mi poznać w tobie nieodrodne dziecię ukochanego mego Józefa. Pociesz się mój synu! Piękne twoje honorowe uczucia, honorową czynnością nagrodzone być powinny. Przywiązanie do ojcowizny, cześć pamięci rodziców, honorowe postępowanie z wierzycielami z ujmą sobie samemu, ujęcie się za nieznajomego krewnego, zjednały ci powszechny szacunek i zrobiły cię tak drogim sercu mojemu, jak gdybyś był moim synem. Twój majątek jak był twoim, tak i będzie z twoją ulubioną Brzezinką i dodatkiem wszystkiego, co posiadam. Oto masz słaby dowód uczuć, jakie we mnie natchnąłeś, przyjm go sercem synowskiem i szczęśliwy używaj". Henryk chciał się rzucić do nóg stryja, ale ten nie dopuścił i we wzajemnych objęciach stryj i synowiec ściskali się w milczeniu. Wesoło się odbył obiad u stryjaszka, który przywiózł z sobą kilkanaście butelek równoletniego z sobą węgrzyna i nim zdrowie nowopoznajomionych krewnych spijano. Wieczorem podstoli z Henrykiem i p. Kłosowską pojechali do matki narzeczonej p. marszałkowej, a matka i córka najmilej i stryja i synowca i piastunkę przyjęły. Przez dni kilka znajomi wydzierali sobie, można powiedzieć, stryja i synowca, to na obiad, to na wieczory. Ustęp tu skreślony jest prawdziwy i wielu jeszcze żyje, którzy na to patrzyli. Żyje i starościc! Przed dziesięciu laty czytał ten ustęp i wymógł na mnie przysięgę, że nazwisko jego zataję. Ale czas kiedyś to zacne imię poda pamięci.

ROZDZIAŁ VIII.

Mimo zmieniające się okoliczności, liceum Wołyńskie kwitnęło pod mądrym zarządem Jarkowskiego i innego dyrektora nie żądaliśmy. Profesorów więcej jeszcze przybyło, niektórzy zmienieni zostali. Nasz ukochany ks. Osiński przeniósł się do Wilna na przyznaną wysokim jego zasługom prelaturę. Często słyszeć mi się dały zdania o tym uczonym mężu, uwłaczające jego zasłużonej sławie, ja zaś inaczej o nim wspomnieć nie umiem, jak z wdzięcznością i uwielbieniem. Zarzucano mu próżność, któż jej nie posiada? Któż nie da się ułudzić pochwałom i zręcznemu pochlebstwu? Smutno wyznać, że między uczniami Osińskiego znaleźli się powodowani własnym interesem, zręcznie pochlebstwami swemi trafiający w tę powszechną słabość ludzką, którzy potrafili czasem obałamucić człowieka, tak godnego czci współziomków. Ale czemuż ci sami, głosząc słabość tak małą profesora, nie głosili jego zasług, nie powiem w literaturze ojczystej, bo te w całym kraju wysoko już były ocenione, ale czemu nie głosili jego cnót prywatnych, równie świetnych, jak naukowe zalety? Byłem nieraz naocznym świadkiem wylania się w czynie jego uczuć szlachetnych. Szkoła żałowała go jako znakomitego profesora, biedni płakali odjazdu ich dobroczyńcy. Osińskiego zastąpił uczony filolog Jakubowicz, głębiej może znający język łaciński od swego poprzednika, więcej może filologicznie rozbierający ten język, ale nie mający tego miłego daru wysłowienia się mową Cycerona lub Skargi, tego szczęśliwego oddania wymownie w tłómaczeniu myśli autora co do słowa, jak Osiński. Jakubowicz starszy latami, flegmatyk z temperamentu, znudzony ludźmi, nie miał tej ujmującej, przy całej nauczycielskiej powadze, uprzejmości, jaką się Osiński zalecał. Być może, że wykład Jakubowicza więcej był uczony, może nawet dokładniejszy, my jednak uczniowie Osińskiego, odtąd łaciną jego żyjemy, a Teodozy Sierociński najznakomitszym jego wykładu jest pomnikiem.

Z uczniów Jakubowicza nie znam biegłego w klasycznej mowie Horacego i Cycerona.

Mówiłem już wyżej o pięknych zdolnościach i starannem wypracowaniu w fizyce Jentza, zabrał go nam uniwersytet i wysłał za granicę dla udoskonalenia się na profesora technologji dla siebie. Nam przysłano Abłamowicza. Niepodobna jest utrzymywać, ażeby młody jeszcze Jentz wyrównywał nauką, usposobionemu pod okiem pierwszych profesorów paryskich, Abłamowiczowi. Zapewne młodemu nauczycielowi niedostawało wysokich znajomości nauk fizycznych, jakie posiadał mąż dojrzały i mający sposobność widzieć i słyszeć rzeczy, których w uniwersytecie wileńskim trudno się było wyuczyć. Wykład bowiem fizyki w uniwersytecie powierzonym był Drzewińskiemu, wysoce uczonemu, ale nie mającemu daru słowa, daru przelania w uczniów swojej nauki, to też uczniowie wileńscy o tyle tylko usposobieni byli w fizyce, o ile tego własną dochodzili pracą, o ile ze słuchania wykładu chemji Śniadeckiego i Fonberga nauczyć się mogli. Ale pracowitość Jentza i piękny dar wysłowienia, ale biegłość w matematyce i gorliwość w objaśnianiu wykładu zręcznemi i umiejętnemi doświadczeniami korzystnemi były dla uczniów i rokowały w Jentzu wielkiego profesora. Dodajmy i to, że jako uczeń krzemieniecki do ambicji okazania się dostojnym godności profesora łączył synowskie przywiązanie do liceum i w najgorliwszem spełnianiu swego obowiązku tego przywiązania dowieść się starał. Abłamowicz i wysoką naukę i szczęśliwy dar wykładania jej posiadał, ale szkoła była dla niego obcą, bo go nadzieja wyższej posady ominęła i zdawało mu się, że liceum szczupłem jest polem dla jego obszernych znajomości w fizyce, za mało godnem jego uczoności. Niechętny przybył do Krzemieńca i niechętnie przedmiot swój wykładał, chociaż ciągle nad sobą pracował, czytał i wiele czytał i wzbogacał się tem wszystkiem, co najnowszego z nauk fizycznych w Europie się pokazało. Ale z tych nabytków skarbów uczniowie jego nie wiele korzy-

stali. Abłamowicz lubił wiele mówić, mówił nawet przyjemnie, ale jak najmniej w swoim przedmiocie. Dosłużył lat swoich w uniwersytecie Kijowskim nie z większą, jak w Krzemieńcu wykładając przedmiot swój gorliwością, i tam życia dokonał. Zawczesny zgon Jentza za granicą zawiódł nadzieje Wileńskiego uniwersytetu, a nam zostawił smutne wspomnienie dostojnego kolegi.

Nauczycielowi mechaniki Zaliwskiemu dodany był za pomocnika uczeń krzemieniecki Miechowicz, wielkch zdolności człowiek. W r. 1818 ks. kurator wysłał go za granicę dla udoskonalenia się w mechanice i architekturze. Po trzech latach wędrówki po Francji i Anglji i korzystnem zwiedzeniu wszystkiego, co się do jego przedmiotów zastosować dało, wrócił Miechowicz i osiągnął z korzyścią liceum i szkoły mechaników katedrę, zajmowaną dotąd przez wysłużonego Zaliwskiego. Wykład Miechowicza był jasny i wymowny i uczniowie wiele z niego korzystali. Znał architekturę doskonale, uczył jej z wdziękiem, ale w budowaniu nie był dość szczęśliwym. Wszystkie jego budynki były bez gustu. Nie jako więc architekt, ale jako uczony profesor sławę po sobie zostawił.

Pięknie nam na katedrze, zajmowanej przez Słowackiego, Osińskiego i Felińskiego, wymowy i literatury ojczystej zajaśniał wychowaniec szkoły naszej. Korzeniowski Józef spełnił przepowiednię Felińskiego. Kilkoletnim pobytem wpośród uczonych mężów Warszawy, gorliwą pracą własną, rozwinął i wykształcił wysokie swoje zdolności. Odżyli w nim Osiński i Feliński i audytorjum jego nie sami zapełniali uczniowie. Obszerna znajomość dzieł ojczystych i obcych, doskonałe wygotowanie się na każdą prelekcję, a nadewszystko płynne tłómaczenie się, głos przyjemny i dźwięczny przy pięknem obliczu i skromnem ułożeniu ściągały mu licznych słuchaczy i wszystkich serca jednały.

Nie umiem sądzić, jak dalece usposobionym był w

nauce prawa Aleksander Mickiewicz [1]), ale przez lat wiele świadkiem byłem postępu uczniów, słuchających wykładu tej nauki Jaroszewicza. Korzyść, jaką odnosili synowie obywatelscy z wykładu tego uczonego profesora, i słodycz charakteru z powagą nauczycielską złączona, jednały mu synowskie przywiązanie uczniów i najprzyjaźniejszą życzliwość i wysoki szacunek obywateli. Nigdy nie zapomnę tryumfu Jaroszewicza na egzaminie, nie pomnę tylko w którym to roku. Jaroszewicz oznajmiał młodych z procedurą sądową, wskazywał jej nadużycia, wytykał błędy i odkrywał drogę prawego sądu. Dlatego brał zawsze jakąś sprawę w powiatowym sądzie, i utworzywszy z uczniów cały areopag, naznaczał adwokatów stawających w obronie stron obu. Na wspomnianym egzaminie mnóstwo znajdowało się gości, między innymi sędzia powiatowy Sokołowski, biegły jeszcze Lubelski prawnik, urzędnik prawy, najzacniejszy człowiek, sędzia od lat kilkunastu. Tocząca się obecnie w sądzie uczniów sprawa, toczyła się i w powiatowym sądzie pod prezydencją Sokołowskiego, ale jeszcze osądzoną nie była. Na egzaminie rzecz działa się urzędownie, zasiedli sędziowie i pisarz, przywołano aktoraty; odważne, wymownie, lecz skromnie tłómaczyli się patronowie, a spory ich z granic delikatnej przyzwoitości nie wychodziły, nakoniec stronom na ustęp kazano, sędziowie naradzali się o sąd ostateczny. Sędzia Sokołowski z natężoną uwagą słuchał wywodu sprawy, obrony stron obydwuch i zdania sędziów, robił zarzuty, wskazywał wpływy uboczne, ale młodzi, bezpieczni swojem usposobieniem, i tchnący duchem pra-

---

[1]) Aleksander Mickiewicz (1801—1871) brat młodszy Adama. Wykładał prawo w liceum Krzemienieckiem. Po zamknięciu (1832) wykładał prawo rzymskie w uniwersytecie Kijowskim. Stąd przeniesiony do Charkowa. Po wysłużeniu emerytury, zamieszkał pod Kobryniem w posiadłości Gubernia, gdzie życie zakończył. (M. Dubiecki: Młodzież polska w uniwersytecie Kijowskim przed r. 1863. Kijów, 1909).

wości i szlachetności swojego nauczyciela, śmiało zbijali zarzuty, na wpływy uboczne stawiali wpływ uczciwości i zdrowego rozsądku, i silnie przy sprawiedliwości obstawali. Pokonany sędzia ustąpił. Nakoniec napisano dekret i stronom ogłoszono. Wtedy p. Sokołowski powstał i wziąwszy dekret z rąk uczniów, postąpił ku Jaroszewiczowi i z rozrzewnieniem w te słowa przemówił: „Czcigodny profesorze! Duch Czackiego unosi się nad wami i raduje. Odradzasz się w uczniach twoich i sam jeszcze młody mnie staremu prawnikowi dajesz naukę. Dekret, ferowany pod twojem okiem przez tych młodzieńców, będzie aktualnie dekretem w tej sprawie, skoro ta na stół przyjdzie. Nie wstydzę się wyznać, żeś mi wskazał drogę, jaką bogdajby szli wszyscy prawnicy! O, czemużeś nie zjawił się nam w epoce Lubelskich trybunałów! Dzięki ci i mojem i zebranych tu ojców imieniem, za wzór sądzenia, za przykład bezstronnej sprawiedliwości i za przelanie w dzieci nasze twoich uczuć szlachetnych". I sędzia i obecni obywatele uściskali profesora, a w parę tygodni potem dekret uczniów Jaroszewicza sąd powiatowy Krzemieniecki ogłosił. Takiego to profesora, takiego miłego w pożyciu współkolegę wydarł nam uniwersytet Wileński, i na jego miejsce przysłał, może wysoko uczonego profesora, ale człowieka zarozumiałego i nietowarzyskiego. Aleksander daleko został za Adamem!

Szkoła Krzemieniecka sławiła się uczniami matematyki, Wilno nawet nie mogło nie przyznać jej tej wyższości. Wspomniałem już o nauczycielu Strzeleckim. Wykładał on tę naukę podług wydanej przez Czecha arytmetyki. Wilno nie przyjęło tego dzieła za elementarne, ale Strzelecki podług niego uczył szczęśiwie, bo je prawdziwie zrozumiał, bo je umiejętnie do praktyki zastosować potrafił, a przez to młodociane umysły i rachować nauczył i do słuchania korzystnie wyższych matematycznych nauk usposobił. Ze Strzeleckim zstąpił w mogiłę i klucz do arytmetyki Czecha i te tak ważne nauk matematycznych zasady, niepojęte następcom Strzeleckiego,

w ich ręku bezkorzystne zostały. Zacność jednak tego dzieła prof. Poliński poznał, ocenił i do użycia po szkołach jako prawdziwie elementarne zalecał.

Geometrji uczył brat prefekta, Wojciech Jarkowski, a chociaż go zwano p. matematyk, a małżonkę jego p. matematykową, umiejętność jednak p. Wojciecha nie sięgała za Euklidesa i Zaborowskiego geometrją i dwa rozdziały algebry. Ale p. matematyk pilnie wygotowany był na demonstrację każdego podania i nigdy w rachunku się nie mylił, to też można powiedzieć, że uczniowie z korzyścią wykładu jego słuchali. Nim Sciborski został dyrektorem, wykładał algebrę i matematykę wyższą. Miejsce jego zastąpił Mikołaj Czarnocki, uczeń Czecha, przynoszący zaszczyt i pociechę nauczycielom swoim. W tymże prawie czasie uniwersytet przysłał na prof. matematyki p. Wyżewskiego, człowieka wyższych umysłowych usposobień, biegłego matematyka, człowieka prawego i miłego w społeczeństwie. Kochany i szacowany od nas wszystkich, przesłużył z nami lata swoje w Krzemieńcu i w Kijowie i teraz w zaciszy domowej, dożywa lat poświęconych pracy, usłudze krajowej i szkole, którą całem sercem ukochał. Czarnocki do r. 1818 gorliwie, umiejętnie i korzystnie przedmiot swój wykładał i miłym charakterem wszystkich życzliwość sobie zjednywał. Mała słabość liszajów na twarzy przestraszyła i pomięszała umysł, naczytany dzieł lekarskich: Czarnocki samobójstwem piękne swe życie zakończył. Na jego miejsce uniwersytet przysłał nam ucznia naszego, którego wielkie zdolności w młodzieńcu jeszcze i przyszłe wydoskonalenie Czech i Sciborski przepowiedzieli. Lubo Czarnocki dzielnym był profesorem i powszechnie był żałowany, szkoła nasza jednak nic nie straciła na zastępstwie jego przez Hreczynę. Hreczyna [1]) uczył algebry i miał dar szczęśliwy

[1]) Hreczyna Grzegorz (1796—1840), matematyk, uczeń uniwersytetu Wileńskiego. Wykładał geometrję i algebrę w liceum Krzemienieckiem. W r. 1834 został nadzwyczajnym profesorem matematyki w uniwersytecie w Kijowie. W r. 1839 przeniesiony do Charkowa, gdzie życie zakończył.

skrócenia wykładu, bez nadwerężenia jego istotnych zasad. W Kijowie i uczył świetnie i wydał algebrę, którą za elementarną przyjęto; przeniesiony do Charkowa na profesora uniwersytetu, nagłą prawie śmiercią młode jeszcze życie zakończył.

Niedoskonałość krajowego rolnictwa silnie dawała się uczuć przy środkach coraz więcej rozwijających się spieniężenia płodów krajowych. Wielu z obywateli własnym popędem poprawiali zastarzałym systematem prowadzone gospodarstwo, wielu szukało w obczyźnie wzorów tak ważnej dla kraju naszego agronomji. Zjawiła się szkoła Thaera. Sława nowych, a wielce korzystnych w gospodarstwie wiejskiem, odkryć i sposobów działania ściągały do Moeglina uczniów z całej Europy. I my nie byliśmy ostatni w szukaniu prawideł oświecających w tak ważnej dla nas nauce. Mnóstwo naszych współziomków zapełniało szkołę Thaera i nabyte w niej światło po kraju roznosiło. Z Krzemieńca Michał Fryczyński [1]), po ukończeniu nauk w liceum, udał się z pomocą ks. kuratora do Moeglina i tam po trzech latach najgorliwszej pracy nabył nauki w teorji i praktyce i poważanie nauczyciela swego pozyskał. Po powrocie do kraju został profesorem agronomji w naszem liceum, a na wzorową fermę dano mu wieś Sapanów, należącą, jako i całe starostwo Krzemienieckie, do liceum. Dokładna znajomość przedmiotu i dar pięknego wysłowienia się zalecały młodego nauczyciela i sława jego daleko się rozniosła. Uniwersytet nie miał szczęścia dostać człowieka, odpowiadającego wszystkim wymaganiom nauki; cudzoziemcy, którzy wykładali agronomję, musieli walczyć z trudnością języka i ze zwykłą nieprzychylnością naszą dla Niemców, szło więc ciężko, i koszta były daremne. Fryczyński ściągnął na siebie uwagę uniwersytetu, rodak i pięknie usposobiony w agronomji, odpowiadał zupenie wymaga-

---

[1]) Michał Fryczyński, wykładał agronomję w liceum Krzemienieckiem; potem był dyrektorem instytutu agronomicznego w Zameczku pod Wilnem.

niom uniwersytetu. Przeto, zaledwie zaczęła się rozszerzać między uczniami ochota oddania się tej tak użytecznej nauce, zaledwie ferma wzorowa, czyli ćwiczenia praktyczne w agronomji rozwijać się zaczęły, uniwersytet zabrał nam Fryczyńskiego i zamknął pożądaną szkołę. Mieliśmy tedy niepospolitych ludzi z naszych wychowańców. Czarnocki, Miechowicz, Jentz, Korzeniowski, Hreczyna, Fryczyński, świetnie odznaczyli się i wysokiemi usposobieniami i biegłym wymownym powierzonych im przedmiotów wykładem. Uczniowie krzemieniecey dostojni byli zajmować z korzyścią uczących się i sławą szkoły, katedry w liceum, ale Wilno nie dość nam życzliwe było. Często zdatni, pięknie usposobieni Krzemieńczanie, albo ustępować musieli wychowańcom uniwersytetu, z którymi nie wiedząc co zrobić, uniwersytet w nasze strony wysyłał; albo, pozyskawszy uważenie rady uniwersytetu, zostawać musieli w Wilnie, albo dawszy się poznać na łonie szkoły matki, z tego łona z żalem matki wydzierani byli.

Rok 1822 szedł dobrze pod zarządem Jarkowskiego, ale lata jego wysługi dobiegały swojego kresu. Czcigodny starzec wzdychał do spokojności, byłby jednak chętnie przyjął dostojeństwo dyrektora i zrobił ofiarę ze swojej spokojności, gdyby go był uniwersytet tym ciężarem obarczył. Ale okoliczności się zmieniały, szef Drzewiecki już się usuwał od Krzemieńca, uniwersytet coraz więcej wpływał na losy liceum i nie zdawało się, aby o podwyższeniu tej szkoły myślał. Wszystko jednak szło dawnym porządkiem, nawet zabawy, bo liczba zamieszkałych w Krzemieńcu obywateli nie zmniejszała się. Niektóre domy wyniosły się, na to miejsce inne przybyły. Jarkowski czuwał nad młodymi i zabawy na zepsucie ich żadnego wpływu nie miały. Cały ten rok, szczególnie od wiosny, przepędziłem na ekskursjach w Podolu, Ukrainie i gubernji Chersońskiej na koszcie koronnym z funduszów licealnych. Do tego funduszu wiele się przyłożyli: hr. Wacław Rzewuski i hrabiowie Piotr i Joanna Moszyń-

scy. Główne siedlisko moje było w Zawadówce w zacnym domu Lipkowskich. Nigdy nie zapomnę przyjacielskiej ich uprzejmości. Wdzięczność moją wyraziłem im w zdaniu uniwersytetowi Wileńskiemu sprawy z moich ekskursji i to uczucie równie i dziś, po upływie lat tylu w sercu mojem trwające, do grobu z sobą poniosę. Lipkowscy blizko spokrewnieni z Antonim Jaroszyńskim, a że te obydwa domy dobrze mi znajome, miło więc wspomnieniu ich ten rozdział poświęcić.

Sprawy domowe rodzin nie mogą nie interesować współrodaków, są bowiem obrazem zwyczajów, obyczajów i mniemań wieku, są dziejami prywatnemi, a należą do dziejów narodowych. Gdyby każda rodzina pisała swoje pamiętniki, to z opisanych rozmaitych okoliczności wypłynęłoby niemało ważnych dziejowych wypadków i rzecz czasem na pozór mała, niemałeby na dzieje ojczyste rzuciła światło. Ale potrzeba ażeby rzetelność, szczerość, prawda prowadziły pióro piszącego, ażeby egoizm nad innemi uczuciami nie panował. Czemuż nie mamy z otwartością spowiadać się z błędów naszych? Czemuż skromnie a rzetelnie o naszej zasłudze wspomnieć nie mamy? Suum cuique oddać należy Paska z rozkoszą czytamy, a przecież Pasek nietylko o wypadkach krajowych, ale i o sobie mówi i o szczegółach jego tylko osobiście dotykających. Dziś to wszystko nam miłe budzi wspomnienie przeszłości ojczystej. W moich ramotach starałem się prawdą kierować, mówię o wszystkiem i o wszystkich tak, jak widziałem i sądzić mogłem. Być może szczegół jaki niedość wiernie pamięć dochowała, może i sąd mój o rzeczach i osobach nie zawsze trafny; kto błędne opowiadania poprawi sądem na dowodach opartym, poprawę z wdzięcznością przyjmę. Wszak ja nie dla świata pisałem; notatki moje zbierałem, chcąc tylko dzieciom moim wspomnienia ubiegłych lepszych czasów zostawić. Przyjaciele wydarli zapomnieniu błahą pracę moją i kazali ją przed światem ogłosić. Krytyki się nie lękam, bo sam pierwszym kry-

tykiem pisma mojego jestem i wyznaję, że te bazgraniny na żadną recenzję nie zasługują, że ani zdolności ani daru pisania nie posiadam. Piszę jednak, i co mi się jeszcze z przeszłości w starej pamięci odrodzi, na papier przeleję.

Niknęły i coraz więcej nikną olbrzymie niegdyś fortuny magnatów, imiona ich nawet upadają. Majątek Szczęsnego Potockiego przewyższał wszystkich majątki na Ukrainie i nie było prawie powiatu w Bracławskiem i Kijowskiem województwach, gdzieby choć jednego klucza nie posiadał [1]). Działem rozdrobił się majątek na wiele sched, niektóre z nich ledwie ocalały. Na rozwalinach ogromnych fortun podniosły się szlacheckie majątki, bo nierachunkowość bogatych magnatów zmuszała ich pozbywać się zamożnej ojcowizny i często za mniej okazałą cenę odstępować szlachcie, bo szlachta w pocie czoła pracowała, szczędziła grosza, a tak zbierały się sumki znakomite, które magnaci protekcjonalnie, jakby z łaski na procenta przyjmowali i na zbytki trwonili, a szlachta należytość swoją najczęściej w ziemi odbierała. Przed połową obecnego stulecia, już Czartoryskich, Potockich, Rzewuskich, Chodkiewiczów, Lubomirskich fortuny

---

[1]) Do Szczęsnego Potockiego należały między innemi klucze Mohylowski, Brahiłowski, Chaszczowacki, Teplicki, Kalnicki, Daszowski, jako też liczne starostwa, które z czasem odpadły. Należały do niego dobra Tulczyńskie, 1 miasteczko i 36 wsi, Hołowaniewskie, 2 m-ka i 66 wsi, Niemirowskie, 1 m-ko i 49 wsi, Humańskie 5 m-czek i 150 wsi. Majątek ten roztrwoniony został prawie doszczętnie przez zapisy, działy, marnotrawstwa i darowizny. Przyjaciołom z konfederacji Potocki zostawił piękną pamiątkę. Dyzma Tomaszewski dostał Pieniążkową, Złotnicki — klucz Obozowiecki, Rudnicki — futor koło Humania, Moszczeński Adam — Krasnostawkę, Hulewicz — Stodulce. (Szczegóły: P o d o l e, Krauzego, B i b l. W a r s z., Antoni I. D w ó r T u l c z y ń s k i). Dobra Tulczyńskie sprzedane zostały w 1865 r. hr. Strogonowowi, który w r. 1874 odprzedał je rządowi. Obecnie zamek i ogród w ruinie. Nieco szczegółów u Kraszewskiego. (W s p o m. O d e s s y, J e d y s a n u i B u d ż a k u t. I).

znacznie się umniejszyły, a wzrosły szlachty, których dziadowie bogactwa swego na krocie nie liczyli, a którzy dziś miljonowe po ojcach fortuny dziedziczą. Do najbogatszych domów szlacheckich liczą się Sobańscy i Jaroszyńscy. Michał, Mateusz i Hieronim Sobańscy piękną otrzymali ojcowiznę w zeszłym stuleciu i do wysokiej potęgi ją podnieśli. Mateusz wcześnie ze świata zeszedł i opiekę nad małoletnimi synami bratu Michałowi odkazał, i nie zawiódł się w swem zaufaniu. P. Michał, najstaranniejsze dawszy synowcom wychowanie, znacznie powiększoną ojcowiznę im oddał. Mąż to był znakomity i wysoko poważany w obywatelstwie. Mówić o nim miałem już niejedną okoliczność i oddać hołd winny wielkim jego zaletom. Boh rozdzielał majątek Sobańskich od majątku Antoniego Jaroszyńskiego. Sąsiedzi tak blizcy, ludzie mądrzy, szacowali się wzajemnie, oddawali sobie sprawiedliwość, ale nie sympatyzowali z sobą. Sobański miał przewagę wyższego wychowania, a stąd i większej wziętości. Nie ujmował mu tej wyższości Jaroszyński, stosunki jednak ich były tylko sąsiedzkie, obywatelskie, ale ścisła przyjaźń nigdy ich nie łączyła. Można była i bogata rodzina Jaroszyńskich i dziś jeszcze niektórzy z nich miljonowe posiadają fortuny. Pan Zacharjasz Jaroszyński [1]), protoplasta całej rodziny, zostawił sześciu synów, każdemu po 600,000 złotych w ziemi. Ale jakaż to była cena ziemi w owych czasach? Dziś każda takowa scheda wdwójnasób tyleby wartowała. Synowie ci byli: p. Mikołaj stolnik i kawaler ord. ś. Sta-

---

[1]) Rodzina Jaroszyńskich dziś jeszcze należy do bardzo zamożnych na Podolu ros. Jeden z Jaroszyńskich, Józef, właściciel Babina „do własnych majątków“ drogą rozmaitych układów przyłączył także majątek Siedliszcze pod Winnicą, który niegdyś należał do Tytusa Szczeniowskiego. Zatarg z tego powodu znalazł miejsce w broszurze p. t. List Tytusa Szczeniowskiego pisany do Józefa Jaroszyńskiego (opuszczam). Lwów 1874, który wywołał sądy kompromisarskie i ostrą polemikę.

nisława; p. Antoni szambelan jk. mości i kawaler; p. Ignacy starosta, p. Wincenty marszałek, p. Hipolit podkomorzy i p. Czesław marszałek. Stolnik posiadał majętność Haraczkówkę i Miaskówkę, p. Antoni klucz Kuniański, p. Ignacy Dzwonichę z przyległościami, p. Wincenty klucz Dzygowiecki, p. Hipolit klucz Hubnicki, p. Czesław ojcowiznę Tywrowską. Majątki te pracą i mądrą administracją spadkobierców wzrastały, ale niczyja fortuna nie pomnożyła się tak potężnie, jak p. Antoniego. Klucz Kuniański może ze wszystkich był najznaczniejszy, ale p. Zacharjasz z nim razem, kilka ważnych procesów synowi odkazał. P. Antoni, mimo wielki rozum i dar szczęśliwy rządzenia pomyślnie majątkiem, miał ciężkie kłopoty i trudy ze swoją schedą i Bóg wie, kiedyby się i jak z nich otrząsnął, ale los był mu życzliwy i ożenieniem postawił go na nogach. Panna starościanka, Józefa Jełowicka, jedynaczka w pośród trzech braci, z ręką swoją przyniosła w posagu 300,000 złotych, ogromną w owych czasach sumę, i oswobodziła męża od kłopotliwych i kosztownych procesów. Odtąd pomnażał się majątek i urósł w miljony. P. Antoni nie odebrał wychowania starannego, jakie już w czasach jego młodości szlachta zamożna dzieciom swoim dać usiłowała. P. Zacharjasz, starej daty szlachcic Augustowskich czasów, więcej o zostawieniu synom majątku, niż o ich wychowaniu myślał i w zwyczajnym owej epoki rygorze trzymał. Młodsi ledwie cokolwiek staranniejszą edukację przyjęli. P. Antoni, od natury wielkim rozumem obdarzony, wyrobił w sobie ogładzenie wyższego społeczeństwa i zasłużył wziętość w obywatelstwie. Lubił czytać i czytał wiele i korzystnie, umiał ludzi oceniać i sprawiedliwość oddać zasłudze, a cierpiącej ludzkości lubił szczerem sercem podać dłoń przyjazną. Dziwny w nim był zbiór i wzniosłych uczuć i wad charakteru. Po ojcu został mu w spadku despotyzm domowy, nad którym często i rozum nie miał przewagi. Pobłażać nie umiał i często silnym unosił się gniewem. Obrażliwość, zmien-

ność humoru, zdaje się, że była raczej skutkiem drażliwości nerwów prawdziwie cholerycznego temperamentu i nie silnego zdrowia, niż wadą wrodzoną, bo nieraz świadkiem byłem, jak uniesienie gniewu szybko przemijało i znowu był uprzejmym i miłym w społeczeństwie; niekiedy jednak rozgniewanie takie w zawziętość przechodziło. P. Antoni jednego tylko miał syna. Młody Mikołaj rósł szczęśliwie i z latami rozwijały się w nim piękne umysłu i serca przymioty, ale powszechna podówczas u nas francuzomanja i w dom p. Jaroszyńskich wprowadziła jednego z owych napływowych rojalistów, którzy z Kondeuszami przywędrowawszy, cały nasz kraj zaleli. Francuz niewiele nauczył Mikołaja, a dziwacznem z nim obchodzeniem się zaostrzył i tak już z natury nieugięty charakter młodzieńca. Postrzegł się p. Jaroszyński, podziękował Francuzowi i dla syna wziął ludzi współrodaków. Ci więcej nauczyli, niż Francuz, ale charakteru opanować nie umieli. Starsi latami, nie starali się zniżyć do młodości i tym sposobem pozyskać sobie umysł i serce młodego. Nieugiętość charakteru Mikołaja nie podawała się surowemu prowadzeniu, ale przestrogom i radom przyjacielskim łatwo ulegała. Ale i ojciec, lubo nad życie kochał swego jedynaka, nie umiał jednak z nim utrzymać się na równowadze ojcowskiego przywiązania i przesadzonej surowości i często z jednej ostateczności w drugą przechodził. P. Antoni, kiedy go poznałem, najstarszym był i wiekiem i powagą i wziętością, i cała rodzina wielce go szanowała, a żaden interes familijny bez jego zdania i rady nie obszedł się.

Poznajmy jeszcze niektórych członków tej zamożnej rodziny. W r. 1814, kiedy raz pierwszy bawiłem w Kunie, p. stolnik już nie żył, pani stolnikowa mieszkała w Haraczkówce. Wszystkie trzy córki jej były już zamężne. Najmłodsza i najpiękniejsza Honorata była żoną Wacława Jełowickiego, brata pani Antoniowej. Mąż jej, podobnie jak ona, najmłodszy i najpiękniejszy z braci, z wyższem wychowaniem, łączył dar szczęśliwy podo-

bania się wszystkim. Panna Honorata wyszła za niego z miłości, pożycie ich było piękne i Bóg pobłogasławił im pięknem potomstwem, mieli trzech synów i najmłodszą córkę Hortensję. Nie wiedzieć z jakich powodów pani Wacławowej uprzykrzyło się z mężem, opuściła go i przy matce zamieszkała. Krzywo na to patrzał p. Antoni, a gdy się sprawa przed niego wytoczyła, znając wszystkie zalety p. Wacława, ulubionej Honorci, bo ją więcej nad wszystkie synowice nawidził, kazał wracać do męża. Nie było co robić. P. stolnikowa mimo przywiązanie aż do słabości dla córki, musiała uledz wyrokowi głowy całej rodziny. Byłem w Kunie, kiedy się ta sprawa toczyła i wyrok zapadł. Pani Honorata miała rozum męski, staranne wychowanie i dar rzadki pięknej wymowy. Byłaby to wzorowa niewiasta, gdyby nie słabość niestałego charakteru kobiecego. Niedługo znowu rozstała się z mężem i poszła do rozwodu. W tym czasie zjawił się w tamtych okolicach obywatel Wołynia, p. Zyłok Kamiński, żonaty i ojciec dwojga czy trojga dzieci. Piękna powierzchowność i piękne prezentowanie się ujmowały mu wszystkich i pięknej rozwódce przypadł do serca. Czy istotnie z miłości, bo można było zakochać się w kobiecie pięknej i rozumnej, czy może był w tem jaki interes, p. Zyłok rozwiódł się z żoną dla pani Jełowickiej. Nieszczęśliwa p. Zyłokowa o sprawie rozwodowej nie wiedziała i dekret rozwodu w domu pani Kurdybanowskiej, matki męża, samobójstwem przypłaciła. Wiadomość ta doszła p. Zyłoka w domu p. stolnikowej i odegrała się komedja żalów i płaczów po stracie żony obok kochanki. Scena ta zraziła p. Antoniego dla Zyłoka, niechętnie patrzał na zakochanie się synowicy, ale już rzeczy cofnąć się nie mogły, pani Honorata wyszła za ulubionego. Byłaż z nim szczęśliwa? Nie! bo zaledwie urodziła się im córka, rozstali się na zawsze. P. Zyłokowa wróciła znowu do matki i nigdy szczęśliwą nie była. Los mścił się za opuszczenie pierwszego męża.

O p. Janie Jaroszyńskim, synu stolnika, mówiłem

już wyżej. Charakter tego człowieka był dziwny, niekiedy łatwy aż do słabości, częściej uparty, nie podający się panowaniu zdrowego rozsądku. Był to typ bogatego jedynaka, wychowanego w pieszczotach matki i w surowości niezawsze na swojem miejscu, przywiązanego do dawnego trybu wychowania p. stolnika. Nie dziw więc, że postępowanie p. Jana w całem życiu było dziwaczne i pożycie z nim trudne. Gdyby nie jego dziwactwa i przyjęte za jakąś tęgość nieokrzesanie, z drugą żoną mógłby być szczęśliwym. Mieliśmy dowód tego przez pierwsze trzy lata ich pożycia, dopóki panna Klara, córka Hipolita Jaroszyńskiego, bawiła przy nich. Zdrowy rozsądek tej damy, delikatność i takt w utrzymaniu między małżeństwem równowagi wpływały silnie na charakter p. Jana i utrzymywały w granicach przystojnego prowadzenia się, a nieco egzaltowaną panią Annę potrafiły zrobić więcej prozaiczną i byli szczęśliwi. Ale po trzech latach panna Klara wyszła za pana Czarnomskiego [1]), i anioł opiekuńczy, anioł pokoju opuścił stadło, które dopiero okazało się, jak niedobrane było. Rozwiedli się. P. Anna wyszła za doktora Urbana, nie była i z nim szczęśliwą, ale mężnie znosząc swoje cierpienia, młodo ze świata zeszła. P. Jan po raz trzeci się ożenił, a czy to że żona miała więcej tęgości ducha i więcej była naturalną, czy też może wiele umiarkował namiętności p. Jan dopiero w trzecich ślubach dobrym był mężem. Jan nie miał przyjaciół, ani ich sobie pozyskać nie umiał, nawet między rodziną.

Młody Mikołaj Jaroszyński przy całej tęgości charakteru, miał serce czułe, serce kochające. Piękne umysłu i serca przymioty, staranne wychowanie i pewna godność w postępowaniu dawały mu wyższość nad wszystkimi braćmi, ale potrzeba oddać sprawiedliwość pp. Ja-

---

[1]) Obecnie siedzibą wnuka jest wieś Czarnomin, na Podolu, przemianowana tak z osady Rozbójnej, leżącej nad szlakiem Szpakowym.

roszyńskim, że lubo uznawali tę wyższość, umieli ją ocenić i braterskie dla Mikołaja mieli uczucia. Mikołaja kto tylko poznał, pokochał i szacunkiem swoim otoczył. Powie mi kto może, że zalety przyznane temu młodemu człowiekowi są przesadzone, że niepodobna, ażeby człowiek z tak wzniosłym umysłem, z tak szlachetnemi uczuciami, tak okropnie życie zakończył. Ale jeżeli wejrzymy na zbieg okoliczności, w jakich się ten młody człowiek znajdował, jeżeli wspomnimy sobie, jakie były charaktery ojca i syna, mniej może dziwnem zdawać się będzie samobójstwo Mikołaja. Smutna to historja! — Żal wspomnieć, że młodzieniec wielkich nadziei, że wzór szlachetności uczuć, że przyszła podpora ludzkości, tak marnie zniknął ze świata! Skutkiem surowego wychowania jest zawsze gwałtowne wybuchanie tłumionych namiętności. Mikołaj w roku ośmnastym życia pałał najżywszą pierwszą miłością dla Eleonory Czetwertyńskiej, ta miłość ochłodła i zagasła, wznieciła się inna, i podobnież przygasła, aż póki inna, roznieciwszy się silniej nad poprzednie, nie strąciła go do grobu. Despotyczny charakter p. Antoniego nie dopuścił nigdy rozwinąć się ufności synowskiej w Mikołaju. Potrzeba było kogoś trzeciego, ktoby rozsądnie i delikatnie sprowadził zwierzenie się syna ojcu, usposobionemu wprzódy do takiego zwierzenia, ale takiego trzeciego nie było, bo choć i był kto w domu świadomy skrytości Mikołaja, nikt jednak nie stał się pośrednikiem, wszyscy bali się p. Antoniego. Jedna była osoba, mogąca pomyślnie działać, panna Antonina Iwaszkiewiczówna, bo ta i zaufanie p. Antoniego posiadała i Mikołaja, jak brata kochała. Ale ta była przy matce cierpiącej daleko od Kuny. Nie byłem świadkiem tej okropnej historij i znam ją tylko z opowiadania obecnych świadków i taką tu umieszczam. Dla opowiedzenia jej potrzeba zasięgnąć nieco dawniejszego czasu. Kiedy jeszcze bawiłem przy Mikołaju w r. 1817, byliśmy na kontraktach w Kijowie. P. Antoni po kupieniu majętności u ks. Czartoryskiego miał jeszcze pozostałe od

opłaty 500,000 złotych. Potrzeba takiego zdarzenia, że pani hetmanowa Rzewuska haniebnie zawiedziona przez jednego ze swoich wierzycieli, w ciężkim znajdowała się kłopocie. P. Jaroszyński najszlachetniej ofiarował się jej ze swoją pomocą i wysoki szacunek tej czcigodnej damy pozyskał. Stąd zawiązały się stosunki przyjazne i p. hetmanowa powzięła zamiar połączenia kuzyny, bawiącej przy niej, kasztelanki Aliny Rzewuskiej z Mikołajem i tę myśl swoją powierzyła p. Romualdowi Steckiemu, wielce poważanemu przez p. Antoniego, i mnie jako przyjacielowi Mikołaja. Nie od myśli był ten projekt dla Jaroszyńskich, bo przemawiały za nim i panna pełna najpiękniejszych przymiotów i połączenie się ze znakomitą rodziną, ale że i p. Alina i Mikołaj byli bardzo jeszcze młodzi, rzecz poszła w odwłokę i kilka lat upłynęło. Tymczasem interesa p. hetmanowej się zawikłały, a siostra panny Aliny, pani Hieronimowa Sobańska, rozstała się z mężem, stąd p. Antoni powziął wstręt do rodziny Rzewuskich. P. Stecki jednak zawiózł Mikołaja do Pohrebyszcz, zaprezentował pp. kasztelaństwu i młody człowiek wszystkich serca pozyskać sobie potrafił. P. Antoni zrazu okazał stąd wielkie swoje nieukontentowanie, ale uwagi p. Steckiego umiały trafić do przekonania ojca i synowi; tolerowanem było uczęszczanie do domu rodziców p. Aliny. Mikołaj poznał bliżej p. Alinę, poznał jakim jest skarbem takie serce, taki umysł i taka powierzchowność i w jego sercu rozwijała się skłonność wyższa i szlachetniejsza od pierwszych uczuć dla Eleonory. I ojciec, pokonany radami i namowami p. Steckiego, który umiał w pięknych barwach oddać sprawiedliwość świetnym zaletom kasztelanki i razem wskazać zaszczyt połączenia się z tak dostojną rodziną, zwolniał w swoich uprzedzeniach i skłaniał się do ożenienia syna z panną Rzewuską. Wszystko zdawało się dążyć do pomyślnego rozwiązania. Stałość w przedsięwzięciu Mikołaja zwyciężyła ojca, bo p. Antoni kochał swego jedynaka, i zezwolił nareszcie na ożenienie Mikołaja z kaszte-

lanką. Położył jednak warunek, że Mikołaj pojedzie na dwa lata na wojaż, a jeśli wróci z temi samemi uczuciami dla p. Aliny, to on sam pojedzie do Pohrebyszcz prosić pp. kasztelaństwa o rękę ich córki dla swego jedynaka i zaraz mu odda klucz Wasylowiecki w posiadanie, że tymczasem nie broni, ażeby młodzi widywali się i dali sobie słowo. Wszystkie te szczegóły słyszałem z ust p. Romualda Steckiego, cieszyłem się niemi i zbierałem się w wolnym czasie pojechać do Kuny i powinszować tak pomyślnego stanu interesów Mikołajowi. Ale w księdze wyroków przeznaczenie Mikołaja czarno zapisane było, i piękne zamiary los przewrócił i zniweczył. Niewiadomo mi, gdzie Mikołaj poznał p. Hieronimową Sobańską, ta nietylko wdziękami siostrę przewyższała, ale wzniosła się nimi nad wszystkie piękności współczesne. Do tego wysokie ukształcenie i prześliczna wymowa w ojczystym i w obcych językach przy bystrym dowcipie, wszystkich, kto ją tylko poznał, serca podbijały. Ale nieszczęściem, pewna swych zalet, uniosła się w uczuciach i próżność z nich się wywinęła. Chciała i mogła podbijać i za jej wozem tryumfalnym, w różnych pętach, licznie szli niewolnicy. W sercu tak pełnem ognistych uczuć, jak Mikołaja, nie mogła nie zająć się silna namiętność. Skromna i cnotliwa Alina ustąpić musiała wymownej, żywej i wyznać potrzeba prawdę zalotnej Karolinie i Mikołaj pomnożył liczbę wielbicielów tej wdzięków królowej. Wina prowadzi do skrytości i winny przestępstwo swoje nietylko przed światem, ale i przed sobą ukryćby żądał. Mikołaj czuł swoją winę, możeby i zmyć ją pragnął, ale nie zdołał zwalczyć uczucia, podsycanego widokiem osoby, której zdawało mu się, że unikał, a przecież wszędzie ją znajdował. Namiętnościom jego nikt tamy nie stawił. P. Romuald, taki przyjaciel domu, światły człowiek, jedynie mogący wpłynąć na uleczenie zakochanego, pobłażał jego miłości, bo i sam jęczał w okowach czarodziejki. Wszystko spiknęło się na zgubę Mikołaja. Dla oderwania się może od namiętności, która go tyle drę-

czyła, zażądał jechać na ostatki zapust do Krzemieńca. Ojciec wyprawił go tak, jak na zamożnego młodzieńca pokazać się w świecie wypadło. Po powrocie miał Mikołaj zaraz wyjechać za granicę, czego ojciec żądał, a syn zawsze jakiś powód do zwłoki znajdował. Umówiono było, że Mikołaj, wracając z Krzemieńca, obróci drogę na swoją Wasylówkę do Pohrebyszcz, dawszy ojcu wiedzieć o dniu swojego przyjazdu, a ten dzień był naznaczony i Mikołaj nigdy nie chybił takowemu oznaczeniu. Nadszedł dzień ten fatalny. P. Antoni, nie mając wiadomości od syna, niespokojny wysyła wiernego swego kozaka Chwedorka do Wasylówki, a jeśli tam panicza nie znajdzie, każe mu jechać do Pohrebyszcz. Uspakajało nieco ojca, że syn pojechał w towarzystwie zaufanego przyjaciela p. Steckiego, niecierpliwie jednak wyglądał kozaka. Po trzech dniach wraca Chwedorko z doniesieniem, że panicza ani tu, ani tam, nie zastał. Wiadomość ta rozwinęła jakieś podejrzenie o postępowaniu syna, niezwłocznie zatem wysyła Chwedorka do Zwierchówki do p. Steckiego, z listem do syna rozkazującym, aby natychmiast wracał do domu. W życiu naszem, często napotykamy przyjaciół, którzy donoszą nam najnieprzyjemniejsze dla nas nowiny, sądząc, że tem miłą nam usługę oddają. Tak było z p. Jaroszyńskim: ktoś, czy z sąsiadów, czy ze swoich, mówią, że p. Czesław, ostrzegł go o istotnym stanie serca Mikołaja. Nie znajdą się wyrazy na oddanie gniewu p. Antoniego, ani jeść, ani spać nie może, chodzi tylko po pokoju w najgwałtowniejszem poruszeniu i dzień cały i noc, nikt się nie odważy przemówić do rozgniewanego i żona zbliżyć się nie śmie. Ciche tylko wzdychania i postronne szepty słychać po domu. Wszyscy oczekują, wszyscy spodziewają się, że z Mikołajem p. Stecki przyjedzie i burza wisząca nad domem spokojnie się rozejdzie. Nakoniec wraca kozak i donosi, że panicza znalazł w Sokołówce u p. Brzozowskiego, że tam jest pani Hieronimowa i p. Stecki. Wściekłość, że się tak wyrażę, ogarnęła p. An-

toniego. W godzinę nadjechał Mikołaj, ale sam; przyjaciel go odstąpił! Zadrżała biedna matka, widząc go samego, ojciec natychmiast wezwał go do swego pokoju. Co zaszło pomiędzy ojcem a synem, to za drzwi pokoju ojowskiego nie wyszło, ale popędliwość gniewnego ojca i rozpacz syna po wyjściu z tego sam na sam domyślać się każą, że okropna tam była scena. Łysakowski, zarządzający podówczas domem p. Jaroszyńskiego i od p. Antoniego lubiony i do Mikołaja przywiązany, opowiadając mi całą tę historję, co zaszło sam na sam między ojcem a synem, powiedzieć nie umiał. Mikołaj nazajutrz zaraz napisał do Steckiego desperacki list, gdzie i o odjęciu sobie życia nadmienia i wysłał z pismem wiernego sobie sługę. Mikołaj nie dał poznać matce stanu swojego serca, bo i matka zostawała pod żelaznem berłem domowego despoty i często uczuciom macierzyńskim milczeć kazała. Nikt go nawet o zamiar rozpaczliwy posądzać nie mógł, bo taką melancholijną spokojnością zimna rozpacz oblicze młodego człowieka pokryła, że nawet obecni wnosili sobie, że młody posmuci się i smutek przejdzie. Zdaje się, że z upragnieniem oczekiwał i spodziewał się przybycia przyjaciela pośpieszającego z radą i pociechą. W dzień zgonu, w swoim pokoju rysował obrazek św. Józefa dla matki, przy nim był kilku latami starszy wychowaniec i powinowaty Domaradzki. Mikołaj żartował z nim, uśmiechał się, a coraz w okno za posłańcem spoglądał. Jednym razem bierze fuzję w kącie stojącą i zapytuje Domaradzkiego, czy wie, jakto łatwa śmierć zastrzelić się. Domaradzki wyrwał mu z rąk fuzję i chciał unieść, ale Mikołaj zaczął się śmiać z przestrachu kuzyna: „Jakież z ciebie dziecko—rzeknie—cóż to, czy ty mię masz za warjata? Patrz, fuzja nawet nie nabita“,—istotnie na panewce prochu nie było. Uspokoił się Domaradzki. W pół godziny może potem ozwie się Mikołaj:—„Jaki ten mój Jędrzej ślamazarny; wczoraj wysłałem go niedaleko stąd z listem, a dotąd go jeszcze niema, proszę cię, idź dowiedz się, czy

nie wrócił i uważaj, żeby go papa nie obaczył".—Widząc i słysząc takie uspokojenie, Domaradzki usłuchał zlecenia i wyszedł, ale zaledwie był na rogu domu, wystrzał rozległ się po całym dworze i dziedzińcu. Domaradzki wpadł do pokoju, a zobaczywszy leżącego na podłodze, wyleciał osłupiały i bezmówny na dziedziniec. Usłyszał i p. Antoni huk wystrzału, usłyszał go sercem; instyktownie wybiegł do pokoju syna i ostatnie tchnienie jego odebrał. Dziwna była siła woli i moc temperamentu, kiedy go tak okropny cios obok syna nie obalił. Tyle znalazł w sobie mocy i przytomności, że pobiegł do żony, którą zastał na ganku w najwyższej niespokojności wypytującą wszystkich, co się to stało.—„Nic, nic—rzeknie p. Antoni—Józiu! okropne nieszczęście, Mikołaj się postrzelił".—„Ale żyje?"—zapyta matka z ciężkim bolesnym jękiem.—„Żyje, żyje, ale w tym stanie widzieć go nie możesz. Posłałem po doktorów".—I to mówiąc, wprowadził ją do pokoju. Serce macierzyńskie nie podołało ciosowi, p. Antoniowa omdlała. Nadbiegł z Haysyna doktór, a nie mając już co radzić zabitemu, całe staranie swoje poświęcił matce, która po wielkim ratunku ledwie wieczorem zmysły odzyskała. Pierwsze jej słowa były:—„Mikołaj mój! syn mój, jedyne dziecko moje, zabił się"—Pan Antoni klęczał koło łóżka i gorzkiemi łzami ręce żony oblewał. Rzewny i obfity płacz ulżył nieco zbolałemu sercu matki. Łysakowski w pierwszym zaraz momencie wypadku dał znać do Harpaczki i do Zawadówki. W parę godzin przyjechał p. Konstanty Jełowicki, brat p. Antoniowej, sam, bo żona mieszkała z dziećmi w Krzemieńcu. Wieczorem przyleciała, że tak powiem, chorążyna Lipkowska z bratem Józefem Boręckim i oddała się całkiem staraniom około biednej matki. Nazajutrz zaraz wyjechali pp. Jaroszyńscy do Hruzki w majątku Kublickim. Śledztwo uznało postrzelenie przypadkowe i śmierć naturalną. Zbiegła się cała rodzina Jaroszyńskich; czy współczucie nieszczęścia ich przypędziło? czy może nadzieja spadku po pozbawionym sukcesora

p. Antonim? niewiem, młodzi jednak wszyscy, szczerze zgon brata opłakiwali. Wspaniale oddano ostatnią usługę zmarłemu, liczni za trumną szli pokrewni i choć nie łzy, to oczy ocierali, a najszczerszy i prawdziwy był żal tych, co żadnych zamków na puściźnie po zmarłym nie budowali. Mówią, że Mikołaj zostawił testament, ale mu tak łeb skręcono, że go nawet ojciec nie widział. Administrację Kuniańskiego majątku powierzono p. Czesławowi, on się i pogrzebem zajmował i ciało synowca w grobie u Kapucynów złożył i szczerze zajął się Kuną, jakby przewidując, że kiedyś własnością potomków jego będzie. P. Antoni najsurowiej zalecił księżom Kapucynom, ażeby prócz familji, nikogo nie wprowadzano do grobu syna i księża bardzo się tego pilnowali. W rok prawie, dewotka jakaś z Łanowic z Wołynia przywędrowała do Kuny i do pani Łysakowskiej się wprosiwszy, z nią nazajutrz i do kościoła poszła. Dewotka z płaczem unosiła się nad dobrocią nieboszczyka panicza, wyliczała nieznane jego dobre uczynki i zażądała złożyć modlitwy na trumnie jego. Kapucyni nic w tem przyciwnego nie upatrując, wprowadzili ją do grobu. Bolesny krzyk wyrwał się z piersi dewotki i padła na trumnę bez zmysłów. Rzucili się do ratowania i p. Łysakowska i księża, ale kiedy podnieśli ją, odkrył się woal, spadł czepek, rozrzuciły się prześliczne warkocze, twarz dewotki zmieniła się w piękność wybladłą z boleści. P. Łysakowska poznała przebraną damę. Ocucona zaś podniósłszy się, dziękowała ze łzami księżom; 100 dukatów ofiarowała na kościół za duszę zmarłego samobójstwem dla niej. Była to p. Hieronimowa Sobańska. Świadków obcych nie było, księża milczeli, p. Łysakowska nie miała potrzeby zdarzenia rozgłaszać i rzecz się utaiła. Smutne były dalsze dni p. Antoniego, żal nieutulony starał się dobremi uczynkami osładzać, i czas boleść ojcowską ukoił. W dziale swego majątku połowę przyznał na własność żony, połowę między swoją rodzinę rozdzielił, wielu podupadłych zapomógł, lecz czemuż

nie dla wszystkich z jednakowem był usposobieniem?! W nieszczęściu tem, nikt z bliższej rodziny nie dowiódł p.p. Jaroszyńskim tyle współczucia, tyle bezinteresownej życzliwości, co p. Lipkowska. Ona pierwsza przybyła zapłakać z rodzicami i najtkliwszem staraniem otoczyć nieutuloną w żalu matkę, a skoro zebrali się bliżsi pokrewni, p. Lipkowska wróciła do domu, w rodzinnem swem kółku odświeżać łzami pamiątkę Mikołaja, więcej może od dalszych, niż od bliższych krewnych kochanego i żałowanego.

W jej to zacnym domu kilka miesięcy bratni miałem przytułek, pod ich gościnną strzechą po trudach moich wycieczek, miły odpoczynek znalazłem. Pani Lipkowska młodo owdowiawszy, matka dwuch synów małoletnich, mimo trafiające się korzystne partje, w powtórne związki małżeńskie nie weszła, całkiem wychowaniu swych dzieci oddana, dobrem ich umysłowem i materjalnem zajęta była. Bóg czcigodnej wdowie błogosławił. Zostawiony po mężu majątek piękny, ale interesami obciążony, staraniem swoim oczyściła, synom wyższe, ale narodowe dała wychowanie, w czem wielką jej był pomocą brat, p. Józef Borzęcki, znany i szanowany w całej okolicy. Szczęśliwa to była matka, dom jej przypominał dawne domy szlacheckie, gdzie przy nowej oświacie, staroświeckie nasze ojczyste panowały obyczaje. Synowie piękną postacią, pięknem wykształceniem i jeszcze piękniejszą duszą, powszechną życzliwość i szacunek zjednać sobie umieli i błogosławiono matkę tak zacnego potomstwa. Młodzi Lipkowscy nieodrodnymi byli synami poczciwych rodziców. Byłem świadkiem ich czynu doskonale charakteryzującego ich wzniosłe uczucia, ich przywiązanie dla matki. Ojciec ich zszedł ze świata bez testamentu, rząd wyznaczył opiekunów i najbliższą opiekę nad synami oraz administrację majątku matce powierzył. Dorośli synowie lat zupełnych, potrzeba było oddać im majątek. Pani Lipkowska z całą tęgością charakteru zdawała sy-

nom sprawę ze swojej administracji. Rachunki były ex asse et grano. Henryk i Leon w asystencji wuja słuchali rachunku szczegółowiej, a odebrawszy najrzetelniej wszystko ruchome i nieruchome, ucałowali rękę matki i odjechali z wujem w odwiedziny dalszej familji; pani Lipkowska została z niczem. Zabolało serce matki na taką oziębłość synów, płakała, ale nie wyrzekała przeciw ukochanym dzieciom. Na drugi dzień po tym akcie przyjechałem do Zawadówki i chorążyna ze łzami o dniu wczorajszym opowiadała. Ale zaledwie usiedliśmy do stołu, nadjeżdża posłaniec od paniczów z Haysyna z pakietem do samej pani. Najczulszy list z podziękowaniem za wychowanie i ocalony majątek i prośba, ażeby matka raczyła przyjąć przyłączony akt urzędowy dożywocia dla niej na Zawadówce i wszystkie remanenta na własność. Popłakaliśmy się wszyscy, a nie tylko matka i babka, ale i obcy obecni, błogosławiliśmy tym zacnym młodzieńcom. Cała ta sprawa ułożona już była przez nich w domu tajemnie, p. Józef nawet będący z nimi, w Haysynie dopiero o ich zamiarach się dowiedział. Czcigodna matka! czcigodne dzieci! Oba Lipkowscy młodo się pożenili, powdowieli i znowu się pożenili. Ścisłe stosunki przyjaźni łączyły ich z domem hrabiów Piotrostwa Moszyńskich, tam Henryk i żonę pojął, bawiącą przy hrabinie, generałównę Kołyszkównę. Ale ta niewiele lat z nim przyżywszy, czterech synów i dwie córki mu zostawiła. Wdowiec drugi raz, ożenił się z nieodrodną pięknych duszy przymiotów siostrą pierwszej małżonki. Dotąd żyje to zacne stadło i Bóg mu błogosławi. Leona pierwszą żoną była Krystyna Mańkowska, świetna najpiękniejszemi duszy przymiotami i mnóstwem talentów. Nie była piękną, ale w oczach tyle błyszczało rozumu, w twarzy było tyle wyrazu cnotliwej duszy, że p. Leonowa była kochaniem, uwielbieniem wszystkich, którzy ją znali. Był to anioł, była to wzorowa niewiasta. Trzeba wiedzieć, że chorążyna nawykła przez lat tyle do panowania, przy całej zacności swojego

charakteru, miała w sobie, to „ja chcę". Leon żywy z temperamentu, a do tego nieco pieszczoszek, nie zawsze temu matczynemu „ja tak chcę" ulegać umiał; pani Krystyna pośredniczką była między matką a synem, była aniołem pokoju. Ona słodyczą swego charakteru, swoim talentem i matkę ułagodzić i synowi potrzebną uległość natchnąć potrafiła. Święta zgoda i jedność panowały w domu, a chorążyna synowę, jak własną córkę kochała. Takiego to anioła stracił Leon,—płakali jej swoi, płakali znajomi, a matka do zgonu swego ulubioną Krzysię ze łzami wspominała. Chorążyna lat późnych dożyła, wnuki i prawnuki swoje kołysała i szczęśliwa na łonie dzieci i wnuków życie skończyła. Druga żona p. Leona z domu Kossowska, wnuczka owej sławnej w Polsce wdziękami Barbary z Bielińskich Kossowskiej, o której, wymieniając równe z nią dwie inne piękności, porównane z pięknością Wróżki Urieli, mówi Niemcewicz:

„I jakbyś widział świat podbić gotowe
Julją, Kossowskę i Aleksandrowę".

Julja z Lubomirskich Potocka, Rozalja z hr. Chodkiewiczów księżna Aleksandrowa Lubomirska i Kossowska, były trzy wzorowe piękności pod koniec zeszłego stulecia, nie tylko w Polsce, ale i daleko w obczyźnie sławne.

ROZDZIAŁ IX.

Zaraz z wiosny wyprawiłem się na moją ekskursję kosztem liceum naznaczonym mi przez ks. kuratora. Na ten rok stanowisko moje było w Berszadzie u hrabiów Moszyńskich, o których na swojem miejscu wspomnę. Opisywać całej podróży mojej nie mam potrzeby, część jej naukowa zawarta w raporcie moim i drukowana w Wilnie w 1823 r. Kilka jednak okoliczności, malujących zwyczaje i charaktery okolic i osób, zdawały mi się nie bez interesu, i tu je z moich notatek wypisuję. Położenia

nad dolnym Bohem nie są tak piękne, jak nad średnim, kraina to jednak wielce bogata w naukowe skarby, potrzeba więc było w niejednem miejscu dłużej się zatrzymać, i taki dłuższy pobyt wypadł mi w ostatniej wojennej osadzie, o mil 4 od Mikołajowa. Osady wojenne Nadbohowe, czyli posielenia Bohskich ułanów, w owym czasie wszystkie jeszcze były nowe i rozciągały się od Bohopola prawie, wszystkie pięknie zabudowane i utrzymane w wielkim porządku, pobyt szczęśliwy mieszkańców na oko wystawiały. Ale nie zawsze powierzchowność była wiernym obrazem istotnego stanu mieszkańców. Często w tych schludnych domkach mieszkał niedostatek i prawie nędza! Powiadano mi, że kiedy cesarz Aleksander I zwiedzał te osady w 1823 roku dla ukrycia niedostatku, nocami, z miejsca na miejsce przewożono stożki ze słomy i ustawiano je około chat, dla pokazania zamożności osadników; że na przejazd monarszy, rozdano na każdą chatę po bochenku chleba pięknie upieczonego i t. p. Mówiono nawet, że w Fedorówce monarcha, usunąwszy się od otaczającej go asystencji, przeszedł pod ostatnią w ulicy chatkę, pod którą zastał siedzącą na przyźbie starą niewiastę czysto odzianą i wdał się z nią w rozmowę, że jakoby ta miała opowiedzieć, że ten dostatek jest udaniem, że mieszkańcy są bardzo biedni, że żadnego wsparcia od zarządzających nie mają. Nadchodzący urzędnicy powiedzieli cesarzowi, że ta kobieta jest warjatka. Cesarz pokiwał głową, dał pięć rubli staruszce, westchnął i wsiadł do powozu. Nie zaręczam za prawdziwość tej anegdoty, w czasie jednak bytności mojej w Fedorówce, była to: la nouvelle du jour.

Po rannej ekskursji po nad Bohem w okolicach Fedorówki, wróciwszy, siedzieliśmy z bratem, towarzyszem podróży, w pierwszej izbie zajezdnego dworu przy stole i porządkowaliśmy nasze akwizycje, w drugiej izbie służący przyrządzał nam łóżko. Wtem zajechał przed dom modny kocz z pięknemi końmi; w powozie siedziały dwie

damy i oficer. Niewiele zwracaliśmy uwagi na zajeżdżających, ale oficer wszedł do izby i najgrzeczniej powitawszy, prosił, czybyśmy nie pozwolili w naszej kwaterze wolnego kąta, gdzieby damy ubrać się mogły. Nie uchybiając należnej grzeczności, kazałem służącemu oczyścić drugą izbę i dla przybyłych dam ustąpiłem. Damy dziękowały nam bardzo pięknie i zamknęły się w swoim pokoju, oficer został z nami i znajomość się zawiązała. Dowiedzieliśmy się, że jest majorem, zowie się Łopuchem, że damy są jego żona i ciotka, obie Polki z okolic Berdyczowa, że przyjechały na bal, dawany dla pułkownika przez oficerów pułku, i oświadczył nam, że, jako jeden z gospodarzów, na ten bal i nas zaprasza. Trudno było odmówić, a bratu memu chciało się użyć nóg do weselszego ruchu, niż drapanie po skałach, bo ładnie tańczył. Ubrałem się więc i pojechałem z majorem prezentować się solenizantowi. Uprzejmie przyjął gościa z tak dalekich stron, bardzo przyzwoity, rozsądny choć nieuczony człowiek. Źle to czasem wyobrazić sobie rzecz jaką, ze złej strony i uprzedzić się, że tak jest koniecznie, a tak było ze mną. Zdawało mi się, że w tej stepowej pustyni, w wojennej osadzie cóż mogło być światowego, w dobrym guście i w dobrym tonie? Ale jakże moje uprzedzenie ukaranem było! Począwszy od sali, zrobionej z namiotu i najgustowniej w broń przystrojonej i rzęsisto oświeconej, wszystko było wytworne, gustowne i etykietalne. Odesa [1]) dostarczyła damom najmodniejszych strojów, nasza jednak majorowa, może dlatego, że była najpiękniejszą, najlepiej się wydawała, chociaż całe jej

---

[1]) Czem była Odesa dla ludzi pokolenia Andrzejowskiego, można mieć dokładne pojęcie z notatek i szkiców podróżnych J. I. Kraszewskiego (W s p o m n i e n i a O d e s y, J e d y s a n u i B u d ż a k u t. t. 2, Wilno 1845). Dzieło to dotychczas nawet nie jest pozbawione literackiego i historycznego znaczenia dla szczegółów, zawartych w niem. Cenne wskazówki bibljograficzne do historji miasta i okolic.

ubranie w domu się robiło. Oficerowie, obyczajni, uważni, uprzejmi, gościom cywilnym we wszystkiem pierwszeństwa ustępowali i brat mój od dam do tańców był zamawiany. W przyjęciu, w zabawie, taki miły był ład, taka uprzejmość, taka elegancja, że się zdawało, że to jest w jakiemś wielkiem mieście zebranie. Wieczerza była pyszna, obóz cały oświecony, piękny fajerwerk uroczystości i okazałości balu dopełnił. Ale noc czerwcowa krótka, wschodzące przeto słońce zepsuło cały urok wspaniałej iluminacji. Wróciwszy do kwatery, spaliśmy długo wszyscy, majorostwo nazajutrz obiadem nas przyjmowali i w poufałej pogadance bawili z nami i wieczorem dopiero odjechali.

W Mikołajowie innego rodzaju czekała nas niespodzianka. Kwaterę miałem w tym samym domu, co i w roku przeszłym, a choć to był dom żydowski, nad obyczaj izraelitów czysty i porządnie utrzymany. Pierwszy pokój mieliśmy do pracy, drugi sypialny. W pierwszym, naprzeciw drzwi wchodowych, między dwoma oknami duże lustro, a pod nim stolik rozkładany, dwie kanapki i kilka krzeseł dopełniały umeblowania, a obok drzwi w kącie wygodna szafa na rzeczy podróżnych. Posadzka malowana i czysto codzień wytarta. Na trzeci dzień po przybyciu do Mikołajowa, zrobiwszy pomyślną ekskursję ponad Bohem, zasiedliśmy do porządkowania naszych zbiorów; ja przekładałem rośliny, brat ustawiał owady. Siedziałem odwrócony ode drzwi i w zwierciadle widziałem co się dzieje w pokoju. Pewnego razu postrzegam we drzwiach jakąś postać męską w szlafroku, w białej letniej czapeczce z cygarem w ustach. Nie dopiero widać przypatrywał się naszemu zajęciu i w lustrze badał nasze fizjonomje. Gdy nasze wejrzenia się spotkały, zapytał: „Można?“—„Można“—odpowiedziałem, wtedy nieznajomy zdjąwszy czapeczkę, bez żadnego powitania zasiadł trzecie krzesło przy stoliku i zapytał: „Jakim językiem rozmawiać będziemy?“ — „Po francusku“ — od-

rzekłem, widząc z akcentu, że nie jest Rosjaninem, „Dobrze—rzeknie—nie pytam w jakim celu jeździsz, bo zajęcie to okazuje, ani kto jesteś, badać nie chcę, ale mię interesuje miejsce, które cię wysłało, z którego tu przybyłeś". Woda to była na mój młyn; krótko więc, a starannie opowiadałem o naszem liceum. Wyznam szczerze, że i naszą szkołę świetnie wystawić chciałem i sam trochę popisać się z tem co umiem pragnąłem i udało się zainteresować uczonego cudzoziemca. Pogadanka stała się interesującą i przyjemną. „Merci, rzeknie mi na końcu — Gdzież stąd dalej podróż twoją obrócisz?"—„Do Chersonu i dalej ponad Dnieprem radbym pochodzić".—„Jedź do Porohów, nie będziesz tego żałować, i spadek rzeki i okolice piękne i ciekawe, niepodobna, ażebyś tam i dla nauki interesujących przedmiotów nie znalazł. Od najsławniejszego Porohu 40 wiorst tylko do Ekaterynosławia, proszę tam nas odwiedzić".—„Z kimże mam zaszczyt mówić?"— spytałem — „To ci niepotrzebne, bądź tylko u marszałka gubernjalnego Aleksiejewa, a tam znajdziesz miłe przyjęcie i tam się bliżej poznamy. A teraz jeśliście ciekawi, to możecie tu widzieć to, co nie często widzieć się zdarza. Dziś spuszczają z warsztatu nowy parochód, miło mi będzie was tam zobaczyć. Uroczystość to wielka, wszystkie władze wyższe będą tam zebrane. Teraz—rzekł dobywając piękny zegarek—jest dziesiąta, o jedenastej ma się zacząć ceremonja, czekam was w administracji".—To powiedziawszy, zapalił nowe cygaro, dla nas kilkanaście z eleganckiego porte-tabac na stolik wysypał, nałożył czapkę i, nie żegnając się, wyszedł. Zaintrygowała nas nie pomału ta wizyta, ktoby to był, ani nas gospodyni nasza oświecić mogła, mimo to decydujemy się jechać, a chociaż niepewni, czy nas tam puszczą, awanturujemy się i porządnie poubierani jedziemy. Przed bramą mnóstwo powozów i straż, ale oficer spostrzegłszy nas (ja byłem w moim mundurze nauczycielskim), zapytał,—„kogo mam honor spotykać?" „Jestem nauczyciel z liceum Wo-

łyńskiego z Krzemieńca — odpowiedziałem — a to mój brat". — „Proszę panów ze mną" — i wprowadził nas w obwód administracyjnych fabryk. Wszędzie widać mnóstwo zapasów najwyborniejszgo drzewa, wszędzie mnóstwo zwijających się ludzi, ale żadnych robót niema, bo to wielkie marynarskie święto. Przewodniczący nam oficer tłómaczył nam wszystko i w bardzo przyjemnej pogadance zeszliśmy nad brzeg Ingułu, gdzie się znajdują wszystkie warsztaty okrętowe. Tam na pomoście najniższym stał ów gmach morski, pod który podkładano walce i lewary. Za nim wyżej wznosił się szkielet wojennego o stu dziesięciu armatach okrętu, którego boki sześciocalowemi forstami obijać zaczęło. Całe świetne zebranie urzędników morskich zajmowało brzeg około pomostu. — Co nam z sobą zrobić? Nikomu nieznanych któż zaprezentuje? idziemy jednak, w tem z pośrodka zgromadzenia wysuwa się nasz pożądany nieznajomy protektor, ubrany w czerni z jakimś krzyżykiem à la boutonière i podając mi rękę: „charmé de vous voir ici" rzeknie, i poprowadził mię do admirała. Co z nim mówił, niewiem, bo po angielsku, dorozumiałem się tylko, że o mnie, bo wspomniał Krzemieniec. Admirał podał mi rękę i powiedział, że mu jestem bardzo przyjemnym gościem z tak sławnego naukowego instytutu, i że znał Czackiego i ks. kuratora i miło mi było słuchać, jak chlubnie o tych znakomitych mężach się odzywał. Greyg bardzo miłego był ułożenia, wesoły, nieco rubaszny, ale uprzejmie ze mną kilka minut o Krzemieńcu rozmawiał. Taka popularność naczelnika podała mię w poważanie, wielu więc innych dygnitarzy zbliżyło się ku mnie, każdy miał o co zapytać. Pamięć moja niedochowała ich nazwisk, a notatki zaginęły, nawet wice-admirała, który ze mną po polsku mówił, nazwisko przepomniałem. Jeden tylko został w pamięci, sławny szperacz starożytności Euxyńskich, pułkownik Blarenberg [1]). Uczony ten ar-

[1]) Blaramberg. Andrzejowski mylnie go nazywa Blarenbergiem. Badacz starożytności i osad greckich nad morzem

cheolog, długo ze mną rozmawiał i dał mi swój adres w Odesie, uprzejmie zapraszając, abym go w tem mieście odwiedził. Tymczasem na pokładzie parochodu odbywało się nabożeństwo poświęcenia statku, poczem, ta ogromna budowa blachą miedzianą do połowy swej wysokości obita, po pomoście nasmarowanym łojem i mydłem posuwać się poczęła. Nadzwyczaj szybko i zręcznie podsuwano wały i podstawiano lewary i posuwanie się to trwało około godziny, aż póki statek nie przysunął się na zawieszoną nad wodą połowę pomostu. Natenczas zważyły się dyle, a statek w mgnieniu oka z ogromnym szumem i łoskotem, mocno na jeden bok przechylony, zleciał do rzeki, 21 wystrzałów armatnich, liczne oklaski i huczne okrzyki szczęśliwe spuszczenie parochodu ogłosiły. Majster sam jeden spuścił się z parochodem i uroczyste admirała podziękowanie odebrał. Nastąpiło potem sute śniadanie na parochodzie, aleśmy z zaproszenia nie korzystali, bo czas dla mnie był drogi, nie mogłem go tracić, gdyż jeszcze szkołę pilotów i depo, wielce interesujące we względzie naukowym, miałem do zwiedzenia, w czem oficer, który nam przy wejściu na ceremonję towarzyszył, ze swoją usługą sam się oświadczył.

Szkoła pilotów czyli majtków dwojakich na ów czas wychowańców dawała, jedni wyuczeni czytać, pisać, cokolwiek rachować i wszelkich morskich manewrów, wychodzili na prostych majtków; drudzy, biorąc wyższe wychowanie i wyższych ucząc się przedmiotów, zostawali miczmanami, to jest oficerami najniższego stopnia, szli w służbę morską na flotę, a podług zdolności, usposobienia i zasługi wyżej postępowali. Na podziw pięknie

---

Czarnem. Historyk Olbji. Ważniejsze prace: Choix des médailles antiques d'Olbiopolis, ou Olbia (długi tytuł opuszczam). Paris. Firmin Didot 1822 8-o 10, 64 XX pl.

Antiquités découvertes en différents temps dans les ruines d'Olbia (opuszczam) I, II, III cat. Mss. własność Towarz. starożytności w Odesie.

instytut ten był utrzymany. Wszędzie czystość, ład i porządek, w uczniach przy młodocianej żywości, obyczajność w obcowaniu, posłuszeństwo dla zwierzchności, pilność w naukach, na uwagę i życzliwość wszystkich zasługiwały. Do ćwiczeń marynarskich, mieli na dziedzińcu okręt, wystający nad poziom tyle, ile na morzu nad wodę się wznosi, z całym potrzebnym przyborem. Miło było patrzeć, jak ci malce zręcznie i szybko, po sznurach, drabinkach i masztach wspinali się na górę lub na dół spuszczali, stosownie do znaku danego z umyślnie na to używanej piszczałki. W muzeum szkoły wiele ciekawych starożytności z Olbji i Kerczu widzieć można. Przewodnik nasz powiedział mi, że miejsce, gdzie była Olbja, o mil tylko dwie leży od Mikołajowa po prawej stronie Bohowego Limanu, naprzeciw Kislakówki, czyli Bohojawleńska, że osada na gruzach tego miasta zowie się Parutina i należy do jednego z pierwszych magnatów rosyjskich hrabiego Kuszelewa-Bezborodko. Ciekawość widzenia tak sławnego miejsca przemogła nad chęcią obejrzenia interesującego we względzie naukowym depo. Nazajutrz raniutko wyprawiliśmy się na wędrówkę. Przeprawa na łodzi, idącej po linie przez całą szerokość Limanu, nie długo trwała, bo ciche powietrze i spokojna woda sprzyjały żegludze, o ósmej godzinie byliśmy na miejscu, a ułatwienie i pośpiech przeprawy winniśmy byli wczorajszemu naszemu do szkoły pilotów przewodnikowi. Jest łacińskie przysłowie: nec locus ubi Troia fuit, tu można powiedzieć: vix locus, ubi Olbia fuit. Kupy gruzów, często nawet ziemią pokryte, nigdzie szczątków muru, poświadczają tylko znikomość rzeczy ludzkich. Teby, Ateny, Rzym, rozwalinami swojemi dają wyobrażenie swej wielkości; Olbji, ślady nawet przechodem hord barbarzyńskich zatarte, a jednak wygrzebywane z ziemi zabytki wskazują, że to było miasto wielkie, ozdobne i przemysłowe i dają wyobrażenie o świetnej jego przeszłości. Długo bardzo osadnicy Parutiny wzbogacali się zbywaniem wy-

kopywanych posągów, popiersi, nagrobków, ołtarzy, ułamków kolumn, naczyń marmurowych, bronzowych i glinianych, ozdób ze złota i srebra, mnóstwa monet i numizmatów po największej części z godłem Olbji. Hrabia właściciel, przekonawszy się o skarbach starożytności w ziemi jego zagrzebanych, wyrobił sobie najsurowsze zabronienie poszukiwań w gruzach bez jego wyraźnego zezwolenia. Woda tylko nie uległa żadnym wzbronieniom, wypłukiwa niekiedy i wynosi drobiazgi często nawet wysokiego szacunku. Nie bez tego, ażeby i osadnicy nie miewali różnych pięknych kawałków z tych starożytności, ale trudno u nich co dostać, bo nie ufają nikomu z chrześcijańskich szperaczów, żydom znalezione rzeczy przedają. Położenie miejsca Olbji, mimo to, że stepowe, jest piękne. U spodu wzgórka znacznie nad powierzchnią wody wzniesionego, rozciąga się dość obszerna płaszczyzna aż do Limanu, mniej pokryta gruzami, bo je wiosenne wody spłókują. Przy tym brzegu musiała być i przystań dla zawijających okrętów. Na oberwanym brzegu wzgórza, zdawało się jeszcze dostrzegać ślad, zabytek drogi prowadzącej do górnej części miasta. Olbja była w swoim czasie tem, czem jest dzisiaj Odesa, tu przybijały statki z Europy, Azji i Afryki i zamieniały swoje bogactwa na płody ziem słowiańskich. I naówczas może chleb tych nieprzejrzanych okiem równin dalekie zamorskie kraje zasilał. Olbja przed kilkunastu wiekami słynęła w świecie, dziś ledwie od uczonych dopytać się można, gdzie miejsce jej istnienia!—Mikołajów jest miastem rozległem, regularnie zabudowanem, ma ulice szerokie, a na piaszczystym gruncie wcale suche, ale część tylko miasta ponad Limanem i wpadającym do niego Ingułem, ma piękne murowane budowy, reszta prawie cała drewniana. Admiralicja ogromny gmach, ale nieozdobny, szkoła pilotów wcale nieokazała, cerkiew nawet wielkością swoją ani wielkości miasta, ani jego ludności nieodpowiada. Najpiękniejszy i godny uwagi wędrowca jest gmach depo ze

swojem obserwatorjum. Budowa ta i w pośród pysznych gmachów stolicy, jeszczeby się pięknie wydawała. Takim był Mikołajów w roku 1823, dziś zapewne znacznie się podniósł i ozdobnemi gmachami zabudował. Willa admiralska nad samym Limanem, na wschód-południe od miasta leżąca, w guście zupełnie wschodnim zbudowana, miłem jest mieszkaniem i ma ładny ogród, dziwnie uderzający bujnością wegetacji w pośród piaszczystego stepu. Wróciwszy z Parutiny, jużeśmy naszego nieznajomego nie zastali, służący mój oznajmił, że był u nas i na karteczce ołówkiem coś napisał: Istotnie na niewielkim papierku czytaliśmy te słowa: „adieu mes amis, poursuivez vos utiles recherches! je vous attends à Ekaterinoslaf chez le marèchal Alexieief. Inconnu". Jeszcze nas więcej zaintrygował tym bilecikiem, schowałem więc kartę do pugilaresu w zamiarze korzystania z niej na swojem miejscu i dowiedzenia się, kto jest mistyfikujący nas cudzoziemiec. Nazajutrz na wyjezdnem wezwałem gospodynię do obrachunku. „Nic mi się już od panów nie należy, ten pan co tu u mnie kwaterował, mówił, że pański dobrze znajomy i wszystko za panów zapłacił, no, jakże ja mam drugi raz za to samo brać pieniądze?" Chciałem przynajmniej wiedzieć o ilości zapłaty, ale i to zostało sekretem, bo gospodyni dała słowo niewyjawienia nazwiska cudzoziemca. Jednak kwatera, stół dla nas i dwuch ludzi, karm dla koni przez sześć dni w tak drogiem do życia mieście, przynajmniej sto rubli ass. kosztować było powinno. Niepojmowaliśmy naszego nieznajomego, ale nas zadziwiła uczciwość żydówki, nie korzystającej z dobrej okoliczności zyskania grosza po raz drugi.

W roku jeszcze przeszłym, będąc w Chersonie poznajomiłem się z dyrektorem gimnazjum Zasławskim, teraz skorośmy się rozlokowali na przeszłorocznej kwaterze, odwiedziliśmy dyrektora. Najuprzejmiej nas przyjął i zapytał, gdzie nasze rzeczy i konie, i nie chciał pozwolić, żebyśmy nie w gimnazjum kwaterowali. Ledwie zdołałem

uprosić, że nam pozwolił nocować i konie utrzymywać na kwaterze, zresztą, przez cztery dni bawienia w Chersonie, uprzejmie i hojnie nas podejmował. Kilku nauczycieli młodych, okrzesanych, pięknie usposobionych i pracowitych, składało towarzystwo, ale pracować nie mieli dla kogo, liczba bowiem uczniów w tym roku nie przechodziła 180. Blizkie sąsiedztwo Odesy i w niej, świetnie się rozwijające, Ryszeljewskie liceum zabierało Chersonowi młodzież, mającą zapełnić gubernjalne gimnazjum. Nieliczna bibljoteka, zbiory pomocnicze naukowe ubogie, nie na wysokim stopniu tę szkołę utrzymywały. Nauczyciel fizyki Pereświetów własnym kosztem i pracą machiny co najpotrzebniejsze posprawiał, zielnik i zbiór owadów zaprowadził. Z jego zbiorów i znajomości okolic wielce korzystałem. Co do ciekawości godnych widzenia, Mikołajów o wiele Cherson przewyższał. W fortecy piękna cerkiew, przez cesarzową Katarzynę zbudowana, z napisem na korniszu facjaty: „Katarzyna II, Zbawicielowi rodu ludzkiego", jest najznakomitszym gmachem miasta, a kilka wokoło cerkwi okazałych nagrobków, między niemi pułkownika Falejewa, który się najwięcej do ozdobienia Chersonu przyczynił, godne uwagi wędrowców. Tu i zwłoki prześlicznej Skowrońskiej [1]) siostrzenicy ks. Potiemkina spoczywają. O nich taka w Chersonie krążyła legenda. Książę całem sercem ją kochał, a po stracie ukochanej siostrzenicy rozpaczliwy żal go objął i później się

---

[1]) Protoplastą tej rodziny był Karol Skawroński, (nie Skowroński, jak pisze Andrzejowski), włościanin litewski, brat Katarzyny I, żony Piotra W. Sprowadzony do Petersburga, otrzymał tytuł grafa, uposażenie odpowiednie i pałac w pobliżu Marmurowego dworca. Miał trzy córki: Zofję za Piotrem Sapiehą, Annę za Michałem Worońcow'ym, córka jej za hr. Strgonow'ym, trzecia Katarzyna była żoną bar. Korfa. Jaki stopień pokrewieństwa łączył Skawrońskich z Potiemkinem—to rzecz małej wagi. (Russische Güstlinge etc. barona Georg v. Gelbiga — sekretarza poselstwa saskiego na dworze Katarzyny II).

w ponury smutek i jakby w odurzenie zamienił. Po wspaniałym pogrzebie i złożeniu zwłok ulubionej do grobu, książę zamyślony i uciśniony żalem szedł z cmentarza do swego powozu. Kiedy tak idzie, raptem uderza się całym sobą o coś czarnego, opamiętawszy się nieco, widzi zamiast powozu karawan. „Patrzcie!“ rzecze do otaczających „oto jest powóz, na którym wkrótce już na wieki Potiemkin od was odjedzie“. W istocie, niedługo przeżył ukochaną siostrzenicę! Przy wjeździe głównym do miasta wzniesiony wysoki, piękny, z ciosowego kamienia obelisk z napisem „Howard“ [1]) obudza wspomnienie tego znakomitego poświęceniem się usłudze ludzkości męża. Howard skończył życie w Chersonie, ale zwłoki jego pod obeliskiem nie spoczywają. O wiorst kilka od miasta, za doliną, zwaną Witowski sad, pokazują na wzgórku dwie niewielkie piramidy z miejscowego kamienia wymurowane, jako pomnik na grobie Howarda wzniesiony. Niema kamienia w obu piramidach, na którymby nie było napisu, niema prawie języka, w którymby nie oddano hołdu winnego cnotom wielkiego filantropa. O zwłokach zaś jego taka jest legenda: Wincenty Potocki podkomorzy kor. w ścisłej z Howardem żył przyjaźni, często go u siebie, jako domownika, miewał i niemały miał udział w jego działaniach, ale Howard nie umarł w domu przyjaciela. Wyjechał do Chersonu i tam po nie długiej chorobie życia dokonał. Dowiedziawszy się Potocki o zgonie przyjaciela, domagał się od Chersonu wydania zwłok Howarda, ale miasto odrzuciło żądanie. Niewiele myśląc, magnat posłał do Chersonu sprawnego dworzanina z trzydziestu ko-

[1]) John Howard, filantrop, ur. 1726 r. Lekarz. W podróży zatrzymał się w Chersoniu, w r. 1789, który zaledwie wówczas zabudowywał się. Koło bałki Białozierki przyjaciele wystawili mu pomnik, kwadratową kolumnę z marmuru, na jednej stronie napis: Vixit propter alios, a z drugiej: alios salvos fecit. Cesarz Aleksander I kazał wznieść drugi pomnik: był to obelisk, umieszczony naprzeciwko więzienia. (Antoni Nowosielski: Stepy, morza i góry, t. I, Wilno, 1854, str. 133).

zakami, ci wykradli ciało i zwłoki, złożone w ogrodzie Potockiego, w Kowalówce, piękny pomnik do dziś dnia osłania. A czy zwłoki Howarda spoczywają na ziemi Chersońskiej, czy je nagrobek w Kowalówce pokrywa, nikt dziś z pewnością nie powie, pamięć tylko przyjaciela ludzkości z pokolenia do pokolenia przechodzi i zaguby się nie lęka. Położenie Chersonu niby piękne, nad licznie rozgałęzionym Dnieprem, ale smutne i nieznaczące; miasto mniej regularnie zabudowane, mimo kilku budowli kosztownych, o wiele niższem wydaje się od Mikołajowa. Okolice ponad Dnieprem i Ingulcem piękne i wesołe.

W Berysławiu [1]), przewiózłszy się przez Dniepr, lewem jego nadbrzeżem w gubernji Tauryckiej jechaliśmy wpośród stepów, już pocztowym traktem, już mniejszemi drogami ponad Dnieprem aż do Nikopola. Na całej tej przestrzeni stepy rozległe, nie znające ani pługa, ani kosy; po dolinach nadbrzeżnych liche wioski, gdzie ani mleka, ani chleba dostać nie można, to też te dni kilka powolnej naszej wędrówki żyliśmy herbatą, bułkami i serem, w które się zaopatrzyłem w Chersonie, i dopiero w Nikopolu [2]) u kapitana Wołkowa, dyrektora Nikopolskiej przeprawy, gotowaną dobrą jedliśmy wieczerzę. Po czterogodzinnej przeprawie na ujściu Konki pod wsią Znamionką, wylądowaliśmy na prawy brzeg Dniepru i jeszcze stepem aż do Tomakówki [3]) wlekliśmy się w celu zbiorów botanicznych. Za tą wsią zaczynają się kolonje niemieckie, po dolinach naddnieprowych rozrzucone, przejazd jednak od jednej do drugiej często idzie górnym stepem, i w ta-

---

[1]) Dawny tatarski zameczek Kyzy-Kermen. Tu znajdowała się przeprawa przez Dniepr do Tawani (dziś Kachowka).

[2]) Nikopol, miasteczko, przeprawa przez Dniepr i na wyspę Tomakówkę. Na miejscu Nikopola był znany w dziejach polsko-kozackich zatargów Mykityn róg. Prawdopodobnie autor ma na myśli t. zw. Małą Znamienkę, gdyż Wielka leżała dalej.

[3]) Tomakówka, wyspa na Dnieprze za porohami, gdzie była w XVIII w. Sicz Zaporożska.

kim przejeździe spotkaliśmy osadę żydowską. Dojeżdżając do osady, zdybaliśmy wiozących zboże z pola i po nawiązanych na głowach guzach modlitwy poznaliśmy synów Izraela. Wioska ich porządnie zabudowana, ale gdzież ochędóstwo niemieckie? Nawet go niema tyle, ile w wioskach Rusinów, a wewnątrz w chatach też same brudy, jak i po naszych karczmach. Potrzeba nauczyła ich w polu pracować, ale żadna potrzeba dotąd nie zmusiła ich odstąpić nieochędóstwa, uświęconego zabobonami Talmudu, usiłowania nawet rządu poprawić tej wady nie zdołały. Miło oku po tej krainie spocząć na pięknych osadach niemieckich. To inny kraj, inny nawet zdaje się klimat. Wszędzie nadbrzeża piękną wegetacją zielenieją, wszędzie laski miłego użyczają cienia. Domki Niemców schludne, porządnie utrzymane, wokoło sady i ogrody, pola wybornie uprawne, bogato zbożem okryte, wabią oko wędrowca, a gościnność, rubaszna uprzejmość mieszkańców, miły podróżnemu dają przytułek. Piękne położenie i bogactwo Flory w okolicach Kortitz Einlage zatrzymały mię dni kilka w tej kolonji. Kwaterowałem w szynku (Wirtshaus), pokój mieliśmy czysty, łóżka wygodne, pożywienie czyste i smaczne; mając herbatę swoją, raczyłem nią codziennie moich dobrych gospodarzy. Sam p. Gotlieb dość już podżyły Niemiec, rozsądny i nawet mający niejakie wykształcenie naukowe. Widząc zachwycenie się moje pięknością położenia osady, zrobił nam miłą niespodziankę. „Jutro, rzekł do nas jednego wieczora, mój syn najmłodszy pójdzie z wami i poprowadzi w miejsce bogate kwieciem, gdzie pewnie i wiele ziół znajdziecie, ale wstawajcie rano, bo to nie blizko". Stało się, jak zapowiedział i ledwie słońce się pokazało, już byliśmy w drodze. Niemczyk osiemnastoletni, pusty i mówny, bawił nas całą drogę anegdotami swej osady, śmiał się szczerze i nas rozweselał. Po trzech godzinach wędrówki pomiędzy skałami i zaroślami naddnieprowemi, zeszliśmy nad brzeg piaszczysty; ani skał ani krzaków, żadnego prawie nawet

śladu obecności człowieka, istna pustynia! Przewodnik nasz zbiegł na prawo i skrył się pod stromem urwiskiem brzegu. Zostawszy sami, i czekając, poczęliśmy się niepokoić i różne myśli do głowy przychodziły, a żadna dobra nie błysnęła. Wyprowadził nas Niemiec w pole, a tu manowcami trudno trafić do osady, a drogi niewiedzieć, gdzie szukać. Pół godziny, długie jak pół dnia, przepędziliśmy w takiej niespokojności, ależci ze strony, w którą poszedł Hans, wysuwa się łódź dość obszerna i na niej nasz niemczyk z dwoma ludźmi. „Siadajcie panowie!“ zawoła na nas—„wodą wrócimy wygodniej do domu“. Wskoczyliśmy do łodzi, niemczyk siadł u steru, dwaj ludzie wzięli się do wioseł. „Na tej łodzi, dwa roki temu“ mówił nasz młody przewodnik, „woziłem trzy damy, z których jedna z małym paniczem rozmawiała waszą mową, musiała być waszą rodaczką, z towarzyszkami mówiła po francusku, bo ja wiem „parle franse“, bawiły u nas dwa dni, przyszła nazajutrz piękna kareta i pojechały do Mikołajowa; jest u mnie zapisano, jak się nazywały“. Tymczasem łódź wpłynęła na węższe i bystrzejsze koryto rzeki. Tu dopiero zachwycający wspaniałością swoją widok otworzył się przed nami. Po obu stronach rzeki wznoszą się strome, jak ściana, granitowe skały na sto sześćdziesiąt stóp wysokie, podstawą swoją nurzające się w rzece. Wierzchołek wzgórza wieńczy lasek dębowy, ponad samym brzegiem skał zarastają rozmaite piękne krzewy, a pomiędzy niemi dziki winograd, już wije się po przyległych drzewach, już w długich splotach ze skał zwieszony, miotany wiatrem, dziwnie i ozdobnie wiążąc się i chwiejąc, coś uroczego przedstawia. Kiedyśmy się tak zachwycali pięknością naszej przejażdżki, nasz młody przewodnik, zadowolony naszem zachwyceniem, ozwie się do nas: „A prawda, że to piękne? Mój dobry stary ojciec wiedział, że się panom ta przejażdżka spodoba i kazał mi przygotować ją dla panów, ja wczoraj jeszcze tu byłem i zamówiłem naszych rybaków“. „Cóż za to za-

płacić potrzeba?“ „O! pół rubla srebrem, inaczej jechać nie chcieli“. — I dwa ruble nie nadto byłoby, pomyślałem sobie. Na moje żądanie płynęliśmy powoli i po dwóch godzinach wylądowaliśmy pod skałą, służącą za podstawę ogrodowi Gotlieba od strony rzeki. Dziękowaliśmy serdecznie naszemu gospodarzowi za miłą niespodziankę, utraktowawszy wioślarzy uczciwie. Kto były damy płynące na łódce, którąśmy teraz płynęli, zostało dla nas tajemnicą, bo notatka z książki wydarta zaginęła. W dzień odjazdu przyszło do obrachunku z gospodarzem, Hans spisał po rosyjsku rejestr mojej należności, ale w nim tylko utrzymanie koni i wódka, brana dla moich ludzi zapisane były. „Cóż za nasz wikt należy?“ zapytałem gospodarza, on zawołał żonę i moje pytanie po niemiecku jej powtórzył. Zaśmiała się staruszka: „Cóż to? ja jeść gotuję na sprzedaż?“ rzeknie: „nie jedliby tej strawy goście, toby ją moja rodzina i czeladź spożyły“. Potrzeba jednak było jakoś okazać naszą wdzięczność. Pięcioletnia wnuczka gospodarzów bardzo przystała do mnie, zawsze z nami piła herbatę i obiadowała i śliczna była dziecina teutońskiego typu. Nazywała mnie Onkel, Polnischer Gast. Dałem jej rubla sr. na trzewiczki. Zdziwiła ta hojność poczciwych Niemców, kazali pocałować nogi dobrego wujaszka, ale dziewczynka uwiesiła się mnie u szyi i, z całą dziecinną szczerością całując, rozpłakała się. Brat mój dał jej także pół rubla, ale mała Minchen nie pocałowała go, podziękowała tylko ukłonem, zarumieniła się i uciekła, bo brat mój był dwudziestoletni i ładny młodzieniec.

Wszystkie niemieckie osady są piękne i prawie wszystkie w pięknem położeniu, ale przed wszystkiemi biorą pierwszeństwo Schönhorst, Cortitz i wspomniana Cortitz-Einlage. Cortitz jest wyspa, znana w historji Zaporożców Chortica, dziś u krajowców zowie się Kiczkas [1]),

[1]) Kiczkas — była to przeprawa przez Dniepr. Chortyca — wyspa na Dnieprze. U Konstantyna Porfirogenety zwana św. Grzegorza. Zameczek Wiśniowieckiego był nie na Chortycy,

obwodu ma do mili, leży na skałach granitowych, wysokością odpowiadających skałom obu nadbrzeży Dniepru, pokryta w części lasem dębowym, łąkami i wpośród schludnych chat bogatemi sadami. Patrzącym z nadbrzeża Cortitz-Einage dziwnie piękny widok przedstawia. Nasz dobry Gotlieb ten piękny widok nazywał die schönste Dnieprowsche Ansicht. Wspomniałem, że uprawa roli u Niemców w wysokim była stopniu, i mimo posuchę w r. 1823, a stąd powszechny w tej krainie nieurodzaj, w kolonjach niemieckich obfite były żniwa. Sąsiednie ruskie i bułgarskie osady, nieprzyjaźnie uprzedzone względem Niemców, nie ich przemysłowi w uprawie i pracowitości przypisywały urodzaj, ale powszechne o nich głosili swoje mniemanie, że im jako niechrześcijanom, zły duch dopomaga, a jak na poparcie ich uprzedzenia i u żydów pięknie urodziły zboża. W każdej kolonji jest gatunek ogrodu, a raczej sadu, ogólny Allgemeiner Gessellschaftsplatz. Tam co niedziela zbierają się koloniści; starzy o swoich miejscowych okolicznościach, lub o polityce gwarzą, młodzież pod okiem ojców i matek w biegane gry się bawią. Starzy popijają, warzone przez siebie, piwo i dość skromnie wódeczkę. Rzadko tam widzieć pijaków i co dziwna, więcej ten nałóg objawia się w kobietach. Ze staremi rozmówić się można tylko po niemiecku, synowie ich dość nawet dobrze po rosyjsku się tłumaczą. Mnóstwo młodzieży widzieć było można w każdym domu, bo rekrutacji wówczas jeszcze w kolonjach nie było.

Sławne u krajowców tamecznych Porohy nie są tak straszne, jak je wystawiano, ani tak okazałe, jak spadek Renu. Większa ich część, latem nawet, tyle mają wody, że gdyby nie naniesione bryły żegluga po nich łatwo odbywaćby się mogła. Jeden tylko Nenasyteć pod Sienitnikową

---

lecz na mniejszym ostrowie, zwanym Chortyczką, o czem świadczą współcześni (Bielski, Turow. t. II; E. Lassota: Tagebuch etc., str. 224; Wycieczki Ewarnickiego (Kijew. Starina 1883).

Słobodą [1]), ma spadek wysoki, i gdyby nie wielce rozszerzone w tem miejscu koryto Dniepru, okazałością swoją mógłby podziwać, i tak bowiem jak jest, zwraca uwagę wędrowca. Dla żeglugi jednak jest niedostępny, a dla ułatwienia przypływu statków, w pierwszych latach bieżącego stulecia, zbudowano tam kosztowną szluzę. Chybiona niwelacja wody piękną budowę zrobiła zupełnie nieużyteczną. Ale te Porohy, budzą w nas wielkie wspomnienia historyczne. Tu mieszkał lud dzielny, choć wpół prawie dziki, tu długo zasłaniał mężnemi piersiami swoją niepodległość. Z tych okolic nieprzeliczonemi hufcami zagrażał ościennym krajom i jak potokami, wylewał się na sąsiednie zagony; Zaporożcy w lekkich czajkach swoich, nieraz zapędzając się aż pod mury Carogrodu, strasznymi byli potężnym władcom Byzantyńskiego państwa, władcom Czarnego morza. Śladu ich siczy nie zostało, ale imię Zaporożców historja pamięci potomnych wieków podała.

ROZDZIAŁ X.

Kresem moich wycieczek w tym roku był Ekaterynosław, a choć zdawało się, że mię tam żaden interes nie

---

[1]) Sinielnikow Iwan Maksimowicz (nie Sinitnikow), generał-major, był gubernatorem Ekaterinosławskiego namiestnictwa. Budował razem z Potiemkinem Ekaterynosław nad Dnieprem na miejscu wsi Połowicy. Towarzyszył Katarzynie II w r. 1787 w jej podróży do Noworosji, jako gospodarz kraju, od Kryłowa. Przyjmował uroczyście u siebie w Słobodzie. Tu była świadkiem przeprawy rybaków przez próg Nenasyteć, przez który przeprowadzono jej galery. Ze Słobody Sinielnikowa powozem udała się do Chersonu (Dniewnik Chrapowickawo, S.-Petersb. 1874; Żurnał putieszestwija imperatricy Ekateriny II, Moskwa 1787). Nenasyteć, jeden z niebezpieczniejszych porohów na Dnieprze. Szczegóły u Konstantyna Porfirogenety, skąd wszyscy wiadomości o porohach czerpią, (Monum, poloniae historica t. I, 1864, str. 17).

prowadzi, dążyłem jednak w myśli wygodniejszego wypocznienia, bo przez dni kilkanaście podróży z Mikołajowa nasz nieznajomy wypadł mi zupełnie z pamięci. Przybywszy do tego miasta, pojechałem zaraz do dyrektora tamecznego gimnazjum, ale niemało zdziwiłem się, kiedy w uprzejmem powitaniu nazwał mię imieniem mojem i ojca. „Ja was od dwuch niedziel wyglądam“ mówił.—„Czyście tak długo w Chersonie bawili?“ Krótko odpowiedziałem mu kierunek mojej podróży i stąd opóźnienie. Zaproponował mi kwaterę w gimnazjum, ale nie bardzo na przyjęcie jej nastawał, z czego wielce byłem zadowolony. „Znajdziecie tu — mówił — rzemieślnika waszego cechu; na północnej dolinie pod miastem jest sad i pomologiczny zakład, inspektorem jego jest rz. rad. stanu Kontenius, przedobry staruszek i uczony, życzę się więc z nim poznać“. Tego mi było potrzeba, grzecznie więc odmówiwszy zaproszenia do przygotowującego się śniadania, pożegnałem dyrektora do widzenia i kazałem się wieść do gen. Konteniusa. Skromny i schludny domek, przypominał mi dwory naszej szlachty, dziedziców na niewielkiej wiosce, rządnych i mających gust wykształcony. Powierzchowność domu różniła się zupełnie od formy ogólnie tu przyjętej. Wchodzi się przez ganek na czterech słupach drewnianych pięknie ociosanych, niepobielonych, po obu stronach zgrabne i czyste ławeczki. Z czystej i obszernej sieni, na prawo wejście do jadalni, stamtąd na lewo salonik wesoły z parapetem na ogród, dalej pracownia generała, w końcu pokój sypialny, skąd wyjście do izby czeladnej razem i kredensu, z małą poboczną sionką dla wyjścia do oficyny. Kuchnia i attynencje w niewielkiej, ale schludnej, oficynie na boku dziedzińca w małej od domu odległości. Stajnie i inne gospodarskie zabudowania na osobnym, tak zwanym czarnym dziedzińcu, oddzielone od głównego masą ozdobnych drzew leśnych. Przed domem okrągła murawa, na której rozrzucone kilka krzaków róż szlachetniejszych gatunków, wkoło sze-

roka porządnie wybrukowana droga, poza drogą pod sztachetami bukiety bzów, jaśminów, lonicer, cytisów ze smakiem rozrzucone. Generała zastałem na ganku, zaprezentowałem się i odrazu znalazłem w szanownym starcu uprzejmego, miłego i bez żadnej etykiety przyjaciela. Wizyta nawet moja prezentacyjna, nie była krótka. Generał wprowadził mię do swego ogrodu, gdzie podziwiałem pyszną wegetację amerykańskich klonów, jesionów, dębów, lip, kasztanów, katalpów, wejmutów i rozmaitych ozdobnych krzewów. Zachwycałem się tem wszystkiem, ale generał powiedział mi, że na jutro zachowuje pokazanie mi czegoś ważniejszego, że mię zaprowadzi do swoich plantacji en grand. Mówiliśmy po francusku, ale Kontenius i po polsku rozumiał, bo kiedyś, w młodszych latach, bywał w Warszawie; klucznicę nawet i zasłużonego lokaja miał z Polski i zaraz mi ich, jako moich współziomków, zaprezentował. Po więcej niż godzinnej wizycie, pożegnałem generała do jutra.

Wróciwszy na stancję zrzuciłem mundur i zabraliśmy się do chłodnika z wybornemi dnieprowskiemi rakami i do kurcząt, po naszemu przez mojego służącego upieczonych. Opowiadałem bratu o moich wizytach, i ledwie zabraliśmy się do pieczystego, aliści wchodzi mój służący i anonsuje generała Konteniusa. Zdziwiliśmy się tak śpiesznej rewizycie, a jeszcze większe było nasze zdziwienie, kiedy wychodząc na ganek, na spotkanie dostojnego gościa, ujrzeliśmy go w pełnym mundurze. Ucałowałem ręce szanownego starca, zaprezentowałem brata i wprowadziliśmy gościa do pokoju. „Odwiedziłem cię prędzej niż mogłeś się spodziewać, bo radbym jak najdłużej cieszyć się twoim u mnie pobytem, ale jest jeszcze i drugi interes. Marszałek gubernji, Aleksiejew, dowiedziawszy się, żeś przyjechał, prosił mię, ażeby cię uwiadomić, że jesteś proszony na wielki jutrzejszy bankiet u niego z okazji imienin syna". „To mnie może dziś jeszcze prezentować mu się wypada?" „Nie, nie potrzeba, jutro po

wyjściu ich z cerkwi, zajadę po ciebie, będziemy wcześniej od innych i etykieta się odbędzie. Jeśli rano wstajecie, to was jutro o 6-tej czekam z kawą, potem pojedziemy do mojego zakładu, część obejrzymy, resztę na dni następne, bo spodziewam się, że kilka darujesz starcowi, którego pojąłeś i z którym pomówić możesz, i że z nim chleb jego przez ten czas podzielać zechcesz. Jeżeli nic lepszego wieczorem do czynienia mieć nie będziecie, to pod moją strzechą czekam was ojcowskiem sercem na herbatę". To powiedziawszy, pożegnał nas i odjechał, a my po niewygodnym na stepie noclegu udaliśmy się na spoczynek. Po przebudzeniu, służący oddał mi bilet wizytowy ze szczególnym napisem: Alexieief le fils. Zgromiłem służącego, że mię nie zbudził, ale młody gość budzić nie pozwolił, mówiąc: „niech wypoczywają". Przypomnieliśmy sobie nieznajomego w Mikołajowie i żałowałem, żeśmy generałowi naszego spotkania nie opowiedzieli i u niego nie oświecili się względem nieznajomego. Nad wieczorem odwizytował mię dyrektor gimnazjum, pił z nami herbatę i dowiedzieliśmy się, że o mojem przybyciu uprzedził go przyjaciel mój, Zasławski, dyrektor gimnazjum Chersońskiego. Nie krótka wizyta dyrektora, zabrała nam tyle czasu, że już tego wieczora do Konteniusa jechać nie mogliśmy.

Nazajutrz, stawiąc się u Konteniusa, zastaliśmy go ubranego w biały parusinowy [1]) surdut i takąż czapeczkę. „Jak się macie moje dzieci?" — powitał nas po polsku. „Jeszcze nie ze wszystkiem zapomniałem wasz język, bo bywałem w Polsce i lubię Polaków". Śniadanie zastaliśmy już zastawione pod drzewami w ogrodzie. Wyborna kawa, do niej śliczne domowe bułeczki i świeże masło, kilka gatunków doskonałych wisien, truskawki i poziom-

---

[1]) Parusina, stąd przymiotnik parusinowy, rodzaj szarego, mocnego płótna w rodzaju używanego na żagle (parus = żagiel). Rusycyzm używany powszechnie na Rusi południowej przez Polaków.

ki przyprawione ze śmietaną po naszemu. Uprzejmy gospodarz usadowiwszy nas obok siebie przy stole: „To moja stara przyjaciółka tak wystąpiła na przyjęcie swoich współziomków, zróbcież przyjemność i jej i mnie, i pożywajcie zdrowi weseli". Nie potrzeba było nas zachęcać, bo dla odpowiedzenia uprzejmości gospodarza przyjechaliśmy na czczo. Przy śniadaniu miła toczyła się pogadanka, i opowiedziałem moje spotkanie mikołajowskie. Dowiedzieliśmy się nakoniec, że nasz mistyczny nieznajomy, jest Anglik, doktór nadworny marszałka, wielce uczony i szanowany w domu Aleksiejewych, których jest prawie wyrocznią, ale człowiek najpiękniejszych uczuć, prawego charakteru i dzielnego sposobu myślenia. Po śniadaniu pojechaliśmy do zakładu Konteniusa. Rozległość jego zdaje mi się wiorstę kwadratową zajmuje, położenie w obszernej dolinie otwartej od strony Dniepru. Nierówność gruntu, nadała mu rozmaite położenia, nigdzie jednak zupełnie południowego nie spostrzegłem. W dolinie sadzawka na źródłach daje dostateczną ilość wody w potrzebie do polewania plantacji. Grunt, żadnym nawozem nieuprawiony, starannie tylko do znacznej głębokości przekopany i zregulowany, daje młodym płonkom dostateczną ilość spulchnionej ziemi, potrzebnej do pomyślnego ich wzrostu. Tam widzieliśmy i sad i bogate szkółki owocowe, jakie tylko na Wołyniu w Samostrzałach, w Porycku, w Koleśnikach, lub u Eichlera w Dłuszkowcach na Podolu widzieć można było. Każdego gatunku tysiące szczepów, najstaranniej prowadzonych z napisanem nazwiskiem gatunków, świadczą o głębokiej znajomości rzeczy i zamiłowaniu w sadownictwie założyciela i miły zwiedzającemu znawcy sprawują widok. Szkółki drzew leśnych krajowych i obcych osobny orszak zajmują, a te równie jak i owocowe, systematycznie gatunkami rozsadzone i opatrzone nazwiskami. Z jakąż przyjemnością oglądałem tysiące młodych tychże samych drzew, jakich wyrosłe i owocorodne egzemplarze w

ogródku Konteniusa widziałem. Plantacja drzew szpilkowych szczególniej bogata: jodły, świerki nasze i amerykańskie, modrzewie, sosny sybirskie i amerykańskie, cisy, jałowce, tuje, obfite i w najbujniejszej wegetacji. Sto drzewek tulipanowych i tyleż katalpów, zimujące bez okrycia i zdrowym bujnym okryte liściem, zachwycają oko i myśl, daleko, w Antypody unoszą. A to wszystko jest dziełem czcigodnego starca, zieleniejącego, jak te drzewka, czerstwością ciała i ducha! — Kilkunastu młodych ogrodników krzątało się w sadzie, każdy pilnujący swego oddziału. Wszędzie ład, czystość i porządek. Oglądaliśmy szczegółowo każdy oddział, wszędzie uczona rozmowa dostojnego weterana, objaśniała z dokładnością i wdziękiem jego działania, a moje najszczersze zajęcie widzeniem tylu bogactw jeszcze mu więcej energji dodawało, aniśmy się spostrzegli, jak na tej wędrówce pięć godzin upłynęło, a jeszcze wiele do przejrzenia zostawało. „No! dość będzie na dzisiaj—rzecze generał—teraz wykąpcie się i jedźcie ubierać się na zaproszony bankiet". Wróciliśmy do jego domu, tam służący zaprowadził nas do generalskiej na Dnieprze łazienki, gdzie i kąpiel wyborną i potrzebną usługę i miłą ze starym naszym współziomkiem pogadankę znaleźliśmy. Z rozmowy ze starym sługą poznaliśmy sposób życia i domowe cnoty jego szanownego pana. Generał odesłał nas swoją dorożką i polecił, abyśmy na pierwszą godzinę byli gotowi.

Kto był Kontenius, winienem, o ile mi wiadomo z jego opowiadania pokrótce nadmienić. Szwed rodem, brał nauki w Upsali; po skończonych kursach przyjechał do Petersburga i prezentowany ks. Potiemkinowi podobał się i książę wziął go na sekretarza, w którym to urzędzie do zgonu księcia zostawał. Później został inspektorem wszystkich koronnych owczych zakładów. Za panowania Cesarza Aleksandra I powierzoną mu została inspekcja niemieckich kolonji w Noworosyjskich gubernjach. Kochany i uwielbiany jak ojciec od kolonistów, od lat już dwu-

dziestu (za mojej u niego bytności) jeszcze opiekuńczy ten urząd najświęciej, najgorliwej spełniał. Botanik, uczeń Linneusza, namiętny lubownik sadów i wszelkich plantacji, zaproponował rządowi założenie w Ekaterynosławiu pomologicznego i dendrologicznego instytutu. Gubernator ówczesny, niedaleko widzący i ani trochę nie uczony, sprzeciwiał się temu zamiarowi, dając za przyczynę, że ani ziemia, ani klimat, żadnym plantacjom nie sprzyjają, że nikt w Ekaterynosławiu sadu zaprowadzić nie potrafił. Kontenius inaczej był przekonany. Książę Potiemkin zbudował sobie na górnej części miasta letni pałac i ogród ponad Dnieprem i na blizkiej wyspie założył. Sadzone pod okiem Konteniusa drzewka przyjęły się i w las rozrosły. Mało między niemi było owocowych, ale i te w dobrym były stanie i za mojej bytności bujnym okryte owocem, mimo to, że pałac zupełnie opuszczony spustoszał, a sad nędzny tylko płot ogradzał. Kontenius trafił z projektem od samego monarchy. Cesarz upodobał zamiar Konteniusa. Zdumiał się gubernator i wszyscy adepci jego antisciencyjnej sekty gdy przyszedł imienny ukaz cesarski, naznaczający i ziemię i fundusz na otworzenie zakładu, mającego z czasem dostarczać drzew na całą gubernję Ekaterynosławską. Długo jednak Kontenius walczyć musiał z przesądami i zastarzałemi uprzedzeniami, nim swój zakład przyprowadził do stanu, w jakim go w r. 1823 zastałem. Już nawet w ostatnich trzech latach, to jest od 1820 r. jedenaście tysięcy szczepów owocowych po gubernji rozesłał.

Wróciwszy na naszą kwaterę, brat mój rozmyślił się i na bankiet jechać nie chciał; o pierwszej generał zabrał mię i powiózł do marszałka, gdzie jeszcze prawie nikogo z gości nie zastaliśmy. Aleksiejew wychował się w Londynie i cały przesiąkł obyczajami Albionu. Wszystko w domu jego po angielsku: doktór i komisarz anglicy; miss, wysoka, chuda blondynka, z blademi, niby ołowianemi oczyma, z białemi brwiami i rzęsami, sztywna, melancho-

lijna, była guwernatką ślicznej i pięknie wychowanej córki marszałka. Usługa, ubranie domu, ekwipaż, konie, uprząż, wszystko angielskie. Syn tylko, zdrowy, poczciwy Rosjanin, nic w sobie nie miał angielskiego. Marszałek powitał mię uprzejmem podaniem ręki, powiedział mi: że oddawna już spodziewał się mnie u siebie na wsi, że mię znał z opisu swego przyjaciela doktora. Wypytywał mię o Krzemieńcu; odpowiadałem, jak przywiązany syn o godnej powszechnego szacunku matce i słuchano mię z zadowoleniem, a pogadanka więcej godziny trwała. Piękna panna Aleksiejew mięszała się do naszej rozmowy, a surowa miss z góry tylko na nas poważnie spoglądała. Przybycie gości przerwało naszą pogadankę, marszałek polecił synowi zajęcie się uczonym gościem, ale młody Aleksiejew nie zawiązał ze mną uczonej pogadanki. Wypytywał jedynie, jak się bawią w Krzemieńcu, czy piękne nasze damy, czy dużo u nas tańczą na balach i jakie tańce najwięcej w modzie, czy grywają w wista, w bostona, czy polują? Na szczęście odpowiedzi moje zadowoliły bogatego jedynaka i nim dano do stołu, jużeśmy byli jakby od lat wielu znajomi i przyjaciele. Od niego dowiedziałem się, że doktór pozostał na wsi, gdzie bierze wody, ale że się tam spodziewa moich odwiedzin, o co mię bardzo prosił, i marszałek te zaprosiny powtórzył. Przez cały ciąg naszej rozmowy miss nie spuszczała z nas oka, ale w wejrzeniach jej na młodego Aleksiejewa nie widać było angielskiej surowości, i blade jej oczy jakieś łagodniejsze uczucie ożywiało. Towarzystwo było liczne i dystyngowane — niektóre osoby opiszę. Najpierwszą, był archijerej miejscowy, szanowny piękny starzec, dość nawet wysoko ukształcony, z nim archimandryta, sekretarz konsystorza, mężczyzna lat 30, piękny, dowcipny, uczony, w kilku językach wymówny, dziwnie wesołego humoru. Dwuch gubernatorów, jeden stary, eks-gubernator, lat więcej dwudziestu na swym urzędzie siedzący, ale prostak, śmiesznego ułożenia, wierzący w czary, upiory i we wszystkie

przesądy dawnej nieoświeconej szlachty, ale dobra dusza; drugi, obecnie zarządzający gubernją, w samej sile wieku, pięknie wychowany, a lubo nie angloman, wielki jednak przyjaciel marszałka. Prokuror rozumem i poczciwością wzorowy urzędnik, z żoną piękną, w Smolnym monasterze wychowaną kobietą. Generałowa, kuzyna Aleksiejewych, poważna wiekiem i obyczajami, nieobca wielkiemu światu, wesoła i mówna, w wielkiem u wszystkich była poważaniu. Sąsiadka Aleksiejewych, obywatelka, Eufemja Radionówna, na podziw piękna, ubrana podług najświeższego żurnalu, śmiejąca się, ale świadoma swoich wdzięków, i o niczem, prócz o modach, mówić niezdolna. Dyrektor gimnazjum, dość uczony i energiczny człowiek, pod jego zarządem pięknie szło wszystko w gimnazjum, które w tym roku jak i w przeszłych latach więcej 400 uczniów liczyło. U stołu posadzono mię między Konteniusem i moim nowym przyjacielem. Mimo angielską powagę gospodarza, pogadanka toczyła się wesoło. Eks-gubernator opowiadał swoje przygody, jak topić kazał czarownicę, ażeby deszcz sprowadzić, jak potem upiór wiedźmy przez rok cały pokoju mu nie dawał, jak dobywszy ją z mogiły, kazał trupa kołkiem osinowym przybić, a że rzadkiego tego w okolicy drzewa pod ręką nie było i kołek z innego drzewa był zrobiony, upiór przyniósł go i rzucił mu na łóżko, jak potem o kilka mil za osiczyną posyłał i ledwie nie ledwie tego niemiłego nocnego gościa pozbył się. Wesoły archimandryta potakiwał staremu i poddawał mu coraz nowych bredni z taką zręcznością i z takim dowcipem, że i archijerej i poważny gospodarz wesoły nasz śmiech podzielali. „Z takim to człowiekiem, jak widzisz—szepnął mi Kontenius—długie lata borykać się musiałem. Ustępował on z musu, bo w jego przekonaniu, ziemię Ekaterynosławską skazał na nieurodzajność przekleństwem swoim pop jakiś, którego p. eks-gubernator znał osobiście i wielce poważał. Kółko dam zabawiała rozmową piękna panna Aleksiejew, najwię-

cej zajmowała się generałową i prokuratorową, nie mając dość zasobów na rozmowę z piękną Eufemją, która oprócz o modach, wiście i bostonie, o niczem więcej mówić nie umiała. Ale za to braciszek jej, mój młody sąsiad, zachwycał się wdziękami Eufemji Radionówny, admirował jej rozum i wymowę i przez stół przesyłał jej czułe słówka i jeszcze czulsze wejrzenia, niewiele zrozumiane od p. Eufemji, ale bardzo niepodobające się wszystko obserwującej miss. Tymczasem ciągnął się ten obiad angielski; pod mnóstwem mięsiw, pudyngów uginały się pyszne półmiski, ale wszystko tak było niesmaczne, że dopiero ostatnie dania, jakkolwiek pożywać można było. Za to wina obfite i wyborne zamorskie, i dobrze już postarzały węgrzyn, nie żałowano ich też na liczne toasty. Mój młody sąsiad pilnował generała, mnie i dyrektora i od kieliszka bardzo trudno wyprosić się można było. Deser i wyborem owoców, cukrów i innych słodyczy i elegancją w zastawieniu i podaniu każdej rzeczy, daleko za sobą obiad zostawił i okazał jak zamożność i dobry smak wystąpić dozwalają. Trzy godziny trwał obiad, i kiedy się skończył, w duchu Panu Bogu podziękowałem. Po czarnej kawie i likierach, cichaczem wymknęliśmy się z Konteniusem więcej znużeni, niż nasyceni tym uroczystym obiadem.

Drugiego dnia po tym obiedzie cały dzień przepędziliśmy u Konteniusa na jego plantacjach i tam jedliśmy obiad, nie tak okazały, jak wczorajszy, ale stokroć smaczniejszy. Ku wieczorowi rzeknie do nas gospodarz: „Powiozę was do Potiemkinowskiego dworu, pusty on, ale dla mnie zawsze drogi pamiątkami męża, którego wielkich zasług nikt tak, jak ja, nie zna, sam oprowadzę i objaśnię wam potrzebę i użycie tego gmachu“. Przejechaliśmy miasto, nie zatrzymując się aż przed gmachem, mającym obszerny korpus i dwa pawilony galerjami z korpusem połączone. W korpusie trzy tylko sale: środkowa 50 kroków długa, 30 szeroka i przynajmniej 15 łokci wy-

soka, boczne dwie również długie, lecz mniej szerokie i ledwie 8 łokci wysokie. W prawym pawilonie był teatr, w lewym sala jadalna z bufetem, w galerjach łączących, pod piękną kolumnadą zawierało się dwadzieścia cztery dość obszernych pokojów, przeznaczonych dla dam na stancje. Za pałacem kawałek ogrodu z gustem zasadzonego, zapuszczone gazony i zarosłe burzanem drogi, zarysem swoim jeszcze wskazują z jaką umiejętnością i smakiem urządzone były. Wyspa jest prawdziwie dziką promenadą, dróg ledwie ślad jakiś pozostał, ale gazony, zastąpione kwiecistemi łąkami, wpośród gromadnie lub pojedyńczo rozrzuconych dębów, więcej się jeszcze podobają. Generał wszędzie nas sam oprowadzał i wszędzie z westchnieniem wznawiał miłe i smutne przeszłości pamiątki. „Tu—mówił—książę latem przemieszkiwał, tu się lubił zabawiać, tu wyprawiał bale, na które liczni i dostojni goście z Polski od Kijowa, wygodnie, szybko i przyjemnie na bajdakach Dnieprem przypływali. Widziałbyś był tu niemało waszych magnatów, Braniccy z Białej-cerkwi, sławna piękność wasza Zofja Wittowa dziś Potocka, ks. w-da Wołyński, starostwo Żmudzcy i wielu z zamożnej ukraińskiej szlachty. Książę wszystkich mile ugaszczał, a czy magnat, czy sobie szlachta, z jednakową uprzejmością przyjmowani byli. O! wielki to był człowiek! wielkiego rozumu, wielkich cnót i wad niemałych. Ale przymiotami uchybienia pokrywał, a choć żywy, nawet porywczy, i chciał i umiał nad sobą panować. Dobroczynne uczynki jego trudno obliczyć, na krzywdę od księcia wyrządzoną żalić się nie znalazłoby się komu. Bogaty, możny, potężny tysiącom biednych rękę podał, tysiące protekcją swoją i kosztem z niczego wywyższył. Z wielkiego jego umysłu nic małego wyjść nie mogło. Widzieliście ten budynek, spojrzyjcie na fundamenta cerkwi, założonej przez księcia, wspomnijcie na wzięcie Oczakowa, a poweźmiecie wyobrażenie o wielkości zamiarów tego nadzwyczajnego człowieka. Cerkiew ta miała w rozmia-

rach wyrównywać kościołowi ś. Piotra w Rzymie, fundamenta jej z ciosowych granitów. Pierwszy kamień tego gmachu położyli Katarzyna II i Józef II. Śmierć zawczesna księcia nie dała mu dokończyć tej budowy i spełnić wielu zamiarów korzystnych dla oświecenia i ludzkości. Książę lubił Polaków, miał ich na swoim dworze i gdyby był został królem waszym, Polska i dziśby taką, jak była naówczas, istniała. Łzy płynęły z oczu starca, a oblicze jego ożywiło się jakiemś nie ziemskiem natchnieniem. Kontenius, będąc jeszcze przy Potiemkinie, zamieszkał z nim w Ekaterynosławiu, pokochał to miasto, jako pamiątkę swego dobroczyńcy, tu wzniósł swój użyteczny zakład i tu pięknych dni swoich dokonał. Pamięć Potiemkina drogą mu była, i o nim najmilsza rozmowa. Kontenius i szacunek powszechny wszystkich mieszkańców i obywateli posiadał i na zaszczytne względy monarchy zasłużył.

Dwa dni jeszcze dalszego pobytu naszego w Ekaterynosławiu, przepędziliśmy po całych dniach u czcigodnego kochanego naszego generała, jak w rodzicielskim domu. Jednego z tych dni odwiedziłem gubernjalnego marszałka, dzieci już były na wsi, on sam na tydzień jeszcze został dla zatrudnień swego urzędu. Bardzo mię zapraszał z sobą, ale wymówiłem się potrzebą powrotu do Krzemieńca. Rozmawialiśmy o naukach, o sposobie ich dawania, użalał się, że syn jego tak mało ze starannej edukacji odniósł korzyści, ale słabe zdrowie syna i troskliwość zbytnia matki, wiecznie stały na przeszkodzie. Dalej szła rozmowa o Ekaterynosławiu, o Konteniusie, z której zauważałem, że nie tylko przyjacielem, ale i najgorliwszym był stronnikiem generała. Od herbaty nie puścił mię marszałek, a przy bardzo przyjacielskiem pożegnaniu ofiarował mi 500 r. ass. na dalszą podróż; podziękowałem, ale nie przyjąłem, tłumacząc się tem, że liceum dostatecznym mię funduszem opatrzyło. Kontenius zganił to odmówienie: „Czemu było nie przyjąć—mówił—pienię-

dzy, które bogacz potrzebował wyrzucić? byłby je przynajmniej użytecznie wyrzucił, a ty mógłbyś był odwiedzić Sturna w Nikicie i zwiedzić południowe brzegi Krymu, a ja tak wielkiej sumy, choćbym chciał najszczerej, udzielić ci nie mogę. Pięknie to było z twojej strony okazać się nieinteresowanym, ale w położeniu twojem lepiej było przyjąć". Nastąpił dzień naszego wyjazdu, u generała jedliśmy barszcz rozjezdny, jak to nazwała poczciwa jego klucznica, a był to obiad smaczny i obfity. Czułe było pożegnanie się z generałem i jego czeladką. Zaopatrzył nas na drogę herbatą, cukrem, romem, sucharafi, szynką, serem niemieckim i winem; klucznica, na pierwszy nocleg kilkoro kurcząt pieczonych i kawy wybornej butelkę sporą dołączyła i dla ludzi moich parę chlebów i spory kawał wędzonej słoniny. Generał odprowadził nas na kwaterę, opłacić rachunku z naszym gospodarzem nie pozwolił, mówiąc: „Cóż lepszego Anglik od Szweda? tamten może z fantazji, a ja z serca ojcowskiego tę małą wam usługę, pozwólcie, niech zrobię". Nie można było odmówić tak ojcowskim uczuciom, generał za mnie zapłacił. Kiedy już wszysko do drogi było gotowe i konie założone, szanowny starzec kazał nam uklęknąć, wzniósł nad nami ręce i głośno się w swoim języku modlił,

---

[1]) Oczaków był niegdyś w posiadaniu polsko-litewskiego państwa. Granice te rozszerzył W. X. Witold. Na miejscu dzisiejszego Oczakowa miał zbudować zameczek, także w Chadzibeju (Odesa). O Oczakowie pisał Gwagnin (Stryjkowski) „quoundam Vitoldi tempore Litvaniae colonia erat". W wojnie z Turcją zdobył go Potiemkin. Słynna „zima Oczakowska" podobna do r. 1812. Oblężony w r. 1788, zdobyty został. Katarzyna II miała na wzięcie Oczakowa napisać panegiryczną odę, zaczynającą się od słów:

O pali, pali, z zwukom, s treskom
Pieszec i wsadnik, koń i flot!
I sam so gromkim wiernych pleskom
Oczakow, siły ich opłot.

Russkaja Starina, 1875.

a kiedy złożył ręce na głowach naszych i błogosławił, łzy mowę mu przerwały i my zalani do nóg jego zniżyliśmy się. Podniósł nas czcigodny starzec, szczerze do serca przycisnął i ojcowskiem ucałowaniem pożegnał. Gdyśmy wsiedli do bryczki, stał na ganku, prowadził nas wzrokiem aż do zawrotu w inną ulicę, posłał nam ręką od ust pożegnalne pocałowanie, przeżegnał i wsiadł na swoją dorożkę. I myśmy się zatrzymali, pozdrawiali go ukłonami dopóki nie zniknął nam z oczu. Dwom moim ludziom przy pożegnaniu generał dał po rublu. Trzydzieści lat z górą już od tego dnia upłynęło, zwłoki tego czcigodnego męża oddawna ziemia pokrywa, a szanowna postać jego jest mi ciągle w myśli mojej obecna, a dobroć do zgonu sercu pamiętna.

Podróż nasza na powrót innym się krajem ciągnęła na Elisawetgrad. Okolice więcej lesiste, osady wojenne, dawniejsze i zamożniejsze, choć mniej eleganckie od Nadbohowych. Na pierwszym zaraz noclegu wzięliśmy się do udzielonej od Konteniusa herbaty, a był jej funt cały. Brat mój rozwinął paczkę, a na herbacie sto rubli ass. i list do mnie w tych słowach: „Odrzuciłeś ofiarę możnego i odjąłeś mi przyjemność zrobienia ci pomocy podług mojej możności. Ale na ukaranie twojej dumy, pomoc przyjaciela dąży za tobą i nie przyjąć jej nie możesz. Ale jeśli poważysz się odesłać ją z Krzemieńca, obrazisz serce tobie przyjazne i pokaże się, żeś uczuć moich nie pojął i że twoje dla mnie były udane. Jedźcie z Bogiem zdrowi, błogosławi was stary przyjaciel Kontenius“. Ucałowałem pismo czcigodnego generała i dotąd je z późniejszemi listami dochowałem. Kontenius liczył sobie natenczas lat osiemdziesiąt.

Ale podróż napowrót nie służyła mi wcale. Po dwumiesięcznej podróży wróciłem do Berszady, tak chory, że mię zniesiono z powozu, a gdy złożonego na kanapie hr. Moszyński troskliwie zapytywał, co mi jest? odpowiedziałem: „Bryczka mi się popsuła, worek wypróżnił, i

zdrowie odstąpiło". „Myśl tylko o zdrowiu twojem, a reszta do mnie należy" — rzekł, czule mię ściskając hrabia. Nie mogę bez rozrzewnienia wspomnieć rodzicielskiej o mnie troskliwości obojga hr. Moszyńskich. Najczulsze starania otoczyły moje łoże. Współuczeń Krzemieńczanin, doktór Adam Kaczkowski z całą biegłością nauki, z całą przyjaźnią pomocy swojej udzielał. Kazał mi zrobić kąpiel ciepłą, hrabia sam pilnował przygotowania jej w swojej łazience, kamerdynerowi kazał nie odstępować mię w wannie, ażeby, jeślibym osłabł, natychmiast przywołać lekarza. Ale szczęśliwie w swoim czasie użyte lekarstwo, szybki i pomyślny zdziałało skutek, po kąpieli jednak Kaczkowski kazał mi leżeć, i całe męzkie towarzystwo domu wokoło mnie się zebrało. Bez wątpienia, że wczesny i troskliwy ratunek prędko sprawił polepszenie, ale nie mogę nie wyznać, że błogi stan duszy, zadowolonej doznanem współczuciem, silnie działaniu lekarstwa dopomógł. Dom tych zacnych panów zasługuje na osobne wspomnienie, bo stadło to wzorowe było. Dom pp. Moszyńskich utrzymany na stopie odpowiadającej ich ogromnemu majątkowi, ale obyczaje narodowe, uprzejmość staropolska i bratni przytułek dla biednych.

Dziwnem rozporządzeniom hr. Fryderyka Moszyńskiego, dwie hrabianki Moszyńskie, siostry rodzone, były za dwoma Moszyńskimi, starsza za ojcem, młodsza za synem hr. Piotrem, o którego domu mówimy. Hrabina Piotrowa, młoda i piękna, poważną, ale uprzejmą i wesołą była gospodynią. Dawnym obyczajem, kilka rezydentek z pięknych, lecz mniej zamożnych domów szlacheckich, domowe towarzystwo hrabiny składały. Miło było patrzeć na tę młodą damę zajętą robotą i otaczające ją damy pomagające jej w pracy. Przy hrabi bawiło wielu młodzieży, pięknie ukształconych synów sąsiednich obywateli. Sobańscy, Lipkowscy, Sabatynowie, niegdyś przewodnik pierwszej młodości, dziś przyjaciel i ramię hrabiego, kapitan wojsk legji Prolewicz, codzienne składali towarzystwo.

Takie to towarzystwo zebrało się wokoło mego łóżka i miła toczyła się pogadanka. Ja opowiadałem o mojej podróży, drudzy różne anegdotki. „Wszystko dobrze — rzeknie hrabia—ale ja wam opowiem świeże wydarzenie w naszej familji, mogę je opowiadać, bo nic w niem krzywdzącego dla nas niema. Pani hrabina Moszyńska, matka mojej żony i mojej macochy, wydawszy za nas córki, została sobie w swoim ładnym majątku w Galicji, niezależna i bez żadnych obowiązków. Piękna jeszcze mimo lat 40 dotąd, o powtórnem zamężciu nie myślała. Zacnej to duszy i pięknych uczuć niewiasta, pobożna, dobroczynna, uprzejma, ale kobieta. Dnia jednego będąc w kościele, spostrzega jakiegoś nieznajomego mężczyznę, skromnie ale porządnie ubranego, klęczącego u kraty ołtarza i głęboko zatopionego w modlitwie,—twarzy dojrzeć nie było można. Nikt nie wiedział, kto to jest i skąd przybył, pleban tylko mówił: że od dwóch tygodni bywa w kościele, że dwa razy się spowiadał, ale na spowiedzi nazwiska swego wymienić nie chciał. Zaintrygowało to p. hrabinę, nazajutrz znowu go widziała i dni następnych także, a zawsze zanurzonego w swej książce. Skromna, ale dystyngowana powierzchowność nieznajomego podobała się pani, a rysów jego twarzy jeszcze więcej była ciekawa. Wychodząc z kościoła, posyła swego marszałka, ażeby oświadczył nieznajomemu, że jeśli w lichem miasteczku braknie co do jego wygód, ze dworu mu wszystko udzielonem będzie. Nieznajomy podziękował i odpowiedział, że takiemu, jak on, grzesznikowi, gruby chleb i woda aż nadto wykwintnym są pokarmem. Ciągnęło się to czas jakiś, nareszcie nieznajomy przyjął chleb i herbatę. Hrabinie chciało się koniecznie twarz w twarz go zobaczyć, ale skoro po mszy podeszła do pocałowania patyny, nieznajomy zniknął. I znowu czas jakiś upłynął. Nareszcie jednej niedzieli przy wyjściu z kościoła spotkali się; nieznajomy pięknym ukłonem pozdrowił hrabinę i podał jej rękę do karety, ale na zaproszenie do dworu wy-

mówił się grzecznie i zniknął. Pierwszy krok był zrobiony, wszystko szło już po tem jak po kłębku, i poznano, że nieznajomy zwał się Jelski, z pięknej litewskiej familji, że wiele podróżował, w podróżach wiele utracił majątku, wiele nabroił, i że teraz za grzechy młodości pokutował. Piękna postać, piękna mimo lat czterdziestu twarz, piękne tłumaczenie się wielu językami, ułożenie pełne godności, wszystkim się podobało, a mama szczerze się w nim zakochała. Znajomość świata nie dozwoliła p. Jelskiemu zostać niewzruszonym na tyle grzeczności ze strony damy. Znikały skrupuły, grzecznie przyjął posyłane wygódki, nakoniec i mieszkanie w pałacu przyjął. Pisze mama do nas, że idzie zamąż, „qu'elle épouse un homme accompli, M. Jelski", że to jest familjant litewski, ale przez smutne wypadki pozbawiony majątku, że jak to mama będzie szczęśliwa z takim mężem podzielać swoją fortunę. Odpisaliśmy z powinszowaniem i życzeniem spełnienia spodziewanego szczęścia. Długo nie mieliśmy żadnej od mamy wiadomości. Na święta Wielkanocne przyjechał do nas papa, pani Fryderyka i całe towarzystwo, zjechali się i dobrzy nasi sąsiedzi, a w miłem towarzystwie wesoło nam święta schodziły. Trzeciego dnia świąt, z całą naszą kompanją zbieraliśmy się najechać chorążynę Lipkowską. Papa, Prolewicz i ja radziliśmy coś o naszym domu w Odesie, kobiety się ubierały, reszta kompanji bawiła się w bilardowym pokoju. Wtem wchodzi kozak z Wołoczysk i oddaje papie list, który sztafetą ze Lwowa przyszedł, a on go dniem i nocą wiózł z Wołoczysk. Na adresie: „pilno", list od pani Jelskiej,—czytamy. Mama wzywa papę i mnie jak najśpieszniej, bo się zawiodła na panu Jelskim i że pod tą pobożną powierzchownością znalazła człowieka bez serca, bez uczuć i zaklina nas na wszystko, ażebyśmy niezwłocznie ratować ją przyjeżdżali. Nieprzyjemny był dla nas taki list, ale cóż my winni? Mama sama wybrała sobie męża. Cóż tu z tym fantem robić? Papa zdecydował, żeby dziś kobietom nic nie

mówić, a do jutra jest czas naradzić się, jak nam w tej okoliczności postąpić wypada. Pojechaliśmy więc do Zawadówki i cały dzień najmilej przepędzili. Sekret nasz się utrzymał, jednemu tylko Borzęckiemu całą rzecz opowiedzieliśmy, pewni, że w jego poczciwym charakterze i gruntownym rozsądku skuteczną znajdziemy radę: jakoż kochany p. Józef oświadczył, że powinniśmy jechać, na miejscu o wszystkiem się przekonać i tam złemu zaradzić tak, jak okoliczności wymagać będą. Nazajutrz żony nasze czytały list, Joasia zapłakała, pani Fryderyka smutnie wyrzekła: „Pewna byłam, że tak będzie". W parę dni wybraliśmy się i w tydzień byliśmy już u pp. Jelskich. Nie zastaliśmy samego, mama z płaczem opowiadała, że zimnego tylko doznaje od męża uszanowania, że jest niewolnicą we własnym domu, że p. Jelski samowładnie wszystkiem rządzi i t. d. Nastąpiła narada, projektujemy, co każdy z nas ma powiedzieć, jak ująć się za matką, jakich użyć środków dla zaradzenia złemu, a w tem dają znać, że p. Jelski przyjechał; papa zasiadł poważnie w wielkim fotelu, p. Jelska na kanapie, ponastrajali poważne miny, ja nieco pomięszany chodziłem po salonie, rozmyślając co i jak mam do oskarżonego mówić. Ale p. Jelski wszedł z wypogodzoną twarzą, obrócił się do żony i najuprzejmiej prosił, ażeby go papie i mnie zaprezentowała. Nie można było uchybić tej grzeczności, ale skoro zaprezentowany przemówił do nas z całą uprzejmością narodową i etykietą wielkiego świata, tak nas odrazu ujął za serca, żeśmy zapomnieli pocośmy przyjechali. Papa dawnego trybu światowego człowiek, ja, wyznam szczerze, nie bardzo jeszcze obeznany z tonem dzisiejszym wielkiego świata, zostaliśmy zupełnie podbici pod panowanie człowieka, który do pięknej postaci łączył wszystkie zalety świetnienia w najwyższych towarzystwach. Szczerze, po prostu wam powiem, że potrząc na Jelskiego i słuchając go, użalanie się mamy mieliśmy za przesadzone. P. Jelski wyszedł dla zajęcia się naszem

przyjęciem, p. Jelska, widząc jakie na nas mąż jej zrobił wrażenie i sama będąc pod urokiem swego przywiązania, prosiła, ażeby już tego wieczora nic o interesie nie wspominać i całą rzecz do jutra odłożyliśmy. Wieczór przeszedł najprzyjemniej, p. Jelski miał o czem mówić, i mówił z takim taktem, z takim wdziękiem, żeśmy się rozmową jego zachwycali. Sam odprowadził nas do naszego apartamentu, opatrzył, czy wszystko mamy, co do najwykwintniejszych wygód należy, odchodząc papy ręce ucałował, ze mną po bratersku uściskał. Rozmawialiśmy jeszcze o nim, ale ani przychodziło na myśl, jak jutro zacząć o interesie. Nazajutrz późnośmy się pobudzili i pierwsza rozmowa nasza była o interesie i stanęło na tem, że papa miał z nim sam na sam pomówić, a ja miałem się dopiero w potrzebie pokazać i przemówić. Jużeśmy się ubierać zaczęli, kiedy przybiegła służąca z bilecikiem pani Jelskiej, gdzie prosi, ażeby zaniechać interesu, bo się już zupełnie pogodzili i przeprasza, że nas tak z daleka napróżno sprowadziła. W kilka minut oznajmił lokaj wizytę p. Jelskiego. Wszedł ubrany z całą etykietą, papę po synowsku, mnie po bratersku powitał. W rozmowie, dał poznać, że ma w swoim charakterze popędliwość, a nią nawet często względem najmilszych osób wykracza. Taka spowiedź jeszcze nas więcej ujęła i nie wzbranialiśmy się uprzejmej gościnności, z jaką prosił, ażebyśmy kilka dni odpocząć u nich raczyli. Przyszedłszy do salonu, zostaliśmy mamę jaśniejącą zadowoleniem, a gdy p. Jelski wyszedł dla rozrządzenia śniadaniem, mama opowiedziała nam z jaką czułością wyznawał swoje względem niej uchybienia i jak solennie przyrzekł poprawę. Zgoda między małżeństwem więcej jeszcze nadała przyjemności pobytowi w ich domu i aniśmy się spostrzegli, jak nam tydzień upłynął. P. Jelski odprowadził nas aż do Wołoczysk, przez granicę przeprawił i odjechał, unosząc z sobą braterską naszą życzliwość i prawdziwy szacunek. Od tej pory nie mieliśmy od nich żadnej wiadomości, ale po-

dobno tam znowu niedobrze, i tylko mama nie śmie nam o tem donosić". — Na takiej miłej pogadance przeszedł cały wieczór, gdy hrabia skończył opowiadanie, nastąpiły komentarze żartobliwe na koszt państwa Jelskich, ale tak dowcipne, a jednak skromne, żeśmy się wszyscy uśmieli.

Noc miałem spokojną i sen posilny. Nazajutrz wstałem, ubrałem się i przyszedłem na pokoje. Tu znowu doznałem troskliwości hrabiny. Sama pamiętała o moich pokarmach i najwykwintniejszych wygodach. Dom bo to był zacny, a pobyt w nim, jak w raju. Po obiedzie już damy do robót nie zasiadały, bo czas poświęcony był zabawom. Przejażdżki lądowe i wodne, podwieczorki w różnych pięknych okolicach Berszady, teatr amatorski, gry towarzyskie, czytanie dobrych książek, czas popołudniowy zajmowały. Wszystko szło ładem, i dlatego wesołość prawdziwa, przystojna, nie opuszczała tego siedliska cnót i obyczajów narodowych. W tym roku hrabia obrany został marszałkiem gubernji Wołyńskiej i wkrótce po moim przyjeździe, hrabstwo wyjechali do Żytomierza, polecając w domu swoim najtroskliwsze o mnie staranie i szczególnej opiece d-ra Kaczkowskiego oddali aż do zupełnego wyzdrowienia, a potem, na moje dalsze ekskursje zaasygnował hrabia pieniędzy tyle, ile potrzebować będę. Po trzech tygodniach Kaczkowski pozwolił mi zająć się znowu mojemi ekskursjami, dano mi nową wygodną brykę i worek opatrzono funduszem, wyrównywającym prawie temu, z jakim z Krzemieńca wyjechałem.

Lubo mi Odesa znajoma już była, ale zawsze, jako krainę nadmorską interesującą botanika, zwiedzić należało, tem więcej, że bratu mojemu i morze i miasto portowe pokazać chciałem, jechaliśmy więc do Odesy, ale daleko wygodniej niż ponad Bohem i Dnieprem, bo nam z Berszady dodano kuchtę, który wcale nieźle rosół, barszcz i pieczyste przyprawiał. Wyjechaliśmy już z Sewerynówki na górę, w odległości pokazuje się morze. Znałem już ten punkt i nic nie mówiąc, patrzałem w tę stronę, wtem

mój brat rzuca się w moje objęcia, wołając w silnem wzruszeniu:—„Bracie! morze!"—i ja podobnego wzruszenia doznałem w 1817 r., kiedy pierwszy raz z Jaroszyńskimi jechałem do Odesy, a podobne moje wykrzyknienie wiele mi życzliwości p. Antoniego zjednało. Ale ten widok skrył się i dopiero na ostatniej górze nad Peresypem, w całej się okazałości rozwinął. Nic w naturze tak nie przemawia do duszy, jak widok gór, rzek wielkich i morza. Znam Wisłę i Dniepr w całej ich okazałości, płynąłem na pełnem morzu, widok Alp został mi tylko pożądany, ale przy mojej starości niepodobny do zwiedzenia! — W Odesie mieliśmy kwaterę w domu hr. Moszyńskich, jeden tylko pokoik, ale porządny i wygodny, blizko kościoła. Nazajutrz więc zaraz pomodliwszy się na mszy, cały ranek poświęciliśmy na zwiedzenie miasta. Przez pięć lat od mojej ostatniej bytności Odesa znacznie się zmieniła. Na pustem wybrzeżu, gdzie w roku 1818 zbierałem po skałach botaniczne bogactwa, wzniósł się piękny bulwar (boulevard) i pod cieniem akacji można już było skryć się od skwaru słońca. Na miejscu otaczających to miejsce lichych domków, stanęły piękne kamienice i okazałe gmachy rządowe. Powznosiły się piękne prywatne domy, rozwinęły się ulice, liceum tylko wcale nie okazałej struktury siedziało w jamie. Po dziedzińcach wielu domów potworzono cysterny, woda w nich obfita, czysta, zimna, ale smakiem swoim, o wiele niższa od wody źródlanej. Odesa miała już swój botaniczny ogród pod dyrekcją wielce uczonego i dziwnie miłego staruszka prof. Decemet. Prezentowałem mu się i uprzejmie byłem przyjęty. Trzeciego dnia pojechaliśmy z bratem aż do ujścia Dniestru, cztery mile od Odesy. Zwiedzenie ciekawej okolicy, zbieranie roślin i owadów, tyle nam czasu zabrało, że zmrok nas pod latarnią morską zachwycił i tam nocować wypadło. Nie żałowaliśmy, ani się uskarżali na niewygodny nocleg na gołym stepie. Widok wschodzącego słońca, z wysokiego nadbrzeża nad pełnem morzem,

wynagrodził nam doznaną niewygodę. Wschód słońca nie był nam nowością po wielu przespanych pod gołem niebem nocach, ale wschód słońca z za obszernego zwierciadła wód morskich był nowym, był zachwycającym! To się opisać nie da, to tylko uczuć można. Tu się objawia cała wielkość stworzenia! Tu korne czoło uniża się przed potęgą Stwórcy! I my w milczeniu padliśmy na kolana i w rzewnej modlitwie wielbiliśmy Pana światów, Ojca ludów! dziękowaliśmy za dar pojęcia cudów Jego wielkości. Słońce znacznie się już podniosło i dogrzewać zaczęło kiedyśmy się ocknęli z naszego zachwycenia. Wróciwszy do mieszkania, zastaliśmy naszego służącego wychodzącego do policji, ażeby szukać nas z jej pomocą. Naśmieliśmy się z jego o nas obawy, ale miłą nam była jego troskliwość. Odpocząwszy i przebrawszy się, pojechałem szukać mieszkania pułkownika Blarenberga. Dom jego stał na wzgórku za doliną, oddzielającą miasto od fortecy, a ogródek rozciągał się na pochyłości. I dom i ogród prawdziwem były muzeum starożytności. Mało co jednak widziałem, bo pułkownik wybrany był na wizyty, jak mówił, obowiązkowe, i zaprosił mię z moim towarzyszem na jutro na obiad. Wieczorem poszliśmy na teatr. Grano „Monte San Bernardo“, ale z takiem niepowodzeniem, że brat mój żadnego wyobrażenia o włoskiej operze powziąć nie mógł. Nieszczęśliwy śnieg nadto był papierowy, avalanches wyklejone z papieru, lecąc z góry, jak bębny huczały. Chór księży, śpieszących na ratunek wędrowców, z dzwonem na gwałt bijącym, zachwycającego efektu, nagrodził nieudanie się sztuki.

Nazajutrz o jedenastej pojechaliśmy do p. Blarenberga. Jest coś w tych uczonych ludziach, że widząc ich, jeden drugiego przypomina, chociaż do siebie niepodobni. I Decemet i Blarenberg uprzejmością swoją i niewyszukanemi manierami przypomnieli mi szanownego Konteniusa. Ale Blarenberg wyższe miał ogładzenie i więcej należał do obecnego wieku. Ażeby opisać wszystko, co

zbiór jego zawiera, byłby tom niemały. Pokrótce powiem, że te wszystkie posągi, popiersia, ułamki kolumn, nagrobki, naczynia z bronzu, marmuru, gliny, z żywemi na czarnem tle malowidłami, patrzącego mimowolnie przenoszą w tę sławną, odległą przeszłość. Ale zbiór monet i numizmatów wszystko przewyższa. Niektóre zapamiętałem z muzeum szkoły pilotów w Mikołajowie i widziałem, że to zadowoliło czcigodnego archeologa. Po całodziennem rozpatrywaniu tych bogactw nauki, p. Blarenberg w upominku dał mi szesnaście sztuk monet z Olbji i Kerczu, każda inna i dobrze zachowana, między któremi było pięć srebrnych. Ofiarował także i dziełko swoje o starożytnościach czarnomorskich, pierwszy poszyt. I monety i dzieło p. Blarenberga, ofiarowałem do zbiorów liceum Woł. W parę dni odwiedziłem jeszcze pułkownika, więcej jeszcześmy rozpatrywali i jeszcze więcej znajdowałem i nauki i miłej obyczajności i rzadko w uczonych znajdującej się chęci udzielania się drugim. P. Blarenberg w każdym względzie znakomity był człowiek. Żal, że tak krótka moja z nim była znajomość. Wieczorem poszliśmy na teatr. Na ten raz lepiej trafiliśmy, przedstawiano „Cyrulika Sewilskiego". Opera odwieczna i od wielu muzyków kompozytorów traktowana, ale zawsze ulubiona Włochom i podobająca się wszystkim. Udała się wybornie. Rozyna, Figaro, Bartolo i śpiewem i mimiką celowali, P. Almaviva, ani w śpiewie, ani w akcji nie miał duszy. Dawniej będąc w Odesie słyszałem panią Zamboni i pannę Arrighi, obie, a osobliwie ostatnia, znakomite były śpiewaczki. Zamboni zeszła ze świata, Arrighi wyszła za negocjanta Ponzio, przemieszkiwała w Odesie i była krytyką opery odeskiej. Słyszałem i widziałem obie. Arrighi do pięknego talentu łączyła piękną postać i pełną wdzięku mimikę. Po wyjściu jej z teatru, opera odeska nie prędko podobną jej śpiewaczkę i aktorkę dostała. Bo też to nie często się zdarza w jednej osobie znaleźć to oboje. W Odesie była Katalani, bratowa sławnej Katalani Wa-

labrek; głos miała wielki, metodę prześliczną, ale słuchać ją tylko można było, bo gra jej, jej mimika, mniej nawet niż mierne były. Tu przypomina się mimowolnie teatr warszawski, nie mówię co do opery samej, bo i my nie możemy się pochwalić, że mamy operę. Może dziś inaczej, ale w czasie bytności mojej w Warszawie opera nie była w kwitnącym stanie. Jedna Kurpińska tylko, można powiedzieć, że śpiewała. Pani Dmuszewska, niegdyś jak mówią dobra śpiewaczka, ale to niegdyś, a teraz czasami tylko uda się jej pięknie zaśpiewać, ale za to jaka akcja, jaka mimika, jaki miły organ głosu w mowie! Co dziwnego i na stronę naszą można powiedzieć, że chóry w operach naszych, pod dyrekcją p. Osińskiego, lepsze były od odeskich, i to była zaleta teatru warszawskiego, od cudzoziemców artystów przyznana. I to jeszcze dodać należy na pochwałę naszego teatru, że jeżeli przedstawiano lepszą jaką operę, p. Osiński umiał sobie tyle zobowiązać artystów swoich i obcych, że mu dopełniali zwyczajną teatralną orkiestrę i ten komplet na wysokie pochwały znawców zasługiwał. W Odesie często orkiestra bardzo licha bywała i w 1823 r. słyszałem uskarżające się na ten niedostatek pierwsze w owym czasie śpiewaczki. Kiedy pannie Arrighi tysiączne sypano oklaski, mówią, że miała powiedzieć:—„Dajcie mi wiedeńską orkiestrę, a dopiero usłyszycie jak śpiewam“.—Przy całej wesołości wieku, tę młodą artystkę zalecała prawdziwa skromność i bezinteresowność, a tak mało miała miłości własnej, że się jej dziwiono. Powiadano, że w podróży z Medjolanu do Odesy utraciła włosy, tak, że musiała głowę ogolić i na teatrze w peruce się prezentować. Po odegranej operze, znaczniejsze osoby odwiedziły artystkę jeszcze w ubraniu teatralnem, ale panna Arrighi, nie zważając na nikogo, zrzuciła ubranie razem z peruką i z ogoloną głową przyjmowała gości. Co do jej bezinteresowności, mówiono, że książę Oboleński młody i bogaty oficer, ale żonaty, ujęty wdziękami artystki, przysłał jej 20,000 r. as., ale p. Ar-

righi zawinęła sumę w papier jeszcze piękniejszy, napisała na wierzchu—„na szpilki dla księżnej"—i młodemu księciu odesłała.

W tymże roku był wielki napływ okrętów i port odeski dziwnie okazały widok przedstawiał. Prawie każdego dnia wychodziliśmy do przystani krajowej, widzieć stamtąd ten las masztów, kwitnący różnokolorowemi flagami. — Szóstego sierpnia było święto Przemienienia; po wysłuchaniu mszy św. w naszym kościele, poszliśmy do sobornej cerkwi na nabożeństwo. Pięknie ozdobiona i utrzymana wewnątrz, z przyjemnością od wędrowców zwiedzana; ale co najwięcej sprowadza ciekawych, to śpiewacy. Cóż bo to za głosy, jak wyrobione, jaka muzyka! — Nasłuchać się nie można. Mówiono, że uczący śpiewaków był Włoch, znający dobrze język rosyjski, i całą swoją wysoką narodową metodę doskonale w uczniów przelać potrafił.

ROZDZIAŁ XI.

Po kilkakrotnie już wspominałem, że się okoliczności nasze zmieniać zaczęły. Działanie tych zmian nie silnie jeszcze na liceum wpływało, nie czuć go jednak było niepodobna. Dziwne bo to były czasy! W Wilnie powstała burza, rektorstwo Twardowskiego nie było szczęśliwe i nad naszą szkołą nie tak już jasne niebo świeciło. Stygła energja profesorów uniwersytetu i nie było już tego popędu szlachetnego jaśnienia w swoim kraju i w obczyźnie. U nas nauczyciele trzymali się na nogach, lubo nie było komu dodawać zachęty do pracy. Książę kurator zdał swój urząd Nowosilcowowi, szef Drzewiecki przeniósł się zupełnie na Ukrainę, Jarkowskiemu lata służby skończyły się, liceum osierociało! Wilno przysłało nam ojczyma! Nie obywatel, jak nam robiono nadzieję, został naszym dyrektorem. P. Lewicki, nauczyciel w gimn. Winnickiem, potem adjunkt w uniwersytecie, tę dostoj-

ność otrzymał. Nie można było ująć Lewickiemu zasobu uczoności i pięknego prezentowania się w towarzystwie, dość miał nawet powagi i wiele uprzejmości i wszystkie zalety domowego pożycia. Ale czyż tylko tego wymaga posada tak znakomita? Słabość charakteru, łatwość projektów coraz zmieniających się tak, że żaden dobry nawet do skutku nie przyszedł, były głównemi wadami nowego dyrektora, a podniesienie na tak wysoką, tak ważną dostojność, rozwinęło w nim, dotąd ukryte, zarozumiałość i dumę. Nie mógł Lewicki pozyskać sobie serc nauczycieli, bo raz był grzecznym do przesady, drugi raz dumnym i surowym bez potrzeby. Po Czechu, Felińskim, Jarkowskim, z rządami Lewickiego obyć się trudno było. Profesorowie liceum, ludzie zasługi, czujący swoją osobistą godność, umieli władzy ulegać, ale imponować sobie nie dozwolili. Z gorliwości, z własnego przekonania i z nawyknienia spełniać zaszczytnie swe obowiązki, utrzymywali się zawsze na stopniu zasłużonej znakomitych nauczycielów sławy. Wyznać potrzeba, że Lewicki nie dość umiał ich ocenić, powagą wpłynąć na ich umysły nie potrafił, a życzliwości pozyskać nie umiał, lub może ufny w wyższą jakąś protekcję, nie chciał. Zrodził się więc chłód, obojętność, może nawet nieufność pomiędzy naczelnikiem, a podwładnymi. Stałości, taktu, otwartości i jednakowej zawsze powagi, nieodzownych na takiem urzędowaniu, właśnie mu niedostawało. Rządy jego przypominały nieco urzędowanie Sciborskiego, ale nie było już szefa Drzewieckiego, któryby dzielnością swego charakteru obudzał ducha, nie było Jarkowskiego, któryby zdrowym rozsądkiem swoim i bogatem doświadczeniem wpływał na działania dyrektora. Sciborski nie był czynnym, ale dał się zdrowemi radami powodować, działalność Lewickiego nie zawsze była na swojem miejscu, a rad i uwag czyichkolwiekbądź słuchać nie lubił. Instalacja Lewickiego uroczysta, ale smutna, wywołała wspomnienia świetnej i szczęśliwej przeszłości. Pięknie przemówił nowy dyrektor, za-

ręczał nam wskrzesić ojcowskie rządy Czecha, ale nie miał dość stałości obietnice swoje uiścić.

Wkrótce po objęciu urzędu przez Lewickiego, Wilno przysłało prefekta od siebie. P. Bokszczanin, Litwin rodem, piękny z postaci, poważny w postępowaniu, niełatwy do blizkich stosunków, lubo obchodzeniem się swojem nie mógł się niepodobać, był zagadką dla nas, wszyscy byli z nim jedynie na stopie koleżeńskiej uczciwości, i on się też z przyjaźnią swoją nikomu nie nastręczał. Mianowany od samego kuratora, Bokszczanin nie pozyskał zaufania współtowarzyszów i Lewicki, nieznając dodanego mu w pomoc, wielce był z nim ostrożny. Potrzeba jednak oddać Bokszczaninowi sprawiedliwość, że posiadał bystry rozum, szczęśliwy dar poznawania charakterów i dziwny takt w obchodzeniu się z młodymi. Umiał poznać i ocenić zasługi nauczycielów i zręcznie zbadać serca i zdolności młodych. Z początku uczniowie bali się go więcej, niż Jarkowskiego, ale poznawszy bliżej jego bezstronną sprawiedliwość, jego troskliwość o ich dobro, ukochali i szanowali nowego prefekta. To wzrastające przywiązanie uczniów do Bokszczanina niepodobało się Lewickiemu, ale nie mógł zarzucić prefektowi słabości w pobłażaniu młodzieży, a sam nie posiadał daru zjednania sobie synowskiej ich przychylności. Niestałość zdań i pomysłów dyrektora nie uszły i uczniów uwagi, uwagi nie zawsze korzystnie sądzącej naczelnika. Młodzi są młodymi, puścić ich samopas niepodobna, ale te młode istoty pełne są życia, życia umysłowego, pełne ducha, a umiejętne ich prowadzenie rozwija w nich wyższe uczucia, wyrabia w nich zdanie i sąd tak trafnie, tak rozsądnie, że i wiek doświadczony mógłby na nich polegać. Prefekt Jarkowski często zapytywał uczniów swoich o kim sądzą, że w takim to kursie, lub w klasie, pilnością i obyczajami na nagrodę zasługuje, i pokazało się zawsze, że sąd młodych był trafny i zgadzał się ze zdaniem nieogłoszonem nauczycieli. Podobnież sądzą i o swoich nauczycielach i nie przebaczą do-

strzeżonego niedostatku lub śmieszności. Nie masz szkoły i nie było, w którejby nauczyciele nie zyskali u uczniów jakiegoś epitetu, częstokroć najtrafniej malującego przymioty ich lub wady. Lewicki nie miał epitetu, ale nie miał i poważania, należnego władzy wyższej. Uczniowie wkrótce spoufalili się z dyrektorem, nie przez jego ojcowską dobroć, ale przez słabość charakteru, w którą trafić umieli. Jeden taki przykład tu przytoczę. Ernest Rzewuski, umieszczony u Lewickiego i suto opłacony, miał iść drogą naukową. Młodzieniec miłego i łatwego charakteru, ze znakomitemi zdolnościami do nauk i dowcipem, poznał wkrótce z kim ma do czynienia, przewodnika swego zawojował i rządził sobą, jak mu się podobało. Lewicki nie miał dość tęgości ducha, ażeby wpłynąć na umysł i wolę młodzieńca. Rzewuski, zdatny, dowcipny, rok cały stracił na niczem, a szanowny brat jego, hr. Henryk, za winę Lewickiego pomścił się piórem na wcale niewinnej szkole. Gdyby p. hrabia nie dla tonu, ale dla korzyści brata, szukał mniej wysokiej godności domu na pomieszczenie p. Ernesta, za połowę tego kosztu znalazłby był utrzymanie równe, a dozór i pomoc naukowe wyższe u dyrektora, i młodzieniec rozwinąłby był szczęśliwie znakomite swoje zdolności a nasze biedne liceum nie byłoby tak niemiłosiernie ocenzurowane.

Różność sposobu widzenia rzeczy i zdań, samego nawet postępowania zasiały nieufność i nieporozumienie w naczelnikach. Lewicki bał się wyższości umysłu Bokszczanina, ten zaś litował się w duchu nad słabością dyrektora i tęgością urzędowania poprawiał jego zboczenia. Poznając coraz więcej Bokszczanina, coraz więcej rozpatrywaliśmy się w jego przymiotach i przekonywali o jego wyższych pojęciach i o znakomitym takcie w prowadzeniu młodych, a jako w urzędniku rozumnym i gorliwym, zwolna i szacunek i zaufanie nasze złożyliśmy. Niechęć naczelników obudziła w nich emulację, i Lewicki starał się mniej projektować, więcej działać, ale z zarozumiałości swojej i niestałości uleczyć się nie

mógł. Wady te jemu i szkole niemało nieprzyjemności sprawiły. W 1824 r. w lutym mieliśmy wizytę kuratora. Z Nowosilcowem zjechał zastępca rektora Pelikan i kilku innych urzędników. Prezentowaliśmy się wszyscy gromadnie, potem każdego z nas kurator przywoływał pojedyńczo. Miałem szczęście być poznanym i Nowosilcow śmiał się jeszcze z mojego ambarasu w Warszawie. Długo ze mną rozmawiał po francusku; zdaje się, że to była mowa jego upodobana. Każdy z nas wyszedł z tej audjencji zadowolony, bo trzeba oddać sprawiedliwość, że ułożenie Nowosilcowa bardzo było ujmujące i mowie swojej nadać umiał ton podobający się każdemu. Dobre przyjęcie wyższego naczelnika dobrą nas natchnęło otuchą, ale nasz kochany dyrektor wszystko popsuł. Dla objaśnienia tej okoliczności cofnąć się muszę w odleglejszą nieco przeszłość. W r. 1809 w jedną niedzielę zimową u hrabiego Olizara, członka komisji, zebrało się kilkanaście osób na herbatę. Tańców nie było, starsi radzili z Czackim o sprawach komisji, małe kółko dam także o czemś radziło, nas kilku młodzieży zebraliśmy się w pokoju starszego z synów hrabiego, Narcyza. Wspomniany nauczyciel Czarnocki, domowy młodych hrabiów dozorca, był z nami. Rozmowa, jak to rzadko między młodymi, była czysto naukowa. Rozpatrując w kolegach zdolności pisarskie, przyszła nam myśl utworzyć towarzystwo naukowe pod nazwaniem: Towarzystwa ćwiczących się w mowie ustnej i pisanej ojczystej. Narcyz Olizar, Józef Czacki, Skomorowski, Trzebiatowski i ja pod wpływem Czarnockiego spisaliśmy program i ustawę i szanownym mężom, zebranym na wieczorze, przedstawiliśmy. Z upodobaniem przeczytali ojcowie nasze pomysły, Czacki dodał jeszcze parę artykułów, podpisał ustawę i kazał posłać ministrowi oświecenia Zawadowskiemu i wkrótce potwierdzenie ministra otrzymaliśmy. Zrobiliśmy księgę, gdzie i ustawy nasze z podpisem Czackiego oprawione zostały i imiona członków i ich utwory zapisywane były. Długo trwało to towarzystwo, zaw-

sze dobrze uważane przez władze szkolne i przez wizytatorów; zmieniali się członkowie. Nakoniec z czasem jedni rozproszeni po świecie, drudzy innym obowiązkom oddani i towarzystwo od zgonu Felińskiego i księga poszły w zapomnienie. Lewicki słyszał coś o niem, ale księgi nigdy nie miał ciekawości oglądać i ta sobie spokojnie w w bibljotece liceum spoczywała. Nowosilcow w rozmowie z emerytem prefektem zapytał go, czy nie było między uczniami jakich potajemnych, niebezpiecznych związków, stowarzyszeń — czcigodny starzec odrzekł, że żadnych nie było. Na toż samo zapytanie, dyrektor odpowiedział: — „Było, było, ale ja je rozwiązałem, zniszczyłem". — Znowu kurator przyzywa Jarkowskiego i wymawia mu, że towarzystwo zataił. — „Mości kuratorze! — odpowie szanowny weteran — pytałeś pan o towarzystwa tajemne i takich nie było. To zaś, które, p. Lewicki powiada, że rozwiązał, tak było piękne, że zaszczyt szkole naszej przynosi; potwierdził je p. Czacki i p. minister Zawadowski i p. kurator sam odda sprawiedliwość jego ustawom. Jest księga, z której się pan najlepiej przekonasz". — „Gdzież ta księga?" — zapyta dyrektor.—„W bibljotece"—odpowie Jarkowski.—„Dziwno mi, że p. dyrektor, który towarzystwo rozwiązał, ustaw jego nie czytał". — Pelikan ostro spojrzał na dyrektora, kazał przynieść księgę. Z członków towarzystwa dwuch nas tylko było w Krzemieńcu, Korzeniowski i ja, i nic nie wiedzieliśmy o tym wypadku. Oba byliśmy na lekcji i wychodząc z klasy dowiedzieliśmy się, że papiery nasze zabrano przez prefekta urzędownie w asystencji policmajstra. Spokojni na sumieniu, nie lękaliśmy się przeglądu, bo w papierach nie było nic obudzającego jakieś o nas podejrzenie. Moje całe archiwum składało się z seksternów botanicznych, z moich notatek z ekskursji i z listów od rodziny. Listy ciotki mojej Skirmuntowej, już nieżyjącej, związane były wstążką żałobną i te ściągnęły najpierw uwagę Pelikana. Ale przeczytawszy jeden, poznał, że to są familijne okoliczności, czytał jed-

nak wszystkie i listom to tego anioła, winienem usposobienie, z jakiem przejrzane były moje papiery i z jakiem rektor i nadal dla mnie zostawał. Nazajutrz kazał mi stanąć przed sobą, wypytywał o towarzystwo i jego członków. Opowiedziałem mu całe dzieje naszego stowarzyszenia; słuchał z uwagą i poglądał to na mnie, to w naszą księgę. Po ukończeniu opowiadania — „Zabierz swoje papiery — rzeknie — winszuję ci, że nie masz tu nic podejrzanego, a ten pakiet żałobny chowaj, jako miłą pamiątkę, ja o panu nie zapomnę". — Powstał, podał mi rękę z przyjaznem uściśnieniem, a ja, zabrawszy worek z mojem archiwum, pobiegłem do domu opowiedzieć matce, że na postrachu wszystko się skończyło, i żartowaliśmy sobie z całej tej okoliczności.

Na niczem się skończyła rzecz cała, został z niej tylko dowód nieroztropności naszego naczelnika, mogącej wpłynąć na dalszy los nasz i szkoły, gdyby cokolwiek znalazło się było choć najmniej podejrzanego. Wieczorem odwiedził nas Bokszczanin i przepraszał moją matkę za przestraszenie jej ranną swoją wizytą. — Mówił nam, że i Nowosilcow i Pelikan wielce zadowoleni wszystkiem, co widzieli w liceum, że Lewicki dał znowu dowód swojego niezadowolenia, bo nie mówiąc z nikim z kolegów poprzedniczo, zaprosił kuratora i rektora na obiad na jutro, jakoby dawany dla nich od naszego zgromadzenia. — Na szczęście nasze, odmówili, jako już nas opuszczają. — „Bo sądźcie państwo — mówił dalej prefekt — składka nas nie zastrasza, bo chętnie się na nią zbierzemy, ale ugaszczać takie osoby, to potrzebuje przygotowania, a przygotowanie czasu wymaga, a tu dzień jeden tylko i nic niema". — Po wyjeździe kuratora, dyrektor czas jakiś znosząc się z prefektem, szczęśliwie jakoś urzędował, ale to nie długo. Znajdował, że nauczyciele za mało mają zajęcia ze swoich przedmiotów. Administracja dóbr i funduszów licealnych zostawała w ręku stanu nauczycielskiego. Radziby byli zrzucić z siebie

ten ciężar, nawet szef Drzewiecki podawał projekt naznaczenia komisji, złożonej z obywateli dla administrowania majątkiem licealnym; Komisja Edukacyjna stwierdziła ten godny ducha obywatelskiego pomysł, obywatele przyjęli go z zadowoleniem, nauczyciele z wdzięcznością, ale uniwersytet, przyjąwszy podany od lat trzech projekt, nie miał kiedy do rozebrania go przystąpić, i administracja gnuśniała w ręku uczonych. Poprzywykali jednak trochę, a że prof. Choński, prof. Wyżewski i prof. Wojciech Jarkowski oznajmieni byli z gospodarstwem wiejskiem, więc szło to jakoś, i szłoby lepiej, gdyby prezydujący dyrektor, albo sam znał więcej gospodarskie manipulacje, albo się radami doświadczeńszych od siebie powodował. Zostawało jednak kilku nauczycieli nie zasiadujących, trzebaż im dodać jakieś zajęcie; między innymi, prof. greckiego języka. Prawdziwie uczonemu filologowi, zamiłowanemu w swoim przedmiocie, polecił spisać narzędzia i machiny fizyczne, z okazaniem stanu, użytku i potrzeby każdego. Mnie kazał spisać porządny sumarjusz całego archiwum ekonomicznego administracji. Podobnie i innym, a nigdy odpowiednio przedmiotowi, któremu się nauczyciel oddawał. Pośmieliśmy się trochę z niestosownych poleceń, aleśmy robili, bo baliśmy się ducha partji i szkodliwego rozdzielenia się na różnomyślne gromadki. Szło więc dobrze, uczniowie z nauk korzystali, obywatele byli zadowoleni, wizytatorowie pochwalne o nas przesyłali raporta i uniwersytet jakoś niby sympatyzował z liceum. Lewickiego instalował na dyrektora wizytotor Jan Wyleżyński, mąż w kraju nauką i obywatelskiemi cnotami zasłużony, mnie oddawna znany i mile z nim sobie dawne lata przypomnieliśmy. Na rok 1824 uniwersytet naznaczył nam wizytatorem obywatela litewskiego Moniuszkę. Od samego wstępu w urzędowanie dostojny ten obywatel i serca nasze do siebie pociągnął i zaufanie i szacunek pozyskał. Wybranie na wizytatora p. Moniuszki jawnym było dowodem życzliwości

dla nas uniwersytetu. Moniuszko wkrótce poznał każdego z nauczycieli i trafnie ocenił; nam się zdawało, że on od dawnych lat żył z nami, że prace nasze i koleje losu podzielał. Gorliwy to był i miły w pożyciu urzędnik, i wpływem swoim w uniwersytecie wiele się do dobrego bytu szkoły naszej przyczynił.

W tym roku Karol Drzewiecki, syn szefa, z korzyścią własną i z zaszczytem liceum nauki ukończył i medal otrzymał. Ojciec, chcąc mu uprzyjemnić wakacje, postanowił wysłać go na zwiedzenie południowej części kraju i mnie za towarzysza podróży mu dodał. Zwiedziliśmy nadbrzeża Bohu, Mikołajów, Cherson, oglądając wszędzie, co tylko godnem zwiedzenia było. Pojechaliśmy potem do Odesy, i stamtąd ujście Dniestru i brzeg jego zwiedzili. W Odesie zjechaliśmy się z naszym wizytatorem i przez cały pobyt w tem mieście w jednym hotelu mieszkaliśmy. W Krzemieńcu znaliśmy p. Moniuszkę, urzędnika w Odesie, ten sam p. Moniuszko był miłym nam towarzyszem podróży. Wtedy to zrobiłem znajomość przyjemną i dla nauk przyrodzonych wielce korzystną. Dnia jednego, wybierając się na ekskursję zaszedłem do apteki p. Schmidta dla wzięcia spirytusu na zanurzenie owadów, których dla oszczędzenia czasu, na szpilki brać nie można było. W aptece zastałem prowizora, człowieka w całej sile wieku dojrzewającego, z mile ujmującą powierzchownością. Gdym mu powiedział po co przyszedłem, rzekł mi z zadowoleniem: — rzemieślnika mojego cechu mam przyjemność oglądać — i wymienił moje nazwisko. Poszliśmy zaraz do jego stancji, gdzie podziwiające bogactwem zbiory przedmiotów przyrodzonych zastałem. Był to Szowits, uczony naturalista, świetnie rozkwitnął w naukach przyrodzonych, zbyt wczesnym zgonem naukom i ludzkości wydarty. Od pierwszego poznania przyjacielska zażyłość utworzyła się między nami i odtąd Szowits ciągle towarzyszył mi w ekskursjach. Dnia jednego Moniuszko, Karol Szowits i ja wybraliśmy się wcześnie dla obejrzenia brzegów morskich aż do

ujścia Dniestru. W Luftdorf kąpaliśmy się w pełnem morzu, w Grosliebenthal koloniści dobrem nas śniadaniem uraczyli, przy ujściu Dniestru chciwie poglądaliśmy na Akkerman [1]) i marzyliśmy z Szowitsem o bogactwach botanicznych okolic tego miasta. Nie ubogi jednak był nasz połów i na lewym brzegu Dniestru. Postępowaliśmy w górę rzeki; już było z południa, Szowits i ja, nawykli do ekskursyjnych niewygód, cierpliwie znosiliśmy dającą się uczuć potrzebę posiłku, a towarzyszom naszym jeszcze więcej głóg dokuczał i zaczęli się niecierpliwić. Z nad rzeki droga podnosiła się na górę i wjechaliśmy w jakieś miejsce okopane, na którem wznosiło się kilka ziemianek i dwa obszerne namioty. W jednej chwili otoczyło naszą bryczkę kilku kozaków, zatrzymali konie i jakiś jegomość niewielkiego wzrostu, w szarej bluzie, przyjemnej, chociaż gniewnej twarzy, przystąpił do nas i surowo zapytał o paszporta, których nam jak raz na ten czas nie dostawało. Moniuszko zaczął się tłumaczyć, ale jegomość nie zważając na to: — „Aresztuję panów! — rzeknie — kozacy zabrać konie! a panów proszę z sobą, tam się rozmówimy". — Poglądamy po sobie i nie wiemy, co myśleć. Mnie jednak to zatrzymanie nas, jakoś pocieszne się wydawało i śmiać się zacząłem. Koledzy surowem wejrzeniem wyrzucali mi moją wesołość, ale gospodarz spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Gdy nas wprowadził do większego namiotu, ozdobnie i gustownie przystrojonego—„witajcie mili goście!—rzeknie do nas.—Od wczoraj wiedziałem o waszym projekcie, spodziewałem się, że tą drogą pojedziecie i czekałem na was uprzejmem sercem i ze szlacheckim obiadkiem. Przepraszam za oka-

---

[1]) Akkerman-Białogród przy ujściu Dniestru. Guillebert de Lannoy (przekład u Lelewela wraz z tekstem), pod Białogrodem zbudował zamek (może Czarny-gród). Białogród, zdobyty przez Turków, dał oparcie Tatarom i Turkom w najazdach na Ruś. Był przedmiotem częstych rabunków przez kozaków w XVI i XVII w.

zaną niegrzeczność, Marchockiemu takie dziwaczne przyjęcie wybaczycie". — W istocie był to Karol Marchocki, syn owego sławnego ekscentrycznością swoją na Podolu Marchockiego. Byliśmy więc na futorze p. Karola, po bratersku przyjęci i najuprzejmiej ugoszczeni. Wyborny obiad, najprzyjemniejsza pogadanka, oglądanie pięknych koni, zbioru szacownego broni i rozmaitych osobliwości zabrały nam resztę dnia i wieczorem dopiero uprzejmy gospodarz odesłał nas wygodnym swoim powozem do miasta, a nasza bryczka wiozła nasze ekskursyjne plony. Nazajutrz p. Karol odwiedził nas i odtąd pomnożył swoją miłą obecnością nasze towarzystwo. Byli na ten czas w Odesie pp. Kajetanostwo Czarneccy, blizcy krewni szefa Drzewieckiego. Dom ich był ogniskiem, do którego codziennie zbieraliśmy się i tam mój towarzysz podróży, jeśli nie miał usposobienia towarzyszyć mi w ekskursji, na cały dzień zostawał. Wysoka moralność młodzieńca dozwalała zostawiać go nawet samemu sobie, a wychowanie, jakie odebrał w domu czcigodnego ojca, nauczyło szukać wyboru towarzystwa. Karol Drzewiecki w osiemnastym roku życia, mimo żywość młodości, w postępowaniu swojem miał takt dojrzałego człowieka. Miło mi było być w towarzystwie tak pięknie ukształconego młodzieńca. Żadne silne uczucia serca nie rozwijały w nim się jeszcze. Kiedy przed wyjazdem do Odesy byliśmy w Hruzce u Antoniego Jaroszyńskiego, zastaliśmy tam panią Iwanowską z Derebczyna. Piękna to była dama, z wysokiem wychowaniem i mnóstwem talentów. P. Jaroszyński prosił, ażeby śpiewała. Otoczyliśmy fortepjan, mój Karol siedział naprzeciw śpiewającej, której piękną twarz oświecały świece umieszczone na fortepjanie, toż samo światło padało i na twarz Karola i oczy śpiewaczki na niego zwrócone były. Śpiewała kilka arji, w jednej z nich, kiedy natchnięty wyższem uczuciem głos podniosła i puściła w te czarujące zmiany, właściwe włoskiej metodzie, wszyscy w zachwyceniu podziwialiśmy zimną

spokojność młodzieńca, aliści patrzymy, a on nieczuły i na urok śpiewu i na wdzięki śpiewającej spokojnie sobie zasypiał. Szczęśliwa młodość, w której grę namiętności, bogobojne i szlachetne wychowanie uśpić zdołało! — Nie był jednak Karol mrukiem w towarzystwie. W Odesie u pp. Czarneckich, całą swoją znajomość manier wyższego społeczeństwa rozwinął i wszystkim przypadł do serca. Czas nam w Odesie miło upływał. Teatr, przejażdżki w okolice, wycieczki morskie, wieczorem zabawy u pp. Czarneckich, tak jakoś pięknie się składały, że można powiedzieć, żeśmy te trzy tygodnie na zabawach spędzili. Jednego dnia całą naszą kompanją popłynęliśmy do stojącej o milę fregaty. P. Marchocki dostarczył nam wygodnych i pięknych łódek. Najpomyślniej udała się żegluga, na fregacie znaleźliśmy tak miłe przyjęcie, oficerów tak dobrze wychowanych, tak ubiegających się ze swoją uprzejmością, że trzy godziny naszego tam pobytu, jak trzy minuty szybko uleciały. Wracaliśmy przy świetle księżyca, muzyka okrętowa, grająca na pokładzie podczas naszej bytności, nie przestawała i po naszem odpłynięciu, i przybijając do portu jeszcześmy ją słyszeli. Kapitan dla naszego bezpieczeństwa wysłał za nami łódź z kilkunastu ludźmi i dwoma oficerami. Wysiadłszy na ląd, majtków udarowaliśmy hojnie, a oficerów pp. Czarneccy do siebie na herbatę zaprosili. Na fregacie oprowadzano nas wszędzie. Ja wiele z tych odwiedzin skorzystałem, bo choć powierzchowność okrętów nie obca mi była, urządzenie zaś wewnętrzne z opisów tylko znane, tu dopiero ze szczegółami dokładnie poznałem. Podobną korzyść z tych odwiedzin odniósł i mój młody towarzysz. W jednym z nami hotelu mieszkał młody książę Leon Sapieha z Teofilpola. Co tylko dać może hojna w swych darach natura człowiekowi, to wszystko młody książę posiadał, i bez wyjątku wszystkich serca ku sobie pociągał. Sąsiedztwo blizkie, bo o ścianę tylko, prędko nas zbliżyło, a że książę znał pp.

Czerneckich, do naszej więc przyłączył się koterji. Niebardzo nam chciało się opuszczać Odesę, ale wyjazd księcia, pp. Czarneckich, przeniesienie się do Luftdorfu Moniuszki dla kąpieli i nasz wyjazd zdecydowały. Karol pisał dziennik swojej podróży i za powrotem do domu zrobił z niego wyciąg dla ojca. Z prawdziwą pociechą serca czytaliśmy to pismo młodzieńcze. W opisach rzetelność z niejaką wytwornością, a uwagi szczegółowe, tak trafne, tak rozsądne, że i dojrzały człowiek nie lepiejby się w nich wyraził. Czytając to pisemko p. szef nie jedną łezką ojcowskiego zadowolenia pracę ukochanego jedynaka zrosił. Tydzień jeszcze bawiłem w Kunce i ze łzami opuszczałem dom czcigodnych szefostwa. Najmilsza zawsze dla p. szefa pogadanka była o Krzemieńcu. Los szkoły naszej, jej powodzenie tak sercu jego były miłemi, jak los własnej rodziny. Rozmawiając o dyrektorze, rzekł do mnie: — „Nie życzyliście sobie ks. Maciejowskiego? a teraz wyznajcie, nie lepiejże byłoby wam pod jego rządem? Szkoła Winnicka coraz się podnosi, nauczycieli ma dostojnych, całe młode pokolenie ukraińskiego obywatelstwa zbiera się do winnickiego gimnazjum i nie zaprzeczycie temu, że kończący szkoły w Winnicy są dostatecznie usposobieni do słuchania nauk w uniwersytecie. Niesnaski, jakie się były okazały w początku, i partje wojujące ustały i całe zgromadzenie jednomyślnie pracuje dla korzyści uczących się i dla dobra szkoły, a wszystko to jest dziełem gorliwości i energji dyrektora! Przekonywam się o tej prawdzie i boleję, że wam się taki rządca nie dostał. Bo nie myślcie, żeby usunięcie się moje z Krzemieńca pociągnęło za sobą zapomnienie o tym drogim dla mnie pomniku Czackiego, nie! ja z wami duchem żyję, myśl moja do was ulata, u was wychowało się dziecię moje i to jest węzeł, który mię jeszcze silniej z Krzemieńcem łączył. Mimo niedołężność dyrektora, liceum nie upadnie, ani się poniży, wysokie zalety i gorliwość nauczycieli, jest dostojną rękojmią jego trwałej świetności. Nie ustawajcie w trudach waszych, pracujcie

dla tego młodego pokolenia, które z całą ufnością obywatele wam powierzają. Niech wspomnienie założyciela waszej szkoły ożywia w was ducha i wytrwałości dodaje. Szanujcie władzę waszego naczelnika, a ułomnościom człowieka przebaczcie".

ROZDZIAŁ XII.

W 1825 r. znowu zwiedziłem Odesę, ale na ten raz już o moim koszcie i niby nie w celu naukowym. I w samej rzeczy celem tej podróży były kąpiele morskie, które doktorowie nakazali szesnastoletniej siostrzenicy mojej, a że matka, karmiąc małą córeczkę, nie mogła jej towarzyszyć, spadł więc ten obowiązek na wujaszka i siostrzeniczka nie gniewała się wcale za tę zamianę. Odmiana miejsca, ruch powozu, piękna pora lata w podróży, — na miejscu kąpiele, miłe towarzystwo, przejażdżki, teatr, wszystko to tak wpływało szczęśliwie na polepszenie zdrowia panienki, że po dwuch tygodniach pobytu w Odesie ledwie ślad cierpień pozostał. Mieszkanie mieliśmy bardzo wygodne, kuchnię swoją i na nasz stół przyjęliśmy d-ra Karola Kaczkowskiego, jego ojca i brata Michała. Zwyczajne więc towarzystwo nasze nie było małe i nudne, państwo Szmidt, pp. Umisa doktorostwo i nasi stołownicy. Ale moją siostrzenicę zaprezentowałem pani Decemet i z tą damą pokazała się w wyższem towarzystwie. Mogłem więc i tym razem w towarzystwie Szowitsa zwiedzać okolice Odesy, bo moja pupila miała panią Schmidt i panią Decemet, z któremi i u których ją chętnie zostawiałem. Zjazd obywatelstwa z różnych gubernji i okolic był wielki. Z Wołynia, Podola i Ukrainy, z pod gór Karpackich i z nadbrzeżów Bałtyckich, z Moskwy i z Poznania, z Kurlandji i z Galicji, z Petersburga i z Mołdawji. Rozmaitość języków wielka, jeszcze większa może nawet niż ubiorów. Ale byli tam i znakomici goście, którym Odesę za miejsce wygnania naznaczono.

Byli to wileńczycy: Mickiewicz, Malewski i Jeżowski. I mieszkańcy i przyjezdni do Odesy wielce się nimi interesowali, ale szczególniej Mickiewiczem. Sława tego wieszcza już była głośną, w każdym domu polskim ujrzałeś pierwsze tomy jego poezji, nietylko czytane, ale i wyuczone na pamięć. Ożyła prawdziwa poezja i okazała nam się w tak strojnych, tak okazałych szatach, a tak skromna, tak urocza, że poezje Adama i we wspaniałych pałacach i w wieśniaczych lepiankach z równem uniesieniem powtarzano. Wieszcz ten stanowi u nas epokę, sposób jego pisania wzięto za wzorowe prawidło, ale tej prostoty, tego języka serca, tych wyrażeń dowcipu, tego ducha ożywczego narodowego, nikt pochwycić, nikt naśladować nie zdoła. Wierszopisów mamy wielu, są między nimi i z duchem poezji, nawet z talentem, ale Mickiewicz dotąd jest jeden. Ćwierć wieku od zajaśnienia tego słońca na horyzoncie naszym upłynęło, któż obok niego stanąć godnie zasłużył? Nie korzystać ze sposobności poznania tak znakomitego męża, byłoby to jedno, co być w Rzymie i papieża nie widzieć. Kożuchowski Józef, niegdyś Krzemieńczanin, znajomy z Mickiewiczem w Wilnie, wprowadził mię na odwiedziny wieszcza. Portret sztychowany Mickiewicza w burce na skale ledwie że podobny. Artysta nie trafił charakteru, chociaż rysy dał te same, a stawiając bokiem głowę, nie dał widzieć oczu, w których cała dusza wieszcza przemawia, znać nie czuł się natchnionym do oddania tego życia, tego ducha wyższego. Rysy twarzy Mickiewicza wydatne, na czole wyraz genjuszu, po całem obliczu rozlana słodycz, jednająca mu wszystkich sympatją. Mówił mało, ale w mowie jego taki uroczy wdzięk, że się go nasłuchać dość nie można, a uczucie własnej zacności z najwyższą skromnością złączone. W parę dni odwiedził nas, bawił trzy godziny i siostrzenicy mojej cztery wiersze na pamiątkę napisał. Wkrótce wyjechał do Krymu i my wróciliśmy do Krzemieńca. Podziwiającą zastaliśmy osobliwość. Szwagier mój Miechowicz ciężko zachorował, cierpienia jego

były nerwowe, ale tak silne, że najtroskliwsze usiłowania naszych medyków, nietylko ich uleczyć, ale i ulgi nawet przynieść nie mogły. Na szczęście, przyjechali wtedy trzej wileńscy medycy, Domher, Baraniecki i Orzechowicz. Siostra moja wezwała nowoprzybyłych. Po złożonem z miejscowymi medykami konsyljum, zadecydowano, że magnetyzm jedynym mógł być środkiem uleczenia i Orzechowicz podjął się tej nowej kuracji. Na drugiem zaraz posiedzeniu uśpił chorego, ale nie ośmielił się jeszcze zadawać mu pytania. Szóstego wieczora dopiero zapytał pacjenta, czy śpi i jaki jest sen jego? Pacjent odpowiedział, że nigdy jeszcze tak miłym snem nie spoczywał. Na zapytanie, jaka jest jego choroba? — odpowiedział: „na co pytasz, kiedyś ją zgadł doskonale". „Jakież na nią lekarstwo?" „Dziś jeszcze ci na to nie odpowiem". Pytał potem lekarz, jak długo chce spać pacjent: „Jeszcze pół godziny, ale mię już o nic nie pytaj i za pół godziny obudź mię". „Jakże cię budzić?" „Dotknij lewej dłoni i prawej stopy". I tak się stało, obudzony nic snu swego nie pamiętał, ale uspokojenie magnetyczne w nim pozostało i w nocy spał mocno i spokojnie. W następnych sesjach coraz więcej rozwijało się jasnowidzenie. Zgadywał osoby, kolory sukien, godziny, czytał nasz list z Odesy, a te wszystkie przedmioty stawiano w drugim pokoju. Zapytano go o dzień naszego powrotu. Naznaczył czwarty dzień do dnia, w którym go zapytano. Gdy przeszedł dzień naznaczony, zapytano, dlaczego nas niema? „Bo ich zatrzymano na bal, dawany dla hrabiny Woroncowej". I tak było w istocie i nazajutrz po tym balu opuściliśmy Odesę. Siostrę moją wzięła ciekawość, jak jej córka ubraną była. „Pięknie — odpowiedział pacjent — w różowej sukni i w białych kwiatach na głowie". I to odgadł. Wróciwszy do Krzemieńca, zajechaliśmy do mojego mieszkania, ażeby od mojej matki dowiedzieć się o zdrowiu Miechowicza, nim go zobaczymy, a było to już wieczorem. Pacjent nie pytany powiedział: „już przyjechali". „Gdzie są?" — zapytał lekarz. „U mamy, i zaraz z nią tu przyj-

dą". W samej rzeczy, w kilka minut matka moja i my podróżni weszliśmy do pierwszego pokoju, pacjent okazał niespokojność, a kiedy go lekarz zapytał o przyczynę: „Obudź mię — odpowiedział — chcę ich widzieć materjalnie". Obudzony witał nas uprzejmie, ale niespodziewanie. Na wszystkie pytania odpowiadał, ale jeśli w pytaniu było co o religji, uśmiechał się i odpowiadał słowami Apellesa: „Sutor ne ultra crepidas". Badany o swoją lub drugich przyszłość, mówił: „przyszłości drzwi zamknięte, nic nie widzę". W naturze naszej są sympatje i antypatje. Często osoba nieznajoma nawet ma da nas jakiś pociąg, do drugiej wstręt mimowolny czujemy. Był w Krzemieńcu Włoch jeden, w pięknem nawet socjalnem położeniu, Miechowicz go nie lubił. Jegomości temu chciało się widzieć jasnowidzącego w uśpieniu i Orzechowicz zezwolił, ale ledwie Włoch wszedł do sieni, pacjent mocno się niepokoił, a na zapytanie lekarza, odpowiedział: „że jeśli ten wejdzie do pokoju, to całe cierpienie wróci na nowo i już na nie lekarstwa nie będzie".

Sesje magnetyzowania trwały około czterech tygodni, i zdrowie pacjenta coraz się polepszało, paroksyzmy ustały, ale i jasnowidzenie się skończyło. Chory sam sobie lekarstwa przypisywał i lekarz podziwiał trafność w wyborze medykamentów. Na jednej z sesji początkowych pacjent w kłopot wprowadził lekarza i żonę swoją. Kazał sobie zrobić czapkę żelazną i takież trzewiki. Nie pojęli chęci chorego. Na następnej sesji sam pacjent zaczął: „widzicie, żeście mi nie dali ani obuwia żądanego, ani czapki". Lekarz odpowiedział, że nie wiedziano jaka forma być ma tych przyborów. „Forma? — rzekł pacjent — blacha wklęsła na czoło i blachy płaskie pod podeszwy". Zrobiono je natychmiast i skoro pacjent się obudził przywiązano blachy. „Cóż to za uzbrojenie? — zapytał chory. „Potrzeba je nosić" — odpowiedział lekarz poważnie. „Ale jakżeż z niemi chodzić będę?" Tu zakłopotany lekarz wahał się, co mu powiedzieć, ale siostra moja odezwała się: „daj pokój, wiesz, jak doktorowie nie lubią

tych zapytań, dlaczego? naco? przepisał to jako lekarstwo i słuchać trzeba". Pacjent na tem poprzestał, ale uśpiony powiedział lekarzowi, że mu te żelaza wiele dobrego zrobiły, kazał jednak odejmować w czasie magnetyzowania. Jeden z uczniów mechaniki cierpiał na oczy. „Magnetyzuj mu czoło i skronie — rzekł uśpiony do lekarza — a będzie zdrów". W istocie po trzech dniach bardzo się polepszyło młodemu, a po siedmiu zupełnie wyzdrowiał. Nie chciał jednak radzić nikomu i zawsze odpowiadał Orzechowiczowi: „To twoja rzecz, radź, a uleczysz". Choroba i kuracja Miechowicza jest pięknem w medycynie wydarzeniem i zapewne w notatkach czcigodnego lekarza znajduje się opisana. Ja tu przytoczyłem jako osobliwość, na którą tyle nas osób patrzało. Miechowicz do zupełnego przyszedł zdrowia, przeżył żonę i później doszedł starości.

W szkole naszej żadnej nie było zmiany, szło wszystko po staremu i szło jakoś dobrze. W jesieni gruby kir rozciągnął się nad całą Rosją. Z Taganrogu najsmutniejsze dolatywały nas wieści, ale trwożni o sprawdzenie onych, wiary do nich przykładać nie chcieliśmy.

Zgon cesarza Aleksandra rozległ się od bieguna do bieguna, okrył żałobą europejskie trony i gorzką boleścią napoił Rosję.

Żadnym zmianom nie ulegało nasze liceum, zdaje się nawet, że uniwersytet zaczął więcej interesować się naszą szkołą, przynajmniej szczególnym indywiduom tak się zdawało. Zgromadzenie obywatelstwa jeszcze więcej się pomnożyło. Dla żałoby, zabaw publicznych żadnych nie było, ani balów, wieczorami jednak zbierano się po domach i wybornie bawiono. Pomimo pozorną jedność w towarzystwie, odbijał się jednak jakiś cień oddziału w domach tytułowych książąt i hrabiów od szlachty jawnej, urzędowej. Nie uchybiano nigdzie nikomu, ale prywatne szlacheckie wieczory były weselsze. Na takiem wieczorze u pp. Puławskich graliśmy w gry, ale tak jakoś składnie snuł się wątek zabaw, że jedna z drugiej

wypływała i przestanków nie było; na takiej wesołości zszedł nas ks. Franciszek Sapieha. Jak zwykle nie witając się, zasiadł na pogadankę z gospodynią. Tymczasem zabrakło nam jednej osoby do sąsiada; piękna p. Ludwika Puławska zaprosiła księcia. Nie odmówił i do 11-tej godziny dotrzymał kompanji i nie pożegnawszy nikogo wyszedł. Nazajutrz we wszystkich domach magnackich rozpowiedział, że tylko u szlachty bawią się wesoło, bo uprzejmie i bez etykiety. Odtąd społeczeństwo mniej się dzieliło i tego arystokratycznego stopniowania widać nie było.

Tak mówił z serca ten mąż czcigodny, i mówił prawdę. — Oddalony od nas nie przestawał czuwać nad nami. Każdy z naszych wizytatorów starał się z nim znosić i, że tak powiem, zdania jego i rady zasięgać. Ale jeżeli o nas myślał ten mąż dostojny, myślał uczuciem ojcowskiem, i te jego ojcowskie dla nas uczucia, głęboko wryte w sercach Krzemieńczanów, najmilszem dla nas, drogiem wspomnieniem zostały. Pokój twoim popiołom, cześć wieczna imieniowi twojemu, my w sercach naszych ciebie od Czackiego oddzielić nie umiemy. W każdym Krzemieńczaninie łza wdzięczności każdemu o tobie wspomnieniu towarzyszyć zawsze będzie!

ROZDZIAŁ XIII.

Następne lata szły prawie jednakowo. Zmieniali się nauczyciele, ale sława poprzedników silnie wpływała na gorliwość i działalność następców. Pilność w dokładnem spełnianiu obowiązków stała się, że tak powiem nałogiem profesorów. Nie miał dyrektor daru zachęcania do pracy, ale i nie potrzebował zachęcać ludzi szlachetnie myślących i poświęconych dobru powszechnemu. Szło więc dobrze nasze liceum i zawsze ściągało do siebie licznych uczniów i zawsze wychodzący po ukończeniu

nauk młodzi celowali w uniwersytecie i pięknem przygotowaniem i pilnością i dobremi obyczajami.

W r. 1825, w maju, odwiedził Krzemieniec rektor Pelikan i kilkanaście dni bawił, bo interes ważny go nie sprowadził i zupełnie był jako wizytator. Natura dała mu postać piękną, piękne wysłowienie się i dar ujęcia sobie każdego. Co dzień ranek obracał na przeglądy w liceum wszystkiego, co potrzebowało rzutu oka wyższego zwierzchnika, czas popołudniowy obracał na przejażdżki w majątku licealnym, na wizyty, wieczory na zabawy. Wszystkich nas odwiedzał z poufałą uprzejmością, zapoznawał się z naszemi rodzinami i wszędzie po sobie przyjemne wrażenie zostawił. Taki był skład okoliczności, że każdy prawie z nauczycielów miał o coś prosić, rektor słuchał, nic nie obiecywał, ale pamiętał i spełnienie później prośby dla proszących stało się niespodzianką. Bytność ta rektora w Krzemieńcu przekonała go o ważności szkoły, nawet o potrzebie podniesienia jej na wyższy stopień. Czyby zgodził się na wydzielenie liceum z pod zarządu uniwersytetu, nie wiemy, bo to nie zgadzało się z systematem raz już zaprowadzonym, którego i Czacki wzruszyć nie mógł, ale gdybyśmy byli mieli kogo, coby naszą sprawę gorliwie popierał, rektor był w usposobieniu zrobienia dla nas wiele, bo i tak co mógł, to robił. Może tam inni mają co do zarzutu Pelikanowi, my powiedzieć możemy, że w nim mieliśmy najżyczliwszego stronnika aż do samego końca.

W tymże roku mieliśmy jubileusz. Współczesne gazety podały wiadomości publicznej okazałą uroczystość tego nabożeństwa. Modliliśmy się szczerze, zbiór duchowieństwa był liczny. Wielu między nimi wymową i duchem religijnym w swych kazaniach przemawiali do serca słuchaczów. Nauki ks. Kulikowskiego, a osobliwie rozbiór czwartego przykazania, do łez słuchaczów rozrzewniły. Nie jedno tam dziecko wróciło na łono rodziców, nie jedni rodzice w ewangelicznem upokorzeniu pierwsi podali dłoń zgody odepchniętym od łona swego dziatkom. Ksiądz

Prokop, jak zawsze, mówił pięknie i na jubileuszu, ale w kazaniu o sądzie ostatecznym, przewyższył samego siebie. Nie rzucał gromów, ani straszył pałającemi smołą i siarką piecami, jak Falkowski, ale w najdelikatniejszych wyrazach, tak ohydnemi pokazał grzechy ludzkie, tak w świetne barwy przystroił cnoty, że się każdy przejrzał w nich, jak w zwierciadle, i najszczerzej uderzył się w piersi, mówiąc: moja wina! Ale kiedy odmalował rozdzielenie występnych od niewinnych i rozerwanie związków towarzyskich i rodzinnych, kiedy wystawił rozpacz potępionych, i mimo wesele zbawienia, żal wybranych za swojemi, na karę skazanemi, głośnym płaczem rozległ się kościół i słychać było bicie się w piersi i ciche wołanie: „Boże bądź miłościw!“ Drugie wielkie kazanie jubileuszowe ks. Prokopa o obowiązkach chrześcijanina względem Boga i względem bliźnich nie ustępowało wyżej przytoczonemu. Z dziwną śmiałością rozróżnił miłość chrześcijańską od miłości materjalnej i w tej ostatniej wskazał miłość małżeńską i rozpasaną namiętność. Dzielna wymowa ks. Prokopa rozwinęła się tu w najwyższym stopniu. Co za obrazy szczęścia i niedoli w małżeństwie, jaki smutny rys życia bezżennych, jak delikatny a silny obraz zepsucia obecnego wieku! Trudno znaleźć coś podobnie pięknego i równie budującego w kazaniach naszych mówców kościelnych, i tak trafiającego do pojęcia oświeconej klasy, równie jak i do ciemnoty pospólstwa. Kazanie to pojednało pewnie nie jedno małżeństwo idące do rozwodu i nie jeden mąż, nielitościwie obchodzący się z żoną, u nóg jej błagał przebaczenia, nie jedna żona, opuściwszy męża i dzieci, wracała upokorzona i odtąd dobrą żoną i matką się stała. Wysłowienie się ks. Prokopa nie było wyszukane, ale w niem tyle było serca, tyle natchnienia, tyle wiary, że to wysłowienie stawało się najświętszym wzorem kaznodziejskiej wymowy. Zakończył się jubileusz uroczystemi nieszporami i procesją przez całe miasto. Wracając prawie już zmrokiem, na galerji przed kościo-

łem celebrant zaintonował Te Deum laudamus, błogosławił lud zebrany, w upokorzeniu ducha klęczący wokoło, daleko, po całym placu. Czternaście lat temu w temże samem miejscu ks. Osiński błogosławił tenże sam lud i okolice rozlegały się odgłosem świętego hymnu; teraz, smutnie echo gór odbiło: Amen! Zmieniły się czasy i okoliczności! Dziś, nawrócenie się do prawdziwej pobożności tchnęło w głosie modlącego się ludu; wtenczas z wyższem wzniesieniem się ducha w gorącej modlitwie śpiewano chwałę Pana zastępów! i błagano łask Jego, wołając: Zmiłuj się nad nami Panie! zmiłuj się nad nami!.. Jubileusz trwał dwadzieścia pięć dni, pięć w parafjalnym kościele franciszkańskim, pięć u Bazyljanów, piętnaście w licealnym kościele. Całe miejscowe duchowieństwo jedni drugim pomagali, w licealnym kościele i miejscowi i liczni z okolic księża, uroczyste to nabożeństwo odprawiali. Najwidoczniejszym skutkiem jubileuszu było hojne opatrzenie biednych. Oprócz rozdawanej przy kościołach jałmużny, znaczne pieniądze dostały się do więzienia i dla nieszczęśliwych, nie śmiejących wyciągnąć ręki po jałmużnę. Damy nasze szczególniej okazały troskliwość macierzyńską o biednych i cierpiących, niosąc im religijne pociechy i hojne materjalne pomoce. Tu z religijnem uwielbieniem wspomnę ciebie dostojna matrono! hrabino Cecyljo Ożarowska. Życie twoje całe było pasmem nieprzerwanem dzieł pełnych wiary i miłości bliźniego. Żyłaś wiek długi, żyłaś dla dobra ludzkości, dla ulgi cierpieniu bliźnich, dla wzoru cnót domowych i obywatelskich! Za nadto nieudolne jest pióro moje, dla oddania ci należnej sprawiedliwości. I pokolenie obecne i przyszłe ze czcią i uwielbieniem imię twoje wspominać będzie, boś samą siebie wielkością twej duszy przeżyła.

Rok ten pamiętny dla wiary naszej, najsmutniej dla mnie się zakończył. Straciłem matkę! najlepszą matkę, przyjaciółkę prawdziwą, drogą dla nas pozostałych sierot, miłą wszystkim, którzy ją znali. Osamotniał dom

mój, ani miałem do kogo głowę przytulić. Zbolałe serce długo pokoju znaleźć nie mogło, a łza synowska i dziś jeszcze na wspomnienie matki, stare moje lice oblewa. Cieniu drogi! przyjm modlitwę moją i łzę, jako wiernych tłómaczów synowskiego przywiązania, a kiedy i moja kolej nadejdzie, podaj mi twą macierzyńską rękę i wprowadź do przybytku wiecznego życia!

Wkrótce utraciłem i siostrę starszą, którą ze mną i miłość braterska i prawdziwa przyjaźń łączyły. Samotny na świecie, lat kilka smutnie przepędziłem. Czas złagodził żale, ale nie wygładzi z pamięci strat bolesnych. Dobre łatwo się zapomina, nieszczęścia nigdy w pamięci zatrzeć się nie zdołają. Ale z woli Boga wszystko w pokorze ducha przyjąć należy.

ROZDZIAŁ XIV.

W roku 1829 uinwersytet wileński wysłał w nasze strony profesora Eichwalda w celu naukowym. W pomoc dodani mu Jakowicki adjunkt uniw. do mineralogji, ja do botaniki, Jankiewicz malarz dla rysowania przedmiotów przyrodzonych. Fundusz był znakomity, ale oszczędność niemiecka, doradzała profesorowi, ażebyśmy w podróży byli jego stołownikami. Omylił się w swoim rachunku, bo to i więcej go kosztowało i nam nie było wygodnie na jego stole. A że najwięcej tak było, że Jakowicki i ja osobne okolice odwiedzaliśmy, wypadało nam więc być na naszym własnym koszcie, bo to, co nam Eichwald rozłączając się z nami zostawiał, ledwie na opłacenie najętego furmana wystarczało. Profesor z żoną jechali pocztą, trzymał się jednak kierunku, oznaczonego w moim raporcie z ekskursji 1822 r. Chociaż nas to drogo kosztowało radziśmy jednak byli naszemu odosobnieniu, bo więcej mieliśmy swobody zabawienia w miejscu więcej interesującem. Z Winnicy rozdzieliliśmy się, Eichwald do Odesy,

my ponad Boh do Mikołajowa i Chersonu, skąd mieliśmy w Odesie zjechać się z naczelnikiem naszej wyprawy. Chęć Jakowickiego widzenia Sofjówki, a moja przejrzenia znowu tamtych okolic, zaprowadziły nas do Humania. Rektor szkoły humańskiej, ks. Skibowski, obydwóm nam był znajomy, zaraz więc poszliśmy do niego. Nie potrafię opisać uprzejmości, z jaką nas przyjął szanowny rektor. Ledwieśmy uprosili, że nas na kwaterze w mieście zostawił, ale zresztą wszystkie wygody w klasztorze przyjąć było potrzeba i nie żałowaliśmy tego, bo zacny rektor hojnie nas podejmował. Trafiliśmy na półroczne egzaminy, i kilka dni zatrzymano nas, ażebyśmy byli świadkami prywatnego sprawozdania uczniów z półrocza nauk. Szkoła humańska zwała się powiatową. Jakowicki i ja, wyznać trzeba naszą zarozumiałość, niewiele tuszyliśmy sobie o naukach, wykładanych w powiatowej szkole bazyljańskiej. Ale jakże duma nasza ukaraną została na egzaminie! Ks. rektor dał nam prawo zapytywania; jakież było nasze zdziwienie, słysząc uczniów tłumaczących się z chemji i fizyki podług najnowszej metody, z zoologji podług układu Lamarka, z botaniki podług Lineusza i Jussieu. Przy teorji nie zaniedbana była i praktyka doświadczeń fizycznych i chemicznych, oraz zbiory owadów i muszel krajowych. Ks. Andruszkiewicz, prof. fizyki i nauk przyrodniczych, odznaczał się piękną postacią, wyższem ukształceniem i darem łatwego i gładkiego tłumaczenia swoich przedmiotów, a wykład nauki okazywał, jak ją znał i pracowicie wykładał młody profesor. Naukę wymowy wykładał ks. Teleżyński, tego wykład ze Styczyńskim i Korzeniowskim porównać można. Młody jeszcze, ale nie silnej budowy i małego zdrowia, do biegłości w nauce łączył wielką słodocz charakteru i wielką siłę woli. Kochany był od rektora i kolegów i powszechny posiadał szacunek sąsiednich obywateli. Na jego egzaminie niespodziewana spotkała mię przyjemność. Hrabia Wacław Rzewuski bawił w Humaniu u hr. Aleksandra Po-

tockiego; poznał młodego profesora wymowy i talent jego i piękne duszy przymioty ocenił i przyjaźnią go swoją zaszczycał. Teleżyński pokochał hrabiego i duchy ich się zespoliły, obaj byli poeci. Hrabia, mimo lat tylu niewidzenia się, w łaskawych dla mnie uczuciach nie zmienił się. Zaraz z egzaminu hrabia zabrał mnie i Teleżyńskiego do siebie, i tam na najprzyjemniejszej pogadance aż do późnej nocy przesiedzieliśmy. Hrabia zawsze sprzyjał szkole krzemienieckiej, zawsze o pomocach dla niej zamyślał i najmilszą dla niego rozmową było mówić o Czackim. Wiedząc od Teleżyńskiego w jakim celu i z kim jadę, odgadł niedogodności naszej podróży i z pomocą pieniężną w swoim czasie nam przybył. Hrabia Wacław obiecywał mi odwiedzić zimą Krzemieniec, ale bytność jego do skutku nie przyszła, zrobił tylko jakąś dla liceum ofiarę, ale jaką, tego nie pomnę. Nauczycielem matematyki w Humaniu był podówczas znany ze swej wysokiej nauki i pięknego w niej wysłowienia ks. Tymonowicz. Innych nauczycieli nazwisk pamięć moja nie dochowała. Wogóle jednak wyznać potrzeba, że szkoła humańska stała na wyższym stopniu od wszystkich szkół powiatowych i żadnemu gimnazjum nie ustępowała. Wychodzący z niej uczniowie dokładnie usposobieni byli do słuchania nauk w uniwersytetach i w Wilnie, w jakimkolwiekbądź fakultecie, wzorowymi byli uczniami. Szkoła humańska, po odpadnięciu gubernji Kijowskiej od okręgu naukowego wileńskiego, zależała od Charkowa, tak jak gimnazjum kijowskie, jak i inne szkoły tej gubernji.

Kilkodniowy pobyt nasz w Humaniu miło nam upłynął. Kilka razy zwiedzaliśmy Sofjówkę, zawsze z zadowoleniem. Nie suche lato obficie wód dostarczało, dostarczało więc najcelniejszej ozdoby. Ale Sofjówka, jakkolwiek piękna, nie jest ani ogrodem, ani parkiem, jest to dolina, której część najniższa jest uroczej piękności i jest prawdziwem arcydziełem Metzla. Wody i skały tak są okazałe, że niemi zachwycać się można, pochwał jednak, jaką jej dał Trembecki w wierszu:

„Kto straszne Pauzylippu odwiedzał bezdroże,
Jeszcze i Sofjówce podziwiać się może“,

przesadzona, bo przepływ kanałem podziemnym zanadto jest sztuczny, ażeby mógł się porównać z pieczarami włoskiemi, nie robi nawet uroczego wrażenia na płynących. Staw, na który wypływa się tym kanałem, piękny, ale brzegi jego zupełnie niemalownicze. Obszedłszy całą dolinę aż do Tetydionu (tak wówczas nazywano świątynię granitową przy grobli), jaśniejącego w owym czasie całą swą pięknością, z tem prześcieradłem wodnem, zakrywającem wejście, z ogromnemi komorami, stojącemi na stopniach jego sklepienia, z jednej ogromnej płyty ociosanego granitu wykutego, zwiedziwszy grotę dość dobrze naśladowaną i pola elizejskie, na których Trembeckiego tylko spotkać można było, na górze nic już do widzenia nie zostawało. W Sofjówce, nad wielkiem dolnem zwierciadłem wody z fontanną, przy wielkiej kaskadzie, na urwiskach skał nadbrzeżnych, wpośród pysznych platanów i świerków, z uniesieniem i lubością podumać można było. Zresztą wszędzie sztuka! Ogród w Puławach niema tych okazałości przyrody, podniesionych jeszcze sztuką, ale w puławskim ogrodzie sama natura coraz to nowe, coraz to milsze nasuwa oczom widoki. Z pięknościami Sofjówki prędko oswoić się można, piękności puławskiego ogrodu nigdy nie powszednieją. W Sofjówce do razu wszystko oglądasz, w Puławach widoki rozwijają się przed okiem jedne po drugich i jedne od drugich piękniejsze. Tu się spodziewasz i znajdziesz bez końca, tam znalazłszy wszystko razem, niczego już się spodziewać nie możesz. Z tem wszystkiem, Sofjówka jest osobliwością, na którą ogromne łożone koszta, wielka nauka i wyborny gust Metzla usprawiedliwiły.

Miły pobyt w Humaniu potrzeba było skrócić, powinność pędziła nas dalej i dalej. Z żalem pożegnaliśmy dostojne zgromadzenie szkolne i czcigodnego jego naczelnika, który, najuprzejmiej nas podejmując, nie dozwolił

nam opłacić kosztów na konie nasze i ludzi. W dalszej podróży trzymaliśmy się nadbrzeżów Bohu, do Mikołajowa, gdzie kilka dni dla naszych naukowych zajęć zatrzymać się potrzeba było. Nazajutrz po przyjeździe do tego miasta, zrobiliśmy wycieczkę w okolice Kiślakówki ponad limanem Bohowym. Piękny był poranek, step nieco piaszczysty, ale żyzny, dostarczał przedmiotów interesujących. Jakowicki spuścił się nad rzekę dla badania skał nadbrzeżnych, ja po stepie rośliny i owady zbieratem, bryka nasza stała nieco opodal na drodze. W tem spostrzegam, pędzącą wcwał ku naszej bryce, dorożkę, zaprzężoną parą dzielnych koni. Dwuch jakichś ichmościów siedziało w dorożce i woźnica ruski powoził. Zatrzymawszy się chwilę przy bryce, znać dla rozpytania do kogo należy, zwrócili się przez step prosto do mnie. Pozdrowiwszy najgrzeczniej, bez żadnych preliminarji zaczęli prosić, ażeby do nich zajechać. Odpowiedziałem, że lubo bardzo dla mnie miłe takie wezwanie, nic jednak sam stanowić bez kolegi podróży nie mogę, ale w tem i Jakowicki pokazał się z za góry, przyjęliśmy więc grzeczne wezwanie. Zapraszający byli to dwaj młodzi ludzi, pięknej ujmującej powierzchowności i wysokiego towarzyskiego wykształcenia. Wskazawszy nam leżącą w pobliżu wioskę i w niej dwór wcale niepozorny, pojechali naprzód. Wkrótce i my pośpieszyliśmy za nimi, i zastaliśmy młodszego z tych panów, oczekującego na nas w drzwiach oficyny. Skromne były izdebki, ale zarzucone książkami, bo młodszy jeszcze nie ukończył nauk w moskiewskim uniwersytecie; powiedział nam, że familja ich Sokołowy, że są sierotami i że ciotka ich generałowa wychowała ich, i dotąd nimi się opiekuje i że właśnie brat jego poszedł uwiadomić ją o przybyciu wezwanych gości. Jakoż wszedł i starszy z miną nieco zakłopotaną, i postąpiwszy ku mnie, odwiódł mię na stronę i z wielką nieśmiałością tak do mnie przemówił: „Daruj mi pan moją niedelikatność, ale czasy tak są dziwne, u nas tyle zjawia się ludzi podejrzanych,

chwytających za lada słowo niby dwuznaczne, że musimy być ostrożni; ciotka zaś nasza mieszkająca z nami szczególniej w tym względzie jest uważna i chciałaby wiedzieć czy panowie za paszportem jeździcie". Na uspokojenie sprawiedliwie ostrożnych dobyłem paszport mój i instrukcję, ale ledwie na nie spojrzał uścisnął mię z zadowoleniem i zaprosił nas do wielkiego domu. Budynek ten był to folwark dawny i znać już na nim było starość; sień obszerna, nalewo ogromna izba wokoło worami, słomą napchana i pokrytemi pięknemi dywanami, otoczona była, przed jedną z takich improwizowanych sof, ładny mahoniowy składany stolik, przed drugą stół większy prosty dębowy, w rogu, pyszny palisandrowy fortepjan; drzwi do drugiego pokoju były zamknięte. Za stolikiem siedziała dama już niemłoda, w czarnem okazałem ubraniu, zajęta wiązaniem siatki jedwabnej. Gdy nas starszy z braci wprowadził i opowiedział kto jesteśmy, generałowa powstała, tłumacząc się ze swojej podejrzliwości względem jeżdżących bez żadnego celu, albo może nawet i w celu niedobrym, po kraju. Rozmowa stała się ogólną: o Wilnie, o Krzemieńcu, o Odesie i o ich ustroniu. Dowiedzieliśmy się, że ich wieś, w której bawią teraz dla połowu ryb, zowie się Ruskaja Kosa, a zwykła rezydencja ich jest w Elisawetgradzie i w majątku przyległym temu miastu. Wpośród tych rozmów, wszedł kamerdyner z dwoma lokajami w strojnej liberji, w rękawiczkach i na większym stole zastawili wspaniale i wyborem rzeczy i wytwornością zastawienia. Wszystko podane na srebrze lub kryształach do konfitur, sztućce złote. Ledwie ukończono zastawienie śniadania, otworzyły się drzwi od przyległego pokoju i weszła dama młoda, piękna, ale tak piękna, żeśmy oba z Jakowickim języka, jak mówią, w gębie zapomnieli. „To moja siostrzenica, siostra tych młodych"—rzeknie generałowa, i młoda dama powitała nas pełnym wdzięku ukłonem. Ubrana w bieli, blond warkocze owijały się z tyłu głowy w obszerny wieniec, nad le-

wem uchem kilkanaście nieśmiertelników stepowych. Dać obraz tej piękności trudno, była to Wenus medycejska z urokiem przyjemności typu słowiańskiego. Panna Sokołow młodsza od obu braci, lat siedemnaście liczyła, wzrost miała słuszny i najkształtniejszą kibić. Białość, zwykłą blondynkom, zdobił najśliczniejszy rumieniec. Ułożenie pełne godności z wesołością wieku. Skromnie, ale śmiało wmieszała się do rozmowy i można powiedzieć, że panowała w niej pięknem tłumaczeniem się i dowcipem. Generałowa wpatrywała się w nią z macierzyńskiem zadowoleniem. Mowa francuska, zasłużyła mi zaszczyt ciągłej z panną Sokołow rozmowy. Gdy sprzątnięto śniadanie: „Może panowie chcecie, ażebym was zabawiła muzyką?"—zapytała mię. Za całą odpowiedź skłoniłem się i przysunąłem taboret do fortepjanu. Usiadła na nim: „Stare rzeczy panom grać będę, Mozarta i Bethowena, ale ja wszystko, co stare, lubię". „I starych ludzi?"—zapytałem. „Szczególniej!"—odrzekła ze śmiechem, w którym cała żywość wieku, dowcip i uprzejmość pięknie się wyrażały. Uderzyła w klawisze. Nie potrzeba być muzykiem, dość jest lubić muzykę i do duszy ją przyjmować, ażeby uczuć grę mistrzowską. W młodości mojej nasłuchałem się Mozarta i w kwartetach i na fortepjan i w całej orkiestrze, i te dźwięki wielkiego mistrza do dziś dnia nawet w pamięci się mojej odbijają. Przegrała jakąś dziwnej piękności sztukę Bethowena, potem ulubioną sobie sonatę Mozarta. Ośmieliłem się zapytać, czy ma i czy lubi Zauberflöte? „A jakże — odpowie — i Don Juana i Clemenza di Tito i inne, chcesz pan słyszeć której z nich uwerturę, ale widzę, że flet na panu dzielne sprawił wrażenie, więc najpierwej zagram uwerturę tej opery". I grała i obudziła we mnie słodkie wspomnienie pobytu mojego w Wilnie. „Kiedy pan tak lubisz Zauberflöte, musisz pamiętać i główne z niej arje, żal mi, że nie umiem arji królowej nocy, ale zaśpiewam panu co z teraźniejszych". I puściwszy palce w pyszne preludjum, śpiewała

arję z Tankreda Rossiniego „Di tanti palpiti". Cóż to za głos anielski, co za wyrobienie, co za metoda! Znałem tę arję, słyszałem ją nieraz, ale tu zachwyciłem się, jak nieznaną uroczą nowością, Jakowicki nawet, który w ciągu muzyki, z zapałem młodszemu Sokołowowi wykładał geognostyczne swoje znajomości, umilkł, zbliżył się do fortepjanu i z zachwyceniem słuchał śpiewu, nie spuszczając oka z pięknej śpiewaczki. Nie jestem znawcą, ale zdaje mi się, że gdyby panna Sokołow potrzebowała wystąpić w operze włoskiej, wiele z pierwszych odeskich śpiewaczek ustąpićby jej pierwszeństwa musiały. Więcej dwuch godzin trwała muzyka i byłaby trwała dłużej, ale generałowa oświadczyła, że czas już do obiadu. Zaczęto nakrywać do stołu, ja tymczasem opowiadałem damom bytność Katalani w Krzemieńcu, co z prawdziwem zadowoleniem słuchały. Obiad równie był wyborny jak śniadanie, ale generałowa gniewała się na nas, że wina nie pijemy, lubo te w szlachetnych podawano gatunkach, choć prawdę powiedzieć, nie małośmy go wykosztowali. W czasie obiadu generałowa zapytała nas, czy zabawimy w Mikołajowie? Na potwierdzającą odpowiedź rzekła: „Dam wam pismo do mojego przyjaciela komendanta; wiem, że was po ojcowsku przyjmie i wieczory u niego mile przepędzicie". Jakoż, wstawszy od stołu, wyszła do drugiego pokoju, a my zaczęliśmy się zbierać do odjazdu. „Cóż to jest?—rzekła do nas z wdzięcznym uśmiechem panna Sokołow—Panowie chcecie odjechać? Nie, to wcale niegrzecznie, musicie z nami pojechać na połów ryb na Limanie, to jest rzecz bardzo godna waszego widzenia. Oto i powozy zachodzą. Wszyscy jedziemy i goście towarzyszyć nam muszą". Niepodobna było tak miłemu wezwaniu odmówić. Wróciła generałowa i elegancki bilecik do komendanta wręczyła nam. Na pięknym tarantasie usiadły damy i mnie z sobą umieściły. Jakowicki jechał z młodymi Sokołowami. Parę wiorst drogi prędko przejechaliśmy w wesołej pogadance. Nad Limanem czekali już

zebrani ludzie i kilkanaście wozów. Niewód już był zapuszczony, trzydziestu ludzi ciągnęło go i to ciągnienie około dwuch godzin trwało, i zaledwie zebrani ludzie z pomocą furmanów i naszych służących na brzeg wyciągnąć zdołali. Najpiękniejsze sztuki karpi, wyrozubów, sandaczów wzięto do dworu, czternaście wozów naładowano i naszemu furmanowi pełną kielnię nasypano, tak, że go i szabas nie kosztował i jeszcze kilka złotych sobie zarobił w Mikołajowie. Nie czekając drugiego ciągnienia, pożegnaliśmy uprzejmą i miłą Sokołowych rodzinę i po zachodzie słońca stanęliśmy w Mikołajowie.

Nazajutrz, przyzwoicie przebrani prezentowaliśmy się komendantowi; po przeczytaniu listu generałowej, witał nas jak dawno znajomych i na cały pobyt dom swój nam ofiarował, gdzieśmy się zaraz przenieśli. Komendant, Niemiec rodem, służbista z czasów Katarzyny II, wiekowy ale czerstwy, dziwnie miłego charakteru i ułożenia, w domu swoim uprzejmy, powszechnie w całem mieście był kochany i szanowany. Mówił po francusku i po rosyjsku zepsutym akcentem, żal nam przeto było, żeśmy z nim ojczystym jego językiem mówić nie mogli. Tegoż samego dnia prezentował nas dyrektorom depo i szkoły pilotów, będącym u niego na obiedzie. Ale tego dnia nie zwiedzaliśmy ciekawości Mikołajowa; nazajutrz była niedziela i dużo gości było u komendanta, grano w wista, my, chociaż nie grając, nie nudziliśmy się w towarzystwie kustosza muzeum depo i nauczycielów ze szkoły pilotów. W poniedziałek dopiero zwiedziliśmy depo. Wspomniałem o niem kiedyś, teraz obszerniej coś o niem powiem. W głównych salach depo złożono muzeum, tymczasem, dopóki się wspaniały na to budynek nie ukończy zupełnie. Wszystko więc było pomieszane, bibljoteka jedna była osobno. Cokolwiek tylko znakomitego można mieć z wygrzebanych starożytności czarnomorskich, wszystko to tam widzieć można. Posągi, popiersia, ołtarze, nagrobki, ułamki kolumn marmurowe, różne narzędzia z bronzu i

miedzi, naczynia marmurowe, bronzowe, miedziane i gliniane, między któremi pierwszy raz widzieć mi się zdarzyło naczynia czarne, kolorowo malowane. Rysunek w nich poprawny, ale perspektywy żadnej, ani punktu światła. Koloryt ciała w osobach jednostajny bez cieniów, ale za to w sukniach najżywsze barwy, ponsowe, błękitne, zielone i żółte, rzadko różowe, jeszcze rzadziej ciemne i układanie się fałdów piękne, lubo cieni w nich niewiele. Zbiór broni z rozmaitych czasów starożytnych, średnich i obecnych, dziwnie bogaty i ciekawy; równie jak i strojów rozmaitych narodów. Monety, numizmata i medale godne uwagi biegłego w tych przedmiotach znawcy. Nas najwięcej zajęły przedmioty z historji naturalnej. Piękny egzemplarz „Ornithorhinchos paradoxus“ dał mi poznać to zwierzę, dotąd znane mi tylko z rysunku. Zbiór amerykańskich ptaków nieliczny, ale piękny, krajowych bardzo mało; z gadów, grzechotnik i gawial w okazałych egzemplarzach. Muszel liczna gromada nieuporządkowanych, równie jak minerałów. Jakowicki oświadczył się z uporządkowaniem minerałów, mnie polecono muszle; na szczęście nasze w bibljotece depo znalazły się pomocnicze nam dzieła, trzy dni jednak pracując od szóstej do drugiej z południa nieprzerwanie na uporządkowaniu poleconych nam zbiorów spędziliśmy, i spisawszy katalogi, oddaliśmy je dyrektorowi. Mimo całą ufność, z jaką nam bogactwa te powierzono, zawsze jednak członek jakiś zgromadzenia depo, pod pozorem ciekawości i nauczenia się czegoś, nieodstępnie się przy nas znajdował. Ta praca nad zamiar przedłużyła pobyt nasz w Mikołajowie, śpiesznie więc jechaliśmy do Odesy, mało nawet zatrzymując się nad morzem, którego brzegi nieraz nam przy samej drodze wypadły. Eichwald niecierpliwie nas wyglądał, i za opóźnienie nasze dość niegrzecznie niezadowolenie swoje okazał, i jakby na ukaranie, nie dał nam rozpatrzeć się w Odesie, ale to, co nam się przykrem wydało, wyszło nam na pożytek. Trzeciego dnia po przy-

byciu do Odesy, o południu, wyjechaliśmy traktem do Maniaku, ażeby stamtąd ponad Dniestrem udać się do Mohylewa, gdzie z Eichwaldem znowu zjechać się mieliśmy. Nie było po drodze nic ważnego, coby nas długo zatrzymać mogło, szóstego dnia stanęliśmy w Mohylewie, ale Eichwalda jeszcze nie było. Tu dowiedzieliśmy się że dżuma okazała się w Odesie i od sześciu dni Odesa zamknięta, było to jak raz tego dnia, któregośmy wyjechali. Niespokojni co się z profesorem i żoną jego stało, postanowiliśmy czekać dni kilka w Mohylewie i tymczasem zwiedzać jego okolice, ale tegoż samego dnia późno w noc nadjechał i nasz naczelnik w zupełnem zdrowiu. Ale nie mało miał kłopotu nim się wydobył i interes jego, aż o samego hrabiego Woroncowa oprzeć się musiał. Na pocztach wiele czasu stracił, bo uciekający z Odesy zabierali konie, tak, że i po pół dnia na stacji czekać było potrzeba. Ale uniknienie niebezpieczeństwa w tak dobry humor profesora wprowadziło, żeśmy sobie pozwolili żartować z jego kłopotu i strachu i nie obraził się żartami. Odtąd już Jakowicki jechał z Eichwaldem pocztą, ja jeszcze, Uszycki i Kamieniecki powiaty ponad Dniestrem zwiedzałem. Zjechaliśmy się dopiero w Kamieńcu, tam jeszcze parę ekskursji odbyliśmy razem i z Krzemieńca już mię od towarzyszenia sobie dalszego uwolnił. Odetchnąłem, po drodze zwiedziłem jeszcze kilka domów znajomych mi i życzliwych i ostatnich dni września wróciłem do ukochanego mego siedliska. Zastałem wszystko po dawnemu, Lewicki tylko upadł na zdrowiu. Choroba jego już od roku uczuć mu się dawała, ale w jesieni silnie zapadł i usilne starania lekarzy niewiele ulgi przynosiły. Odwiedzałem go często i nie jedną noc przy łóżku jego spędziłem. Z narady leczących go doktorów wypadło, że magnetyzm miał mu najwięcej pomódz i ciż lekarze na mnie włożyli obowiązek magnetyzowania, jako mającego dość sił i zdrowia do takowej operacji. Jakoż w istocie, po piętnastu dniach tak się choremu polepszyło, że się mógł przechadzać, a po dwudziestu dniach

zajmować się po trochu obowiązkiem. Uwolniono mię na ten czas od operacji i pozwolono zająć się swojemi interesami. Najważniejszy był wynikły z podróży. Z sumy, oznaczonej na podróż, Eichwald powinien był nam płacić dziennie po rublu srebrem, co za trzy miesiące wyniosłoby dziewięćdziesiąt kilka rubli, ale my ledwie po czterdzieści wybraliśmy i gdyby nie pomoce, udzielane nam od obywateli, nie wiem czybyśmy daleko zajechać mogli. Potrzeba więc było przedsięwziąć coś stanowczego. Różni różnie radzili, dyrektor zalecał, ażeby do rektora podać prośbę i sam przesłać ją ofiarował się. Ale Bokszczanina rada była najlepszą „przez posły—mówił on—wilk nie tyje". Odważ się, zaryzykuj sto rubli na podróż, a tak sam osobiście mówiąc z rektorem, objaśnisz mu rzecz obszerniej niż w prośbie. Tamże jest i Eichwald i z nim tam dojdziesz ładu łatwiej niż przez pisma. Dla ułatwienia ci nieco podróży, znajdzie się potrzeba skomunikowania się z uniwersytetem i to dzieło tobie polecimy. I tak się stało. W końcu października wyjechałem; z początku dość służyła jesienna pogoda, ale 1-szy listopada otworzył zimę trzydniową zawieruchą, którą przeczekać musiałem w karczmie w Piaskach blizko Słonimia, a która, pokrywszy grubą warstwą śniegu nieumarzłą ziemię, była powodem powszechnego na cały kraj nieurodzaju. Po trzech dniach pokuty, wyjechałem nakoniec i tegoż dnia stanąłem w Słonimie. Kiedy przed 28 laty jechałem na Litwę, najpiękniejsza wiosna sprzyjała podróży. Napowrót z Wilna jechaliśmy w pierwszych dniach jesieni. Nie dziw więc, że okolic, które mię w obu podróżach zajmowały, rozpoznać nie mogłem. I interes i zimno, wzmagające się coraz, pędziły mię śpiesznie do Wilna i nic mię nie zatrzymywało po drodze. Stanąwszy przed Ostrą Bramą, wysiadłem, ażeby złożyć w całej pokorze ducha dzięki Opiekunce Gedyminowego grodu, matce wszystkich cierpiących za szczęśliwie przejechanych mil tyle i błagać jej macierzyńskiej opieki na mój pobyt w Wilnie i na powrót do domu.

ROZDZIAŁ XV.

Jakże przytomne w pamięci mojej to Wilno przed więcej niż dwudziestu pięciu laty widziane! Wielu odmianom uległo od tej daty miasto, ale ani ulice nie zmieniły się, ani tak wiele nowych gmachów przybyło i najznakomitsze żadnej odmianie nie uległy. Nie potrzebowałem nawet przewodnika, bo pamięć wszędzie mię zaprowadziła. Mury uniwersytetu jednak inaczej wygląda-

Plac Ratuszowy w Wilnie na początku XIX w.

ły. Korpus kadetów (w 1801 i 2) wcielony do obrębu gmachów akademickich, stał się mieszkaniem rektora. Aula zmieniła się na bibljotekę, a bibljoteka przeszła na salę zebrań i posiedzeń akademickich. Klinika zajęła pałac ks. Macieja Radziwiłła, który wziął podobno w posagu po czcigodnej małżonce swojej Chodkiewiczównie. Za mojej pierwszej bytności księżna mieszkała w swoim pałacu i brat jej, mój dostojny opiekun i dobrodziej, pro-

tekcji siostry mię polecił, i ile razy księżna bawiła w Wilnie, zawsze najłaskawiej w dom mię swój przyzywała. Dzieci jej jeszcze bardzo były małe. Na uprzejmości rektora nie zawiodłem się, czcigodny Malewski po ojcowsku mię przyjął, z ks. Jundziłłem odnowiła się znajomość, tem więcej interesująca, żeśmy się mogli zupełnie rozumieć. Cóż powiem o Jędrzejostwie Śniadeckich? Mnie się nie zdawało, że tyle lat minęło od poznania tych czcigodnych ludzi, zdawało się owszem, że wczoraj u nich byłem, i dziś znowu na śniadanie przyszedłem. Nie mogłem bez rozrzewnienia najszczerszego powitać ich, i zaraz pani Śniadecka ozwała się z tem macierzyńskiem wezwaniem, żebym uważał ich dom za rodzinny i każdego dnia z nimi obiadował. Ale p. Śniadecki zrobił uwagę, że mam znajomych więcej w Wilnie, i że winienem nikomu nie chybić. Stanęło więc na tem, że co niedziela obiadować będę u pp. Śniadeckich. Ale za pierwszym razem dzieci ich nie widziałem, dopiero jakoś w niedzielę trafiło się, że i pani Balińska i p. Józef Śniadecki byli na obiedzie. Pani Balińska, zawsze ta miła Zosia, która tak lubiła słuchać moich opowiadań dziecinnych i tak pamiętała o mnie, że zawsze jakiś cukierek, albo ciasteczko czekało na mnie. I teraz powitanie tej zacnej damy pełne było najnaturalniejszej, życzliwej uprzejmości i zaraz puściliśmy się w długą pogadankę o dawnych latach. P. Józef przybył, gdyśmy siadali do stołu, nikt mu więc nie powiedział kto jestem, ani też się o mnie, lubo siedzącego obok gospodyni domu, nie zapytał. Pani Śniadecka i p. Aleksandra Beer kazały przynieść kartę i nożyczki, wystrzygłem saneczki i p. Śniadecka posłała je synowi. „Cóż to za farsa?“—rzekł niezadowolony, dość niechętnie spoglądając na mnie. Ale pan Śniadecki odezwał się z uśmiechem: „Czy ci to dzieciństwa twego nie przypomina?“ „Dziś już nie jestem dziecko, żeby mię te bagatele bawiły“. „Nie trafiasz w myśl naszą“—rzeknie pani Śniadecka. „Daruje pani—przerwałem—Pan Józef nie może

pamiętać tych drobnych okoliczności, miał lat zaledwie trzy". „A ja przypominam sobie doskonale pana, nawet jakeś z nami pacierze mawiał"—odezwała się pani Balińska. Wtedy p. Śniadecki powiedział synowi kto jestem i p. Józef z całą uprzejmością, rodzinie Śniadeckich wrodzoną, powstał ze swego miejsca uścisnąć mię po przyjacielsku.

Nową znajomością dla mnie w Wilnie był prof. Wolfgang, miałem z nim wprawdzie stosunki blizkie, osobiście jednak jeszcze nie byliśmy znajomi. Ale uprzejmość p. Wolfganga w domu, jego obszerne wiadomości w naukach przyrodzonych, pierwszego dnia nas zbliżyły i byliśmy jak dawno znajomi. P. Wolfgang prowadził mię wszędzie, gdzie tylko było potrzeba i miło mi po tylu upłynionych latach z wdzięcznością wspomnieć o tyle jego bezinteresownej przyjaźni. Ale interes mój nie szedł dobrze. Prof. Eichwald, zdawszy raport ze swej podróży po niemiecku, rachunki swoje, jak powiadał czcigodny weteran Malewski, krótko zakończył: „wziąłem 1000 r., wydałem 1000 r., zostaje 0. Szczegółów, mówił, że niedostawało". Nie było więc sposobu upomnieć się o swoje. Użalałem się przed rektorem i przed drugimi, ale wszyscy radzili zaniechać ten interes, bo już rzecz z Eichwaldem skończona i zakwitowany. Ale rektor pocieszył mię, zapewniając, że pomyśli o sposobach wynagrodzenia mi i czasu mojego i wydatków.

W niedzielę zaraz byłem na nabożeństwie u św. Jana i tam słyszałem ks. Borowskiego. Nie jest to nasz skromny, cichy, ale do serca przemawiający ks. Prokop, w kaznodziei uniwersyteckim więcej żywości, więcej energji, może i nauki więcej, i postać welce nakazująca, wspaniała, wielce słuchających ujmuje. Każdy z tych dwuch mówców dzielnie wymowny, ale ks. Borowskiego słyszałem tylko zwyczajną niedzielną, ale pełną ducha wiary i miłości chrześcijańskiej naukę. Kazanie większe, jakież być musiało! Od św. Jana poszedłem do katedry.

Z jakiemże uniesieniem, z jaką rozkoszą ducha wstąpiłem do tej świątyni, której przed tylu laty poświęceniu byłem obecnym. Wszystko toż samo! Te szacowne zabytki wielkich naszych mistrzów Czechowicza i Smuglewicza, też same stalla ze swojemi dygnitarzami kościoła, pomiędzy którymi i drogi wspomnieniom moim nauczyciel, dostojny mój protektor, ks. prałat Osiński! I na chórze, zdaje się taż sama muzyka, też same śpiewające chwałę Pana Zastępów głosy, ale już nimi nie rządzi współrodak w stroju ojczystym Skoropacki! Wyszła suma, kościół tak ogromny, był napełniony rozmaitego stanu, płci i wieku zebraniem. Tak i przed laty bywało, nie dziwiłem się więc tłumowi, wszakże przywodząc przeszłość na pamięć, długo pozostawałem w ponurem odrętwieniu. Ruch wychodzących ocucił mię, zwróciłem oczy na stalle i wzrok mój spotkał wejrzenie czcigodnego mojego nauczyciela, pilnowałem wyjścia prałatów i w przysionku kościoła zaszedłem drogę ks. Osińskiemu.—„Pan tu u nas, co, rozumie pan, witam uprzejmie sercem“ — rzekł do mnie prałat, za całą odpowiedź ucałowałem rękę szanownego kapłana z rozrzewnieniem. Byłem pod wpływem uroczem kazania, kochałem wszystkich ludzi, a dopieroż męża, którego tyle doznawałem dobroci! Do Eichwalda nawet nie miałem żalu.—„Co, rozumie pan, ks. Trynkowski zachwycił pana, talent, rozumie pan, i nauka niepospolita, warto go odwiedzić jutro o jedenastej godzinie“. Podałem mu rękę do karety i pożegnałem do widzenia, i polecenie spełniłem.

U ks. Osińskiego byłem kilka razy. Raz jeden przyszedł przy mnie p. Bychowiec. Lat dwadzieścia prawie żadnej w nim nie zrobiły różnicy. Taż sama żywość, taż sama wymowa, też same filozoficzne sofizmata. Poznałem go zaraz. Ks. prałat prezentował mię jako swego ucznia, ale nie dałem poznać po sobie, że go znam oddawna. P. Bychowiec był autorem i właśnie w tej chwili przyniósł do przejrzenia ks. prałatowi swe dzieło filozo-

ficzne. Po wyjściu filozofa, oświadczyłem ks. prałatowi, że mi ten pan oddawna jest znajomy i stąd toczyła się o nim długa pogadanka. Ks. Osiński oddawał sprawiedliwość jego rozumowi i jego nauce, ale go miał za niebezpiecznego człowieka i nie sympatyzował z nim wcale.

W uniwersytecie naówczas pozorna jedność panowała, ale w istocie były trzy partje dość wydatne. Stara uniwersytecka partja, w której głównie Mianowski rej wodził. Partja młodsza, a może istotnie dobrem tylko uniwersytetu tchnąca, składała się z młodszych urzędowaniem swem profesorów, ludzi utalentowanych, energicznych, czynnych — ozdoby uniwersytetu! Partja rektorska, ludzi uczonych, mężów zasługi, może tylko nieco interesowanych. Śniadecki Jędrzej do żadnej nie należał partji. Patrjarcha akademji, wielki swą mądrością, wielki zasługą, był sobą samym i był wyższym od wszystkich. I Jaroszewicz podobnież do żadnej partji nie należał, ale wszystkich życzliwość i poważanie posiadał. Na posiedzeniach rady uniwersyteckiej zdanie jego miało zawsze przewagę, bo gruntowny rozsądek, prawość serca i wysoka nauka przez usta jego przemawiały. Z prawdziwą serca pociechą odwiedziłem dom zacnego niegdyś kolegi. Co za miłe stadło! (żona jego Wołynianka z domu Leziecka), co za ład w domu, co za uprzejmość! Będąc u nich zdawało mi się, że jestem u mojej rodziny. Pani Jaroszewiczowa do pięknych zalet swoich jeszcze i tę, rzadką w kobietach, liczyła, że w ich domu o nikim źle nie mówiono. Światli oboje, posiadali bogaty zasób rozmowy, nie potrzebujący od obmowy pomocy.

Pana Mianowskiego zastałem u rektora, ale w powitaniu jego nie znalałem tej przychylności, jaką okazywał mi w Krzemieńcu, w czasie bytności swojej przed kilkoma laty, a tem bardziej tej przyjacielskiej poufałości, z jaką był dla mnie kiedyś, w domu hr. Chodkiewiczów. Nazajutrz rano odwiedziłem profesora dziekana. P. dziekan jeszcze spoczywał, lokaj kazał mi czekać w zimnym

przedpokoju. Czekałem całą godzinę i dobrze uziąbłem. Nakoniec wprowadzono mię do salonu, ale powstanie pana dziekana, jeszcze mię silniejszym chłodem owionęło. Zrazu stojący dawał mi audjencję, siadł potem w wygodnem krześle i mnie wskazał opodal siedzenie. „Honores

Widok obserwatorjum w Wilnie od strony ogrodu uniwersyteckiego.

mutant mores“, pomyślałem sobie. Zimna etykietalna była nasza rozmowa, a w niej ani słowa o przeszłości. Nie bawiłem długo, przy pożegnaniu p. dziekan wycedził przez zęby:—„Może mię wacan przed wyjazdem odwiedzisz?“.

„Jeśli mi czas pozwoli, będę służyć p. dziekanowi" — odpowiedziałem i zziębnięty fizycznie i moralnie wyszedłem.

Tegoż dnia odebrałem od rektora zaproszenie na herbatę. Przybyłem z prof. Wolfgangiem, prawdziwym dla mnie aniołem stróżem. Uprzejmie przyjął mię Pelikan, prezentował swej żonie, z którą w języku francuskim długą o Krzemieńcu miałem pogawędkę. Potem zasiedliśmy z rektorem na osobnej kanapce i znowu miła pogadanka. Właśnie opowiadałem, ile w drodze miałem po noclegach nieprzyjemności od prusaków „Blatta laponica". „Tej nieprzyjemności przynajmniej nie mam w mojem mieszkaniu"—rzecze Pelikan.—„Tak! rzekłem pokazując mu wyłażącego z za poręcza kanapy prusaka—otóż on sam".— Rozśmieliśmy się głośno, p. Pelikanowa i drugie damy zbliżyły się oglądać niemiłego przybysza, i to wzbudziło powszechną wesołość. Wtem wszedł p. dziekan Mianowski, powstał rektor na powitanie gościa i ja podniosłem się z mojego siedzenia. „Wszak znacie się"—rzekł Pelikan do Mianowskiego, pokazując na mnie. — „To tak dawno było—rzekłem—że p. dziekanowi z pamięci wypadło".— „Mylisz się panie Antoni—odrzekł Mianowski—przyjaciół młodości nie tak się łatwo zapomina". — Obstupui na te słowa, cóż za odmiana od rana? Zdaje się jednak, że tę grzeczność winienem był kanapie, na której po prawej stronie uprzejmego gospodarza siedziałem. Zgadało się o mieszkaniach, tu było moje pole, z całą niby naiwnością opowiedziałem, jakie zimne mieszkanie p. dziekana i zemściłem się, bo Mianowski spuścił oczy i kiedy rektor wstał na powitanie nowego gościa, rzekł do mnie z cicha:—„Czyż dawnemu znajomemu nie przebaczysz nieroztropności jego sługi?"—Na te słowa podałem rękę dziekanowi i zdaje mi się, że w jego uściśnieniu odezwała się dawna nasza zażyłość. Ale to więcej jak pewno, że Mianowski z podniesieniem się swojem zmienił charakter. Nikt tego więcej nie doznał, jak studenci wydziału lekar-

skiego. Jedno nawet takowe zdarzenie przy mnie się trafiło. Zawsze dla mego interesu przychodziłem do rektora przed dziesiątą i posłuchanie moje trwało najczęściej godzinę, a jeśli nie był dzień sesji, lub pocztowy, to i do południa się przeciągnęło. Bo, powtarzam, że obcowanie z tym uczonym człowiekiem wielce było przyjemne i interes łatwy. Raz było tak, że po krótkiej rozmowie o interesie, zawiązała się pogadanka o Krzemieńcu i Wilnie i o nauczycielach szkół obu. Trudno trafniejszego sądu, jak był sąd o ludziach Pelikana. Nie tylko swoich umiał ocenić, ale i nam najrzetelniejszą sprawiedliwość wymierzał. Wpośród tej poufałej rozmowy oznajmiono rektorowi, że dwuch studentów prosi o posłuchanie, rektor kazał ich prosić do swego gabinetu. Chciałem wyjść, rektor mię zatrzymał. Weszło dwuch młodzieńców pięknego oblicza i jeszcze piękniejszego prezentowania się, byli bracia, obaj skończywszy szkoły w Winnicy, od roku już byli w uniwersytecie na wydziale lekarskim, ale na swoim koszcie, bo dopiero po roku obiecano przyjąć ich na koszt skarbowy. Wszyscy profesorowie, ceniąc ich pilność, piękny postęp i moralne prowadzenie się, przychylali się szczerze do przyjęcia ich w poczet studentów koronnych; dziekan był temu przeciwny i nakłonić go było niepodobna. Rektor usilnie pragnął im dopomódz, ale szło z trudnością. Z całą szlachetną śmiałością prowadzili sprawę swoją przed rektorem i widziałem w oczach jego współczucie dla zacnych młodzieńców. — „Proszę panów przyjść do mnie we czwartek—rzekł do młodych,—we środę będzie sesja rady, wszystkich starań dołożę, aby interes panów pomyślny uwieńczył skutek“. Gdy odeszli studenci, rektor powiedział mi:—„Otóż to taka bieda zawsze z panem dziekanem, stary i zasłużony profesor, posiada wszystkie świetne przymioty swego urzędu, serca mu tylko braknie! a uporu zwyciężyć trudno“.—„Więc nic nie otrzymają ci piękni studenci?“—zapytałem.—„Koniec końców przyjęci być muszą — rzekł rektor. — Jeśli cię

zainteresowali, to przyjdź we czwartek dowiedzieć się o ich losie". — Pożegnałem rektora, a za powrotem na stancję zastałem ośmiu naszych Krzemieńczanów, wszystkich z medycznego fakultetu, którzy przyszli odwiedzić swego nauczyciela botaniki. Zdawało mi się, że to bracia moi lub synowie, tak uprzejme, tak rzewne było ich powitanie. Po niedługiej pogadance zniewolili mię iść z nimi do kliniki, gdzie wypadała prelekcja p. Śniadeckiego. Nie mając pozwolenia profesora, nie śmiałem samowolnie wdzierać się do tego przybytku najbłogosławieńszej nauki, chociaż arcykapłan jej był mi znajomy; ale mię uczniowie upewnili, że się obecnością profanów nie obrazi, poszedłem więc, a cała ta prelekcja na zawsze w pamięci mojej została. P. Śniadecki był więcej niż profesorem, był ojcem i cierpiących i tych, co cierpiącym braterskie nieśli uczucia i pomoc. P. Śniadecki łaskawie mię powitał i umieścił blizko siebie. Cóż powiem o tej prelekcji? Wzrok mój, utopiony w obliczu profesora, ledwie się kiedy zwrócił na pacjentów, bo oblicze tego dostojnego męża, taką jaśniało świętością, z ust jego płynęła prawdziwa mądrość w najsłodszych wyrazach, że słuchający nasycić się nie mogli słuchaniem. Był to Hipokrat, przemawiający najczystszym językiem Cycerona i duchem apostoła leczącego cierpienia ludzi. Dwie godziny, jak dwie chwile, upłynęły. Podzielałem uniesienia uczniów i uwielbienia ich dla nieocenionego nauczyciela. I drugi raz najchętniej obecny byłem na prelekcji p. Śniadeckiego, a wtedy powiedział mi ze swoim anielskim uśmiechem:—„Czy nie myślisz także być lekarzem?" — „Byłbym nim niezawodnie, gdybym był w Wilnie pozostał!"—Zrozumiał mię mąż czcigodny i podał mi swą rękę, którą najszczerzej z rozrzewnieniem ucałowałem.

Nie omieszkałem we czwartek stawić się u rektora; rozjaśnione było jego oblicze i domyśliłem się reszty. Wkrótce nadeszli młodzi studenci, na twarzach ich bojaźń z nadzieją walczyły. Powstał rektor i idąc naprzeciw

nich: — „Winszuję wam, zacni młodzieńcy, — zawołał — jesteście przyjęci". — Chcieli się rzucić do nóg rektora, ale ich niedopuścił do tego uniżenia, lecz po ojcowsku ich uściskał. Radosne łzy wdzięczności płynęły po twarzach młodzieńców i na oczach rektora piękną czułości serca łzę widziałem. Rektor zaprosił na herbatę nowo przyjętych i mnie polecił być świadkiem, jak pilność w naukach i moralne życie są przez niego cenione. I w samej rzeczy, dwaj ci uczniowie, w ciągu całego wieczora ani na chwilę zapomniani nie byli i pięknem znajdowaniem się swojem dowiedli, jak zasługiwali na uprzejme u naczelnika swego przyjęcie. Pelikan profesorem jeszcze będąc, posiadał synowskie przywiązanie i ufność studentów; zostawszy rektorem, najżyczliwszym ich był protektorem i też uczucia w młodych do końca jego urzędowania pozostały. Za mało znam okoliczności, jakie zaszły w uniwersyecie w poprzednich latach, ale to, co widziałem w czasie mojej ostatniej bytności w Wilnie i co od naszych w Wilnie alumnów słyszałem, upewniło mię, że Pelikan grunt serca miał dobry i że rad temi dobremi uczuciami powodował się.

Towarzysza tegorocznej podróży często odwiedzałem. Jakowicki, powziętej w czasie naszej wędrówki, przyjaźni dowodził mi z całą litewską szczerością. Zdanie jego o rektorze zupełnie się z moją opinją zgadzało. Rektor polecił mu oprowadzenie mię po uniwersytecie i pokazanie wszystkich jego zbiorów. — Do osobliwości zwiedzanych należy może i w pierwszym rzędzie atelier Brunnera, przygotowującego przedmioty do zoologicznego zbioru. Na warsztacie przygotowywała się plastyka żubra, gdzie na drewnianym tułowiu wyrobione były z papierowej masy muskuły zwierzęcia z najdokładniejszą znajomością anatomji, skóra mokła jeszcze w spirytusie. Arcydzieło to Brunnera, ukończone dopiero w roku następnym, powiadano, że się do Petersburga dostało. W zbiorze uniwersyteckim tegoż artysty, uderzały

szczególniej w oczy: czerwonak, łabędzi para, żoko i szpic biały szczekający. Wszystkie zdawały się żyjące, bo ruch, chociaż go nie było, chwycony był charakterystycznie i dziwną sprawiał iluzję. Co jeszcze bardzo ciekawego widziałem u Brunnera, to trytonian. Instrument ten był to rodzaj organów, w których miejsce dud zastępowały trąby malowniczo uszykowane. Harmonja tego instrumentu dziwnie wspaniała. Piano, śpiewne i do serca idące, crescenda zachwycające, a forte majestatyczne. Brunner był i muzykiem i, jak mówiono, artystą. Grał na trytonianie con amore i uczuć swoich słuchającym udzielał. Instrument ten umieszczony w kościele jeszczeby wspaniałej od organów wygrywał hymny na chwałę Stwórcy wszej harmonji.

Chociaż to była zima, jednakże zwiedziłem Antokol, Zakret i Werki. Urocze te położeniem swojem okolice, okryte śniegiem, zaledwie dozwoliły mi rozpoznać je, jednakże i pod tem białem pokryciem jeszcze pięknemi były. Zwiedzając różne miejsca znajome dawniej, zaszedłem do kardynalji, gdzie cały rok z Oleszkiewiczem mieszkałem. Pamiętając dobrze naszą stancję, szedłem prosto do znajomej sieni, ale zamiast wschodów ujrzałem piękną stolarską robotą ozdobne stopnie i wszedłem do naszego mieszkania. Ozdobą naszej stancji jedyną był Olimp Oleszkiewicza, zajmujący całą główną ścianę, zresztą artystowski nieład. Dziś ten pokój, strojny gustownem umeblowaniem, ani przypominał dawnego swego ubóstwa. Gospodarz mieszkania zapytał mię, kogo szukam i jaki mię interes sprowadza? Bez ogródki opowiedziałem powód moich odwiedzin i widziałem z oczu gospodarza zadowolenie, że zajmował siedlisko tak znakomitego artysty rodaka. Stąd poszła pogadanka wielce przyjemna, ale dziwno mi było, że o znakomitym mistrzu tak już zapomniano, że mieszkanie jego, tak niegdyś uczęszczane przez najdystyngowańsze osoby, dziś już i wspomnienia o nim nie wzbudzało. P. Giecold (tak się zwał lokator) zanotował sobie wszystko, com mu o Oleszkie-

wiczu opowiadał, i znaleźli się jeszcze tacy, co artystę pamiętali i opowiadanie moje potwierdzili. Nie wiem dlaczego, ale ze ściśnionem sercem wyszedłem z kardynalji, smutek owładnął mój umysł i nic mię nie zajmowało. Dla rozerwania się poszedłem na teatr. Grano „Trzydzieści lat życia szulera". Dzielnie wszystkie role odegrane były. Ale w ostatnim akcie, kiedy pędzony nieszczęsną namiętnością swoją i niedolą, szuler ze zmienionem obliczem łachmanami odziany, wszedłszy do karczmy, samą postacią swoją, równie jak i sławą zbrodniarza, uderza przestrachem i rozpędza weselących się przy kuflu wieśniaków; kiedy na widok pieniędzy, które podróżny ofiaruje za przeprowadzenie go przez góry, szuler wymawia to słowo: „złoto!" w tem słowie widzisz już los podróżnego i słyszysz jęk skonu pod zabójczym żelazem zbrodniarza, — w tej scenie Skibiński prawdziwie wielkim był artystą dramatycznym! Ale żaden oklask słyszeć się nie dał, mająca się spełnić zbrodnia, jak kamień przylegla serca widzów. Po skończonej dopiero sztuce wywołany Skibiński odebrał należne mu pochwały i oklaski. Nie wiem jakby był Każyński tę rolę odegrał, ale żaden z jego następców na scenie wileńskiej Skibińskiemuby nie wyrównał. Artystka, grająca rolę żony szulera, we wszystkich zmianach i kolejach losu występnego męża, dzielną i godną lepszego losu jest niewiastą. Z miłem zadowoleniem wyszedłem z teatru i powziąłem wysoką opinję o jego artystach. Ale za inną bytnością, znikła iluzja. Przedstawiano Geldhaba (komedją Fredra), ale ani porównać można było tego przedstawienia z przedstawieniem warszawskiem! Dwa razy tylko, w całym czasie pobytu mego w Wilnie, byłem na teatrze, a czytane afisze nie zachęcały do trzeciej bytności. Scena wileńska, pod antrepryzą Morawskiej i Każyńskiego, była najświetniejszą i miłą po sobie pamięć zostawiła.

Mnie w Wilnie szybko czas upływał. Zwiedzanie zbiorów uniwersyteckich okolic Wilna, społeczność z czcigodnymi profesorami, tak zapełniały krótkie dni i

długie wieczory listopadowe i grudniowe, że ani się spostrzegłem, gdzie się pięć tygodni podziało. Wielu profesorów poznałem, ale trudno było wszystkich odwiedzić i w ich domach im się prezentować. Domy, najczęściej ode mnie nawiedzane, były: rektora, pp. Śniadeckich, prof. Wolfganga, Jakowickich i, wznowionych miłych znajomości dawnych, Jaroszewiczów i Podczaszyńskich. Podczaszyński był celującym uczniem krzemienieckim i od wszystkich kochanym. Świetniał nauką w Wilnie, i za granicą udoskonalony w ulubionym mu przedmiocie, wrócił do Wilna jaśnieć talentami i nauką. W tym samym czasie i Miechowicz wysłany był z Krzemieńca. Oba wrócili wzbogaceni skarbami nauk, ale Miechowicz uczony wymowny profesor w zastosowaniu architektury do praktyki nie był szczęśliwym. Podczaszyński przewyższał go smakiem i darem przelania życia i wdzięku w swoje utwory. Miechowicz skończył karjerę, jako architekt-mechanik, Podczaszyński wznosił budowy pełne gruntownej znajomości sztuki, oblane urokiem poezji, jako mistrz prawdziwy. Dodajmy do tego to wyższe ukształcenie, tę prawość charakteru, tę słodycz i uprzejmość w obcowaniu, jakiemi zalecał się Podczaszyński, a śmiało o nim wyrzec możemy: Hic Vir! hic est!

Jakby to mnie jeszcze wiele mówić wypadło o Wilnie! Z sześciotygodniowego pobytu zebrałby się tom niemały. Ale pisać, a tak sobie pisać, jak ja, to żadnej zasługi niema. Ciekawość niewiele znajdzie posiłku, nauka nic wcale, język z 18 stulecia, nie przyjmujący w imionach rodowych zakończeń męskich na rodzaj żeński, zgroza! Podług dzisiejszych prawideł, przyjętych w postępowym świecie, mówić potrzeba: hrabina Chodkiewicz, hrabina Tyszkiewicz, księżna Radziwiłł i t. p. zaledwie rodom, na ski zakończonym, pozostało dla dam zakończenie dawne na ska, a i to może nie nadługo. Za moich czasów damy nie stroiły się w zbroje i hełmy, były żonami, matkami, paniami, obywatelkami, a imiona ich rodowe miały też same zakończenia, co i te czcigodne

tytuły. Czyż dzisiejsze nasze niewiasty nie są córami, wnukami owych szanownych matron? Czyż tak się w nich wyrobił duch męski, że i nazwiskom ich lepiej męskie nazwisko przystoi? Odmiana zakończeń rodzajowych jest bogactwem naszego języka, jakiego może żaden język nie posiada. Weźmy naprzykład: hrabina Chodkiewiczowa, hrabina Platerowa, hrabina Olizarowa, jeśli zmienimy te nazwiska na zakończenie męskie, musimy koniecznie za każdem powtórzeniem nazwiska powtarzać tytuł, tembardziej w przypadkowaniu tych nazwisk. Każdy mię zrozumie, kiedy powiem: wzniosłe uczucia Platerowej, wdzięki Olizarowej, cnoty Chodkiewiczowej, lecz odrzuciwszy zakończenie żeńskie, przypadkowanie samo z siebie upadnie, bo podług tegoczesnej metody, powiedzieć trzeba: wzniosłe uczucia Plater, piękność Olizar, cnoty Chodkiewicz, czyż to zrozumiałe? dodawszy dopiero tytuł, lub pani, wiedzieć będziemy o kim mowa. Stary nasz, zacny weteran, świetniejący w uczonym naszym świecie, Malewski, nawet cudzoziemskim nazwiskom zakończenie żeńskie dodawał, on mówił: pani Bekowa, p. Lobenwejnowa, p. Wolfgangowa, a przecież nie można zaprzeczyć, że znał biegle język ojczysty, mówił nim i pisał. Śniadeccy oba w narodowych nazwiskach trzymali się tego prawidła odmiany zakończenia żeńskiego. Kopczyński, Osiński, Feliński wiernie je zachowywali. Sam słyszałem Felińskiego, wyśmiewającego ten francuski sposób mówienia. Czemże my przewyższyliśmy tych wiekopomnej sławy mężów, tych czujnych stróżów mowy naszej od zepsucia? Jakież mamy prawo do poprawiania gramatyki naszej, którą oni z taką pracą, z takim duchem narodowym oczyścili i na wysokim stopniu postawili? Wierzę żywą wiarą w postęp 19-go stulecia, uwielbiam odkrycia wielkie i ich użyteczne zastosowanie, przyjmuję nawet wyższość cywilizacji w obyczajach, widzę i czytam z rozkoszą arcydzieła naszych pisarzy, nie jestem więc ślepo uprzedzonym względem lepszości dawnych czasów. Było i tam złe, jak jest

i teraz, widziałem je i widzę, ale tylko zmiany w ojczystej mowie znieść nie mogę. „Imîtez la nature, suivez les grands maîtres“ — powiedział sam mistrz wielki Gessner. Czyż to i do języka zastosować się nie może? Trzymajmy się natury, mowy ojczystej, a idźmy w ślady wielkich mistrzów, którzy w nieśmiertelnych swych pismach zostawili nam wzory, służące prawidłami języka. Myśli te o języku zrodziły się we mnie w czasie pobytu mego w Wilnie. Obcowanie z tylu znakomitymi mężami wiele mię oświeciło, ale się przekonałem, jak ci wszyscy uczeni w wykładzie dawanych przez siebie nauk, równie jak w potocznej rozmowie, i o doskonały wykład rzeczy i o czystość mowy dbałymi byli.

Zbliżał się kres mojego pobytu, potrzeba było rozstać się z Wilnem, gdzie po raz drugi w życiu znalazłem współczucie i prawdziwych przyjaciół. Młodzieży, przybywającej z naszych stron, Pelikan przyznawał piękne naukowe usposobienia, pilność w naukach i moralność w prowadzeniu się, zarzucał im tylko zarozumiałość. Być może, że uczucie własnej zacności za wysoko w ich umysłach posunęło się, ale toż samo uczucie było stróżem ich moralności. Nie byli wolni od tej wady i młodzi Litwini, i z nowo przybyłymi ze szkół krzemienieckich, winnickich lub humańskich, zrazu trzymali się zdaleka, dalsza dopiero znajomość zbliżyła ich do siebie i stosunki zawiązywały się przyjazne; Wołynianie, Podolanie i Ukraińcy stawali się Wileńczykami i Litwinami. Spytajmy takowych rozproszonych po świecie, każdy z nich we wdzięcznej pamięci nie odróżnia szkoły, w której pierwiastkowe brał wychowanie od Wilna, a czy to Śniadeckich, czy Styczyńskiego, Tymonowicza, czy Strzeleckiego lub Felińskiego z jednakowem synowskiem uczuciem wspomina.

Przed wyjazdem należało oddać pożegnalne odwiedziny przynajmniej bliżej znajomym. Nie wspomnę o Jaroszewiczu, Podczaszyńskim, ks. Osińskim, Wolfgangu, rodzina najżyczliwsza nie z większemby mię uczuciem żegnała. Rektor dla wynagrodzenia choć w części kosz-

tów podróży dał mi polecenie zwiedzenia po drodze szkół lidzkiej, słonimskiej i lubieszowskiej, jako ekstraordynaryjną wizytą i na tę podróż zaasygnował mi z kasy uniwersyteckiej sto rubli srebr. Czy to było z kasy aktualnie, nigdy się dowiedzieć nie mogłem, przysłano mi na stancję instrukcję, pieniądze i kazano się w przyniesionej księdze rozpisać. P. Mianowski przyjął moje pożegnanie daleko grzeczniej, niż pierwszą wizytę, rozmawialiśmy nawet o miłej przeszłości w domu hr. Chodkiewiczów. Upewnił mię, że rada uniwersytecka pamięta o mnie i o mojej przyszłości. Czcigodny Malewski, szanowny ks. Jundził, toż samo najuprzejmiej mi powtórzyli. Rektor pytał mię, jak się dostanę do Krzemieńca? odpowiedziałem, że najętym furmanem, którego szukam. Rektor pamiętał o tem i dwuch przybyłych nowo z naszych stron uczniów zapytał, czem przyjechali? na odpowiedź, że furmanem z Dubna, polecił im dać mi o tem zaraz wiedzieć, i za połowę ceny żądanej od furmanów wileńskich miałem czem wracać do domu.

Po wszystkich pożegnaniach w sobotę, w wigilję mego wyjazdu, byłem na herbacie u pp. Śniadeckich. Ostatnie uprzejmości tych nieocenionych, tak łaskawych na mnie, do łez mię wzruszyły. Wyszedłem od tej zacnej rodziny, jak syn przywiązany do najlepszych rodziców, i w tem usposobieniu szedłem ku Ostrej Bramie do mojej kwatery. Kaplica oświecona, kapłani zgodnemi głosy śpiewają litanję po całej ulicy, lud na kolanach w upokorzeniu odpowiada: „Módl się za nami“, i ja padłem na kolana i z całem wzniesieniem ducha wołałem ze zgromadzeniem pobożnem: „Módl się za nami“. O! nie za siebie samego tylko z rozrzewnieniem niosłem moje do Najświętszej Bogarodzicy i za łaskawych na mnie w Wilnie i za to miasto, którem oddawna ukochał. Nazajutrz rano odwiedzili mię wszyscy prawie naszych szkół uczniowie i aż za Ostrą Bramę prowadzili. Trzydzieści lat już upłynęło, a mnie tak obecny ten pobyt mój w Wilnie, jak gdybym wczoraj dopiero stamtąd powrócił.

ROZDZIAŁ XVI.

W Lidzie nie zatrzymałem się prawie, ale w Słonimie nadspodziewanie moje trzy dni zabawić musiałem. Szkoła Słonimska utrzymywana przez kanoników regularnych, na pięknym była stopniu, nauczyciele światli, pracowici, w obejściu się z uczuciami obyczajni i delikatni, w społeczeństwie starszem uprzejmi i uprzedzający, naczelnik ich równie światły, równie obyczajny, przewyższał jeszcze podwładnych swoich uprzejmością i ogładzeniem światowem. Przyjął mię z otwartością narodową i po krótkiej rozmowie tyle we mnie wzbudził ufności, że mu instrukcję moją pokazałem. Oprowadził mię sam po wszystkich zbiorach szkoły, nawet zachodziliśmy do klas na lekcje, gdzie i porządek i przyzwoitość uczniów i gorliwość i przygotowanie nauczycieli najpiękniejsze o tej szkole dawały wyobrażenie. Wizyta zabrała trzy dni całe. Po mszy szliśmy do klas na lekcje, obiad był u księdza przełożonego, po obiedzie zwiedzaliśmy zbiory, a szczególniej bibljotekę dość liczną, oddawna przez zakon ten zbieraną. Wieczory spędzaliśmy u przełożonego, gdzie się zbierało i świeckie towarzystwo urzędników powiatowych. Na wyjezdnem zapisałem podług instrukcji moją wizytę i po najprzyjaźniejszem pożegnaniu opuściłem zacnych zakonników i Słonim, do którego pociąg jakiś wewnętrzny przywiązywał. Jechałem do Lubieszowa pełen myśli o tamecznej szkole i marzyłem sobie, że, jeżeli tak zastałem u zakonników, którzy z reguły swojej nie byli naznaczeni do uczenia młodych, cóż to dopiero znajdę u tych, którym ustawodawca za pierwszy obowiązek reguły położył rozszerzenie nauk między wiernymi, i oświecenie światłem wiary niewiernych. Dwie szkoły pijarskie znane mi były, Międzyrzecka i Dombrowicka. Pierwszej, najświetniejsza była epoka pod rektoratem Szybińskiego i jeszcze Żebrowskiego, druga świetniała pod rządami Damczewskiego. Później jedna i druga straciły swoje zaszczyty w oso-

bach profesorów, którzy, niechcąc wypełnić ślubów zakonnych, wywlekli się, jak to mówią, i w świecie znaleźli odpowiednią swoim talentom karjerę. Jednym z takowych był Skrocki, prof. fizyki w uniw. warszawskim, ze sławą osobistą i z korzyścią uczących spełniający swój obowiązek. Międzyrzecka szkoła długo jeszcze istniała, ale mimo całe poświęcenie się jej dobru czcigodnego męża Wacława Borejki, dawnej świetności odzyskać nie mogła. Dombrowicką szkołę na jednym stopniu ksiądz Damczewski utrzymać potrafił. Ale wróćmy do Lubieszowa.

Przybywszy wieczorem do tego miasteczka, zanocowałem w domu zajezdnym i dopiero nazajutrz naciągnąwszy na siebie mundur udałem się do ks. pijarów. Niedopuszczono mię do ks. rektora, bo jeszcze nie był ubrany, a podobno nawet spoczywał. Przyjął mię ks. prefekt w jakimś niby audjencjonalnym pokoju, brudnym i o godzinie 9-tej jeszcze niezamiecionym. Powiedziałem mu, kto jestem i jeszcze mocniej był zakłopotanym, wymawiał i siebie i rektora z nieporządku, jaki zastałem, ale przyczyny powiedzieć nie umiał, może ne chciał. Oświadczyłem, że chciałbym być na lekcjach przedmiotów mnie interesujących, zmięszał się jeszcze więcej, a prosząc, abym się zatrzymał, wyszedł. Zostawszy sam, rozpatrywałem kopersztychy po ścianach rozwieszone. Wszystkie były z historji polskiej rysunku Smuglewicza, ale tak zakurzone pyłem, że ledwie je rozpoznać można było. Obok drzwi, któremi wyszedł prefekt, wisiał obrazek olejny, otarłszy go chustką, ujrzałem cudnej piękności głowę Chrystusa, tak co do rysunku, jak i gładkości pędzla. Wchodzący ksiądz zastał mię w admiracji tego prześlicznego obrazu. „Pan się zachwyca tem malowidłem“ ozwał się za mną głos nie prefekta, i ujrzałem przed sobą człowieka młodego, pięknej postaci i ułożenie pełnego godności i skromności. „Jestem nauczyciel fizyki — rzeknie — ks. prefekt przysłał mię tu służyć panu, nim ks. rektor wyjdzie“. Uprzejmość i ujmująca po-

wierzchowność nauczyciela spoufaliły mię z nim i rozmawialiśmy, jak dobrzy znajomi. Od niego dowiedziałem się, że wczoraj były imieniny ks. rektora, że wczorajsza rekreacja i na dzisiaj się rozciągnęła i że z tej przyczyny nie mogę być na żadnej lekcji, ale, jeżeli zechcę się potrudzić, to mi pokaże bibljotekę i pomocnicze naukowe zbiory. Podziękowałem za dobrą chęć i udaliśmy się na tę uczoną wędrówkę. Bibljoteka dość bogata w księgi, ale nowszych dzieł mało, a do przedmiotów, wykładanych przez mego przewodnika, księgi wszystkie znajdowały się u niego w stancji. Fizycznych machin i narzędzi zapas niezły, a ten prawie cały winna szkoła gorliwości obecnego nauczyciela. Toż samo i w przedmiotach historji naturalnej, do której wykładu dzieła szanownego ks. Jundziłła używał. Przegląd ten zajął nam prawie trzy godziny w miłej bardzo rozmowie, w której intra parenthesim dowiedziałem się, że rektor nie słynął wysoką nauką, że był bon vivant i ciężki dla nauczycieli. W całym przechodzie z miejsca na miejsce wszędzie podobny, jak w sali przyjęcia, był nieporządek. Z bibljoteki ks. prefekt wezwał nas znowu do tejże sali, ale zastałem ją umiecioną i oczyszczoną z kurzawy. Ks. prefekt nas czekał, a na fizjognomji jego wyczytałem, że wcale z moich odwiedzin nie był kontent. Dość jednak grzecznie mię powitał i do zastawionego śniadania zaprosił, ks. fizyk chciał odejść, ale na moją prośbę został z wyraźnem nieukontentowaniem ks. rektora. Rozmowa przy śniadaniu była wymuszona i sucha i, mimo całą moją usilność, podnieść się nie mogła. Po śniadaniu skinął na kolegów i ci wyszli. Dopiero ks. rektor zaczął się użalać na ciężar swego urzędu, na niesforność nauczycieli, na ciężkie okoliczności i często, snadź dla odwilżenia gardła, powtarzał kieliszeczek złocistej gdańskiej wódeczki, co i energji i płynności mowy dodawało, aż nakoniec tak się słowa mnożyły i składały, że je rozumieć trudno już było. Sądząc przeto, że czas już rozmowę zakończyć, wstałem, ażeby pożegnać ks. rektora. Na-

teczas rzekł do mnie — „choćby cię bito i smażono w smole". — Dokończyłem wiersz drugi i ks. rektor, ściskając mię, wetknął mi storublową asygnatkę, mówiąc: — „a to klucz zamykający sekret". — „Myli się ks. rektor—odpowiedziałem — bytność moja tu jest z polecenia wyższego, który mię dostatecznym funduszem na podróż opatrzył. Ks. rektor niech raczy tę sumę zachować raczej na pomoce naukowe i na utrzymanie lepszego nieco porządku".—„O! jaki mi Kato!—zawoła.—Nie tacy tu byli, a jakiem co dał, to przyjęli i podziękowali".—„Każdy ma swoje zdanie i swoją wolę, rzekłem, żegnam ks. rektora" — i skłoniwszy się wyszedłem. Ks. fizyk czekał na mnie na korytarzu—„ach panie! rzeknie do mnie—czy zapisałeś swoją wizytę u nas?"—„Nie!—odpowiedziałem—ani o niej wspomnę nawet". — Odprowadził mię na stancję, i tam jeszcze pogawędziwszy z godzinę pożegnałem zacnego nauczyciela, który godny był lepszego stanowiska. Taką zastałem szkołę Lubieszowską, a przecież mówią, że to była dawniej jedna z najlepszych szkół litewskich, i być może, pod innym zarządem. — Niejedną to z naszych szkół los podobny spotkał przez nierząd, a gorliwość i działalność zarządzających nieraz niejedną od upadku zasłoniła, a nawet ustaliła i podniosła.

Podróż moja szła szybko, wyborna sanna ułatwiała jazdę, a choć wiatr mroźny świstał i szumiał, jako północny, jadąc w południowym kierunku, nie spotykałem się z nim oko w oko. Ale ta piękna na oko zima, to równe pokrycie śniegiem całego kraju niewiele pomyślną wróżyło wiosnę. Od Wilna do Odesy w tymże samym prawie dniu śnieg pokrył niezmarzłą ziemię i nieprzerwaną jeszcze zimnem wegetację. Podobne wypadki zdarzają się w naszej krainie, ale w pewnych tylko miejscowościach i cząstkowe sprawiają klęski, ale zima 1829 r. ogólnym groziła nieurodzajem. Wróciwszy do Krzemieńca, zastałem Lewickiego w bardzo zatrważającym stanie zdrowia. Doktorowie zdecydowali, że ma wodę w piersiach i długiego życia mu nie obiecywali, troskliwe jed-

nak starania utrzymywały chorego w pewnej równowadze symptomatów, bez widocznego pogorszenia, i tak przeszły pierwsze miesiące zimy? W lutym 1830 roku zaczęło się pogarszać, lekarze podwoili swoją troskliwość, ale złe brało górę. Prof. Zienowicz i ja byliśmy prawie nieodstępnymi stróżami chorego. Zienowicz dni całe trawił przy nim, moja zdrowsza budowa pozwalała mi noce czuwać przy chorym. Dnia jednego doktorowie oznajmili nam, że pacjent dogorywa, chociaż zdawało się, że i sił jest jeszcze dosyć i przytomność umysłu zupełna. Na tę noc i Zienowicz został przy chorym i jeden z lekarzów. Jakoż około dziesiątej na rękach moich i Zienowicza Lewicki cierpienia swoje i życie zakończył? Trudno dać wyobrażenie żalu żony i licznej rodziny. Dałem natychmiast znać prefektowi, Bokszczanin przyszedł, opieczętował biuro z ważnemi papierami licealnemi i resztę nocy w tym domu smutku z nami przepędził. Nazajutrz rano dzwony kościoła naszego zgon dyrektora ogłosiły. Ostatnią usługę oddaliśmy zmarłemu z całą okazałością, odpowiadającą wysokiemu urzędowi dyrektora liceum i szkół gubernji Wołyńskiej. Bokszczanin urzędownie uwiadomił uniwersytet o zgonie naszego naczelnika i tymczasowo objął zarząd szkoły. Wkrótce przyszła rezolucja z Wilna, zaręczająca prefektowi zastępstwo dyrektora, a wdowie zapewniająca i pensją dożywotnią po mężu i mieszkanie dopóki jej się podoba bawić w Krzemieńcu. Ale pani Lewicka zaraz na wiosnę przeniosła się na Litwę.

Smutnie pokazała się wiosna, najpiękniej urunione posiewy wyprzały pod śniegiem, ledwie gdzieniegdzie, nie wschodzące przed zimą zboża, wschodzić zaczęły, i na tych niewiele rachować można było. Nadstarczano wiosennemi posiewami, ale sucha wiosna i tym nie sprzyjała. Ale nietylko w zbożach okazała się klęska, rozległe sady owocowe na niezmarzłej ziemi śniegiem zasypane, silnym mrozom (30 R.) ostać się nie mogły, obrócone tylko na południe jakoś wytrzymały. Okolice Krzemieńca, bogate

sadami, zwykle wiosną okryte kwiatem, jakby jeden prześliczny sad przedstawiały. W 1830 roku widać tylko było wzgórza suchym lasem pokryte! Nadeszło lato i najsmutniejsze żniwa. Nie miał co zbierać wieśniak i z rozpaczą zwoził do gumien nieco lichej słomy, zaledwie do karmienia mizernej jego chudoby zdatnej. Cena zboża podniosła się niesłychanie. Na Wołyniu korzec żyta płacono po 30 złotych, mało co mniej na Podolu i Ukrainie, a na Litwie i po tej cenie zboża dostać nie można było. Zamożni w dawne zbiory obywatele otworzyli swoje toki, ale i to nie wystarczało, bo coś oszczędzać było potrzeba na zimowe zasiewy dla siebie i dla poddanych. Do tej odrobiny udzielonego zboża, potrzeba było mięszać umieloną korę z drzew słodszych, lub słomę pokrajaną i wysuszoną mleć i na chleb wyrabiać. Tłumy nieprzeliczone prawdziwie biednych, bo zgłodniałych, snuły się po drogach i po miasteczkach, błagając kawałka chleba. Mieszkający w Krzemieńcu obywatele znakomitą złożyli sumę, za którą nakupiono zboża i innych produktów do życia potrzebnych. Obrano dom jeden obszerny, w nim urządzono kuchnię i spiżarnię, i pierwsze damy nasze trudniły się po kolei wydawaniem uważnem produktów i przygotowaniem strawy dla 500 biednych, z których każdy dostawał kwartę zupy, kawałek mięsa i bochenek chleba codziennie. Bliżsi Krzemieńca, oprócz składki pieniężnej, dostarczali jeszcze ze swych majątków mąkę, krupy i omastę. Miło mi wspomnieć imiona tych dam czcigodnych, z macierzyńskiem uczuciem poświęcających się ludzkości. Hrabina Ożarowska, księżna Radziwiłłowa z domu Stecka, generałowa Karwicka, pani Rzyszczewska, pani Michalina Giżycka, p. Adamowa Orłowska, podkomorzyna Gadomska, p. Adamowa Szwejkowska, p. Jakubowa Malinowska, zostaną na zawsze miłem wspomnieniem wdzięczności tylu nakarmionych nędzarzy i w dziejach dobroczynności niepoślednią zajmą kartę. Na wszystkich mieszkańców miasta prócz tego rozłożone było podług możności karmienie głodnych od

jednego do sześciu i więcej. Mieszkający podówczas, w Krzemieńcu hr. Działyński żywił swoim kosztem 120 ubogich, a w tym dobroczynnym uczynku i w modlitwie szukał pociechy po stracie nieodżałowanej małżonki. Nieodrodna cnót jego siostra generałowa Błędowska podzielała i żałość brata i jego usługę cierpiącej ludzkości. Ale hrabia oprócz hojnej jałmużny i moralnie wspierał nieszczęśliwych, dając im zajęcie pracą korzystną i dla nich i dla miasta, bo najbłotnistsze miejsca głównej ulicy gruzami wyrównał i bruk poprawił. Więcej tysiąca głodnych karmił Krzemieniec szczodrobliwością swoich meszkańców i okoliczni obywatele szczerze się do tych ofiar przyczyniali, a w Krzemieńcu nie znać było naciskającego kraj niedostatku. Na całym Wołyniu rozciągnięta klęska pobudzała obywateli do dzielenia się tem, co mieli w swych tokach, z poddanymi. Czy wszyscy bezinteresowny robili udział, nie wiem, wielu jednak popędem tylko miłości bliźniego działali. Szczególniejszy przykład mądrego i dobroczynnego działania dał książę Michał Radziwiłł z Podłużnego. W Polesiu jeszcze okropniejszy był nieurodzaj, bo zupełnemu głodowi dał początek. Książę miał piękny zapas zboża z lat poprzednich. Otworzył swoje toki i dla poddanych i dla obcych, ale warunkowo. — „Chaty wasze — rzekł do włościan klucza Podłużańskiego — potrzebują przestawienia, macie ode mnie drzewo, w ciągu zimy trzeba całe wioski przebudować, za tę robotę karmić was będę i płacić po złotemu na dzień, bez żadnego na wiosnę odrobku". Z wdzięcznością przyjęli wspaniałą propozycję i wzięli się do roboty. Wkrótce i z sąsiednich włości przychodzili robotnicy, a i tym książę jednakowo, jak i swoim płacił. Na wiosnę wzniosły się strojne wioski, jakby laską czarnoksięską z ziemi wyprowadzone, lud czerstwy zamieszkał nowe domy i błogosławił dziedzica, który ich w głodzie wykarmił i nowemi wygodnemi mieszkaniami obdarzył. Może i więcej obywateli tak materjalnie i moralnie poddanym swym

pomogli, przykład jednak ks. Radziwiłła na największą skalę, dobroczynność jego i mądrą nad poddanymi opiekę okazał. Miło mi, że to, co na własne oczy widziałem, wspomnieniu współziomków przekazać mogę. Łagodniejsza od przeszłorocznej zima, wczesna i wilgotna wiosna sprzyjały zimowym posiewom i w marcu zazieleniały pola. Wstąpił duch w zwątpiałe serca ludu i nadzieja lepszego roku ożywiła chęć do pracy. Niespożyte głodem ostatki zboża rozdawano włościanom, a ci z ufnością powierzali je uśmiechającej się piękną wiosną ziemi. Ale jak rzadko jedno tylko nieszczęście uciska biedny ród człowieczy! Ledwie że dobroczynnym chlebem opędzali głód uciskający, nadszedł jeszcze może straszniejszy nieprzyjaciel. Olbrzymim krokiem posuwająca się od wschodu cholera i na Wołyniu rozszerzać się poczęła. Biedni najpierwsi opuścili Krzemieniec. Zbieg okoliczności ówczesnych i obywateli rozproszył. Mało kto pozostał z naszych dam dobroczynnych, a te, nie mając głodnych do karmienia, chorym usługi swoje niosły. Okropnie wspomnieć na te pierwsze dni objawienia się strasznej i trudnej do leczenia choroby. Przepisane od rządu środki ratowania okazały się bezskutecznemi, każdy prawie chory innego prowadzenia, innych lekarstw wymagał. Temu użycie zimnej wody, temu wzbronione kwasy, innemu klejkie napoje zbawiennemi były lekami. Śmiertelność jednak straszna była osobliwie między żydami. Wszyscy nasi lekarze całem sercem poświęcali się ratowaniu chorych, ale wszystkich gorliwością swoją i przytomnością przewyższył prof. Besser i wielu szczęśliwie przez niego ratowanych zdrowie odzyskało. Powodzenie to podniosło jego wziętość i rząd szpital wojenny staraniom jego powierzył. Miasto rozdzielono na części i każdy z nas nauczycieli miał jedną taką część sobie powierzoną. Potrzeba było cały wydział każdego dnia obejść i z tych odwiedzin przed komitetem zdać sprawę. Komitet składał się z kilkunastu członków, mających swe domy w

mieście, pod prezydjum policmajstra i dyrektora gimnazjum. Czynny był komitet, czasu na naradach nie tracił i obmyślanych środków nie odkładał. Szło jednak trudno. Choroba zabierała swoje ofiary. Bokszczanin utracił żonę i ojca. Z naszego zgromadzenia pomocnik bibljotekarza Urbański, młody, silnej i czerstwej budowy, po kilku godzinach cierpienia życie zakończył. We wszystkich kwartałach miasta, mimo staranny ratunek, śmiertelność była wielka. Rozrzucone po górach przedmieścia mniej ucierpiały. W moim wydziale, od góry Wiszniowieckiej do Zamkowej, pięciu tylko było mocno chorych, a z tych dwuch choroby wytrzymać nie mogło, staruszka i sześcioletnie dziecko. Oddać tu należy jeszcze sprawiedliwość poświęcenia się księży Franciszkanów. Z prawdziwą wiarą, bez trwogi, nieśli pomoc i pociechę chorym, ostatnie usługi umierającym. Ks. Gwardjan Kobylański i kaznodzieja ks. Filip pod gołem niebem dysponowali cierpiących, do najlichszych chat wchodzili z ostateczną religijną pomocą i choroba szanowała tych prawdziwych sług Bożych. Zbiór uczniów w tym roku był liczny. Po nowym roku zjechali się wszyscy, nauki szły swoim porządkiem, a roztropna ostrożność nauczycieli i prefekta osłaniała młodych od wpływu snujących się po kraju wieści. Ukazanie się cholery zmusiło do rozesłania uczniów, w marcu rozpuszczono młodzież i zamknięto szkołę, któż wtedy mógł przewidzieć, że ją zamknięto na zawsze!

I inne klęski trapiły nasze prowincje. Wojna, lubośmy nie byli w granicach nią zajętych, przecież uczuć się dawała i smutne nadal zostawiła następstwa. Niedostawało jeszcze ognia do spełnienia czterech głównych plag Bożych. Wojna oddalała się, pomorek ustał, głód uspokojony, wszystko zdawało się spokojność zapowiadać. Ale Bóg zesłał na nas i ostatnią klęskę. Pierwszym pożarem spłonął cekhauz, czyli magazyn wojenny, i dał początek innym pożarom, zrazu nie częstym, następnie coraz czę-

stszym i to w dni wtorkowe, tak dalece, że na noc z poniedziałku na wtorek nikt w mieście spać się nie kładł. I okropne ślady pożarów pozostały na zawsze! Ale i inne miasta od tej klęski wolnemi nie były. Wszystko spiknęło się na Krzemieniec. Zamknięte liceum nasze nie wiedziało, jaki los dalej go czeka. Już i wojna ucichła i cholera ustąpiła i urodzaj lat dwuch oddał zapomnieniu głód uciskający kraj cały, a my zostawaliśmy, jak w odmęcie. Zerwana komunikacja z Wilnem, w naszej prowincji żadnych władz edukacyjnych, liceum więc nie wiedziało, co z sobą zrobić. Nauczyciele nastawali na otwarcie lekcji, zastępujący dyrektora odniósł się do wojennego gubernatora, a ten odpowiedział: „kto upoważnił do zamknięcia szkoły, ten niech i otwarcie jej zatwierdzi". Wegietowaliśmy więc na połowie naszego honorarjum aż do jesieni w 1832 r. Nakoniec zjechał nowy kurator, gen. Fiłatiew. Odwiedził nas, zebranych w sali bibljotecznej wyłajał, zwiedził bibljotekę i gabinety, ale nic go nie zajmowało, wszędzie przeszedł, ledwie popatrzywszy wokoło siebie. Sekretarz Fiłatiewa oznajmił dyrektorowi, że trzeba, ażeby liceum wystąpiło z obiadem dla kuratora. Niema co robić, zbieramy składkę, dziesiąty grosz od całej pensji, której tylko połowę pobieraliśmy. Produktów łatwo dostać w mieście lub w okolicy, ale rzecz najważniejsza nakrycie, skąd go wziąć? Zebranie nasze wyznaczyło mnie na tę kwestę do najbliższych obywateli i tego samego dnia mnie wyprawiono. Zacząłem od Wiszniowca. Hr. Karol Mniszech, uczeń szkoły Krzemienieckiej, przyjął mię jak współucznia, z całą uprzejmością narodową, z całą godnością naszej arystokracji, której piękny typ jeszcze się w tym dostojnym panu zachował. Hrabia czytał przy dużym stoliku Hejdensztejna, hrabina haftowała w krośnach, dwaj mali synowie bawili się na dywanie przeglądaniem rycin jakiegoś ilustrowanego historycznego dzieła in folio. Oboje hrabstwo porzucili swoje zatrudnienia i łaskawie zajęli się przybyszem.

Rozmowa toczyła się o Czackim, o liceum, o losie tej szkoły. Hrabia znał Fiłatiewa i nieco z ironją winszował nam tak znakomitego nauką kuratora. — „Na cośmy to przyszli kolego — rzecze do mnie — w czyim to ręku jest dzisiaj oświata naszych prowincji! przygotujcie się, że na ten raz nikt już was nie obroni i że was przeniosą do Charkowa!“ — Smutna ta przepowiednia wielce była do prawdy podobna, ale nas jeszcze jakaś nadzieja ożywiała. Przenocowałem w znakomitym godnością swoją, swoją narodową uprzejmością domu Wandalinów i nazajutrz udałem się do Zukowia. P. generał był w domu, zaanonsowanego przyjął w jakiejś długiej sali, gdzie żadnego krzesła nie było. Misja więc moja odbywała się etykietalnie, stojąc. Oświadczyłem zaprosiny na obiad i prośbę o kredens. Hrabia Mniszech odmówił swojej bytności, srebra i porcelany natychmiast wyprawić kazał, tu wszystkiego odmówiono. W czasie naszej rozmowy przez otwarte drzwi sąsiedniego salonu młodzi generałowicze uprzejmie mimiką przesyłali mi swoje powitania. Ukończywszy moje poselstwo, żegnałem pana domu, który przecież wymówił: — „Może lepiejby było zostać na obiedzie“ — podziękowałem, składając się krótkością czasu, że mnie jeszcze do Kołodna jechać potrzeba, ale młodzi wybiegli z salonu, i witając mię najmilej, ciągnęli do salonu, wołając: — „my pana od obiadu nie puścimy“. — Generał dołączył do uprzejmości synów i swoje: „proszę“, głosem, w którym szczerość się przebijała. Wszedłem więc do salonu, jakież było zajęcie młodych? Jeden rysował na ogromnym papierze drzewo genealogiczne Czartoryskich i domów z niemi spokrewnionych, drugi w takimże formacie drzewo rozkwitające herbami tychże domów. Generałowa była córką księcia stolnika kor., Józefa Czartoryskiego, nieodrodna wysokich zalet tego dostojnego w kraju naszym książęcego domu. Przy obiedzie, ożywiona dowcipem i pięknem wychowaniem młodych, a rozumem i wielką znajomością świata samego

generała pogadanką, spóźniła mój wyjazd z Zukowiec i o świecach stanąłem w Kołodnem. P. Szwejkowski z synem był na polowaniu, damy tylko w salonie zebrane zastałem. Mile mię i łaskawie przyjęła sama pani, bo nasza znajomość datowała od wielu lat w domu hr. Chodkiewiczów. Wszczęła się więc wesoła pogadanka o Pekałowie, o Tuczynie i o Krzemieńcu i sama pani wznowiła miłe wspomnienie tych błogich, tych wesołych lat, które już upłynęły, a upłynęły na zawsze! Wpośród tej pogadanki wrócili panowie Szwejkowscy i p. marszałek powitał mię z całą rubaszną szlachecką uprzejmością, jako dawnego znajomego i jakoś tam powinowatego po moim ojcu. Po wieczerzy p. Szwejkowski zabrał mię do swego apartamentu na gawędkę o dawnych i obecnych czasach przy kieliszku z 1811 r. węgrzyna. P. marszałek i kredens wysłał i swoją bytność nam obiecał. P. Szwejkowski nie był salonowym, był to sobie typ poczciwego polskiego szlachcica i czcigodnym był obywatelem. Powrót mój do Krzemieńca zadowolnił nasze zgromadzenie, wystąpiliśmy z obiadem, mieliśmy kilkadziesiąt osób u stołu, a choć liczne były toasty i hojne libacje, wina jednak nam jeszcze wiele zostało, na kórym rachowaliśmy strącenie części kosztów obiadowych. Ale sekretarz kuratora dostrzegł baterję butelek i szepnął zastępcy dyrektora, ażeby te reszty wina kazał upakować na drogę dla p. kuratora. Nazajutrz Fiłatiew wyjechał, a w pełnem uprzejmości pożegnaniu zapewniał nas, że liceum zostanie i nadal z niektóremi odmianami w Krzemieńcu i my nasze posady utrzymamy, zdaje mi się nawet, że nas wrócił do całej pensji, dobrze nie pamiętam. Pocieszaliśmy się nadzieją, ale pewność losu naszego była w ręku wszechmocnej Opatrzności. Upłynęła zima bezczynna i tęskna, w lutym następnego roku zjechał do nas rzeczywisty kurator nowo utworzonego kijowskiego naukowego okręgu, oznajmił, że liceum Wołyńskie odtąd już będzie w Kijowie, jako główna tych prowincji szkoła, za-

pewnił nam wszystkim dotąd zajmowane obowiązki i zaległość pensji naszej wypłacić kazał. W maju znowu nas odwiedził i pakować nasze zbiory i archiwa polecił. Von Bratke wielce się różnił od swego poprzednika. Prawdziwie uczony, wysoko ucywilizowany, przystępny, łagodny, odrazu potrafił i życzliwość naszą i zaufanie pozyskać. Całe lato zeszło na pakowaniu, układaniu i wywożeniu naszych zasobów, w jesieni jużeśmy wszyscy byli w Kijowie, lubo los szkoły nie był jeszcze zupełnie rozstrzygnięty.

KONIEC.

Grób Antoniego Andrzejowskiego w Stawiszczach.

SPIS OSÓB.

Wymienione są ważniejsze, z któremi autor stykał się. Liczba rzymska oznacza tomy, arabska stronice. Spis dopełniony według alfabetu w porządku idących stron. Większe rodziny połączone w grupy.

Ankwicz I, 135.
Antonowicz III, 27, 30.
Alfieri III, 27.
Abłamowicz III, 98, 99.
Aleksiejew III, 144, 145, 146.
Aleksander cesarz I, 189.

Besser III, 66, 67, 219.
Błotnicki III, 64, 65, 66, 218.
Bielicki I, 24, 70.
Bahrynowski II, 7, 8.
Buń II, 17.
Bychowiec III, 199.
Bierz(ż)yńscy I, 51, 121, 159, 202; II, 25, 45, 54.
Beyner II, 216.
Brudziński II, 230.
Bratkowski II, 100.
Baur Karol I, 100, 101, 106, 107, 121, 171, 172, 203, 212, 220, 226; II, 31, 36; III, 11, 61.
Borkowski II, 72.
Baliński III, 197, 198.
Borejko I, 113, 143, 229; II, 26, 67, 82, 93; III, 10, 213.
Bóbr I, 139.
Bezborodko III, 128.
Branicki III, 7, 148.
Bystry III, 10.
Bogusławski III, 14, 41.
Baraniecki III, 177.
Brzozowski III, 115.
Bereza III, 33.
Bentkowski III, 34, 35.
Bigulski I, 178.
Błędowski II, 207.
Bokszczanin III, 164, 165, 160, 220.
Blaramberg III, 126, 159, 160.
Brzostowski I, 191.
Borowski III, 198.

Chrząszczewski Fran. I, 29, 30, 31, 91; II, 100, 214.
Czartoryski I, 39, 42; II, 195; III, 25, 34, 112, 222.
Chomiński Grz. I, 42, 191, 193; III, 166.
Chojecki II, 5.
Czechowicz I, 50; III, 199.

Czetwertyński II, 206, 207, 217, 220; III, 10, 112.
Condé książę I, 109.
Czech II, 9, 10, 12, 13, 18, 71, 73, 76; III, 101, 162.
Czacki I, 139, 236, 238, 240, 250, 265; II, 19, 20, 59, 60, 66, 67, 68, 70, 76, 77, 82, 84, 87, 91, 93, 98, 99, 100, 108, 111, 112, 193, 195, 198, 204; III, 9, 12, 14, 15, 25, 26, 29, 32, 58, 63, 126, 166, 174.
Chodakowski I, 162, 260.
Cieciszowski II, 20, 86, 204; III, 14.
Cataiani III, 17, 18, 19, 110.
Chodkiewicz I, 175, 183, 215, 221, 222, 223, 229; II, 20, 60, 67, 74; III, 6, 54, 196, 200, 208, 209, 210.
Czosnowski II, 64, 65.
Chrząszcz II, 64.
Czarnocki II, 67; III, 44, 45, 46, 102, 104, 172, 173, 174.
Choński II, 73, 223; III, 169.
Cieszkowski II, 100.
Czarnomski III, 111.

Dziusówna Tekla I, 53, 60, 65, 66, 67, 76, 79.
Domaradzki III, 83, 116, 117.
Dobrowolski II, 81, 202; III, 64, 71, 75.
Drzewiecki II, 96, 97, 100, 202, 209, 201, 216, 228, 229, 230; III, 10, 14, 20, 22, 25, 26, 65, 104, 162, 168, 170.
Dmuszewski III, 36, 41, 42, 161.

Eichwald III, 124, 193, 194, 195, 199.

Fryczyński III, 103, 104.
Fonberg III, 98.
Ferzen, I, 92, 93.
Falkowski III, 182.
Feliński II, 73; III, 13, 14, 15, 16, 17, 27, 59, 60, 65, 99, 162, 167, 209, 210.
Fogel (Vogel) III, 70.
Fiłatjew III, 221.

Grabowski III, 31, 32, 50, 53.
Grzymalanka I, 33.
Gadomski II, 61, 62, 63, 64, 65, 66.
Grabianka II, 62.
Gajewski I, 43.
Grylewicz II, 194, 195.
Goltz I, 44, 48.
Gostyński II, 70.
Garbowski II, 207.
Gruszecki I, 93; III, 48, 49, 50.
Gudowicz Iwan I, 118, 119, 120, 121.
Gołębiowski III, 76.
Głazenap I, 139, 150.
Giżycki III, 47, 217.
Grocholski I, 143, 197, 203, 207, 219.

Hackenschmidt II, 26.
Hołowczyc III, 53.
Hreczyna III, 102, 104.
Howard III, 172.

Izbicki III, 23.

Jasiński I, 99.
Jentz III, 67, 98.
Jukowski III, 76.
Jelski III, 154, 155, 156.
Jabczarski I, 55, 61, 70, 112, 161.
Jaworski II, 14.
Jarkowski II, 71, 76, 80; III, 22, 64, 66, 97, 102, 104, 164, 167, 169.

Jaraczewscy I, 66, 83.
Jaroszewicz II, 73; III, 100.
Justycki I, 124.
Jarocki III, 33, 44, 48.
Jakowicki III, 193, 204.
Jełowicki I, 143; III, 29, 117.
Jundziłł III, 214.
Jabłonowski I, 171, 172, 263; II, 74, 93, 227; III, 58.
Jaroszyński II, 207, 217, 218, 222, 225, 226, 227; III, 107, 110, 111, 113, 115, 118, 172.

Komorowski I, 26, 28, 29, 30.
Kamiński II, 8; III, 36 (Żyłok) 110.
Kłosowski II, 19, 38.
Kościuszko I, 61, 86, 87, 89, 90, 92, 109, 110.
Koźmian III, 41, 42, 58, 59, 60, 61, 62, 63.
Kopeć III, 54, 55.
Kończewski III, 69.
Kościowa I, 63.
Korzeniowski III, 60, 64, 68, 69.
Kicki I, 112; II, 63, 64, 65, 66.
Krzesz ks. II, 104, 106.
Kaczkowski III, 152, 157.
Kuczkowski I, 115, 175.
Kropiński II, 110; III, 10, 59, 60.
Kraszewski II, 230.
Kisiel III, 11.
Każyński III, 23, 36.
Kudlicz III, 39, 40.
Kurpiński III, 33, 42, 161.
Krasiński III, 34, 35, 45, 50, 69.
Karwicki I, 143, 168, 170; II, 59, 198, 207, 211.
Kitajewski III, 35.
Kumburley II, 70, 88, 97.
Kołłątaj II, 76.
Krasicki II, 211.
Koniuszewski I, 235, 243; II, 102.
Kozłowski II, 234; III, 6.
Kontenius III, 139, 140, 141, 142, 143, 144, 146, 147, 149, 151, 159.

Lubomirski I, 36, 91, 121, 139, 149, 155, 168, 197, 214, 225; II, 54, 55, 198, 220; III, 6, 78.
Linde III, 35.
Lesicki I, 60, 66, 75.
Legocki II, 7.
Lubieniecki I, 61, 63, 65.
Lewandowski I, 63, 64.
Ledóchowski II, 59, 193; III, 37, 38, 41, 42, 43.
Lewicki III, 163, 164, 165, 167, 194, 215, 216.
Lernet I, 116, 220, 225, 227; II, 26.
Lefort II, 73.
Lipiński III, 80.
Liberadzki I, 117.
Lenz II, 202, 206, 216.
Lubelski III, 100.
Lipkowski III, 117, 118, 120, 152, 154.
Lobenwein I, 184.
Linowski I, 202.

Łysakowski III, 116, 117, 118.
Łazowski III, 30.
Łowicka księżna III, 46.
Łuczyński II, 96, 98; III, 67.

Mołodecki I, 23, 143.
Maciejowski III, 66.
Mickiewicz III, 100, 176.
Mezer Franciszek I, 43, 46, 48, 51, 68, 94, 111.

Malawski II, 7, 9, 12, 14, 16, 17, 18, 21, 25, 63; III, 176, 210.
Marchocki III, 171, 173, 196.
Małachowski III, 6.
Murawjew I, 46, 126, 187.
Morsztyn II, 26.
Mniszech II, 62.
Mańkowski Józef I, 48, 49, 50.
Moszyński II, 70; III, 105, 121, 152.
Mianowski III, 200, 202, 217.
Mokronowski I, 115; III, 57.
Mirowski II, 81.
Mier III, 28, 29.
Marcinowski Kajet. I, 116.
Mikułowski III, 30.
Mosakowski I, 143.
Malczewski II, 96, 97, 98, 99, 100, 200, 202, 206, 207, 211, 212, 214, 226, 227.
Mniszek III, 221, 222.
Morawski III, 33.
Mostowski I, 182.
Malinowski III, 33, 36, 40.
Malewski I, 268.
Miechowicz III, 179, 208.

Niemcewicz III, 14, 28, 41, 42, 53.
Nowosilcow III, 34, 35, 55.
Nacewicz III, 37, 38, 42, 43, 50.

Oraczewski I, 114.
Ogiński I, 176.
Olizar II, 67, 74; III, 54, 55, 56, 209.
Ożarowski II, 233; III, 217.
Odachowski I, 185, 186.
Oleszkiewicz I, 177, 181, 182, 184, 186, 189, 195, 199, 213, 217, 218, 221; II, 19, 20, 56, 58, 59.
Owsiński I, 69.
Orzechowicz III, 177, 178.
Ossowski ks. I, 70.
Osiński ks. II, 10; III, 8, 9, 10, 13, 61, 63, 71, 73, 76, 81, 204, 205, 234; III, 35, 36, 37, 38, 41, 42, 44, 46, 48, 50, 52, 54, 99, 161, 183, 199, 200, 209, 210.
Orlikowski III, 46, 47.

Potocki I, 23, 27, 28, 29, 30, 31, 70, 90, 111, 117, 139, 143, 202, 214, 265; II, 231; III, 6, 78, 106, 132, 148.
Pelikan III, 166, 167, 168, 181, 202, 203, 210.
Popiel I, 23.
Piotrowski II, 22.
Podoski II, 22.
Peszka I, 39, 176, 178; III, 99.
Porembiński III, 33, 132, 143, 144, 149.
Poniński I, 55.
Podhorodeński II, 204.
Pruszyński I, 55, 116.
Pawłowicz III, 35.
Plater I, 55, 139, 143, 146, 181, 260, 265; II, 25, 74, 93, 194, 195, 196, 202, 207, 209, 213, 224, 227; III, 209.
Poczobut I, 95.
Prokop ks. II, 81.
Probst I, 166.
Poliński II, 73; III, 102.
Płotnicki I, 232, 239, 259; II, 102.
Proskura II, 6, 7, 9, 14, 15, 20, 21, 23, 229.

Rohoziński I, 27, 30, 32.
Rutkowski III, 33.

Robertin I, 53, 58.
Radzimiński II, 8, 9, 10, 13, 14; III, 15.
Raciborski I, 139; II, 63.
Radziwiłł II, 59; III, 196, 208, 217, 218.
Rakowski I, 143.
Rosiękiewicz III, 21.
Rosengart III, 35.
Rembiszewski I, 159.
Rochlitz II, 113.
Rokicki III, 47.
Rustem I, 176, 179.
Rzewuski I, 125; II, 96, 98, 103, 104, 196, 197, 202, 206; III, 5, 7, 65, 104, 113, 165, 185, 186.
Rzyszczewski II, 229.
Rykaczewski III, 11.

Sapieha I, 190, 191, 197.
Szwejkowski III, 53.
Sokołowski III, 100, 101.
Strylenko I, 25.
Szwejkowski II, 59, 60; III, 223.
Starzyński II, 63.
Sobiński I, 35, 104, 187.
Stadnicki II, 66, 72.
Szostakowski II, 67,
Słowacki II, 73.
Skoczkowski I, 44, 45, 159.
Śniadecki I, 180, 184, 185, 195, 199; II, 73, 104; III, 9, 98, 197, 198, 200, 204.
Strzelecki II, 73; III, 101.
Smuglewicz I, 50, 183; III, 199.
Styczyński III, 185, 210.
Szeidt II, 14, 64.
Sciborski II, 36, 230; III, 12, 14, 102, 163.
Sanguszko I, 51, 108, 115, 139; II, 58; III, 78.
Sapieha II, 97, 229, 231, 233; III, 173.
Sienkiewicz II, 222, 223; III, 64, 71, 75.
Słoniewski I, 69.
Sobański II, 82, 93, 94, 196, 207, 216; III, 10, 107, 114, 115, 162.
Szowits III, 170, 171.
Strojnowski I, 78.
Stecki I, 87, 143, 158; II, 27, 33, 34, 54, 220; III, 5, 61, 62, 113, 114, 115.
Skirmunt I, 112, 113, 138; II, 25, 26, 31, 32, 37, 38, 42, 43, 45, 49, 50, 51, 52, 63, 228; III, 61, 62.
Szubert III, 34, 44, 48, 58, 67.
Slaski I, 138.
Skibicki II, 83, 87, 196.
Szopowicz I, 113, 114, 159, 175.
Saint Priest II, 96.
Strojnowski III, 28.
Skarbek III, 35, 50.
Sierzputowski III, 47.
Skrocki III, 34, 44, 46.
Szymanowski III, 39, 41.
Staszic III, 44, 45.
Stern III, 45.

Turno I, 23, 88, 129, 138.
Truskolawski III, 38.
Twardowski III, 162.
Trzebuchowski I, 55, 63.
Telatycki II, 218.
Trembecki III, 76.
Tepper I, 65, 68; III, 78.
Tylman III, 68.
Tarquinio I, 114.
Trzciński I, 114.
Taborowski II, 81, 202.
Teleżyński III, 185, 186.

Tarnowski I, 129, 152; II, 59, 64; III, 10, 13, 26, 29, 30, 31, 40, 50, 65, 66, 76.
Urbański III, 220.
Urbanowski I, 198, 232, 234, 236.
Wiewiórowski I, 24.
Wilczek I, 27, 29, 31.
Wieczwiński II, 66.
Worcell I, 55, 260.
Wawrzecki I, 97.
Węgierski I, 56, 58, 60, 66, 76, 78, 135, 136.
Werner I, 101.
Witwicki II, 98, 100.
Walewski I, 78, 92, 140, 153, 225, 105, 114, 158; II, 16, 19, 23, 26, 31, 52, 218, 220, 222, 228; III, 58, 63.
Witosławski I, 139; II, 63.
Wolfgang III, 202, 208, 209, 210.
Wyleżyński I, 160, 260; III, 169.
Waldstein III, 7.
Witzell III, 11, 12.
Werowski III, 36, 37, 42, 43.
Wyżewski III, 102, 169.

Zieliński III, 23, 36.
Zawadowski III, 166.
Zaleski II, 65, 66, 100.
Zaborowski II, 222, 223.
Zamoyski III, 71.
Zakrzewski II, 67, 214.
Zaliwski III, 15, 16, 20, 99.

Żółkowski III, 41, 42, 50, 52, 53, 54.
Żochowski III, 64.

SPIS MIEJSCOWOŚCI.

Andruszówka I, 55.
Akerman III, 171.
Annopol I, 16.

Bar II, 111.
Boreml II, 25.
Baranówka I, 51, 111.
Berszada III, 121, 157.
Berdyczów I, 55; II, 229; III, 123.
Bystrzyk III, 58.
Bohojawleńsk III, 128.
Biała Cerkiew III, 148.

Chołopy I, 67.
Chortyca III, 136.
Cepcewicze I, 260, 262, 263; II, 15.
Cherson III, 125, 130, 131, 132, 133, 139, 170.

Dubno I, 23, 35, 36, 44, 48, 65, 68, 69, 121, 171, 207, 209; II, 60, 198; III, 77.
Dłużkowce III, 142.
Dederkały II, 66.
Dereczyn III, 172.
Druhów I, 71.
Dunajowce II, 97.
Dąbrowica II, 194.

Ekaterynosław III, 125, 130, 138, 144, 149, 151.

Fedorówka III, 122.

Grodno I, 26.

Hajsyn III, 117, 120.
Hruzka III, 117.
Hołowmica I, 48.
Humań II, 103; III, 185, 186, 187.
Hrehorówka III, 5, 6, 7, 8, 69.
Horochów III, 26, 27, 28, 29, 42.
Haraczkówka III, 108, 109.

Jahorlik I, 30.
Juśkowce II, 97.

Kuna II, 225; III, 108, 109, 110, 114.
Konstantynów II, 63, 194; III, 5, 8.
Kryłow I, 23.
Krystynopol I, 27, 73.
Korzec I, 39, 42, 44, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 92, 94, 110, 187.
Kazimierz (n. Wisłą) III, 72.
Kijów III, 77, 102, 223, 224.
Korczyk I, 42.
Krzemieniec II, 5, 8, 56, 60, 63, 64, 65, 66, 74, 86, 89, 96, 104, 198, 206, 224; III, 5, 8, 9, 12, 18, 19, 20, 21, 22, 41, 42, 50, 58, 63, 64, 67, 69, 98, 102, 103, 115, 126, 145, 149, 167, 174, 219, 223.

Ludwipol I, 51, 55, 59, 66, 67, 72, 111, 135, 136, 159.
Liman III, 128, 129, 130.

Łuck II, 84, 86, 89, 194, 235; III, 28.
Łanowce III, 118.

Międzyrzecz I, 46, 49, 71, 72, 159, 175; II, 27, 30, 35, 39, 43, 45, 190; III, 34, 61.
Mikołajów III, 122, 124, 128, 129, 130, 131, 133, 170, 188.
Maciejowice I, 92; III, 89.

Niewirków II, 194; III, 62.
Napadówka II, 216.
Nikopol III, 133.

Ostróg II, 63.
Ostapkowce II, 217.
Obodówka II, 217.
Odesa III, 123, 157, 158, 161, 172, 173, 174, 175, 177, 193, 215.
Olbia III, 128, 129, 131, 160.
Omęcin I, 80.
Oczaków III, 108.

Pekałów I, 173, 199, 225; II, 56, 57; III, 33, 61.
Poryck III, 142.
Puławy III, 30, 64, 66, 67, 70, 73, 74, 75.
Pohrebyszcze III, 113, 114, 115.
Pohulanka I, 189, 192.
Pedynka III, 63.
Parutino III, 130.

Rozalówka II, 229.
Radkowice II, 62.
Równe I, 86, 88, 126, 138.
Rafałówka III, 55, 56.

Stojanów I, 26, 32, 34.
Sawrań III, 7.
Saracea I, 30.
Sewerynówka III, 157.
Sławuta I, 116, 117.
Słonim I, 176; III, 212.
Stepań I, 236.
Sofijówka III, 72.

Tarnoruda I, 30; II, 66, 96, 97, 99, 100, 226.
Tulczyn I, 30, 31; III, 76.
Teofilpol II, 97.
Tarnopol I, 65, 66, 97.
Targowica I, 34.
Tuczyn I, 55, 78, 84, 92, 101, 111, 115, 117, 120, 122, 133, 160, 162, 170, 171, 202, 213, 228, 269; II, 7, 15, 19, 20, 25, 26, 30, 31, 32 35, 37, 39, 43, 47, 63, 220; III, 58, 60, 63.

Wasylów II, 21.
Warkowicze I, 23, 38, 114.
Winnica II, 103; III, 66, 184, 203.
Włodzimierz II, 111.
Wilanów III, 30.
Wilno III, 33, 67, 121, 162, 195, 196, 201, 204, 207, 215.
Wasylówka III, 114, 115.
Wołoczyska III, 154, 156.

Zawadówka III, 117, 120.
Zwierzchówka III, 115.
Złoczów I, 28.
Zawadynce II, 61.
Zaleszczyki II, 99.
Zieleńce I, 61.
Zahorów II, 111.
Zwiahel I, 91.
Zasław III, 130.
Zytynka I, 78.

Żoliborz III, 50.
Żytomierz I, 101, 104; III, 117.
Żołoby II, 15.
Żelanka II, 31, 38, 40, 43.

DK
508
.42
A64
t.1-3

Andrzejowski, Anton Lukianowicz
Ramoty starego Detiuka o Wołyniu

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY